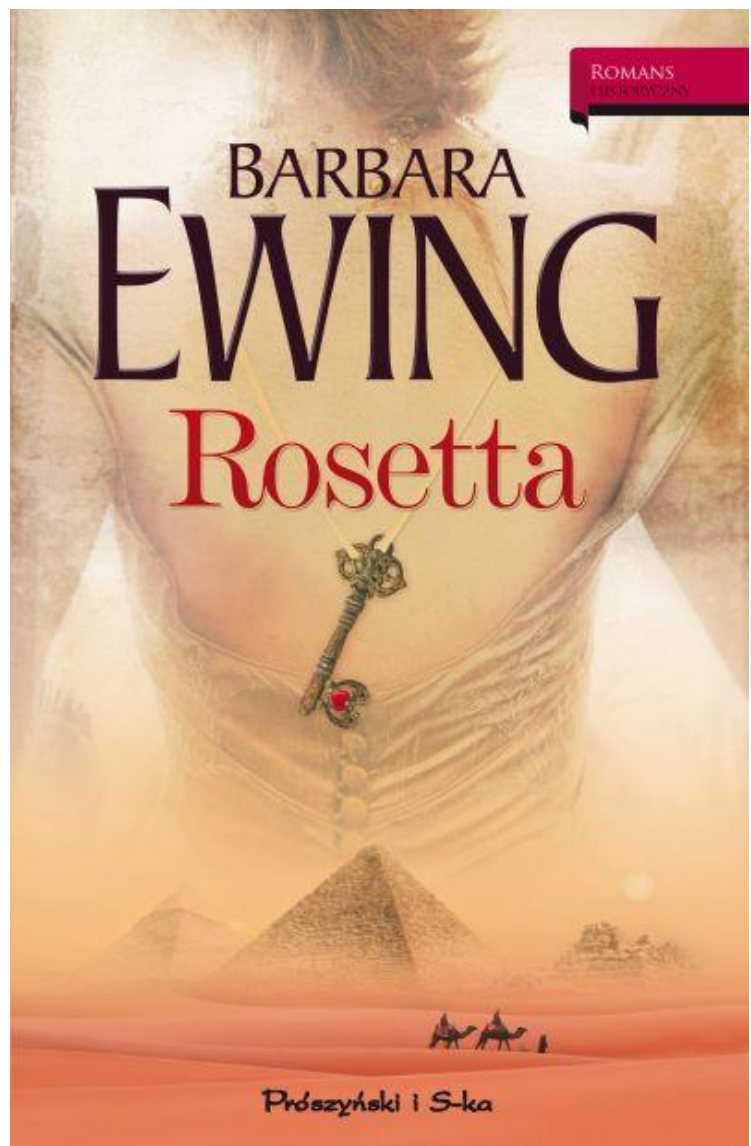




BARBARA EWING

Rosetta

Przełożyła Magdalena Rychlik



TLR

*Fatmie Moussa w podziękowaniu za lekcję historii Anglii,
której udzieliła mi w Kairze*

*...A dekret ten winien być spisany na kamiennych tablicach
świętym pismem, językiem narodu oraz
Greków... by przetrwał wieczność.*

KAMIENŃ Z ROSETTY

196 r.p.n.e.

TLR

1795

*Sentymentalne opowieści oraz książki służące li
tylko rozrywce (...) powinny zajmować niewiele miejsca
w edukacji, szczególnie dziewcząt. Ta forma literatury zbyt
wczesnie rozbudza zmysły...*

MARIA EDGEWORTH

(„Wykształcenie praktyczne”, 1798)

Tamtego lata, jak co roku, starsi panowie wdrapywali się na Vow Hill uzbrojeni w lornetki. Czekali na powrót floty Jego Królewskiej Mości, która odbyła bohaterskie potyczki z Francuzami dowodzonymi przez słynnego już nowego generała Napoleona Bonaparte. Na horyzoncie nie pojawiał się nawet cień statku, ale starsuszkowie uparcie trwali ze swymi lornetkami na wzgórzu. Przychodzili wcześniej w pogodne poranki, by zająć najlepszy punkt widokowy. Tuż nad kabinami kąpielowymi.

Jedna z nich właśnie potoczyła się w stronę morza. Rose i Fanny miały na sobie luźne suknie kąpielowe wiązane pod brodą oraz czepki osłaniające włosy. Kobiety obsługujące kąpielisko zanurzyły delikatnie kabinę w błękitnej przejrzystej wodzie. Był piękny, spokojny letni dzień, dziewczęta dryfowały swobodnie coraz dalej od brzegu w swych ciemnych sukniach. Woda marszczyła się, otulając je, wypełniając uszy szumem i westchnieniami. Rose była ciemnowłosa, loki Fanny miały odcień rudy; kosmyki wymykały się spod czepków i splatały z wodorostami. Wyglądały jak dwie syreny. Ich śmiech i wesołe pokrzykiwania odbijały się echem od błękitnej tafli, docierając na szczyt wzgórza, gdzie czuwali starsi dżentelmeni ze swoimi lornetkami. O ile przyszli tego dnia.

Wiele lat później Rose wspominała letni dzień spędzony z kuzynką nad Kanałem Angielskim. Na horyzoncie widziały zarys wzbudzającej niepokój Francji. Przywołała w pamięci lodowaty dotyk wody na skórze, który zaparł jej dech w piersiach, tak że chwytała haustami powietrze, śmiejąc się z radosnym zaskoczeniem...

Po jakimś czasie panie z obsługi wciągnęły je z powrotem na platformę, osuszyły i odtransportowały z powrotem na brzeg. Tego wieczora odbywał się bal, na którym obie dziewczyny: Rose, roześmiana brunetka, i poważna, niska rudowłosa Fanny, wystąpiły w nie całkiem ujarzmionych fryzurach. Mattie, pokojówka, nie poradziła sobie z niesfornymi kosmykami', okalającymi młode buzie.

Na balu zjawili się kilku oficerów armii królewskiej, niebiesko— czerwone mundury przyciągały młode dziewczęta niczym magnes. Panna Rose Hall, ukochana córka zasłużonego admirała marynarki królewskiej, Arthura Halla, poznała Harolda Fallona, czarującego młodego kapitana (pełnego nadziei na przyszłe zasługi i zaszczyty). Zatańczyli razem dwukrotnie. Dźwięki skrzypiec, klawesynów i klarnetów zapraszały do zabawy, ludzie śmiali się i rozmawiali bardzo głośno, panował zaduch, jak to w zamkniętym pomieszczeniu w pełni lata, zapachy ludzkich ciał stawały się coraz wyraźniejsze. Odświeżacze powietrza, pomady i perfumy tylko częściowo odgrywały swoją rolę, panie chowały się za wachlarzami, by ukryć braki w uzębieniu i zamaskować nieświeży oddech, nikt nie żałował perfum, dżentelmeni wspomagali się miętówkami. Kapitan Harry Fallon pocałował młodzieńką Rose w rękę, wzbudzając w niej uczucie podobne do tego, jakiego doznała, zanurzając się w zimnej wodzie — zaparło jej dech w piersiach i zabrakło słów, by opisać swe wrażenia. Dopiero następnego dnia dowiedziała się, że Harry Fallon nosi tytuł szlachecki: wicehrabia Gawkroger. Fanny Hall przyglądała się młodemu mężczyźnie, gdy pochylał się przesadnie nisko nad dłonią jej kuzynki i pomyślała, że przypomina jednego z tych przystojnych i niegodnych zaufania mężczyzn pojawiających się w najnowszych powieściach. Była pewna, iż nie umknie to również uwagi Rose, która czytała wszystkie najnowsze książki. Fanny zakryła ręką usta, powstrzymując śmiech.

Tydzień później dziewczęta przechadzały się między regałami biblioteki na Hanover Square, ich ulubionego miejsca w Londynie (głównie ze względu na książki, lecz również możliwość spotkania interesujących młodzieńców), gdy nagle Fanny Hall, ukochana najstarsza córka jednego z kierowników Kompanii Wschodnioindyjskiej, omal nie zemdlą na widok nadzwyczaj przystojnego młodego kleryka krytycznie lustrującego półki. Młody człowiek nie pachniał jai większość ludzi: potem i zepsutymi zębami. Roztaczał wokół delikatną woń lawendy.

— Wolalbym, by moja żona nie czytała „Historii życia Toma Jonesa” — oznajmił.

Fanny (która oczywiście, podobnie jak Rose, przeczytała „Toma Jonesa”, „Pamelę”, „Clarissę”, „Evalinę” oraz, jakżeby inaczej, „Pamiętniki Fanny Hill”) zarumieniła się wdzięcznie i pomyślała, iż ten mężczyzna bez wątpienia czyta Locke'a, Hume'a, Pope'a i Milтона. Miody duchowny, który nazywał się Horacy Harbottom, uśmiechnął się do zarumienionej Fanny, skomentował ujmująco urodę jej rudych loków i zaoferował swoje towarzystwo przy dalszym zwiedzaniu biblioteki. A ponieważ był sługą bożym, nie mogło kryć się za tym nic niestosownego. Wielebny Horacy Harbottom objął właśnie pieczę nad własną bogatą parafią, którą otrzymał dzięki rodzinnym koneksjom, zatem poszukiwał ostatniej rzeczy, która by go dopełniła — żony. Miał niezwykle melodyjny głos, opowiadał nim o Bogu, filozofii i historii, Fanny wydał się kopalnią wszelkiej mądrości, wyobraziła go sobie na ambonie dzielącego się hojnie swą wiedzą i wyglądającego niezwykle przystojnie. Rose udawała, że z uwagą przegląda opasły tom, ale w istocie obserwowała atrakcyjnego, choć niedorzecznie wyniosłego kleryka i musiała zasłonić dłonią usta, by nie parsknąć śmiechem.

Po powrocie na Brook Street, do domu Rose, dziewczęta opowiadały o dżentelmenach, których poznały, pokojówce Mattie, podczas gdy ta przygotowywała orzeźwiającą lemoniadę. Szeptaly o miłości. Mattie była o dziesięć lat starsza od nich obu i miała za sobą małżeństwo, więc znała się na tych sprawach.

— Miłość miłością — powiedziała rzeczowo. — Najważniejsze, żebyście ich lubiły. Inaczej równie dobrze możecie spędzić życie w więzieniu!

Rose i Fanny słuchały, lecz rozumiały niewiele. Mattie była, stara. Młode panny z upodobaniem mówiły o miłości, którą świetnie znały z kart powieści. Nie zdawały sobie sprawy, jak wiele osób krytykuje nową modę na literaturę rozrywkową, przypisując jej zły wpływ na młode dziewczęce umysły: frywolna literatura, mówiono, zbyt kusząca i eskapistyczna dla nieukształtowanych osobowości.

Ledwie minęło pół roku od letniego popołudnia nad Kanałem Angielskim, a dwie zaczytujące się w romantycznej prozie siedemnastolatki były już zaręczone. Po suknie ślubne wybrały się z matką Fanny na Bond Street. Wspaniała, cudowna, ekskluzywna Bond Street z jej jasno świecącymi latarniami ulicznymi, ruchomymi szyldami, eleganckimi powozami, butami, ubraniami (a także natrętnymi ulicznymi sprzedawcami, zakazanymi tawernami, grasującymi złodziejaskami, otwartymi studzienkami ściekowymi i ogłuszającym hałasem). Tamże dwie niewinne młode damy zostały przystrojone w dziewiczą biel i szykowały się na wielki dzień z dzikim entuzjazmem. Stanowczo odmówiły włożenia pod spód cieplej bielizny, zgodnie twierdząc, iż wolą przemarznąć niż przystać na barchanowe pantalone w tak uroczystym dniu. Mattie koła wieczorami ich wewnętrzny niepokój gorącą czekoladą, którą serwowała także mamie Fanny (z dodatkiem brandy), ponieważ pani Hall również prezentowała twarz czerwoną z emocji. Dziewczęta przed pójściem spać nacierały buzie sokiem ananasowym, by zapobiec zmarszczkom.

Ślub Rose był wydarzeniem towarzyskim w wyższych sferach. Przyszło na niego wielu przedstawicieli marynarki królewskiej zaproszonych przez obie strony. Odbył się na Hanover Square w kościele św. Jerzego, z którego młodziotka Rose Hall wyszła jako wicehrabina Gawkroger, należąca teraz do znamienitego rodu Fallonów z Great Smith Street. Jej teściowa prezentowała nadzwyczaj kwaśną minę, liczyła na inną synową, co najmniej księżniczkę. Niemniej wydarzenie zostało odnotowane w kilku londyńskich gazetach, wraz z relacjami dotyczącymi potyczek wojennych z Napoleonem Bonaparte oraz wzmianką o egzekucji Jamesa Prestona (lat 70) i Susannah Morton (lat 24) skazanych za zamordowanie dziecka z nieślubnego związku. Kolejne artykuły donosiły o rabunku dokonany na dwóch dżentelmenach powracających o północy do domu, napadnięto ich nieopodal Uxbridge i ograbiono z portfeli oraz zegarków. Dalej można się było dowiedzieć, że pasożyty nie mogą się rozmnażać w ludzkim ciele po zażyciu Oryginalnych Pigulek Doktora Andersona. Zamieszczono również raport z przesłuchania sądowego w sprawie hrabiny Pugh, która porzuciła hrabiego

Pugh, a teraz błagała o zgodę na widzenia z dziećmi: sąd pozostał nieugięty, kodeks stanowił jasno, iż prawa do dzieci posiadają wyłącznie ojcowie. Niedaleko, na Conduit Street, właściciel pewnej drukarni powiesił w oknie karykaturę księcia Walii przedstawionego jako grubą świnię przystrojoną w biżuterię.

Małżeństwo Fanny zostało zawarte w ślicznym kupieckim miasteczku o nazwie Wentwater, gdzie Horacy Harbottom (bratanek biskupa) sprawował intratną i niezwykle przyjemną funkcję wiejskiego pastora. Jasno zdawał sobie sprawę ze swej uprzywilejowanej pozycji i oczekiwał świetlanej przyszłości. Nalegał na ślub wśród parafian, uważał to za swój obowiązek. Rodzina Fanny była zaskoczona tą decyzją: cóż za pomysł, by siedmioosobowa rodzina musiała jechać aż do Wentwater. Nie pozostawiono im wyboru. Zjawili się wszyscy: mama, ojciec, brat i cztery siostry panny młodej. Związki Montague'a Halla, ojca Fanny, z Kompanią Wschodnioindyjską zapewniały młodej parze bezpieczeństwo finansowe. Dodając do tego wujka biskupa... Horacy poczuł się usatysfakcjonowany swoją pozycją społeczną. Rodzina i przyjaciele Fanny (zwłaszcza jej ojciec, który był odpowiedzialny za zaopatrzenie przyjęcia weselnego w alkohol) wydawali się nieco zbici z tropu, kiedy pan młody odmówił wzniesienia toastu za zdrowie panny młodej starą hiszpańską sherry. „Zadowolę się czystą wodą stworzoną przez Boga”, oświadczył wyniośle, roztaczając wokół woń lawendy. Goście postanowili okazać wyrozumiałość przystojnemu i pachnącemu słudze bożemu. Wszak niezbadane są ścieżki Pana, a jego reprezentant w rodzinie mógł okazać się użyteczny. „Wentwater Echo” doniosło z radością o ślubie młodego pastora, zamieszczając również opis zderzenia dwóch powozów w centrum miasteczka; w tym samym wydaniu wydrukowano również jedno z kazań Horacego Harbottoma. Kazanie wraz z innymi tekstami religijnymi zostało wystawione na sprzedaż w formie broszury, którą reklamowano w gazecie. Hrabina Pugh, jak donosiło „Wentwater Echo”, została odwiedzona do szpitala psychiatrycznego po tym, jak zatrzymano ją biegającą po głównej ulicy Oksfordu w samej koszuli nocnej i

wykrzykującą z rozpaczą imiona dzieci. Pozostałe wiadomości dotyczyły potyczek z Napoleonem.

Na rynku w Wentwater samotny kaznodzieja mówił o Bogu.

Każda z kuzynek zachowała dla siebie ewentualne zastrzeżenia co do wyboru męża tej drugiej. Kochały się gorąco i pragnęły dla siebie nawzajem tylko szczęścia.

Starsi panowie z Vow Hill dawno już odłożyli lornetki, nadeszła zima, więc wygrzewali się przy kominkach, pragnąc dożyć kolejnego lata, by choć przelotnie nacieszyć oczy urokami młodości, tak dobrze im kiedyś znanymi.

1

Jako mała dziewczynka Rosetta Hall była przekonana, że swe imię zawdzięcza księżniczce Rosetcie, która poślubiła króla Pawi, po czym żyła długo i szczęśliwie. Księżniczka była bohaterką bajki dla dzieci, którą ojciec czytywał jej przed snem. Wiele wycierpiała, nim poślubiła swego króla — ścigała ją na przykład zła wiedźma — wreszcie pomógł jej pewien stary rybak, nie bez udziału wiernego swej pani psa bez ucha. Na tym etapie historii ośmioletnia Rose zawsze wydawała szczere i głębokie westchnienie ulgi, a gdy księżniczka Rosetta w dowód wdzięczności mianowała starego rybaka rycerzem Zakonu Delfina i wiceadmirałem Morskich Głębin, Rose wtulała podekscytowaną twarz w wojskową marynarkę ojca. „To ja! To ja!”, wołała z zachwytem i przekonaniem, ponieważ miała na imię Rosetta, a jej papa służył w marynarce wojennej w stopniu admirała. Zachwyty dziewczynki wydawał się admirałowi rozbrajający, nic nie mówił, tylko się uśmiechał.

Czasem papa czytał jej fragmenty gazet i periodyków, choć nie wszystko rozumiała. Przechowywał czasopisma na swoim ogromnym biurku w mieszkaniu na Brook Street razem z mapami, pismami urzędowymi, papierem welinowym, atramentem, gęsimi piórami, pudełkiem cygar i zegarem z Genui wybijającym, jak wierzyła Rose, godziny po włosku. Potem rozlegał się szum spódnic mamy prowadzącej gości, przyjaciół ojca z marynarki ubranych w niebieskie mundury. Zawsze pamiętali o drobnych upominkach dla małej dziewczynki. Rose prowadzono do jasnej, przestronnej bawialni na górze, gdzie stało biurko należące do mamy. Było mahoniowe, z sekretną szufladą i podstawkami na kałamarze z gęsimi piórami, w razie potrzeby zamieniało się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w stół do gry w karty. Właśnie tam skąpana w promieniach słonecznych padających przez

duże okna, przy wtórze stukotu końskich kopyt o bruk, krzyków ulicznych handlarzy głośno zachwalających swoje towary, Rose wzięła po raz pierwszy do rączki gęsie pióro i kierowana przez matkę napisała literę „R”.

— Bawimy się w rysowanie w bawialni — wykrzyknęła z zachwytem.

— Nie, to nie jest rysowanie — wyjaśniła z uśmiechem matka. — Uczę cię pisać. Tak powstają słowa.

— Pisać. Powstają słowa — powtórzyła z nabożną czcią mała Rose.

Czasem, kiedy pochylały się razem nad kartką papieru, z sąsiedniego domu dobiegały dźwięki klawesynu, mieszając się z ulicznym gwarem. Muzyka już zawsze towarzyszyła wspomnieniom o przygodzie, za jaką uznała naukę pisania. Z utęsknieniem wyczekiwała kolejnych lekcji, wszystko wydawało się takie naturalne, proste i czarowne. Dopiero dużo później uświadomiła sobie, że wiele osób nie potrafi czytać ani pisać. Na przykład służba na Brook Street podpisywała się odciskiem kciuka umazanego w atramencie. Rose bardzo wcześnie wpadła na pomysł stworzenia własnego alfabetu, innego niż ten, którego uczyła ją matka.

— Czemu nie mogę tak pisać, mamuś? — pytała, rysując małą różę. Pani Hall nie kryła zaskoczenia.

— To moje imię! — tłumaczyła niecierpliwie dziewczynka, dziwiąc się niezrozumieniu matki. Potem narysowała piękną gwiazdkę.

— Przecież to nie jest pismo, nic nie znaczy — zaoponowała ze śmiechem mama. — Chociaż rzeczywiście wygląda ślicznie.

— Ależ znaczy! — obstawała przy swoim Rose. — Gwiazdka znaczy dla mnie „moja mamusia”. Dlatego że jesteś taka piękna jak gwiazda na niebie. To moje pismo. Moje własne.

Razem z Rose uczyła się czasem pokojówka Mattie, zachęcana przez państwa Hall.

Mała Rose zaczęła pisać listy do różnych ludzi: do wojskowych z Somerset House, którzy przynosili jej słodycze, do swojej kuzynki Fanny Hall mieszkającej na Baker Street, do rodziców Fanny, a za każdym razem, gdy na świat przychodziła kolejna dziewczynka w domu ciotki i wuja, Rose pisała list powitalny dla maleństwa. Jakimś cudem noworodki zawsze odpisywały, równym charakterem pisma swojej mamy. Rose chciała wiedzieć, czy ona też może liczyć na rodzeństwo, ale otrzymała smutną i rozczarowującą odpowiedź. Rose i Fanny zamierzały mieć w przyszłości mnóstwo dzieci. Mama zabrała ją na pocieszenie do księgarni i dziewczynka z miejsca zakochała się w zapachu tego miejsca — woni papieru, skóry i atramentu.

Pani Hall kupiła notes i wyjaśniła córce, na czym polega prowadzenie dziennika, powiedziała, że zapisuje się w nim wszystko, co się zrobiło i przeczytało danego dnia. Dziewczynka siadywała przy biurku mamy, brała do ręki pióro i wpatrywała się w wychodzące spod niego znaczki. Pismo stanowiło dla niej niepojęty cud, tak miało pozostać. Nie potrafiła go uznać za oczywistość. Przyglądała się zafascynowana własnym słowom, które zdołała przenieść z głowy na papier. „Jeździłyśmy na łyżwach w Hyde Parku”, napisała i utkwiała zdumiony wzrok w kartce papieru, przeniosła się z powrotem na łód, po którym ślizgała się wcześniej radośnie z Fanny i jej rodzeństwem. Zabrakło jej słów, by wyrazić swoje szczególne zdumienie i zachwyt nad potęgą słowa pisanego. Uderzała bezsilnie nogami w mahoniowe biurko sfrustrowana, że nie potrafi precyzyjnie opisać stanu umysłu, w jaki ją ów zachwyt wprawiał. „Jak to się stało? Jak to możliwe? W jaki sposób ludzie wpadli na pomysł przenoszenia swoich myśli na papier? Kto wpadł na ten pomysł? Kto nadał znaczenie poszczególnym znaczkom? To najdziwniejsza rzecz na świecie! ”. Rose musiała się położyć, ponieważ jej umysł nie był w stanie objąć ogromu tej tajemnicy, w związku z czym pojawiły się zawroty głowy.

Następnego dnia spróbowała ponownie. Bardzo chciała jasno wyrazić swoje myśli i odczucia.

— Pisanie jest... Pisanie jest lepsze niż mówienie, mamó — powiedziała. — To, co powiem, zostanie za chwilę zapomniane, a tu w moim dzienniku albo listach do Fanny zostanie na zawsze.

Matka dziewczynki z uśmiechem przytrzymała jej bębniące o biurko nogi. Rose spróbowała ponownie wyrazić swoje myśli.

— Tymi specjalnymi znaczkami zapisuję w swoim dzienniku naszą historię, mamó. — Wreszcie udało jej się powiedzieć dokładnie to, co chciała. — Zapisuję nasze życie!

Zawsze, kiedy pisała o mamie, rysowała gwiazdkę.

Rozpoczęła naukę francuskiego, odkrywając, że większość znaczków, czyli liter, jest taka sama, ale znaczy różne rzeczy i opisuje różne dźwięki. Długo zastanawiała się, jak to możliwe, aż rozboleła ją głowa.

Ojciec zaintrygowany wyraźnym zainteresowaniem córki pokazał jej inny alfabet, jakiego używali Grecy. Inne znaczki, które tworzyły inne litery. Rose była zafascynowana. Przetłumaczył dla niej kilka słów. Opowiedział o innych językach, odległych krajach, pozwolił spróbować swojego cygara i odkryć smak kawy przywiezionej z Turcji. Miał w swoim małym gabinecie na Brook Street cały świat, którym dzielił się z córką. Pewnego dnia przyniósł do domu bardzo starą księgę i Rose po raz pierwszy zobaczyła nieprzetłumaczone hieroglify ze starożytnego Egiptu. Patrzyła w osłupieniu na dziwne obrazki. Dwa z nich przypominały ptaki: jeden przywodził na myśl sowę, drugi jastrzębia. Był trzmiel. Były kreski i fale. Małutki leżący lew. Jeden znak wyglądał jak stopa, inny jak słodkie kaczątko, jeszcze inny przypominał żuka.

— Co to jest Egipt? — spytała Rose, nie odrywając oczarowanego wzroku od obrazków.

Zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Egipt jest kolebką jednej z najstarszych cywilizacji na świecie. Można tam wciąż trafić na prastare kamienie pokryte starożytnym pismem i za-
bytkowe papirusy, stary egipski papier robiony z trzciny. Ich pismo to
przemawiający do nas głos minionych wieków, ale my go nie słyszymy.

— Głos minionych wieków — powtarzała w kółko zafascynowana Ro-
se. — Chciałabym tam pojechać i zobaczyć te minione wieki — oświad-
czyła wreszcie. — A ty widziałeś, tato? To znaczy, poza tą książką?

Ojciec zapalił cygaro, w powietrzu unosił się zapach tytoniu.

— Dawno temu — zaczął — gdy byłem jeszcze młodym marynarzem,
popłynąłem do Egiptu. — Wyjął atlas i pokazał jej trasę podróży. Rose
otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i ciekawości. — Zaczynałem wtedy
dopiero pracę, działo się to na długo przed poznaniem twojej mamy. Egipt
wydał mi się dziwnym, cudownym krajem, takim innym i ciekawym. Nie-
bo miało odcień najbłękitniejszy z błękitnych, inny niż u nas, cały dzień
rozlegały się głosy wzywające ludzi na modlitwę, do Boga innego niż nasz.
To było bardzo dziwne i niepokojące. Wokół rozciągały się kilometry pia-
sku. Jak okiem sięgnąć, aż po horyzont, nic, tylko wyludniona pustynia. —
Wydawał się zagubiony we wspomnieniach. — Pamiętam zapach po-
marańczy i... zdaje się, że mięty nad brzegiem Nilu. Pewien handlarz zabrał
nas łódką na wycieczkę po Nilu do ślicznej małej miejscowości o nazwie
Rosetta.

— Rosetta?

Uśmiechnął się do niej i przez chwilę w milczeniu patrzył na cygaro.

— Nazywała się Rosetta? — spytała z niedowierzaniem. — Rosetta?

— Stąd wzięło się twoje imię, córeczko — powiedział wreszcie. — Od
tej pięknej miejscowości. Wiedzieliśmy, że będziesz jedynaczką, i chcieli-
śmy ci nadać wyjątkowe imię. Byłaś pod takim wrażeniem bajki o księż-
niczce Rosetcie i królu Pawi, że nie mieliśmy serca wyprowadzać cię z błę-
du.

— Och, papo — westchnęła Rose, nieprzytomnie zachwycona. — Opowiedz mi o tej Rosetcie!

Ojciec westchnął cicho, jakby bezwiednie.

— Oczywiście działo się to wiele, wiele lat temu, wtedy jeszcze nie widywano tam cudzoziemców, byliśmy atrakcją. Egipcjanie zachowywali się przyjaźnie, śmiali się, głośno zagadywali i gestykulowali. Byli wobec nas bardzo uprzejmi i hojni. Rosetta to małe miasteczko portowe niedaleko ujścia Nilu, który płynie przez cały Egipt. — Pokazał jej na mapie Rosettę

i Nil. — Pamiętam wspaniałe meczety, tak nazywają się ich ' kościoły. Wszędzie rosły drzewa owocowe, a pola nawadniano wodą z Nilu. Kobiety zakrywały twarze chustami. Z wyjątkiem pięknych oczu. — Zamilkł. Rose miała setki pytań, ale postanowiła poczekać. W jakiś sposób wyczuła, że tak trzeba. Ojciec patrzył przez okno na Brook Street, której wcale nie widział. — Właśnie w Rosetcie pewnego gorącego poranka, na brzegu rzeki zobaczyłem kilku Arabów ubranych w charakterystyczne długie galabije i turbany. Ucierali ziarna kawy w ogromnym kamiennym naczyniu wielkimi kamiennymi tłuczkami.

— Co to jest tłuczek?

— Taki jakby wielki odważnik na długiej rączce. Obok pojemnika z kawą siedział po turecku pewien starzec, śpiewał dziwną pieśń, całkiem inną od naszej muzyki. — Rose odniosła wrażenie, że ojciec znów słyszy dziwną arabską melodię. — Arabowie z tłuczkami stali wyżej, ugniatali ziarna kawy z góry. Stałem obok kamiennego tygła i przyglądałem się. Nagle, jakby znikąd, przez otwór z boku do kontenera wsunęło się małe brązowe ramię! Oczywiście wyglądało na to, że za chwilę zostanie zmiażdżone przez opadające tłuczki. Jednak stary Arab zaczął nagle śpiewać bardzo szybko i tłuczki się uniosły. Mała ręka została uratowana. Nigdy w życiu nie byłem tak zaskoczony. Mały chłopiec miał za zadanie mieszać co jakiś czas kawę. A zmiana rytmu melodii śpiewanej przez starca była znakiem dla trzymających tłuczki, aby na chwilę wstrzymali ubijanie. Kiedy

śpiewał powoli i spokojnie, oznaczało to, że chłopiec cofnął już rękę i można wrócić do ucierania ziaren.

Rose słuchała jak w transie.

— Dźwięk głosu tego Araba nawiedza mnie nocami, kiedy jestem z dala od domu. I piękne oczy arabskich kobiet. A także śpiewne skrzypienie drewnianych kół młynów wodnych wprawianych w ruch przez chodzące w kółko bawoły z opaskami na oczach. — Wreszcie duch jego wrócił z powrotem na Brook Street, do córeczki, Rosetty. — Tak, widziałem ich pismo, hieroglify, na własne oczy, Rosie. Ale kultura starożytnego Egiptu przepadła tysiące lat temu, kolumny i pomniki niszczeję w piaskach pustyni, zapomniane, pokryte pismem, którego już nikt na świecie nie potrafi odczytać.

— Czy to pierwsze pismo na całym świecie?

— Być może. Wszystko, ale to wszystko, co widzieliśmy, było bardzo stare: styl życia, połamane kolumny, cały kraj. Niemal czułem... — Przez chwilę szukał właściwych słów. — Czułem się, jakbym przeniósł się w czasy biblijne. — Rose nie zrozumiała, co chciał powiedzieć.

— Czemu panie zasłaniały twarze?

— Taki zwyczaj.

— Czemu?

— Inni ludzie żyją inaczej niż my, kotku. Nie jesteśmy jedynymi na tym świecie.

— A po co bawoły miały klapki na oczach? To też taki ich zwyczaj?

— Tak się robi, żeby im się nie kręciło w głowach, kiedy chodzą w kółko cały dzień. Nawadniają w ten sposób pola. Kola młyńskie skrzypią i śpiewają.

— Tatku, a pojedziemy kiedyś do tego mojego miasteczka? Do Rosetty?
— Wstrzymała oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

— Może kiedyś, słonko — odparł. — Może kiedyś. — Znów westchnął, jakby na wspomnienie czegoś, co się wydarzyło dawno temu. — Egipt jest bardzo dalekim krajem i zupełnie, ale to zupełnie różnym od naszego. — Uśmiechnął się do córki. — Ale kto wie, co nam przeznaczone? Może kiedyś wybierzemy się do Rosetty, jeśli marzenia się spełniają.

Była za mała, by brać pod uwagę czyjekolwiek marzenia poza swoimi, więc uznała, że mówi o niej. Admirał, zazwyczaj bardzo surowo strzegący swych służbowych map i papierów, tym razem pozwolił jej narysować małą różę w porcie Rosetta.

— Papo, ktoś to wszystko napisał, chociaż teraz niszczeje. Napisał na kamieniach, ale to pismo, takie jak w moim dzienniku. Oni opisywali swoje życie.

— Cóż, zgubiliśmy do niego klucz.

Ojciec spędzał wiele czasu na morzu. Podczas jego nieobecności Rose chodziła z mamą, ciocią, Fanny i jej rodzeństwem do lunaparków, nowych galerii, bibliotek i na koncerty, raz poszli nawet do cyrku zobaczyć zwierzęta i akrobatów. Panowała wtedy moda na akrobatykę. Dzieci przepadały za pewną grupą zwaną Śpiewającymi Akrobatkami, lubiły ją najbardziej ze wszystkich rozrywek w Vauxhall Gardens: koncertów, fajerwerków, pokazów magicznych... Zespół składał się z pięknych pań, które unosiły się w powietrzu na linach w kolorowych błyszczących sukniach i śpiewały utwory pana Haendla (jego kompozycje dzieci lubiły najbardziej, ponieważ pan Haendel mieszkał kiedyś na Brook Street) oraz najnowsze pieśni pana Schuberta. Śpiewające Akrobatki często występowały do góry nogami. Dzieciom nie pozwolono robić tego samego w domu. Czasem chadzali całą rodziną do obserwatorium, kuzynki staczały się ze śmiechem ze wzgórza Greenwich i wstawały u jego stóp pokryte trawą.

Brook Street fascynowała wszystkie dzieci, nie tylko z powodu pana Haendla. Nawet najmniejsi kuzyni lubili przesiadywać w wielkich oknach mieszkania Rose, przyglądali się koniom i bryczkom oraz przechodniom: biznesmenom, handlarzom, domokrażcom. Kiedyś bardzo ich zaskoczył widok biegnącego bardzo szybko żebraka, który zgubił po drodze swoje kule. Do snu kołysał ich stukot końskich kopyt, śpiewy mężczyzn wracających do domu z wieczornych eskapad oraz pokrzykiwania nocnych strażników. Fanny rozmawiała ze swoim przyjacielem, Bogiem, prosząc Go, by postarał się o jakieś miejsce do spania dla żebraków i domokrażców.

Pewnego dnia zabrano dzieci na pokład statku handlowego należącego do Kompanii Wschodnioindyjskiej. Z zachwytem przyjęły herbatę z rąk hinduskich dżentelmenów w turbanach, podczas gdy ojciec Fanny podpisywał dokumenty. Wdychały zapach pieprzu, cynamonu i Tamizy. Po statku biegały ogromne szczury. Rose opisała wszystko w swoim nowym dzienniku.

Dziewczynka poczuła się samotna, kiedy Fanny z rodzeństwem wróciła do domu na Baker Street i znów poprosiła mamę o siostrzyczkę albo bracišką.

— To niemożliwe — odparła ze smutkiem pani Hall.

— Ja będę miała dużo dzieci — oświadczyła Rose, kopiąc krzesło i wsłuchując się w odgłosy pustego domu. W matczynym pokoju, na szeslongu leżały cztery poduszki. Rose ustawiała je pod oknem i czytała im opowieści o królu Pawi oraz Robinsonie Crusoe. Poduszki miały swoje imiona: Margaret, Elizabeth, Angel i Montague. Niekiedy Angel towarzyszył Rose na zakupach z mamą, dzieliła się z nim szeptem sekretami.

Kiedy admirał wracał z rejsów, często podróżowali wszyscy razem. Zabierał z bratem obie rodziny do Niemiec, Hiszpanii, Włoch. Uważał, że podróż to ważny element edukacji dzieci, które w ten sposób poznają inne

kultury i sztukę. Ojciec Fanny pogodnie zgadzał się z jego opinią, podkreślając jednakże wagę smacznego jedzenia i dobrego wina.

Najczęściej odwiedzali Francję. Rose i Fanny najbardziej kochały właśnie ten kraj. *La belle France*, powtarzały raz po raz. Chodziły podekscytowane na długo przed podróżą, mówiły jedna drugiej: „Już tylko trzy razy pójdziemy spać, dwa, jeden, a potem *la belle France*”. Ich entuzjazm osiągał apogeum, kiedy statek wyruszał w morze i zaczynała się kolejna przygoda. Francja to przecież eleganckie damy, bulwary, Sekwana i most zwany *Pont Neuf*, a także język francuski. Rose równo dzieliła zachwyt i uwagę między piękne stroje i katedry, wszystko zapisywała w swoim dzienniku. Fanny, która była dość poważną dziewczynką, czytała almanachy, poezję, starała się zgłębiać sens życia nawet w Paryżu, z dwiema młodszymi siostrzyczkami uczepionymi spódnicy.

— Fanny jest bardzo myśląca — mówili dorośli.

Jej piegowata twarzyczka o stanowczym wyrazie bywała bardzo skupiona. Równie często pochłaniała ją próba rozwikłania zagadki sensu istnienia, jak przemożna chęć podziękowania Bogu, którego znała osobiście, za świat. Z kolei dla Rose Bóg był kimś w rodzaju przyjaznego tła, dobrotliwego obserwatora. Kiedy Rose wynurzała się na chwilę ze swojej czystej radości istnienia, by pomyśleć, pochłaniało ją znaczenie słów, a nie życia.

Odkąd sięgała pamięcią, rodzice zawsze przyjmowali na Brook Street wielu przyjaciół. Siadywali w salonie i rozmawiali. Blask świec budził cienie na jasnych ścianach ozdobionych portretami Rose, jej rodziców i ich przodków.

Na początku dyskusje oznaczały dla niej jedynie mieszaninę głosów i uśmiechy dorosłych mówiących jej dobranoc, nim poszła spać. Kiedy podrosła, rodzice pozwolili jej (i Angelowi) przysłuchiwać się rozmowom dorosłych. Przychodzili mundurowi, koledzy taty z pracy, panowie w płaszczach, starzy panowie w białych perukach, młodszy panowie z włosami związanymi z tyłu, młode kobiety z loczkami, starsze panie w białych

czepkach, Rose najlepiej zapamiętała właśnie jedną z nich. Nazywała się panna Proud.

— Czy ona jest dumna, mamó? Dlatego się tak nazywa?*¹ — szepnęła pewnego razu Rose.

— Ja bym była na jej miejscu. Podróżowała po całym świecie i pisze książki — odparła matka, a Rose popatrzyła na panią w białym nakryciu głowy ze wzmożonym zainteresowaniem.

Panna Proud pochłaniała książki z ogromnym zapalem, zdawało się wręcz, że je dosłownie pożera. Często wyprowadzano ją z przeprosinami z biblioteki na Hanover Square, kiedy nadchodziła pora zamknięcia, a panna Proud nie zdradzała zamiaru opuszczenia przybytku. Zawsze była ostatnią klientką. Kiedyś, pewnego lata, została nawet zamknięta w środku na noc. Bibliotekarz się spieszył i zapomniał zajrzeć do działu z mapami. Panna Proud z przyjemnością wspominała to zdarzenie, mówiąc, że to prawdziwa przyjemność spędzić całą noc z tyloma książkami. Jej wiedza była imponująca, przeogromna. Młodzi pisarze i poeci często przychodzili, by z nią porozmawiać. Zapominali wtedy o bożym świecie. Jeden z jej braci przyjaźnił się z młodym Williamem Wordsworthem, którego jej przedstawił. Potem pan Wordsworth poznał ją z panem Coleridge'em i panem Southeyem. Wspólnie dyskutowali na temat poezji, rewolucji i rządu czasem do późnej nocy. Kiedy orientowali się, która godzina, młodzi ludzie wychodzili, wciąż żywo między sobą rozprawiając.

W salonie na Brook Street rozmawiano o wszystkim, o całym fascynującym świecie i jego odkrywaniu: książkach, prawach człowieka, nowej nauce o elektryczności, teatrze, antypodach, edukacji kobiet, Bogu, monarchii, Ewangelii, teleskopach, mikroskopach, podróżach balonem, polityce, astronomii, filozofii, muzyce, świadomości. Rose słyszała te słowa, nim

¹ * ang. *proud* — dumny (przyp. tłum.)

skończyła dziesięć lat, choć nie wszystkie rozumiała. Niekiedy rozmowa schodziła na temat nowości wydawniczych i zalewu frywolnej literatury popularnej. Czy ludzie zapomną o wartościowych książkach i zadowolą się tanią rozrywką? Czy uniwersytety dla kobiet to nazbyt ekstrawagancki pomysł? Oczy mamy błyszczały, kiedy kładła Rose spać.

— Córeczko, masz szczęście dorastać w wyjątkowo interesujących czasach.

Dziewczynka zasypiała bezpiecznie, czując zapach perfum matki w pokoju, przez szpary w drzwiach przenikało słabe światło gazowej lampki z korytarza, z dołu dobiegał szmer głosów.

Fanny i Rose przeżyły ogromny cios na wieść o wybuchu Rewolucji Francuskiej. Oznaczała ona brak nadziei na wyjazd, ale admirał wytłumaczył im, jak ważne jest, by wszyscy ludzie byli wolni.

— Dla nas to oznacza, że na razie nie popłyniemy do Francji, jednak tak naprawdę dobrze się dzieje. Rewolucja ma przynieść ludziom wolność, równość i braterstwo.

Rose podzieliła się wiedzą z Margaret, Elizabeth, Anielem i Montague'em, powtarzając z lubością słowa: „wolność”, „równość” i „braterstwo”.

Jednak wkrótce młode dziewczęta potrafiące czytać, jak Fanny i Rose, nie mogły nie zwrócić uwagi na doniesienia prasowe mające niewiele wspólnego z wolnością i równością, za to mnóstwo z krwią, przemocą i śmiercią zbierającą żniwo w ich ukochanej Francji. Wiele się mówiło o szalonym Francuzie, który nazywał się Napoleon Bonaparte, i jego wojennych zapędach. Brat Fanny, Richard, wstąpił do wspaniałej królewskiej armii i dostał czerwony mundur. Pokojówka Mattie zamieszkała na Brook Street, ponieważ jej męża wysłano na front. Admirał wyruszył w morze. Rose i jej matka płakały przy rozstaniu. Płakały też, kiedy wrócił, ale najwięcej łez radości wylały na wieść, że jego umiejętności i wiedza najbardziej przydadzą się ojczyźnie na miejscu, w Londynie. Salon znów wypełnił się gośćmi

i gwarem rozmów. Rose była świadkiem wielu gorących dyskusji na temat krwawej rewolucji i jej przewidywanych skutków. Czy republikanie stali się zdrajcami, teraz, kiedy Francja wypowiedziała Anglii wojnę? Czasem podniesione głosy rozbrzmiewały do późnych godzin nocnych.

Kartki dziennika zaczęły wirować i zasnuwać się mgłą przed oczyma Rose. Zaprowadzono ją do okulisty, który stwierdził, iż za dużo czyta. Przepisał jej okulary, ale zastrzegł, że może je nosić tylko godzinę dziennie bez szkody dla oczu.

— Godzina czytania na dzień — powtórzył surowo.

Dziewczynka wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczami,

ale wzrok miała nieobecny. Pod koniec pierwszego tygodnia noszenia okularów podpaliła koc, usiłując pisać w łóżku przy świetle świecy, oraz jedwabny obrus, czytając po kryjomu „Robinsona Crusoe” pod wielkim stołem w jadalni.

Korneliusz Brown, mąż Mattie, podobnie jak wielu innych nie wrócił ze swoją załogą do Anglii. Nie zginął. Po prostu wybrał się na zwiedzanie świata.

— Jak on mógł zrobić to swojej mamie — powiedziała Mattie z naganą w głosie.

— To postawa niegodna żołnierza — oświadczył z wielką surowością admirał. — Zdradził swego króla i ojczyznę, Mattie. W jego aktach widnieje słowo: dezertor. Przykro mi, moja droga, ale za dezercję grozi stryczek.

Rosetcie zabrakło tchu z przerażenia. Popatrzyła na biedną Mattie.

— Cóż — odrzekła tamta. — Z pewnością bardzo mi przykro. — Prawie się uśmiechała, było jasne, iż nie wierzy, by ktokolwiek schwytał Korneliusza Browna. — Mnie przecież też opuścił. Powiedziałam mu, że nie urodzę trzynaściorga dzieci, jak jego matka. Dziękuję bardzo! Życzę

mii, żeby znalazł sobie odpowiednią dziewczynę w dalekim świecie, która spełni swój obowiązek. — Zabrała się do sprząwania ze stołu. Po chwili oświadczyła: — Dopadnę go jeszcze za to, wspomnicie moje słowa! — Nie wydawała się jednak bardzo poruszona, raczej pogrążona w zadumie. Nuciała pod nosem.

Żona admirała, ukochana mama Rose, którą dziewczynka porównywała do gwiazdy, zaczęła nagle gwałtownie tracić na wadze. Z początku nadal wszystko ją interesowało, wciąż wyczekiwała wieczornych dyskusji. Mattie karmiła ją najlepiej, jak umiała. Po jakimś czasie zaczęły się bóle. Wszyscy zrozumieli, że coś ją zjada od środka, że umiera. W ciągu roku piękna kobieta upodobniła się do wygłodzonego ptaka, twarz wykrzywiał jej grymas bólu. Nie mogli pomóc, nie potrafili ulżyć jej cierpieniu, nie mogli go znieść. Wreszcie, za radą i z pomocą mądrego lekarza, podali jej opium. Próbowali jej nie zatrzymywać, ale to było silniejsze od nich.

— Mamusiu — płakała Rose. — Nie możesz nas zostawić.

Rose miała piętnaście lat. Pewnej letniej nocy na Brook Street, kiedy słowiki za oknem rzucały cienie na tle granatowego nieba, wracając do swoich gniazd na drzewach przy Hanover Square, ból, cierpienie i strach zostały litościwie zakończone, a piękna kobieta opuściła jednak swoich bliskich, na zawsze.

Admirał płakał.

— Ale mam przecież ciebie — powiedział wreszcie do Rose, widząc, jak przeżywa jego rozpacz. — Twoja mama straciła tak wiele dzieci. Dlatego zawsze byłaś bezcenna.

Na pogrzebie zapłakane dziewczynki, Rose i Fanny, trzymały się kurczowo za ręce. Do tamtej pory nigdy nie przeszło im przez myśl, że ukochane osoby nie będą żyły wiecznie.

Po raz pierwszy w życiu Rose doświadczyła żałoby, smutku i straty. Narysowała ostatnią gwiazdkę, piękną i błyszczącą, którą włożyła mamie do

trumny. Wsłuchiwała się w ciszę pustego domu, obiecując sobie w duchu, że urodzi mnóstwo dzieci, by nigdy, przenigdy nie mieszkać już w pustym domu.

A potem poznała kapitana Harry'ego Fallona, wicehrabiego Gawkrogera, na balu nieopodal Vow Hill, natomiast Fanny spotkała wielebnego Horacego Harbottoma w bibliotece przy Hanover Square.

TLR

2

Kuzynki nigdy wcześniej nie rozstawały się na długo, boleśnie odczuwały rozłąkę, która wiązała się z wkroczeniem na nową, wspaniałą i wypełnioną szczęściem drogę życia małżeńskiego.

Plebania w Wentwater, maj 1796

Najdroższa Rose,

jest szósta rano, piszę do Ciebie, nim wstanie Horacy! Kiedy przeglądam pocztę, zawsze szukam listu od Ciebie, zawsze na niego czekam najbardziej. Tęsknię za Tobą straszliwie, bardziej, niż potrafię wyrazić, spędziłyśmy przecież razem całe dzieciństwo. Przepraszam, że moje listy są takie krótkie! Jako pani Harbottom mam mnóstwo obowiązków! Kochany Horacy ma wiele spraw do omówienia z innymi duchownymi, spędzają godziny w jego gabinecie, podczas gdy ja zajmuję się tysiącem drobiazgów (jak się wydaje), przy których ludzie potrzebują pomocy. Uwielbiam to robić i czerpię przyjemność z udziału w ich życiu, ich historiach. Wśród biednych ludzi jest dużo cierpienia, nie zdawałyśmy sobie z tego zbyt dobrze sprawy, Rose. Uczę się.

Czy słyszałaś, że Kompania Wschodnioindyjska ma zamiar wysłać moją rodzinę do Indii już za kilka miesięcy? Do Indii! Cóż za niewiarygodna przygoda! Papa ma nadzorować selekcję tkanin bawełnianych. Mama niemal wychodzi z siebie, organizując podróż czterech młodych dziewcząt (Richard oczywiście zostaje w wojsku) oraz swoją i ojca. Och Rose, cała moja rodzina nagle rozpierzcha się po świecie. Cóż, przed nami całe życie... Któż to wie, może Horacy również zostanie wysłany przez Kościół gdzieś za morze!

Trudno mi bez mojej ukochanej rodziny, choć prawdę mówiąc, małżeńskie życie nie zostawia mi zbyt wiele czasu namyślenie. Cudownie mieć własny dom wypełniony zapachem kapryfolum. Plebania to wspaniałe miejsce do spacerowania, są tu ogromne przestrzenie i wielkie pokoje (dla naszych dzieci! Ach, najdroższa Rose, mam niejasne podejrzenia, iż już jestem przy nadziei. Nie chcę nic mówić, póki nie będę pewna. Ale mamy nie będzie...).

Uważam, że zostałam stworzona na żonę pastora! Wiesz przecież, jak bardzo zawsze lubiłam kościoły, z ich spokojem i echem, świadomością obecności Boga. Nigdy dotąd nie bywałam w kościele równie często. Horacy bardzo lubi chodzić tam wieczorami i przy świetle świec wygłaszać swoje kazania tylko dla mnie. Nauczyłam się ciepło ubierać, wieczorem w kościele można przemarznąć do szpiku kości! Horacy ma w Wentwater konkurentów w głoszeniu słowa bożego. Są to dziwni, bardzo poważni ludzie — możliwe, że metodyści, ewangelicy, a wczoraj byli nawet kwakrowie. Zaczęli przyjeżdżać do miasteczka w dni targowe i wygłaszać kazania na rynku. Rose, wśród nich jest kobieta! Nigdy nie sądziłam, że kobieta może być kaznodzieją. Mówi bardzo prosto, a ludzie słuchają jej w zdumieniu. Każde z nich nosi ze sobą taboret, na którym staje, nawet w deszczu, by mówić o Bogu. Szczególny to widok, zaiste. Horacy nazywa tych naszych (nieproszonych!) gości szarlatanami i odszcze— pieńcami. Twierdzi, że przynoszą hańbę Kościołowi i są zdrajcami. Grzmi o tym z ambony w niedziele. Muszę stwierdzić, choć to wielce niereligijnie z mej strony, iż jego wspaniały głos został wprost stworzony, by grzmieć, a subtelny zapach lawendy (Horacy spryskuje się nim codziennie!) zmieszał się już na stałe z zapachem starych drewnianych ławek, modlitewników, świec i z moim życiem...

Kochana kuzyneczko, tęsknię za Tobą. Brakuje mi naszych rozmów. Życie mężatki bywa dziwne, prawda? (Nie mam tu na myśli tych dziwnych spraw, o których wiedziałyśmy dość dobrze!). Pamiętasz, jak znalazłyśmy zakazaną książkę „Aristotle 's Master— Piece ” (nie dla młodych panienek) i schowałyśmy ją w popłochu, słysząc, że ktoś nadchodzi?! Wyznam Ci szczerze, iż teraz miewam wątpliwości, czy nauczyłam się wszystkiego, co

powinnam i jak powinnam... Rose, a co teraz czytasz? Ja sama umieram z głodu czytania. Jestem zdumiona, że mój mąż, którego bądź co bądź poznałam w bibliotece, wydaje się przeciwny temu, by kobiety oddawały się lekturze. Wypowiada się często i kwieście na temat szkody, jaką powieści mogą przynieść instytucji małżeństwa! Oczywiście nie jest wrogiem książek w ogóle, to byłoby nie do pomyślenia. Twierdzi jednak, że powinny być czytane na głos, wspólnie. Wczytaniu w pojedynkę, szczególnie powieści, widzi coś niemoralnego! Zamierzam zdobyć jakiś nowy romans i przeczytać mu na głos, skoro taka jego wola. Jego ukochana piękna twarz i oczy patrzące z miłością dają mi dużo szczęścia. Wiem, że wiele się jeszcze od niego nauczę.

Tylko że... Och, Rose, Ty najlepiej spośród wszystkich ludzi wiesz, jak często od najwcześniejszego dzieciństwa rozmawiałam z Bogiem, wierząc, że nade mną czuwa, nad nami. Jednak Horacy uważa, że moja wizja Boga jest niedojrzała i tak naprawdę nic o Nim nie wiem. Tak wielu rzeczy jeszcze nie wiem... Prawdopodobnie Horacy ma rację, niemniej to dziwne uczucie — świadomość, że nic jeszcze nie rozumiałam. Z pewnością wiele nauczę się od Horacego, który tyle wie i rozumie. Powtarzam sobie, że on jest moją edukacją, moim nauczycielem.

Napisz do mnie prędko, najdroższa Rose, i obiecaj nigdy nie zarzucić pisania listów i swojego dziennika. Chyba nie zrobisz tego teraz, kiedy wyszłaś za mąż? Mam Cię zawsze przed oczami siedzącą przy starym sekretarzyku Twojej mamy. Taką bez reszty skoncentrowaną na pisaniu, jakby reszta świata przestawała istnieć. Bardzo mi Ciebie brak.

Kiedy mam czas, przechadzam się po wrzosowisku za miasteczkiem. Czasem w cieplejsze dni kładę się na trawie między drzewami, patrzę w niebo, na przepływające chmury i mówię: „Dobry Boże, wiem, że tam jesteś. Czekam na Twoje słowa, jeśli to prawda, iż nie słyszałam nigdy Twego głosu, tylko mi się tak wydawało”. Chmury zdają się układać i formować napis: „Słyszemy cię”. Sądziś, że to głupota i dziecinada? Tak, z pewnością!

Niech Cię Bóg błogosławi, najdroższa Rose,

Fanny

Wimpole - street, Londyn, maj 1796

Kochana, najukochańsza Fanny,

jesteś najmądrzejszą osobą, jaką znam, i wcale nie dziecinną, moją najdroższą kuzynką, za którą tęsknię preraźliwie. Twoi rodzice byli niedawno z wizytą, razem z dziewczynkami. Ach, podróżować na drugi koniec świata! Indie! Kto wie, co tam zobaczą! Twoje siostry wierzą, iż czeka tam na nie z niecierpliwością wielu młodych, przystojnych i majątnych angielskich dżentelmenów! Opowiadają również o małpach, węzach, słoniach, balach wojskowych i dosłownie drżą z emocji! W pewnej chwili wszystkim nam zrobiło się smutno, płakaliśmy. Powiedzieli, że niedługo muszą się z Tobą spotkać i pożegnać. Och Fanny! Kiedy ich znów zobaczymy?

Płyną do Indii, a my jesteśmy zamężnymi kobietami, mamy własne domy i obowiązki! Czy też czasem masz ochotę się uszczyplnąć na myśl, że nie jesteś już dłużej „dziewczyną”? Tęsknię za mamą. Czy naprawdę nie jestem już Rose Hall? Zostałam Rose Fallon, wicehrabiną Gawkroger, żoną i gospodynią! Och Fanny, Harry mnie kocha i jestem z nim szczęśliwa. Wiadziemy niezwykle życie, kiedy jest na lądzie. Chodzimy spać bardzo późno, piąta nad ranem to dla nas nic nadzwyczajnego, późno wstajemy. Zwróć uwagę na nowy adres, Fan. Przeprowadziliśmy się do własnego wielkiego domu na Wimpole- street. Co prawda nic tu się nie dzieje, choć to modna okolica, donikąd nie prowadzi, za nią są już tylko pola.

Nie narzekam jednak, ponieważ wreszcie uciekłam od teściowej! Z tego zimnego domiszczą na Great Smith— street dumnie zwanego Gawkroger Hall. Przebywanie w towarzystwie wdowy Gawkroger to nie lada próba cierpliwości, jak miałaś okazję nieraz sama się przekonać. „Życzliwi” czę-

sto mi powtarzają, iż jestem szczęściarą, bo udało mi się „upolować” potomka tak znamienitej rodziny, lecz zaiste płacę za to swoją cenę! Nawet drogi Horacy, który wielce szanuje tytuły szlacheckie, wyglądał na przerażonego, kiedy na moim weselu wicehrabina zalała go potokiem słów. Biedaczek nie zdołał uciec. Zaintrygowało mnie, w jaki sposób ona to robi, że potrafi tyle powiedzieć, nie nabierając tchu. Rozpoczęłam więc poważną obserwację i zauważyłam, że mówi zarówno na wdechu jak i na wydechu! Nie ma najmniejszych szans, by jej przerwać.

Gości przyjmujemy w błękitnym salonie obwieszonym portretami przodków rodziny Fallon. W świetle świec spoglądają na mnie stare twarze, niektóre srogie, inne łagodne. Oczywiście na początku założyłam, że to dawna szlachta, dopóki pokojówka nie wyprowadziła mnie z błędu. A z jaką pogardą wypowiedziała słowo „biznesmeni”! Wszyscy szlachcice z portretów pochodzą z rodziny wdowy. To ona wprowadziła w żyły Fallonów domieszkę arystokratycznej krwi! Mój ulubiony obraz przedstawia całą obecną rodzinę Fallonów sprzed kilkunastu lat. Świętej pamięci wicehrabiego Gawkrogera w długiej peruce, Harry'ego jako małego urwisa i jego młodszego brata, George'a, z przebiegłą miną. Cała rodzina stoi w nienaturalnych pozach wokół wicehrabiny, która siedzi przy klawesynie z rękoma na klawiszach. Ma na głowie wysoką perukę z piórami, wygląda młodo i apodyktycznie, z tym swoim długim wąskim nosem i przeszywającymi błękitnymi oczami. Jest na pierwszym planie. Nigdy nie widziałam, by ktokolwiek z rodziny grał na jakimkolwiek instrumencie czy wykazywał zainteresowanie muzyką, sądzę więc, że scenka na malowidle jest raczej wyrazem aspiracji społecznych niż miłości do sztuki! Najwyraźniej, droga Fanny, należymy do tak zwanej nowej arystokracji. Tak jakby mnie to obchodziło! Mam swojego ukochanego i tylko na nim mi zależy. On sam zaś jest tak zaabsorbowany używaniem życia, że z pewnością nie interesują go podobne głupstwa! Wdowa i George natomiast marzą o zaszczytach, nie chcą być „nowi”, pragną należeć do le beau monde, do śmietanki towarzyskiej. Chcą obracać się w gronie elity, ważnych starszszlacheckich rodów, książąt i markizów, którzy otaczają króla i premiera, a także jak sądzę księcia Walii (choć on mie-

wa podobno dziwnych znajomych). Oczywiście to zupełnie nierealne marzenia, istnieją bardzo wyraźne zasady, od których nie ma wyjątków. Po prostu trzeba się urodzić jednym z nich. Niemniej wdowa i George zdają się nie spać po nocach z powodu swoich wygórowanych aspiracji. Wszystko podporządkowują jednemu celowi, pieniądze nie grają roli. Rodzina Fallonów jest bardzo bogata, dopiero zaczęłam zdawać sobie sprawę jak bardzo. Tak więc duża część naszego życia upływa na poznawaniu „właściwych ludzi”. Wiecznie odwiedzamy jakieś ważne rodziny w Londynie, chodzimy do teatru, do Ranelagh Gardens, Vauxhall... Rozrywki, fajerwerki, szampan, kolacje — pamiętasz? My też tam chadzałyśmy, choć nasza rodzina nie jest tak rozrzutna! A przypominasz sobie Śpiewające Akrobatki? Wciąż występują! Odwiedzamy też eleganckie rezydencje na wsi, nawet pałace! Popijamy szampana i tańczymy. Raz namówili mnie nawet na polowanie. To było straszne, nigdy więcej! Zastrzelili sarnę, miała młode. George zabił je gołymi rękoma, złamał malutki karczek i rzucił martwe ciało między drzewa, a potem pojechaliśmy dalej. Śmiał mi się w twarz, mówiąc, że to morderstwo z litości.

Nikt tutaj nie czyta książek ani nie opowiada o tym, co przeczytał, ani co myśli, tak jak myśmy zwykły to robi. Harry nigdy nic nie czyta! Twierdzi, że nie ma czasu ani cierpliwości. Wszystkie książki przechowuję w swoim pokoju. Chciałam się z nim dzielić tyłoma rzeczami, a jedyną książką, o której on chce rozmawiać jest „Aristotle's Master— Piece”. Śmiał się, kiedy mu opowiedziałam, jak chowałyśmy ją ukradkiem za zasłoną w bibliotece. Mówi, że żadna szanująca się niewiasta nie ma pojęcia o takich bezceństwach. Często o tym wspomina i zdaje się, iż dzieło nie jest mu obce! Czy sądzisz, że Horacy też je przeczytał?! Podczas pewnego wieczorku towarzyskiego byłam rozpaczliwie znudzona, więc poszłam czytać książkę do innego pokoju. Niestety podążył za mną jakiś ohydny, gruby mężczyzna. Podszedł bardzo blisko i dyszał, aż musiałam powiedzieć: „Proszę zaniechać, panie”, niczym bohaterka powieści!

Oczywiście my również przyjmujemy gości. Błękitny salon wypełnia się ludźmi z londyńskich wyższych sfer. Jakież suknie, klejnoty, koafiury! Per-

fumy i pomady! Goście przychodzą wystrojeni, eleganccy, wyrafinowani, ręce wyciągają się chciwie po kieliszki. Czasem organizujemy nawet jakiś mały koncert. Serwujemy wysmienite potrawy. Panowie przegrywają i wygrywają ogromne sumy przy karcianym stoliku, panie wachlują się i wymieniają ploteczki. I wiesz co, Fan... ? Czasem jakaś dama lub dżentelmen nagle opuszcza towarzystwo. Chwilę później następna osoba... Po jakimś czasie pojawiają się oboje, ale jakby z nieco bardziej zmierzwionymi fryzurami. Tylko odrobinę, więc zastanawiam się, czy nie wyobrażam sobie tego. Oczywiście nie mogę śledzić swoich gości, by rozwiązać zagadkę! Harry się śmieje, ja uśmiecham się, jak przystało dobrej gospodyni, moja teściowa króluje na środku salonu, a George (organizator wszystkich spotkań) ocenia sukces wieczoru na podstawie pozycji społecznej gości, a nie tego, jak się bawili. To właśnie wyższe sfery! Często obserwuję ponurych młodzieńców, którzy siadają grupkami w ciemnych kątach, konsumują olbrzymie ilości szampana, krytykując towarzystwo, gospodarzy i suknie dam. George robi się wtedy czerwony z wściekłości. Nie mam pojęcia czemu, skoro robi to samo na przyjęciach innych ludzi! Och Fanny, wyobraź sobie papę na takim wieczorku... Jego niezadowolenie z powodu mojego małżeństwa bardzo mnie martwi. Miał rację, że w tych kręgach liczą się głównie piękne stroje, a ludzie mają siano w głowach. Wielu naszych znajomych wydaje się uczulonych na jakikolwiek wysiłek umysłowy. Zepsuci, ostrzegał papa, i obłudni. Wydaje mi się, że miał dużo racji, aczkolwiek nie dotyczy to mojego ukochanego Harry 'ego.

Szkoda, że papa tego nie widzi. Harty jest rozrzutny, ale to dobry człowiek.

Dziś po wyjściu Twoich rodziców i sióstr siedziałam sama w błękitnym salonie zasłuchana w ciszę przerywaną tykaniem zegarów. Pomyślałam o pustych pokojach i wyobraziłam je sobie wypełnione dziecięcym śmiechem. Z pewnością już niedługo, a Tobie, droga Fanny, już się udało! Zegary tykały, ja czekałam na swoje życie... Widzisz? Jestem równie dziecinna jak Ty! Dostaliśmy siedem zegarów w prezencie ślubnym! W tym stary zegar z Genui, który od zawsze uwielbiam. Jako dziecko upierałam się, że wybija

godziny po włosku, pamiętasz? Zegarmistrz wszystkie je obejrzał i nastawił na tę samą godzinę. Wiszą w korytarzu i w błękitnym salonie. Wybijają godziny razem, ale trochę nierówno. Podoba mi się ta dysharmonia, podoba mi się myśl, że czas nie jest dokładnie tym, czym nam się wydaje, że jest. Stary zegar z Genui chodzi najlepiej. Mattie nakręca je wszystkie skrupulatnie codziennie. Mattie oczywiście przeprowadziła się wraz ze mną jako osobista pokojówka. Uważa nasz styl życia za niedorzeczny. Często słyszę, jak mruczy pod nosem inwektywy! Dasz wiarę, że wciąż jest równie zdeterminowana, by znaleźć tego swojego męża żeglarza, Korneliusza Browna? Odgraża się, że zaciągnie się na jakiś okręt w przebraniu mężczyzny i wyruszy na poszukiwania. Wcale nie chce go odzyskać (przynajmniej tak twierdzi), tylko podbić mu oko za złe zachowanie! Minęły lata od jego dezercji, a ona wciąż powtarza to samo ze śmiertelną powagą. Odkłada pieniądze na podróż i wcale się nie zdziwię, jeśli pewnego dnia spełni swoje groźby! Wymusiłam na niej obietnicę, że zostanie ze mną, przynajmniej póki nie urodzę pierwszego dziecka. „ Obiecaj mi, Mattie! ”, powiedziałam. „ Obiecuję, panno Rose. Nie wyjadę, aż będzie pani miała pierwsze dziecko ”.

Harry się niecierpliwi. Mówi, że prawie wszyscy już wy płynęli w morze. Na Malte, do Włoch, Grecji, nawet Egiptu. Jakżebym chciała popłynąć z nim do Egiptu i zobaczyć wszystko, o czym opowiadał papa! Napoleon Bonaparte sprawia wrażenie, jakby był wszędzie i nigdzie. Harry marzy o zostaniu bohaterem i zazdrości tym, którzy już dostali szansę. Musi poczekać na wolny statek, podobno w brytyjskiej marynarce wojennej jest zbyt wielu kapitanów, a za mało okrętów. Cóż, gdyby brytyjska marynarka wojenna zatrzymała swoich kapitanów w mieście, byłabym najszczęśliwszą osobą na tym pięknym świecie. Znasz bajkę o królownie Rosetcie, która żyła długo i szczęśliwie, odkąd znalazła swojego króla Pawi. Harry w żółtej kamizelce i różowej marynarce wygląda prawie jak król Pawi!

W zeszłym tygodniu poznałam księcia Walii. Mój szwagier prowadzi z nim jakieś interesy. Zostałam mu przedstawiona w Carlton House, cóż to za niezwykle i ekskluzywny przybytek, przyjęto mnie w komnacie udekorowanej złotem i purpurą! Czulałam się nieswojo, kiedy zaczął mi prawić wylewne

komplementy, najwyraźniej wypił sporo wina. Miał na głowie przerażającą perukę i cekiny przyszyte do bryczesów. Omal nie spytałam, czy przynajmniej czyta książki. Oczywiście, na pewno. Przez pięć minut opowiadał bardzo ciekawie, choć nieco bełkotliwie o sztuce, po czym moja „audycja” dobiegła końca. Spotkałam tam księżną Brayfield! Na pewno wiesz, o kogo mi chodzi — często piszą o niej w gazetach, podobno ma wpływy w rządzie, nawet papa opowiadał o jej legendarnych przyjęciach dla polityków. Jest szalenie piękna i czarująca, rozmawiałyśmy — o, radości! — na temat powieści pana Smolletta. George uklonił się prawie do samej ziemi przed taką osobistością! Nie ma szans, by ktoś taki kiedykolwiek pojawił się na którymś z jego wieczorków. Powinnam brać z niej przykład, może kiedyś zostanę interesującą gospodynią. Tymczasem, dzięki koneksjom kuzynki teściowej, księżnej Seaforth, zostanę wkrótce przedstawiona na dworze, będę musiała włożyć krynolinę, gorset i pióra, jak za dawnych czasów!

Siedzę w swojej różowej sypialni, przy starym sekretarzyku mamy i wyczekuję odgłosu nadjeżdżającego powozu, który przywiezie Harry'ego. Mojego męża. Piszę to słowo niemal codziennie w swoim dzienniku, to taka rozkosz móc je pisać. Pewnie jest w jakimś klubie i gra w karty. Harry uwielbia hazard. Nie ogranicza się do kart i kości, obstawia również wyścigi konne, prędkość powozów przejeżdżających Bond Street, trajektorie lotu balonów, nawet (jak mi się zwierzył) czy można się kochać w takim balonie! Myślę, że się po prostu droczył, chcąc sprawdzić, czy mnie tym zaszokuje. Wszystkie te rozrywki dzieli ze swoim bratem, który nieustannie nas odwiedza. George chyba nie może żyć bez starszego brata. Twarz mu się rozjaśnia na jego widok, spełnia każdą prośbę Harry'ego. Psuje go i ma nad nim władzę. Staram się polubić George'a mimo jakiegoś wewnętrznego oporu. Być może chodzi o wspomnienie tamtej martwej sarenki. Jest do Harry'ego bardzo podobny, a jednocześnie całkiem inny. Na przykład nie do twarzy mu w tych samych kolorach co Harry'emu. Żółty płaszcz, który na moim mężu prezentuje się wspaniale, gdy włoży go George, wygląda niczym kostium teatralny, zbyt krzykliwie. Niemniej jest w George'u coś, co podziwiam. Może jego energia? Przy nim „prawdziwa” arystokracja wyglą-

da jak banda ospałych obiboków. Nie usiedzi ani chwili w miejscu. Wiecznie zajmują go jakieś sprawy rodzinne, mówiłam już, że przychodzi na każde zawołanie Harry'ego, zawsze jest w pobliżu, nawet kiedy się tego zupełnie nie spodziewasz. Wyznam Ci w sekrecie: przypomina mi węża przyczajonego do ataku! Oczywiście ze względu na Harry'ego nie pozwalam sobie na podobne myśli. George jest zawsze nienagannie uprzejmy. Wobec tego i ja staram się być miła, bo zaiste pragnę zostać fascynującym nabytkiem dla tej szacownej rodziny. Sama czuję się w gruncie rzeczy dość szacownie, kiedy tak siedzę w swojej jedwabnej koszuli, tej, którą najbardziej lubi Harry. Och, ale mam palce umazane atramentem, pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, kochana Fanny! Bezpieczna przy biurku mamy ze swoim dziennikiem, kałamarzami i okularami. Harry nalega, bym nie zakładała ich w jego obecności!

Tak bardzo chciałabym móc Ci napisać, że również spodziewam się dziecka.

Kiedy przyjedziesz do Londynu pożegnać się z rodziną? Napisz prędko. Kochana Fanny, bardzo za Tobą tęsknię. Musimy wierzyć, że nasz świat po prostu się powiększył. Nauczymy się mnóstwa nowych rzeczy na naszych różnych drogach i podzielimy się nimi jak zwykle. Jestem przekonana, że Bóg przekaze Ci bardzo wiele wiadomości, ponieważ zawsze był Twoim najdroższym przyjacielem. Och Fanny, życzę Ci, abyś była równie szczęśliwa z Horacym, jak ja jestem z Harrym.

Rose

Plebania w Wentworth maj 1796

Droga kuzynko Rose,

Fanny i ja modlimy się codziennie, aby Bóg dopomógł Ci w odrzuceniu frywołności Twego obecnego życia i wkroczeniu na ścieżkę cnoty. Uznałem, iż Fanny nie wypada odwiedzać Cię w Londynie ani Ty nie jesteś mile wi-

dziana na plebanii, skoro Twój styl życia tak bardzo różni się od naszego. Bardzo proszę, byś pisała do niej z zachowaniem odpowiednich zasad, jak przystało pisać do żony pastora.

Niech Bóg wskaże Ci drogę.

Twój kuzyn, wilebny Horacy Harbottom

Pod spodem dopisano chwiejnym charakterem pisma: „przeczytał Twój list”.

TLR

3

Przez wszystkich prócz ojca panny młodej i matki pana młodego Harry i Rose byli uważani za idealną parę. Admirał Hall nie szanował Fallonów, gdyż uważał ich za „wierne pieski arystokracji, w dodatku bardziej zdemoralizowane niż «prawdziwe» wyższe sfery”. Natomiast wdowa była do głębi rozczarowana wyborem syna, ponieważ miała szczerą nadzieję, że poślubi on pannę spokrewnioną z rodziną królewską i tym samym podniesie status społeczny Fallonów. Atrakcyjni i bogaci, potrafiący się dobrze bawić nowożeńcy byli rozchwytywani towarzysko.

Harry podprowadził opierającą się Rose do wielkiego lustra.

— Spójrz, Rosetta mia. Popatrz, jacy jesteśmy piękni.

Odwróciła skromnie wzrok od odbicia ich nagich ciał. Zmusił ją, żeby popatrzyła, i musiała się zgodzić. Zachowała na zawsze w pamięci taki obraz ich dwojga. Ciemnowłosi, z oczyma błyszczącymi szampanem, ona z zarumienioną twarzą, przytrzymywana przez Harry'ego.

*

Podniebny Klub — tak się nazwali, dość niewinnie. Gdy ktoś pytał, mówili o zainteresowaniu astronomią. Kilku panów wiedziało o niej co nieco. Nikt nie kwestionował ich wyjaśnień, choć w rzeczywistości nie latano nocą, jedynie w dzień, balon musiał bowiem lądować przed zapadnięciem zmroku. Zaklinali się, że w pogodne dni czasem widać gwiazdy odbijające się w słońcu.

Członkowie Podniebnego Klubu kolekcjonowali złote gwiazdki, które przyczepiali do kołnierzy specjalnych klubowych płaszczy. Jedna za każdy sukces. Klub należał do ekskluzywnych, jego członkami zostawali jedynie ci, którym udało się osiągnąć cel. Dlatego potrzebni byli świadkowie, któ-

rym oczywiście elementarna przyzwoitość nakazywała przynajmniej udawać, że podziwiają krajobrazy. Zdarzało się niekiedy młodym niewiastom protestować rozpaczliwie. Wtedy do zadań świadka należało uprzejmie przekonanie dziewczyny, że skoro już jest w górze, powinna przynajmniej spróbować się tym cieszyć. Kiedyś w balonie kapitana Ocean wybuchł pożar i młoda kobieta została mocno poparzona, nie widywano jej już potem w towarzystwie. Dżentelmeni złożyli się, by wysłać jej rekompensatę pieniężną.

Kapitan Ocean wynajmował swój balon i usługi za sto gwinei za godzinę. Więcej, niż dorożkarz zarabiał w ciągu roku. Jedynie finansowa elita mogła sobie pozwolić na członkostwo w Podniebnym Klubie. Niektórzy dżentelmeni zakładali się, iż godzina to więcej, niż potrzebują. Oczywiście pogoda musiała być sprzyjająca. Na to również przyjmowano zakłady. Liczne młode panny padały ofiarą przebiegłych podrywaczy tuż pod nosami ambitnych mam. Zakładano się o sukces zalotów. Panowie, których stać było na wydanie stu gwinei za godzinę lotu, stanowili upragniony materiał na zięciów dla ambitnych mam. Niekiedy mamy przyprowadzały nawet swoje córki i machały im na pożegnanie chusteczkami, podczas gdy balon robił się coraz mniejszy i mniejszy, wznosząc się pod niebo.

Żonaci panowie musieli zachowywać nieco większą dyskrecję, jednak niektóre bardziej doświadczone i żądne przygód mężatki nie miały zahamowań, by same zostać członkiniami Podniebnego Klubu. Śmiały się głośno urzeczone niecodziennością doświadczenia, a potem opowiadały wszystko koleżankom, skrywając twarze za wachlarzami.

W cenę przelotu wliczony był koszt piknikowy zawierający ostrygi, trufle, szparagi i desery, na wypadek gdyby ktoś zgłodniał po wszystkim. Do koszy piknikowych dołączano dwa tuziny butelek szampana. Puste butelki i kieliszki po szampanie beztróska ciskano za siebie, na zewnątrz balonu. Pewnego razu na łące za Portland Place zginęła krowa trafiona pełną butelką szampana wyrzuconą przez pomyłkę z balonu kapitana Ocean.

Kapitan Harry Fallon szczyił się największą liczbą gwiazdek. Kiedy wypływał w morze, Podniebny Klub tracił najbardziej lojalnego członka.

*

Rose hołubiła swój sekret. Oczy jej błyszczały. Jechała na Drury Lane, sama w powozie, uśmiechała się do siebie bezwiednie. Gdyby ją wtedy widział któryś z członków Podniebnego Klubu, pomyślałby, że jedzie na spotkanie z kochankiem, i żałowałby, iż to nie on nim jest.

Wyglądała przez okno na skwery i ulice. Dopiero zaczynał zapadać zmrok, świeciły lampy oświetlające sklepy przy Strandzie, ludzie śmiali się i rozmawiali głośno, panie i panowie w kapeluszach i rękawiczkach, bose uliczne łobuziaki, biznesmeni ze swoimi walizeczkami. Powozy mijaly się o włos, dorożkarze krzyczeli na siebie, powietrze przesycala woń smażonej cebuli, kawy, ryb i ścieków, jej miasto.

Fanny urodziła już dwoje dzieci. Rose dwoje straciła. W tym magicznym czasie wiedziała już, że największe zagrożenie minęło. Razem z Mattie zrobiły wszystko, co mogły, by nie dopuścić do kolejnego poronienia. Nikt jeszcze nie wiedział. Zwłaszcza teściowa, dla której cały świat przestał mieć znaczenie. Pragnęła jedynie, by Rose jak najszybciej powiła spadkobiercę nazwiska i fortuny Fallonów. Aż do tego czasu zamierzała wszędzie towarzyszyć synowej, szczególnie kiedy Harry wypływał w morze. Pojawiała się nieproszona na przyjęciach i w teatrze. Wygłaszała swoje niekończące się monologi, zanudzając młodych przyjaciół Rose niemal na śmierć. Wdowa nie spuszczała paciorkowatych oczek z żony syna. O stratę dwojga pierwszych dzieci obwiniała zbyt lekkomyślny styl życia Rose.

— To nie były jeszcze dzieci — kategorycznie twierdziła Mattie. — Sama pani widziała. Krew. Wiele kobiet przez to przechodzi.

Tym razem Rose nie miała zamiaru dopuścić do poronienia. Była nawet na tyle pewna siebie, że napisała o tym w dzienniku. Znajdowała się niemal w stanie euforii. Zamierzała wypełnić puste pokoje na Wimpole Street dziecięcymi głosikami. Oczyma wyobraźni widziała już dzieci Rose i Harr-

y'ego biegające po wielkim domu. Wiedziała, że nie zdoła utrzymać dłużej w tajemnicy swego szczęścia. Dziś wieczorem w teatrze (udało jej się bowiem jakimś cudem wyrwać ze szponów teściowej) powie przyjaciółom, jutro odwiedzi kochanego papę, który z pewnością będzie szczęśliwy, na końcu poinformuje starszą panią. Po powrocie ze śródziemnomorskich wypraw pod wodzą lorda Nelsona Harry zostanie ojcem.

Ruszyła szybkim krokiem przez foyer. Tuż przed wejściem do loży, którą Harry opłacał przez cały rok, gdzie miała się spotkać z przyjaciółkami, zrobiło jej się niedobrze, usiadła na chwilę na krześle tuż za czerwoną kotarą. Bileter podał jej szklanekę wody.

— Dziękuję — powiedziała. — Już mi lepiej.

Odetchnęła głęboko. Zza kotary dobiegał frywolny śmiech.

Gdzieś ktoś stroił skrzypce.

— Harry? — Usłyszała znajomy, donośny, czysty głos.

— Ciiii!

— Ach, ty mała kusicielko! Myślałam, że uwodzi Lucindę!

— Harry, jak ci zapewne dobrze wiadomo z własnego doświadczenia, ma bardzo podzielną uwagę! — Znów śmiech. — Dostałam od niego liścik ze statku. Zapewnia o swym dozgonnym oddaniu i domaga się, bym go wspominała za każdym razem, kiedy będę w alei Kochanków w Vauxhall Gardens.

— Dołączyłaś do Podniebnego Klubu?

— Co to takiego?

Rozległy się szepty i wybuchy śmiechu.

— W balonie!

— Moja droga, jest coś podniecającego...

— ...choć przeszywającego chłodem?

— ...w dotyku wiatru na nagiej skórze wysoko na niebie! — Znowu chichot. — Tylko nie wyjawiaj nic Rose!

— Harry mówi, że dla Rose coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Rose kocha Harry'ego!

— Och, miłość! Nie powinno się kochać bawidamków, trzeba samemu używać życia! — Koleżanka zniżyła głos. — Harry Fallon potrafi w tym doskonale dopomóc! — Wybuch śmiechu.

— Ciiii! — Stłumiony chichot. Czerwona kurtyna. Przeszywający dźwięk rozstrojonych skrzypiec.

Rose przeżyła szok, który trudno opisać. Harry się nie mylił: coś takiego było dla niej nie do pomyślenia. Zostawiła wiadomość, iż źle się poczuła, i wyszła z teatru, wciąż mając w uszach śmiech przyjaciółek.

Siedziała w błękitnym salonie, próbując posklejać złamane serce. Harry? Przyjaciele? Ci weseli młodzi ludzie popijający z nią szampana, z którymi potrafiła śmiać się aż do łez, rywalizujący między sobą o to, kto zapłaci najwyższy rachunek? Wyśmiewali za plecami jej naiwność? Przecież Harry mnie kocha, przekonywała samą siebie. Gra w karty, proszone kolacje, wieczorki, czyżby nic nie rozumiała? Zaczęła chodzić w tę i z powrotem. Zastanawiała się, z kim porozmawiać. Nie mogła powiedzieć ojcu. Nie mogła napisać do Fanny. Wymieniały teraz tylko grzeczne, nic nieznaczące frazesy. Wiedziała, że pachnący lawendą Horacy Harbottom czyta każdy list, dopatrując się niestosowności.

Mierziły ją spojrzenia przodków Harry'ego z portretów, wyszła z domu w ciemność ulicy. Szła bez celu, aż dotarła na Brook Street, jakby chciała spotkać się z matką. Z sali koncertowej na Hanover Square dobiegały dźwięki muzyki. Bez zastanowienia weszła do środka. Ktoś grał na klawesynie. Pomyślała o mamie, o bawialni na Brook Street dawno temu, kiedy uczyła się pisać. Łzy popłynęły jej po policzkach.

Wyszła przed końcem koncertu. Na zewnątrz czekała Mattie.

— Co tu robisz? — spytała gniewnie Rose.

— Co pani tu robi? — odparła spokojnie Mattie. — Wcześniej wyszła pani z teatru!

Razem powoli wróciły na Wimpole Street.

Dziesięć dni później zaczęły się przeszywające bóle. Wezwano lekarzy. Błady i milczący admirał Hall siedział w błękitnym salonie na dole. Wicehrabina, wyproszona z różowej sypialni, przemierzała z wściekłością korytarz w tę i z powrotem. Mattie wciąż donosiła gorącą wodę. Tym razem nie była to krew, a maleńkie martwe dziecko z rączkami i nóżkami. Dziewczynka. Widząc drobne ciało, Rose doświadczyła największego cierpienia w swoim życiu. Prędko odwrócili jej głowę, owinęli nieżyjące maleństwo i zabrali je.

— Obawiam się — powiedział doktor, myjąc ręce — że nie ma pani zbyt dużych szans na ponowne zajście w ciążę.

Był na tyle miły, że przekazał tę wiadomość tylko Rose i Mattie. Wdowa nic nie wiedziała.

*

Harry został jednak bohaterem.

Horatio Nelson pokonał Francuzów w zwycięskiej bitwie u brzegów Nilu. Kapitan Harry Fallon wrócił do domu w chwale. Opowiadał o morzu w płomieniach, Aleksandrii, płonącej nocą flocie francuskiej, tysiącach zabitych przeciwników. Został uhonorowany odznaczeniami. Namalowano nowy portret z orderami, który zawisł w błękitnym salonie. Panie dotykały z czcią jego medali.

— Czy Egipt jest piękny? — pytała Rose. — Mój ojciec go pokochał.

— Egipt to obrzydliwe, podłe miejsce! — odrzekł Harry. — Kupa ruin. Najważniejsze, że pokonaliśmy zaborców!

Medale przechowywał na stoliku w błękitnym salonie. O ile nie miał ich na sobie.

Harry nie potrafił rozmawiać o martwych dzieciach. Rzucili się na powrót w wir życia towarzyskiego. Na balach i bankietach Rose rozglądała się bacznie dookoła. Uzbrojona w nową wiedzę, od razu zauważyła, że prawie każdy mężczyzna utrzymuje związek z kochanką. Wystarczyło mieć otwarte oczy, by dostrzec sygnały. Jak mogłam być tak głupia!, myślała. Odwiedzając ojca, uśmiechała się niemal bez przerwy, chciała, żeby myślał, że jest szczęśliwa.

— A czego się spodziewałaś?! — spytała z zaskoczeniem jedna z młodych kobiet, kiedy zdała sobie sprawę, iż Rose wie. — Tak wygląda nasze życie. Mężczyzna ma spłodzić syna, a potem znaleźć kochankę. Musisz się z tym pogodzić.

Rose przestała prowadzić dziennik. Po raz pierwszy, odkąd skończyła osiem lat. Nie spodziewała się takich trudności, palce ją dosłownie świerbiły, by chwycić za pióro, pragnęła wdychać zapach atramentu, usiąść przy starym sekretarzyku, jak zawsze czyniła.

— Piszę nasze życie! — mówiła dawno temu swojej mamie. Nie chciała go teraz pisać. Woląca nie pisać nic niż przelewać na papier nieznośny ból. Rozbiła w drobny mak swoje okulary, rzucając nimi o mahoniowe biurko.

— Stajesz się nudna, Rosetta mia! — oświadczył Harry i rzadziej do niej przychodził.

A potem umarł ojciec. Rose na próżno ze szlochom całowała jego zimne mądre czoło. Pogrzeb odbył się z wszelkimi honorami wojskowymi. Wreszcie, po latach, spotkała Fanny. Uściskały się długo i mocno. Rozmawiały tylko o admirałach. Horacy Harbottom nie odstępował żony na krok.

Harry przytulił Rose, kiedy dostała wiadomość o śmierci ojca. Podtrzymał ją na duchu podczas pogrzebu, ale potem udał się do namiotu, gdzie pił brandy i rum z innymi mundurowymi.

— Niech cię Bóg błogosławi, najdroższa kuzynko — powiedziała Fanny. Widząc ją wreszcie, mając kontakt nie tylko przez zdawkowe listy, Rose dostrzegła coś w oczach Fanny. Być może to samo Fanny zobaczyła w jej oczach. Nic więcej nie mówiły. Do Rose podeszli starzy przyjaciele ojca i wzięli ją za ręce. Horatio Nelson pragnął się z nią zobaczyć. Kiedy kuzynki odchodziły, każda w swoją stronę ze swoimi mężami, obejrzały się na moment i zrozumiały.

Rose miała jeden cel: chciała mieć dziecko, kogoś, kto będzie należał wyłącznie do niej. Zamknęła uszy na słowa doktora.

Harry wyruszył w morze.

Rose została w domu. Miała dwadzieścia lat i nie była w ciąży.

1801

*Zawiłości ludzkiego serca są tak różne, tak niezliczone,
a wszelkie uczucia w reakcji na niecodzienne sytuacje
tak subtelne i złożone, że wymykają się słowom.*

FANNY BURNEY (niewydana przedmowa do „Cecylii”, 1782)

TLR

4

Siedem zegarów zaczęło wybijać północ. Każdy w swoim rytmie. Ostatni odezwał się stary zegar z Genui.

Choć było lato, Rose Fallon drżała z zimna w błękitnym salonie na Wimpole Street. Paliła cienkiego papierosa i obserwowała unoszący się w powietrzu dym. W dłoni trzymała list.

Wolno przeszła z jednego końca pokoju na drugi, śledzona wzrokiem nie swoich przodków z portretów, mijając sofy i stoliki.

Przyjrzała się sobie w jednym z ogromnych luster oświetlonych z obu stron świeczkami. Zobaczyła migoczące odbicie bladej kobiety. Nagle płomienie świec zatańczyły w przeciagu, który nadszedł nie wiadomo skąd, dym papierosowy uniósł się do góry. Kobieta w lustrze wydawała się stać jakby za mgłą, niewyraźna, gotowa w każdej chwili zniknąć. Rose odwróciła głowę i zamknęła oczy. Ogarnęło ją silne poczucie odrealnienia.

Siadywała razem z ojcem w jego gabinecie na Brook Street. Patrzyła na papier welinowy, pieczęć leżącą na jego biurku, zegar z Genui wygrywający melodie po włosku, jak wierzyła Rose, model okrętu, niebieską marynarkę i krótką białą perukę, którą ojciec często ścigał niecierpliwym gestem i zawieszał na oparciu krzesła. Wdychała zapach ukochanych książek, map, biurka, kałamarzy wypełnionych atramentem, gęsich piór, wymieszany z wonią egzotycznego tytoniu ojca przywiezionego z dalekich podróży. Zakochała się w pisaniu i książkach. Ale później pokochała Harry'ego Fallona.

Rose otworzyła oczy. Wciąż czuła zapach dymu tytoniowego, ale pochodził on z jej własnego papierosa. Jeszcze raz, powoli, przeczytała list. List z admiralicji dotyczący bitwy pod Abu Kir. List, który uczynił z niej dwudziestodwuletnią bezdzietną wdowę. Bitwa pod Abu Kir. Nic nieznanne słowa pojawiały się wciąż na nowo w jej umyśle.

W rogu pokoju leżała stara sfatygowana poduszka o imieniu Angel.

TLR

5

W bitwie pod Abu Kir Brytyjczycy pokonali Francuzów.

Dwa lata wcześniej u brzegów Nilu Francja straciła wielu żołnierzy, niemal cała flota spłonęła pod Aleksandrią. Gazety okrzyknęły Nelsona bohaterem, a kapitan Harold Fallon, wicehrabia Gawkroger, odebrał swe zwycięskie medale. Krążyły plotki, że Napoleon i reszta jego armii zginęli z rąk Arabów, żywiono powszechną nadzieję, iż zostali zjedzeni. Jednakże prawda okazała się zgoła odmienna; Napoleon nie został pokonany. Jego flota w istocie została rozbita u brzegów Aleksandrii, jednak Napoleon Bonaparte zdążył już podbić Kair. Nelson wygrał bitwę o Nil, ale Francuzi pozostali w Egipcie.

Tym razem Brytyjczycy przegonili wojska napoleońskie z Egiptu na dobre. WSPANIAŁE ZWYCIĘSTWO POD ABU KIR, krzyczały nagłówki gazet. Wreszcie osiągnięto całkowitą przewagę nad Francuzami. Jednak tajemniczy Napoleon Bonaparte wrócił do domu cały i zdrowy, by ogłosić się pierwszym konsulem. Tymczasem lord Abercrombie, brytyjski dowódca w bitwie pod Abu Kir, zginął.

Rose Fallon, wicehrabina Gawkroger, otrzymała list z kon— dolencjami od admiralicji informujący ją o śmierci męża. Nie było w nim słowa o tym, iż w istocie kapitan Fallon stracił życie zadźgany nożem na ulicy Aleksandrii, ponieważ zhańbił młodą Egipcjanę.

Tamtego dnia w Aleksandrii kobiety od stóp do głów spowite zwojami materiału odwracały głowy, niezaangażowane, jakby niczego nieświadome. Tylko ich oczy bacznie wszystko obserwowały spod zasłon zakrywających twarze. Widziały angielskich marynarzy, których buty stukały o kamienie, kiedy nieśli ciało towarzysza broni ku zatoce. Próbowali kluczyć bocznymi ulicami. Napotykali grupy rozwścieczonych Arabów o gorejących oczach, z nożami. Napięcie było wyczuwalne, wszystko mogło się zdarzyć. Spoce-

ni, zmęczeni upałem żołnierze, zwycięzcy, którzy liczyli na kilka dni świętowania po bitwie w opuszczonym melancholijnym porcie Aleksandrii, również byli rozzłoszczeni. Jeden z ich kapitanów został zamordowany przez tubylców, a oni dostali rozkaz zabrania ciała na statek i opuszczenia miasta, bez zaznania żadnych rozrywek.

Marynarze nieśli ciało w ponurym milczeniu. Tkwili w jakiejś dziurze i nie mogli się nawet zabawić, choć przecież wygrali.

— Patrz na te zakutane dziewczki — mówili, mijając kobiety o zasłoniętych twarzach.

Kilka miesięcy później niebo otworzyło się nad Aleksandrią. Lało nieprzerwanie od rana. Wąskie uliczki zamieniły się w rwące strumienie błota i nieczystości. Z obcego szarego nieba spadały wielkie krople deszczu. Żołnierze w czerwonych mundurach pchali przed sobą wózki, brnąc w błocie i potyka—jąc się o kamienie. Nie narzekali (bardziej niż zwykle) nawet na deszcz. Nienawidzili Egiptu z całego serca, jak żadnego miejsca na świecie. Tkwili tu od miesięcy, od zwycięskiej bitwy pod Abu Kir. Aż wreszcie nadszedł rozkaz opuszczenia zapomnianego przez Boga kraju i powrotu do domu! Mieli zebrać łupy wojenne po zapadnięciu zmroku. Liczyli na coś, co wynagrodzi im miesiące męczarni na obczyźnie. Słyszeli o złocie oraz interesujących kamiennych posągach.

Dziwaczne ponure domy zdawały się pochylać złowieszczo z każdej strony, pograżając wąskie uliczki w jeszcze większym mroku. Żołnierze maszerowali w ciszy. Słysząc było jedynie dźwięk uderzających kropli deszczu, stukanie butów i skrzypienie wózków. Wtem rozległo się wołanie na modlitwę... Allach akbar... Allach akbar... Poznali już dobrze wszechobecne wezwanie. Maszerowali dalej ze spuszczonej głowami, starając się nie słuchać niepokojącego głosu.

Ciemne okna były pozamykane. Okiennice wyglądały jak zrobione z metalowej koronki. Nie zdradzały obecności bądź nieobecności mieszkań-

ców. Żołnierze czuli się nieswojo, jakby ktoś ich obserwował. Allah akbar... Allah akbar, wciąż rozlegało się echem wokół. Wreszcie dotarli na miejsce, do wielkiego magazynu przy przystani; był oświetlony, a ze środka dochodziły podniesione głosy.

— To antyk, ja go znalazłem! — krzyczał po raz dziesiąty francuski generał. Usiłował objąć ramionami wielki owinięty materiałem obiekt. — Jest mój, tylko mój. Ja go znalazłem, ja. Należy do mnie.

— Przykro mi, panie generale, mamy rozkazy. Ten przedmiot, podobnie jak wszystkie na liście, ale ten w szczególności, ma zostać przekazany narodowi brytyjskiemu w ramach postanowień rozejmu.

— Cochon — splunął francuski generał. — Świnia!

Brytyjski kapitan wraz z towarzyszącym mu urzędnikiem

poczuli się głęboko dotknięci. Zamierzali zgłosić skargę. Podobne zachowanie było niegodne żołnierza i dżentelmena. Traktat został podpisany, wszystko ustalono.

— Złodzieje! — krzyczał generał.

Nagle, z pomocą kilku oficerów, ignorując ciche protesty obecnych na miejscu francuskich naukowców, zaczął zdzierać materiał ze starannie owiniętego zabytku. Brytyjczycy obserwowali poczynania oponentów w osłupieniu. Zdenerwowani Francuzi gwałtownie zrzucili kamień na marmurową posadzkę. Rozległ się huk odbijający się echem od ścian magazynu. Odpryski kamienia poleciały do góry.

— No i co zrobiliście? — powiedział ze złością brytyjski urzędnik. — To było zupełnie niepotrzebne i nie na miejscu. Zniszczycie ten i tak już zniszczony wartościowy przedmiot.

— I dobrze! — zawołał francuski generał. — Trafił w ręce największych ignorantów na świecie. Jesteście narodem sklepikarzy! Po co wam on? Mieszkaliście tu, jak my? Zgłębialiście sekrety i zabytki tego kraju, jak

my? Nie! Równie dobrze możemy zniszczyć kamień. Został skonfiskowany przez dzikusów!

Dłoń angielskiego kapitana zadrżała, sięgając po miecz na takie zniewagi. Zdołał jednak zapanować nad emocjami.

Znaki wyryte na kamiennej tablicy nie uległy uszkodzeniu. Sam kamień rzeczywiście był zniszczony, już dużo wcześniej. Brakowało kilku odłamków po bokach i dużej części w górnym rogu.

W drzwiach stanęli ubłoceni brytyjscy żołnierze. Około dwudziestu weszło do środka i na rozkaz kapitana wynieśli kamień, by umieścić go na jednym z wózków. Przedmiot był pokryty dziwnymi znakami i śladami atramentu, jakby ktoś próbował kopiować napis. Generał wyglądał, jakby się miał rozplakać, reszta Francuzów również przedstawiała niewesoły widok. Pozostali Anglicy ładowali na wózki inne zabytki. Sarkofag spadł na podłogę i rozpadł się. Mumia zamieniła się w pył na oczach obecnych, został po niej jedynie fragment czaszki, który potoczył się w róg pomieszczenia. Na moment zapadła absolutna cisza. Każdy z nich widział w swoim życiu setki ciał. Ale dopiero teraz stanęli oko w oko z prawdą: „*Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz*”.

Anglicy wrócili do pracy z mniejszym zapalem, ładując na wózki przedmioty wskazywane przez kapitana, przy wtórze protestów ich dotychczasowych właścicieli i znalazców. Jeden z nich niechętnie opisywał przedmioty, inny — wysoki mężczyzna o smutnej twarzy — jakby mimowolnie, z oporem, ale i z wielką ostrożnością oraz uwagą osłonił moknący na deszczu kamień podniesioną z podłogi tkaniną, którą był wcześniej owinięty.

— Jesteś idiotą, Pierre! — zawołał z kpiną jeden z jego kolegów. Wysoki mężczyzna pokręcił głową nad własną głupotą. Kamień zniósł wpływ żywiołów przez dwa tysiące lat. Jaką różnicę robi teraz kawałek egipskiego materiału?

Anglicy zabrali wózki wypełnione łupem i odeszli żegnani francuskimi przekleństwami. Najgorsze inwektywy i największą złość wywołała we Francuzach utrata największego skarbu: poobijanego kamienia, na którym wyryto tajemnicę świata.

TLR

6

Przyjęcie było kameralne.

Księżę Hawksfield, doradca Jego Wysokości Króla Jerzego III, odwiedził swoją rodzinę na Berkeley Square, by zasięgnąć informacji z pierwszej ręki od swego siostrzeńca na temat zwycięstwa nad Francuzami w Egipcie.

Księżę i księżna Torrence, znamienity ród wśród angielskiej arystokracji, rzadko przyjmowali gości w swej imponującej rezydencji, odkąd księżna, niegdyś jedna z najbardziej aktywnych i wpływowych pań w Londynie, „przestała być sobą”, jak mawiano dyskretnie w towarzystwie. A w bardziej swobodnych okolicznościach, że kompletnie zwariowała.

Tego wieczora jednak na cześć znamienitego krewnego zebrała się cała familia: księżę i księżna, ich syn William, markiz Allswater, zameżne córki: Charlotte, Amelia i Emma, wszystkie noszące skomplikowane tytuły po mężach, oraz najmłodsza — Dorothea, nazywana przez wszystkich Dolly. Oprócz nich przy stole siedziało jeszcze tylko trzydzieści osób. Kolacja była skromna. Składała się z zupy, turbota po angielsku w sosie węgorzowym, przepiórek z truflami, zółwi, cielęciny, ozorków, gęsi oraz, jakżeby inaczej, pieczeni angielskiej i golonki. Na deser podano ciasta owocowe i pudding śliwkowy. Kelnerzy w bardziej skomplikowanych nakryciach głowy niż goście uwijali się wokół olbrzymiego stołu, nakładając potrawy i dolewając wina do kielichów. Co jakiś czas następowały długie przerwy w konwersacji, podczas których rozlegało się donośne mlaskanie. Jednak wino rozwiązało wreszcie wszystkim języki i przy deserze rozpoczęła się głośna dyskusja na temat młodej księżniczki Charlotty, której rodzice, księżę Walii i jego żona, mieszkali osobno. Biedna mała księżniczka została sama w wielkim pałacu. W pewnym momencie do jadalni wkroczył przyjaciel Dolly, paw. Siostry wpadły w histerię, wrzeszczały, machały rękoma i potrząsały głowami, wprawiając w drżenie pawie pióra, których użyły do ozdobienia fryzur. Dolly chwyciła ptaka za obrozę i wyprowadziła, besztając surowo.

Kilka osób wymieniło zatroskane, acz dyskretne spojrzenia. Najważniejsza część wieczoru, czyli spożywanie posiłku, została zakończona, służba zaczęła sprzątać ze stołu, znów podano wino, a uwaga wszystkich, w tym pań, które nie opuściły jadalni, zwróciła się ku siostrzeńcowi księcia Hawksfield, Williamowi. Powrócił on niedawno z Egiptu, gdzie uczestniczył w słynnej bitwie pod Abu Kir, rozgromieniu Francuzów.

William, co zrozumiałe, nie chciał opowiadać o wojnie i rozlewie krwi w obecności świeżo owdowiałej Rose Fallon. Póki panie były przy stole, sypał anegdotami na temat przygód z Turkami, następnie mówił o zabytkach, skarbach, klejnotach i pewnym starodawnym kamieniu przejętym od pokonanych Francuzów. Wszyscy słuchali z zaciekawieniem, światło świec odbijało się w ich oczach, wywoływało cienie, oświetlało pulchne białe ramiona żony Williama, Ann, wypolerowane drewno stołu, podkreślało czerwień wina, padało na wypomadowane włosy starszych kobiet oraz na medale księcia Hawksfield, biżuterię i pióra sióstr oraz czarne ubrania dwójki noszących żałobę gości. Czternastoletnia Dolly Torrence wróciła już do stołu, zostawiwszy pawia w kuchni pod opieką służby. Zwróciła uwagę, że ojciec, mały skurczony człowieczek, odpłynął gdzieś myślami. Wpatrywał się w kieliszek, nie słuchając syna. Za to książę Hawksfield słuchał uważnie, nie spuszczać oczu z siostrzeńca. Jej ukochany brat wyglądał bardzo przystojnie w kapitańskim niebieskim mundurze z pagonami, z jasnymi włosami związanymi w kucyk. Wyglądamy jak postaci z obrazu, pomyślała Dolly, która miała inklinacje artystyczne. Rozglądała się wokół, usiłując dopasować to, co widzi, do jakiegoś znanego malowidła. Niektórzy goście słuchali opowieści Williama, nie patrząc na niego, inni pochylali się ku niemu, nie odrywając wzroku od twarzy młodzieńca. Starzy burkliwi dżentelmeni, którzy zazwyczaj pociągali nosami, kaszleli głośno i odchrząkiwali, siedzieli w absolutnej ciszy. Księżna, niegdyś piękność, miała na głowie biały czepek z kilkoma doczepionymi kosmykami włosów, by ukryć łysinę. Nie poznawała swojego brata, ale uśmiechała się do niego promiennie.

Dolly uświadomiła sobie, z jakim obrazem kojarzy jej się sytuacja przy stole. Ostatnio w galerii widziała „Eksperyment z pompką powietrzną” Josepha Wrighta. Mało kto dopatrzyłby się podobieństwa. Dolly jednak skojarzyła sposób padania światła i cieni na twarze ludzi. Jej wykształcenie artystyczne, podobnie jak cała edukacja, pozostawiało wiele do życzenia.

Na stole wciąż pojawiały się nowe słodczyce, lecz goście byli już tak najeżeni i skoncentrowani na słowach Williama, że nie zwracali uwagi na zawartość talerzy. Dolly wzięła sobie kilka ciastek, nie spuszczać oczu z twarzy ukochanego brata, który rozparł się wygodnie na krześle z kieliszkiem w dłoni, Dolly obdarzyła go promiennym uśmiechem. Jakże się cieszyła, że bezpiecznie do nich wrócił. Nieszczęsny George Fallon, obecnie wicehrabia Gawkroger, stracił brata w bitwie pod Abu Kir. Biedna Rose Fallon, cała w czerni, siedziała nieruchomo. Dolly wpatrywała się w nią z podziwem, uważała, że Rose emanuje swoistym czarem, niczym bohaterka powieści. Rodzina często powtarzała, że Dolly jest zbyt romantyczna, co jej nie służy.

— Wkrótce wszystkie te przedmioty trafią tam, gdzie ich miejsce — kontynuował William. — Będą kolejnym symbolem naszego zwycięstwa nad Napoleonem. — Starzy panowie zakaszleli na znak poparcia. — Cały czas negocjowane są warunki pokoju. Wkrótce zostanie on ogłoszony oficjalnie. Wygraliśmy! — Uniósł kielich, prosząc o ponowne napełnienie go. — Niewątpliwie szanowny wuj wie na ten temat więcej niż ja — dodał pośpiesznie.

Doradca królewski skinął tajemniczo głową. Nie omawiał spraw państwowych przy prywatnych stołach.

Światło świecy ponownie zatańczyło na nagich ramionach Ann, żony Williama. Błysnęły diamenty na jej szyi, kiedy pochyliła się, wyciągając swój kielich w stronę karafki z winem. Służący posłusznie dolał alkoholu. Nie wszystkie panie siedzące przy stole piły, ale prawdopodobnie nie cierpiały na bóle zębów.

— A klejnoty? — spytała męża, przesuwając językiem po pulsujących bólem dżiąsłach.

— Nasi generałowie łaskawie pozwolili wrogom zatrzymać niektóre z mniej interesujących znalezisk. Najbardziej wartościowe oczywiście zabrali. Klejnoty widziałem na własne oczy.

— Gdzie są teraz te wszystkie skarby? — Wszystkie panie zastygły w oczekiwaniu na odpowiedź.

— Mam nadzieję, że w drodze. Rozstaliśmy się z nimi w Aleksandrii po uzgodnieniu transportu.

— Jak duży jest kamień?

William wychylił duszkiem zawartość kieliszka. Wzruszył ramionami.

— Wysoki na sto centymetrów, szeroki na siedemdziesiąt, gruby na trzydzieści. Waży koło ośmiuset kilogramów. Jest niemal czarny, chyba z bazaltu.

— Wielkie nieba, ależ ogromny! — zawołała zalotnie Ann. Dolly przemknęło przez myśl, że bratowa zagięła parol na wicehrabiego Gawkrogera, do którego często się uśmiechała. William popatrzył na żonę z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Dolly zaczytywała się z lubością w najnowszych „powieściach dla pań”, wszędzie dostrzegała dramaty, pragnęła ich w swoim życiu pod warunkiem, że będzie ich bohaterką, skończą się szczęśliwie i dodadzą jej atrakcyjności.

Gość honorowy odchrząknął.

— Jeśli dobrze rozumiem, chłopcze... — Głowy w siwych perukach zwróciły się w stronę jednego z najpotężniejszych Anglików. — Wartość kamienia polega przede wszystkim na tym, iż wyryto na nim tekst w trzech językach. Jeden z nich to greka, która była w Egipcie językiem urzędowym za panowania Aleksandra Wielkiego. Zgadza się?

— Tak jest.

— Starożytna greka?

— Tak jest.

Rose Fallon pochylała się z zaciekawieniem, fałdy czarnej żałobnej sukni zaszeleściły, dotykając stołu.

— Jak brzmi grecki tekst? — spytała cichym chrapliwym głosem. — Czemu jest taki ważny?

Były to jej pierwsze słowa tego wieczoru, wyłączając zwroty grzecznościowe. Oczy Rose błyszczały w świetle świec, co nie umknęło uwagi Dolly. Dziewczynka zaobserwowała również, że Rose ma zawsze lekko zmarszczone czoło. Ta mała zmarszczka wydawała jej się niesłychanie piękna. Jakby Rose myślała o wszystkich tajemnicach świata i rozumiała je.

William odpowiedział uprzejmie:

— Między innymi, proszę pani, chodzi o to, że tekst na kamieniu jest ponoć powtórzony trzykrotnie: świętym pismem Egipcjan, ich pismem urzędowym i po grecku. Na razie tylko tyle wiadomo. Francuzi zdołali zrobić kopię, nim skonfiskowaliśmy znalezisko. Tak więc są w posiadaniu tych informacji. Święte pismo Egipcjan to, jak rozumiem... — Zrobił pauzę dla efektu dramatycznego. — ...hieroglify.

Rozległy się westchnienia.

— Starożytne hieroglify?

— Pismo bogów — powiedziała w zamyśleniu Rose. William skinął głową, a księżę Hawksfield spojrział na nią z zainteresowaniem.

— Grecki tekst zachował się prawie w całości, przetłumaczenie go nie powinno więc stanowić problemu dla naszych naukowców — mówił William. — W ten sposób poznamy również znaczenie hieroglifów! Dlatego właśnie Jego Królewskiej Mości zależało w szczególności na posiadaniu tego konkretnego znaleziska. Potrafiąc czytać hieroglify, będziemy mogli inaczej spojrzeć na pozostałe zabytki. Zrozumiemy wszystko.

Nowy wicehrabia Gawkroger odstawił kieliszek.

— Wszystko? Cóż za niezwykły dobór stów.

William gwałtownie pochylił się nad stołem. Do tej pory panował nad emocjami, ale nie mógł dłużej ukrywać podekscytowania tematem. Jego przejęcie udzieliło się wszystkim obecnym, z wyjątkiem gospodyni, która cały czas uśmiechała się z roztargnieniem. William powtórzył słowa Rose, zwracając się do wuja.

— Pismo bogów — tak mówią o tajemniczych hieroglifach, których do tej pory nie potrafiliśmy rozszyfrować. Wielu naukowców na całym świecie wierzy, iż starożytni Egipcjanie znali tajemnice wszechświata!

— Sądysz, że i my je poznamy? — Książę Hawksfield nie zdradzał emocji. Być może sądził, że wszechświat już dziś nie ma przed nim tajemnic.

— Będziemy mogli przetłumaczyć wszystkie teksty, które znajdziemy, a w Egipcie jest ich mnóstwo! Panuje powszechne przekonanie, iż cała wiedza została zakodowana za pomocą magii hieroglifów, w symbolice znaków. O ile zdołamy przebić się przez sterty śmieci, w których tonie ten kraj... — Twarz wykrzywił mu grymas niesmaku. — I znaleźć to, co najcenniejsze, być może odkryjemy... — William zamilkł w poszukiwaniu odpowiedniego słowa — ...nieskończoność!

— Być może — zgodził się sucho książę Hawksfield. Pozostał nieporuszony. — Bardzo bym chciał przeczytać tłumaczenie tych tekstów.

Rose Fallon nie mogła się powstrzymać, by nie powiedzieć:

— Och, ja również, wasza wielmożność!

Panowie wymienili między sobą spojrzenia pełne pobłażliwego niedowierzania. Nikt jednak nie chciał obrazić pięknej wdowy.

George Fallon, który uważnie przysłuchiwał się rozmowie, spytał:

— Czy gdyby ktoś wyruszył do Egiptu, miałby szansę na znalezienie czegoś na własną rękę?

William roześmiał się.

— Skarby można znaleźć na każdym kroku, są wszędzie. Egipt to jedna wielka ruina i zabytek. Odłamki murów starożytnych świątyń i posągów leżą w portach, wzdłuż Nilu, na pustyniach. Posągi przeróżnych bogów, bogiń i zwierząt czekają na to, by je ktoś zabrał. Aleksandria to miasto niszczonej zabytków! Obeliski z inskrypcjami leżą w biocie, to niewiarogodne. — W oczach George'a zapaliły się chciwe iskierki.

Zauważył spojrzenie Dolly i uniósł w jej stronę kieliszek. Dolly zmieszana odwróciła się do matki, która właśnie zrzuciła na podłogę spory kawałek sera. Nie była pewna swych uczuć do wicehrabiego Gawkrogera, nie podobał jej się jego uśmiech. Księżę Hawksfield z zainteresowaniem obserwował sytuację.

W głosie Ann znów pobrzmiwały prowokujące nutki, kiedy się odezwała. Ból zębów coraz bardziej dawał się we znaki.

— A Egipcjanom nie żal było rozstawać się z tajemnicami wszechświata?

— Moja droga — zwrócił się William do żony bez uśmiechu — współcześni Egipcjanie nie rozumieją hieroglifów, nie dbają o nie. To niewykształcony leniwy naród. Są muzułmanami, wstydzą się swego pogańskiego dziedzictwa. Musiałabyś sama tam pojechać, aby zrozumieć i uwierzyć. Wszędzie leżą strzaskane starożytne rzeźby, a chłopci przekształcają nawet niektóre prastare grobowce w siedziby mieszkalne! Faj! — wydał okrzyk obrzydzenia. — Nic ich nie obchodzi. Bezcenny kamień, o którym opowiadałem, został znaleziony przez Francuzów w starym wojskowym forcie. Wyobrażasz sobie?! Taki skarb jako osłona przed ogniem nieprzyjaciela! Egipcjanie kiedyś nam jeszcze podziękują.

— Ależ oczywiście, że powinni być wdzięczni! — zawołali starcy, kiwając z przekonaniem głowami w białych perukach. Butelki z winem znów poszły w ruch, panowie z zapalem korzystali ze spluwaczek.

— Nie interesują cię zabytki własnego kraju, George? — spytała jedna z sióstr.

George sprawiał wrażenie zaskoczonego.

— Ani trochę — odrzekł. — Nie mamy na sprzedaż starożytnych zagadek.

Książę Hawksfield popatrzył na niego nic niezdradzającym wzrokiem.

— Williamie — odezwała się Dolly niemal surowo. — Czy dotknąłeś tego kamienia z jego sekretami? Dotknąłeś go? — Zebrani roześmieli się. — Nie, nie, chciałam powiedzieć, że ja nie omieszkałabym skorzystać z okazji, żeby dotknąć czegoś tak magicznego. Poczucie się częścią historii.

— Jesteśmy częścią historii — zapewnił ją William. — Nie tylko go dotknęliśmy, ale dodaliśmy własny napis!

— O czym ty mówisz? — zawołała oburzona Rose.

— ZNALEZIONE W EGIPCIE PRZEZ WOJSKA BRYTYJSKIE W 1801 ROKU. Pewnego dnia kamień zostanie umieszczony na honorowym miejscu w Muzeum Brytyjskim jako świadectwo naszej chwały!

— Chciałbym mieć taki egipski obelisk w mojej nowej rezydencji na wsi, Gawkroger Hall — oświadczył wicehrabia Gawkroger, zwracając się w szczególności do księcia Hawksfielda. — Uważam, że byłoby to niesłychanie eleganckie.

— Gdzie by pan go umieścił? — zainteresowała się pewna młoda niewiasta, która zwracała nieco większą uwagę na George'a Fallona, odkąd miał nowy tytuł szlachecki. Oczywiście nie była aż tak zdesperowana, aby go brać pod uwagę jako kandydata na męża.

— W ogrodzie, na cokole, przodem do rezydencji. Świetnie komponowałyby się z drzewami, nie sądzisz, Dolly?

Dolly poczuła się zażenowana, brat pospieszył jej na ratunek.

— Przywieźliśmy ze sobą przepiękne sadzonki, Dolly — powiedział.
— Mimozy.

— Co to są mimozy?

— Drzewa o małych żółtych kwiatkach. — William zwrócił się do wuja: — Zamierzam sprawdzić, czy przyjmą się w naszym kraju, wuju. Pięknie pachną, przepięknie się prezentują. I jeszcze jeden gatunek: kadzidłowiec. — Przy stole zapadła pełna zdumienia cisza.

— Taki jak gorejący krzew z Biblii? — Dolly nie mogła uwierzyć.

— Tak, słyszałem o nich — odezwał się książę Hawksfield. — Zasadzimy je w pałacowych ogrodach, zobaczymy, czy przetrwają angielską pogodę.

— Co to jest kadzidłowiec? — spytała Rose.

— Pozyskuje się z niego specjalną żywicę. — Książę Hawksfield był obeznany z tematem. — Starożytni Egipcjanie wierzyli, że pod wpływem ognia wydziela ona substancje lecznicze. Sprawdzimy to. — Uśmiechnął się do Rose łaskawym uśmiechem potężnego człowieka, który ma władzę pozwalającą mu sadzić lasy, jeśli mu się tak spodoba. Ann ścisnęło się serce i zaboląły ją zęby.

— Williamie, jak nazywa się ten wyjątkowy kamień? — zwróciła się do męża.

— Został znaleziony w małej miejscowości między Aleksandrią a Kairem nazywanej przez tamtejszych ludzi lub Francuzów, nie jestem pewien, Rosette. Otrzymał nazwę od miejsca znalezienia. *Pierre de Rosette*. Kamień z Rosetty.

- — Z Rosetty? — szepnęła Rose Fallon. W jej głosie zabrzmiało tak bezbrzeżne zdumienie, że wszyscy popatrzyli z uwagą.

— Rose — zaśmiał się George. — W najśmielszych snach nie oczekiwałam takiej sławy! — Zwrócił się do zebranych: — Moja bratowa otrzymała na chrzcie imię Rosetta.

— Czy to prawda? — Głos Dolly zadrżał z przejęcia.

— Tak. — Rose uśmiechnęła się do niej. — Mam na imię Rosetta.

— Dostałaś imię na cześć księżniczki Rosetty z bajki! — zawołała dziewczynka. — Tej, która poślubiła króla Pawi! Pękłabym z dumy, gdyby taki skarb nazwano moim imieniem! Gdyby miał ze mną jakikolwiek związek! — Poderwała się na nogi, tak silne targały nią emocje. Zebrani przy stole zwrócili uwagę na niebywale wysoki wzrost biednej dziewczyny. Choć miała dopiero czternaście lat, była już wyższa nawet od swego brata. Ann, markiza Allswater, przyszła księżna Torrence, wstała również. Dolly irytowała ją niezmiernie, a ból zębów stał się niemal nieznośny. Teściowa nie potrafi i już pełnić funkcji pani domu, Ann postanowiła więc dać znak pozostałym damom, że czas przejść do bawialni. Dolly powściągnęła swój temperament i pomogła mamie wstać. Księżna Torrence uśmiechała się jeszcze promienniejszym niż wcześniej. Kawałki sera potoczyły się po podłodze.

— Mam nadzieję, że podróż na kontynent znów będzie bezpieczna — zwróciła się Ann do panów przed wyjściem. — Pokonaliśmy Francję i jesteśmy o krok od poznania zagadki wszechświata, nie mamy się więc z pewnością czego bać?

Odpowiedział jej wicehrabia Gawkroger:

— Świat, moja droga, nigdy nie będzie bezpiecznym miejscem, mniejsza o zagadki wszechświata, póki żyje ten szalowiec Bonaparte. Stanowi zagrożenie dla cywilizowanych ludzi. Naszym obowiązkiem jako narodu jest zniszczenie go. Aczkolwiek, na razie, mamy pokój. Moja matka pragnie podróżować. Jestem pewien, że wiosną przeprowadzi się do nas moja bratowa, ponieważ tak wypada. — Skinął z uśmiechem głową Rose, która

odwróciła się gwałtownie. — Wszyscy razem wybierzemy się do Paryża. Z pewnością William nie będzie miał obiekcji, byś do nas dołączyła — zwrócił się na powrót do Ann. — O ile sam cię nie zabierze.

Markiza uśmiechnęła się promiennie mimo bolących zębów.

Po wyjściu pań rozległ się głos milczącego dotąd starego księcia Torrence. Jakże był zadowolony z podpisania traktatu pokojowego. Tęsknił za francuskim winem, kiełbasą, niektórymi książkami, małymi francuskimi modystkami... Panowie odetchnęli z ulgą po wyjściu dam, a służba od razu pospieszyła do kredensu, by wyciągnąć nocniki.

— Chcę się wybrać do Egiptu — oznajmił w powozie George Fallon, zaciągając się tabaką.

— Ależ po co? Zapewniam cię, iż to odrażające miejsce mimo ciekawych zabytków. Twój brat zginął tam z rąk dzikusów!

George nie podjął tematu śmierci brata.

— Mam pp dziurki w nosie szwajcarskich Alp i jezior Italii. Potrafię patrzeć dalej, Williamie! Na antykach można wspaniale zarobić. Podarowałem już temu krajowi wiele skarbów przywiezionych z Grecji, Włoch i Francji. Bogacze wyzbywali się drogocennych przedmiotów za grosze podczas rewolucji, kiedy drżeli o życie.

— A ty sprzedawałeś je w Anglii za fortunę — zaśmiał się William, markiz Allswater. — W Egipcie nie musisz płacić w ogóle. Wystarczy zbierać z ziemi.

— Przysłużyłbym się krajowi! Księżę Walii mógłby wykazać zainteresowanie...

— Mam rozumieć, że pragniesz podarować te skarby narodowi? — przerwał kpiąco William.

— W żadnym wypadku — odparł wyniośle George. — Przyczynię się za to do rozwoju dobrego smaku wśród społeczeństwa!

William znów się roześmiał.

— Egipcjanie plują na swoje zabytki, uważając je za pogańskie bożki.

— Postaraj się prędko o potomka, Williamie — szepnął George w ciemnościach powozu. — Byś mógł podróżować ze mną.

William umilkł.

Przyjęcie dobiegło końca, powozy zostały wezwane, a goście wyruszyli na poszukiwanie dalszych rozrywek. Wicehrabia i markiz powiedzieli wszystkim, że jadą do teatru, choć oczywiście wybierali się do kasyna (między innymi) w ten deszczowy grudniowy wieczór. Właściwie nie potrzebowali powozu, nie mając do przebycia zbyt długiej drogi, jednak bezpieczeństwo w Londynie pozostawiało ostatnio wiele do życzenia. Ciemnymi ulicami władali awanturnicy i rozżaleni ranni żołnierze.

George nagle zmienił temat.

— Najwyższy już czas, by Rose zamieszkała ze mną i matką na Great Smith Street. Nie przystoi jej mieszkać samej. Uparła się nedorzecznie, że zostanie na Wimpole Street, jakby wciąż czekała na powrót Harry'ego. Nie dała nawet dziedzica rodzinie. Oczywiście znalazła się teraz całkowicie na laszej łasce.

— Ponownie zaciągnął się tabaką. — Gdybym kiedykolwiek uważał, że kobiety powinny mieć prawo do dysponowania pieniędzmi, teraz zmieniłbym zdanie. Niestety ojciec przepisał jej jakieś pieniądze, więc cieszy się pewną niezależnością finansową mimo śmierci mego brata. Cóż za niestosowna sytuacja dla kobiety. — Utkwił wzrok w oknie. — Niszczy sobie reputację — dodał. William nie mógł się z nim nie zgodzić. Twarz George'a poczerwieniała. — Zapewne wiesz, czego się obawiam. Jej opinia powinna być bez zarzutu, aby zdusić w zarodku wszelkie podejrzenia co do mego brata. Okoliczności śmierci Harry'ego muszą pozostać nieznanne. — Westchnął ciężko i poluźnił apaszkę przy szyi. Wspomnienie zmarłego brata wciąż bolało. — Tobie to dobrze. Należysz do elity, nic ci nie grozi.

Książę Hawksfield jest twoim wujem. Nasza rodzina wciąż jedynie aspiruje do waszego świata. Musimy bardzo się strzec choćby cienia skandalu, albo nie mamy co marzyć o spotkaniu z rodziną królewską.

William odezwał się łagodnie:

— Im szybciej podniesiesz swój status, tym lepiej, George. Wszystko wolno, kiedy potrafi się zachować pozory.

— Wiem — zgodził się smętnie George. — Jakże świetnie zdaję sobie z tego sprawę. — Zapatrzył się w mrok. — Rose to idiotka. Śmieszna jest z tym swoim pretensjonalnym udawaniem zainteresowania greką i hieroglifami! Chcę, żeby zamieszkała z moją matką i dotrzymywała jej towarzystwa. Wiesz, co dalej. Książę Hawksfield zna się na swojej pracy, wie, że byłbym cennym nabytkiem.

Światła i cienie tańczyły we wnętrzu powozu. Nagle woźnica podjął wyścig z innym powozem. Gnali na złamanie karku przez Piccadilly, dopóki nie napotkali przeszkody w postaci dwóch przewróconych dorożek. Pierwsze płatki śniegu migotały na końskich grzywach.

— Twoja bratowa jest piękną kobietą — zauważył William.

— Na pewno niełatwo jej pogodzić się z wdowieństwem w tak młodym wieku!

George wyjrzał przez okno, kichnął.

— Śnieg pada — powiedział, ignorując słowa przyjaciela, po czym dodał nagle: — Któż to zgadnie, co roi się w głowie takiej Rose? Nie jest już niewinną dziewczyną, którą zgodziliśmy się dla dobra Harry'ego przyjąć do rodziny. Bardzo się zmieniła. Jest przyczajona jak żmija gotowa w każdej chwili do ataku.

William zaśmiał się, zaskoczony jadem w głosie George'a.

— Sądzę... — zaczął, ale George pochylił się i zmierzwił mu włosy. Również się roześmiał.

— Nieważne, mój drogi — uciał.

Rose Fallon odetchnęła z ulgą. Była sama w domu na Wimpole Street. Zabroniła Mattie na siebie czekać, odesłała ostatniego służącego i usiadła na sofie przy kominku w błękitnym salonie, z zadowoleniem zdejmując wreszcie zimowe buty. Wsłuchiwała się w skwierczenie ognia i tykanie zegarów. Na stoliku leżała stara księga należąca niegdyś do ojca, odszukała ją natychmiast po przekroczeniu progu. Położyła się na sofie i zapaliła papierosa.

Szwagier nalegał na jej obecność na kolacji u Torrence'ów. Najwyższy czas, by zaczęła spełniać swe obowiązki towarzyskie wobec rodziny, twierdził George. Starła się. Fallonowie potrzebowali odpowiednich znajomości. Zgodziła się pójść, nie wiedząc o chorobie gospodyni, której myśli opuściły już doczesny świat. Rose poznała wcześniej niektórych członków rodziny, spotykała ich na wieczorkach George'a w swoim domu. Znała staro księcia, który roztrwonił lwią część rodzinnej fortuny na hazard i kochanki (czasem przegrywał nawet kochanki), znała zamężne siostry — śmieszki. Najstarsza z nich nosiła w sobie pewną tajemnicę, którą Rose potrafiła już odgadnąć — była czyjąś kochanką. Książę Hawksfield zawsze wzbudzał w Rose niezdrową fascynację (oczywiście nie widywała go na przyjęciach George'a). Zaimponował jej dziś nagłym postanowieniem zbadania leczniczych właściwości żywicy z kadzidłowca i obsadzenia pałacowych pól mimozami. Niewątpliwie to jego władza ją pociągała, bliskość z rodziną królewską oraz odrobinę odstręczający, dominujący sposób bycia. Był autorytetem dla całej swojej rodziny. Kiedy od— chrząkiwał, milkły wszelkie rozmowy. Zauważyła, że zwrócił na nią uwagę. Nie należała do jego rodziny, więc zapewne nic jej nie groziło. Nie chciałabym wejść w drogę temu człowiekowi, pomyślała.

William wyglądał jak młodsza i łagodniejsza wersja wuja. Był bardzo przystojny. Rose podobała się jego opiekuńczość w stosunku do najmłodszej siostry. Tej dziwnej dziewczynki. Aż do dzisiejszego wieczoru postrzegala Dolly wyłącznie jako dziecko płaczące się gdzieś w tle. Na dziw-

ną pannę wyrosła. Wysoką i niezgrabną. Jak flaming, nasunęło jej się nagle skojarzenie. Dym papierosowy unosił się w pomieszczeniu. Kamień z Rosetty... Jaka szkoda, że papa nie dożył niezwykłych wieści — o miasteczku, w którym mielono kawę. Mogliby wybrać się tam razem. Jeśli marzenia się spełniają, powiedział. Zdała sobie sprawę, że miał wtedy na myśli własne marzenia, i poczuła zimny powiew na karku, jakby po pokoju przeszedł duch. Trwało to ledwie chwilę. Spojrzała na książkę o hieroglifach, którą tak dobrze знаła.

Od lat nie myślała o słowach, cudzie pisania ani hieroglifach. Niemal zapomniała, iż kiedyś kochała słowa ponad wszystko. Wspominała spacerować z matką, kiedy była małą dziewczynką. Czytała notki z tablicy ogłoszeń przy kościele na Hanover Square, szyldy w oknach wystawowych sklepów na Bond Street, literowała w skupieniu tytuły książek na księgarskich wystawach. ENCYCLOPAEDIA BRITANNICA. Czemu ludzie przyjmują cud pisania jako coś oczywistego? Co sprawia, że nasze mózgi funkcjonują? Znowu pomyślała o księżnej Torrence kruszącej kawałki sera przy stole z tym promiennym zastygłym uśmiechem dobrej gospodyni. Zadrżała. Prawdziwy koszmar: siedzieć przy własnym stole, prezentując z uśmiechem widoczne oznaki szaleństwa.

Usiadła gwałtownie i odłożyła papierosa. Otworzyła książkę. Były w niej kopie hieroglifów: przeróżne ptaki, żuki, pszczoły, leżący lew. Piękne symbole. Wpatrywała się uporczywie w stronicę podobnie jak w dzieciństwie, kiedy miała nadzieję, że przez samo patrzenie rozszyfruje ich znaczenie. Tysiące lat temu pisał o nich pewien grecki uczonec. Ojciec czytał jej angielski przekład greckiego tekstu. Dziś czytała sama, mrużąc oczy. Przysunęła książkę bliżej świecy.

Jastrząb oznacza boga, wysokość, dół, doskonałość, krew oraz zwycięstwo. Boga, ponieważ ptak ten jest długowieczny i płodny, a także wydaje się zdolny do patrzenia prosto w słońce, czego nie potrafi żadne inne skrzydlate stworzenie. Wysokość, ponieważ inne ptaki, wznosząc się, pochylają się na boki, a jedynie jastrząb wznosi się w linii prostej, zachowując pozycję wertykalną. Dół, gdyż opada również w linii prostej bezpośrednio na cel, w

przeciwieństwie do pozostałych ptaków, które tego nie potrafią. Oznacza doskonałość, dlatego że zdaje się przewyższać wszystkie inne gatunki. Krew — z powodu powszechnej wiary, iż nie pija wody, a właśnie jedynie krew. Zwycięstwo, ponieważ jest w stanie odnieść je nad każdym skrzydlatym stworzeniem. Zaatakowany przez silniejsze, wznosi się nad nim i atakuje pazurami. Przeciwnik nie potrafi zrobić tego samego.

Uczony nie zdołał przetłumaczyć pozostałych hieroglifów. Rose i jej ojciec powątpiewali w jego teorię. Wątpili, by jeden symbol mógł mieć aż tyle znaczeń. Być może inne rasy ludzi myślały inaczej? Wpatrywali się zafascynowani w mały rysunek jastrzębia.

Rose przypominała rodzicom, że ona rozumie hieroglify. Do gwiazdki oznaczającej matkę i różę dla siebie samej dodała drzewo, które miało symbolizować ojca.

— Rozumiem ich sposób myślenia — powiedziała z dumą, kiedy miała lat trzynaście. — Oni piszą obrazkami.

Później stała się mniej dosłowna: ponieważ ojciec Fanny ciągle się śmiał, przypisała mu prosty symbol, uśmiechnięte usta.

Pomyśleć, że właśnie na początku nowego stulecia tajemnicze hieroglify rozpoczęły swą podróż przez ocean, magiczne rysunki, które milczały przez tysiące lat wyjawia swe sekrety, a Rose nosi to samo imię, co klucz do zagadki. Oczyma wyobraźni zobaczyła kamień z Rosetty na statku miotanym sztormem.

Jakie sekrety wyjawi kamień z Rosetty? Rozmyślała, przyglądając się tajemniczym symbolom. Czy wyjaśni tajemnicę powstania świata? Kim jest Bóg? Fanny by się ucieszyła. Czy po poznaniu treści tekstu uwierzy, że jej rodzice patrzą na nią z gwiazd? A może poznamy tajemnice ludzkiego serca? Zamknęła wreszcie księgę.

Ogień w kominku powoli wygasał. Rose myślała o swoim mężu, uroczym, przystojnym, idealnym Harrym Fallonie, który skrzywdził ją ponad

ludzkie pojęcie. Płakała na wieść o jego śmierci z rąk nieprzyjaciela w obcym kraju. Tak naprawdę opłakiwała swoją krzywdę i bolesną świadomość, do czego zdolny jest człowiek w stosunku do drugiego człowieka.

Chcieli, żeby wyprowadziła się z Wimpole Street. Miała mieszane uczucia. Przeżyła tu najlepsze i najgorsze chwile. Rozejrzała się po błękitnym salonie. Ze ścian przyglądali się jej biznesmeni i szlachta, wicehrabina Gawkroger siedziała za swym klawesynem, bohaterski Harry szczycił się swymi medalami. Popatrzyła na zegary nierówno wybijające godziny, by przypomnieć ludziom, iż nie mają pojęcia o naturze czasu. Oczywiście zabralaby ze sobą ukochany zegar z Italii. George miał plan, by wprowadziła się na Great Smith Street i dotrzymywała towarzystwa teściowej.

— Niedoczekanie! — zawołała na głos. Zabrała świecznik i ruszyła po schodach do swojej sypialni. Musi być przygotowana na odparcie ataku George'a i jego matki. Słowa szwagra wypowiedziane dzisiejszego wieczoru stanowiły ostrzeżenie. Czowała, jakby jej myśli spowijała dziwna mgła utrudniająca podejmowanie decyzji. Wyrzała przez okno swego pokoju, popatrzyła na płatki śniegu.

Ociągała się z pójściem do łóżka, gdzie czekały demony. Usiadła przy starym biurku mamy i po raz pierwszy od wielu miesięcy wyjęła z szuflady swój dziennik. Patrzyła na niego, jakby go nigdy wcześniej nie widziała. Powoli i starannie, jak to wcześniej wielokrotnie robiła, zaczęła pisać. „Dziś wieczorem dowiedziałam się o odkryciu starożytnego kamienia, który może uchylić rąbka tajemnicy na temat hieroglifów. Znaleziono go w miasteczku Rosetta, o którym opowiadał mi ukochany papa. Mieliśmy tam kiedyś wybrać się razem, jeśli marzenia się spełniają”. Nie napisała nic więcej. Schowała dziennik.

Po chwili sięgnęła po czystą kartkę papieru.

„Najdroższa Fanny” — zaczęła.

Ale przecież nie pisały już o uczuciach. Wpływ Horacego był widoczny w każdym liście, Rose niemal czuła zapach lawendy. Na wieść o poronie-

niach i śmierci jej męża poradził jej, by pogodziła się z wolą bożą. Czasem dodawał od siebie akapit napisany formalnym urzędowym językiem. Niemal zawsze pisał o swym starszym dziecku, najbardziej wyjątkowym chłopcu w historii ludzkości. Rose niemal wierzyła, że zostanie on arcybiskupem przed ukończeniem dziesiątego roku życia. O córeczce nie wspominał. Fanny twierdziła, że mała wygląda jak aniołek. Najwyraźniej oboje młodzi Harbottomowie zostali zesłani na plebanie prosto z nieba. Przez chwilę Rose znów ujrzała siebie i Fanny biegnące po moście nad Sekwaną. Dwie podekscytowane dziewczynki dzielące się z rodziną swym zachwytem nad światem. Były dziećmi, teraz są inne dzieci, przeszłość nie wróci.

„Najdroższa Fanny” — przeczytała. Jej najdroższa Fanny wciąż istniała, spotkała ją na pogrzebie papy. Straciły się nawzajem po wyjściu za mąż. Odłożyła kartkę i zaczęła się przebierać do snu.

Z szafki przy łóżku wyjęła buteleczkę opium. Na spokojniejszy sen.

Panna Dorothea Torrence zamknęła swojego pawia w małym pokoiku przylegającym do jej sypialni. Wcześniej opowiedziała mu wszystko, co się wydarzyło na przyjęciu. Paw skomentował to głośnym skrzeczeniem, rozłożeniem ogona i dziobaniem w kłamkę. Wytłumaczyła mu, że na dworze jest zimno, i próbowała zawinąć zwierzę w koc. W całym pokoju leżały małe odchody. Wreszcie sama zmarzła i zostawiła nadą— sanego ptaka w kącie pokoju. Jej pięknie ubrane roześmiane siostry i ich mężowie odjechali w swych powozach. Wysoka dziewczyna leżała w pościeli, tęskniąc za ciepłem kamienia. Krzyczał paw.

Dolly miała tylko czternaście lat i nikt nie zadbał o jej wykształcenie, ale ludzie byliby zdziwieni tym, jak dużo wiedziała. Na przykład, czym są hieroglify. Widziała mistyczne nieprzetłumaczalne obrazki w jednej z książek ojca. Spędzała bardzo pożytecznie godziny w jego bibliotece, kiedy wyjeżdżał z miasta. Matka twierdziła, że na pewno jeździ cudzołożyć ze swoimi ladacznicami. Czytała wszystko, co jej wpadło w ręce. „Pamelę”, „Hi-

storię życia Toma Jonesa", a ze szczególnym zainteresowaniem „Pamiętniki Fanny Hill", z której na początku niewiele zrozumiała, lecz wiele się potem nauczyła. Czytała mnóstwo książek o dawnych bitwach, astronomii, wiersze Aleksandra Pope'a. Obejrzała z zaciekawieniem należącą do ojca kolekcję obrazków przedstawiających nagie kobiety robiące dziwne rzeczy sobie nawzajem i mężczyznom. Znalazła ją, kiedy miała dwanaście lat. Często je oglądała, nikt o tym nie wiedział. Podobnie jak nikt nie miał pojęcia o tym, że zapoznała się dokładnie z treścią „Aristotle's Master— — Piece" i „Tableau de l'Amour Conjugal". Wiedziała, czym są hieroglify. Jak wspaniale, że Rose Fallon ma naprawdę na imię Rosetta! Gdybym tak mogła być Rose Fallon zamiast sobą. Znow pomyślała o drobnej zmarszczce na czole Rose, fascynującej, nadającej jej wygląd myślicielki zgłębiającej tajemnice świata. Co to za tajemnice? Czy kamień z Rosetty im je wyjawia? Czy Dolly wyjdzie za mąż za tłumacza? Te i podobne myśli chodziły jej po głowie, kiedy zasypiała.

Śniła o kamieniu z Rosetty. Unosiła się w przestrzeni międzyplanetarnej razem z leciutkim, pięknym, błyszczącym czar nym kawałkiem skały. Bez trudu odczytywała wyryte na nim słowa. Ptaki, zwierzęta i ludzie przemawiali do niej, wyjawiając treść zapisu. Jeszcze ktoś unosił się wraz z nią w powietrzu. Mężczyzna w turbanie i długiej szacie. Był jeszcze wyższy niż Dolly. Dziewczynka przysunęła się do niego bliżej.

Ann, markiza Allswater, patrzyła za powozem, którym odjeżdżał jej mąż i jego przyjaciel. Jej mąż i jej przyjaciel. Potrzebowała pomocy George'a Fallona. Przyglądała się wirującym płątkom śniegu.

— Zmuś go! — szepnęła mu do ucha dziś wieczorem. — Nie ma innego wyjścia!

Piła brandy w swoim pokoju, by złagodzić ból zębów. Przednich zębów, których w żadnym wypadku nie mogła jeszcze usunąć.

Przed dzisiejszą kolacją książe Hawksfield, brat księżnej Torrence, chwycił ją za ramię i powiedział cicho:

— Pozwól, moja kochana. William powrócił, a więc z niecierpliwością oczekuję wieści o potomku. Byłaby wielka szkoda, gdybyśmy musieli cię pożegnać.

Niefrasobliwemu tonowi głosu towarzyszył lodowaty uśmiech. To była najprawdziwsza groźba. Wszyscy wiedzieli, że jej teść, książę Torrence, jest głupcem, a teściowa postradała zmysły. Książę Hawksfield, niezwykle wpływowy człowiek, decydował o wszystkim w rodzinie. Czyżby Rose została kandydatką na jej zastępczynię? Ann zadrżała, bynajmniej nie z zimna, choć w sypialni, jak zawsze zimą, panował chłód mimo ognia w kominku. Sama pochodziła ze znamienitej rodziny. Wszyscy cieszyli się ze ślubu, łącznie z księciem Hawksfield. Jednak jej pozycja jako kolejnej księżnej Torrence nie będzie stabilna, póki nie urodzi męskiego potomka. Musi zająć w ciążę, nim usunie przednie zęby.

Brandy nieco złagodziła rwący ból.

Pokojówka pomogła jej zdjąć biżuterię. Klejnoty należały do niej, wniosła je do rodziny w posagu, podobnie jak wiele innych rzeczy. Popatrzyła w lustro. Wszyscy wychwalali jej urodę. Spłodzenie syna nie powinno być takim poświęceniem dla Williama. Coraz rzadziej do niej przychodził, choć również pragnął dziedzica. Oglądała swoje odbicie ze wszystkich stron. Pięknie wyglądała w świetle świec, jak każdy. Podeszła do okna. Zwróciła dziś uwagę na uśmiechy posyłane przez nowego wicehrabiego Gawkrogera w stronę Dolly. Sama odsłoniła w uśmiechu zęby, które mniej bolały dzięki brandy. Śnieg delikatnie opadał na korony klonów za szybą. Wicehrabia Gawkroger pomoże przyszłej księżnej Torrence. Napiała się jeszcze brandy. A ona pomoże jemu. Tak się umówili.

W bożonarodzeniowy poranek z wizytą na Wimpole Street zawitali przyjaciele zmarłego ojca Rose, dwóch dżentelmenów, wojskowych, którzy pamiętali naukę czytania Rose i byli adresatami jej pierwszych listów. Przed wielu laty zawsze przychodzili na Brook Street w Boże Narodzenie z drobnymi upominkami dla Rose. Matka częstowała ich plackiem śliwkowym i grzany winem, po jej śmierci robiła to sama Rose. Wizyty skończyły się wraz ze ślubem dziewczyny. Tego roku starzy przyjaciele ojca przysłali list z zapytaniem, czy zgodzi się wrócić do dawnego zwyczaju. Rose zapłakała po jego przeczytaniu.

Mattie lukrowała ciasto.

— Chciałabym spędzić dzień z moją mamą i matką Korneliusza Browna — powiedziała.

— Oczywiście — zgodziła się Rose. — Wszyscy mają dziś wychodne.

— Co pani będzie robić?

— Po raz pierwszy nie muszę iść do Gawkroger Hall. Już samo to wprawia mnie w świąteczny nastrój!

— Nie zabawię długo. Dostałam wiadomość — wyjawiała tajemniczo.

— Jaka?

— Korneliusza Browna widziano w Italii. Został kupcem, kupuje i sprzedaje różne rzeczy! Mieszkał w Egipcie i zamierza! tam wrócić po wyjeździe wojsk!

— Wielkie nieba!

— To pierwsza wiadomość, jaką teściowa dostała od czasu jego ucieczki. Co nie znaczy, że musi być prawdziwa.

Rozległo się pukanie do drzwi. Starzy marynarze przynieśli Rose upominki, jakby nadal miała siedem lat, a nie dwadzieścia trzy. Mattie, która dobrze ich znała, uśmiechała się przyjaźnie, podając ciasto i grzane wino. W powietrzu unosił się zapach przypraw i tytoniu. Na zewnątrz padał śnieg, wkrótce zobaczyli za oknem Mattie w kapeluszu i szalach idącą w stronę Ludgate Hill. Padło wiele ciepłych słów na temat rodziców Rose, po czym panowie z wielką powagą spyтали Rose, czy chce poznać szczegóły śmierci męża, które ich zdaniem znać powinna.

Była zdumiona.

W niebieskim salonie przy kominku Rose dowiedziała się, że jej pochowany z wojskowymi honorami Harry zginął z rąk krewnego zbezczeszczonej kobiety. Pobladła, ale nie zapłakała ani nie próbowała zaprzeczać.

— Rozumiem — powiedziała tylko.

— Długo się zastanawialiśmy, czy wyjawić ci prawdę — mówili z troską, ale bez protekcyjnego tonu. — Twój ojciec pragnąłby, abyśmy ci towarzyszyli i wspierali w życiu. — Mężczyzna odchrząknął, szukał właściwych słów. — Wiemy, że miał zastrzeżenia do rodziny Fallonów. Ich poczucia wartości moralnych. Na łożu śmierci poprosił nas, byśmy cię pilnowali.

— Czy Fallonowie wiedzą?

Starszy pan wzruszył ramionami.

— Zakładamy, że tak. Mają swoje kontakty. Nie tylko oni pragną wyciszyć sprawę! Odnieśliśmy spektakularne zwycięstwo pod Abu Kir, doskonały generał stracił życie, negocjowano warunki kapitulacji Francuzów... Jednym słowem działo się w tym czasie wiele ważnych i doniosłych rzeczy. Na ich tle śmierć Harry'ego Fallona to jedynie niefortunny incydent, który powinien jak najprędzej pójść w zapomnienie. Z tego powodu, a także ze względu na ciebie i twego ojca, pogrzeb odbył się z wszelkimi hono-

rami. Oczywiście marynarze rozmawiają między sobą, wiedzą, jak było naprawdę.

— Oczywiście.

— Problem polega na tym, iż młoda kobieta zamieszana w tę sprawę to Egipcjanka przyrzeczona przez ojca tureckiemu dygnitarzowi. Zarówno Turcy jak i Egipcjanie poczuli się upokorzeni i dali upust wściekłości, a nasze stosunki z nimi już wcześniej były napięte. Prowadziliśmy negocjacje. Ze względu na okoliczności woleliśmy uniknąć rozgłosu. Dziewczyna nie była... — Odchrząknął. — Jak by to powiedzieć... z ulicy. Pilnie jej strzeżono, ale któregoś dnia pozwolono jej na spacer po gajach pomarańczowych ojca, stamtąd została porwana. Po śmierci twojego męża dla jej bezpieczeństwa umieściliśmy dziewczynę w domu pewnego angielskiego kupca. W przeciwnym razie niechybnie straciłaby życie. To dla nich sprawa honoru. Cała sprawa jest wielce wstydliva.

— A teraz?

— Większość Brytyjczyków opuściła Aleksandrię, kupcy są pozbawieni ochrony, panuje chaos. Jesteśmy bliscy wycofania stamtąd naszego konsula. Dotarły do nas pogłoski, że Egipcjanie żądają wydania dziewczyny. Być może w celu uniknięcia dalszych zamieszek trzeba będzie spełnić ich żądanie. Bez armii nie mamy wyboru. Biedna dziewczyna. Zostanie oczywiście zamordowana. Taką mają tradycję.

— Biedna dziewczyna — powtórzyła Rose.

— Nic nie możemy zrobić. Prawdopodobnie nie poznamy nawet zakończenia tej smutnej historii. Grzechy twego męża rzuciły jednak długie cienie. Podkopały honor brytyjskiej armii.

Rose przemknęło przez myśl, co też starsi panowie powiedzieliby o Podniebnym Klubie.

Siedziała blada i milcząca. Oni czekali, poważni i nieruchomi.

— Fallonowie mają obsesję na punkcie swojej pozycji — powiedziała wreszcie. — Mit o bohaterskiej śmierci Harry'ego ma dla nich ogromne znaczenie. Nie obchodzi ich los jakiejś dziewczyny.

Dżentelmeni skinęli głowami.

— Zdajemy sobie z tego sprawę. Nielekko nam mówić o jej cierpieniach.

Rose dołała wina i dokroiła ciasta. Jednak nikt nie tknął jedzenia ani trunku, wszyscy pograżyli się w ponurych myślach o dziewczynie z Aleksandrii. Rose wiedziała, że chcą powiedzieć coś jeszcze, ale się wstydzą.

— Nic mi nie jest — zapewniła. — Zdawałam sobie sprawę z zainteresowania mojego męża innymi kobietami.

— Moja droga, pewnie się zastanawiasz, czemu obarczamy cię takimi nieprzyjemnymi informacjami. Nic nie możemy zrobić i pewnie nigdy nie poznamy zakończenia sprawy, jak już mówiłem. Nie chodzi o tę biedną kobietę, lecz o ciebie. Choć starałaś się to przed nim ukryć, twój ojciec wiedział, że jesteś nieszczęśliwa. — Rose wciągnęła ze świstem powietrze. — Martwił się — i tu przechodzimy do sedna sprawy — o ich uczciwość względem ciebie. Szczególnie obawiał się obecnego wicehrabiego Gawkrogera. — Panowie odchrząknęli z zakłopotaniem i poprawili się na krzesłach. — Jako wdowa zasługujesz na szacunek i opiekę rodziny męża. Zwłaszcza że twoi rodzice zmarli, a wuj wyjechał do Indii.

Rose milczała przez parę chwil.

— Ojciec zabezpieczył mnie finansowo — mówiła wolno. — Jestem mu za to dozgonnie wdzięczna. Dzięki jego mądrości mogę się sama o siebie zatroszczyć.

— Aczkolwiek Fallonowie mogą mieć własne plany co do twojej przyszłości. Wicehrabia Gawkroger jest człowiekiem pozbawionym skrupułów. Możesz potrzebować silnych argumentów do przekonania tych ludzi, by traktowali cię z należyтым szacunkiem.

Popatrzyła na nich ze zdumieniem.

— Mam nadzieję, że sytuacja nie jest aż tak poważna. Mieszkałam z tą rodziną kilka lat, trudno mi uwierzyć, aby byli zdolni do uczynienia mi fizycznej krzywdy! Najgorsze, czym mi do tej pory grozili, to przeprowadzka do nich. Nie zgodzę się — dodała pospiesznie.

— Pragniemy jedynie dać ci argumenty na wypadek, gdybyś musiała się bronić. — Wreszcie zrozumiała. Dawali jej do ręki broń. Oczywiście Harry był wspominany przez rodzinę jako bohater wojenny, zamówiono już obraz na jego cześć. — Jeśli okaże się to konieczne, poprzemy cię. Długo się zastanawialiśmy przed podjęciem tej niecodziennej decyzji. Jeśli twój ojciec pomylił się w ocenie rodziny twego zmarłego męża, będziemy się jedynie cieszyć.

— To bardzo uprzejme — odparła z wahaniem Rose. — Dziękuję. — Uśmiechnęła się do nich, wszyscy się nieco odprężyli i przenieśli uwagę na zastawiony stół. — Proszę się częstować. Zapewniam, że w razie jakichkolwiek kłopotów zasięgnę rady panów. Tego zapewne życzyłby sobie mój ojciec.

Starsi panowie z ulgą odwzajemnili uśmiech, po czym zabrali się do jedzenia i picia. Rozmawiali o wspólnych znajomych, wojsku, nadziejach na pokój z Napoleonem i znów o ojcu. W błękitnym salonie zabrzmiał nawet śmiech, kiedy wspominali niektóre z jego przygód. Dżentelmeni wychodzili z uśmiechem na ustach.

— Zawsze będziemy do dyspozycji, gdybyś potrzebowała naszej pomocy — zapewnili na pożegnanie.

Wyszła na zewnątrz, w śnieg, aby im pomachać.

— Wracaj do środka, kochana dziewczyno — nalegali. Nie odeszli, póki nie spełniła ich prośby. Wykonywali gesty, jakby zaganiali kurczaka. Śnieg padał na ich siwe głowy i granatowe płaszcze.

Słuchała ciszy pustego domu. Mattie wyszła, służba również.

Zapaliła jednego ze swoich cienkich papierosów. Wspominała pogrzeb. Nawet wicehrabina milczała, a George Fallon płakał. Myślała o Harrym i Egipcjance zasłuchana w ciszę.

Zgasiała papierosa na portrecie obwieszonym medalami kapitana Harolda Fallona.

*

W drugi dzień świąt czternastoletnia Dolly Torrence obudziła się zaru-
mieniona, ze wspomnieniem kolejnego snu o bardzo wysokim mężczyźnie
w turbanie. Widywała w gazetach zdjęcia dzikich Turków z wielkimi mie-
czami. To nie jej wina, że jeden z nich pojawił się w snach. Postanowiła
zapisać sen w ocenzurowanej wersji. Nigdy wcześniej nie zapisywała w
dzienniku marzeń sennych, jedynie wydarzenia dnia. Ostatnimi czasy po-
święcała jednak szczególną uwagę swemu pamiętnikowi. Zauważyła kilka
razy, że zakładka zmieniła miejsce. Na początku zgañała się za wymyślanie
niestworzonych historii, jednak pewnego dnia zapamiętała dokładnie, jak ją
zostawiła. Potem już nie miała wątpliwości, że ktoś zagląda do dziennika.
Poczuła dumę i ciekawość, jednocześnie starała się pisać jak najbardziej
zajmująco. Miała nadzieję, iż to William czyta jej zapiski, gdyż wszystko
zaczęło się od jego powrotu. Zapewnianie rozrywki ukochanemu bratu było
dla niej najwyższym zaszczytem. Może jednak zachowa sen o Turku dla
siebie.

Dolly szybko się ubrała i poszła do pokoju matki. Poranki były najtrud-
niejsze. Księżna budziła się zdezorientowana i wystraszona. Jej stan się po-
garszał. Nie rozpoznała Williama, kiedy wrócił do domu z długich wojaży.
Choć Dolly miała dopiero czternaście lat, dobrze widziała, jakie wrażenie
na jej bracie zrobiło to, że nie został rozpoznany przez własną matkę. Na
pozór wszystko wyglądało normalnie, księżna Torrence uśmiechała się do
syna przez stół, żona rzucała żartobliwe uwagi... Każdego ranka Dolly spę-
dzała godzinę z mamą, namawiając ją do picia indyjskiej herbaty, która po-
dobno stymuluje umysł.

I mówiła. Opowiadała o podróżach Williama, kuzynach i ciotkach, wizytach na wsi, nawet balach, które zawsze były dla matki ważniejsze od własnej córki. Tłumaczyła samej sobie, że pragnie pomóc księżnej odzyskać kontakt z rzeczywistością. Po raz pierwszy w życiu zasłużyła na tyle uwagi. Chwyciła swoją szansę zachłannie. Mówiła, mówiła i mówiła. Czasem, w gorsze dni, opowiadała bajki, jak dziecku. Bajki, które tak bardzo pragnęła kiedyś usłyszeć od mamy, a musiała zadowolić się własną wyobraźnią i opiekunkami. Dolly była szczęśliwa jak nigdy dotąd, ponieważ wcześniej matka uważała swą córkę za zbyt wysoką i nudną, aby poświęcać jej czas.

Księżna krzyknęła na jej widok.

— Kim jesteś? — Patrzyła na nią z przerażeniem.

Serce Dolly ścisnęło się z bólu i lęku. Zobaczyła w oczach matki coś, czego wcześniej nie było. Strach. Dolly również się bała. Chwyciła ją za rękę.

— To ja, Dolly. Twoja córka. Przyszłam z tobą porozmawiać. Jak co dzień.

Jednak matka tylko przeczesywała dłonią przerzedzone włosy. Raz po raz, jak miała w zwyczaju w chwilach wielkiego wzburzenia. Dolly zadzwoniła po pokojówkę.

— Poczytać ci, mamó? — zaproponowała nerwowo. — Opowiedzieć bajkę? Lubisz bajki.

Przyszła pokojówka i wspólnie zaczęły ubierać księżną.

— Pewnego razu... — zaczęła Dolly. — Była sobie piękna królewna. Miała na imię Rosetta...

— Kim jesteście? — zawołała głośno pani Torrence. Ogarnięta paniką odepchnęła córkę i służącą. Krzyczała coraz głośniej z wielkim przerażeniem. — Kim wy wszyscy jesteście?

Wystraszona Dolly powiedziała bezradnie:

— Usiądź przy kominku, mamó.

Jej matka szarpała swoje włosy i ubranie. Rzuciła się do drzwi. Dolly dała znak pokojówce, żeby sprowadziła pomoc. Zbiegła po schodach, głośno wołając ojca. William z pewnością już wyszedł, a Ann nigdy nie wstała przed południem. Nadbiegła służba, ale ojciec nie przyszedł. Książę Torrence siedział w swej bibliotece pogrążony w lekturze jednej ze swych „specjalnych książek”. Ilustrowany przekład z francuskiego „Szkoły Wenus”.

— Ojczy?

— O co chodzi? — spytał, nie podnosząc wzroku znad kartek.

— Ojczy, ojczy, chodź szybko. Z mamą gorzej. Ona... — Dolly wybuchnęła płaczem.

— No, co tam, Dolly? — Książę niechętnie zamknął książkę. Dziewczyna histeryzowała bardziej niż zwykle. Czemu ktoś nie zrobi z nią porządku?

— Mama... nie poznaje mnie.

— Ależ z pewnością, Dolly... — wymamrotał niepewnie. Westchnął. To nie była rozmowa dla mężczyzny.

— Ojczy, nie poznała Williama, a teraz mnie traktuje jak obcą. Jestem przerażona. Musisz do niej pójść. Ciebie pozna i może się uspokoi.

Niechętnie wziął córkę pod ramię i udał się wraz z nią do sypialni żony. Księżna zobaczyła w nim jedynie brzydkiego staruszka.

Miesiąc później zmarła. Pochowano ją w znamienitym towarzystwie, w Opactwie Westminsterskim. Na pogrzeb przyszło wiele osób. Torrence'owie bliscy byli co prawda finansowej ruiny, lecz nadal liczyli się w najlepszych kręgach. Zjawił się nawet książę Walii oraz księżęta Clarence i

Kentu wraz z matką, Charlotte. Tuż za nimi kroczył brat zmarłej, książę Hawksfield. Mąż, syn oraz córki ubrani byli w czerń. Ludzie komentowali wygląd najmłodszej, której blada twarz górowała nad głowami pozostałych w bardzo dziwny sposób. W jednej z ostatnich ławek siedział wicehrabia Gawkroger w towarzystwie matki i siostry.

Napis na nagrobku głosił: TU SPOCZYWA LYDIA, UKOCHANA ŻONA JAMESA, KSIĘCIA TORRENCE.

Nagrobki nie zawsze mówią prawdę.

*

Trwała mroczna zima, zaczął się luty. Toczyły się negocjacje warunków traktatu pokojowego. Rose kupiła sobie nowe okulary i znów zaczęła czytać. Odesłała uszkodzony portret męża na Great Smith Street z listem: „Z pewnością zechcecie zatrzymać tę ostatnią podobiznę”.

Stopniowo dni zaczęły stawać się coraz dłuższe. Nagłówek w gazecie oznajmił: KAMIEŃ Z ROSETTY ZNALEZIONY W EGIPCIE PRZEZ DZIELNYCH ŻOŁNIERZY JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI ZAWITAŁ DO PORTSMOUTH.

Cały kraj ogarnęła radość.

Wszystkie gazety donosiły o okiełznaniu niezrównoważonego Napoleona: wojna się skończyła! Jeszcze przed oficjalnym podpisaniem traktatu w Amiens Anglicy zaczęli zjeżdżać do swego ulubionego miasta, Paryża.

W kawiarniach rozmawiano z przejęciem o hieroglifach. Gazety pisały o rozpoczęciu prac nad ich tłumaczeniem. Francuzom naturalnie się nie powiodło, kamień z Rosetty należał teraz do Brytyjczyków i wkrótce miał zostać udostępniony zwiedzającym muzeum.

Świat czekał z zapartym tchem na poznanie tajemnic kosmosu.

Coś zaszło między Rose Fallon a jej szwagrem. Tylko oni wiedzieli, o co chodzi, i milczeli na ten temat.

Zjawił się pewnego wieczora, niezapowiedziany. Uważał się za człowieka, którego nic nie jest w stanie zaskoczyć, tymczasem spotkała go niespodzianka. Służąca wprowadziła go do błękitnego salonu, natychmiast wyczuł dym papierosowy. Z jakiegoś powodu wprawilo go to w nie lada popłoch. Papierosy palili tylko złodzieje i marynarze, rzadko dżentelmeni, którzy raczej wybierali fajki. Kogo Rose przyjmowała przed jego przyjściem? Czyżby już planowała ponowne zamążpójście? Wykluczone, wciąż powinna nosić żałobę po jego bracie. Należała do rodziny Fallonów, dostała od nich nazwisko, George miał wobec niej pewne plany. Zerknął w lustro i poprawił baczki. Podszedł do okna. Wszędzie książki, pomyślał z irytacją, bezwartościowe babskie czytadła. Smugi dymu unosiły się wokół. Zdusił gniew i ukrył zaskoczenie. Jakkolwiek był wściekły, potrzebował Rose. Chodził nerwowo po pokoju.

Bratowa weszła w chwili, gdy wyjmował z kieszeni złotą tabakierę. Usiadł na sofie przy kominku i wyciągnął nogi.

— Nie spodziewałam się ciebie, George — przywitała go Rose. Nie mówiła prawdy. Oczekiwała jego wizyty od świąt. Starannie przemyślała tę rozmowę. Serce waliło jej jak młotem. To miała być pierwsza konfrontacja z rodziną zmarłego męża.

Pokojówka przyniosła kawę. George'a załapała kolejna fala irytacji. Mężczyźni pili kawę w klubach, przy poważnych rozmowach o polityce. Nie pijali kawy w salonach dam.

Rose zajęła się poczęstunkiem. Wicehrabia milczał niecodziennie speszony. Wdychał dym z papierosa nieznanego gościa.

Wręczyła mu filiżankę i usiadła naprzeciwko, w fotelu.

— Widziałeś się z Dolly? Bardzo mi jej żal. Wyglądała na zdruzgotaną śmiercią matki.

George odstawił filiżankę. Mężczyźni nie piją kawy w filiżankach. Było mu niewygodnie na zbyt miękkiej sofie.

— Księżna całe życie zaniedbywała córkę, a potem potrzebowała jej opieki, kiedy zwariowała. Kapryśna Dolly wpadła w zachwyt, że ma wreszcie do kogo mówić. Nie przeszkadzało jej nawet, że nikt nie słuchał.

Rose poczuła ukłucie żalu na myśl o samotnym dziecku.

— Rozmawiała z tobą o swoich uczuciach? — spytała z ciekawością.

George uśmiechnął się z wyższością.

— Powiedzmy, że jestem jej powiernikiem — odparł niejasno. — Poradzi sobie z tą stratą. Masz okazję, by jej pomóc. — Bez uprzedzenia zmienił temat: — Uzgodniliśmy z matką, że czas, abyś wprowadziła się do nas, do Gawkroger Hall, gdzie twoje miejsce. A wkrótce wszyscy przeprowadzimy się na Berkeley Square.

— Berkeley Square? Wspaniała okolica.

— W rzeczy samej. Słuchaj, byliśmy cierpliwi. Rozumiemy twoją żalobę. Naturalnie przeżywamy też własną. Nie możesz jednak dłużej mieszkać sama bez szkody dla reputacji Harry'ego.

Rose nie odpowiedziała od razu. Odstawiła filiżankę i wyprostowała się.

— Reputacja twego brata jest u mnie bezpieczna — powiedziała wreszcie.

Ręka trzymająca tabakierę zatrzymała się w pół drogi do nosa. Zaskoczył go dobór słów i ton. Tym razem to Rose zniecierpliwiona zmieniła temat.

— Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę na własne oczy kamień z Rosetty. Nie wiesz, kiedy wystawią go w Muzeum Brytyjskim?

Przyjrzał jej się bacznie, zażył tabaki.

— Na razie jest w Stowarzyszeniu Antykwariuszy, badają go naukowcy.

— Czy udostępniono powszechnej opinii grecki tekst? Wiele bym dała, aby go przeczytać!

— Trafi! w ręce najwybitniejszych językoznawców do przetłumaczenia. Następnie zacznie się prawdziwa praca nad od— kodowaniem hieroglifów. Z pewnością niedługo poznamy wyniki. Czemu cię to interesuje? Czy dlatego, że kamień nosi twoje imię? — Rozpoznała kpinę w jego głosie. — Starożytny język faraonów! Niezbyt odpowiednia pasja dla kobiety. — Po czym znów bez uprzedzenia zmieni! temat: — Życzymy sobie z mamą, byś się do nas wprowadziła, Rose. Takie jest prawo. Jako wdowa po moim bracie możesz mieszkać w moim domu... — Uśmiechnął się chytrze.

— Ale nie muszę, George. Powinieneś znaleźć sobie żonę, teraz ty jesteś wicehrabią Gawkroger. Nie mogę spełniać obowiązków twojej żony.

Poderwał się gwałtownie.

— Oczywiście, że się ożenię w razie potrzeby. Poczyniłem już odpowiednie kroki.

Temat z jakiegoś powodu napełniał go obrzydzeniem. Wyobraziła sobie swój własny los, gdyby postawił na swoim. Uwolniony od apodyktycznej, wymagającej matki odwlekałby decyzję o ślubie. Rose zaś musiałaby stawić czoło niezliczonym nudnym spotkaniom towarzyskim ze starszymi paniami o wypudrowanych, uróżowanych twarzach w czepkach z podocze pianymi sztucznymi lokami. Wysłuchiwałaby plotek na temat rodziny królewskiej i narzekania na dzisiejszą młodzież. A przede wszystkim niekończących się monologów teściowej. George Fallon lawirowałby w tle, śliski jak wąż. Nie zniosłaby takiego życia.

Wytrzymała jego spojrzenie.

— Wasze zaproszenie to dla mnie zaszczyt. Nie mam jednak potrzeby z niego korzystać: nie jestem ani frywolną młodą dziewczyną potrzebującą przyzwoitki, ani starą panną, którą trzeba zabawiać. Jestem... byłam zamężną kobietą. Moje życie się zmieniło. Nie mogę tego cofnąć, George.

— Wymagam tego, Rose — powiedział aksamitnym głosem. — Wymagam i tak ma być. Nie jesteś mężatką, tylko wdową. Należysz do nas, twoja przyszłość znajduje się w naszych rękach. Nie chcę się jeszcze żenić, jeżeli nie muszę. — Wziął z półki książkę i przeczytał tytuł. — „The Old Manor House” autorstwa pani Charlotte Smith. Hmm... — Popatrzył na nią chytrze. — Wiesz, co mówią o młodych damach czytających powieści w swoich pokojach, Rose?

— Naturalnie. „Czytanie powieści ma zły wpływ na nieukształtowany umysł, daje nieprawdziwe wyobrażenie o życiu i prowadzi do wielkiej frywolności wśród młodych dziewcząt”.

— A więc teraz nazywają to frywolnością? Istnieją również inne określenia na to, co robią podniecone młode dziewczęta w swoich pokojach! — Roześmiał się nieprzyjemnie.

Rose odwróciła wzrok. Jak on śmiał mówić do niej w ten sposób? A jak ona śmiała rozumieć, co miał na myśli? Znała odpowiedź. Ponieważ była żoną jego brata, który nauczył ją wielu rzeczy. George sięgnął po kolejną książkę, bardzo stary tom o egipskich hieroglifach. Odłożył go bez słowa komentarza.

— Wiem, że twój ojciec przepisał ci pewną sumę, jednak ten dom należy do Fallonów. Mam zamiar go sprzedać. Rezydencja na Berkeley Square jest wystarczająco duża dla nas wszystkich. Nie urodziłaś dziedzica, więc twoja pozycja w rodzinie nie należy do zbyt silnych.

Miał pod nosem idiotyczne białe ślady od tabaki. Zebrała całą odwagę i podziękowała w duchu kolegom ojca za informację, w którą ją uzbroili.

— Przykro mi z powodu braku męskich potomków w rodzinie — odparła zimno. — Sam będziesz musiał temu zaradzić. Naturalnie zdaję sobie sprawę, że nie mogę tu dłużej mieszkać. Wdzięczna jestem za uszanowanie mojej żałoby, dziękuję, że pozwoliłeś mi u siebie mieszkać tak długo. Jestem gotowa się wyprowadzić w każdej chwili.

Uśmiechnął się lekceważąco.

— Fallonowie to potężna rodzina, Rosetta mia. I bajecznie bogata. Mamy do dyspozycji najlepszych prawników, którzy przyjrzą się bardzo, bardzo uważnie twojej sytuacji. Możemy podważyć twoje prawa do spadku po ojcu.

Po raz pierwszy zdołał ją wyprowadzić z równowagi. Zauważył jej wzburzenie. Kluczem, jak w każdej sytuacji, były pieniądze.

— Harry zrzekł się praw do pieniędzy — powiedziała ze złością. — Uzgodnili to z moim ojcem. Nie masz prawa się wtrącać.

— Harry wiedział, jak bardzo go kochałaś. Był przekonany, że bez trudu przekona cię, abys mu wszystko oddała, gdybyśmy uznali to za stosowne. — Wpatrywała się w niego zgorszona. — Z drugiej strony, jeśli się do nas przeprowadzisz, twoja własność pozostanie nienaruszona. Naturalnie

pragniemy dla ciebie jedynie tego, co najlepsze. — Stał w świetle świecy na tle okna z lekkim uśmiechem na ustach. Skojarzył jej się z opowieściami o złym królu. Który oczywiście zawsze przegrywał. Jak on śmie mi grozić! Jak śmie udawać! Starsi panowie mieli rację.

Wzięła głęboki oddech i odezwała się spokojnie, siedząc bardzo prosto.

— Jeżeli nie uszanujesz ostatniej woli mojego ojca, George, rozgłoszę po mieście, że twój brat nie zginął jako bohater w bitwie pod Abu Kir, lecz z rąk opiekuna zhańbionej kobiety na ulicy Aleksandrii. — Wicehrabia wciągnął ze świstem powietrze. — Incydent stanowi plamę na honorze brytyjskiej armii. Nie dość, że dziewczyna był Egipcjanką, to w dodatku zaręczoną z jednym z panujących Turków. To z pewnością wywoła skandal.

George znieruchomiał. Nie widziała jego twarzy, jednak wściekłość była wręcz wyczuwalna w powietrzu. Zegary zaczęły wybijać dwudziestą pierwszą. Rose zauważyła, że ściska oparcie fotela. Zmusiła się do rozluźnienia uchwytu i położyła ręce na kolanach.

Odezwał się dopiero po umilknięciu zegarów. Głos miał niski, przepętniony złością i nienawiścią.

— Egipcjanie są barbarzyńcami, Turcy też. Wszyscy, co do jednego.

Nie mogła okazać strachu. Byłaby zgubiona. Odpowiedziała natychmiast.

— Twój brat był, jak sam wiesz... — Przerwała, szukając odpowiedniego słowa. — Niedyskretny.

Ponownie zapadła cisza. Przez chwilę wydał jej się podobny do Harry'ego, kiedy tak stał pod oknem. George był przystojny, jednak w jakiś dziwny sposób. Poza tym, mimo młodego wieku, wydawał się bardzo niebezpieczny. Widziała, że ledwie nad sobą panuje. Spóźniony zegar zaczął wybijać dziewiątą.

— Skąd to wiesz?

— A ty wiedziałaś, George?

Milczał, więc uznała, że tak. Pewnie od Williama, który przecież też był w Egipcie w tym czasie.

— Prawdopodobnie dowiedzieliśmy się w podobny sposób: od innych żołnierzy. Lord Nelson i lord Abercrombie byli obecni na pogrzebie mojego ojca. Nie zapominaj, że jestem córką szanowanego admirała. — Zaskoczyła go. — Miałam gości w święta.

Rose widziała, z jakim wysiłkiem George nad sobą panuje.

— Dziwny to prezent świąteczny — burknął.

— W istocie — przyznała.

W głowie George'a toczyła się gonitwa myśli. Ile osób zna okoliczności śmierci Harry'ego? Taki skandal może zrujnować wszystkie plany. W żadnym wypadku nie może pozwolić Rose użyć tych informacji. Podszedł bardzo powoli do szwagierki. Stał tak blisko, że czuła zapach tabaki. Trzeba ją przynajmniej przekonać do wyjazdu do Paryża. Popatrzył na nią z góry.

— Mogę dla ciebie zdobyć tłumaczenie tekstu wrytego na kamieniu z Rosetty, Rosetta mia — powiedział cicho.

Oczy jej załśniły przez chwilę, starała się ukryć zainteresowanie.

— Nie życzę sobie mieszkać z tobą i twoją matką, George.

— Zapomnijmy o tym na razie. Matka bardzo pragnie wybrać się do Paryża. Teraz, kiedy wojna dobiegła końca. To samotna staruszka. Lubi twoje towarzystwo. — Było to kłamstwo. Wicehrabinie Gawkroger nie zależało na obecności synowej, lecz syna. Jednak potężny stary książę Hawksfield podejmował większość decyzji dotyczących rodziny Torrence'ów. Zarządził, że czternastoletnia Dolly nie będzie mogła dołączyć do wyprawy, o ile nie pojedzie z nimi Rose. Nikt nie wiedział, co skłoniło księcia do posta-

wienia takiego ultimatum. Najwyraźniej uważał Rose za odpowiednią towarzyszkę dla siostrzenicy, której brakowało dobrego przykładu i stymulacji intelektualnej. Ann wpadła w furję. Cóż ten starzec sobie wyobrażał! Przecież ona tam będzie. I rodzony brat Dolly. George chciał, żeby Dolly pojechała do Paryża i rozpoczęła prawdziwą edukację. Księżę nigdy nie zmieniał zdania, należało przekonać Rose do wyjazdu.

— Czy twoja matka wie o Harrym?

— Broń Boże! — krzyknął ze złością. — To by ją zabiło! Uszanuj chociaż to!

Rose wpatrywała się w niego bez słowa.

— Jak już mówiłem, mama cię potrzebuje. Jedź z nami do Paryża.

Rose pomyślała przez chwilę o sobie i Fanny biegnących przez most Pont Neuf z okrzykiem *La belle France*, katedrze Notre Dame, modnych Fancuzkach. Podobno tyle krwi się tam polało... Raczej nie odważyłaby się na samotną podróż. Zobaczyć Paryż po tych wszystkich latach!

Jakby czytał w jej myślach.

— Przecież marzyłaś o takiej wycieczce, Rose. — Wciąż stał o wiele za blisko. Nie odezwała się. Westchnął z rezygnacją, poczuła zapach cebuli, wina i psującego się mięsa w jego oddechu. Omal nie odwróciła się z obrzydzeniem. Poszedł sobie wreszcie, by usiąść z powrotem na sofie. Zastanawiał się, co powiedzieć. Bawił się złotą tabakierą. Wyjął małe lusterko i zapatrzył się w swoje odbicie. Jakby zapomniał o obecności Rose. Wreszcie odezwał się z ociąganiem. Niechętnie poruszał z nią ten temat. — Martwię się o matkę. Ma obsesję na punkcie spotkania z Napoleonem. Wszystkie damy w Londynie mają obsesję na tym punkcie, ale moja matka pragnie z nim porozmawiać. Obwinia go o śmierć Harry'ego i chce, żeby o tym wiedział.

Rose wybuchnęła śmiechem. Tego nie przewidywała.

— Bonaparte powinien drzeć ze strachu! Twoja matka gotowa go zaga-
dać na śmierć. — Po jego reakcji zorientowała się, iż posunęła się za dale-
ko. — Wybacz, George. Ale pomysł spotkania z Napoleonem wydaje mi
się nierealny.

— Otóż obawiam się, iż taki nie jest. Dowiedziała się od kuzynki,
księżnej Seaforth, że Józefina przyjmuje angielskie damy z towarzystwa w
Tuileries. Napoleon podobno czasem uczestniczy w spotkaniach. Najwy-
raźniej wszystkie damy w Londynie pragną teraz spotkać się z pierwszym
konsulem Francji.

Rose stłumiła śmiech.

— Doprawdy? To dziwne pragnienie, z obu stron. Tak szybko bratać się
z wrogiem!

— Też tak sędzę. Trudno przewidzieć, co wzbudzi zainteresowanie
wielkich angielskich dam. Ten szaleniec Napoleon zdaje się nieźle bawić
całym przedstawieniem. — Zrobi! się czerwony ze złości. — Skoro znasz
okoliczności śmierci mojego brata, wiesz, że nie mogę dopuścić, aby rzuci-
ła oskarżenie w twarz Napoleonowi. — Rose popatrzyła na niego zasko-
czona. — Dla dobra Harry'ego — dodał ochryple.

— Ale... Napoleon? George, on był wtedy we Francji!

— Lepiej zachować ostrożność. Niestety część wojsk francuskich była
na miejscu, kiedy... kiedy zabito Harry'ego. Przygotowywali się do opusz-
czenia Aleksandrii na podstawie warunków traktatu.

Rose nie mogła uwierzyć, że George w swej rozpaczliwej desperacji
uniknięcia skandalu uważał Harry'ego za tak ważną osobistość. Miała och-
otę ponownie wybuchnąć śmiechem.

— Absurdalne obawy, George.

— Nie mamy pewności. Naturalnie nie mogę powstrzymać matki przed
podróżą, lecz nie dopuszczę, by ośmieszyła nas przed Bonapartem. Pomóż

mi. — Rose zacisnęła usta. — Wiem, że nie ułatwiała ci życia. Szczególnie po poronieniach. — Skrzywiła się. — Zrób to przez wzgląd na pamięć Harry'ego.

— Nie powinieneś używać tego argumentu — ucięła krótko.

Przyjrzał jej się uważnie. Przypomniał sobie o dymie papierosowym. Co ona kombinuje?

— Powinieneś powiedzieć matce prawdę.

Wicehrabia Gawkroger poderwał się z sofy, podszedł szybkim krokiem do okna. Po chwili odwrócił ku niej czerwoną twarz.

— Nie rozumiesz, Rose. Moja rodzina nie może sobie pozwolić na skandal! Powtarzam ci: to by zabiło matkę! Stalibyśmy się pośmiewiskiem! Nie rozumiesz. Stoimy u progu wielkiej szansy. Mam pewne... zobowiązania wobec księcia Walii. Wiążę wielkie nadzieje z tym i kilkoma innymi sprawami, ale nie jesteśmy jeszcze częścią *le ton*, wielkiego świata. Wierzę, że za pieniądze będziemy się wspinać coraz wyżej po arystokratycznej drabinie, ale w razie skandalu spadniemy z hukiem. Powtarzam, ostrożności nigdy za wiele. Nie uwierzę, że zbrukałabyś pamięć męża. Kochałaś go.

Nie odpowiedziała.

— Kochałaś go — powtórzył. Po chwili dodał cicho i złowieszczo: — Wiem, jak bardzo go kochałaś, Rose. — Poczwała, jak krew napływa jej do twarzy. — Wobec tego postanowione. Wybierzesz się z nami w maju na miesiąc do Paryża. Daję ci słowo, że po powrocie dostaniesz przekład greckiego tekstu z Rosetty. Na razie nie wspominamy o przeprowadzce. Potrzebuję cię w Paryżu, więc pomogę ci w twoim dziwnym hobby. — Starał się mówić uprzejmie, ale nie potrafił ukryć pogardy. Roześmiał się. — Cóż za niezwykła łapówka dla kobiety — dodał ironicznie. — Tłumaczenie z greki! Książę Walii wstydziłby się za mnie. To powinny być brylanty.

Rose popatrzyła na niego poważnie.

— Zawsze uważałam pismo za jedną z najbardziej fascynujących rzeczy na świecie.

— Jestem zdania, że kobiety powinny pozostać przy języku mówionym. Są stworzone do mówienia — zażartował. Wiedział już, że dopiął swego. — Dołączą do nas William i Ann — dodał. — Zaproponowałam im romantyczny wyjazd. Wcześniej, z powodu pana Bonaparte, nie mieli takiej możliwości. — Uśmiechnął się. — Drugi miesiąc miodowy. Dolly także jedzie. Dobrze jej zrobi zmiana scenerii i powietrza, podobnie jak twoje towarzystwo. Polubiła cię. Zdołałam ją przekonać, że jesteś trafniejszym wyborem na współtowarzysza podróży niż paw. Przede wszystkim jednak niech argumentem będzie miłość do mego brata, o której wiem tak wiele.

Zaczerwieniła się, lecz nie spuściła wzroku.

Wstała z wysiłkiem. Stali naprzeciw siebie. Wrogowie.

— Chcę mieć tłumaczenie przed wyjazdem.

Zaległa absolutna cisza, po czym wicehrabia skłonił się nisko, jakby ustępując jej pola. Był to kpiący gest.

Wyszedł i Rose została sama w rezydencji na Wimpole Street. Zegary odmierzały czas.

Wiem, jak bardzo go kochałaś, Rose — rozbrzmiewały jej w głowie okrutne słowa. Wyobraziła sobie dwóch zepsutych braci rozmawiających o niej. O najintymniejszych chwilach między mężem i żoną. Po policzkach popłynęły jej łzy, zapłakała w głos po raz kolejny nad uroczym i zdradzieckim Harrym Fallonem, który nie przestawał jej upokarzać nawet po śmierci.

Minęło sporo czasu, nim powoli poszła na górę. Nie mogła sobie znaleźć miejsca. Otwierała i zamykała szufladę biurka. Podnosiła i odkładała książki. Nadeszła pora snu.

Najtrudniejszy czas. Harry Fallon skrzywdził ją na wiele sposobów, a ten był bodaj najgorszy. Sekret, który zabierała ze sobą do łóżka. Którym Harry dzielił się z bratem. Zaczerwieniła się na samą myśl o rozmowach zepsutych braci Fallon. Jej mąż obudził w niej uczucia i doznania, na które zupełnie nie była przygotowana. W uniesieniu czekała na koniec dnia i nadejście nocy, z nieprzyzwoitą gotowością czekała na jego przybycie. Wszystko inne wydawało się nieistotne. Powierzchowność nowego stylu życia, która przeraziłaby ją w innych okolicznościach, przestała się liczyć. Tego nie nauczyła się w domu. Odurzyła ją ta wiedza. I oślepiła.

Tortury zaczęły się, kiedy przestał wracać na noc i odkryła, że ma inne kobiety. Na wieść o jego śmierci poczuła niemal ulgę, tak wiele już wycierpiała. Przynajmniej wiedziała, że już nie przyjdzie. Mogła przestać wyczekiwać w napięciu na odgłos nadjeżdżającego powozu, kroków na schodach i uchylanych cicho drzwi sypialni.

Rose postawiła świecznik na stoliku obok podwójnego różowego łoża z baldachimem. Nie pozwalała Mattie asystować sobie w przygotowaniach do snu, na początku dlatego, że wolała być sama, czekając na Harry'ego, a teraz bała się, że Mattie zrozumie jej rozterki. Przebrała się powoli. Jak zawsze przed snem sięgnęła po opium. Pomagało wyciszyć pragnienie, które obudził w niej Harry.

A potem opowiedział o nim bratu.

9

Nadeszła wiosna. Ekscesy Napoleona się skończyły, jak mówiono, i świat znów był bezpiecznym miejscem. Rose Fallon obcięła włosy.

Moda na krótkie włosy i proste suknie bez halek przybyła z Francji. Mawiano, że arystokracja chce swym strojem uosabiać prostotę, na wszelki wypadek. Starsi panowie nie musieli już wdrapywać się z lornetkami na Vow Hill, wystarczyło, aby przeszli się ulicą, a krew zaczynała szybciej krążyć. Młode dziewczęta o krótkich włosach w cienkich jedwabnych sukniach przechadzały się po parkach w towarzystwie starszych dam w bardziej stosownych strojach (gorsetach i szerokich spódnicach) chowających pod małymi czepkami smętne resztki niegdyś wypomadowanych wielkich fryzur. Suknie o wysokim stanie były w modzie już wcześniej, ale miały długie rękawy, no i naturalnie halki. Teraz niekiedy brakowało nawet tego. Rose uwielbiała nową modę, choć strasznie marzła.

Tłumaczenie greckiej inskrypcji wyrytej na kamieniu z Rosetty na angielski zostało, zgodnie z obietnicą George'a, dostarczone na Wimpole Street pewnego kwietniowego wieczoru. Wraz z listem.

To wszystko, co jest w tej chwili dostępne. Tekst został odczytany w tym tygodniu w Towarzystwie Antykwariuszy. Trudno go zaliczyć do wybitnej literatury, ale da ci pewne pojęcie.

Należy się raczej pożegnać z nadzieją na wyjaśnienie tajemnicy wszechświata. 2 maja wyruszamy do Paryża.

Gawkroger

Rose była tak przejęta, że miała trudności z otwarciem paczki. George Fallon nie rozpoznałby wielkiej literatury, choćby kopnęła go w twarz. Miała w ręku klucz do zagadki świata. Dwukrotnie upuściła okulary. Wreszcie usiadła na krześle z wysokim oparciem, przy kominku, wyglądziła kartki tłumaczenia napisanego eleganckim charakterem pisma i zaczęła czytać, drżąc z emocji.

Za panowania młodzieńca, który miłościwie nam króluje, zajmwszy miejsce swego ojca, Pana Wszystkich Koron, pełnego chwały, on to założył Egipt i przyczynił się do jego dobrobytu, będąc pokorny wobec bogów, zwyciężając wrogów, przywrócił rodzajowi ludzkiemu cywilizowany sposób życia, Pan Trzydziestoletnich Świąt, równy Hefajstosowi Wielkiemu, Król niczym Słońce, wielki Władca gór i nizin, potomek bogów Philopatores, ten, którego przyjął Hefajstos, któremu słońce zapewniło zwycięstwo, żyjący obraz Zeusa, syn Słońca, Król Ptolemeusz, oby żył wiecznie, umiłowany Ptaha, Epiphanes Euchaństos...

Rose doskonale zdawała sobie wcześniej sprawę, iż kamień stanowi klucz do magii, nie samą magię. Mimo to miała ochotę rwać z głowy swe krótkie włosy, tak wielkie ogarnęło ją rozczarowanie. Mówiła sobie, że powinna się cieszyć, mając okazję czytać tekst pochodzący z zamierzchłej przeszłości, tymczasem ziewała ze znużenia. KRÓL PTOLEMEUSZ, OBY ŻYŁ WIECZNIE, UMIŁOWANY PTAHA, BÓG EPIPHANES EUCHARISTOS, o którym napisano na kamieniu z Rosetty, zdawał się młodym chłopcem, adresatem niezwykle zawilego listu pochwalnego. Jego wieloczłonowe imię powtarzało się w tekście wielokrotnie. KRÓL PTOLEMEUSZ, OBY ŻYŁ WIECZNIE, UMIŁOWANY PTAHA, BÓG EPIPHANES EUCHRISTOS postawił tamę na Nilu, wysłał kawalerię i flotę przeciw wrogom Egiptu, zdławił powstanie przeciw ojcu, ale ani śladu ma-

gii. Bohatersko skończyła czytanie i pozwoliła kartkom opaść na podłogę. Na ostatniej stronie znajdowały się następujące słowa:

Dekret ten winien być spisany na kamiennych tablicach świętym pi-smem, językiem narodu oraz Greków... by przetrwał wieczność.

Często powtarzałam mamie, że pismo jest wieczne, pomyślała Rose. Nie nosiła już żałoby po Harrym, wcale o nim nie myślała, ale na wspomnienie niewinnych zapisków w dzienniku z czasów, nim odkryła małżeńskie „szczęście”, czasem miała łzy w oczach. Niektóre zapiski zasługują raczej, aby spłonąć w kominku niż żyć wiecznie, pomyślała gorzko. Sięgnęła po dzieło o hieroglifach. Czy to wszystko, co nam ma do powiedzenia zapomniany język faraonów? Bitwy, wojny, królowie? To samo, co zwykle? A tajemnice wszechświata? Wpatrywała się w obrazki przedstawiające sowy, jastrzębie, pszczoły, stylowe szlaczki... Po chwili zapaliła papierosa, obserwowała dym unoszący się w powietrzu, rozmyślając nad naturą pisma, robieniem znaczków na kamieniu, papierze, czymkolwiek, by nawiązać kontakt z drugim człowiekiem. Poprzez pisanie próbujemy uwiecznić obraz nas samych. Nie wiemy, kto przeczyta nasze słowa. W jaki sposób ten nudny dokument wyrażał charakter starożytnych Egipcjan?

Zgasiła papierosa i wstała. Była pierwsza w nocy. Odśloniła zasłony, stając w oknie. Na Wimpole Street nigdy nie panował całkowity spokój. W Londynie mieszkało milion osób. W ciemnościach widziała kilka sylwetek zbliżających się do siebie, to znów oddalających. Romans? Bójka? Rose owinęła się ściślej szalem. Kamień to klucz i dlatego jest bezcenny. Pozbierała rozrzucone kartki. Król Ptolemeusz, oby żył wiecznie, Umiłowany Ptaha, Bóg Epiphanes Eucharistos nie rzuci światła na tajemnice istnienia. Pogasiła wszystkie świece z wyjątkiem jednej, którą zabierała ze sobą na górę. Jeszcze tylko kilka razy trzeba będzie pójść spać, jak mawiały z Fanny, przed podróżą do Paryża. Nie była we Francji od piętnastu lat. Bóg jeden wie, co tam zastaną. George Fallon dotrzymał swej części umowy,

więc i ona musi dotrzymać swojej. Popatrzyła na ściskane w rękę kartki, myśląc, że raczej nie ubiła dobrego interesu. Ostatni raz weszła z George'em w jakikolwiek układ. Po śmierci Harry'ego była w stanie emocjonalnego otepienia, które utrudniało podejmowanie decyzji. Doszła do siebie i miała zamiar sama kierować własnym życiem. Po powrocie z Paryża wyprowadzi się. Jej przewidujący i mądry ojciec z pewnością dobrze zabezpieczył majątek. George blefował, mówiąc o możliwości podważenia jego woli. Wkrótce uwolni się na zawsze od Fallonów.

Zasłoniła okno i poszła na górę, zabierając ze sobą tekst tłumaczenia, wciąż analizując przeczytane słowa. Szkoda, że nie wiem więcej o językach. Skoro fraza „Król Ptolemeusz, oby żył wiecznie, Umiłowany Ptaha, Bóg Epiphanes Eucharistos” powtarza się tylokrotnie w greckiej wersji, być może uda się na jej podstawie rozszyfrować część znaków hieroglificznych? To byłby początek odkrywania sekretu istnienia świata. Z pewnością uczeni już o tym pomyśleli.

Umoczyła pióro w atramencie, napisała szybko:

Najdroższa Fanny,

rodzina Harry'ego wymogła na mnie, bym im towarzyszyła w podróży do Paryża. Ciekawe, jaka jest dziś nasza ukochana belle France. Będę myślała o Tobie i o chwilach spędzonych razem tak dawno temu.

Twoja kochająca kuzynka, Rose

Miała nadzieję, że Horacy nie dopatrzy się żadnych niemoralnych podtekstów.

*

Tymczasem w ślicznym miasteczku Wentwater pani Fanny Harbottom, żona pastora, wzbudzała wiele ciekawości wśród współmieszkańców. Miała opinię osoby wielce tajemniczej i często o niej rozmawiano. Nie korzystała z bryczki tak często jak pastor, choć świetnie panowała nad koniem,

kiedy już się na to zdecydowała. Pastorowa lubiła spacerować. Wypełniała skrupulatnie swe obowiązki: odwiedzała chorych i umierających, naturalnie widziano ją w kościele każdej niedzieli, jednak miała swoje małe dziwactwa. Nie sposób było przeoczyć jej charakterystycznej zaokrąglonej niewysokiej sylwetki i burzy rudych loków, którą na próżno starała się skrywać pod kapeluszami. Co bardziej spostrzegawczy uważali, iż jest coś dziwnego w sposobie, w jaki zatrzymywała się, by posłuchać ulicznych mówców głoszących słowo boże na rynku obok straganów z kapustą i jajami, wśród nerwowo pobekujących owiec. Nieruchomiała w zasłuchaniu. Tymczasem pastor potępiał ich z ambony jako szarlatanów. Różnie mawiano. Niektórzy sądzą, iż szpieguje dla męża, któremu samemu słuchać nie wypada. W niedziele zjawiała się w kościele, by słuchać kazań wielebnego, który ubrany w strojne szaty, krzyczał o grzechu oraz ogniu piekielnym. Jego piękny głos odbijał się echem od ścian, a między ławkami unosił się delikatny zapach lawendy.

Miejscowy kłusownik zarzekał się, iż pewnej nocy, gdy zakładał sidła, na wrzosowiskach, usłyszał krzyk kobiety. Poszedł zbadać sprawę i zobaczył żonę pastora stojącą samotnie na skraju wrzosowiska i wrzeszczącą ile sił w płucach. Naturalnie był wstrząśnięty. Po chwili umilkła i odeszła pewnym krokiem przez pola. Kłusownik poszedł jej śladem. Wróciła na plebanie. Tuż przy furtce zatrzymała się, by porozmawiać z sąsiadką. Śmiała się! Ledwie parę chwil po tym, jak krzyczała na wrzosowisku. Jak każdą opowieść kłusownika, tak i tę potraktowano z przymrużeniem oka.

Pewnego kwietniowego popołudnia niespodziewanie spadł śnieg. Ludzie na rynku spieszyli się, chcąc jak najprędzej wrócić do ciepłych domów. Nagle kilka osób dostrzegło kwakierkę. Przychodziła rzadko, nie była już młoda, ale kiedy się zjawiała, wzbudzała spore zainteresowanie. Była pierwszą kobietą kaznodzieją, jaką widziano w Wentwater. I tego dnia, mimo brzydkiej pogody, z ociąganiem, lecz i ciekawością, zebrał się wokół niej tłumek. Ludzie trącali się łokciami, wskazując dyskretnie na żonę pastora z włosami skrytymi pod kapturem płaszcza. Fanny, niepomna zamieszania, jakie wywoływała, być może nieświadoma, stała w tłumie i słucha-

ła. W rękę trzymała list od Rose. Kwakierka, nie zwracając uwagi na aureę, stała na podwyższeniu w swej szarej sukience i toczku, opowiadała o miłości.

— Powinnaś siedzieć w domu i gotować kolację rodzinie — zawołała jakaś kobieta. — Szorować podłogi i cerować ubrania, to jest miłość! — Tłum zaśmiał się z aprobatą. — Wiesz, na czym polega miłość? Na zadowalaniu się tym, co jest. Niech Bóg ma nas w opiece przed jej epidemią.

Kwakierka powiedziała, że to Bóg jest miłością i kocha jednakowo każdego człowieka. Płatki śniegu wirowały w powietrzu, osiadając na jej czepku, a ona mówiła o czekaniu. Czekaniu na słowo boże, ponieważ Bóg przemówi. Nikt nie odchodził mimo zimna, wszyscy słuchali w zdumieniu słowa bożego wypowiedzanego przez tak niezwykłą postać.

— Niech cię Bóg błogosławi — powiedziała kwakierka do kobiety, która krzyczała o szorowaniu podłóg.

*

Ostateczny rozejm z Francją podpisany w Amiens został oficjalnie ogłoszony w Londynie ledwie kilka dni przed wyjazdem Fallonów. Dziesięć lat potyczek zbrojnych dobiegło końca.

Przyjaciele ojca, eleganccy w granatowych mundurach ze złotymi epoletami, przyszli po Rose o zmroku.

— Pozwól z nami — powiedzieli. — Musisz zobaczyć na własne oczy, jak tworzy się historia. Nie ma już twojego ojca, by mógł ci towarzyszyć, więc my go zastąpimy.

— Ależ... — Rose była oszołomiona. — Od tygodni wiadomo, że mamy pokój. Wiele osób wyruszyło do Francji!

— Brytyjczycy są we wszystkim najlepsi! — zawołali. — Dziś nastąpi oficjalna proklamacja, wygłosi ją burmistrz Londynu. To historyczny moment i musisz wziąć w nim udział!

Uroczystości odbywały się na Portman Square, za Oxford Street, w dzielnicy ambasad. Tłumy wyległy na ulice. Zorientowali się, iż niepotrzebnie wzięli powóz, lepiej było go zostawić na Wimpole Street. Odesłali go i ruszyli pieszo wśród podekscytowanego, rozśpiewanego tłumu, mijali miejsca schadzek dżentelmenów, którzy wciąż bili rekordy w Podniebnym Klubie. Młodzieńcy wypadali na ulice z okrzykami: „Boney do domu!”, w oknie jednego z klubów wystawiono ułożony ze świec napis POKÓJ. Kilku panów z arystokracji się zatoczyło. Opiekunowie Rose eskortowali ją wśród tłumu roześmianych, krzykliwych londyńczyków. Uliczni sprzedawcy oferowali żołnierzyki z piernika i małe flagi. W każdym oknie wzdłuż trasy prowadzącej na Portman Square pełgały jasne płomienie świec.

— Och, jakże ja kocham to miasto! — zawołała nagle Rose, wkraczając na oświetlony plac.

Tysiące świec rzucało światło z wielkich okien, fajerwerki wystrzelały w niebo, ludzie wiwatowali. Starsi panowie roześmieli się na widok powozów stłoczonych na środku placu, bez możliwości manewru. Pogratulowali sobie mądrej decyzji, by przyjść pieszo. Rose zatrzymała się gwałtownie i popatrzyła na towarzyszących jej dżentelmenów.

— Ależ oczywiście! Nareszcie wiem, czego chcę! Po powrocie z Paryża znajdę sobie małe mieszkanie niedaleko Brook Street i wrócę do dawnego stylu życia! Pragnę znowu być sobą!

— Moja droga. — Popatrzyli na nią ze współczuciem. — Moja droga. — Przez chwilę wszyscy troje stali nieruchomo. — Nie da się powrócić do przeszłości. Niemniej... — Ich ciepłe oczy śmiały się do niej. Musieli przekrzykiwać napierający hałaśliwy tłum. — Zobaczmy, co da się znaleźć!

Ludzie wiwatowali, świece i fajerwerki rzucały światło tysiąca gwiazd, ponieważ wreszcie nadszedł czas pokoju.

10

— Jeśli spotkam pana Bonaparte, w co nie wątpię, powiem mu, że winien jest śmierci mego syna, wyjawię, co sędzę na temat jego wojen, terroru i pomysłów na demokrację. Nic nas to nie obchodzi. Niech sobie nie myśli, że angielska dama boi się chłopa z Korsyki! Być może sterroryzował pół świata, ale ze mną tak łatwo mu nie pójdzie! Znam tych zniewieściałych Francuzików, którzy deprawują naszych mężczyzn. — Wice— hrabina Gawkroger poleciała do przodu, kiedy powóz ostro zahamował. Jej szeroka spódnica zakryła na moment wszystkich, lecz nic nie było w stanie przerwać potoku wymowy wicehrabi— ny. — Długo rozmawialiśmy z księżną Seaforth o stosowności spotkania z Józefiną. Krąży na jej temat wiele historii. Żadna z nich nie nadawałaby się do opowiedzenia, gdyby Dolly była z nami w powozie. Wiem od księżnej, a podobno nie jest to tajemnica, że gdy ta nowa moda... — Popatrzyła na Rose z wielką dezaprobatą, choć ta miała na sobie niezwykle przyzwoitą oliwkowozieloną suknię z długim rękawem i kilkoma warstwami hulek. — Kiedy pojawiła się ta nowa tak zwana moda, Józefina zanurzała się cała w wodzie, ubrana tak, że skąpa sukienka przylegała do ciała w wielce nieprzyzwoity sposób, zanim wyszła. Żeby Bonaparte... to jest... żeby ją zauważył. — Wicehrabina nie zwróciła uwagi na śmiech syna i rumieniec synowej. — Uzbrojeni w tę wiedzę będziemy zachowywać się z wielką rezerwą na spotkaniu z osobą tego pokroju. Przypuszczalnie to ona przedstawi nas Napoleonowi. Nie wolno nam wszakże zapominać, że Bonaparte jest zwykłym małym człowieczkiem, który zabił mi syna, i usłyszy ode mnie kilka słów prawdy.

George przerwał ze znużeniem potok wymowy matki.

— Wygraliśmy bitwę pod Abu Kir, traktat podpisany, mamy pokój, mamo.

— Podpisaliśmy pokój z ukochaną Francją, ale z Bonapartem nigdy się nie pojednamy. Nigdy. Zamordował mi syna.

— Tłumaczyłem ci już wiele razy, mamó, że Bonaparte był we Francji, kiedy Harry zginął w Egipcie.

Udała, że go nie słyszy, i podjęła od nowa swoją przemowę, podnosząc głos.

— Przez całe lata byliśmy pozbawieni możliwości wycieczek do Europy. Przeżyłam tę sprawę jako osobisty wstrząs. Oby Hotel de l'Empire, bulwary i opera pozostały przynajmniej nienaruszone. Józefina przyjmuje na salonach angielskie damy. Kilkakrotnie podczas takich podwieczorków pojawił się Napoleon. Księżna Seaforth zaaranżuje dla mnie takie spotkanie. Moim obowiązkiem jest uświadomienie temu okropnemu człowiekowi, co o nim myślę, niech mu się tylko nie wydaje, że przed nim dygnę. Nie okażę mu szacunku!

Dojeżdżali do Dover, zapadał zmrok, Rose Fallon i jej szwagier mieli za sobą wiele godzin wysłuchiwania wyczerpujących wynurzeń wicehrabiny. Rose odczuła nagłą pokusę powiedzenia teściowej, iż i ona na prośbę męża zanurzyła się kiedyś ubrana w muślinową sukienkę przysланą z Francji w kąpeli przygotowanej specjalnie tamtego wieczoru w sypialni.

Swym zwyczajem wdowa przemawiała niemal bez przerw na oddech od chwili upolowania jakiegokolwiek słuchacza, zaczęła o świcie, kiedy opuszczali Londyn. Choć był piękny wiosenny poranek, narzekała na chłód. Pokojówka okryła ją szalem i nie minęło dużo czasu, a Rose modliła się, by jakiś odważny służący zarzucił wicehrabinie szal na głowę. George nie ufał Mattie niemal tak bardzo jak ona jemu i nie zgodził się, by pojechała do Paryża.

— Bardzo dobrze — orzekła Mattie. — Zajmę się szukaniem dla nas nowego domu.

Wicehrabina posiadała donośny głos, który wwiercał się w uszy przez całą długą drogę do Dover, kiedy przemierzali wzgórza, zatrzymywali się, by napoić konie, podczas krótkiego postoju na posiłek w Sittingbourne. Wicehrabina najchętniej wcale by się nie zatrzymywała, niedawno usłyszała od kogoś o podróżnikach, którzy przebyli trasę z Londynu do Paryża w dwadzieścia dwie godziny i nie widziała powodu, by jazda trwała kilka dni, zwłaszcza że wszędzie czyhali rabusie.

Wylawszy swe żale do Napoleona w całej rozciągłości i kilkakrotnie, często wtrącając frazy po francusku wedle arystokratycznej mody, od której nie odstępowała, nawet kiedy jej kraj znajdował się w stanie wojny z Francją, wicehrabina zmieniła temat, wracając — znów — do rodziny królewskiej. Poprzez koneksje zmarłego męża spotkała króla Jerzego, co dawało jej podstawy do przekonania, iż go zna. Oburzały ją wybryki królewskich synów, wielokrotnie wyrażała opinię, iż najlepiej byłoby, gdyby księżę Walii umarł, a na tron wstąpiła jego córka, sześćioletnia księżniczka Charlotte. Powtarzała w kółko zasłyszane od znajomych opinie oraz to, co przeczytała w gazetach, niczym litanie. Po raz kolejny wszyscy obecni w powozie mieli okazję wysłuchać oskarżeń na temat skandalicznego prowadzenia się księcia Walii, który wrócił do pani Fitzherbert mimo więzów małżeńskich łączących go z księżniczką Caroline; księcia Clarence'a, pani Jordan i wszystkich tych pozamałżeńskich dzieci; o grzechach księcia Cumberland nie chciała nawet wspominać. George'owi udało się wtrącić, iż Napoleon Bonaparte skomentował tuszę jedrego z książąt jako „eksperyment, jak dalece potrafi rozciągnąć się ludzka skóra, nim pęknie”. Rose roześmiała się wbrew sobie, wicehrabina natomiast na kilka chwil zamilkła z oburzenia. Rose próbowała się pocieszać, przypominając sobie, że to zaledwie miesiąc, lecz tymczasem miesiąc wydawał się wiecznością. Z całego serca pragnęła znaleźć się w drugim powozie, gdzie pomiędzy swoim bratem a jego żoną siedziała blada i cicha Dolly.

Wiatr i przypływ pozwoliły im na wczesną przeprawę przez Kanał, choć morze nie było zbyt spokojne. Wicehrabina położyła się natychmiast po wypłynięciu, Ann również. George i William udali się do baru. Jedynie Ro-

se i Dolly w długich płaszczach, futrzanych mufkach, owinięte ściśle indyjskimi szalami zostały na pokładzie. Przytrzymały czepki i wdychały słone morskie powietrze. Prom przecinał fale, wzbijając w powietrze setki małych kropelek, które osiadały na ich twarzach. Rose wpatrywała się w horyzont, wspominając podróżę sprzed lat.

— Jesteśmy ubrane zgodnie z francuską modą, prawda, Rose? — spytała Dolly, opierając twarz na swej mufce, próbując wypatrzeć w oddali Francję. — Nasze stroje są francuskie, po rewolucji obowiązuje prostota i tak dalej. Maria Antonina ubierała się jak pasterka, nim poszła na gilotynę. Sądysz, że zobaczymy w Paryżu coś nowego?

Rose zaskoczyło wypowiedzenie słów „moda” i „gilotyna” niemal w jednym zdaniu. Dolly była małym dzieckiem, kiedy we Francji ginęli ludzie, po raz pierwszy miała zobaczyć ten kraj.

— Bardzo długo Anglicy nie mieli swobodnego wstępu do Francji. Z pewnością wiele się zmieniło.

— Czy kobiety nadal są modne? — dopytywała się niespokojnie Dolly. — Czyżby wszystko się zmieniło?

Rose popatrzyła na skupioną bladą twarz dziewczynki, która przypominała jej niezgrabnego flaminga.

— Spodziewam się wielu zmian. Uwielbiałam Paryż, kiedy byłam małą dziewczynką. Na głównych ulicach stały duże latarnie. Palił się w nich tłuszcz zwierzęcy, który mieszał się z innymi zapachami, przez co wieczorem nad miastem unosiła się specyficzna woń. Uwielbiałyśmy ją, jak wszystko inne. Do dziś pamiętam... większość kobiet była bajecznie stylowa i elegancka, przed rewolucją damy nosiły jeszcze wielkie peruki, mnóstwo pudru i różu. Moja kuzynka Fanny i ja nie potrafiłyśmy oderwać od nich oczu! Ciągłe błagałyśmy moją mamę, by opowiadała nam o swojej niestety nieżyjącej już wtedy ciotce, która spędziła dużo czasu w Paryżu i zwykła nosić małe flakoniki z wodą poukrywane między sztywnymi lokami

peruki, aby kwiaty zdobiące jej fryzurę nie zwiędły przez cały wieczór. Fanny i ja biegałyśmy w kółko, dygając i oblewając mamę na niby wodą!

Dolly uśmiechnęła się lekko.

— Ja z pewnością tego nie zobaczę — odezwała się tęsknie. — Te czasy już minęły.

Rose nagle zdała sobie sprawę, iż dla Dolly jest starszą kobietą. Cóż, pomyślała, jestem starsza.

— Wydarzyło się wiele potworności. Jeżeli choć połowa z historii, które opowiadano, jest prawdą, być może czeka nas wstrząs. — Popatrzyła na smutną twarz dziewczynki. Wpadła na pomysł, jak wywołać na niej uśmiech. — Potrzebuję twojej pomocy, Dolly.

Dolly odwróciła się zaskoczona.

— Możesz na mnie liczyć — zapewniła uprzejmie, szcękając zębami z zimna. — Co mam zrobić?

— Wicehrabina Gawkroger nie może się spotkać z Józefiną i Napoleonem.

Dziewczynka otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

— Ależ ona właściwie po to tylko nalegała na podróż!

— W istocie! Niemniej wicehrabia Gawkroger uważa, że gdyby jego matka oskarżyła publicznie pierwszego konsula Francji o śmierć swego syna, wpłynęłoby to niekorzystnie na stosunki pomiędzy naszymi krajami.

— Biedna wdowa. Uwielbiała swojego syna. Nic dziwnego, że pragnie powiedzieć coś człowiekowi, który... och... — zreflektowała się nagle. — Wybacz, Rose. To musi być dla ciebie straszne. Oczywiście, sytuacja byłaby wielce niestosowna.

— W istocie byłaby — potwierdziła gorzko.

— Co zrobimy?

— Moja teściowa raczyła nas poinformować — właściwie robi to codziennie od jakiegoś czasu — iż pozostaje w stałym kontakcie z księżną Seaforth przebywającą obecnie w Paryżu. Konieczne może okazać się przechwycenie korespondencji. — Dolly posłała jej zgorzone spojrzenie, na co Rose postarała się zrobić skruszoną minę. — Podwieczorki z Józefiną z pewnością nie odbywają się zbyt często. — Wzruszyła ramionami. — Nie mamy się czego obawiać, jestem przekonana. Musimy jedynie zainteresować wicehrabinę teatrem oraz operą.

— O tak. — Dolly zapatrzyła się w przestrzeń. — Ja również chciałabym pójść do teatru i opery. A także odwiedzić Notre Dame. Oraz słynną galerię w Luwrze, gdzie wystawiają przepiękne obrazy. Wiem różne rzeczy, dokształcałam się — pochwaliła się z powagą. Rose stłumiła uśmiech.

— Chodziłaś do szkoły?

Dziewczynka posłała jej zdziwione spojrzenie.

— Nie. Naturalnie, że nie. Williama posłano do szkoły. Siostry i ja dostałyśmy guwernantkę. Niezwykle głupią i ograniczoną osobę. Nauczyła nas jedynie czytać i pisać. Kiedy siostry się wyprowadziły, poprosiłam, żeby ją odesłano. — Rose wyobraziła sobie biedną kobietę zwolnioną z pracy, szarpiącą się ze sfatygowaną walizką w drodze do bramy. — Dokształcałam się samodzielnie, korzystając z biblioteki ojca.

— Z jego radą i pomocą?

— Skąd. Po prostu czytałam wszystko, co mi wpadło w ręce.

— Nie miała zamiaru opowiadać o każdej znalezionej książce. — Wiem, jak ważna jest kultura. Ale, Rose... tak naprawdę ciekawi mnie moda. Szkoda, że jestem taka wysoka. — Znów spochmurniała.

— Kochana, jesteś... — Szukała odpowiednich słów. — To eleganckie być wysokim. Nie wolno ci się smucić. Wiem, że bardzo pomagałaś mamie

przed śmiercią. Ona chciałaby, abyś była szczęśliwa! Niewątpliwie wybierzemy się na jakiś bal, gdzie dokładnie zapoznamy się z najnowszą francuską modą. Księżna posiada rozległe znajomości. — Rose spontanicznie uściskała dziewczynkę, która była od niej o głowę wyższa.

Dolly zarumieniła się na ten niespodziewany przejaw serdeczności.

— Och! — odezwała się po chwili z zapartym tchem. — Och!

— Nagle zaczęła mówić bardzo szybko: — Kiedy zajmowałam się mamą, nie przeszkadzało mi, że jestem za wysoka. Jej też już nie przeszkadzało i miło spędzałyśmy razem czas. Dużo do niej mówiłam, a ona naprawdę słuchała. Naprawdę. Zawsze byłam wyższa od rówieśniczek i mama twierdziła — zanim zachorowała — że nikt mi się nie oświadczy. Mówiła, że zostanę starą panną. Przestałam więc wychodzić z domu, Ale teraz umieram z chęci zobaczenia nowinek francuskiej mody — zakończyła, raczej odbiegając od tematu. Skierowała ponownie wzrok na horyzont, wypatrując kraju, gdzie rodziła się moda.

— Z twoim pochodzeniem nie musisz się obawiać staropanieństwa. Ann i William wszystkiego dopilnują. — Rose usiłowała zachować powagę. — Wysoki wzrost to nie koniec świata.

— Ależ tak. To jest koniec świata — zapewniła dziewczynka.

— Musisz jedynie znaleźć wysokiego męża — roześmiała się Rose. — Masz dopiero czternaście lat, za wcześnie, by o tym myśleć.

— Piętnaście! Skończyłam piętnaście lat w przeddzień wyjazdu!

— W takim razie ty pomożesz mi nie dopuścić do spotkania wicehrabiny z Napoleonem, a w zamian ja pomogę ci znaleźć wysokiego męża, kiedy będziesz starsza, jeśli tego pragniesz.

— Oczywiście, że pragnę tego z całego serca! — zawołała z przejęciem Dolly. — Och, dziękuję ci, Rose. Zapiszę naszą rozmowę w swoim dzienniku. Aha... i nie chcę czekać, aż będę starsza. Byłam stara, nim skończy-

łam czternaście lat, jestem bardzo dojrzała jak na swój wiek. Wiem o wszystkim, co się dzieje po ślubie. Wiesz co? Bardzo chciałabym poznać Józefinę i Napoleona. Cóż za wzruszająca historia! Ciekawe, w co byłaby ubrana Józefina. Nie, wolę ci pomóc. A potem wszystko opisać. Ktoś czyta mój pamiętnik. Wydaje mi się, mam nadzieję, że William. Drogi William zawsze był dla mnie dobry. Chciałabym mu uatrakcyjnić lekturę, zazwyczaj opis mojego dnia jest strasznie nudny.

— Twój brat czyta twój pamiętnik? — Rose nie kryta zaskoczenia dziwnym wyznaniem. — Dajesz mu go do czytania?

— Nie. Po prostu ktoś do niego zagląda pod moją nieobecność.

— Po co?

— Nie wiem. — Dolly posmutniała. — Kogo poza nim mogłoby to interesować? Nikt się mną nie zajmuje. William zawsze wysłuchiwał moich historii, gdy byłam mała. Więc piszę o rzeczach, które mogą go zainteresować. Niekoniecznie całkiem prawdziwych.

— Może to ktoś ze służby?

— Przecież wiesz, że służący nie potrafią czytać.

Wiatr targał ich włosami i ubraniami. Wpatrywały się w zbliżający się brzeg.

— Lepiej nie pisz o naszych planach — poradziła Rose, zdejmując z głowy czepek. — Nie wydaje mi się to rozsądne.

— Ależ, Rose! Pragnę, by mój dziennik był interesujący dla Williama!

— Posłuchaj, Dolly... Nie uważam, by jakakolwiek honorowa osoba czytała cudzy dziennik bez pozwolenia. William z pewnością nie zniżyłby się do czegoś podobnego. — Nagle przypomniała sobie coś, co powiedział George Fallon. Jestem jej powiernikiem. Jakim cudem George mógłby mieć dostęp do pamiętnika Dolly? Do czego mu on potrzebny? Z pewnością nie... Nagle zrozumiała. Dolly miała wspaniałe pochodzenie. Jej

przodkowie od dawien dawna posiadali wielkie połacie ziemi. George nie zrobiłby tego... Dolly skończyła zaledwie piętnaście lat.

— Napiszę, że mam wielbiciela! To interesujące!

— Czemu nie? — rzekła z roztargnieniem Rose, widząc w wyobraźni George'a pochylonego nad niewinnymi zwierzeniami piętnastolatki. — Jeżeli jesteś pewna, że William lubi twoje wymyślane historie. Niech ten wielbiciel będzie kimś ważnym! Odpreży się i oderwie od problemów, jakich przysparza nam wszystkim wicehrabina!

— Zacznę już dziś wieczorem! Wiem, jak wszystko opisać.

Sekretni wielbiciele pojawiają się we wszystkich najnowszych powieściach. Będzie się nazywał... — Przerwała i popatrzyła w niebo spowite białymi chmurami. — Monsieur X. Tajemniczo.

— Młody, niesłychanie wysoki, szalenie przystojny Monsieur X.

— Albo może le Marquis d'X — zaproponowała Dolly. — Francuski szlachcic, bohater rewolucji! Jakże ekscytujące! Napiszę, że spotkałam go na promie. Ukłonił mi się bardzo nisko. Jest wysoki i przystojny, naturalnie. Wyznał mi, iż zamierza zatrzymać się podobnie jak ja w Paryżu, lecz musi się strzec gilotyny! — Oczy rozbliły jej po raz pierwszy od wielu tygodni. Zbliżali się do portu w Calais.

Na granicy czekało ich mnóstwo formalności. Wicehrabina Gawkroger toczyła nieustanny monolog po francusku. Nie mówiła tak dobrze, jak jej się wydawało. Celnik skinął wreszcie głową, mówiąc: „Witamy we Francji”, i wyruszyli w dwudniową podróż do Paryża. Czekały ich noclegi w marnych hotelach.

Po kilku godzinach podróży nawet wicehrabina niemal ucichła. Mijali zrujnowane domy i kościoły. Rewolucja jawiła się tu jako coś bardzo realnego. Piękny wytworny pałacyk, który Rose pamiętała z dzieciństwa, miał wybite drzwi i okna. Wokół poniewierały się sterty zniszczonych przedmiotów. Mijali również stylowe alejki obsadzone drzewami, z podwórek

małych schludnych gospodarstw machały im dzieci. I kolejny zrujnowany pałac. Od czasu do czasu przejeżdżali obok drzew, które — jak wyjaśnił im woźnica — były znakami wolności. Sadzono je na wiejskich placach w celu uczczenia rewolucji. Czasami drzewa ogrodzone małymi białymi płotami wyglądały na schorowane, jakby wysiłek włożony w uczczenie rewolucji poszedł na marne.

Minął pierwszy dzień podróży. Jasny księżyc wschodził nad Amiens. Jego promienie zatańczyły na stropie zrujnowanego kościoła. Rose wyglądała przez okno swego pokoju. Cienie padały na wysoką trawę. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się wolno. Nagle sięgnęła po swój stary dziennik, który spakowała w ostatniej chwili przed wyjazdem. W mieście, gdzie podpisano pokój między dwoma krajami, poczuła wręcz nieodpartą potrzebę, by za pomocą magicznych znaków przelać na papier swoje myśli, aby obraz Francji po rewolucji, takiej, jaka była tej nocy w świetle księżyca, został zachowany na wieki.

Piętnastoletnia Dolly również pisała w swoim dzienniku. Opisywała nagłą namiętność, jaką poczuła do wysokiego przystojnego markiza X, który pomógł wielu ludziom o błękitnej krwi uniknąć gilotyny i który skłonił się przed nią bardzo nisko, złożyłwszy na jej dłoni romantyczny pocałunek. Wyobraziła sobie, jaką radość sprawi Williamowi swoją twórczością.

W Paryżu zatrzymali się w ekskluzywnym i drogim Hotel de l'Empire. Dostali olbrzymie pokoje z masywnymi ciemnymi meblami. Ku swemu rozczarowaniu spragniona widoku strojów francuskich dam Dolly przekonała się, iż prawie wszyscy hotelowi goście są Anglikami. Wicehrabina postanowiła natychmiast zawiadomić o swoim przybyciu księżną Seaforth. Rose niechętnie przechwyciła list na polecenie George'a. Uznała całe przedsięwzięcie za niedorzeczne, ogarnęła ją przepelniona poczuciem winy

wesołość i po raz kolejny musiała sobie przypomnieć na pocieszenie, iż to jej ostatnie chwile z rodziną Fallonów.

Pomyślnie załatwiwszy sprawę, wynajęli dorożkę i wyruszyli na zwiedzanie nowego zmienionego Paryża. Większość zburzonych w czasie zamieszek budynków została odbudowana, powstały też nowe. Jednak spora część miasta wciąż była zrujnowana. Parcele pozmieniały właścicieli, domy nazwy, nawet kocie łby na ulicach zostały zniszczone i konie brnęły w błocie. Ku swemu przerażeniu Rose zauważyła, że wiele rzeźb przed wejściem do wielkiej katedry Notre Dame zostało najwyraźniej zniszczonych, ponieważ brakowało tych, które pamiętała najdokładniej. Posąg Matki Boskiej pozostał na swym miejscu, lecz w jej ramionach nie było już Dzieciątka. Sama katedra dość mocno ucierpiała. Pałac w Luwrze otwarto dla zwiedzających, których nie brakowało. Oglądali w zdumionym podziwieniu wspaniałe wnętrza, rzeźby oraz arcydzieła sztuki malarskiej z Flandrii, Włoch i Francji. Wszystko było zachwycające.

— Niemal warte rozlewu krwi — mruknął George.

— Powinni mieć angielskie dzieła sztuki. — W Dolly odezwał się duch patriotki. — Nasi malarze są równie utalentowani. Powstaje coraz więcej galerii w Londynie.

— Głupiutka jesteś, Dolly — skarcił ją oschle George. — Wiele z tych malowideł pochodzi z krajów podbitych przez Francję. Anglia do nich nie należy!

— Ach, rozumiem. W takim razie cieszę się, że nie mają obrazów angielskich malarzy.

Ann pozwoliła jej zrezygnować z żałoby na czas pobytu we Francji. Dolly znów ubierała się na biało. Poczula głębokie rozczarowanie francuską modą, ponieważ większość dam ubierała się podobnie. Nieco tylko bardziej fikuśnie. A Dolly tęskniła za ekstrawagancją.

— Ludzie nie chcą się wyróżniać. To nowe społeczeństwo — skomentowała Rose.

— Bzdura. — Wdowa wyraziła swój kategoryczny sprzeciw.

— Stare społeczeństwo powróci, a ja tego dożyję. W Anglii nie było żadnej rewolucji i tutaj też ludzie się opamiętają. Jeszcze zatęsknią za arystokracją, wspomnicie moje słowa! Poza wszystkim nie wyobrażam sobie funkcjonowania w świecie, w którym nie sposób ocenić człowieka na podstawie wyglądu!

Wybrali się do opery, która niegdyś była miejscem dla wybranych, czyli zamożnych. Zdawało się, iż teraz każdy mógł sobie pozwolić na wstęp. Całe towarzystwo było zdumione, że pospolite osoby zajmują najlepsze miejsca na widowni niegdyś zarezerwowane dla arystokracji. Wdowa Gawkroger znalazła się na krawędzi załamania nerwowego.

— Spójrzcie! — zawołała oczarowana Dolly w drodze powrotnej. Na jednym z publicznych skwerów ludzie tańczyli w świetle lamp. — Orkiestra gra pod drzewami!

— Wielkie nieba! — odezwała się Ann. — W istocie zaszła rewolucja, skoro zwykli ludzie tańczą na ulicach Paryża!

Wdowa Gawkroger po raz kolejny głośno i długo wyrażała swą dezaprobatę.

— Zawsze powtarzam, że nie lubię jadać o tej porze — mówiła nadal, siadając do kolacji. — Całe to... — Wskazała dłonią stół nakryty w prywatnej jadalni, którą wynajęli w Hotel de l'Empire.

— Całe to francuskie jedzenie. Uradujecie się zapewne wszyscy na wieść, iż skontaktowała się ze mną księżna Seaforth. Pojutrze odbędzie się parada, w której weźmie udział Bonaparte wraz ze swoją armią. Dostaniemy miejsca z dobrym widokiem.

Dolly zauważyła, iż Rose i wicehrabia wymienili spojrzenia, ale wicehrabina mówiła dalej swym donośnym, natarczywym głosem.

— Księżna nie otrzymała listu, który wysłałam rano. Miałam rację, nie ufając francuskiej służbie. Wysłałam własną pokojówkę. Nie wiadomo, czy będą jeszcze podwieczorki u Józefiny. Jeśli będzie trzeba, zatrzymam całą paradę, a jeśli to mi się nie uda, zamierzam wybrać się osobiście do pałacu Tuileries natychmiast po uroczystości i zostawić swój bilecik wizytowy. Spodziewam się, iż Bonaparte rozpozna nasze znamienite nazwisko i wspomni Harry'ego jako godnego przeciwnika. Księżna powiadomiła mnie poza tym, mówiąc między nami...

— Tu zniżyła głos i zwróciła się do Dolly: — Moja droga, przynieś mi, proszę, wachlarz z mego pokoju. — Dolly posłusznie wyszła. — Księżna wyznała mi, wyobraźcie sobie, że zwiedziła apartamenty w pałacu Tuileries dzięki użytecznym znajomościom i na własne oczy widziała podwójne łóżko! Napoleon i Józefina śpią w tym samym pokoju! Nawet zepsuty książę Walii nie jest tak odrażający! Naturalnie nic nie powinno dziwić, kiedy Francja znalazła się we władaniu niewykształconych chłopów z Korsyki!

Wyczerpana Rose zdołała się wymknąć, nie dając George'owi okazji, by zatrzymał ją rozmową na temat katastrofy, jaką może się skończyć obecność jego matki na paradzie wojskowej. Wciąż przeżywała emocje dzisiejszego dnia, rozpamiętując wszystko, co widziała. Chwyciła za pióro, by od razu napisać do ukochanej kuzynki, napisać jej, że jest już w Paryżu, mieście zmienionym, a jednocześnie takim samym, że wspomina chwile dzieciństwa, kiedy biegały razem po Pont Neuf i podziwiały fasady pałaców. „Spodobałby ci się Luwr, Fanny. Teraz każdy może wejść do środka, podziwiać freski na sufitach, chodzić po wspaniałych schodach... Jest tam przepiękna galeria obrazów, z pewnością największa na świecie! Absolutnie, niewyobrażalnie fascynująca! ". Spontanicznie podpisała list nie swym imieniem, ale małą różyczką, jak to zwykła czynić w czasach dzieciństwa.

Dolly w swym pokoju również była zajęta wychwalaniem na papierze pięknego miasta Paryża. Zbyt rozemocjonowana, aby zasnąć, pisała w

swym dzienniku. Wiedziała, że William, który oglądał wszystko razem z nią, nie będzie szczególnie zainteresowany opisami, więc po chwili namysłu umoczyła jeszcze raz pióro w atramencie. Przywołała w pamięci wszystkie przeczytane romantyczne powieści i wyznała na kartach dziennika, iż wysoki przystojny francuski markiz wyjawiał jej swe uczucie i poprosił o rękę. Odrzekłam mu, aby poczekał na decyzję papy, pisała Dolly. Zapewniłam, że mój papa z pewnością się ucieszy. Podobno każdy teraz chce być francuskim arystokratą, a ja mam szansę zostać francuską markizą. Zostawiłam go z nadzieją w sercu.

TLR

Dolly rozpaczliwie pragnęła zapoznać się z nowinkami mody francuskiej. Podziwiała przewiewne, dość prowokujące muślinowe kreacje, jednak spodziewała się czegoś odrobinę bardziej egzotycznego.

Następnego ranka młode damy wyruszyły w stronę Tuileries. William i George wyszli wcześniej w poszukiwaniu jakiegoś konkretnego sklepu z tytoniem, a wicehrabina knuła w swoim pokoju. Panie spacerowały po pięknie utrzymanych ogrodach wśród posągów i fontann. Dolly z rozczarowaniem oceniała stroje mijanych osób. Przeszły pod oknami apartamentów, które podobno zajmowali Napoleon i Józefina, zobaczyły plac, gdzie stracono króla i królową. Teraz nazywał się Place de la Concorde. Ludzie pragnęli zapomnieć o okropnościach wojny.

— Chciałabym spotkać kogoś wyglądającego jak madame Pompadour albo madame du Barry — narzekła Dolly. — Kogoś interesującego!

— Odnoszę raczej wrażenie, że teraz kobiety dokładają wszelkich starań, by nie wyglądać jak one — odparła z goryczą Rose. — Dokładnie w tym miejscu — obejrzała się za siebie — stracono madame du Barry. Podobno jej krzyki docierały aż tam. — Wskazała dłonią rue St Honore za parkową bramą. Dolly i Ann popatrzyły w zdumieniu na Rose, która wciąż rozglądała się wokół. — Papa mi opowiadał — ciągnęła, marszcząc czoło z powodu słońca lub własnych myśli — że na tym placu zginęło wiele osób. Zapach krwi silnie wgryzł się w ziemię i nie chcą już tędy przechodzić zwierzęta. Kiedyś próbowano przeprowadzić stado wołów, ale nikt nie był w stanie zmusić przerażonych zwierząt do wkroczenia na przesiąknięty krwią bruk.

Dolly miała w oczach najprawdziwszy strach, Ann krzyknęła i również odmówiła postawienia stopy na placu. Zrezygnowały więc ze spaceru po

Polach Elizejskich, które zresztą sprawiały wrażenie niezwykle błotnistych, i wróciły do parku. Usiadły na małych krzeselkach w cieniu ogromnego drzewa.

— W Anglii nigdy nie wybuchnie rewolucja, prawda? — spytała nerwowo Dolly. — Prawda?

— Doprawdy, Dolly! — Ann była w złym humorze, bardzo bolały ją przednie zęby. — Takie okropności u nas nie mogłyby się wydarzyć. Byłabym wdzięczna, Rose, gdybyś zachowała swe odrażające opowieści dla siebie.

Słońce odbijało się od lśniących pałacowych dachów, ptaki śpiewały w gałęziach drzew. Przez chwilę siedziały w milczeniu skąpane w wiosennych promieniach słońca, pogrążone w marzeniach.

Wreszcie znów mam okazję podróżować, pomyślała Rose. Słyszała wokół rozmowy po francusku i miała to samo wrażenie obcowania z inną kulturą, jakiego często doświadczała w dzieciństwie. Jeśli tak łatwo przyjechać do Paryża, może wybrałabym się do Egiptu, by rozwiązać tajemnicę hieroglifów? Nagle przypomniała sobie o biednej dziewczynie, która prawdopodobnie straciła życie przez jej męża. Zamknęła oczy.

Ann rozmyślała o swych zębach. Dentysta polecał porcelanowe koronki, jej własnych zębów nie sposób już było uratować. Nie mogła się jeszcze odważyć na ich usunięcie i bardzo cierpiała. Z pewnością tutaj, w Paryżu, William ulegnie namowom George'a i obdarzy ją wreszcie potomkiem.

Dolly rozglądała się na wszystkie strony.

— Spójrzcie! Spójrzcie! — Poderwała się na nogi. — Patrzcie na te dwie staruszki! Mają wielkie peruki, jak w twoich wspomnieniach, Rose! Śmiesznie wyglądają! — Głos Dolly stał się wysoki i przenikliwy z przejęcia. — Spodziewam się, że są łyse. Czy wicehrabina Gawkroger jest łysa?

— Wicehrabina poświęca niezwykle dużo czasu swej toalecie — odpowiedziała stanowczo Rose.

— Och. — Dolly umilkła na moment. — Obejrzymy towary w sklepach: jedwabie, koronki i suknie? Chciałabym kupić sobie muślinową sukienkę z rozcięciami po bokach, jakie noszą Francuzki.

— Wykluczone — zaprotestowała Ann. — Są nieprzyzwoite!

— Ale modne. Wszyscy je noszą.

— Ty, Dolly, nie jesteś wszyscy — odparła surowo Ann. — Reprezentujesz angielską arystokrację.

Słońce schowało się za chmurami. Trzy młode kobiety przemierzały alejki niesławnego Palais Royale, gdzie pospolicie wyglądające paryżanki obwieszane biżuterią gestykulowały, rozprawiając głośno nad straganami z sewską porcelaną i starymi koronkami.

— Nowobogaccy — wzdrygnęła się Ann.

Następnie ruszyły w stronę rzeki. Po drodze wstępowały do antykwariatów, gdzie sprzedawano za grosze stare księgi i porcelaną niegdyś należące do pokonanej arystokracji. Ann szydziła z rys i niemodnych wzorów, wyraziła opinię, że prędzej świat się skończy, niż zastawa Torrence'ów trafi w podobne miejsce.

Ku wielkiej radości Dolly wicehrabina postanowiła zabrać wieczorem wszystkich na bal. Rozczarowaniem była decyzja Williama i George'a, by nie pojawiać się tam przed północą.

— Nie smuć się jednak — odezwał się wesoło George do Dolly. — Nie próżnowaliśmy z Williamem. Znaleźliśmy pewne miejsce, gdzie przyjemnie spędzimy czas przed balem. Ty, mamó, oczywiście musisz się oszczędzać.

— Dokąd się wybieracie? — spytała podejrzliwie wicehrabina. — Nie życzę sobie, by ominęło mnie cokolwiek interesującego.

— Powątpiewam, byś dobrze się czuła w publicznej tancbudzie. Nie zależy ci na towarzystwie mniej zamożnych mieszkańców Paryża.

— Nie mylisz się — stanowczo potwierdziła wicehrabina. — Nie rozumiem twojej fascynacji. Byliśmy wszak świadkami zachowania...

— Te nowo pootwierane przybytki, gdzie każdy może przyjść potańczyć, to niewątpliwie jeden z przejawów nowego porządku — powiedział gładko. — Uważam, że dla Dolly odwiedzenie jednego z nich będzie bardzo kształcące.

— Naturalnie nie będziemy tańczyć — dodał William. — Jedyne się przechadzać.

— Bardzo jestem ciekawa tego miejsca! — szybko powiedziała Dolly, uśmiechając się do uwielbianego brata.

— Ja również — przyznała Rose.

— Chyba tak — odezwała się z roztargnieniem Ann, która usiłowała zwalczyć ból zębów za pomocą brandy.

Dolly wyprzedziła wszystkich na schodach. Miała nadzieję zobaczyć wreszcie najnowszą modę, przeżyć romans... Serce ścisnęło jej rozczarowanie. Ogromne nieciekawe pomieszczenie było jasno oświetlone, nie dostrzegła żadnych romantycznych ciemnych zakamarków. Ludzie w strojach mniej eleganckich niż jej suknia tańczyli sennie.

— To najnowszy taniec — wyjaśnił jej William. — Walc.

Dolly nie potrafiła ukryć rozczarowania, walc wydal jej

się wyjątkowo nieciekawym, podobnie jak akompaniament wykonywany przez tercet skrzypcowy składający się ze starszych muzyków w zniszczonych marynarkach. W sali pełnej tańczących ludzi unosiła się obezwładniająca woń potu. Dolly westchnęła. Z opowieści Williama i George'a wynikało, że to miejsce, gdzie spotykają się mniej zamożni paryżanie, jest interesujące. Choć patrzyła uważnie, nie zauważyła nic ciekawego.

George odezwał się przyciszonym głosem. Rose musiała wyteńczyć słuch z powodu dźwięku skrzypiec.

— Mam nadzieję, iż matka nie zrobi jutro sceny na paradzie wojskowej.

— Nawet ona, George — starannie dobierała słowa, usiłując nie wybuchnąć śmiechem na myśl o wicehrabinie szarżującej z wachlarzem na przeciw armii francuskiej — nie zdoła przerwać, nie jest w stanie przerwać ważnej wojskowej uroczystości. Świadomość własnej pozycji społecznej jej na to nie pozwoli — dodała, widząc jego zmarszczone czoło.

— Mam podobne przemyślenia — zgodził się.

Tańczące pary wirowały wokół nich.

— Udamy się na przechadzkę? — zaproponowała Rose Dolly. Czowała się niezręcznie, stojąc i patrząc.

— Dobrze — przystała skwapliwie na propozycję znudzona dziewczynka.

— Ignorujcie wszelkie zaczepki — pouczył William.

Powoli przemierzały salę. Pary tańczyły, partnerzy się zmieniali, kobiety siadały na krzesłach, mężczyźni opierali się o ściany, skrzypkowie nie przestawali grać. Nagle, choć dyskretnie, Rose zrobiła krok w kierunku roześmianej, mocno umalowanej kobiety w jaskrawej sukni. Dolly popatrzyła z niedowierzaniem. Otworzyła szeroko buzię ze zdumienia i wbiła nierozumiejący wzrok w Rose.

— Czy to... czy to mężczyzna? — wykrztusiła nieco zbyt głośno.

— Ciii.

Poszły dalej, mijając kobietę z krótkimi włosami ubraną w spodnie.

— O rany boskie — szepnęła Dolly. Twarz miała bardzo czerwoną, nagle wybuchnęła śmiechem. — A jednak dzieją się tu ciekawe rzeczy — powiedziała z dziecięcą fascynacją.

Wciąż była zarumieniona, kiedy George przyszedł po nie, mówiąc, że czas zacząć przygotowania na bal. Oglądając się przez ramię, niechętnie poszła z bratem. Wychodząc, słyszeli dźwięki walca.

Dolly spytała brata o mężczyzn i kobiety poprzebieranych w stroje odmiennej płci.

— Ach, to cały Paryż — odparł enigmatycznie William.

William i George, obaj w szampańskich nastrojach, roześmieli się w głos, nawet Ann uśmiechnęła się pobłażliwie. George chwycił Dolly za rękę, ku jej wielkiemu zaskoczeniu i zażenowaniu, mówiąc, że jeszcze wiele nauki przed nią, a on z rozkoszą zostanie jej przewodnikiem.

Wicehrabina opóźniała wyjście, upierając się, iż młodsze kobiety wyglądają na chore. Sama hojnie nałożyła na policzki róż i nie przyjmowała do wiadomości, że bladość jest w modzie. Wreszcie dotarły na miejsce. Dolly była zachwycona, mogąc wreszcie podziwiać wspaniałe toalety dam.

— Tej pani widać całe plecy! — szepnęła teatralnie zza wachlarza do Rose. Na wpół rozebrane kobiety tańczyły walca w ramionach mężczyzn. — Mężczyzna dotyka jej nagich pleców!

Trzymający się w pobliżu George usłyszał jej słowa.

— To nowobogacy — powiedział lekko. — Można tu jednak również spotkać przedstawicieli starej arystokracji. Wyróżniają się, ponieważ damy z towarzystwa nie noszą odkrytych pleców, mała Dolly. Nie potrafię zrozumieć, jak dwie tak różne społeczności są w stanie koegzystować. W Anglii byłoby to niedopuszczalne. — Rose przyjrzała mu się ze zdziwieniem. Sam zalicza! się raczej do nowobogackich. — Ci fałszywi arystokraci nie mają za grosz stylu.

Rose zdawało się, że w tańczącym tłumie mignął jej u kogoś na szyi wielki medalion z hieroglifami. Zamrugła zaskoczona. Niektórzy młodzieńcy wyglądali dość niecodziennie, ubrani w kolorowe marynarki z wysokimi kołnierzami i rajtuzy z lampasami. Wielu mężczyzn i niemało ko-

biet nosiło krótkie roztrzepane fryzury. Wielka orkiestra grała piękniejsze walce niż skrzypkowie na bankiecie dla pospólstwa. Jeden z muzyków był czarny, co wywołało głośnie okrzyki zachwyty Dolly. W istocie spotkali kilku przedstawicieli starej arystokracji, którzy jednak nie tańczyli, lecz obserwowali salę z dezaprobatą. Dolly i William zostali zagadnięci przez jakiegoś dalekiego kuzyna. Wicehrabina Gawkroger przypatrywała się wszystkiemu uważnie zza wachlarza, niewątpliwie układając w głowie pełne zgorszenia opowieści dla znajomych: Nagie! Całkowicie! Poza wstążkami zdobiącymi ramiona! Powietrze przesycone było wonią perfum, pudru, nieświeżych ciał i oddechów, pastylek miętowych, potu i ziół. Arystokrata w podeszłym wieku potrząsnął wzgardliwie głową, wzbijając wielką chmurę pudru z peruki.

W pewnej chwili ku zaniepokojeniu Ann, Williama i George'a odkryto zniknięcie Dolly.

— Gdzież ona się podziała, Rose? — pytał oskarżycielsko George. — Spacerowałyście razem.

— To prawda. Odeszła porozmawiać z kimś z dalszej rodziny.

— Nie wolno jej spuszczać z oka! Nie wolno! — George sprawia! wrażenie przerażonego.

— Jesteśmy na balu, a nie w więzieniu, George — odrzekła zaskoczona jego zachowaniem. — Zapewne wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza, niebywale tu duszno.

Ann, George i William gorączkowo przeszukiwali salę. Szczególnie Ann znacznie zbladła. Cóż to ma znaczyć?, zastanawiała się Rose.

Znaleźli Dolly opierającą się w niewygodnej pozycji o ścianę w próżnym wysiłku odsunięcia się od otyłego starszego Francuza, przyjaciela ojca, który entuzjastycznie powitał Williama i podobnie jak wcześniej Dolly, zaczął mu opowiadać o ciężkim losie arystokracji pod nowymi rządami. Miał czerwoną twarz i był wściekły. Ann chwyciła Dolly mocno za ramię.

Naturalnie, że to Ann.

W dusznej zatłoczonej sali Rose niechętnie połączyła w całość strzępy zdań i sytuacji. Ann czytuje pamiętnik Dolly. Zachowują się jak szaleńcy, ponieważ przeczytali historyjkę o francuskim markizie. Powinni wiedzieć, że wszystkie młode dziewczęta ubarwiają swoje przeżycia. William podobno przywykł do jej zmyślonych opowieści.

Przed snem podekscytowana Dolly zamieściła w pamiętniku długi opis wieczoru, szczególnie wizyty na publicznym dansingu. Jedyne nieprawdziwy fragment, w którym dała się ponieść wyobraźni, dotyczył jej francuskiego wielbiciela. Złożył delikatny pocałunek na mych wargach, pisała. W srebrzystych promieniach księżycy świecącego jasno nad Paryżem, pod koronami drzew. Wbrew wszelkim zasadom.

W dzień parady zanosiło się na deszcz. Mimo to mieszkańcy Paryża stawili się licznie, by oddać cześć swemu bohaterowi. Rozlegał się donośny dźwięk dzwonów i głośnie salwy armatnie. George i Rose uspokoili się. Wicehrabina nie zdoła zakłócić obchodów. Zbyt wielka odległość i zbyt wielu strażników dzieliło ją od Napoleona.

— To przecież zwykły mały człowieczek na koniu — szepnęła do Rose rozczarowana Dolly. Ponadto był zbyt daleko, by mu się dokładnie przyjrzeć. — A wojsko także jakieś niechlujne! — dodała.

Rose przywołała w pamięci opowieści Harry'ego o wspaniałej bitwie o Nil pod wodzą lorda Nelsona, morzu w ogniu, zniknięciu Napoleona, tysiącach francuskich żołnierzy, którzy nigdy nie powrócili do domów. Wskazywano sobie okno pałacu, w którym stała Józefina w przepięknej chuście zarzuconej na ramiona. Szeptano, iż Napoleon i jego ludzie przywieźli z Egiptu wiele jeszcze piękniejszych rzeczy. George, William i Ann wymieniali między sobą gorączkowe uwagi, przy czym Ann z Williamem eskortowali Dolly z niespotykaną dotąd uwagą. Rose zdziwił ten nagły przejaw rodzinnej miłości i troski. George obserwował podejrzliwie matkę.

Ledwie wrócili do hotelu i zasiedli w *salon de the* (Ann nie zdążyła nawet zamówić brandy na swoje bolące zęby), usłyszeli odgłos nadjeżdżającego powozu, po czym nastąpiło zamieszanie w holu i wkroczyła księżna Seaforth, oganiając się wachlarzem od francuskiej służby jak od much.

— Henrietto! — zawołała, uświadamiając im, iż jest to oczywiście imię wicehrabiny.

— Henrietto! — Usadowiła swą potężną sylwetkę, oddychając ciężko. Zażądała herbaty. Podobnie jak wicehrabina miała przypięte do czepka

sztuczne loki, teraz nieco zmierzwiłone, tak wielkie emocje nią targaly. — Henrietto, masz zaledwie godzinę, aby się przygotować. Zostałam wprowadzona w błąd. Józefina przyjmuje dziś, Napoleon jutro opuszcza Paryż, być może weźmie udział w podwieczorku. Dla ciebie to jedyna okazja, aby go spotkać. Mam zaproszenie. Oczywiście wicehrabia Gawkroger i droga Rose również są mile widziani. Musicie natychmiast udać się ze mną. — George poderwał się na nogi, wielce zmieszany. Dolly poszła w jego ślady.

— Och — pisnęła Ann. Wezbrało w niej oburzenie, wszak pochodziła z o wiele lepszej rodziny niż Fallonowie. I bolały ją zęby.

— Ja też chcę pójść, ja też! — zawołała Dolly, spoglądając znacząco na Rose.

William zaprotestował.

— Pozwól Dolly pójść — poprosiła. — Ma piętnaście lat i może uczestniczyć w historycznych chwilach. Powiem, że jest moją kuzynką.

Dolly zarumieniła się z radości.

— Wobec tego my również się wybierzemy, Williamie — zdecydowała stanowczo Ann. — Z łatwością zdobędziesz zaproszenia, wystarczy, że podasz nazwisko Torrence. Będę miała co opowiadać przyjaciółom.

William popatrzył z rezygnacją na George'a. Wicehrabia tego nie zauważył, zajęty niespokojnym przemierzaniem pomieszczenia.

— Jesteś zbyt zmęczona, mamó — nalegał. — Przemęczasz się, odkąd przybyliśmy do Paryża. Proszę cię, abyś zrezygnowała z wizyty! — Jednak wicehrabina już podążała do swego pokoju z niespotykaną prędkością. Wezwała pokojówkę.

— Paryż jest okropnie brudny — wołała. — Muszę się przygotować na spotkanie z Napoleonem. Nareszcie!

Dosłownie drżała z przejęcia. Księżna poszła za nią, również rozemocjonowana.

— Koniecznie trzeba ją powstrzymać — syknął George. Zażył proszku ze złotej tabakiery i kichnął kilkakrotnie. Wydmuchał nos w swoją białą chustkę i usiadł z impetem.

— Nie sposób — powiedziała z przekąsem Rose. Zaczynała ją bawić cała sytuacja, ciekawa była starcia małego wodza Francji ze swoją teściową. Przyglądała się bladej twarzy George'a i błyskawicznie pustoszejącej tabakierze. — Uważam za wielce nieprawdopodobne, aby Napoleon słyszał cokolwiek o waszej rodzinie! Pochlebiasz sobie, zakładając, iż rozpozna wasze nazwisko. A nade wszystko nie wyobrażam sobie twojej matki zachowującej się w miejscu publicznym w sposób, który nie przystoi damie.

William z ociąganiem udał się po zaproszenia, kobiety wróciły, przebrawszy się pospiesznie, George cały czas chodził niespokojnie po sali, głęboko zaniepokojony sprawą honoru wspaniałej rodziny Fallon. Co jakiś czas podchodziła do niego Ann i wymieniali kilka cichych zdań, po każdej takiej rozmowie George wydawał się jeszcze bardziej zdenerwowany.

— Gdzie jest Dolly? — spytał kilka razy z roztargnieniem.

— Tu jestem — odpowiadała urażona dziewczynka. — W najlepszej białej sukience, gotowa na poznanie Napoleona Bonaparte!

Protesty George'a na nic się nie zdały i po godzinie Fallo— nowie sadowili się w ogromnym powozie księżnej Seaforth. Ann i William byli już w drodze do Tuileries.

— Pojednaliśmy się z Napoleonem — przekonywał wicehrabia Gawkroger, usiłując utrzymać nerwy na wodzy.

— Ja się z nim nie pojednałam — upierała się wicehrabina. Z okazji spotkania z Bonapartem miała bujniejszą niż zwykle fryzurę.

Już przy wejściu Dolly zaparło dech w piersiach. Gości witał wysoki mężczyzna w turbanie i szarawarach, dokładnie taki jak w jej śnie.

— To mężczyzna... on... ja o nim śniłam...

— Mameluk Bey przywieziony z Egiptu — pouczyła fachowo żona włoskiego ministra spraw zagranicznych.

Po wejściu do salonu nie tylko Dolly zaparło dech. Sala wyglądała olśniewająco. Dominował kolor jasnożółty, meble były bardzo stylowe, ciemne, masywne, rzeźbione. Świeczniki rozaczały blask tysiąca świec. Lustra, fantazyjnie przystrojone długimi brązowymi szarfami wykończonymi frędzlami w sposób nieznan w Anglii, odbijały migające płomienie. Na marmurowych stolikach stały piękne zegary i porcelana. Fallonowie zauważyli wśród gości Ann i Williama, jednocześnie, słysząc szmer rozmów w różnych językach, uświadomili sobie, iż spotkanie nie zostało zorganizowane specjalnie dla Anglików. Wicehrabina fuknęła urażona, rozglądała się wokół z niesmakiem. Prócz kilku stojących na uboczu Francuzów w cudacznych mundurach, prawdopodobnie dowódców armii napoleońskiej, łącznie z Williamem i George'em było nie więcej niż dwunastu mężczyzn. W komnacie nie brakowało natomiast rozgadanych, rozemocjonowanych kobiet. Było ich co najmniej siedemdziesiąt.

— Pamiętam o naszej umowie — szepnęła z przejęciem Dolly. — Ciekawe, czy Józefina wystąpi w sukni bez pleców!

Gwar ucichł niczym ucięty nożem. Dwóch małych Murzynków w błękitnych liberiach z koronkowymi kołnierzykami otworzyło podwójne drzwi salonu. Stała w nich Józefina. Sama. Uśmiechnięta, strojna, piękna, w białej jedwabnej sukni nieodslaniającej pleców i małym kapelusiku. Pozdrowiała gości, wymieniając z nimi uprzejme, choć zdawkowe uwagi, prawdopodobnie nie mając pojęcia, kim są. Rose zachwyconym wzrokiem wpatrywała się w medalion z hieroglifami na jej szyi. Zapewne prezent przywieziony przez Napoleona z Egiptu. George odprężył się nieznacznie i odchrząknął. Był przekonany, iż Napoleon się nie zjawi.

Mylił się.

Dzieci o czekoladowej skórze ponownie otworzyły drzwi i w progu stanął pierwszy konsul Francji. Towarzyszyło mu dwóch niewątpliwie specjalnie wybranych ze względu na wzrost przybocznych w szkarłatno—srebrnych mundurach. W porównaniu z nimi nawet Napoleon wydawał się niemal wysoki. Na kilka chwil zapadła nabożna cisza. Józefina odwróciła się i skłoniła lekko głowę w stronę męża. Napoleon podszedł do gości. Jeden z jego niskich, lecz wzbudzających szacunek przybocznych o zaskakująco donośnym głose dysponował listą nazwisk. Od czasu do czasu zamieniał kilka zdań z gośćmi i anonsował każdego, podając nazwę kraju, z którego pochodził. Italia, grzmiał najczęściej, Bawaria, i bardzo rzadko Wielka Brytania.

Fallonowie poczuli się zaskoczeni. Nawet wdowa musiała przyznać, iż nie mają do czynienia z pospolitym chłopem z Korsyki. Zdawał się górować nad większością znakomitych gości zarówno wzrostem jak i manierami. Miał krótkie włosy, prosty strój, szerokie ramiona, wyprostowaną postawę i królewski sposób bycia. Sprawiał wrażenie człowieka w pełni panującego nad własnym przeznaczeniem, świadomego swego miejsca w historii. Mówił po francusku, zdawał się szczerze zainteresowany każdym z gości, swobodnie gawędził z damami, pytał, czy bywają w operze, jak im się podoba w Paryżu, na jak długo przybyły. Podszedł do księżnej Seaforth.

— Ach, milady, jakże się cieszę, mogąc panią poznać — powiedział z uśmiechem.

Księżna zarumieniła się i z dumą rozejrzała na boki. Następna w kolejce była żona włoskiego ministra spraw zagranicznych, którą pocałował w rękę i wymienił kilka zdań w jej ojczystym języku. Potem podszedł do Fallonów. Wicehrabina drżała z niecierpliwości, gniewu lub strachu. George trzymał ją kurczowo za łokieć. Dolly wpatrywała się w Napoleona z bardzo zaczerwienioną twarzą.

W chwili gdy zaanonsowano: *la familie Fallon de Grande-Bretagne*, Dolly zemdląła wprost pod stopy Napoleona.

Rose jak we śnie przykucnęła instynktownie nad Dolly. Ludzie odsuwali się, mruczając, aby dać dziewczynie trochę powietrza. Dolly otworzyła jedno oko i uśmiechnęła się szeroko do Rose. Rose poczuła zapach perfum, zdała sobie sprawę, iż ktoś jeszcze pochylił się nad Dolly i musiał widzieć jej uśmiech. Podniosła wzrok na pierwszego konsula Francji, Napoleona Bonaparte. Inteligentne szare oczy błyszczały humorem. Wstał i wydał jakieś polecenie po francusku. Służący wynieśli Dolly. Rose zrobiła krok, by pójść za nimi, lecz została dyskretnie zatrzymana.

— Wszystko dobrze, madame — uspokoił jeden z mężczyzn w szkarłatnych mundurach. — Jest pod dobrą opieką. Nie po raz pierwszy młoda dama słabnie w obecności konsula.

Napoleon zwrócił się do wicehrabiny Gawkroger. Wziął ją za rękę i skłonił się z szacunkiem. Nie zdołała wykrztusić słowa.

— Proszę się nie frasować, milady — powiedział uprzejmie, po czym zaczął zachwalać po francusku uroki Paryża. Wicehrabina, która wzrostem górowała nad Napoleonem, zwłaszcza z dodatkowymi włosami, milczała oszołomiona. Wreszcie zdobyła się na słabe skinienie głową, dając sygnał, że owszem, koniecznie musi się wybrać ponownie do opery. Wicehrabia Gawkroger tylko pochylił głowę, zaczerwieniony. Również nie odezwał się ani słowem. Napoleon Bonaparte zakończył audiencję, mówiąc z silnym akcentem po angielsku:

— Do widzenia, milady. Prawdziwy to zaszczyt i przyjemność poznać kogoś równie znamienitego.

Zerknął na Rose tym samym rozbawionym wzrokiem, skłonił się im wszystkim i przeszedł do następnej grupy. Usłyszeli, jak pyta grzecznie:

— Czy często chadza pani do opery, madame?

Spotkanie Fallonów z Napoleonem trwało mniej niż półtorej minuty. Wicehrabina, która nie odezwała się podczas niego ani słowem, pozwoliła

się synowi posadzić na zdobionym krześle i machała wachlarzem dla uspokojenia skołatanych nerwów.

Rose przez kilka chwil obserwowała pierwszego konsula. Pomyślała o angielskich gazetach, o tym, jak szydzono z niego, nazywano szaleńcem i ignorantem, wyśmiewano romanse Józefiny. A on z taką pewnością siebie czarował wielkie damy z całej Europy. Napoleon Bonaparte we własnej osobie. Spotkała go! Przeniosła wzrok na grupę francuskich oficerów. Śmiali się z czegoś i przypominali Rose pewnych siebie żołnierzy brytyjskich, Harry'ego w gronie przyjaciół, śmiali się w podobny swobodny sposób, bezpieczni w swoim świecie. Odwróciła szybko wzrok, znów popatrzyła na Napoleona. Wszystkie damy wydawały się pozostawać pod urokiem „wroga”. Do Rose podszedł jeden z francuskich oficerów.

— Czy jest pani zadowolona z poznania pierwszego konsula, madame?

Jej uwagę od razu przykuły ciepłe, śmiejące się oczy mężczyzny. Natychmiast poczuła z nim więź, mimo iż był Francuzem, czyli również „wrogiem”.

— W Anglii uchodzi za potwora! Proszę mi wybaczyć szczerłość. Straszny się nim niegrzeczne dzieci. „Napoleon po ciebie przyjdzie!”. Tymczasem wcale nie jest potworem, a nawet ma poczucie humoru! Potwory nie miewają poczucia humoru!

Roześmiał się.

— W istocie to niezwykle interesująca i złożona osobowość. Jestem bardzo, bardzo dumny, mogąc z nim pracować. — Oboje spojrzeli na pierwszego konsula.

— Jest pan jednym z jego oficerów, monsieur?

— Niezupełnie, madame. Mieliśmy spotkanie dziś po południu. Na górze, w gabinecie. Ma wspaniałą ogromny gabinet. Iście pałacowy. Jesteśmy przecież w pałacu! — Uniósł lekko brwi. — Przerwaliśmy je, by wziąć

udział w przyjęciu. Koledzy i ja jesteśmy naukowcami. Wróciliśmy niedawno z Egiptu, jako ostatni.

Rose poczuła dreszcz podniecenia.

— Egipt! Naprawdę był pan w Egipcie z Napoleonem? Widział pan hieroglify i zabytki? A może nawet kamień z Rosetty?

Uśmiech na twarzy sympatycznego Francuza nieco przygasł.

— Proszę wybaczyć, lecz niezbyt taktownie jest wspominać o kamieniu z Rosetty francuskiemu naukowcowi, który spędził mnóstwo czasu na poznawaniu starożytnej cywilizacji Egiptu. Wciąż odczuwamy wielki żal z powodu odebrania nam naszego najwspanialszego znaleziska. Bo też w istocie my go uratowaliśmy przed zniszczeniem i zapomnieniem. Nie należy do pani kraju.

Skłonił głowę i miał zamiar odejść. Rose położyła dłoń na jego ramieniu.

— Proszę mi darować, monsieur. Słyszałam o tym i przyznaję, iż odebranie tak wielkiego skarbu prawowitym znalazcom nie wydaje mi się sprawiedliwe, jednak... Doprawdy, kamień pomoże nam odkryć tajemnice minionych wieków. Nie powinniśmy się kłócić o prawo własności, lecz dzielić wiedzę.

— Jak dotąd nic nie wiemy. Ani Francuzi, ani Anglicy, nikt. Kamień odnaleziono dwa lata temu w starym forcie Rosette, od razu przetłumaczyliśmy grecki tekst na francuski, ale od tamtego czasu nie poczyniliśmy najmniejszych postępów. Trzeba doprawdy znakomitego umysłu, by rozwiązać zagadkę hieroglifów, które jak dotąd pilnie strzegą swych sekretów.

— Grecki tekst niebywale mnie rozczarował.

Wydawał się zdumiony.

— Czytała go pani, madame?

— W angielskim przekładzie, naturalnie! Miałam szczęście zdobyć kopię. Spodziewałam się wielkiego odkrycia, magii, a dostałam zwykły długi i nudny list na cześć jakiegoś młodzieńca.

Patrzył na nią z niekłamanym zachwytem.

— Madame, pragnę się przedstawić. Nazywam się Pierre Montand, a pani jest pierwszą kobietą, jaką spotkałem, która zapoznała się z przekładem greckiego tekstu wyrytego na kamieniu z Rosetty...

Rose przerwała mu z przejęciem.

— Monsieur, przepraszam bardzo... W tekście często powtarza się imię młodego króla Ptolemeusza. Być może odnalezienie tej samej frazy w hieroglifach dostarczyłoby jakichś wskazówek?

— Życzyłbym sobie, aby to było takie proste, madame. Oczywiście pomyślano o tym. Aczkolwiek hieroglify, przynajmniej do tej pory, postrzegano zawsze jako pismo obrazkowe, metafizyczny język tajemnic raczej niż dźwięki czy litery mogące ułatwić nam przekład. — Rose przypomniała sobie swój własny obrazkowy język z lat dziecińczych. — Wiele spraw trzeba przemyśleć od nowa — kontynuował. — Wierzymy, że najwięcej wskazówek dostarczy środkowa część, pismo najbardziej powiązane z hieroglifami. Miejmy nadzieję, że językoznawcy wreszcie znajdą ogniwo łączące dwa języki Egipcjan. Tymczasem możemy jedynie snuć przypuszczenia. Prace postępują bardzo powoli.

— Och — westchnęła zasłuchana Rose.

— W istocie widziałem kamień na własne oczy, dokładnie go zbadałem. Najbardziej uszkodzony jest na samej górze. Brakuje znacznej części hieroglifów. Najlepiej zachowała się środkowa część, z tak zwanym pismem demotycznym.

— Och — szepnęła Rose znajdująca się całkowicie pod urokiem jego słów.

— Trwają prace nad wielotomową publikacją „Description de l’Egypte”, w której my, czyli francuscy uczeni, opiszemy w szczegółach nasze odkrycia i obserwacje.

— Nie jest pan żołnierzem, monsieur?

— Nie, madame. Napoleon, świadom ogromu odkryć czekających w Egipcie, zabrał ze sobą grupę naukowców.

— Historyków?

— A także artystów, matematyków, językoznawców, chemików, pisarzy, architektów i archeologów. Ja jestem archeologiem. Spędziliśmy w Egipcie kilka lat, zgłębiając jego kulturę, poznając zabytki, lecz także budując drogi, szpitale i młyny.

— Och, tym bardziej zrozumiała jest wasza reakcja na stratę kamienia z Rosetty.

— Napoleon Bonaparte jest zauroczony Egiptem. Proszę wybaczyć bezpośredniość, lecz nie można powiedzieć tego samego o angielskich generałach. Uważamy odebranie nam kamienia za pospolitą kradzież. — Uśmiechnął się, dając do zrozumienia, iż jego złość nie ma nic wspólnego z Rose. — Commission de l’Egypte znajduje się bardzo niedaleko stąd. Zważywszy na pani szczególne zainteresowanie tematem, zapraszam, by wraz z rodziną obejrzała pani malowidła i rysunki oraz hieroglify, które zostaną opublikowane.

Twarz Rose rozjaśniła się.

— Monsieur, nie umiem wyrazić swej wdzięczności. Hieroglify mają dla mnie szczególne znaczenie, którego wręcz nie jestem w stanie wytłumaczyć. Kocham je od dzieciństwa. Mój ojciec odwiedził Rosettę jako młody chłopiec, na długo przed moim urodzeniem. Otrzymałam imię na cześć tej miejscowości.

Pierre Montand nie krył ciekawości i zachwyty.

— Cóż za niezwykły zbieg okoliczności! — zawołał.

— Och, proszę wybaczyć — zreflektowała się. — Nazywam się Rose Fallon. Przybyłam do Paryża z matką i bratem mego zmarłego męża, wicehrabią Gawkroger, oraz kilkorgiem przyjaciół. Zatrzymaliśmy się w Hotel de l'Empire. Mój mąż był kapitanem brytyjskiej floty w Egipcie.

Przyglądał jej się z wielkim zmieszaniem.

— Ach — wykrztusił wreszcie. — Wicehrabina.

Wypowiedział to tak szczególnym tonem, że tym razem

Rose poczuła się oszołomiona i zmieszana. Zastanawiała się, czy miał na myśli ją. A może jej teściową?

— Rose! Rose!

Odwróciła się szybko. Wróciła Dolly. Była bardzo podekscytowana i zarumieniona.

— Och, Rose. Widziałam ich apartamenty!

Rose natychmiast zwróciła jej uwagę na obecność Pierre'a Montanda, w obawie że dziewczynka zacznie ujawniać niedyskretne informacje.

— Dolly, poznaj jednego z uczonych pracujących z panem Bonaparte. Był w Egipcie i widział prawdziwe hieroglify, nie tylko rysunki w książkach. Monsieur Montand, oto lady Dolly Torrence.

Twarz Dolly stanowiła widok godzien zapamiętania. Wcześniej, znajdując się pod wpływem silnych przeżyć, nie zauważyła stojącego obok Rose mężczyzny. Wysokiego Francuza!! Przystojnego!! Naukowca!! Omal nie zemdlą, tym razem naprawdę.

— Och! Och! Bardzo mi miło, monsieur Montand. Czy rozwiązał pan zagadkę hieroglifów?

— Jeszcze nie, mademoiselle. Jednakże zachwyca mnie zainteresowanie nimi tak wielu angielskich dam! Czy pani również zapoznała się z tłumaczeniem greckiego tekstu z kamienia z Rosetty? — Uśmiechnął się z sympatią.

— Nie, monsieur. Oczywiście, że nie. Słyszałam o nim od swojego brata, Williama, który go uratował.

Dolly nie zwróciła uwagi na zażenowanie Rose ani na wyraz twarzy Francuza. Mówiłaby dalej, gdyby nie stanowcza reakcja Rose.

— William jedynie był w tym czasie w Aleksandrii, to wszystko.

— Och tak, właśnie to miałam na myśli — zgodziła się Dolly i kontynuowała w ferworze emocji: — Pan jest szalenie przystojny i wysoki! Ma pan żonę?

— Dolly!

Roześmiał się, rozbrojony.

— Jestem kawalerem, mademoiselle. Nim wróciłem z Egiptu, wszystkie piękne damy powychodziły za mąż.

— Och — westchnęła wpatrzona w niego Dolly.

Na drugim końcu pokoju nastąpiło poruszenie. Napoleon i Józefina ruszyli w stronę wyjścia, mijając grupki gości. Bonaparte przechodząc, lekko skinął głową w stronę Pierre'a Mon— tana. Chłopcy zamknęli drzwi za wychodzącymi. Wieczorek dobiegł końca.

Naukowiec został odwołany przez współpracowników.

— Och nie! — zawołała głęboko rozczarowana Dolly.

— Do widzenia — pożegnał się. — Pora dokończyć spotkanie z pierwszym konsulem. Zjawię się w Hotel de l'Empire jutro po południu.

Skłonił się damom i zniknął za drzwiami wraz z pozostałymi uczonymi. Dolly patrzyła za nim tęsknie. Promieniała.

— Och, Rose, właśnie znalazłaś mi wysokiego męża. Źle zinterpretowałam mój sen. Naturalnie nie mogę wyjść za Turka, on miał mnie jedynie doprowadzić do mojego męża! Czy moje omdlenie odniosło skutek?

— Tak — zaśmiała się Rose. — Niebywały. Dziękuję ci, Dolly, za odwrócenie uwagi. Wicehrabina nie odezwała się ani słowem. Przyczyniłaś się do zachowania pokoju między dwoma krajami! — W głowie rozbrzmiewały jej niepokojące słowa Montanda: „Ach, wicehrabina!”.

Dolly była z siebie niezwykle dumna.

— Jakże się cieszę! Otworzyłam oczy za ledwie na pół sekundy! Kiedy znów spotkamy pana Montanda? Och, Rose! Napoleon śpi z Józefiną w jednym łóżku, wyobrażasz sobie? Widziałam je, z baldachimem i błękitną pościelą, siedziałam tuż obok i piłam koniak! — Dolly roześmiała się radośnie. — Rozglądałam się po pięknej komnacie i myślałam, jak przyjemne musi być spanie w jednym łóżku z mężczyzną przez całą noc. Nigdy nie wpadłabym na podobny pomysł. Mama i ojciec nigdy tego nie robili, ani William z Ann. Może ja z panem Montandem...? Wszystkie pokojówki były dla mnie szalenie mile, głaskały po głowie i mówiły, że jestem bardzo ładna, nawet ci czarni chłopcy uśmiechnęli się do mnie, kiedy ich zagadnęłam. Och, Rose, dotknęłam historii, czyż nie? To lepsze niż jakakolwiek powieść. Byłam w pokoju Napoleona Bonaparte, siedziałam przy jego łożu! A teraz... Och, Rose. — Dolly popatrzyła na zamknięte drzwi jak na wrota do raj. — Nie miałam pojęcia, że jednego wspaniałego dnia może wydarzyć się tak wiele cudów. Odnalazłam swego przyszłego męża! Jeśli mi pomożesz, niebawem napiszę w dzienniku o prawdziwym wielbicielu! — W pięknej żółtej komnacie pod jednym z udrapowanych lusterek uszczęśliwiona dziewczyna zarzuciła ręce na szyję swej przyjaciółce. — Kocham cię, Rose — powiedziała.

George zarządził powrót. Jego matka nie odzywała się przez całą drogę do powozu. Szła bardzo wolno, wsparta na ramieniu syna.

Również w powozie mówiła niewiele. Najwyraźniej nie potrafiła pogodzić się ze świadomością, iż straciła szansę. Nie wspomniała nawet imienia ukochanego zmarłego syna. Nie umiała zrozumieć samej siebie. Spoglądała przez okno powozu na zniszczone kościoły i ulice Paryża. Jej twarz pod starannym makijażem była niezwykle blada. Za to George tryskał humorem, szczęśliwy, że zagrożenie minęło, nie przestawał wychwalać nienagannego zachowania matki. Zaaranżował, aby Dolly siedziała obok niego. Objął ją ramieniem. Dziewczyna kipiała tłumioną radością, nie zwróciła na to uwagi. Księżna Seaforth dzieliła się wrażeniami na temat wystroju pałacowych wnętrz, toalet gości i gospodarzy, nieco zbyt prostego stroju Napoleona i jego niespotykanego uroku.

— Lady Dolly — powiedziała surowo. — Jak można tak zemdleć w najmniej odpowiednim momencie!

— Byłam pod zbyt wielkim wrażeniem — odparła melodra— matycznie Dolly. — Na widok człowieka— legendy, który od tak dawna budzi naszą ciekawość.

Wicehrabia poklepał ją po ręku z protekcjonalnym uśmiechem.

— Słodka, mała Dolly. Niebawem przedstawię cię swemu przyjacielowi księciu Walii, który pewnego dnia — a o Napoleonie nikt już nie będzie wtedy pamiętał — zostanie królem Jerzym Czwartym, władcą najpotężniejszego mocarstwa na świecie. Pewnego dnia poznasz króla i królową.

— Poznałam ich już — rzekła z roztargnieniem Dolly, zaprzątnięta innymi sprawami. — Byłam na zamku kilka razy z rodzicami i rodzeństwem. Kiedyś zabłądziliśmy w ciemnych korytarzach, pamiętasz, Williamie? Były obrzydliwe, pośliznęłam się na zgniłym owocu. Przynajmniej tak mi się w pierwszej chwili zdawało. Później okazało się, że to były fekalia.

— Ach. — George skrzywił się z niesmakiem, po chwili odzyskał rezon i przejął kontrolę nad konwersacją: — Tym razem zostaniesz przedstawiona nie jako dziecko, ale młoda dama. Nie możesz pozwolić się obezwładnić emocjom, jak to zrobiłaś dziś. Czeka mnie z tobą wiele pracy. — Uśmiechnął się. Doiły wciąż niczego nieświadoma bujała w obłokach. Księżna Seaforth skinęła głową z aprobatą, a Rose posłała szwagrowi ostrzegawcze spojrzenie.

— Nie wydaje mi się, George, aby spotkanie z księciem Walii miało dobroczynny wpływ na edukację Dolly.

Uśmiech nie zniknął z twarzy wicehrabiego.

— Ani Napoleon, ani książę Walii nie są wysocy — oświadczyła z rozmarzeniem Doiły.

Po drodze mijali dowody potęgi Napoleona. Przejeżdżali przez nierówne, niebezpieczne ulice, a przez okna powozu oferowano im cukrowe podobizny pierwszego konsula. Leniwi paryżanie nie ustępowali pokornie z drogi, jak niegdyś, gdy przejeżdżał królewski powóz księżnej Seaforth.

Salonik Hotel de l'Empire pełen był gości dzielących się wrażeniami po ujrzeniu Napoleona na paradzie wojskowej. Dolly przysłuchiwała się ich rozmowom z wyższością. Cóż oni wiedzieli, ona widziała jego łóżko.

William i Ann już tam czekali, by wymienić się opiniami na temat pierwszego konsula Francji. Dolly z błyszczącym wzrokiem natychmiast zaczęła ze szczegółami opisywać jego prywatne apartamenty. Niczym wdowa Gawkroger nie dopuściła do głosu nikogo innego.

— Widziałam koszulę nocną Józefiny wyszywaną klejnotami. Leżała przewieszona przez krzesło. Och, Rose, zapomniałam ci powiedzieć... Za otwartymi drzwiami do drugiego pomieszczenia chyba dostrzegłam wannę. Nie jestem pewna, wyglądała jak sofa z purpurowymi poduszkami, lecz uważyłam jedną z nóg!

Oczy Ann rozszerzały się coraz bardziej.

— Czy wicehrabina z nim rozmawiała? — przerwała władczo. — Zostaliście zaproszeni na prywatną audiencję?

— Nie, nie! — zawołała wesoło Dolly. — Zemdlałam u jego stóp!

— Więc to byłaś ty? Widziałam kogoś zachowującego się żenująco — zdenerwowała się natychmiast Ann. — Całe szczęście, że stałam w drugim końcu pokoju. Kobiety z rodu Torrence'ów nie mdleją.

George Fallon stał za nimi niezwykle zadowolony z siebie, pobłażliwie łagodny.

— Ani kobiety z rodu Fallonów — wtrącił żartobliwie. — Mama odpoczywa. Napoleon ją oczarował. Zachowała się z wielką godnością, jakiej się po niej spodziewałem. Mówiłem małej Dolly — która przewyższała go

o kilkanaście centymetrów — że musi się nauczyć panować nad wzruszeniem w podobnych sytuacjach, ponieważ życzę sobie przedstawić ją księciu Walii. Będę musiał udzielić ci kilku lekcji, Dolly. — Ku ogromnemu zdumieniu dziewczyny wicehrabia ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek. Nagle zwrócił się do Rose, która odbierała filiżankę herbaty z rąk służącej: — Kim był ten Francuz, z którym flirtowałaś przez cały wieczór?

— Wcale nie flirtowała! — zawołała głośno oburzona Dolly. — Znalazła dla mnie męża. — Widząc, że przyciągnęła uwagę wszystkich, dodała melodramatycznie swym donośnym dzieciennym głosem: — Spotkałam mężczyznę, którego pragnę poślubić!

Popatrzyła na Rose, szukając w niej poparcia. George i Ann wymienili zdumione spojrzenia, po czym oboje zerknęli na Williama.

Pierwsza odezwała się Ann.

— Znalezienie kandydata na męża jest obowiązkiem rodziny, nie Rose. — Jej głos był jak lód.

William spojrział najpierw na George'a, potem na żonę. Wstał niechętnie, ponieważ nie zdążył dopić herbaty.

— Pozwól, Dolly. Pragnę z tobą porozmawiać na osobności.

Zachwycona dziewczynka z uśmiechem chwyciła ukochanego brata pod ramię.

— Drogi Williamie — mówiła, kiedy znikali za drzwiami. Wysoka dziewczynka i niższy od niej opiekun.

— Ja w takim razie muszę... — George popatrzył na Ann, szukając wsparcia — sprawdzić, co u mamy.

On także nie wypił herbaty. Ann i Rose zostały same. Przez chwilę żadna z nich się nie odzywała.

— Według mojej opinii — powiedziała wreszcie Rose, starannie dobierając słowa, bo nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. — Dolly jest zbyt młoda, aby myśleć o małżeństwie z kimkolwiek.

Długie kolczyki Ann błysnęły w popołudniowych promieniach słońca padających przez wielkie okna saloniku.

— Nigdy nie jest za wcześnie na planowanie przyszłości młodej dziewczyny o pozycji społecznej Dolly. Ma wspaniałe pochodzenie, a przy tym chwiejny charakter. Nie możemy dopuścić, aby zadawała się z nieodpowiednimi osobami. — Wychyliła jednym haustem szklaneczkę brandy. — Nie ma powodu, abyś nie wiedziała... Uznaliśmy, iż Dolly jest gotowa do małżeństwa. Gdyby George uczynił jej ten zaszczyt i poprosił o rękę, bardzo zbliżyłoby to nasze rodziny.

Rose wyprostowała się gwałtownie na krześle.

— George mógłby być jej ojcem. Nie spiesz mu się do ożenku, z tego co mi mówił. To niedorzeczne i Dolly się nie zgodzi.

— Tak się składa, że znamy pragnienia Dolly.

— Ann! — Rose nagle zdała sobie sprawę, że ludzie przy sąsiednim stoliku z ciekawością przysłuchują się ich rozmowie. Zwróciła na to uwagę Ann, która jednak nie miała nic do ukrycia i podobnie jak wdowa Gawkroger rzadko zniżała głos. Ludzie niewiele dla niej znaczyli.

— Ona pragnie zamążpójścia. Najwyraźniej łamiąc wszelkie zasady dyskrecji, rozmawiała o tym z pewnym francuskim markizem, który również zachowywał się w sposób niegodny dżentelmena. To oczywiście nie do pomyślenia. George i William uzgodnili wszystko między sobą dawno temu, czekali, aż Dolly osiągnie odpowiedni wiek. Postanowili działać teraz w celu uniknięcia dalszych... konsekwencji. Nie dałaś rodzinie Fallońów potomka, którego bardzo potrzebuje, co również ma wpływ na pośpiech George'a.

Rose popatrzyła na wielce zainteresowaną publiczność. Wstała i wyprowadziła Ann siłą na zewnątrz. Krople deszczu padały na krótkie włosy Rose.

— Francuski markiz nie istnieje. To bajka!

— Życzą sobie panie powóz? — Skłonił się stangret.

— Nie, nie, proszę odejść! — Rose odciągnęła Ann na bok. — Czytałaś jej pamiętnik i przekazywałaś informacje George'owi. Odrażające!

Ann nie wyglądała na zbytnio zawstydzoną, ledwie nieznacznie. Spokojnie odepchnęła rękę Rose.

— Przyjaźnimy się z George'em od dawna. Rozumiemy się. Małżeństwo zaaranżowano całe lata temu. Poza tym, skąd ci przyszło na myśl, że dzienniki są prywatne? To publiczne zapiski. Szczególnie dzienniki piętnastolatek!

— Trzeba temu natychmiast położyć kres. Dolly jest jeszcze dzieckiem. Pisała to wszystko, aby zainteresować Williama.

— Brednie! — odparła niedbale Ann. — Jak sądzisz, gdzie zniknęła wczoraj podczas balu? Właśnie nam oznajmiła, że poznała swego przyszłego małżonka. Ten Francuz, świadom jej wspaniałego pochodzenia, zapewne czatuje pod hotelem gotów porwać Dolly!

— To niedorzeczne, ona... Nie jest wystarczająco dojrzała. Nie pogodziła się jeszcze do końca ze śmiercią matki. Niedawno skończyła piętnaście lat... William z pewnością się na to nie zgodzi. Jest jej bratem, ona jest mu bardzo oddana, a on traktuje ją z sympatią. Nie może się zgodzić!

— William znajduje się pod wielkim wpływem George'a.

— W takim razie jej ojciec zaprotestuje. Nie możecie jej tego zrobić dla własnych korzyści! Tak nie wolno! — Rose mimowolnie podniosła głos.

— Ależ możemy — zapewniła Ann. — I zrobimy. — Uśmiechnęła się. — Ty również byłaś dzieckiem, wychodząc za znacznie starszego od siebie Harry'ego Fallona.

— Miałam siedemnaście lat i byłam zakochana bez pamięci!

Ann odwróciła się z uśmiechem.

— Naiwnością jest sądzić, iż miłość ma jakikolwiek związek z podobnymi sprawami. Czemu według ciebie ksiązę Walii poślubił księżniczkę Caroline? Nie z miłości, zapewniam cię. Musiał się upić, aby choć na nią spojrzeć bez wstrętu! Pochodzisz z innej warstwy społecznej, nie rozumiesz wielu rzeczy. Dolly należy do najlepszego towarzystwa, do którego wejdzie również George. Tego wszyscy pragniemy. Piętnaście lat to odpowiedni wiek do zamążpójścia dla panny w naszych sferach.

— Co z tego mają Torrence'owie? — spytała nagle Rose. — Ksiązę Hawksfield z pewnością nie będzie szczęśliwy. W oczach waszego towarzystwa Dolly popełni mezalians.

Ann nie okazała zażenowania ani skruchy.

— Bardzo potrzebujemy pieniędzy Fallonów — powiedziała wprost. Rose patrzyła z niedowierzaniem. — Och, Rose, nie należysz do naszej klasy. Dolly ma za zadanie jedynie urodzić syna. Potem będzie miała własne życie, wolno jej kochać, kogo zechce. Tak funkcjonujemy. Jej przyszłość może być całkiem udana. Mam nadzieję, że nie staniesz na drodze do szczęścia i powodzenia młodej dziewczyny. — Ann weszła po schodach i zniknęła za drzwiami hotelu.

Rose przez kilka chwil nie mogła wydobyć z siebie głosu. Biedna Dolly, pionek w grze, przeznaczona od dawna na sprzedaż. Ksiązę Hawksfield zapewne o wszystkim wiedział, nie ośmieliliby się podjąć decyzji bez jego zgody. Pomyślała o dziewczynce ufnie przytulonej do ramienia brata kwadrans wcześniej.

Powoli weszła do środka. Ann siedziała w towarzystwie George'a i jego matki. Wdowa Gawkroger sprawiała wrażenie niezwykle uradowanej. Była nieco bardziej uróżowana niż zwykle.

— Gdzież jest droga Dolly? — zawołała swym donośnym głosem. — Chcę z nią mówić. Za tydzień wyruszamy do Rzymu. Nie mamy powodu zostawać w Paryżu. Osiągnęłam swój cel. Bonaparte doskonale zdaje sobie sprawę, że mój syn był bohaterem, zauważył mą urazę i dlatego zwracał się do mnie z niezwykłą atencją. W istocie muszę przyznać, iż zachował się z wielkim wdziękiem i wyczuciem. Choć mnie naturalnie nie zdołał oczarować. — Stojący pod oknem George uśmiechnął się szyderczo. — Księżna poinformowała mnie o możliwości audiencji u papieża. Przyjmuje on angielskie damy z wyższych sfer, nie zważając na ich wyznanie. Cóż znaczy wyznanie wobec pochodzenia! Poprosiłam George'a, by zajął się wszystkim. Atmosfera Paryża zmieniła się na niekorzyść. Och, ci bezczelni ludzie w brudnych ubraniach zajmujący najlepsze miejsca w teatrach, podczas gdy my jesteśmy zmuszeni siedzieć z tyłu. Zachowują się, jakby świat do nich należał. To okropne. Gdzie Dolly? Pragnę z nią mówić. Rose, kim jest francuski oficer, któremu poświęciłaś niestosownie wiele uwagi dzisiejszego wieczoru? Widziałam twoją rękę na jego ramieniu. Podobne zachowanie nie przystoi kobietom z naszej rodziny. Poczulałam się głęboko dotknięta.

Rose popatrzyła z niedowierzaniem na teściową, która z takim zarozumiałstwem opowiadała o spotkaniu z Napoleonem.

— Nie jest oficerem — powiedziała chłodno. — A ja z całą pewnością nie zrobiłam niczego niestosownego.

Cóż za arogancka, pozbawiona szacunku dla innych rodzina. Wszyscy, co do jednego. Harry też taki był. Przypomniała sobie swego męża przytrzymującego jej twarz, zmuszającego, by patrzyła w lustro, kiedy ją pieścił. „Czyż nie wyglądamy pięknie?”.

— Kim w takim razie jest? Jeżeli wolno mi spytać wdowę po własnym synu?

— Naukowcem. Był z Napoleonem w Egipcie. Posiada rozległą wiedzę na temat kamienia z Rosetty oraz innych zabytków.

Na twarzy George'a pojawiło się wielkie zainteresowanie, sięgnął do kieszeni po tabakierę.

— Na Jowisza, powinnaś częściej flirtować! — Roześmiał się. — Wreszcie na coś się przydasz! Jak się nazywa?

— Pierre Montand.

— Więcej. Chcę wiedzieć więcej.

Rose przygryzła wargę. Po raz kolejny przypomniały jej się słowa: „Ach, wicehrabina!”.

— Francuscy naukowcy pracują nad kilkutomowym dziełem, w którym opiszą swoje odkrycia.

— Koniecznie muszę się z nim spotkać przed wyjazdem. Coś na temat hieroglifów?

— Nie wiedzą więcej niż my.

George wciągnął dużą porcję tabaki.

— Wobec tego startujemy w wyścigu — zauważył z podnieceniem. — Naturalnie Anglia wygra.

Dolly i William wrócili. Oboje byli zaczerwienieni. Dolly najwyraźniej płakała, brat przytrzymał ją za ramię, jakby obawiał się jej ucieczki. Nikt nie zareagował na ich wejście.

— Pójdziemy do opery, zgodnie z radą pana Bonaparte — obwieściła wdowa Gawkroger,, — Dolly, kochana, chodź tu wreszcie i usiądź przy mnie.

Poszli do opery. Potem zjedli obfitą późną kolację, podczas której nie wspomniano ani słowem o planach wobec Dolly, a ona, siedząc między wi-

cehrabiną a George'em, wyglądała na coraz bardziej nieszczęśliwą. Po kolacji Rose szybko poszła do jej pokoju. Zrozpaczona dziewczyna leżała nieruchomo na wielkim łożu.

— William każe mi poślubić wicehrabiego Gawkrogera w moje szesnaste urodziny. Podobno chce tego również książę Hawksfield, który podejmuje większość decyzji w naszej rodzinie. Wiedzą, że pragnę wyjść za mąż, ponieważ czytali mój pamiętnik. Próbowałam mu wytłumaczyć, że to tylko zmyślona dla jego rozrywki historia, ale mi nie uwierzył. Zdecydowali się powiedzieć mi już teraz o swoich planach, wspomniałam bowiem o tym, że szukasz mi męża. Według Williama mam wielkie szczęście, nie każdy jest gotów poślubić wysoką dziewczynę. Och, Rose! Znacznie przewyższam wzrostem wicehrabiego. Co więcej: nie lubię go. Ciągłe całuje mnie w rękę. — Zaszło— chała. — Przez niego moją dłoń czuć tabakę.

— Dolly, kochanie. — Przytuliła ją. Dolly zapłakała jeszcze głośniej.

— Mój dziennik. Wszyscy go czytali! Pisałam go tylko dla Williama, żeby sprawić mu przyjemność!

— Tak. Wiem. Powiedziałam Ann, że to zmyślone historie.

Bezradnie gładziła szlochającą dziewczynkę po włosach. Nagle Dolly przestała płakać i usiadła gwałtownie.

— Pragnę poślubić monsieur Montanda. Jest miły i wysoki. W przeciwieństwie do wicehrabiego, który jest niski i niemiły. Nie powinien ode mnie wymagać, bym za niego wyszła. Rose, porozmawiaj z panem Montandem. Przekaż mu, że go kocham do szaleństwa. — Jej słowom towarzyszyło dziwne nerwowe dyszenie.

— Dolly, nie myślisz rozsądnie, znajdujesz się pod wpływem szoku nerwowego. Nic nie wiemy o panu Montandzie. Rozmawialiśmy z nim ledwie pięć minut.

— Lecz spotkamy się ponownie! Obiecał! Ma dobre oczy. — W głosie Dolly pobrzmiwały histeryczne nutki, Rose poczuła się wyjątkowo niezręcznie.

Powiedziała z ociąganiem:

— Prowadzi prace nad książką o Egipcie. Wie, że jesteśmy zainteresowane tematem, dlatego zaprosił nas do Commission de l’Egypte.

Wyraz twarzy Dolly zmienił się błyskawicznie. Otarła łzy i przygładziła włosy.

— Wobec tego musi się dowiedzieć.

— Ależ Dolly. Wątpię, by był zainteresowany poślubieniem piętnastoletniej angielskiej panny, którą ledwie zna.

— Namówię go. Wystarczy, że doprowadzisz do naszego spotkania, bez trudu go przekonam. Zrobię dla niego wszystko, wszystko, czego zażąda. Wiem, co należy do obowiązków żony, poradzę sobie. Będę go kochać tak mocno, że i on wreszcie będzie musiał mnie pokochać.

— Wszystko tylko dlatego, że jest wysoki? — Rose nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

Dolly rzuciła jej spojrzenie pełne gniewu i wyrzutu.

— Nie wiesz, jaki los spotyka wysokie dziewczyny. Mężczyźni z nami nie tańczą, rozmawiają tylko wtedy, kiedy muszą, zazwyczaj przyciągają ich pieniądze. Mój ojciec i dziadek przepuścili rodzinny majątek na hazard i kochanki. Wszyscy o tym wiedzą, choć nikt nie wspomina. Mamy długi, sprzedajemy rodzinne dzieła sztuki. Książę Hawksfield opłaca nawet powozy! Nigdy nie doświadczyłam miłości, a pan Montand jest moją jedyną szansą. Mama mnie nie kochała, dopóki... — Głos jej się załamał. — ...dopóki nie zwariowała. Wicehrabia Gawkroger mnie nie kocha. Pragnie jedynie, bym dała mu syna. Tak mówi William.

— Potomkowie mają ogromne znaczenie w środowisku, w którym się obracasz, Dolly.

— Niech sobie poszuka kogoś w swoim wieku! Jest sto lat starszy ode mnie! Porozmawiasz w moim imieniu z panem Montandem?

Rose milczała. Krępowały ją rozmowa z obcym człowiekiem na podobny temat.

— Błagam, Rose — nalegała Dolly. — Proszę, proszę, proszę. — Nagle spytała nieufnie: — Chyba nie zamierzasz zachować go dla siebie?!

Popatrzyła na zrozpaczoną młodą dziewczynę i przypomniała sobie własny niewinny upór, kiedy była niewiele starsza.

— Zrobię, co w mojej mocy — obiecała i pocałowała Dolly w policzek. — Niezależnie od konsekwencji postaram się nie dopuścić do twojego ślubu z George'em Fallonem.

Następnego dnia po południu monsieur Pierre Montand zjawił się w hotelu, by złożyć uszanowanie rodzinie Fallonów. Zaprosił wszystkich zainteresowanych na zwiedzanie Com— mission de l’Egypte, gdzie trwały przygotowania do wydania dzieła pod tytułem „Description de l’Egypte”.

George niezmiernie rad uścisnął serdecznie dłoń Francuza. Dolly głośno wyraziła swój entuzjazm.

— Dobrze więc — zgodziła się łaskawie wdowa Gawkroger. — Miło mi, że mego syna i Dolly łączą wspólne zainteresowania.

Nikt z nich, nawet obeznany z antykami George, nie był przygotowany na to, co zobaczyli. Od progu uderzyło ich jakby niezwykle jasne światło. Jaskrawe kolory sprawiały, że pomieszczenia wydawały się mocno oświetlone, choć wcale takie nie były. Przechodzili z sali do sali, podziwiając posąжки lwów o ludzkich twarzach, piękną biżuterię, kolorowe szkatuły, drewnianą harfę, pięknie sklepioną głowę bez jednego oka, olbrzymią granitową stopę oraz pokryte starożytnym pismem kamienie i zwoje papiirusu. Ściany ozdobiono fragmentami mozaik zabranych z grobowców i świątyń. Dzieła sztuki przedstawiały niezwykle kolorowe sceny z życia starożytnych Egipcjan: muzyków grających na małych harfach, piszących skrybów, bogów przyjmujących ofiary, łodzi, kaczek w jaskrawych kolorach. Oraz kotów. Koty znajdowały się wszędzie wokół: posąжки kotów, rysunki kotów, płaskorzeźby przedstawiające koty oraz, jak im powiedziano, zmumifikowane koty. Ogromne kolorowe obrazy namalowane przez artystów— podróźników przedstawiały wszystko, co widzieli: świątynie, grobowce, wielkie kolumny oraz olbrzymie posągi ludzi, być może bogów. Była wśród nich matka z dzieckiem, symbol chrześcijaństwa stworzony tysiące lat przed jego nastaniem. Ptaki, skorpiony, ryby, pół zwierzęta, pół ludzie. Rzeka Nil, rozłożyste palmy, małe łódki, rolnicy, bawoły z klapkami na

oczach, rybacy. Piramidy i tajemnicza postać zwana Sfinksem. Dziesiątki obrazów. Piękne egipskie pismo, intrygujące znaki wryte na naczyniach i kamieniach, wypisane na poszarpanych kawałkach czegoś wyglądającego trochę jak papier, a trochę jak tkanina. Wszystko to starannie uwiecznione na płótnach przez malarzy.

— Och — westchnęła Dolly, przysuwając się bardzo blisko monsieur Montanda. Czuł jej oddech na szyi oraz zapach miętowych pastylek. Pracownicy instytutu mijali ich w milczeniu, nie odrywając oczu od papierów i płócien.

— To papirus — wyjaśnił Pierre, widząc, że Rose przygląda się w skupieniu zapisanemu rulonowi. — Papier z trzciny. Wszystko, co tu widzicie, zdążyliśmy przesłać do Francji przed... traktatem.

— Pomalowaliście te przedmioty, jak miemam. — Wdowa Gawkroger była oszołomiona.

— Ależ skąd, madame. Tak je znaleźliśmy.

— W takim razie malarze dali się ponieść wyobraźni, przedstawiając piękno i kolory na obrazach — zauważyła wicehrabina niepewnie. Znajdowała się pod wielkim wrażeniem oglądanych zabytków.

— Zapewniam panią, madame, że nasi malarze skrupulatnie oddali rzeczywistość. Dokładnie skopiowali kolory, wykonali wiele szkiców, nim osiągnęli upragnione efekty. Może pani podziwiać na własne oczy to, co ja widziałem, podróżując wzdłuż Nilu. Towarzyszyli mi niewykształceni i zmęczeni żołnierze, a nawet oni wiwatowali na widok tych cudów. Ich serca i dusze wzniosły się ponad trudy wojny, by obcować ze sztuką.

— W Aleksandrii nie było podobnych skarbów — powiedział z żalem William. — Przywiózłbym je do domu.

George był ogromnie podekscytowany.

— Widział pan piramidy?

— Tak. Dotarliśmy do nich o świcie, wyglądały jak ogromne kształty unoszące się w porannej mgle. Jako archeolog zetknąłem się z licznymi pozostałościami po starożytnych cywilizacjach, jednak dzień, w którym zobaczyłem piramidy, uważam za jeden z najwspanialszych w swoim życiu!

— Z pewnością znajdziemy sposób, aby je przenieść do Anglii! — zawołał dziarsko George.

Pierre uśmiechnął się lekko.

— Lepiej niech już zostaną, gdzie ich miejsce, na pustyni.

— Niebo w Egipcie ma właśnie taki odcień błękitu — powiedział w zadumie William. — Zapomniałem. — Wpatrywał się zaskoczony w dzieła francuskich artystów.

Na chwilę zapadła cisza jak w kościele. Dolly nie odstępowała boku Pierre'a. Chodziła za nim krok w krok. Ann, drżąc lekko z powodu braku dostępu do brandy, nie mogła oderwać wzroku od biżuterii: błyszczącego złota, ametystów, niezwykle jasnobłękitnych kamieni, naszyjników, wisiorków, koron oraz wspaniałego wysadzanego klejnotami oprawnymi w złoto niebieskiego pierścienia. Rose wpatrywała się jak zahipnotyzowana w symbole, które rozpoznała: te same ptaki, kształty, zwierzęta, figury. Nie mogła się powstrzymać, aby nie przykucnąć i nie przesunąć palcami po znakach wyrytych na kawałku marmuru. Gorączkowo wyjęła okulary z futerału. Zbliżyła twarz, wpatrując się w jastrzębia, żuka... Pochyliła się nad kamieniem w wielkim skupieniu, nie miała pojęcia, jak bardzo przypomina panią Konstancję Proud pochłaniającą książki. Pierre obserwował Rose z fascynacją. Słyszał, jak mówi do siebie: „Opisali swoje życie. Próbuje nam powiedzieć”. Uklęknął obok niej, wskazując hieroglify wyryte na kamieniu, a potem z pozoru inny tekst napisany jakimś rodzajem atramentu na papieru-sie.

— Pismo zmieniło się prawdopodobnie wtedy, kiedy zaczęli używać atramentu. Przekształciło się w pismo demotyczne. To, które zajmuje środkową część kamienia z Rosetty.

— Pismo odręczne? — spytała.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Można tak powiedzieć. Odręczne hieroglify, uproszczone. Po tysiącach lat hieroglify wyszły z użytku i teraz trudno nam ustalić jakikolwiek związek między znakami obu pism. Proszę spojrzeć na tę figurkę. — Przedstawiała skrybę z małą tabliczką na kolanach.

— Monsieur Montand? — Odwrócił się grzecznie, by odpowiedzieć na pytanie Dolly.

Rose obracała w dłoniach małą figurkę. Głos dawnych wieków. Poczowała przedziwną chęć pocałowania statuetki. Z ociąganiem odstawiła ją na stół. Bolała ją głowa. Zdjęła okulary i zamknęła oczy. Mogłabym wybrać się w podróż do Egiptu, odszukać brakujące fragmenty kamienia z Rosetty, rozmarzyła się. Jej wzrok spoczął na kamiennej głowie zajmującej półkę naprzeciwko. Tajemnicze oko wpatrywało się w Rose. Brakowało drugiego oka i części nosa, niemniej rzeźba zdawała się patrzeć na nią z dziwnym wyrazem kamiennej twarzy. Rose podeszła wolnym krokiem, jak zahipnotyzowana. Przysunęła twarz do tej sprzed wieków, westchnęła. Pierre na zawsze zachował w pamięci ten obraz.

George rozpoczął przesłuchanie. Zadawał francuskiemu uczonemu szereg natarczywych pytań.

— Twierdzi pan, że one wciąż tam są, gdzieś w Egipcie? Antyki takie jak te? — Popatrzył chciwie na klejnoty. — Lub przedstawione na wspaniałych płótnach autorstwa pańskich współpracowników?

— Poczulby się pan tam jak w skarbcu — zapewnił zgryźliwie Pierre. — Przebyliśmy wiele kilometrów w ciężkich warunkach, całe lata spędziliśmy na poszukiwaniach. Nie da się przenosić świątyń. Widzieliśmy cudowne rzeczy. Wspaniałe! Posągi wielokrotnie większe od człowieka, starożytne sarkofagi faraonów głęboko pod ziemią, gdzie nasi artyści spędzili wiele dni i nocy. Większość prac musieliśmy wykonywać od razu, w

straszny upale, czasem mimo burz piaskowych. Oraz oczywiście niekończących się potyczek z Arabami, Turkami i Mamelukami. Podróżowaliśmy z wojskiem.

— Wiem, kim są Mamelukowie — zawołała uradowana Dolly. — Wiedziałam jednego w pałacu Napoleona!

Pierre uśmiechnął się przyjaźnie.

— Cicho, mała Dolly — uciął George i dał Pierre'owi znak, aby mówił dalej.

— Pracowaliśmy w pośpiechu i w strasznych warunkach, a mimo to skrupulatnie i dokładnie, czego efekty możecie państwo podziwiać. Są wynikiem żmudnych wysiłków — podkreślił. — Spędziliśmy w Egipcie trzy lata. Przechowujemy w tych salach wszystko, co nadawało się do transportu. Reszta została uwieczniona przez naszych artystów. Bądź wywieziona do Anglii — dodał chmurnie. — Mam na myśli w szczególności kamień z Rosetty, jak zapewne się pan domyśla. — Milczał, oddając się przez parę chwil bolesnemu rozpamiętywaniu. Jednak entuzjazm wziął górę. — My, francuscy naukowcy, żyjemy naszą pracą. Jesteśmy... zauroczeni Egiptem. Moim zdaniem wiele skarbów czeka jeszcze na odkrycie.

— Muszę popłynąć do Egiptu — mruknął George do siebie.

— By zrozumieć, co znaleźliśmy, potrzebujemy rozwikłania zagadki hieroglifów — ciągnął Pierre. — Pokładaliśmy wielkie nadzieje w kamieniu z Rosetty. Byłem pod wrażeniem... — Skłonił się Rose. — ...kiedy pańska szwagierka wyjawiała znajomość tłumaczenia greckiego tekstu. Na palcach jednej dłoni mógłbym policzyć Francuzki, które je znają.

— Monsieur, monsieur, ja z rozkoszą przeczytam! Z przyjemnością. Spodoba mi się wszystko, cokolwiek mi pan pokaże! — Dolly w swej desperacji nie zważała na względy przyzwoitości. Wciąż stała bardzo blisko Pierre'a Montanda. Oboje górowali wzrostem nad wicehrabią Gawkrogerem. George bardzo dobrze widział, co się dzieje.

— Dolly! — skarcił ją. Nie chciała słuchać.

— Wróci pan jeszcze do Egiptu? — spytała. — To musi być chyba najpiękniejsze miejsce na ziemi?

Pierre roześmiał się.

— Pod pewnymi względami niewiarygodnie wręcz piękne. Rzeka Nil, gaje pomarańczowe, niezwykle ogrody, pola pszenicy, wspaniałe meczety... — Rose słuchała urzeczona. Wspominała opowieści ojca. Wyobrażała sobie siebie spacerującą po gajach pomarańczowych, jedzącą świeże daktyle. — Z drugiej strony... Miasta są przeludnione, szerzą się zarazy, woda w niektórych częściach Nilu jest skażona, można umrzeć lub oślepnąć po jej wypiciu... Spotyka to wielu Egipcjan, choroby zebrały również swoje żniwo wśród francuskich żołnierzy. Mieszkańcy nie traktowali nas przyjaźnie, nie byli zadowoleni z naszego przybycia, choć zamiary Napoleona wobec nich były jak najbardziej pokojowe. Na pokładzie „Orientu”, w drodze do Egiptu... — Popatrzył znacząco na George'a i Williama. Wszyscy wiedzieli o zatopieniu przez Nelsona flagowego okrętu Napoleona w bitwie o Nil. — ...przeczytał Koran. To taka jakby arabska Biblia — wyjaśnił Dolly. — Był pod jego wielkim wrażeniem, wieczorami siadywaliśmy na powietrzu, pod gwiazdami, i dyskutowaliśmy o religii. — Pierre zapatrzył się na jeden z obrazów, zatopiony w myślach. Po chwili wrócił do rzeczywistości. — W Watykanie zdobył, nie bez walki, prasę z arabskimi literami, aby móc drukować arabską gazetę! W Kairze ludzie nie wierzyli własnym oczom! Tak czy inaczej nie lubią nas — zakończył zwięźle. — Są niezwykle religijnymi ludźmi, a ich wyznanie różni się znacznie od naszego.

— W rzeczy samej! — wtrącił się William. — I ja byłem w Egipcie. Pamiętam upiorne wycie dochodzące z meczetów, niedorzeczne klękanie i modlenie się sto razy dziennie. Nie sposób nakłonić tych leni do pracy.

— Powtarzam, monsieur — odparł zimno Pierre. — Miejscowi niechętnie godzili się na naszą obecność. Nietrudno ich zrozumieć. Niektórzy żołnierze nie zachowywali się poprawnie. Łamali egipskie zwyczaje.

George oblał się rumieńcem. Popatrzył na Rose, która odwróciła wzrok. Z pewnością to zbieg okoliczności. Po raz kolejny przypomniała sobie dziwny ton głosu Pierre'a, kiedy w Tuileries powiedział: „Ach, wicehrabina...”.

— Podsumowując, mademoiselle Dolly, Egipt posiada wiele pięknych obliczy. Mówiąc to, nie potrafię zapomnieć o moich rodakach, którzy stracili życie w krwawych pustynnych bitwach w drodze do Kairu. — Chciał dodać: „oraz na wodach wokół Aleksandrii”, ponieważ Nelson zatopił tam niemal całą francuską flotę, nie tylko „Orient”, a wielu żołnierzy straciło życie. Jego twarz wyglądała jak wykuta z marmuru. Zapadło niezręczne milczenie. Skarby kosztowały zbyt wiele.

— Chodź, Dolly — odezwała się głośno wicehrabina, rozwiewając dziwną atmosferę. — Musimy już iść. Weź mnie pod ramię.

Rose mogłaby przysiąc, iż na jej palcu mignął niebieski pierścień. To niemożliwe, pomyślała.

Dolly popatrzyła na wdowę Gawkroger nieprzytomnie, jak wyrwana ze snu.

— Iść? — spytała z niedowierzaniem.

— Dziękuję, panie Montand — zwróciła się wdowa do Francuza — za pokazanie swoich małych skarbów. Choć nieco krzykliwe, są jednak dość ciekawe. Chodź, Dolly — powtórzyła stanowczo.

Przez twarz Dolly przemknęły tysiące uczuć.

— Idziemy, Dolly — potwierdził William.

Dolly zwiesiła z rezygnacją głowę i odstąpiła wreszcie od boku Pierre'a Montanda. Obejrzała się jeszcze.

Ruszyli ulicą w stronę powozu, stukając obcasami o kamienie, wykrzykując swój zachwyt nad tym, co zobaczyli. Pierre zdołał zatrzymać Rose, odciągnął ją na bok.

— Madame, proszę wybaczyć mi natarczywość. Pragnę z panią pomówić. Spotkamy się ponownie? Zostaje pani w Paryżu?

— Wyruszamy do Rzymu — odparła z przekąsem. — Moja teściowa chce zostać przedstawiona papieżowi, choć naturalnie należymy do Kościoła anglikańskiego. Bardziej niż o religię chodzi najwyraźniej o pozycję.

— Rozumiem — powiedział z powątpiewaniem, być może nie całkiem rozumiejąc. — Wróci pani?

Dolly ściśnięta w powozie między wicehrabią a jego matką patrzyła z niepokojem przez okno.

— Monsieur — powiedziała Rose. — Niezmiernie się cieszę, że pana poznałam. Nigdy nie zapomnę cudownych skarbów, które pozwolił nam pan obejrzeć. Hieroglify od dawna zaprzatają moje myśli, bardzo pragnę je zrozumieć. Jednak jutro wyjeżdżamy i... najlepiej będzie, jeśli to spotkanie pozostanie naszym ostatnim.

— Ależ dlaczego? — Był zdumiony. — Pragnę panią jeszcze raz zobaczyć!

Popatrzyła w stronę powozu, na bladą, zrozpaczoną twarz Dolly. Westchnęła.

— Mademoiselle Dolly jest panem zachwycona.

Odwrócił ze zdziwieniem głowę i napotkał spojrzenie dziewczynki.

— To jeszcze dziecko.

— Naturalnie, lecz to bez znaczenia. Ma nadzieję, że uratuje ją pan przed niechcianym małżeństwem.

— Ależ, Boże drogi... To panią pragnę spotkać ponownie, dla pani towarzystwa zaprosiłem pozostałych. Z panią chcę pomówić. Ma pani taką smutną twarz, kiedy się nie uśmiecha. Doświadczyła pani wiele smutku.

Rose nie płakała od miesięcy, nagle z przerażeniem poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Szybko odwróciła wzrok.

— Dobrze się czuję, monsieur. Dziękuję.

— Rose! — zawołał George. — Czekamy!

Odwróciła się, by odejść, lecz Pierre chwycił ją za rękę. Na oczach wszystkich pasażerów powozu złożył pocałunek na jej dłoni. To niedopuszczalne i oburzające. Ogarnął ją strach. Wiedziała, że Dolly śledzi każdy jej ruch, nie wspominając o wicehrabinie. Na próżno usiłowała wyrwać rękę.

— Mademoiselle Dolly dla własnego dobra powinna zrozumieć moje zamiary — powiedział, ponownie przysuwając usta do jej dłoni. — Wie pani, gdzie mnie szukać. Prawie stąd nie wychodzę. Muszę z panią porozmawiać, ponieważ sędzę, iż rozumiem pani smutek. — Wciąż delikatnie przytrzymał jej rękę. — Proszę posłuchać... Dopiero niedawno wróciłem z Aleksandrii... Byłem tam, kiedy pani mąż został... kiedy zginął.

Wreszcie zrozumiała.

— Może pan mówić wprost. Wiem, że nie zginął jako bohater.

Odetchnął z ulgą.

— Dobrze. Nie spodziewała się pani zapewne, że wiem. Plotki w koszarach szybko się rozchodzą. Naturalnie nie popełniłbym nietaktu, wspominając o tym pani, gdyby nie...

— Rose! Rose! — wołał ze złością George. Sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar wysiąść z powozu.

— Gdyby nie...? — powtórzyła. Nie spieszyło jej się. George mógł przyjść i wszystko usłyszeć, jeśli takie było jego życzenie. — Prawdopodobnie mój szwagier jest odpowiedniejszą osobą, z nim powinien pan poruszać ten temat. On również wie, choć pokazuje gościom portret brata— bo-

hatera. — Roześmiała się. — Jego matka nie została poinformowana. George z pewnością chętnie pozna szczegóły.

— Nie obchodzi pani szwagier?

— Ani trochę.

— Cieszę się. Ja również za nim nie przepadam. Ale, madame... Wróciłem bardzo niedawno. Dziecko już przyszło na świat.

— Jakie dziecko?

Zrozumiał, że nie wiedziała, próbował się wycofać.

— Co pan miał na myśli? Jakie dziecko?

— Proszę wybaczyć. Z jakiegoś powodu założyłem...

— Jakie dziecko?

Z trudem oddychała, coś ścisnęło ją za serce. Wsparła się na jego ramieniu. Przytrzymał ją, widząc, że osuwa się na ziemię.

— Jakie dziecko? — wołała. Małeńkie rączki i nóżki własnego martwego dziecka stanęły jej przed oczami. Uderzała pięściami w jego ramiona, jakby to on był winien. Łzy płynęły jej po policzkach.

— Jakie dziecko? — szepnęła.

Pierre usłyszał, że George wychodzi z powozu. Wziął głęboki oddech.

— Bardzo mi przykro — zaczął mówić szybko i cicho. — Sądziłem, że pani wie, skoro znany jest jej los męża. Dziewczynka. Trudno stwierdzić z całą pewnością, czy jeszcze żyje. Matka aż do rozwiązania przebywała u pewnego angielskiego kupca, lecz... Mon Dieu... W Aleksandrii panuje całkowite bezprawie, odkąd nasze wojska się wycofały. Nie mogliśmy nic zrobić. Obie rodziny: turecka i egipska wywlokły błagającą o litość dziewczynę. Nic nie wiadano o dziecku. Przepraszam, że dowiaduje się pani w

ten sposób. To było straszne... Biedna kobieta... Ukamienowali ją na naszych oczach. Byliśmy bezsilni.

Nadchodził rozniewany George. Montand podniósł głos:

— Pomyślałem, że powinna pani o tym wiedzieć. Byłem w Aleksandrii, kiedy zginął pani mąż.

George stanął jak wryty. Zaniemówił i poczerwieniał na twarzy. Pierre ostrożnie wypuścił Rose z objęć, przytrzymał ją za łokieć, aby nie upadła. Nic już nie powiedział, Rose również milczała. Stali we trójkę, nie patrząc na siebie. Łzy schły na wstrząśniętej twarzy Rose. Trwała żenująca cisza, trójka dorosłych ludzi stała przy wejściu do Commission de l'Egypte, nie odzywając się ani słowem i nie będąc w stanie się ruszyć. Z powozu obserwowały ich cztery pary oczu.

Sytuację uratował rozwścieczony pies. Kilka tygodni później Rose pokładała się ze śmiechu na samo wspomnienie. Wybiegł zza rogu budynku, zaatakował konie zaprzężone do powozu. Zwierzęta spłoszyły się niemal, wywracając karete. Rozległy się krzyki. Dolly zeskoczyła na ziemię, za nią William. Zaczęli nadbiegać ludzie. George i Pierre ruszyli w stronę chwiejącego się powozu. Z budynku wyszedł żołnierz z bagnetem. Ruszył z nim na szczerzącego kły zwierzaka. Pies zaatakował. William wykazał się zimną krwią. Chwycił zwierzę za skórę przy szyi i brutalnie odciągnął jego głowę od żołnierza. Strzelać! Nie strzelać! Strzelać! Krzyczeli gapie. Wreszcie bagnet przeszył serce bestii. Zbiyżgany krwią William udał się za Pierre'em do pisuaru na tyłach Commission de l'Egypte.

Przez całą drogę do hotelu rozmawiano o incydencie z psem i nikt nie zwrócił uwagi na pobladałą twarz Rose. Kiedy wreszcie wdowa Gawkroger doszła nieco do siebie po otarciu się o śmierć, przypomniała sobie, że należy zbesztać synową, jednak George postanowił wstawić się za bratową.

— Pan Montand poznał Harry'ego w Egipcie. Składał Rose kondolencje, a ona się rozpląkała.

Wrócili do rozmowy o wściekłym psie. Kiedy zatrzymali się przed hotelem, wdowa Gawkroger odezwała się nagle z goryczą:

— Mnie powinien był złożyć kondolencje.

Dolly milczała przez całą drogę, wpatrując się we własne dłonie.

Podczas wieczerzy omawiano ostatnie szczegóły podróży do Italii. Służba pakowała kufry. Ku przerażeniu i zażenowaniu Rose wicehrabina bezwstydnie prezentowała na jednym z pomarszczonych palców wyjątkowy niebiesko— złoty egipski pierścień. Dolly była bardzo milcząca, unikała wzroku Rose, z kolei George spoglądał na nią raz po raz, dając do zrozumienia, iż pragnie rozmowy na osobności. Rose tymczasem biła się z bolesnymi myślami, próbując się skupić na wspomnieniach o kolorowych płótnach, pięknych antykach i hieroglifach, które wreszcie miała okazję zobaczyć na własne oczy. Egipcjanka urodziła dziecko Harry'ego. To ja powinnam urodzić dziecko Harry'ego, dręczyła się mimowolnie. Odpychała od siebie wizję, w której kamienie roztrzaskiwały czaszkę dziewczyny, nie chciała słyszeć krzyku i widzieć śmierci. Zamierzała odejść od stołu, ale nie mogła się ruszyć.

Wreszcie wicehrabina udała się do swojego pokoju. Ann wstała, spoglądając znacząco na męża. Dolly wyszła cicho.

George dał znak Williamowi, by również wstał od stołu, po czym szybko przysunął się do Rose, nim zdążyła odejść. Chwycił ją mocno za nadgarstek. Błyskawicznie wróciła do rzeczywistości, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

Wyrwała rękę i popatrzyła na niego zimno.

— Powinieneś lepiej pilnować matki, George. Pan Montand z pewnością zauważy zniknięcie bezcennego pierścienia.

Zlekceważył jej słowa.

— Moja matka posiada mnóstwo biżuterii. Powiedz lepiej, co wie ten człowiek?

— Co masz na myśli?

Czyżby George usłyszał?

— Czemu wisiałaś na nim jak zwiędła róża? Co cię wzburzyło? Przecież wiedziałaś.

— Co masz na myśli? — powtórzyła niemądrze.

— Wiedziałaś, jak zginął Harry. — Nie wie o dziecku. Czują instynktowną potrzebę ukrycia przed nim istnienia dziewczynki, nie miała pojęcia czemu. George obserwował jej twarz podejrzliwie.

— Wyszedł na jaw nowy skandal?

— Co masz na myśli? — powtórzyła po raz trzeci.

— Zabił kogoś jeszcze?

— Pan Montand nic nie wspominał.

— Ta historia musi odejść w zapomnienie. Nic nie ma prawa splamić pamięci Harry'ego. Jest bohaterem.

— Wiedziałam, że Harry zginął z rąk Araba, ale dziś usłyszałam wszystko ze szczegółami. Pan Montand był tego dnia w Aleksandrii.

Nawet George wyglądał na wstrząśniętego.

— Widział, jak Harry umierał?

— Tak. Widział, jak srebrny nóż przebijał serce Harry'ego.

George wstał raptownie, zażądał więcej wina. Wychylił kieliszek i napenił go jeszcze raz. Chwycił całą butelkę.

— Uciekaj! — warknął na służącego.

Wypił jeszcze jeden kieliszek. Nie mógł mówić, drżał na całym ciele, z trudem nad sobą panował. Wreszcie zamknął oczy i powiedział spokojnie:

— Antyki były zdumiewające, po prostu zdumiewające. Chcemy z Williamem popłynąć do Egiptu. William uświadomił sobie, iż kraj ten oferuje możliwości, z których nie zdawał sobie wcześniej sprawy. Twierdzi, że życie było bardziej emocjonujące, kiedy walczyliśmy z Napoleonem. Małżeńska rutyna go nudzi. Zamierza odejść z marynarki i wyjechać do Egiptu. Chętnie przygarnąłbym niektóre z tych skarbów.

Rose milczała.

George napełnił swój kielich i podsunął butelkę bratowej. Okazał zaskoczenie, kiedy naląła sobie wina, by je wychylić jednym haustem.

— Nieważne — mówił. — Ten podróżnik nie jest w stanie nam zaszkodzić. — Odzyskał już pełne panowanie nad sobą. Wzniósł kielich i przechylił go w stronę Rose. — Podoba mi się twoja krótka fryzura, Rose. Dolly będzie nosić taką samą. Wypijmy za moje zdrowie, Rosetta mia! Wkrótce stanę na ślubnym kobiercu. Pójdę pod ołtarz jak owca na rzeź. Moglibyśmy zostać dobrymi przyjaciółmi, gdybyś tylko zechciała dostrzec moje zalety. I... — Uprzedził ją. — ... nie pouczaj mnie w sprawie Dolly. Sama mi radziłaś, bym się ożenił.

Rose zrozumiała, że nie słyszał jej rozmowy z Pierre'em. Podobnie jak George'owi panowanie nad sobą przychodziło jej z ogromnym trudem. Próbowала mówić spokojnie.

— Jeżeli masz jakiegokolwiek ludzkie uczucia, nie zrobisz tego Dolly. To jej złamie serce. Sam widzisz, jaka jest nieszczęśliwa.

— Dolly świetnie potrafi udawać, chyba zauważyłaś. Wygląda na nieszczęśliwą, bo jej tak wygodnie.

Rose zignorowała jego słowa.

— Nie rozumiem Williama. Jak mógł choćby o tym pomyśleć. Z pewnością reszta rodziny zaprotestuje.

George całkiem już doszedł do siebie, wyglądał na wielce ubawionego. Wychylił kielich i sięgnął po tabakierę.

— Bardzo mi zależy na wżenieniu się w tę rodzinę. Fallonowie pracowali na to przez kilka pokoleń. Przez małżeństwo nasze nazwisko zyska wreszcie należny mu szacunek, będziemy mogli robić, co nam się podoba. Wsłizniemy się tylnymi drzwiami w szeregi arystokracji. Mój ojciec o tym marzył i ja tego dokonam. Matka była jego szczeblem na drabinie, Dolly będzie moim. Mniejsza z Montandem. Harry zostanie zapamiętany jako czarujący dżentelmen, którym był. Nawet ty się musisz z tym zgodzić! Księżę Torrence zrobi wszystko, co mu podpowie William. William robi to, co ja chcę. Właściwie już jestem księciem Torrence! Członkiem brytyjskiej elity — zaśmiał się. Potrząsnął głową, patrząc na milczącą Rose. — Nie rozumiesz dzisiejszych czasów, Rosetta mia. Świat się zmienia. Księżę Hawksfield, jakkolwiek protekcjonalnie mnie traktuje, doskonale wie, że Torrence'owie potrzebują fortuny Fallonów. Popatrz na księcia Torrence: leniwy kobieciarz i hazardzista, który wyrzuca w błoto resztki rodzinnej fortuny mocno uszczuplonej przez dziada i ojca. Teraz przyjrzyj się Fallonom: ojciec mój i dziad byli sprytnymi ludźmi interesu. Ja również taki jestem. Torrence'owie potrzebują świeżej krwi, a także moich zdolności do pomnażania pieniędzy, inaczej pójdą na dno w kolejnym pokoleniu. Księżę Hawksfield wie to równie dobrze jak ja i William. Potrzebują mnie i moich pieniędzy. Głupiutka Dolly zaprzęta sobie myśli romantycznymi powieściami. Buja w obłokach. Wdaje się w romanse, które opisuje w pamiętniku. Ciekaw jestem, ile w tym prawdy. Ona również mnie potrzebuje, by ujrzeć świat takim, jaki naprawdę jest. — Jej milczenie zaczynało go denerwować. — Nie pochwalasz naszego małżeństwa ze względu na wiek Dolly czy na moją osobę? Będzie ledwie rok młodsza od ciebie, kiedy wychodziłaś za Harry'ego, a z tego co pamiętam, nie narzekałaś.

— Czasy się zmieniają, George. Gdyby Dolly otrzymała choćby takie wykształcenie, jakie moi rodzice zapewнили mnie, byłaby inną osobą. Nie powinieneś traktować jej protekcjonalnie. Jest dzieckiem i nie kocha cię. Ty jej także nie kochasz. To okrutne.

— Nie bądź śmieszna, Rose. Twoi rodzice byli ekscentrycznymi ludźmi. Na co przydała się twoja tak zwana edukacja po ślubie z Harrym? — Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Spuściła wzrok i ponownie napełniła swój kieliszek winem. — Miłość ma niewiele wspólnego z małżeństwem w kręgach, do których aspiruję. Dolly będzie miała prawo do miłości po urodzeniu potomka. Stanie się bardzo bogatą i szanowaną kobietą. Zapewniam cię, że będę dobrym mężem. — Na moment spod uśmiechniętej maski wyłoniła się jego prawdziwa twarz. Rose ujrzała bezwzględność i ambicję. — Co ty możesz wiedzieć, Rose? Zostanę arystokratą bez względu na cenę, ty pochodzisz z zupełnie innej klasy. Twoje zasady moralne nie pasują do świata Dolly ani mojego. Tak załatwia się sprawy w najwyższych sferach, gdzie moje miejsce. Nic mnie nie powstrzyma przed zajęciem należnej mi pozycji, a z pewnością nie twoje gładzenie o wykształceniu i miłości.

— Harry poślubił mnie z miłości — powiedziała drżącym głosem. Egipcjanka urodziła jego dziecko. George chrząknął. Napił się wina prosto z butelki.

— Rose, zrozum wreszcie. Harry miał wielki urok osobisty, zawsze dostawał, co chciał. Wszyscy go kochali, nawet ja, choć nie wierzę w miłość. Owinął mnie sobie wokół palca, czego był doskonale świadom. Harry'ego nie obchodziła pozycja społeczna, zbyt pochłaniały go rozrywki. To ja, młodszy syn, dysponowałem energią i rozumem, by wiedzieć, co jest dobre dla rodziny. Twoi przodkowie na nic nam się nie mogli przydać, Harry to wiedział i ty również musisz sobie zdawać z tego sprawę. Harry zawsze stawiał na swoim. Wiadomo było, że jeśli on poślubi ciebie, ja będę musiał ożenić się z Dolly najszybciej jak to możliwe. Zamieniliśmy się rolami. Matka nie była zadowolona z jego decyzji, lecz nie potrafiła mu niczego odmówić. Harry ożenił się z tobą, ponieważ zawsze dostawał wszystko,

czego zapragnął, możesz to sobie nazywać miłością. Ja powiedziałbym raczej, że był tobą zafascynowany. Siedemnastoletnia córka bohatera wojennego. Poza tym miałaś w sobie niewinność i radość życia, które go pociągały. Szkoda, że je straciłaś. — George opróżnił butelkę. — Harry dostał ciebie, ty dostałaś nasze nazwisko, ja dostanę Dolly. Bądź rozsądna. Kto poślubiłby Dolly dla niej samej? Nikt nie chce, by żona nad nim górowała, chyba że ma górę pieniędzy. Dolly ich nie ma. Poza tym wszyscy wiedzą, że jest histeryczką. Jej jedyne zalety to młodość i pochodzenie. Nie będę jej bił, nawet jeśli poprosi. I nie zostawię jej bez grosza. Ma wielkie szczęście!

Rose raptownie wstała od stołu.

— Pojadę z wami do Rzymu, George, ponieważ obiecałam. Nauczono mnie dotrzymywać słowa, takie odebrałam wychowanie. Potem nie chcę mieć więcej do czynienia z rodziną Fallonów. — Opuściła demonstracyjnie jadalnię i ruszyła szerokim pogrążonym w cieniu korytarzem. Mijała Anglików pozdrawiających się po francusku. Szybko zamknęła za sobą drzwi swojego pokoju.

Pod oknem stał stylowy fotel z niebieskim obiciem pasującym do pościeli i zasłon. Usiadła na nim i zamknęła oczy. Po chwili wyjrzała na zewnątrz. Pochodnie oświetlały hotelowe podwórze: portierów, powozy, stangretów. Wszyscy wyglądali na przemarzniętych. Goście w kosztownych płaszczach wołali do siebie po angielsku, końskie kopyta stukwały o kamienie. W świetle ognia dostrzegła krople deszczu. Nie wolno mi myśleć o tym, czego się dowiedziałam od monsieur Montanda, powtarzała sobie. Jednak siedząc sama w pokoju, okazała się bezbronna wobec gonitwy myśli. Słyszała śmiechy ludzi przechodzących pod jej drzwiami, a przed oczami miała piasek, rozzłoszczonych mężczyzn w turbanach, meczety, jaskrawe barwy w promieniach słońca, dziecko i kamienie rzucone raz po raz w skuloną postać leżącą nieruchomo w błocie. Rose chwyciła swój indyjski szal oraz świecznik i wyszła z powrotem na słabo oświetlony korytarz. W oddali zobaczyła światło innej świecy i usłyszała kobiecy śmiech. Pokój

Dolly był niedaleko. Dziewczyna kończy szesnaście lat dopiero w przyszłym roku. Na pewno zdołają razem coś wymyślić do tej pory. Nie może wyjść za bezwzględne George'a dla jego chorej ambicji. Rose weszła do ciemnego pomieszczenia.

— Dolly?— Dolly spała.

Odwróciła się z ulgą, by odejść, lecz coś przykuło jej uwagę w migającym płomieniu świecy. Sylwetka śpiącej dziewczyny wydawała się wyjątkowo drobna. Zbliżyła się do łóżka. Było puste.

— Dolly? — Rozejrzała się po całym pomieszczeniu. Ani śladu.

Przez chwilę stała nieruchomo. Przypomniała sobie twarz Dolly w powozie i przy kolacji. Byłam nieuważna, pomyślała gorączkowo. Widziała mnie z Pierre'em i potraktowała jak rywalkę. Powinnam była od razu z nią porozmawiać! Szybko wybiegła z pokoju i zdyszana wpadła do George'a bez pukania. Głośno wypowiedziała jego imię i stanęła jak wryta.

Najpierw pomyślała, że to Dolly jest w łóżku z George'em, ponieważ bez wątplenia widziała dwie osoby w nikłym świetle świecy.

Po chwili zdała sobie sprawę, że drugą osobą jest William.

Mężczyźni byli ze sobą złączeni w taki sposób, że nie zdołali się szybko od siebie odsunąć. W pokoju zapadła grobowa cisza zakłócana jedynie ciężkim oddechem trojga ludzi. Córka admirała zdała sobie sprawę, iż ma do czynienia z czymś, co król Jerzy III uznawał za „bluźnierczy akt” karany strykiem.

George przerwał milczenie.

— Czego chcesz, Rose? — Wciąż dyszał.

— Dolly — wykrztusiła.

— Co?

— Dolly — powtórzyła niemądrze.

— Co z nią?

Rose nie była w stanie mówić. Odwróciła się, mając wciąż przed oczami obraz dwóch złączonych męskich ciał.

— Dolly uciekła — powiedziała wreszcie z ogromnym wysiłkiem i wybiegła z pokoju. Pędziła z rozwianym szalem i włosami, jak obłąkana. Rzuciła się na łóżko i skryła głowę pod kołdrą, pragnąc schować się przed światem.

Niebawem rozpętało się wielkie zamieszanie. Ludzie biegali po korytarzach, pukali do drzwi. Zniknęła młoda Angielka, mówiono. Rose wolnym krokiem wkroczyła do *salon de the*, gdzie siedzieli ubrani już George z Williamem, Ann oraz wdowa zajęci głośną nerwową wymianą zdań z kierownikiem hotelu. Ulice Paryża nocą są niebezpieczne, to nie miejsce dla młodej angielskiej damy.

— Proszę ją odszukać — żądała wicehrabina. — Narzeczona mojego syna nigdy nie opuściłaby hotelu z własnej woli. Wiemy, jak niebezpieczne stały się ulice tego przekłętego miasta. — Kierownik hotelu wyglądał na wstrząśniętego. — Przekłętego, powiedziałam. Podejrzewamy, iż została porwana przez pewnego Francuza. Poinformuję króla Anglii!

— Matko! — syknął George, lecz patrzył na Ann. Żona Williama zakryła usta dłonią, zaatakowana potwornym bólem zębów. Wołała ze złością, by jej podano koniaku, lecz nikt nie słuchał. Kierownik wymachiwał rękoma, zajęty odpieraniem zarzutów wobec swego kraju.

George odezwał się cicho.

— Pewien francuski markiz ją niepokoił — szepnął chrapliwie. — Musi zostać odnaleziona, nim... — Jego mina powiedziała resztę.

Nikt nie zwrócił uwagi na wyjście Rose. Padał deszcz. Krople spadały na pochodnie, które syczały i migotały. Podwórze pełne było szybko poruszających się cieni. Rose wybrała jeden z długiej linii powozów. Nie zastanawiała się nad tym, co robi.

— Commission de l'Egypte — poleciła stangretowi, który bez słowa uderzył konia batem. Ruszyli w ciemność. Jeśli jest bandyta, który powiezie mnie na gilotynę — trudno, pomyślała. Pędzili wzdłuż rzeki, koń brnął w biocie, dach przeciekał. Rose nie zważała na nic. Przez zasłonę deszczu widziała poruszające się pochodnie, słyszała śmiechy i francuskie słowa. Powóz zatrzymał się pod drzwiami, w miejscu, gdzie Pierre powiedział jej o istnieniu małej dziewczynki, której matka zginęła od gradu kamieni. Serce biło jej bardzo szybko.

— Proszę tu poczekać! — zawołała do woźnicy.

Wzięła głęboki oddech i wybiegła w deszcz. Ku jej uldze w oknach budynku paliło się światło, załomotała do drzwi. Otworzył jej portier zaskoczony widokiem kolejnej roztrzęsionej angielskiej damy, która tego wieczoru domagała się widzenia z monsieur Montandem.

— Czy jest tu Dolly? — spytała.

— Jest pani przyjaciółką tej młodej panienki?

— Tak — zawołała. — Tak. Gdzie ona jest? Jest tu jeszcze?

— Tak, tak, madame.

Zaryglował dokładnie drzwi i spokojnie poprowadził zdenerwowaną damę przez korytarz pełen antyków, jakby robił to codziennie.

Usłyszała głos Dolly dochodzący zza zamkniętych drzwi.

— Błagam, Pierre — mówiła z płaczem. — Musisz mnie wysłuchać. Proszę, pomóż mi. Zmuszą mnie do tego ślubu, zniszczą mi życie. Kocham cię, zrobię wszystko, wszystko, czego zapragniesz, moja rodzina jest jedną z najlepszych w Anglii.

Rozległ się niski, spokojny głos Pierre'a. Rose nie rozróżniała słów.

— Kochasz Rose? — zawołała histerycznie dziewczyna. — Po-całowałeś ją w rękę, tuliłeś w miejscu publicznym! Nie możesz jej poślu-

bić, ona jest starą wdową! Obiecała porozmawiać z tobą o mnie. Obiecała. Rozmawiała?

Rose weszła do środka. Płomienie świec zadrżały pod wpływem przeciągu i padły na obrazy oraz zwoje papirusa. W pomieszczeniu znajdowały się też sztalugi, barwne kamienie, obeliski oraz hieroglify, na każdym kroku tajemnicze symbole.

Pierre Montand stał pod oknem. Był zasmucony i zażenowany. Dolly stała bardzo blisko niego, oczy miała zaczerwienione od płaczu.

— Po co tu przyszedłeś? — krzyknęła na widok Rose.

— Kochana Dolly. — Rose zamknęła drzwi i oparła się o nie, próbując uspokoić oszalałe nerwy. Poprawiła mokry szal. — Musisz natychmiast wracać do hotelu. Wszyscy cię szukają. Wpadli w panikę, myśląc, że porwał cię francuski markiz. Gwardia cię szuka. Musisz natychmiast wracać.

Dolly usiadła na jednym ze stolików i zalała się łzami, odchylając do tyłu głowę niczym aktorka dramatu. Pierre ruszył na ratunek papierom, na których usiadła. Dziewczyna sądziła, że ma zamiar ją pocieszać, i zaszlochła jeszcze głośniej. Rose miała ochotę pójść w jej ślady, jednak oparła się pokusie, odsuwając bolesne myśli.

— Mam mętlik w głowie — zwróciła się nieskładnie do Pierre'a. Podeszła do Dolly i wymierzyła jej policzek. Dolly natychmiast ucichła. Wpatrywała się w Rose ze zdumieniem.

— Musimy wracać, Dolly, wszyscy cię szukają! Zabieram cię stąd w tej chwili. Znajdziemy sposób, aby nie dopuścić do małżeństwa. Nie możemy mieszać pana Montanda, którego ledwie poznałyśmy, w nasze problemy. Tak nie wolno. Proszę wybaczyć, monsieur. Zapewniam, że nie będziemy pana już więcej niepokoić.

Chciał coś powiedzieć, lecz mu przerwała. Chwyciła za rękę zdezorientowaną dziewczynę.

— Wstyd mi za to, co się stało — mówiła dalej, prowadząc Dolly w stronę drzwi. — Byłabym wdzięczna, gdyby pan puścił całe zajście w niepamięć.

Pierre wpatrywał się w Rose, która nie odwzajemniała spojrzenia.

— Mademoiselle Dolly — powiedział. Dolly odwróciła się gwałtownie ku niemu. — Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia. Bardzo mi przykro patrzeć na pani smutek. Madame Rose wspomniała o pani propozycji. Ktokolwiek dostąpi zaszczytu poślubienia pani, będzie prawdziwym szczęściarzem. Posiada pani urodę, inteligencję i odwagę. Jednak moje serce jest już zajęte. Gdybym tylko mógł pomóc w jakikolwiek inny sposób... — Kobiety już zniknęły za drzwiami. Rose wyprowadziła oporną Dolly na korytarz. Minęły skarby Egiptu, odprowadzane spojrzeniem setek kotów, i wyszły w deszcz do czekającej dorożki.

Kiedy powóz zniknął za zakrętem, portier zwrócił się ze śmiechem do Pierre'a:

— Ależ z pana szczęściarz, monsieur Montand! Piękne kobiety!

Pierre bez słowa wrócił do biura i zamknął za sobą drzwi.

Gwardziści stali w deszczu przed hotelem, nie wszyscy zdołali się ukryć pod zadaszeniem. Pomstowali na pogodę i rzucali niewybredne żarty na temat zaginięcia młodej Angielki. „Znalazła się”, powiedziała groźnie Rose, wysiadając z powozu. Pierwszą osobą, którą spotkały w holu, był zdeenerwowany William. Właśnie wrócił z poszukiwań. Odwrócił wstydliwie wzrok od Rose i chwycił Dolly pod ramię. Nadbiegł George i złapał dziewczynę za drugą rękę.

— Gdzieś ty była? — syknął George. Rose patrzyła na trójkę ludzi znikających w głębi korytarza. Dwóch podstępnych, zdeprawowanych mężczyzn prowadzących między sobą biedną dziewczynę, która górowała wzrostem nad nimi oboma. Rose wyszła na zewnątrz i zrobiła coś, czego nie robiła nigdy wcześniej: wyjęła papierosa w miejscu publicznym. Na-

tychmiast podszedł do niej jeden z gwardzistów. Podał jej ogień, szepcząc po francusku nieprzyzwoite rzeczy. Rose zupełnie się tym nie przejęła.

Wzburzone rodziny Torrence'ów i Fallonów zrezygnowały z wycieczki do Rzymu. Zapadła decyzja o natychmiastowym powrocie do Londynu. Niestety musieli podróżować wszyscy razem w jednym wielkim publicznym przedziale dyliżansu. Nic innego nie udało się wynająć w tak krótkim czasie, a wicehrabina nie chciała słyszeć o pozostaniu w Paryżu choćby dzień dłużej. Podróż była wyjątkowo niewygodna. W ciągu doby minęli te same zniszczone kościoły, splądrowane pałace, schludne gospodarstwa, machające dzieci, aż dotarli z powrotem na wybrzeże. Przez całą drogę wicehrabina Gawkroger odezwała się zaledwie raz do wszystkich towarzyszy podróży.

— Jego wysokość nie przyjmuje na dworze rodzin dotkniętych skandalem — oświadczyła grobowym tonem, zapominając prawdopodobnie, że Dolly pośliznęła się kiedyś na schodach w ciemnym zakamarku pałacu w Windsorze.

Pomijając to jedno zdanie, wicehrabina ani razu nie zwróciła się do Dolly czy Rose, Rose słowem nie odezwała się do George'a i Williama, Dolly też nie odezwała się do nikogo. Ann spędziła podróż, próbując znaleźć dyskretny sposób na uśmierzenie bólu zębów za pomocą brandy. Rose z trudem powstrzymała obłąkańczy śmiech, którym miała ochotę wybuchnąć, usłyszawszy wicehrabinę mówiącą o „skandalu”. Czy to odpowiedni moment, by jej powiedzieć o wnuczce? Wpatrywała się w wiejskie krajobrazy za oknem. Dyliżans kolebał się w drodze do Calais. Zbierało jej się na mdłości, w głowie wirowało kłębowisko niechcianych, strasznych, trudnych do zniesienia myśli. Marzyła o papierosie. W wyobraźni przesuwały jej się niepokojące obrazy: falujące egipskie płótna, George z Williamem, niebiesko— złoty pierścień, dziecko, Pierre Montand, Dolly, martwa kobieta na piasku... Nagle w powozie rozległ się głośny, upiorny śmiech. Wszyscy popatrzyli na Rose.

— Paryż wiosną jest po prostu czarujący — powiedziała.

TLR

Rose podpaliła swoje różowe małżeńskie łóże.

Wybudziła się gwałtownie ze snu. Śniła o dziecku. A może o Dolly? Lub splecionych ciałach szwagra i Williama? Serce bilo jej nierównomier- nie, umysł tonął w oparach opium. Wyskoczyła z łóżka i zapaliła papierosa, usiłując się uspokoić. Powoli wdrapała się z powrotem pod różowy balda- chim. Otworzyła atlas i udała się w kolejną podróż palcem po mapie. Od- dawała się temu zajęciu jedynie w zaciszu własnej sypialni, w tajemnicy nawet przed Mattie. W powietrzu unosił się dym. Zadumała się nad własną naiwnością. Tak bardzo pragnęła dziecka: słowa Francuza wypełniły jej spragniony umysł marzeniami i melancholią, wspomnieniami opowieści ojca. Fantazjowała na temat drzew palmowych, róż, dziecka, rzeki Nil, Ro- setty...

Po chwili Mattie wyciągała ją z łóżka i próbowała ugasić ogień mokry- mi ręcznikami. Różowy tiul spalił się doszczętnie, zostało parę brązowych skrawków. Mattie poliała łóżko wodą.

— Mogłybyśmy pojechać, naturalnie — powiedziała. — Korneliusz Brown tam jest.

— Gdzie?

— W Egipcie — odparła Mattie. — A gdzież by indziej?

— To niedorzeczny pomysł.

— Jak pani uważa — rzekła służąca, podnosząc atlas. — Proszę się podpalać do woli, byleby nie puściła pani z dymem domu wicehrabiego, kiedy pójdę spać.

Rose otrzymała list z Francji.

Pani Wicehrabino, niezmiernie żałuję wstrząsu, do jakiego przyczyniłem się w Paryżu, błędnie oceniając Pani wiedzę. Z całego serca przepraszam za swój brak delikatności.

Jedyne, co mam na swoje usprawiedliwienie... Dopiero niedawno wróciłem z Aleksandrii. Podczas licznych wypraw byłem świadkiem śmierci wielu osób. Każdy żołnierz musi umieć sobie radzić z najgorszymi doświadczeniami. Jednak młoda kobieta zamordowana w bestialski sposób przez własnych bliskich i moja bezsilność to coś, co jeszcze długo nie da mi spokoju. Niewystarczający jednak powód, by obarczać Panią moimi rozterkami.

Żywię nadzieję na kolejne spotkanie i wiadomość, że mi Pani wybaczyła. A także że kłopoty mademoiselle Dolly należą do przeszłości.

Do zobaczenia, Wicehrabino, Pierre Montand

Rose odpisała:

Drogi Panie Montand, nie ma Pańskiej winy w tym, co się wydarzyło. Nie należy obwiniać posłańca o złe wieści. Dziękuję za list

Rose Fallon

Rodzina Torrence'ów, wicehrabia Gawkroger i cała elita towarzyska Londynu wyjechali na lato. Nikomu z wysoko urodzonych nie wypadało zostać w mieście, w dobrym tonie było spędzić letnie miesiące na wsi. Rose została, ponieważ czekała ją przeprowadzka. Mattie wraz z przyjaciółmi zmarłego admirała Halla znaleźli apartament do wynajęcia na South Molton Street, nieopodal Brook Street, gdzie dorastała Rose. Panowie byli zachwyceni, ponieważ znali pannę Konstancję Proud, kilku jej braci służyło w ma-

rynarce w stopniach kapitańskich. Panna Konstancja natomiast niezmiernie się ucieszyła, mogąc wynająć połowę domu córce admirała.

— Panna Proud? Panna Konstancja Proud? Ależ oczywiście, znam ją. Pewnego razu tak się zaczytała, że zamknięto ją na noc w bibliotece!

— A więc postanowione — ucieszyli się. — To cudowna kobieta. A jaka odważna. Straciła ukochanego we wczesnej młodości. Smutna historia. — Nic więcej nie wyjawili.

Rose poszła na spotkanie z panną Konstancją Proud. Przeszła na drugą stronę Oxford Street i znalazła się na swoim ukochanym Hanover Square. Liście zmieniały już kolor. Minęła starą piekarnię oraz bibliotekę, w której Fanny poznała Horacego Harbottoma. Przeszła obok domu pana Haendla wsłuchana w dźwięki dzieciństwa: kakofonię krzyków ulicznych handlarzy i ostrzycieli noży, stukot końskich kopyt, turkot kół dyliżansów, pokrzykiwania woźniców. Mijając dom rodziców, poczuła ukłucie w sercu, nie zatrzymała się. Ze straganu po drugiej stronie ulicy unosił się zapach pomarańczy. Mieszał się z wonią nieświeżych ryb i końskich odchodów. Z oddali dobiegał śpiew okropnie fałszującego mężczyzny. I melodia wygrywana na klawesynie. Rose chłoneła wszystko w zachwycie.

Panna Proud podała herbatę. Rozmawiały o rodzicach Rose i o tym, jaka to radość dla panny Proud móc gościć u siebie ich córkę. Miała na głowie biały czepek, jaki nosiły starsze lub niezamężne kobiety. Wcale się nie postarzała. Wszystkie pomieszczenia w jej domu pękały w szwach od książek, gazet, periodyków, jak gdyby sama prowadziła bibliotekę. W salonie leżały cztery pary okularów do czytania. Pokoje na górze były jasne, wypełnione promieniami jesiennego słońca i zapachem świeżego chleba unoszącym się nad South Molton Street, który rekompensował woń dochodzącą z rynszteków.

Na South Molton Street znajdzie się miejsce dla piętnastoletniej Dolly. Rose przywołała w pamięci wyraz twarzy dziewczynki, kiedy dowiedziała się w Paryżu o swoim losie. Pisała do niej zdawkowe listy, w których wy-

rażała nadzieję rychłego spotkania. Nie dostała żadnej odpowiedzi. Niemniej szykowała dla niej azyl na South Molton Street. Zamierzała nawet uciec się do szantażu wobec George'a. Prędzej by umarła, niż przyznała się komukolwiek, lecz wieczorami przemierzała dziesiątki razy różową sypialnię, ćwicząc swą wielką mowę... George, chcę ci coś powiedzieć... George, muszę przywołać wielce trudny dla mnie temat... nie mnie osądzać, George... Czerwieniła się ze wstydu nawet w zaciszu własnej sypialni, takim obrzydzeniem napawały ją metody, do których czuła się zmuszona uciec. Dziecko Harry'ego w Egipcie zapewne nie będzie go w ogóle obchodziło. A Dolly potrzebowała pomocy.

Rose i Mattie pakowały resztę ubrań, kiedy lokaj zaanonsował przybycie wicehrabiego Gawkrogera. George czekał w błękitnym salonie, wśród mebli zakrytych białymi prześcieradłami. George zjawiał się zawsze nocą i zawsze niezapowiedziany. Człowiek, który lubi kryć się w ciemnościach.

Mattie wiedziała wszystko.

— Proszę się trzymać, miss Rose — powiedziała przez ściśnięte usta.

Rose powoli zeszła na dół, zamówiła kawę w kuchni. Na widok George'a żołądek ścisnął jej się nieprzyjemnie. Minęło wiele tygodni od pospiesznego wyjazdu z Paryża, a szwagier wciąż nawiedzał ją w koszmarnych snach.

— Dobry wieczór, George.

— Dobry wieczór, Rose.

— Jak zdrowie mamy?

— Bardzo dobrze, dziękuję. Spędziliśmy niezwykle interesujące lato na wsi. — Przyglądała mu się w milczeniu. George rozejrzał się po salonie. — A więc opuszczasz wreszcie Wimpole Street.

— Jak widzisz. Dziękuję, że pozwoliłeś mi tu zostać, póki nie znalazłam czegoś odpowiedniego. Usiądziesz? — Zdjęła prześcieradła z sofy i fotela.

— Gdzie będziesz mieszkać?

— Niedaleko mojego domu rodzinnego na Brook Street.

— Degradacja — prychnął pogardliwie. — Nie przyniesie to chluby rodzinie Fallonów. Wciąż nosisz nasze nazwisko.

— Mam nadzieję, że nigdy nie dam ci powodów, abyś mógł powiedzieć, iż przyniosłam hańbę nazwisku — powiedziała. Nie zareagował na zgryźliwy ton w jej głosie. Oboje milczeli, żadne z nich nie usiadło. Wobec tego powiem mu teraz, pomyślała Rose z bijącym sercem. Wzięła głęboki oddech i zaczęła szybko mówić, w obawie że może się rozmyślić.

— George, odżegnuję się od waszego wsparcia, a także zobowiązań wobec rodziny. Nie chcę żadnych pieniędzy. Nie życzę sobie mieć żadnego związku z waszymi sprawami teraz ani w przyszłości i spodziewam się, że wy również zostawicie mnie w spokoju. Śmierć Harry'ego przecięła łączące nas więzy. — Oddychała ciężko, patrzyła w nieprzeniknioną twarz brata Harry'ego. Zaczepnęła tchu, jakby miała utonąć. — Pragnę wyjaśnić pewną rzecz, nim się rozstaniemy. Zamierzam nie dopuścić do realizacji twojego potwornego planu zmuszenia piętnastolatki do poślubienia kogoś takiego jak ty. — Oblała się rumieńcem. — Za wszelką cenę.

Stała z podniesioną wyzywająco głową, świadoma, że się czerwieni.

— Doprawdy, Rosetta mia? — Uśmiezek wypełził na jego oblicze. — Jakich to metod zamierzasz użyć, by mnie powstrzymać?

Wniesiono kawę. Mattie zrobiła to osobiście. Rzuciła George'owi wrogie spojrzenie. Wicehrabia podszedł wolno do okna i wyjrzał na ciemną ulicę.

— Cóż, Rosetto? — odezwał się, dopiero kiedy Mattie wyszła.

Rose naląła kawy do pozłacanych filiżanek, podała mu jedną. Siadając, znów zapomniał, że sofa jest bardzo miękka. Rozlał kawę, odstawił filiżankę i zirytowany zaczął wycierać ubranie.

— Doprawdy, moja droga! Powinnaś zostawić kawę mężczyznom. Nie przystoi jej pić w salonie damy.

Wpatrywała się w niego uporczywie. Dla dobra Dolly musiała złamać jego pewność siebie. Rzuciła się na głęboką wodę.

— Ta sprawa mogłaby się okazać bardzo nieprzyjemna dla Williama — mówiła z uporem. — Mój ojciec był admirałem. We flocie królewskiej podobne wysoki traktuje się z wielką surowością.

George zamierzał wstać z godnością, jednak utonął wśród poduszek i wyglądało to raczej śmiesznie, z czego zdawał sobie sprawę. W ciszy minął galerię swych przodków. Stojąc plecami do Rose, powiedział:

— Nigdy, przenigdy nie zaczynaj ze mną, Rose. Jestem i zawsze będę od ciebie silniejszy. — Odwrócił się do niej. — Spóźniłaś się. Powinnaś ją była zabrać do siebie od razu po przyjeździe do Londynu. Skromny ślub odbył się dwa dni po naszym powrocie z Paryża. Wśród zaproszonych gości znaleźli się William, Ann, moja matka oraz księżę Hawksfield. Przenieśliśmy się już z matką na Berkeley Square. Dom należał do zmarłej pani Torrence, a dzięki wsparciu księcia Hawksfield Dolly dostała go w posagu, więc teraz jest mój. Oczywiście pozwałam w nim mieszkać pozostałym, ale jest mój! — Nie potrafił powstrzymać tryumfalnego uśmiechu. — Musisz mnie koniecznie odwiedzić, kochana! Zamierzam przeprowadzić całkowity remont! Rozpoczęliśmy już budowę rezydencji na wsi na ziemi Torrence'ów. Tam stanie prawdziwy Gawkroger Hall, nie jakiś tam kupiecki domek na Great Smith Street. — W jego głosie pobrzmiwała satysfakcja. — Co powiesz teraz?

Podszedł bardzo blisko. Na jego twarzy nie było już nawet cienia uśmiechu. Emanował wrogością.

— Posłuchaj mnie uważnie, Rose — szepnął. — Wdzierasz się bez zaproszenia w moje życie, a przecież wielokrotnie ostrzegałem cię, że nie pozwolę, by ktokolwiek ingerował w moje plany. Po pierwsze, takie drobne sprawy nie mają znaczenia we Francji. To wyrafinowany kraj, znacznie

bardziej postępowy od naszego, po rewolucji zmieniło się tam prawo. Po drugie, William nie służy już w marynarce. Zbyt mało okrętów, zbyt wielu kapitanów. Wybieramy się we wspólną podróż do Egiptu. To jest... kiedy tylko Dolly i Ann... — Zrobił skromną pauzę. — Będą w stanie błogosławionym. Poświęcam temu ostatnio całą uwagę, zapewniam cię, ponieważ nie możemy wyjechać, nie postarawszy się o dziedziców! — Mówił cały czas tym samym złowieszczym tonem. — Spędzamy czas niezwykle przyjemnie, Rosetta mia. Poradziłem Williamowi, by oddał się podobnym wysiłkom, za co Ann jest mi dozgonnie wdzięczna. Potem zostawimy żony pod opieką mojej matki. Zajmie się nimi podczas ciąży i rozwiązania, natomiast my, William i ja, rozpoczniemy nasze przygody, poszukiwanie skarbów. Skontaktowałem się już z twoim wielbicielem, panem Montanem, który z pewnością udzieli nam wielu cennych rad.

Po trzecie... — Przerwał na chwilę, wbijając wzrok w bratową. Przygotowała się na najgorsze. — Po trzecie, twoje dziwne zachowanie każe mi myśleć, iż nie jesteś zupełnie zdrowa, Rosetto. Owdowiałe kobiety często nie czują się dobrze... — Przerwał z udawaną delikatnością. — ...kiedy tracą swe szczęście domowe, że sobie pozwolę tak to nazwać. Źle znoszą szczęście innych ludzi, a ja mam go w bród, co cię może zdziwić i zainteresować, Rose. — Przysunął twarz bardzo blisko do jej twarzy, niemal jakby ją chciał pocałować. Z trudem opanowała chęć odwrócenia głowy, kiedy poczuła jego oddech. — Tak, z pewnością jesteś zainteresowana. Niewinna mała Dolly spędziła zadziwiająco dużo czasu na studiowaniu książek księcia Torrence'a. Wiele z nich, powiedzmy sobie szczerze, porusza niecodzienne sprawy. Wiedziała o wiele więcej o „domowym szczęściu”, niż mógłbym przypuszczać, o wiele więcej. — Przesunął lubieżnie palcem po wargach. — Nie muszę chyba mówić więcej. Wiesz, co tracisz. Mój brat opowiadał mi o wszystkim, czego cię nauczył, o rozkoszach, które dzieliliście. Świadomość tego, co cię omija, wpędza cię w chorobę. To się nazywa „nerwica starej panny”. Jesteś teraz niczym więcej jak starą panną. Obarczoną dręczącymi wspomnieniami. Jeśli wykazesz się brakiem dyskrecji, zamówię dla ciebie, jako dla członka mojej rodziny, wizytę lekarską. Wyja-

śnie doktorowi, że cierpisz z powodu snów, które przyprawiają cię o gorączkę. Powiem mu również, że zawsze miałaś — jak by to nazwać? — bujną wyobraźnię. Przede wszystkim zaś poinformuję go... Przypominam raz jeszcze, iż byłem powiernikiem swego brata... Poinformuję go, że jak na kobietę wykazywałaś zawsze niezdrową fascynację... — uśmiechnął się — ...sprawami cielesnymi. Najwyraźniej przeniosła się ona na sprawy innych ludzi!

Rose spąsowiała.

— Kobiety z podobnymi problemami... — Zrobił delikatną pauzę. — Trafiają w odpowiednie miejsca. Wymagają leczenia. Jeden z sanitariuszy domu dla obłąkanych w Bedlam powiedział mi, że podobne pragnienia u kobiety mogą być niebezpieczne, niezaspokojone zaś prowadzą do obłędu. Byłaś kiedyś w Bedlam? Pewnie nie. Powinnaś, Rose, ku przestrodze. Jest tam wiele kobiet podobnych do ciebie. Oddają się samobiczowaniu i wystawiają na widok publiczny części intymne.

To powiedziawszy, George Fallon, wicehrabia Gawkroger, skłonił się przed bratową i opuścił błękitny salon, w którym jego przodkowie wysłuchali go razem z Rose w pełnym oburzenia niedowierzaniu. Choć, któż to może wiedzieć, czy przodkowie George'a nie słuchali z pełną uznania fascynacją?

Nie minęło nawet piętnaście minut, a pukanie do drzwi rozległo się ponownie.

— Nie ma mnie w domu — powiedziała zduszonym głosem Rose zza zamkniętych drzwi swojego pokoju. — Powiedz służbie, że nie ma mnie dla nikogo.

Po chwili Mattie wróciła.

— Odejdź.

— Ktoś na panią czeka, miss Rose.

— Jest późno. Mówiłam ci już, że nikogo nie przyjmuję.

— Myślę, że tę osobę pani przyjmie — zawołała stanowczo Mattie i wycofała się w głąb korytarza.

To na pewno Dolly! Oczywiście, że Dolly. Rose prędko obmyła twarz i ułożyła włosy. Starła się wyrzucić z pamięci wstrząsającą przemowę George'a. Wolno ruszyła po schodach. Biedna Dolly, poślubiona bestii. Otworzyła drzwi błękitnego salonu. Najpierw zwróciła uwagę na włosy gościa. Rudowłosa kobieta z zainteresowaniem oglądała portrety na ścianach. Rose zastygła w bezruchu, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

— Fanny? — szepnęła.

Kuzynka usłyszała i obróciła się ku Rose.

— Fanny! — Padły sobie w objęcia. Stały tak przez kilka chwil. Rose to się śmiała, to płakała z niedowierzaniem. Wreszcie wypuściła kuzynkę z objęć, lecz wciąż trzymała dłonie na jej ramionach.

— Och, Fanny! — Nie mogła wydusić z siebie nic więcej.

— Mama — odezwał się zaspany głosik. — Ciocia już przyszła?

Na sofie, tej samej, którą George Fallon uważał za zbyt miękką, leżała mała dziewczynka. Usiadła teraz i poprawiła rude włoski. Zauważyła Rose. Na moment zmarszczyła czoło, przypominając sobie wyuczoną kwestię, po czym wyrecytowała:

— Bardzo mi miło cię poznać, ciociu Rose.

Rose wpatrywała się w rudowłose dziecko.

— Och — powiedziała, podchodząc wolno do sofy. Usiadła na fotelu. — Przez chwilę myślałam, że to twoja mama z powrotem zamieniła się w dziecko. — Wpatrywała się w małą boleśnie świadoma własnej bezdzietności. — Jak ci na imię? — spytała łagodnie.

— Jane — odparła nieśmiało dziewczynka.

— Bardzo mi miło cię poznać, Jane. Ile masz latek?

Dziewczynka milczała wpatrzona w swoje buciki.

— Powiedz cioci Rose, że niedługo skończysz pięć lat i masz brata, który jest o niecały rok starszy — pouczyła Fanny z drugiego końca pokoju.

— Prawie pięć i mam brata — bąknęła Jane, nie patrząc na Rose.

— Jak ma na imię?

— Horacy.

— Jak tatuś.

— Tak. — Dziewczynka zawzięcie wpatrywała się w kokardkę na buciku.

— Och Fanny! Tak się cieszę, że mnie odwiedziłaś. I twój malutki sobowtór! Zupełnie się tego nie spodziewałam.

— Mattie mówiła, że się przeprowadzasz. Postanowiłyśmy pozwolić ci odpocząć.

Rose mruknęła coś pod nosem. Czy był to wyraz gniewu, zawstydzenia czy zażenowania, Fanny nie potrafiła określić.

— Przepraszam cię, najdroższa Fanny, że kazałam ci czekać. Odbylam niedawno wielce nieprzyjemną rozmowę ze szwagrem.

— Mattie zabawiała mnie rozmową. Miałyśmy co wspominać: Brook Street, la belle France, Hanover Square, nie brakowało nam tematów. Dowiedziałam się przy okazji, że nie porzuciła zamiaru odszukania swego męża!

— Korneliusza Browna! — dokończyły razem.

Jane wpatrywała się w nie zafascynowana.

— Słyszała, że zamieszkał w Egipcie! — powiedziała Rose. — Nadal wcale nie pragnie go odzyskać. Chce mu tylko dać nauczkę za złe zachowanie.

wanie! — Kuzynki roześmiały się, jakby się nigdy nie rozstawały. — Na pewno ci powiedziała, że znalazłyśmy wspaniałe nowe lokum. Och Fanny! Na South Molton Street, tuż obok Brook Street!

Nagle wizyta George'a stała się odległa niczym niemiły sen.

— Przyjechałam do Londynu, żeby załatwić pewne pilne sprawy w imieniu taty — wyjaśniła Fanny. — Z Wentwater prosto do ciebie, przepraszam za późną porę. Horacy musiał się zgodzić na naszą samotną wyprawę do gniazda bezbożników, jakim jest Londyn, ponieważ sprawa dotyczy finansów. Papa dał mu do zrozumienia, iż na tym skorzysta! Więc oto jestem! Nie było czasu, żeby cię uprzedzić listownie. Mogę się zatrzymać u ciebie na South Molton Street przez kilka dni?

— Oczywiście! — Rose nie mogła się przestać uśmiechać. Uśmiechała się i uśmiechała do kuzynki i jej córeczki.

Rozmawiały przez całą noc, nie poszły do łóżek. Próbowaly ułożyć małą Jane do snu w nadpalonym łóżu Rose.

— Ono płonie! — zawołała dziewczynka, tuląc się do mamy.

— Miałam mały wypadek — usprawiedliwiała się zawstydzona Rose. — Już nie płonie.

Fanny kołysała córkę na kolanach, opowiadając o rodzinie w Indiach. Wreszcie Jane Harbottom, lat prawie pięć, zasnęła wśród nadpalonego tiulu wsłuchana w śmiech matki i ciotki wspominających dzieciństwo.

— Powinna przespać całą noc — powiedziała czule Fanny, odgarniając włoski z czoła małej Jane. — Jest nerwowa. — Westchnęła. — Boi się swojego ojca, więc żywi przekonanie, że świat jest pełen mężczyzn i chłopców, którzy wrzeszczą. Sądzę, że czuje się bezpiecznie jedynie, kiedy śpi.

— Mały Horacy też wrzeszczy?

Fanny wciąż patrzyła na córkę.

— Mały Horacy, w którego, rzecz jasna, Janey jest wpatrzona jak w obrazek, to kopia swego ojca. Chodzi jak on, mówi jak on i naśladuje jego sposób traktowania ludzi. Kocham małego Horacego nad życie i wiem, że nie ponosi za nic winy, lecz... — Fanny zakryła na chwilę oczy dłońmi. — Czasem bardzo go nie lubię.

Kuzynki w ciszy schodziły po schodach. Mattie rozpałała ogień i przyniosła im gorącej czekolady, jak przed laty.

Przez całą noc rozmawiały, śmiały się i płakały. Rozmawiały, jakby całe lata nie miały z kim. Fanny opowiedziała o wstrząsie, jaki przeżył Horacy po przeczytaniu jednego z pierwszych nieocenzurowanych listów Rose i jego stanowczej odmowie puszczenia żony do Londynu. Zona pastora musi pozostawać u jego boku, napisał do rodziców Fanny ku ich zdumieniu. Jest potrzebna o każdej porze. To poświęcenie uczynione wobec Boga. Cała liczna rodzina stawiała się w Wentwater przed podróżą do Indii zaniepokojona dziwnym zachowaniem Horacego. Matka Fanny chciała przesunąć datę wyjazdu i zostać do narodzin pierwszego wnuka, lecz wszystko już zostało przygotowane do wielkiej wyprawy. Pożegnali się z Fanny ze łzami w oczach. Machała im, stojąc w obrośniętej kapry— folium bramie plebanii, póki powóz nie zniknął za zakrętem. Sama przeszła przez pierwszą ciążę, a niedługo potem poczęło się drugie dziecko. Rose opowiedziała o własnych utraconych dzieciach i o tym, że być może nigdy nie będzie ich miała. Fanny przytuliła ją mocno, nie mówiła nic o woli bożej.

— Widziałam ją — płakała rozdzierająco Rose. — Miała takie maleńkie rączki.

Łzy Fanny padały na włosy przyjaciółki.

Kiedy ogień zgasł po raz pierwszy, rozpałały go na nowo. Za drugim razem owinęły się szalami i przytuliły do siebie na sofie. Świece się wypaliły, zapaliły następne, potem rozmawiały w ciemnościach. Zegary nierówno wybijały godziny. Fanny rozpoznała stary zegar z Genui.

Pierwsze promienie słońca przedzierały się przez zasłony, a one wciąż mówiły. Rose opowiedziała Fanny o rozmowie na temat swojego męża podsłuchanej w teatrze, beztroskim śmiechu znajomych kobiet dobiegającym zza czerwonych aksamitnych kotar, o prawdziwej przyczynie śmierci Harry'ego. Fanny ze świstem wciągnęła powietrze. Wreszcie dowiedziała się o ukamienowanej kobiecie z Aleksandrii oraz francuskim uczonym, który powiedział Rose o dziecku. Słuchała wstrząśnięta. Ani jednym słowem czy gestem nie zdradziła, że kiedyś skryta za wachlarzem śmiała się z wymuskanego czarusa, za jakiego uznała kapitana Harry'ego Fallona. Rose opowiedziała też o pospiesznym ślubie George'a, jego związku z Williamem, swojej nieudolnej próbie szantażu. Podobna sprawa wyszła na jaw w Wentwater, zdradziła jej Fanny. Horacy tak głośno grzmiał z ambony, że parafianie z niepokojem zerkali na strop. Rose opisała przyjaciółce, jak wyglądał smętny powrót z Paryża, i wyjaśniła, jak doszło do podpalenia łóżka. Fanny opowiedziała o wujku Horacego, biskupie, który oczekiwał, że będzie obcinała mu paznokcie u nóg. Przyjaciółki roześmiały się, nieco smutno. Nocne opowieści odebrały im ochotę do szczerego śmiechu. Bardzo długo siedziały w milczeniu.

Zegary głośno odmierzają czas. Prawie spały z otwartymi oczami. Tak je zastał poranek.

— Rose — przemówiła wreszcie Fanny. — Kiedy odebrałam list od ciebie przesłany z Paryża, podpisany twoim własnym ślicznym hieroglifem, jak przed laty, nagle poczułam się przytłoczona zmianami, które zaszły w moim życiu. Nie miałyśmy wątpliwości, że małżeństwo to coś dobrego! Żywiłam przekonanie, że Horacy poszerzy mój świat i moją wiedzę. Ale jemu moja wiedza przeszkadzała, Rose. Doszło do tego, że dla świętego spokoju zaczęłam udawać, iż nie mam o niczym pojęcia. Spójrz, do czego doprowadziły nas nasze małżeństwa. Umniejszyły nas. Chociaż muszę mu oddać sprawiedliwość — Horacy język grecki zna! — Wybuchły perli-

stym śmiechem w szarym świetle poranka. Doświadczenie nauczyło je, że znajomość języka greckiego nie bardzo przydaje się w życiu.

— Ale może pomóc w rozszyfrowaniu tajemnic świata. — Rose wprowadziła kuzynkę w historię kamienia z Rosetty. Mówiła o tekście wyrytym w trzech językach, wspaniałej zbieżności nazwy z jej imieniem i wszystkich cudownych rzeczach widzianych w Paryżu. Pokazała jej również peany na cześć Ptolemeusza.

Rose odsłoniła zasłony, aby wpuścić światło poranka. Drozdy z Marylebone Gardens śpiewały na Wimpole Street, bryczka turkotała, zmierzając w kierunku Portland Place, wczesny dyliżans przejechał pod oknami.

— Och Rose! — westchnęła Fanny wsłuchana w odgłosy za oknem. Wciąż trzymała w ręku tekst tłumaczenia. — Tyle zmian! Wciąż prowadzisz dziennik?

— Tak. Czasami.

— Pisziesz o swoim życiu.

— Nie potrafię pisać o bolesnych sprawach.

— Ja krzyczę — wyznała Fanny.

— Co takiego? — Rose sądziła, że się przesłyszała.

Fanny wyjaśniła jej, że czasem chodzi na odludne wrzosowiska i krzyczy, ponieważ dzięki temu czuje się lepiej. Rose poczuła ucisk w gardle na myśl o swej ukochanej piegowatej, rudowłosej kuzynce krzyczącej samotnie na wrzosowisku.

— Czy krzyczenie naprawdę pomaga? — spytała.

— Słyszałam, że Maria Rienzi codziennie rano wydobywa z siebie bardzo głośne dźwięki, przygotowując się do swych występów operowych, wymyśliłam więc, że gdyby ktokolwiek mnie usłyszał, powiem, iż trenuję głos! — Fanny roześmiała się niepewnie. — Wykrzykuję swoje życie. —

Zobaczyła przerażony wyraz twarzy Rose. — Horacy dużo mówi o obowiązkach. Jednak jego definicja obowiązku to spełnianie jego życzeń przez innych ludzi. Często nie spełnia własnych obowiązków wobec biedniejszych parafian, zajęty swoimi sprawami. Czasem, jeśli widzę, że jest zajęty, a wiem o kimś chorym lub umierającym, sama idę go odwiedzić. Nie uwierzysz, jakie to smutne. Ci ludzie spędzają ostatnie chwile życia w nędznych szopach, martwiąc się wiecznym potępieniem i ogniem piekielnym! Tylko tyle dostali od Kościoła. — Fanny potrząsnęła gniewnie rudymi lokami. — Tłumaczę im więc, że piekło nie istnieje. Nie ma ognia piekielnego. Czeka na nich wytnienie i Bóg, który jest miłością. Zapewniam ich, że wiem! — Rose wyobraziła sobie kuzynkę trzymającą kogoś za rękę w ciemnym, brudnym pokoju, niczym rudowłosego anioła.

Fanny raptownie podskoczyła, zaczęła niespokojnie chodzić po salonie.

— Wiesz, co odkryłam? Wielu księży nie obchodzi religia!

— Fanny!

— Naprawdę! Słyszę tych wszystkich wikarych, proboszczów, od czasu do czasu biskupów, którzy wpadają na plebanie, by zamknąć się z Horacym w gabinecie i wymienić ploteczkami przy whisky. Słyszę ich! Nawet ci nowi ludzie, ci ewangelicy piszący w gazetach o „nowej moralności”, nie piszą nic o moralności pracowników Kościoła. Czytałam dokładnie. Potrafią tylko straszyć. Nikt — z wyjątkiem może kwakierki, która jest jedną z dwóch osób naprawdę wierzących w to, co mówią — nie interesuje się życiem i losem ludzi. Nie zależy im, by ich podnosić na duchu, wspierać, prowadzić... Ludziom Kościoła zależy wyłącznie na przetrwaniu Kościoła i na majątku kościelnym.

— Co masz na myśli? — zaskoczona Rose niemal się roześmiała. — Naturalnie, że Kościół przetrwa, Fan. Jest częścią naszego życia! Chrztu, pogrzeby, niedzielne msze, dźwięk kościelnych dzwonów... Kościół jest częścią Anglii, podobnie jak król!

— Otóż to! — Fanny odgarnęła z czoła niesforne rude włosy. — I zapewniam cię, że dołożą wszelkich starań, aby tak zostało! Słyszałam ich rozmowy. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale rewolucja francuska śmiertelnie wystraszyła rodzinę królewską. Powiadają, że tłusty, rozwiązyły księżę Walii cieszy się tak złą sławą wśród ludzi ze względu na swe wybryki i kochanki, że nie wychyla głowy z powozu, kiedy przejeżdża przez miasto! Władze Kościoła są przerażone! Pisałaś mi z Francji o zbezczeszczonych kościołach i zwykłych ludziach przemierzających korytarze Luwru, oglądających dzieła sztuki od dawien dawna przeznaczone jedynie dla oczu uprzywilejowanych. Cóż, moim zdaniem Kościół Anglii drży, by tutaj nie wydarzyło się to samo. Wyobraź sobie, że zwykli ludzie chodzą swobodnie po Windsorze, krytykując wystrój wnętrz i obrazy. Lub katedrę Westminster Abbey z powybijanymi szybami — o zgrozo! — Rose znów nie mogła powstrzymać śmiechu. Fanny mówiła dalej z ogniem w oczach. — Gdyby wybuchło powstanie przeciwko władzy królewskiej, Kościół również padłby ofiarą rewolucji! Wszyscy oni się tego boją: wysoko postawieni biskupi, młodzi wikariusze, ewangelicy, misjonarze, pastory, wszyscy. Boją się utraty wpływów i władzy! Biedni ludzie, którzy naprawdę potrzebują wsparcia duchowego, w ogóle ich nie obchodzą. — Usiadła z powrotem na sofie obok Rose.

— Rany boskie! — Rose popatrzyła na kuzynkę z mieszaniną podziwu i konsternacji. — Sama zamieniłaś się w dziką rewolucjonistkę! — Nagle przyszła jej do głowy okropna myśl.

— To wszystko... nie zachwiało chyba twoją wiarą w Boga?

Fanny nie patrzyła jej w oczy.

— W dzieciństwie rozmowy z Bogiem stanowiły część mojego życia. Horacy twierdzi, że jestem głupia. Wcale nie rozmawiałam z Bogiem. — Westchnęła. — Oczywiście w pewnym sensie ma rację. Te rozmowy były dziecinne, w istocie rozmawiałam sama ze sobą. — Wbiła wzrok w dywan. — Kwakierka, która przemawia na rynku, mówi, że trzeba tylko umieć słuchać, a Bóg przemówi. Czekałam i czekałam. Nikt nie przemówił. —

Brzmiało to tak smutno, że Rose miała ochotę przytulić Fanny, jednak coś w twarzy kuzynki ją powstrzymało. — Próbuję ci wyjaśnić, że po sześciu latach spędzonych wśród sług bożych, widząc biedaków drżących przed ogniem piekielnym w ostatnich chwilach życia, nie wierzę w ani jedno słowo!

— Fanny! — Rose nie mogłaby być bardziej wstrząśnięta. Wiara Fanny stanowiła nieodłączną część jej osobowości.

— Niemniej! — Fanny najwyraźniej pragnęła zakończyć temat. — Niemniej... — Głos zadrżał jej lekko. — Jeśli On istnieje, przydałaby mi się rada!

Służący zaczęli schodzić na dół.

— Fanny — odezwała się Rose. — Masz dzieci. A Horacy cię kocha, jestem przekonana. Z pewnością ma wiele wad. Byłyśmy szalone, wyobrażając sobie mężczyzn jako doskonałe istoty! — Ani jednym słowem czy gestem nie zdradziła, że kiedyś śmiała się, skrywając twarz za rękawiczką, z przystojnego nadętego kleryka o pięknym głosie. — Ma przecież również jakieś zalety. Poza wyglądem.

Fanny milczała. Drozd śpiewał słodko na parapecie.

— Bardzo go lubię, kiedy pracuje w ogrodzie — wyznała Fanny i kuzynki znienacka po raz kolejny wybuchły perlistym śmiechem. Ulgi, smutku lub radości, że mogą ze sobą rozmawiać po tak długim czasie. — Byłby wybitnym ogrodnikiem. Znacznie lepszym niż duchownym. Spędza wiele czasu na dworze. Czasem słyszę, jak przemawia do kwiatów w łagodny, przyjazny sposób, w jaki nigdy nie rozmawia z ludźmi. Rzeczywiście jest przystojny — uśmiechnęła się smutno. — Wujek biskup, ten od paznokci, to despota. Horacy naśladuje jego zachowanie, podobnie jak nasz syn naśladuje zachowanie papy. — Fanny westchnęła. — Być może ludzka miłość jest równie ulotna i nieosiągalna jak miłość Boga. Istnieje jedynie w książkach. Moi rodzice nigdy nie rozmawiali o miłości, choć nie mam wątpliwości, że kochają siebie nawzajem i nas, swoje dzieci. Nie mówiło się o

tym po prostu. Nawet nie jestem pewna, co znaczy słowo „miłość”. A ty, Rose?

Rose próbowała ubrać swoje myśli w odpowiednie słowa.

— Żywiłam głębokie uczucie do Harry'ego, z całą pewnością — powiedziała powoli. Wciągnęła powietrze. — Fizyczny pociąg — dodała z przekonaniem. Rumieniec rozlał się na jej twarzy na widok przerażonej mi-ny kuzynki. Postanowiła jednak dokończyć. — Przywykłam nazywać to uczucie miłością. Sądziłam, że to właściwe słowo. — Pokręciła głową. — Pamiętasz? Mattie radziła nam, abyśmy wyszły za ludzi, których lubimy, nie tylko kochamy.

— To mądra kobieta — przyznała z goryczą Fanny.

Nagle Rose przypomniała sobie wizytę George'a i jego wstrętne słowa, twarz poczerwieniała jej jeszcze bardziej.

— Jakżebym chciała wiedzieć, czym jest miłość! — zawołała ze złością. Roześmiała się gorzko. — Mój szwagier twierdzi, że moje namiętne uczucie do Harry'ego to choroba u kobiety! Może się nie myli, skoro i ty patrzysz na mnie wstrząśnięta! — Po raz kolejny usłyszała pełne nienawiści słowa wyszeptane do jej ucha. — Uznajmy mnie wobec tego za chorą! — I ona również, jak wcześniej Fanny, zaczęła chodzić nerwowo po pokoju.

— Rose — zaczęła cicho Fanny. — Przestań. — Rose zatrzymała się i wyjrzała przez okno. — Wiem, jak bardzo Harry cię skrzywdził. Wiem, jakim potworem jest twój szwagier. Nazywałaś go gadem, węzem. Spójrz na to w inny sposób. — Fanny przerwała, przygryzła wargi. Ucichła jeszcze bardziej, Rose musiała podejść bliżej, żeby słyszeć, co mówi. — Rose, jeżeli dobrze rozumiem naturę uczuć, o jakich mówisz, Harry nauczył cię czegoś, co, jak sądzę, jest bardzo ważne w małżeństwie. Horacy nigdy mnie tego nie nauczył.

Mówiły zaszyfrowanym językiem, który obie dobrze rozumiały. Rose usiadła.

— Nigdy? — szepnęła.

— Nigdy.

Pokojówka otworzyła drzwi, ziewając. Omal nie upuściła wiadra na popiół na widok dwóch kobiet.

— Przepraszam — bąknęła.

Przez cały dzień przewożono rzeczy z Wimpole Street na South Molton Street. Tragarze krzyczeli, dzbanki się tłukły. Jane Harbottom, która zazwyczaj uciekała ile sił w nóżkach od krzyczących mężczyzn, rozumiała, że panowie od przeprowadzki wcale się nie złością, krzyczeli ze śmiechem. Bawiła się jak nigdy w życiu, zwłaszcza kiedy powóz utknął na rogu South Molton Street i koń zerwał się z uprzęży. Wszedł w kapustę. Handlarka go uderzyła, a on ją ugryzł.

Służący zostali z wielką ulgą odprawieni, należeli do rodziny Fallonów. Rose, Fanny, Mattie i Jane ostrożnie wniosły stary zegar z Genui do powozu przysłanego po raz ostatni przez Fallonów. Mattie na szczęście nie powiedziała na głos, co o tym myśli. Rose nie oglądała się za siebie, ale o nadpalonym łóżku myślała z wielką uciechą. Zostawiła po sobie ślad. Zegar wybił po włosku szesnastą, kiedy wjeżdżali na Oxford Street.

Panna Konstancja Proud przygotowała dużo herbaty. Poczęstowała je świeżo upieczonym chlebem oraz zimnymi kotletami jagnięcymi. Fanny i Rose wymieniły zazdrosne spojrzenia, widząc stosy książek.

— Ona jest chyba wolnomyślicielką! — szepnęła z zachwytem Fanny.

— Oczywiście — odparła Rose.

Fanny i Jane dostały pokój na samej górze, z oknami wychodzącymi na ulicę. Blade ze zmęczenia Fanny i Rose położyły małą spać. Otulone szalami siedziały przy niej, mówiąc cicho, póki nie zasnęła, opowiadając o ka-

puście. Patrzyły przez okno na sierp księżyca i wieżę kościoła na Hannover Square.

— Nigdy? — spytała jeszcze raz Rose, jakby nie przerywały rozmowy.

— Nigdy — potwierdziła Fanny.

Słowiki już dawno poszły spać, ale miasto wciąż tętniło życiem i oddychało. Powozy przejeżdżały, ludzie krzyczeli, rynsztoki cuchnęły jak dawniej.

— Gdybym nie dowiedziała się od ciebie, a także z „Aristotle's Master— Piece”, nie miałabym pojęcia, że coś takiego istnieje. — Obie kobiety uśmiechnęły się na wspomnienie zakazanej lektury.

— Nauczył mnie tej odmiany miłości — przyznała niechętnie Rose. — Oczywiście wydawała się cudowna i dodawała barw naszemu życiu, lecz... — Zająknęła się. — Harry znajdował taką miłość wszędzie.

— Rose — powiedziała Fanny. — Horacy brał mnie każdej nocy naszego wspólnego życia. Każdej nocy poza kilkoma po urodzeniu dzieci. Zawsze jest przy mnie. Z początku byłam zadowolona, że mogę się połączyć z mężczyzną, który zmienił moje życie i zdawał się czerpać tyle przyjemności z tego, co wydawało się kochaniem. Dziś... — Umilkła na chwilę. — Dziś, gdy słyszę znajome słowa: „Chodź, Fanny”, moje serce się zamyka. Nienawidzę nocy.

Rose zaniemówiła, wpatrywała się przerażona w kuzynkę. Nie przypominała w niczym dziewczyny mówiącej z zapalem o Kościele i rewolucji nie tak dawno temu. Nagle wydała się drobna i krucha.

— Podziękuj Harry'emu, bo taka troska to jest moim zdaniem pewna odmiana miłości. — Fanny zapatrzyła się w księżyc. Zapadła długa cisza.

— Dziękuję ci, kochana Fanny — odezwała się Rose. Pocałowała kuzynkę na dobranoc i poszła do swojego nowego pokoju. Stało w nim już

ulubione mahoniowe biurko po mamie. Ciągłość. Mimo wyczerpania Rose długo nie mogła zasnąć.

— Wszystko w porządku! — krzykali strażnicy nocni, obwieszczając godziny w ciemnościach.

TLR

Następnego dnia wczesnym rankiem na South Molton Street dostarczono list. Zaproszenie dla Rose na skromną proszoną kolację mającą się odbyć wieczorem tego samego dnia w rezydencji przy Berkeley Square. Ann pisała tajemniczo, iż jeden z gości zażyczył sobie obecności Rose.

Nie kryła swego oburzenia i wściekłości.

— Nigdy! Nigdy, przenigdy! Nie minął dzień, odkąd się wyprowadziłam z Wimpole Street, a oni już mnie ścigają. Po co? Nie mają ochoty mnie widzieć. Nie bardziej niż ja ich. — Miała rację. George Fallon po raz kolejny musiał wesprzeć się osobą Rose, by osiągnąć swój cel. — Wykluczone! Stanowczo odmawiam rozmowy z człowiekiem, który mnie śmiertelnie obraził. Nigdy mu nie wybaczę. Nie zniosę przebywania z nim w jednym pomieszczeniu. — Kolory wystąpiły na policzki Rose na wspomnienie nienawistnych słów szwagra. — Nie będę przyglądać się nieszczęściu Dolly! Nie pójdę!

— To chyba ważne, byś się z nią spotkała — zwróciła jej łagodnie uwagę Fanny. — Sprawdziła, czy potrzebuje twojej pomocy. A może wcale nie jest nieszczęśliwa.

— Może.

Pomyślała o tym, co jej powiedział George... Niewinna mała Dolly spędziła zadziwiająco dużo czasu na studiowaniu książek ojca. Wiele z nich poruszało niecodzienne sprawy.

— Wolę sobie nie wyobrażać, co on z nią zrobił. — Jej oczy ciskały błyskawice. — Czasem podejrzewam, że ten człowiek jest diabłem wcielonym! Wobec mnie zachował się niewybaczalnie. Mówił potworne rzeczy!

— Rose! — Spojrzała ze zdziwieniem w roześmiane oczy Fanny. — Zrozum, jak bardzo twoje problemy różnią się od mojej codzienności w Wentwater! Z pasją potrafię mówić o sekretach Kościoła Anglii, lecz życie na plebanii nie obfituje w fascynujące intrygi towarzyskie. Z przyjemnością doświadczyłabym choć raz podobnych emocji, choćby jako widz!

Rose milczała, po raz kolejny wracając pamięcią do rozmowy z George'em. Była purpurowa na twarzy.

— Nie chcę, żeby pomyślał, iż się go lękam — powiedziała cicho, jakby do siebie. — Nie pozwolę się zastraszyć podłemu człowiekowi. — Zwróciła się do Fanny: — Groził mi zamknięciem w zakładzie dla obłąkanych w Bedlam, wyobrażasz sobie?! — Pokręciła głową. — Znam go dobrze, musiał sobie przygotować linię obrony po tym, co widziałam w Paryżu. Wygląda na to, że jesteśmy kwita. — Zrobiła dziwny grymas. — Dobrze więc, pójdziemy razem, jeżeli masz ochotę. — Fanny była zachwycona. — Tak się cieszę, że tu jesteś! — zawołała żywo Rose.

Spędziły nieco czasu na planowaniu, w co się ubiorą.

— Jeżeli idziemy, musimy zrobić wejście w wielkim stylu! — nalegała Rose.

Rozmawiały też o pannie Konstancji Proud.

— Pamiętam ją z dzieciństwa — mówiła Rose. — Była pisarką. Miałam wrażenie, że pożera książki. Z taką pasją je traktowała!

— W swojej czarnej sukni i białym czepku wygląda bardzo nobliwie, ale czy zwróciłaś uwagę na te książki? Wielu niezbyt szanowanych autorów! Thomas Paine, młodzi poeci, dwa egzemplarze „Ballad lirycznych” pana Coleridge'a i pana Wordswortha, wszystkie nowe powieści, filozofia, dzieła polityczne, Mary Wollstonecraft! Wiele osób — w tym Horacy — uznają podobne lektury za szokujące.

— Miałby wiele powodów do potępienia, ponieważ panna Proud osobiście zna pana Coleridge'a i pana Paine'a. Poza tym zwiedziła najdalsze zakątki świata, o jakich nam się nie śniło!

— Myślisz, że ma bogatą przeszłość?!

— Przyjaciele papy powiedzieli mi, że jej narzeczony zmarł. Nie wiem, czy zginął na morzu. „Smutna historia”, to wszystko, co chcieli wyjawiać. Zaprosimy ją na podwieczorek przed wyjściem, by podziękować za uprzejmość.

Panna Proud w swym wykrochmalonym czepku starej panny wdrapała się po schodach, niosąc ciasteczka na deser. Bawiła dwie młode kobiety i dziewczynkę opowieściami o morskich przygodach.

— Pisała pani książki?

— Raczej broszury. O podróżach.

— Zazdroszczę pani — westchnęła z podziwem Fanny. — Szczególnie odwagi! Miała pani fantastycznie burzliwe życie.

— Mam nadzieję, że jeszcze się nie skończyło! — roześmiała się panna Proud. — To prawda, że miałam wiele szczęścia. Pod wieloma względami. — Zapadła dziwna cisza zakłócana hałasami za oknem. Żadna z młodych kobiet nie śmiała zadać pytania o narzeczonego. Po chwili wróciły do rozmowy. Głos panny Proud nie zadrżał ani razu, lecz wpatrywała się smutno w herbaciane liście, przesuwając je łyżeczką. Niebawem podziękowała uroczo za poczęstunek i pożegnała się.

— Jak sądzisz, ile może mieć lat? — spytała cicho Rose. Nie potrafiły zgadnąć.

Pojęcie „skromnej kolacji” było obce George'owi Fal— lonowi, szczególnie teraz, kiedy został panem rezydencji na Berkeley Square. Wystrój wnętrza rezydencji sprawiał dziwaczne wrażenie. George przeprowadził cał-

kowity remont, nadając pomieszczeniom pałacowy styl inspirowany siedzibą księcia Walii, Carlton House. Komnaty tonące w złocie i purpurze, draperie mające nadać pomieszczeniom wygląd rzymskiego namiotu, orientalne ornamenty, greckie kolumny i wdowa Gawkroger pomiędzy nimi. W głównym holu, tuż naprzeciw wejścia, tak że nie sposób było go przeoczyć, wisiał olbrzymich rozmiarów obraz przedstawiający Harry'ego.

Rose stanęła przed nim w osłupieniu. Od razu rozpoznała powiększoną i „upiększoną” kopię portretu, który przypaliła papierosem. W istocie był to Harry. Przedstawiony jako półbóg. Z oddali zbliżały się ku niemu skrzydlate powozy (by go zabrać w lepsze miejsce?). Błękit munduru i złoto kapitańskich dystynkcji raziło oczy. Twarz Harry'ego promieniała. Patrzył wprost na swe chwalebne przeznaczenie z takim entuzjazmem, jakby miał przed oczami Podniebny Klub lub karciany stół. Pod obrazem leżały wyeksponowane medale zdobyte podczas bitwy nad Nilem. Rose zauważyła, że było ich więcej niż wcześniej.

Wśród panów rozległ się szmer aprobaty, kiedy zaanonsowano przybycie dwóch młodych dam z South Molton Street. Wyglądały niezwykle świeżo, całe w bieli. Zainspirowane opowieściami o ciotce noszącej dzbanuszki z wodą w peruce, wpięły kwiaty we włosy. Był to cios dla George'a i jego matki, którzy potrzebowali zrozpaczonej wdowy w czerni, by dopełniła atmosfery obrazu. Patrzyli z potępieniem na roześmiane kobiety w bieli z kwiatami we włosach.

Rose dygnęła raz w stronę gospodarza i więcej nie zwracała na niego uwagi. W domu panował tłok. Rozstawiono karciane stoliki, lokaje się krzątali, goście przechadzali się wśród powiewających draperii. Członkowie Podniebnego Klubu wirowali w tańcu z młodymi damami, czasem ciała splotały się jakby przypadkiem do wtóru entuzjastycznych wybuchów śmiechu. Nagle zjawiała się gospodyni, piętnastoletnia pani wicehrabina Gawkroger, Dolly. Rose wpatrywała się w nią z niedowierzaniem. Dziewczyna miała na sobie purpurowo — — białą suknię z rozporkami po bokach (jakie widziała w ogrodach Tuileries), odkrytymi plecami (jak podpa-

trzyła na balu w Paryżu) i dużym dekoltem (bo tak chciała). Wicehrabina Gawkroger w istocie prezentowała najnowsze trendy paryskiej mody. Skinęła głową zza wachlarza w stronę Rose i Fanny, po czym szybko się odwróciła i zniknęła między gośćmi. Fanny uznała, że trudno sobie wyobrazić kogoś dalszego od roli ofiary. Rose pokręciła głową na tę przemianę.

Ann przywitała Rose i Fanny niezwykle zimno, podobnie jak wdowa Gawkroger, która jednak nie omieszkała zanudzać ich potokiem słów. Rose od razu zauważyła egipski pierścień na jej palcu, część francuskiej kolekcji. Jak można być tak bezczelnym! Ojciec Dolly nie pojawił się na przyjęciu. Księżę Hawksfield podszedł i skłonił się przed kuzynkami. Nie zdradził, co sądzi na temat nowego wystroju, jednak na wzmiankę o tym, że ojciec Fanny pracuje dla Kompanii Wschodnioindyjskiej, księżę wypowiedział się na temat ważnej roli handlu. Wdowie Gawkroger tak pospolite słowo nie przeszłoby nawet przez gardło. Wokół rozlegały się coraz głośniejsze śmiechy i swobodniejsze rozmowy, szampan lał się strumieniami. Księżę Hawksfield wypytywał Rose szczegółowo o jej wrażenia z pobytu we Francji i nowe lokum. Rose nasunęło się porównanie z jastrzębiem, księżę Hawksfield krążył wokół niej niczym drapieżnik wokół ofiary. Nie żywiła do niego żadnego szacunku, odkąd potraktował Dolly jak przedmiot na sprzedaż. Rose patrzyła na niego zimno, na pytania odpowiadała uprzejmie i zwięźle. Czowała odrazę. Powróciła pamięcią do tekstu o hieroglifach: w przeciwieństwie do pozostałych ptaków, które tego nie potrafią, jastrzębie spadają w linii prostej na swą ofiarę. W zatłoczonym dusznym salonie Rose zadrzała. Stojąca nieopodal Ann, przyszła księżna Torrence, również drżała, modląc się o brandy na uśmierzenie bólu zębów.

William starannie unikał wzroku Rose. Chyba już nigdy na siebie nie spojrzemy, pomyślała. George pozdrawiał gości, obserwował księcia Hawksfield, asystował Dolly, odgrywając rolę męża. Dolly sprawiała niezwykle wrażenie, sprawowała całkowitą kontrolę nad sytuacją. Stała wyprostowana, wydając się jeszcze wyższa od męża niż w rzeczywistości. Włosy miała zaczesane do góry, błyszczące oczy, bawiła się kosztownym naszyjnikiem. Wszystkich traktowała lekceważąco. Rose zauważyła, że

błyszczące oczy raz po raz zerkają w stronę wejścia. Dolly dużo się śmiała i flirtowała bezwstydnie ze starszymi mężczyznami, eksponując dekolt. George obserwował Rose przyglądającą się Dolly.

W pewnej chwili zaanonsowano przybycie pana Pierre'a Montanda.

Rose zaczerwieniła się na wspomnienie paryskich przygód. Dolly pobiegła powitać gościa z okrzykiem radości. Rose uspokoiła rozdygotane serce, przypominając sobie o liście. Przekazywał jedynie wiadomości, to nie jego wina.

Dolly podsunęła dłoń do pocałowania. Traktowała monsieur Montanda jak starego przyjaciela, jakby nigdy nie była o północy w jego gabinecie. Oprowadzała go ze śmiechem po zatłoczonym salonie, opierała się niby przypadkiem na jego ramieniu, próbowała wyminąć Rose i Fanny. Pierre Montand zauważył Rose i natychmiast przystanął.

— Wicehrabina — powiedział.

— Rose nie jest już wicehrabiną! — odparła ze śmiechem Dolly. — Ja nią jestem!

Pierre ujął za rękę uśmiechniętą i spokojną Rose. Patrzył jej w oczy.

— Niezmiernie się cieszę, mogąc pana znów zobaczyć — przywitała się. Na jego twarzy odmalowała się widoczna ulga.

Dolly chwyciła Francuza pod ramię, próbując go odciągnąć. Oparł się uprzejmie, acz stanowczo.

— Zastrzegłem, że zjawię się na przyjęciu, jedynie jeśli spotkam na nim panią — mruknął.

Uśmiechnął się do Fanny, kiedy Rose ich sobie przedstawiła. Dopiero wtedy pozwolił się poprowadzić, z zachowaniem nienagannej uprzejmości, wysokiej młodej damie, która pochylała się ku niemu w swej skapej sukni.

— Wielkie nieba — szepnęła Fanny.

Wokół Pierre'a zebrała się grupka kolekcjonerów antyków. Zadawali mu mnóstwo pytań. Dolly nie opuszczała go ani na krok.

Fanny zbladła na widok ilości potraw, kiedy usiedli wreszcie do stołu. Służba wносиła wciąż nowe dania, ludzie nakładali sobie na talerze ogromne porcje i jedli niezwykle głośno. Milkły konwersacje. Rozlegało się charczenie, płucie, mlaskanie. Dokładano kolejne porcje. Na talerzach piętrzyły się góry jedzenia. Fanny nie chciała sprawiać wrażenia nieuprzejmej, jedząc mniej niż pozostali, nie czuła się jednak na siłach, by temu zapobiec. Przyglądała się współbiesiadnikom. Francuski uczoney słuchał Dolly, obok której został posadzony, nie spuszczać oczu z Rose.

Ann Torrence pochłaniała ogromne ilości wina i obserwowała księcia Hawksfield. Zmroził ją strach. Mimo regularnych wizyt Williama w jej sypialni (które okazały się prawdziwą katorgą, bo mąż cuchnął tak, że musiała odwracać głowę i modlić się o płodność) nie zachodziła w ciążę. Podслуchała, że księżę zaprosił Rose i Fanny do swojego zamku na wsi. Jakie plany ma wobec Rose?, zastanawiała się z przerażeniem. Czemu się nią tak interesuje? Dlaczego William w ogóle nie patrzy na Rose? Czyżby Ann miała zostać zastąpiona? Jak mogła w tak niepewnych czasach usunąć przednie zęby?

Podano deser i odżyły rozmowy. Pierre'a Montanda znów zasypywano pytaniami.

— Starocie z Egiptu wkrótce będą w modzie — oświadczył George, a wiele osób się z nim zgodziło. — Jestem o tym przekonany. Trzeba się pilnie do nich dostać. Jaka jest najprostsza droga? Teraz, kiedy wojna dobiegła końca?

— Monsieur, wody są o wiele bardziej niebezpieczne po wycofaniu się floty. Słyszałem straszne historie o piratach. Niektórzy misjonarze i kupcy wybierają krótszą drogę do Indii przez Egipt, lecz wielu z nich nie dociera na miejsce. Egipt jest pogrążony w chaosie. Każdy, kto decyduje się tam teraz wybrać, naraża życie. Ja osobiście nie podjąłbym się kolejnej prze-

prawy przez pustynię. Straciliśmy wielu ludzi. — Fanny zwróciła uwagę, że Rose przysłuchuje się jak zaczarowana. Czyżby kuzynka znalazła nową miłość?

Dolly położyła dłoń na ramieniu mężczyzny.

— Ależ z pewnością, monsieur Montand — odezwała się dziecinnym głosem — jeśli kogoś stać na najlepszych przewodników...?

— Mogę jedynie powiedzieć, że najlepsi przewodnicy są często najmniej godni zaufania.

— Hieroglify, monsieur Montand — wtrącił się bez wstępów książę Hawksfield. — Jakież postępy po waszej stronie Kanału? My tkwimy w ślepym zaułku.

— Nie ma żadnych postępów, jedynie ciężka praca — powiedział Pierre, rozkładając ręce i wzruszając ramionami. Lakoniczna odpowiedź rozczarowała zebranych. Większość żywiła przekonanie, iż podstępni Francuzi nie chcą wyjawić swych odkryć.

— Proszę powiedzieć — rozległ się z końca stołu donośny głos wdowy Gawkroger — czy te sympatyczne świecidełka, które przywieźliście, będą wkrótce dostępne w sprzedaży? Widzieliśmy je w Paryżu — wyjaśniła podekscytowanym gościom. — Reszta antyków to dość prymitywne kamienie i gruzy, lecz biżuteria i niektóre malowidła zaiste bardzo interesujące.

Przepiękny egipski pierścień błysnął w płomieniach świec. George, William, Dolly i Rose zamarli z przerażenia, nawet Ann sięgająca po brandy zastygła w bezruchu. Pierre Montand rozpoznał własność instytutu.

Wydał krótki okrzyk i jakby zamienił się w słup soli, wpatrzony w klejnot na dłoni wicehrabiny wdowy. Rose wstrzymała oddech. Czy będzie pojedynek? George był głęboko wstrząśnięty reakcją Francuza. Czerwony na twarzy wpatrywał się w dłoń matki. Tymczasem ona domagała się odpowiedzi:

— Czy będzie wyprzedaż?

Pierre przemówił wreszcie spokojnym, chłodnym głosem, patrząc wicehrabinie prosto w oczy:

— Miała pani zaiste wielkie szczęście, że udało się pani zdobyć skarb, jakim jest przywieziony z Egiptu pierścień na pani palcu. Oczywiście jest mi on dobrze znany.

Gwałtownie wstał od stołu. Rose zamknęła oczy ze wstydu. George i księżę Hawksfield wstali również.

— Korzysta pan z naszej gościnności, monsieur — odezwał się cicho księżę ostrzegawczym tonem. — Później przedyskutujemy tę sprawę, jeśli pan pozwoli.

Pierre zastanawiał się przez moment, po czym skinął zimno głową i usiadł. Większość gości nie zrozumiała, co zaszło. W tym wicehrabina.

— W rzeczy samej, mam wielkie szczęście — mówiła niezrażona, widząc zainteresowanie swoim pierścieniem. — Mój syn zbiera antyki. Zna się na nich z pewnością lepiej niż pan, monsieur.

Czując na sobie morderczy wzrok księcia Hawksfield, straciła nieco pewność siebie. Zarządziła odejście dam od stołu.

Rose z trudem powstrzymywała śmiech. Jakże rada była z uwolnienia się od żalosalnej rodziny Fallonów. Nagle w pokoju pełnym rozgadanych kobiet jej wzrok padł na Dolly, pani domu o roziskrzonych oczach. Stała w kącie pomieszczenia, wzdychając ze znudzeniem. Wachlowała się i czekała na panów. Rose stanęły w oczach łzy, ponieważ zrozumiała, że Dolly jest dla niej stracona. Nie potrafiła jej pomóc. Dziewczynka, która marzyła o rozmowach z matką i opisywała zmyślane romanse, by zabawić brata, przestała istnieć.

Wezwano powozy i dwie młode damy w bieli zaczęły się przygotowywać do wyjścia. Pierre Montand również nie chciał zostać ani chwili dłużej.

Książę spokojnie umówił się z nim na kolejne spotkanie rano. Dolly ostentacyjnie unikała wzroku Rose, Fanny i Pierre'a, kiedy się żegnali.

— Proszę skorzystać z naszego powozu — zaproponowała grzecznie Rose.

Przeprosiła za swoją teściową.

— Sytuacja z pewnością się wyjaśni! — zbagatelizował z galanterią sprawę Pierre. Kobiety uśmiechnęły się z wdzięcznością na tę delikatność, ponieważ jego oburzenie i gniew przy stole były niemal namacalne, a egipski pierścień bezcenny. — Odkryliśmy brak klejnotu, jednak do głowy by mi nie przyszło, by go szukać w Londynie!

— Monsieur Montand — odezwała się Rose, wysiadając z powozu — czy zechciałby pan zjeść z nami jutro podwieczorek? Opowiedziałby pan nam o szczęśliwym rozwiązaniu tej niefortunnej sprawy i więcej o Egipcie.

Przyjął zaproszenie i pożegnał się, całując dłonie obu dam.

Fanny opadła na sofę w salonie z pełnym niedowierzania śmiechem.

— Cóż za nadzwyczajny dom, Rose! Jak mogłaś znieść takie życie? Wszyscy przyglądają się sobie ukradkiem, intrygują... Całe to jedzenie, plucie, wrzaski, kłamstwa, ukryte motywy i cele... Wicehrabina wyszła na pospolitą złodziejkę! Nasze dzieciństwo na Brook Street i Baker Street jawi się w porównaniu z tym wszystkim jak bajka!

Rose objęła się ramionami, również się śmiała. Fanny zwróciła uwagę na roziskrzone oczy kuzynki.

— Wyzwoliłam się!

— Twoja protegowana Dolly nie wyglądała na nieszczęśliwą, wbrew naszym obawom.

Rose posmutniała.

— Znalazła sposób na poradzenie sobie z sytuacją. Dasz wiarę, że ma dopiero piętnaście lat?! Może jednak da sobie radę. — W jej głosie zabrzmiało powątpiewanie.

— Da sobie radę? Ona rządzi! — wykrzyknęła Fanny. — Cóż za melodramat! Z pewnością zastanowiłabym się dwa razy, zanimbym jej weszła w drogę! — Pokręciła głową, uśmiech nie schodził jej z twarzy. — Wiesz, Rose, odniosłam wrażenie, że powinnaś być ostrożna.

— Co ty mówisz!

— Dolly nie życzy ci dobrze. Poza tym byliście z George'em jak dwa węże gotowe do ataku. Nie odezwaliście się do siebie słowem przez cały wieczór. Naprawdę się nienawidzicie!

— Nie muszę się już nimi przejmować! Ten etap życia mam za sobą!

— Obawy Kościoła są uzasadnione. Przydałaby się rewolucja. Cóż to za świat! Czuję się jak w domu wariatów! Niczym żona prowincjonalnego pastora. — Fanny westchnęła i zaczęła wyjmować kwiaty z włosów. — Którą oczywiście jestem. — Po chwili dodała: — Polubiłam pana Montanda. Wydawał się tobą zainteresowany. Odwzajemniasz jego zainteresowanie? Dlatego zaprosiłaś go na podwieczorek?

— Zaprosiłam go na podwieczorek, bo... — Oczy Rose rozbłysły. — Nie rozumiesz? Pragnę się dowiedzieć jak najwięcej o Egipcie! George planuje podróż. Czemu ja nie miałabym się wybrać?

— Do Egiptu?

— Tak!

— Wjakim celu?

— Odszukać dziecko Harry'ego.

— Rose!

— Fanny, pozwól mi wreszcie powiedzieć to na głos! Nigdy nie będę miała własnych dzieci. Jestem tego boleśnie świadoma. Nie chcę, żeby tęsknota towarzyszyła mi do końca życia! — Roześmiała się, słysząc patos we własnych słowach. — Gdyby udało mi się znaleźć to dziecko, mogłabym mu pomóc. Dowiedziałoby się, kim jest i skąd pochodzi. Sama powiedziałas, że mam za co dziękować Harry'emu. Podziękuję mu w ten sposób.

Na twarzy Fanny malowało się niedowierzanie. Czyżby Rose zebrało się na żarty?

— Kocham cię nad życie i pragnę tylko twojego szczęścia. Zastanów się! Od czego rozpoczniesz poszukiwania w obcym kraju? Znasz prawo, dziecko nie należy do ciebie. Jeśli jakimś cudem uda ci się je odnaleźć, trafi do George'a. Rose, posłuchaj, pomogę ci znaleźć inne dziecko. W Anglii są tysiące dzieci, które żyją w opłakanych warunkach, bez opieki.

— Nie.

— Ależ Rose! Egipt? Nic o nim nie wiemy!

— Pierre wie! Poza tym Mattie twierdzi, że Korneliusz Brown tam mieszka. George nie może się dowiedzieć. Będę go unikać, nigdy więcej się nie spotkamy. Zawsze marzyłam o podróży do Egiptu, nikt nie wie o tym lepiej od ciebie, Fanny! — Fanny niechętnie skinęła głową. Ona także wiele razy słuchała urzeczona opowieści o starym Arabie. — Spytajmy o zdanie pana Montanda. Tylko o to cię proszę.

— Dobrze — powiedziała powoli Fanny.

Nagle rozpaczliwie zapragnęła zobaczyć córeczkę. Upewnić się, że istnieje. Jej własna mała córeczka, za którą oddałaby życie. Zapragnęła pojechać do Wentwater i przytulić synka. Uświadomiła sobie własne szczęście, a jednocześnie poczuła ogromne współczucie dla kuzynki. Zrozumiała jej marzenia.

— Oczywiście, że wysłuchamy, co ma do powiedzenia pan Montand — powiedziała, wstając. — Ale najpierw muszę spotkać się z prawnikiem pa-

py. Potem przyjdzie czas na zaplanowanie powrotu do Wentwater. — Po-
całowała kuzynkę na dobranoc. — Cieszę się, że przyjechałam.

— Fanny... — Rose patrzyła na Fanny z miłością. — Wiele rozmyśla-
łam o swoim życiu z Harrym oraz o tym, co mówiłaś o sobie i Horacym.

Fanny czekała na dalsze słowa ze zwiędłymi kwiatami w dłoniach. Rude
włosy okalały jej twarz niczym aureola.

— Miałam w sobie mnóstwo złości, która nigdy całkiem mnie nie opu-
ści. Jednak po naszej rozmowie kamień spadł mi z serca. Byłam z Harrym
szczęśliwa przez jakiś czas. Kochałam go, cokolwiek to znaczy! Wyrzuci-
łam z serca dobre wspomnienia, zostawiając tylko te najstraszniejsze. —
Białe peonie łatwo dały się wyjąć z krótkiej fryzury Rose. — Nie rozumia-
łam, ile zawdzięczam Harry'emu, byłam nieszczęśliwa. Cokolwiek się wy-
darzyło, Fanny, to nieopisana ulga pozbyć się choć części gniewu. Twoja
szczerłość pomogła mi dużo zrozumieć.

Fanny uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Cieszę się. Mogłam ci jednak uświadomić pewne rzeczy, nie wyja-
wiając szczegółów z własnego życia. Straciłam rachubę, ile kobiet z Wen-
twater pytało mnie o radę, jak uniknąć obowiązków małżeńskich.

— Co im mówisz?

— Co mogę im powiedzieć? Jestem żoną pastora. Doradzam im modli-
twę. — Roześmiała się cynicznie. — Sama się modlę. Natomiast one cze-
goś mnie nauczyły. Nie zastanawiałaś się, czemu mam tylko dwoje dzieci?

— Zanim tu przyjechałaś, zakładałam, że tak postanowiliście z Hora-
cym — wyjąkała Rose. — Ale mówiłaś...

— W istocie — przyznała gorzko Fanny. — Poznałam sposób z gąbką
nasączoną octem. Horacy nie zauważa różnicy. — Rose wpatrywała się w
kuzynkę rozszerzonymi źrenicami. — Nie możesz wiedzieć, jak to jest
drzeć przed pójściem do łóżka. Podziękuj Harry'emu.

Fanny zabrała świecę i poszła do pokoju na górze, gdzie jej ukochana córeczka śniła o straganach na kółkach w niebie, gdzie Bóg pachniał lawendą i strasznie krzyczał.

Fanny wróciła od adwokata, umierając z chęci podzielenia się niewiarygodnymi, nadzwyczajnymi wiadomościami. Zastała Rose i Jane w gorącej kuchni. Mattie usiłowała (niezbyt wprawnie) upiec ciasto dla monsieur Montanda. Nikt nie zwrócił uwagi na zarumienione policzki Fanny. Wszystkie były czerwone, a kuchnia zadymiona.

— Spójrz, mamó! Spójrz! — wołała umorusana mąką Jane. — Zjemy ciasto, jak tylko się upiecze! Patrz, piecze się! Piecze się?

— Spójrz, Fanny! Spójrz! — wołała Rose. — Od tak dawna nie miałam mąki na rękach!

Mattie wciąż nie opanowała zasad działania pieca, jej twarz spływała potem. Fanny uznała, że wieści muszą poczekać. Ruszyła na pomoc. Pierre Montand został wpuszczony przez samą gospodynię. Minął rzędy nierozpakowanych pudeł i mebli czekających na znalezienie dla nich właściwego miejsca. Wszedł do niezwykle zadymionej kuchni wypełnionej wonią spalenizny. Trzy kobiety i jedna mała dziewczynka wpatrywały się z niejakim niedowierzaniem w bardzo przypalone ciasto śliwkowe. Panna Proud — w okularach i z książkami pod pachą, zupełnie nieświadoma chaosu wokół — upewniła się przyjaźnie, że jej dom nie płonie, po czym poszła spokojnie do swoich zajęć, jakby takie rzeczy działy się codziennie. Mattie wygoniła wszystkich na spacer.

— Co z tego, że jest wietrznie? Świeże powietrze zawsze dobrze robi. Można wrócić dopiero za godzinę! — zawołała. — Podwieczorek będzie dopiero za godzinę!

Włożyły kapelusze i wyszli we czwórkę na South Molton Street.

— Proszę wybaczyć, monsieur Montand! — powiedziała Rose. — Nasze wysiłki spełzły na niczym!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Rose, Fanny, Pierre i Jane minęli Bond Street. Spacerowali po żwirowych ścieżkach pod drzewami na Hanover Square. Kobiety miały nadzieję, że wiatr pomoże im pozbyć się zapachu spalenizny z włosów i ubrań. Pożółkłe liście wirowały w powietrzu. Mijali wielu spacerowiczów. Fanny i Rose popatrzyły na siebie z uśmiechem, mianowicie kolejną grupkę poważnych młodych dam. Przypominały sobie dni, kiedy same spacerowały z godnością, rozglądając się za dżentelmenami. Monsieur Montand znalazł w kieszeni płaszcza cukierka i podał go zdumionej Jane, która podziękowała mu nieśmiałym uśmiechem.

— Możemy spytać, co zaszło na Berkeley Street dziś rano? — chciała wiedzieć Rose. — Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie wytłumaczenie dla wicehrabiny znaleźli George i księżę Hawksfield!

Pierre zaśmiał się.

— Księżę Hawksfield nie uznaje tłumaczeń. Odzyskałem pierścień, chwała Bogu! Pozostaje pod opieką ambasadora Francji na Portman Square do czasu mojego wyjazdu. Poranek zaiste obfitował w interesujące wrażenia, ponieważ byłem świadkiem zastraszania wicehrabiny. Sądzę, że to raczej ona przywykła do traktowania w ten sposób ludzi! Księżę Hawksfield, rozumiejąc zasady dyplomacji międzynarodowej, naciskał, by przeprosiła mnie za swe „roztargnienie”. Widziałem, że słowa stają jej w gardle. Po przeprosinach jak gdyby nigdy nic podano herbatę. Wtedy mademoiselle Dolly dostała ataku hysterii, gdyż mąż nie zgodził się na jej podróż do Egiptu. Popieram jego stanowisko. To zbyt wyczerpująca i niebezpieczna wyprawa dla kobiety.

— Chętnie bym się wybrała, gdybym mogła — odparła buntowniczo Rose.

— Ależ, madame Rose — jego oczy rzuciły rozbawione iskierki — czy też może powinienem mówić do pani Rosette, skoro tak pani została ochrzczona. To francuska wersja nazwy miasteczka. — Na policzki Rose wystąpił lekki rumieniec. Skinęła głową. — Wczoraj mówiłem o niebez-

pieczeństwach. Możemy sobie spacerować po eleganckim angielskim placu i rozmawiać o podróży jako o odległym marzeniu. Nawet dla wicehrabiego i jego szwagra nie będzie to prosta wyprawa. Pani Dolly naraziłaby się na ogromne ryzyko. Egipt nie jest miejscem przyjaznym kobietom.

— Nie wyruszają natychmiast?

— Być może nie wyjdą poza etap planowania. Trudno powiedzieć, znając wicehrabiego.

— Czy Europejki podróżują do Egiptu?

— Zony podróżników, kupców, ekscentryczki.

— Usiądźmy, proszę — zawołała Jane, wskazując metalową ławkę i trójka dorosłych spełniła jej prośbę, nie przerywając rozmowy. Rose dopytywała się ciekawie o tłumaczenie hieroglifów. Jane stukała obcasami bucików o metalowe nogi ławki, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Kiedy będę mogła wyjawić swoje nowiny?, zastanawiała się niecierpliwie Fanny.

Pierre westchnął ciężko.

— Tkwimy w martwym punkcie. Potrzebujemy więcej wskazówek niż la pierre de Rosette, który ma wiele wad. Brakuje symboli na górze. Chcielibyśmy odnaleźć resztę kamienia. Nasi lingwiści są zdania, że język koptyjski najprawdopodobniej wywodzi się z pradawnego języka Egipcjan, jest naszą największą szansą, lecz i on wydaje się zbyt luźno powiązany z oryginalnymi hieroglifami.

— Koptowie są potomkami pierwszych egipskich chrześcijan — powiedziała Fanny.

— Zgadza się, madame. Greccy najeźdźcy określali tym mianem wszystkich Egipcjan. Język koptyjski jest już martwym językiem. Kiedyś mówiono nim w całym Egipcie, dziś używa się go jedynie w koptyjskich kościołach. Na co dzień dominuje arabski. Co gorsza w formie pisanej używano greckiego alfabetu!

— A mój pomysł zwrócenia uwagi na powtarzające się imię Ptolemeusza? — spytała nieśmiało Rose.

— Tak, oczywiście. Nazwy i imiona są cenną wskazówką. Lingwiści odkryli, że królewskie imiona otaczają specjalne znaki. Oczywiście mamy wiele tekstów hieroglificznych, lecz tylko jeden z greckim tłumaczeniem.

— Dużo myślałam — wyznała Rose. — Doszłam do wniosku, że zaproszenie kogoś na bal lub zawiadomienie o przyjeździe zajmowałoby zbyt wiele czasu, gdyby chciało się je wyryć na kamieniu. — Roześmieli się. — Musiał istnieć szybszy, prostszy sposób, jakiś rodzaj atramentu. Coś w rodzaju brudnopisów. Jak pan mówił w Paryżu, niewykluczone, że tę funkcję pełnił język tekstu wyrytego pośrodku.

— Z pewnością istnieje powiązanie, choć nie jest ono oczywiste. — Pierre zmarszczył czoło.

— A może — rozmarzyła się Rose — dowiemy się więcej ciekawych rzeczy po odkodowaniu środkowego tekstu. — Westchnęła tęsknie. — Papiirusy, które mi pan pokazywał, mogą być pełne plotek, romantycznych historii, opisów uczuć.

— Zgoda — przyznał Pierre. — Jednak mnie bardziej interesuje historia znalezionych przedmiotów. Wiedza o tych znaleziskach uchyli nam drzwi do starożytnego Egiptu! W Commission prowadzimy niekończące się spekulacje, lecz tak naprawdę niewiele wiemy. Za to na świecie jest mnóstwo szaleńców wygłaszających rozmaite teorie. Ostatnio czytałem przemyslenia pewnego szwedzkiego uczonego. Utrzymuje on w swym dziele, że wystarczy przełożyć Psalmy Dawida na język chiński i zapisać je za pomocą pradawnych znaków! Jakże wspaniale byłoby opublikować „Description de l’Egypte” z pełnym opisem wszystkich naszych skarbów!

— Kiedy pierwszy tom będzie gotów do wydania?

— Liczyliśmy, że stanie się to bardzo szybko, jednak mamy zbyt wiele do zrobienia. Dokładne kopiowanie, opisy, przypisy... Bez znajomości pi-

sma wiemy naprawdę niewiele. Pracujemy tak szybko, jak potrafimy, ale to skomplikowane przedsięwzięcie. — Pokręcił głową i dodał, jakby do siebie: — Ciekaw jestem, czy współcześni Egipcjanie odkodowali hieroglify przed najazdem muzułmanów? Mieli o wiele lepszy dostęp do źródeł. Może rozwiązanie zostało w Egipcie, niedostępne dla zachodnich uczonych?

— Czy zechciałby pan zabrać mnie na krótki spacer — poprosiła gościa z Francji mała Jane, której cierpliwość uległa wyczerpaniu.

— Jane! — Fanny zganiła córkę ze zdumieniem. — Nie prze— lywaj panu Montandowi. Wiesz, że nie wolno. — Wpatrywała się w dziecko skonsternowana. — Proszę wybaczyć, panie Montand. Moja córka jest zwykle bardzo nieśmiała. — Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. — Mogę z wielką pewnością stwierdzić, że pierwszy raz poprosiła dżentelmena o towarzystwo!

— W takim razie z przyjemnością przyjmę zaproszenie.

Pierre wstał, skłonił się Jane i wziął ją za rączkę. Ruszyli

dookoła placu. Rose i Fanny przyglądały im się z ławki. Montand tłumaczył coś Jane, wskazując na chmury, dziewczynka słuchała z zapartym tchem. Fanny natychmiast skorzystała z okazji.

— Posłuchaj, Rose, posłuchaj! Już myślałam, że się nie doczekam, żeby ci powiedzieć! Napisałam już do Horacego. Muszę z nim porozmawiać jak najprędzej. Jutro wracam do Wentwater.

— O nie!

Fanny roześmiała się, widząc przerażenie i rozczarowanie na twarzy kuzynki.

— Czekałam na odpowiednią chwilę! Nie spytasz nawet, o co chodzi? Cóż to za ważne sprawy skłaniają mnie do tak nagłego wyjazdu i dlaczego dostałam pozwolenie na odwiedzenie Londynu po raz pierwszy od dnia ślubu?

— Ależ oczywiście, Fanny... Och, wszystko przez spaloną kuchnię, pierścień i hieroglify. Mów! O co chodzi?

— Papa zostawił mi u adwokata ogromną sumę pieniędzy. Chce, żebyśmy odwiedzili Indie!

— Co takiego? Wy wszyscy? Dzieci? Horacy?

— Wszyscy. On i mama nie mogą przyjechać do domu. Mówi, że interesy idą świetnie. Strasznie za nami tęsknią. Och, Rose, nie widzieliśmy się prawie sześć lat. Pragną poznać wnuki. Ojciec proponuje, żebyśmy wszyscy przyjechali na rok. Dzieci poznają kuzynów. Richard jest bardzo zajęty. Służy pod dowództwem lorda Wellesleya w brytyjskiej flocie stacjonującej w Indiach. Jego żona z dziećmi mieszkają u rodziców. Papa przekonuje, że nasze dzieci tylko na tym skorzystają, poznają świat, będą bezpieczne i zostanie im zapewniona wspaniała opieka. Dla Horacego natomiast znajdzie się mnóstwo pogan do nawracania!

— Czy on się zgodzi?

Fanny owinęła się szczerzej szalem. Patrzyła na wielkie rezydencje wokół placu, na wieżę kościoła, w którym Rose brała ślub.

— Nie jestem pewna. Horacy nie wierzy w istnienie świata poza Anglią. Jednak wydaje mi się niemożliwe, by nie skusiła go podobna przygoda! — Fanny usiłowała przekonać samą siebie.

— Chciałabyś popłynąć do Indii?

Fanny chwyciła twarz Rose w obie dłonie.

— Rose, co to za pytanie! Zresztą jeszcze nie skończyłam... Papa jest teraz bogatym człowiekiem, znacznie bogatszym, niż sądziłam. Wie, że zostałam sama i nalega, żebyś też się wybrała. Opłaci twoją podróż.

— Co takiego?

Przybiegli Pierre i Jane. Pierre usiadł i wytarł twarz chusteczką. Zdyszana Jane z chichotem wpadła w ramiona mamy. Fanny roześmiała się, widząc radość swej zwykle poważnej i smutnej córeczki. Podziękowała panu Montandowi, oznajmiając, iż czas na podwieczorek. Nikt nie zauważył iskierek w oczach Rose.

Zdołały zachować wieści dla siebie przez całe jedenaście minut. Wypili herbatę, Jane błyskawicznie zasnęła na sofie między Fanny i Rose, Pierre siedział na fotelu z wysokim oparciem. Na zewnątrz rozlegały się krzyki tragarzy oraz ostrzycieli noży i tętent końskich kopyt. Gwar nigdy nie cichł na South Molton Street. Ożywienie kobiet przypomniało Pierre'owi zachowanie młodszych sióstr, kiedy skrywały wielkie tajemnice zazwyczaj dotyczące mężczyzn. Mimo że umierał z chęci porwania Rose Fallon w ramiona i zabrania gdzieś, gdzie mogliby zostać wreszcie sami, czekał ze stoickim spokojem nietypowym dla niego, przygotowany na złe wieści o rywalu. Kochał drobną zmarszczkę na jej pięknym czole.

Rose sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała eksplodować. Musiała dać upust emocjom.

— Proszę, przedyskutujmy nasze sprawy z panem Mon— tandem, który może nam udzielić wielu cennych wskazówek — zwróciła się do Fanny.

— Dobrze! Czekałam, aż to powiesz.

Roześmiały się podekscytowane.

— Z przyjemnością wysłucham radosnych wieści. Proszę, zwracajcie się do mnie po imieniu, będę zaszczycony.

— Powiedz Pierre'owi, Fanny! — Oczy Rose rzucały wesołe iskry.

Fanny Harbottom, żona pastora parafii w Wentwater, zerknęła na córeczkę, która spała z otwartą buzią. Opowiedziała o spotkaniu z prawnikiem. Ku zdumieniu kobiet Pierre nie podzielał ich entuzjazmu. Popatrzył ponuro.

— To byłaby bardzo długa i obfitująca w niebezpieczeństwa wyprawa — powiedział po chwili. — Indie leżą niezmiernie daleko, a po drodze czyha wiele pułapek. Sądziysz, że twój mąż zgodzi się na podobne przedsięwzięcie?

Na ich twarzach malowała się niepewność. Fanny zastanawiała się nad tym bez przerwy, odkąd wyszła z biura adwokata. Czy reszta świata znacznie obchodzić Horacego, jeśli dostanie szansę zobaczenia jej na własne oczy? Czy uzna podróż za przeszkodę czy pomoc w karierze? Nie potrafiła przewidzieć.

— Nie potrafię tego przewidzieć — powiedziała.

— Posłuchajcie mnie, proszę. Oboje. — Rose nagle zaschło w ustach. Przełknęła ślinę i nerwowo zwilżyła usta. Dokończyła herbatę. Wstała z sofy, po chwili usiadła z powrotem. — Pierre wspomniał wczoraj, że droga do Indii może prowadzić przez Egipt. — Zaczęła mówić bardzo prędko: — Zamierzam wybrać trasę przez Egipt i odszukać córeczkę Harry'ego. Jeżeli jeszcze żyje. — Zerknęła płochliwie na Pierre'a.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Słyszeli głośny oddech Rose.

— A potem? — szepnęła Fanny. — Co potem, kochana Rose?

Rose zmarszczyła niepewnie czoło.

— Nawiedza moje sny. Nieważne, jak rozpaczliwie staram się o niej nie myśleć. Długo się nad tym zastanawiałam. Zdaję sobie sprawę, że nawet jeżeli znajdę dziewczynkę, mogę nie być w stanie jej pomóc. Możliwe, iż nawet zaszkodzę. Najpierw zrobiłabym rozeznanie, czy mnie potrzebuje. — Wypowiedziane na głos słowa nie wydały się przekonujące nawet jej samej. — Boże, nie wiem, zapewne sobie to wmawiam, ale czuję, że muszę ją odnaleźć.

Na dźwięk imienia pracodawcy swego ojca Jane otworzyła oczy. Nie zauważyli tego.

— Rose, znasz prawo — mówiła łagodnie Fanny. — George zostałby opiekunem dziewczynki, gdybyś odnalazła ją żywą, nie ty.

— George nic o niej nie wie.

— Nie miałybyś żadnych praw. Najmniejszych.

— Nigdy się nie dowie! Odcięłam się zupełnie od Fallonów. Nie mam potrzeby go oglądać. Poza tym co George'a obchodzi jakieś dziecko z Egiptu? Zwłaszcza dziewczynka? Jest zajęty płodzeniem własnego potomka.

— Jestem okropnie głodna — odezwała się Jane. — Co to znaczy płodzeniem?

Pierre Montand nie odezwał się ani słowem.

Jane poszła spać, a oni wciąż rozmawiali. Mattie krzątała się, donosząc jedzenie, zabierając talerze, słuchając, dokładając do ognia, podając ulubiony napój Rose i Fanny: czerwone wino z gorącą wodą. Pierre nie wyrażał swojej opinii, tylko udzielał informacji. Do Indii prowadziły dwie drogi. Większość podróżników wybierała dłuższą drogę morską naokoło Przylądka Dobrej Nadziei. Krótsza trasa była znacznie bardziej niebezpieczna: należało przejechać Europę, a następnie dotrzeć statkiem do Aleksandrii. Stamtąd ruszyć przez pustynię lub Nilem do Kairu. Z Kairu znów przez pustynię do Morza Czerwonego i dopiero do Indii.

— Pan Harbottom zapewne zda sobie sprawę z zagrożeń — zwrócił się do Fanny. — Cóż za niedorzeczny pomysł, żeby wybrać drogę przez Egipt! — wybuchnął wreszcie. — Dzieci nie przetrwałyby takiej podróży, wy jej nie przetrwacie. To jakiś absurd! — Zreflektował się po chwili: — Oczywiście nie powinienem się wtrącać, przepraszam.

Zaczął im opowiadać o niezmiernych połaciach piasku, kołyszących się na boki wielbłądach, ruinach, statkach pływających po Nilu, arabskich kupcach, którzy sprzedawali cudzoziemcom swoje bezcenne antyki, oraz

Beduinach, którzy atakowali obcokrajowców lub też częstowali ich daktylami i jajami na twardo.

— Na twardo?

— Ugotowane dłużej zachowują świeżość w upale. — Kobiety wyobraziły sobie mężczyzn w turbanach z rozwianymi połami płaszczy galopujących konno przez żółte piaski pustyni. — Spotykaliśmy wielu nieokrzesanych ludzi, lecz mieliśmy również okazję poznać kilku uczonych z Kairu. Nie wydawali się zainteresowani naszymi znaleziskami, natomiast sprawili na mnie wrażenie niezwykle mądrych. Ciekawie się z nimi rozmawiało.

— A kobiety?

— Cudzoziemcy nie mają kontaktu z Egipcjankami, Rose. Jedynie z tymi uprawiającymi pewien zawód, wybaczą. Gościłem w domu jednego z egipskich naukowców. Byliśmy obsługiwani przez męską służbę. Kobiety przebywały na górze. W pomieszczeniu, które nazywają haramlek. Jest wiele zasad dotyczących kobiet. Nie powinno się nawet pytać gospodarza o zdrowie jego żony. Można co najwyżej powiedzieć „Mam nadzieję, że matka twoich dzieci ma się dobrze”. Czułem na sobie spojrzenia kobiet wyglądających zza krat na górze. Może mi się wydawało.

— Zza krat! — wykrzyknęły w osłupieniu. — Czy one są więzione?

— Jestem pewien, że nie.

Nie rozmawiali o dziecku. Rose pokazała im stare mapy ojca z wyrysowanymi trasami. U ujścia Nilu, w porcie Rosetta, widniała mała wyblakła róża.

— Narysowałam ją, kiedy miałam osiem lat, dowiedziawszy się, skąd pochodzi moje imię. To był mój hieroglif.

Pierre popatrzył na dziecięcy rysunek.

— Język obrazkowy, który miał o tobie przypominać. Zawiera się w nim wszystko, co o tobie wiemy, Fanny i ja, twoje oczy, twarz, włosy...

Powinnam zostawić ich samych, pomyślała Fanny.

— Próbuję powiedzieć — zreflektował się i wrócił do tematu, który go nurtował — że ludzie od lat uważają hieroglify za język obrazkowy pełen tajemnic, magii i marzeń. Myślę, że częściowo słusznie. Taki jest ich początek. Nie jestem językoznawcą, lecz uważam, że prawda jest o wiele bardziej skomplikowana. Niektórych pojęć nie da się przedstawić za pomocą obrazków. Możemy jedynie czekać na wyniki badań lingwistów, co doprowadza mnie do szału! — mówił z pasją graniczącą z obsesją.

Fanny podniosła swój szal.

— Wybaczcie mi — powiedziała. — Jutro wcześniej rano wyjeżdżam na spotkanie z przeznaczeniem! Obiecuj, że o nas nie zapomnisz, Pierre. Cokolwiek zdecydujemy, będziemy potrzebować twojej rady — dodała, zegnając się.

— Zawsze do usług — obiecał z powagą, całując jej dłoń. — Jestem pewien, że pan Harbottom to rozsądny człowiek. Będę czekał na wieści o jego decyzji.

Po wyjściu Fanny wolno zamknął atlas. Przez parę chwil siedzieli w milczeniu. Zdawało się, że w pomieszczeniu rozlega się głośnie echo rozpaczliwego wołania Rose w Paryżu: „Jakie dziecko?!”. Migotały płomienie świec, a uśpiony dom przysłuchiwał się ich milczeniu. Za oknem rozlegało się wołanie ostrzyciela noży, który najwyraźniej uznał, że środek nocy jest świetną porą, by zadbać o sztucce. Przejechał powóz zaprzężony w dwa konie, jakaś kobieta śmiała się głośno.

— Posłuchaj — odezwał się w końcu Pierre.

Rose przestraszyła się, że może utracić jego przyjaźń, najwyraźniej uważał ją za nieroztropną.

— Proszę, Pierre — przerwała mu pospiesznie — obiecaj, że cokolwiek się stanie, mogę liczyć na twoją przyjaźń. Tylko ty możesz nam pomóc w zaplanowaniu wyprawy. To będzie wspaniała przygoda.

— Możesz liczyć na moją przyjaźń, cokolwiek się stanie — obiecał posępnie. — Jednak to nie będzie przygoda, Rosette. Wybacz, ale nie masz pojęcia, na co się porywasz. Możesz łatwo stracić życie, wcale nie przesadzam. Przeklinam dzień, w którym powiedziałem ci o dziecku. Jak mogłem przypuszczać choćby przez chwilę, że ta wiadomość wpłynie na ciebie w podobny sposób?

— Zanim wyruszę, mam zamiar przeczytać wszystkie książki, jakie napisano o Egipcie — powiedziała z uporem.

— Żadna książka nie przygotuje cię na to, co tam zastaniesz. Uważasz odszukanie córki zmarłego męża za swój obowiązek wobec niego?

— Nie. — Rose przygryzła usta. — Nie obowiązek. — Pierre zniemochomiał. — Dziewczyna z Egiptu nie była jedyną. Wiedziałam o tym na długo przed śmiercią Harry'ego. Zdradzał mnie z wieloma kobietami. — Roześmiała się cicho. — Nie dbał o moje uczucia. Zapewniam cię, że nie mam żadnych zobowiązań wobec zmarłego męża.

— Wobec tego czemu? — szepnęła. — Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

Nie potrafiła mu opowiedzieć o zmarłym dziecku, jego maleńkich, pięknych paluszkach... Nie potrafiła wyznać, że kolejnej szansy nie będzie.

— Powiedziałeś mi o niej, a teraz muszę ją znaleźć.

Delikatnie ujął dłoń Rose.

— Byłem niemądry. — Spojrzał na nią z czułością, która ją zaskoczyła. — Ma chérie, nie mogę teraz wziąć urlopu, bardzo ciężko pracujemy nad przygotowaniem książki. Jestem potrzebny. Chciałbym pewnego dnia zabrać cię do Egiptu, skoro to dla ciebie takie ważne. Uchroniłbym cię przed

zagrożeniami, z których nie zdajesz sobie sprawy. — Uśmiechnął się. — Nigdy nie sądziłem, że wypowiem to zdanie po angielsku. Czy zostaniesz moją żoną, Rosette?

Nie mogła cofnąć ręki, choć przytrzymał ją bardzo delikatnie. Zupełnie się nie spodziewała tego pytania. Przywołała w pamięci obraz Harry'ego, na kolanach, nieprzyjmującego odmowy, potem wybuch namiętności, radosny śmiech... Patrzyła na dobrotliwą, pełną miłości twarz całkiem innego mężczyzny.

— Bardzo cię lubię, ale...

— Ale?

Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Ale? — powtórzył.

— Pierre, nic o sobie nawzajem nie wiemy. Spotykamy się tak rzadko...

— Będziemy mieli całe życie, żeby się dowiedzieć więcej! Przeznaczenie zdecydowało, że wiem o twoim życiu bardzo wiele...

— To prawda, jednak...

— Najwyraźniej trafiła mnie strzała Amora. — Uśmiechnął się. — Połączył nas pewien starożytny kamień. Możemy się dowiedzieć o sobie więcej, jeżeli zechcemy.

— Mieszkamy w różnych krajach!

Nie odpowiedział. Trzymał jej dłoń w swojej i czekał.

— Myślę, że... że nie mogę — wyjąkała Rose, spuszczać wzrok.

Fanny, panna Proud i Mattie usłyszały odgłos zatraskiwanych drzwi.

Fanny zeszła na dół w koszuli nocnej, rude włosy sterczały jej wokół twarzy. W innych okolicznościach Rose wybuchnęła śmiechem na jej widok. Siedziała na kanapie, obejmując się ramionami, jakby dla ochrony

przed chłodem, na stoliku leżał zapalony papieros. Fanny usiadła obok kuzynki.

— Czy coś ustaliliście? Co powiedział o Egipcie?

Rose długo nie odpowiadała.

— Zdaję sobie sprawę, że to niezwykle wartościowy człowiek. Bardzo go lubię. Nigdy nie zapomnę, jak szarmancko zachował się wobec Dolly, kiedy odwiedziła go w środku nocy. Bardzo go lubię, ale... On mnie poprosił o rękę.

— To wspaniale, Rose!

— Ale...

— Ale?

Rose milczała.

— Pomoże nam zorganizować podróż?

— Uważa, że jesteśmy niespełna rozumu.

— Mimo to pragnie cię pojąć za żonę!

Fanny czekała cierpliwie na odpowiedź Rose.

— Nie wiem, co myśleć, co czuć, Fanny! Nie spodziewałam się tego zupełnie. Po prostu... Nie sądzę... Och, nie wiem sama! George uważa, że moje miejsce jest w Bedlam, może rzeczywiście! Boję się chyba. Sedno sprawy polega na tym, że... moje serce nie bije szybciej dla Pierre'a. — Rose zarumieniła się i wstała z papierosem w dłoni. — Idę spać.

— Ale... — Zdezorientowana Fanny patrzyła przenikliwie na kuzynkę.

— Mam nadzieję, że po wszystkim, przez co przeszłaś... nie czekasz na kolejnego Harry'ego?

— Co ty mówisz? — Rose poczuła się nieswojo. — Co ty mówisz? — powtórzyła.

W oczach Fanny ujrziała gorycz.

— Ludzie powinni się uczyć na błędach. Są inne kryteria przy wybieraniu męża niż te, które znałyśmy, mając po siedemnaście lat. Serce zabije szybciej w swoim czasie. Pod wpływem głębszego uczucia.

— Co ty mówisz? — Rose wpatrywała się w nią w osłupieniu.

Raptem Fanny również się zawstydziła. Wstała.

— Nie słuchaj mnie. Mam zbyt małe doświadczenie w tych sprawach. Dobranoc, kochanie.

Pocałowała Rose na dobranoc i wróciła na górę.

Rose obudziła się w środku nocy. Usiadła gwałtownie na łóżku. Serce waliło jej jak młotem. Śnił jej się Pierre Montand, patrzył na nią z uśmiechem swymi cudownymi, mądrymi, ciepłymi oczami. Czemu nie miałyby opowiedzieć mu o swoich lękach, o tym, jak bardzo pragnęła dziecka, tego dziecka, straciwszy własne? Pierre zrozumiałby. Był inny niż Harry, z którym nie mogła rozmawiać o swoich uczuciach. Przypomniała sobie zdumiewające słowa Fanny: „Mam nadzieję, że nie czekasz na kolejnego Harry'ego?”. Zdała sobie sprawę, iż w żadnym wypadku nie wyobraża sobie życia z kolejnym Harrym! Zakryła usta dłonią, by nie zapłakać w głos nad własną nieroztropnością. Popełniłam okropny błąd, pomyślała. Mattie próbowała nam wytłumaczyć już dawno temu: powinniśmy lubić naszych mężów. Pierre jest przeciwieństwem Harry'ego. Dostała kolejną, inną szansę na szczęście. Serce, które, jak twierdziła, nie biło szybciej dla Pierre'a, teraz biło jak szalone. Jak mogłam być tak głupia! Niczego się nie nauczyłam?

O świcie pożegnała Fanny i Jane. Obiecała, że będzie codziennie czekać na list, aby od razu mogły zacząć planować podróż. Gdy tylko powóz zniknął za zakrętem, Rose pobiegła ile sił w nogach do domu francuskiego ambasadora na Portman Square. Nie dbała o to, co ktoś pomyśli o umazanej

biotem i zakurzonej sukni oraz porze odwiedzin. Oby nie było za późno. Zapytała o pana Montanda.

Lokaj w misternej upudrowanej peruce skłonił się przed nią i powiedział, że monsieur Montand wyjechał wczoraj wieczorem do Francji.

*

Nastaly szare i chłodne dni. Kobiety zaczęły owijać się szalami i narzucać cieplejsze płaszcze na przewiewne sukienki. Mimo to przeziębially się i cierpiały z powodu reumatyzmu, ponieważ w domach nigdy nie było wystarczająco ciepło. Nadchodziła zima, zbliżało się Boże Narodzenie i koniec roku. Dlaczego Fanny nie pisze? Czyżby Pierre już o niej zapomniał? Napisała do niego dziesięć listów. Wszystkie podarła. Wydały jej się godne pożalowania. „Drogi Pierre, popełniłam błąd”. Czekala na list Fanny, by zaplanować podróż i wyruszyć do Paryża. Jednego z owych szarych chłodnych dni rozczarowana brakiem wieści od Fanny i Pierre'a Rose weszła wolno na górę. Mattie sprzątała w salonie. Rose zawróciła z drogi do swego pokoju.

— Mattie.

— Słucham, panno Rose. — Mattie sięgnęła po pastę do czyszczenia mebli.

— Mattie — powtórzyła Rose. Starala się mówić niefrasobliwie. Miała zaróżowione policzki. — Kiedy byłyśmy młodsze, poradziłaś nam, żebyśmy wybrały na mężów kogoś, kogo lubimy. Papa nie lubił Harry'ego, nie imponował mu jego urok.

— Hmmm — mrukneła Mattie, nie przerywając sprzątania.

— Czy ty lubiłaś Harry'ego?

— Wielkie nieba — powiedziała Mattie. Pochyliła się nad stołem, zaczęła go polerować bardziej zamasyście. — Co ja mam do tego?

— Ale... wydawało mi się, że wszyscy go lubili. Był niebywale ujmujący!

Mattie polerowała tak starannie, że dostała zadyszki.

— Jeśli rzeczywiście mam powiedzieć, co myślę... Mieliliśmy takich chłopaków na Ludgate Hill. Flirtowałam z nimi trochę, ale nie tknęłabym żadnego z nich nawet kijem. — Twarz Rose przybrała ciemniejszy odcień. Mattie przerwała i popatrzyła na nią. — Wiedziałam, że jest problem, kiedy kazał pani trzymać wszystkie książki w jej pokoju, a pani nawet nie za-protestowała, do tego stopnia była zaślepiona. — Odgarnęła włosy z czoła.

— Nie dostrzegą pani jego prawdziwej natury! — Rose nie potrafiła zapanować nad rumieńcem. Jak mogła pozwolić odejść Pierre'owi! — Kiedy Korneliusz Brown dowiedział się, że państwo Hill pomagają mi w nauce czytania, uczył się ze mną w domu w dni wolne od pracy, choć miał ciekawsze zajęcia! Robił to, bo było ważne dla mnie.

Stół lśnił, Rose widziała w nim swe purpurowe oblicze.

— Och, gdzie te listy? — zawołała rozpaczliwie.

„Nie zgadza się na nasz wyjazd”, napisała wreszcie Fanny. Ani słowa więcej.

Pierre Montand przysłał krótki list z Paryża adresowany do Fanny i Rose. Informował w nim o losach pierścienia, który trafił z powrotem na swoje miejsce w Commission de l’Egypte ku wielkiej uldze wszystkich naukowców. Nie było żadnej wzmianki o małżeństwie, podróżach. Nic osobistego. Przesyłał pozdrowienia.

Rose siedziała w swoim salonie z dwoma lakonicznymi listami w ręku.

Zapaliła papierosa. Rozmyślała.

Nie chodzi o Harry'ego. Zrobiłabym to dla siebie. Niczego nie pragnęłam tak bardzo, jak tego dziecka. Byłoby w części podobne do tego, które straciłam.

Raptem uderzyła ją pewna myśl.

Dlaczego czekam, aż kto inny podejmie decyzję?

TLR

— Nie! Horacy, nie teraz!

Mąż zaskoczył ją w kuchni. Pomoc domowa poszła do miasteczka po sól, Fanny gotowała obiad, nie miała swojej gąbki nasączonej octem. Powtarzało się to stanowczo zbyt często od jej powrotu do Wentwater. Podchodził do niej niespodziewanie w środku dnia.

— Odmawiasz swemu mężowi?

— Dzieci bawią się w korytarzu, Horacy. Błagam, poczekaj do wieczora.

Pot sływał jej po policzkach od pochylania się nad parującymi rondlami, rude włosy opadały na oczy.

— Odmawiasz swojemu mężowi? — dyszał, napierając na nią. — Powinniśmy mieć więcej dzieci. Dopełnisz swych małżeńskich powinności. Święty Paweł rzekł: „niewiasta została stworzona na pożytek mężczyzny”. Nigdy więcej nie zbliżysz się nawet do Londynu. — Szarpał jej ubranie. — Kuzynka Rose ma na ciebie zły wpływ. — Usiłowała go odepchnąć. W swej zapalczywości uderzył ją łokciem w policzek, czego nawet nie zauważył. — Odmawiasz mężowi, który jest przedstawicielem Boga na ziemi?

Stracił panowanie nad sobą. Powietrze wypełniała woń jagnięciny, lawendy, tłuszczu, potu i pożądania. Obezwładniła go siła własnej żądy. Dyszał ciężko, napierając na Fanny.

— Mamo? — rozległ się niepewny głosik Jane.

— Wyjdź! — ryknął jej ojciec, pospiesznie zapinając spodnie. Jane odskoczyła jak spłoszone zwierzątko. W tej samej chwili rozległ się dźwięk gongu przy drzwiach.

Fanny trzymała się za policzek. Spojrzała na męża, odwróciła się i poszła na górę. Garnki kipiały.

Służąca wróciła właśnie ze sklepu i wprowadziła gości, po czym od razu zajęła się ratowaniem potraw. Horacy wciąż oddychał nierówno, nie zdążył poprawić włosów i ubrania. Jego humoru nie poprawił fakt, że gośćmi okazały się kuzynka Rose ze swoją pokojówką.

— Witaj, Horacy. — Rose wyciągnęła rękę na przywitanie.

— Dawno się nie widzieliśmy.

Uklonił się.

— Nie oczekiwaliśmy twego przyjazdu — odezwał się nie przyjaźnie.

— Wiem. Odwiedzałam przyjaciół w Birmingham. Bardzo chciałam poznać waszego syna, o którym tyle słyszałam. Miałam już wielką przyjemność poznać Jane. Byłam w pobliżu, więc postanowiłam skorzystać z okazji. Zostanę krótko, tylko na jedną noc, jeśli to nie kłopot. Muszę pilnie wracać do Londynu.

Na twarzy Horacego odmalowało się wiele sprzecznych emocji. Nie życzył sobie, by ta niemoralna kobieta miała jakikolwiek kontakt z jego synem. Z drugiej strony lubił się chwalić swym spektakularnym sukcesem wychowawczym.

Jane nie mogła uwierzyć własnym uszom, słysząc głos cioci Rose. Kryła się nieśmiało w cieniu korytarza.

— Ciociu Rose? — odezwała się cichutko, zaglądnąjąc niepewnie przez drzwi.

— Janey!

Jane podeszła, patrząc z lękiem na ojca. Jej brat gdzieś zniknął.

Rose przytuliła dziewczynkę, czując chłód jej ciała. Popatrzyła na małą piegowatą buzię.

— Tak straszliwie się za tobą stęskniłam, że musiałam przyjechać! Mam nadzieję, że wreszcie poznam twojego braciszka.

— Spojrzała na Horacego.

Jane chętnie poskarżyłaby się cioci na braciszka, który ciągle ją szczypał i poszturchiwał zawsze, kiedy dorośli nie patrzyli. Bała się to zrobić w obecności ojca.

— Przeprowadź brata — polecił Horacy. Jane natychmiast posłusznie i ostrożnie ruszyła w głąb korytarza.

— Posłuchaj, Rose — zaczął pastor. W tym momencie do salonu wpadła jego żona.

— Rose! Poznałam twój głos! — Uściskała serdecznie kuzynkę i popatrzyła na nią z niepokojem. — Czy coś się stało?

— Ależ nie! Wybacz, że cię przestraszyłam. Wstąpiłam przejazdem, tylko na jedną noc. Odwiedzałam przyjaciół w Birmingham i chciałam skorzystać z okazji, by poznać waszego synka, o którym słyszałam tak wiele. — Uśmiechnęła się do Horacego.

W mądrych oczach Fanny pojawiło się tysiące pytań. Uśmiechała się z zachwytem.

— Birmingham? W taką pogodę?

— Jest wiosna! Dni stają się coraz dłuższe. Nie pada, więc drogi są bardziej przejezdne.

— Rose — odezwał się Horacy. Onieśmiała go ta zrównoważona elegancka osoba, całkiem inna od lekkomyślnej dziewczyny, którą pamiętał. Zmieniła się. — Co u ciebie?

— Miałam nadzieję na wspólną podróż do Indii z tobą i twoją rodziną — odparła z wyrzutem. — Byłaby to wspaniała przygoda. Niestety, nic z tego.

— Cóż za niedorzeczny pomysł, by pastor porzucił na rok swą parafię, by spełnić kaprys starego człowieka.

— Rozumiem. Może pewnego dnia zdobędę się na odwagę, by popłynąć sama.

— Rany boskie! — krzyknęła Fanny, patrząc na kuzynkę. — . Obiad!
— Popędziła do kuchni.

— Co za brednie, Rose! — zagrział Horacy.

W progu stanął mały chłopiec. Jane chowała się za jego plecami.

— Dzień dobry, ciociu — przywitał się grzecznie, acz bez entuzjazmu. Ojciec opowiadał mu o Rose. Skłonił się lekko i od razu podszedł do papy. Wyglądał jak jego sześćioletnia kopia. Rose zastanawiała się, czy też pachnie lawendą.

— Powiedz cioci dziesięć przykazań.

Chłopiec natychmiast spełnił polecenie.

— Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną. Nie będziesz wzywał imienia Pana, Boga swego, nadaremnie. Pamiętaj, abyś dzień święty święcił. Czcij ojca swego i matkę swoją. — Zająknął się lekko przy cudzołóstwie, niepewien znaczenia, lecz przekonany o grzeszności uczynku. Skończywszy, zwfócił się do ojca jednym tchem: — Widziałem jelenia na polach. Zastrzelimy go?

Horacy niechętnie zostawiał żonę samą z Rose, jednak bardzo chciał nauczyć syna zabijania jeleni.

— Oczekuję cię dziś w kościele — zwrócił się do Rose, wkładając buty.

— Dziś? — spytała zaskoczona Rose. — Oczywiście, jeśli sobie życzysz... ale dziś jest wtorek.

— Dzień, w którym Fanny powinna usłyszeć moje kazanie.

— Och, naturalnie. Z przyjemnością przyjdę — zawołała z udawanym entuzjazmem.

Nareszcie zostały same, jeśli nie liczyć Jane śpiącej słodko na kanapie, bezpiecznej między matką a ciotką. Mattie zabawiała rozmową w kuchni gosposię Harbottomów.

— Fanny! — Rose chwyciła kuzynkę w ramiona. — Wcale nie byłam w Birmingham! Przyjechałam specjalnie, żeby się z tobą zobaczyć. Nie chciałam pisać wszystkiego w liście. Wyruszam do Egiptu już w tym tygodniu. Wszystko zaplanowałam! Oczywiście pojedę najpierw do Paryża zasięgnąć rady Pierre'a. Nie będzie zachwycony, lecz z pewnością mi pomoże, widząc, że się nie wycofam! Nie mogłam wyjechać bez pożegnania.

Fanny nie wierzyła własnym uszom.

— Nie myślisz chyba o samotnej wyprawie. Pierre? On cię zabierze?

— Będę podróżować sama, Fanny. Nie boję się. Przeczytałam wszystko, co było do przeczytania na temat Egiptu.

— Pierre nie będzie ci towarzyszył? Jesteście przyjaciółmi?

— Na pewno znów będziemy, kiedy się spotkamy. Nie mogłabym go prosić... nie o to — zająknęła się lekko, jak mały Horacy przy przykazaniu „nie cudzołóż”.

— Nie wolno ci samej wyruszyć w taką podróż. Pierre z pewnością powie to samo. Słyszałaś, co mówił na temat niebezpieczeństw!

— Postanowione, Fanny! Kobiety podróżują. Pierre sam to przyznał. Nieważne, że mówił o nich jako o ekscentryczkach, że towarzyszyli im mężowie. Będą inni podróżni, zawsze są. Nie wierzę, by obcy ludzie nie udzielili mi pomocy, gdyby groziło mi pożarcie przez dzikie zwierzęta lub śmierć z rąk pogan! Nie będę całkiem sama, oczywiście. Mattie z radością zgodziła się mi towarzyszyć. Jest wręcz wniebowzięta! Ma nadzieję na odnalezienie marnotrawnego męża. — Fanny nie zareagowała na żartobliwy

ton Rose. — Posłuchaj, wyleczyłam się z Harry'ego. Nie tęsknię za nim w najmniejszym nawet stopniu. Jednak uświadomiłaś mi, że mimo wszystko coś mu zawdzięczam. W ten sposób uczczę jego pamięć.

— Dlaczego miałabyś cokolwiek dla niego robić?

— Och, Fanny. To wymówka! Abym nie czuła się zupełnie niezrównoważona! Rozpaczliwie pragnę odszukać cudzoziemskie dziecko Harry'ego. Ponadto, jak doskonale wiesz, marzę o podróży do Egiptu! Od zawsze! Naprawdę planowałam tę podróż miesiącami, tak jak zrobiłby to papa. Nie pozwoliłabym sobie wyruszyć, nie poznawszy wszystkich szczegółów dotyczących czekającej mnie drogi. Pracowałam ciężko. Przeczytałam wszystkie dostępne lektury. Nauczyłam się pozdrowienia po arabsku. Odstawiłam opium, aby mieć trzeźwy umysł! Nie mam pojęcia czy dziewczynka żyje, lecz zrobię co w mojej mocy, aby ją odszukać. Pierre z pewnością mi pomoże. Nikt nie może mnie powstrzymać! Jestem wolna! Zostałam wdową!

Ciszę przerwał odgłos wystrzału.

— Kolejny martwy jeleń — podsumowała z odrazą Fanny.

Rose nie mogła przestać mówić.

— Wyruszamy z Mattie do Paryża za kilka dni. Wsiądziemy na statek w Italii albo w Grecji. — Fanny nadal miała na twarzy ten sam wyraz oszołomienia. — Nie jestem zupełnie niedoświadczona. Wiele podróżowałam. Zasięgnę rady innych podróżnych, być może przyłączę się do kogoś.

— Wydaje ci się, że odszukanie dziecka będzie proste?

— Spróbuję przynajmniej! Angielski kupiec, który ukrywał matkę, z pewnością udzieli mi jakichś informacji.

— Ty mówisz poważnie.

— Jak najbardziej!

— Rose! — Fanny objęła kuzynkę, z jej gardła wydobyło się coś pomiędzy szlochem a śmiechem. — Pozwól, że przynajmniej zrobię ci herbaty!

Rose nie słuchała.

— Pierre wiele nam opowiedział tamtego wieczoru. Zapisałam niektóre rzeczy po jego wyjściu. Zobaczę się z nim w Paryżu. Jestem przekonana, że nie odmówi mi pomocy.

— Czy już wie o twojej decyzji?

— Nie. Nie wie, że wybieram się sama.

— A o twojej planowanej wizycie w Paryżu?

Rose spuściła wzrok, unikając spojrzenia Fanny.

— Ja... wiele razy chciałam do niego napisać, ale... to znaczy... lepiej będzie, jeżeli porozmawiamy osobiście. — Zniżyła głos do ledwie słyszalnego szeptu. — Pragnę odnaleźć dziecko, Fanny. Nie przez wzgląd na Harry'ego. Dla siebie. Chcę tego tak bardzo, że aż boli.

Fanny zrozumiała.

— Tak — powiedziała.

Horacy zmówił długą modlitwę i zaczęli jeść w milczeniu. Przez okno wpadały zimne promienie słońca, panował chłód. Rose zrozumiała, czemu Fanny miała trudności z polubieniem własnego syna. Był ślicznym chłopcem, ale naśladował każdy gest i manierę ojca. Nie spodziewała się, że sześciolatek potrafi być do tego stopnia nadęty i wyniosły. Siostrę, która go uwielbiała, traktował z okrucieństwem. Rzucał ciekawskie spojrzenia w stronę ciotki. Przy stole panowała absolutna cisza, jeśli nie liczyć odgłosów jedzenia. Rose zwróciła uwagę na chłód między Fanny i jej mężem. Fanny zauważyła iskry w oczach Rose podekscytowanej podróżą.

Zegar kuchenny wybił czwartą. Rose zwróciła się do Jane:

— Pamiętasz mój zegar, Janey? Ten wyjątkowy, z Italii, który ci pokazywałam?

— Tak — powiedziała Fanny z uśmiechem. — Słynny zegar przywieziony przez stryjka z Genui wiele lat temu.

— Wciąż idealnie odmierza czas.

— Widziałam go. Widziałam „wołoski” zegar — zawołała Jane.

— Bądź cicho, Jane — zganił ją ojciec, a brat kopnął pod stołem. Niezbyt mocno. Był zaskoczony, że dorośli rozmawiają w ten sposób. Nikt nigdy nie poruszał równie fascynujących tematów przy stole. Posiłki należało spożywać w pełnej szacunku ciszy, kontemplując dobroć Pana i słuchając przemówień ojca.

— Znasz się na zegarze, Horacy?

— Oczywiście, ciociu.

— Starożytni Egipcjanie pierwsi podzielili dzień na godziny — powiedziała Rose. — Wynaleźli czasomierz tysiące lat temu. Zegar wodny. Jest to miska ze specjalnym otworem w dnie. Codziennie wypełniano ją wodą. Ostatnia kropla skapywała po upływie dokładnie dwunastu godzin.

Małą buzię Horacego ożywiła ciekawość.

— Pamiętasz tę historię, którą opowiadał twój ojciec, Rose?

— Fanny zaczęła się śmiać. — O tym, jak wkrótce po otwarciu muzeum w Montague House z jednego ze starych zegarów wypadł odważnik, przebił podłogę i jakimś cudem upadł na dach powozu jakiegoś dżentelmena!

— To była kamienna waza!

— Nie, część zegara!

Dzieci patrzyły w osłupieniu na matkę i ciotkę śmiejące się do rozpuku.

— Temu dżentelmenowi mogła stać się krzywda — wtrącił się surowo pastor Harbottom.

— Też się o to oczywiście martwiłyśmy. — Rose obdarzyła go anielskim uśmiechem. — Papa jednak zapewniał, że w tym czasie powóz był pusty.

— Zegar był, naturalnie, francuski — powiedziała z powagą Fanny.

Mały Horacy był w siódmym niebie.

— Czy to znaczy, że zegary włoskie, angielskie i francuskie różnią się między sobą? — spytał jak pilny uczeń. — Wybijają godziny w różnych językach?

Olśniewająca ciocia Rose znów się roześmiała, odrzucając do tyłu włosy.

— Właśnie tak mi się kiedyś wydawało, Horacy. Rzeczywiście wydają inne dźwięki. Kiedy odwiedzisz mnie w Londynie...

— W Londynie?

— W Londynie. Pokażę ci angielski i francuski zegar. Sam ocenisz.

— Zwyczajne angielskie zegary doskonale odmierzają czas i w zupełności nam wystarczą — burknął pastor. — Nie zaprzataj mu głowy kobiecymi głupstwami. Jedzmy. Zapewniam cię, że nie puszczę go do Londynu — dodał.

— Arcybiskup Canterbury urzęduje w Londynie, czyż nie? — spytała Rose bardzo rozsądnie.

— Światem mego syna jest mój dom. Oraz przyszłych synów, o których się modłę — spojrzał znacząco na Fanny. — Jeszcze długo tak pozostanie.

Skończyli jeść, zaczęło się ściemniać, dzieci wysłano do łóżek.

Po drodze do kościoła wstąpili do szopy. Horacy chciał się pochwalić martwym jeleniem. Zwierzę wisiało głową do dołu na haku zawieszonym u stropu, miało ciemne, szkliste oczy, krew ściekała na podłogę i zasychała. Rose odwróciła wzrok. Przypomniała sobie martwą sarnę i jej młode zabite gołymi rękoma przez George'a.

W kościele zapalili trzy świece. Na ambonę padały tańczące cienie, naokoło panowała ciemność. Rose i Fanny usiadły w jednej z ławek. Owinęły się ściślej szalami, robiło się coraz zimniej. Wdychały woń kurzu, modlitewników, zwiędłych lilii oraz lawendy. Rose nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Horacy w świetle świec wygląda jak jeden z aktorów, których podziwiała niegdyś z przyjaciółkami w teatrze na Drury Lane.

Rozpoczął cytatem z Biblii. „A jeśli dnia tego ktokolwiek spośród was: mąż, niewiasta, rodzina lub plemię odwróci serce od Pana Boga naszego, Pan go nie oszczędzi!”. Pochylił się nad mównicą. Zapach lawendy unosił się w powietrzu.

— Pragnę mówić o tych, którzy krytykują Kościół, odrzucają wolę bożą i nauki naszego Pana. Jakże grzeszą! — Jego podniesiony głos odbił się echem od ścian kościoła. — Jakże grzeszą, ponieważ krytykując Kościół, krytykują Boga. Kto mnie krytykuje, krytykuje Boga, bom ja jest jego przedstawicielem na ziemi! Biblia mówi nam... — Potrząsnął księgą. — Pan go nie oszczędzi! Dosięgnie go gniew i zemsta Pana. Stopy nie znajdą drogi w mroku. Będzie szukał światła skazany na błądzenie w ciemności.

Grzmiał dalej w tym samym duchu. Ostrzegał przed wszechwidzącym okiem Boga, które przenika ludzkie serca. Rose patrzyła na spokojną, niewzruszoną twarz Fanny. Przypomniała sobie jej słowa wypowiedziane na Wimpole Street: ludziom Kościoła zależy wyłącznie na przetrwaniu Kościoła.

Wyszli na chłodne wieczorne powietrze. Horacy mówił o kazaniu, kobiety milczały, gdzieś zaszczekał pies. Była dwudziesta. Wentwater poszło spać.

— Chodź, Fanny — powiedział Horacy natychmiast po przekroczeniu progu plebanii.

Rose obudziła się, gdy ktoś delikatnie dotknął jej ramienia. Usiadła gwałtownie. Kuzynka przykucnęła przy jej łóżku ze świecą w ręku.

— Fanny? — powiedziała głośno. Była zaniepokojona i zdezorientowana.

— Ciii.

Po policzkach Fanny płynęły łzy. '

— Kochanie, co się stało? — szepnęła wstrząśnięta Rose.

— Nic... nic. Zabieram się z tobą, Rose. ,

— Ze mną? Z powrotem do Londynu?

— Do Egiptu. Do Indii.

— Fanny! Chcesz powiedzieć, że zmienił zdanie? — Zapomniała, że ma mówić cicho. — To cudownie!

— Ciii! Nie zmienił zdania. Sama zdecydowałam.

— Fanny! — szeptała gorączkowo Rose. — Nie możesz zostawić Horacego, jest twoim mężem!

— Mogę. Dziś w nocy strasznie mnie potraktował.

— Ale...

— Postanowiłam już, Rose. — Zalana łzami drobna twarz Fanny miała wyraz pełen uporu i buntu. — Ustalimy wszystko rano, przed twoim wyjazdem. Spotkamy się w Paryżu. Horacy ani dzieci nie mogą się niczego domyślić. Chciałam ci tylko powiedzieć.

Fanny wyszła, a Rose do świtu nie mogła zasnąć. Było jej zimno, słyszała końskie rzenie i stukanie kopyt. Niczego nie pragnęła bardziej na świecie, chciała, by Fanny jej towarzyszyła w podróży, jednak prawo było bezlitosne. Fanny nie mogła tego zrobić. Kobiecie nie wolno odejść od męża. Oznaczało to automatyczną utratę wszelkich praw do dzieci. Fanny nie była przecież okrutna.

Rano miała wrażenie, że wszystko jej się przyśniło. Usiedli do śniadania, Fanny nalewała herbatę i rozmawiała z kucharką o obiedzie, kurczaki na podwórku głośno domagały się karmienia, Horacy opowiadał o swojej pracy w parafii. Mały Horacy imitował wszystkie gesty ojca i obserwował spod oka swą frapującą ciotkę.

— Ciociu Rose? — odezwała się Jane, by zostać natychmiast uciszona przez ojca.

Horacy udał się do swojego gabinetu, by przeczytać gazety. Fanny poprosiła Rose, by poczytała dzieciom i sprawdziła ich postępy w pisaniu. Sama miała coś do załatwienia. Ludzie wchodzili i wychodzili. Jedna z parafianek przyniosła masło. Mały Horacy i Jane pracowicie stawiali literki w swoich małych notesikach. Kolejna kobieta przyszła z płaczem do pastora. Jej mąż zginął pod końskimi kopytami. Na zewnątrz bzyczały muchy zlatujące się do skrzepniętej krwi jelenia. Pod fundamentami buszowały szczury. Za to w ogrodzie zakwitały dziesiątki żółtych i fioletowych krokusów, przebijały się z ziemi pomiędzy żonkilami i krzakami kapryfolium, przycięzione róże czekały na lato, gdzieś pojawiły się już małe fiołki. Ktoś pracował tu z miłością. Rose przypomniała sobie słowa Fanny na temat pasji ogrodniczej Horacego i jego rozmów z kwiatami.

Horacy wyszedł, dzieci karmiły kury, Fanny wyrabiała ciasto na chleb, jakby to był kolejny zwykły dzień, Mattie zakasała rękawy i pomagała jej, gosposia dostała wychodne na pół dnia. Zawsze rozmawiały o wszystkim

otwarciem w obecności Mattie. Rose nadal nie miała pewności, czy nocna wizyta kuzynki nie była snem.

— Spotkamy się na Pont Neuf— powiedziała Fanny, z pasją ugniatając ciasto.

— Fanny! Stracisz dzieci. Żaden sąd na świecie nie przyzna ci do nich praw, jeśli odejdiesz.

— Tylko jeżeli Horacy mnie znajdzie. Będę bezpieczna, kiedy dotrę do ojca.

— Nigdy więcej ich nie zobaczysz!

Fanny popatrzyła na kuzynkę z otwartymi ustami.

— Co ty mówisz? Przecież będą ze mną!

— Zabierasz dzieci?

— Oczywiście! Jak mogłaś pomyśleć inaczej?

Włożyła chleb do pieca. Mattie spokojnie pracowała dalej, jakby nie rozmawiały o niczym szczególnym.

— Chcesz zabrać dzieci do Indii bez ich ojca? Przez Egipt? Nie mówisz poważnie! Słyszałaś, co mówił Pierre!

Fanny wyszła na podwórze po wodę, wróciła, wyszła z powrotem po ziemniaki. W kuchni pachniało pieczonym chlebem. Rose podążała za kuzynką, gdziekolwiek tamta szła, i kontynuowały rozmowę.

— Ależ oczywiście, że zabieram dzieci. Od początku miałam taki zamiar. Wiedziałaś przecież! Nie ruszyłabym się nigdzie bez swoich dzieci! Najpierw powiem im, że jedziemy do ciebie. Mój syn wydaje się urzeczony tobą i twoimi historiami na temat zegarów. Masz na niego dobry wpływ, Rose. On potrzebuje dobrego przykładu. Ta podróż wspaniale dzieciom zrobi. Mówi się o niebezpieczeństwach czyhających w podróży, lecz czasem bardziej niebezpiecznie jest zostać. Pragnę ci pomóc w poszukiwa-

niach. Wiem, ile dla ciebie znaczą. Wszystko zaplanowałam. Nie możesz się doczekać wyjazdu z Londynu, ale mam prośbę. Rano nadałam list do prawnika ojca, zawiadamiając o swoim przybyciu i prosząc, aby zajął się sprawami finansowymi. Niezwłocznie zawiadomi rodziców. Nie zamierzam jednak zatrzymywać się w Londynie. Wyruszam od razu do Paryża. Zaczekam tam na ciebie. Horacy bez wątpienia pojedzie mnie szukać na South Molton Street. Zostawię mu list.

— Teraz moja kolej, żeby powiedzieć tobie, abyś się zastanowiła, Fanny. Naturalnie, że Horacy będzie cię szukać. Nigdy nie pozwoli dzieciom na taką podróż. Nie potrafiłabym się z nim nie zgodzić w tej sprawie. Nie rób tego!

Fanny puściła jej słowa mimo uszu.

— Pojedzie do Londynu, ale mnie już tam nie zastanie. Znajdzie ciebie. Oto moja prośba: zostań w Londynie do czasu jego przyjazdu. Chcę poznać jego reakcję i plany. Jestem przygotowana na najgorsze. Wątpię, by zdecydował się na przeprawę przez Kanał Angielski. Jak ci wspominałam, nie wierzy w resztę świata. Nie wykluczam jednak niczego, dlatego proszę cię, żebyś na niego poczekała. Niech się rozwiedzie ze mną, ożeni z inną kobietą. Dzieci zostaną ze mną.

— Fanny!

Fanny raptownie chwyciła Rose za rękę i wyciągnęła na korytarz.

— Popatrz. — Bez zażenowania uniosła suknię i halkę, ukazując ślady zaschniętej krwi. Rose pomyślała o martwym jeleniu.

— Rany boskie, Fanny — szepnęła.

— W istocie. — Fanny opuściła spódnice. Przez chwilę stały nieruchomo, patrząc sobie w oczy. — Pomożesz mi? Spotkamy się w Paryżu? I wyruszymy stamtąd w dalszą drogę? Pierre nam doradzi, jak mówiłaś. — Spochmurniała. — A może mam sobie radzić sama?

— Będę na ciebie czekać na Pont Neuf.

Harbottomowie pożegnali Rose i Mattie. Powóz ruszył w kierunku Londynu. Następnego dnia kolejny powóz wyruszył jego śladem. W środku spała dwójka małych zdezorientowanych dzieci. Ich mama zastanawiała się, jak odpowiedzieć na pytania, które z pewnością zadadzą, kiedy się obudzą.

TLR

Rose i Mattie były gotowe do wyjazdu. Czekwały z niecierpliwością. Pochowały bagaże, gdyż otrzymały wiadomość o wyjeździe Fanny do Paryża i spodziewały się lada chwila wizyty wielbnego Horacego Harbottoma. Rose schowała książki o Egipcie, które przeglądała do późna w nocy. Zajął się haftowaniem. Mattie uznała, że to przesada, lecz Rose odparła ze śmiechem:

— Horacy poczuje się bezpieczniej, widząc mnie przy tak kobiecym zajęciu.

Na dole rozległy się głosy dwóch starszych dżentelmenów, przyjaciół zmarłego pana Halla. Rozmawiali z panną Proud. Rose poczuła ukłucie w sercu. Gnębiło ją poczucie winy, ponieważ nie powiedziała nikomu w Londynie o swych planach. Prócz panny Proud, która w odpowiedzi jedynie skinęła głową, na pozór obojętnie. Rose wielokrotnie zaczynała pisać do Pierre'a, ale nie wysłała żadnego listu. Często o nim śniła.

Za oknem rozlegały się złorzeczenia dorożkarzy i ulicznych kupców. Powóz, którym przyjechali goście, częściowo blokował ulicę. Małe zmarznęte dzieci drażniły konie. Jeden z chłopców pociągnął za koński ogon. Woźnica sięgnął po bat i dzieci uciekły ze śmiechem, brodząc w końskich odchodach, rybich łbach i mokrych gazetach zalegających na South Molton Street.

Panowie z przyjemnością zwrócili uwagę na zdrowy wygląd i zaróżowione policzki Rose.

— Czytaliśmy w „Gentleman's Magazine”, że skarby Egiptu trafiły wreszcie na salę muzealną. Chciałabyś je zobaczyć? Nabyliśmy bilety dla ciebie i panny Proud.

Oczy Rose rozbliły, popatrzyła na Mattie, która skinęła głową.

— Spodziewam się wizyty męża kuzynki, ale myślę, że godzina... Och, marzę o obejrzeniu tej ekspozycji!

Wsiedli do powozu. Zanim ruszyli, ktoś rzucił w ich stronę zgniłą pomarańczą. Panowie w odpowiedzi wykonali przeproszający gest i wyrzucili na bruk garść monet. Popatrzyli na zachmurzone niebo.

— Powinniśmy byli poczekać na ładniejszy dzień — zacmokali z niezadowoleniem.

— Nie! — zawołała ożywiona Rose.

Niebawem zaczęło padać, najpierw lekko, potem coraz mocniej. Wiał silny wiatr. Woźnica zaklął.

— Powinniśmy zawrócić.

— Nie! — Oczy Rose nie przestawały lśnić. Panna Proud zerknęła na nią. „Musisz im powiedzieć, moja droga”, mówiła wzrokiem. Rose popatrzyła z miłością na dwóch starszych panów, którzy traktowali ją jak własną córkę. Będzie musiała im powiedzieć, powinna była to zrobić od razu, lecz bała się ich sprzeciwu. Skinęła nieznacznie głową pannie Proud.

Great Russel Street zablokowała olbrzymia efektowna karetą jadącą w przeciwnym do nich kierunku. Otaczali ją konni żandarmi. Powozy poruszały się bardzo powoli, stangreci pokrzykiwali. Z okien wychylały się głowy pasażerów. Padało coraz mocniej. Ktoś z rodziny królewskiej, domyślano się. Czyżby król lub tłusty książę Walii? Czy zobaczą biedną małą księżniczkę Charlotte? Konie podnosiły ogony i na kocie łby spadały parujące odchody, umorusane dzieci podbiegały, by ogrzać w nich na chwilę bose stopy. Królewska karetą przejechała, nikt z niej nie wyjrzał. Ludzie wznosili szydercze okrzyki. Ktoś zawołał *Vive la Republique!* i panna Proud zerknęła z ciekawością w stronę, z której dobiegł głos. Dżentelmeni kręcili głowami, rozmawiając o Napoleonie.

— Pokój stanął pod znakiem zapytania.

— Czy to oznacza koniec podróży do Paryża? — spytała ze strachem Rose.

— Nie tylko. Obawiamy się ataku na nasz kraj. Ten szaleniec jest zdolny do wszystkiego. Zbiera siły. Ma tu nawet swoich zwolenników. — Wskazali szyderczy tłum.

Rose Fallon pomyślała o roześmianych szarych oczach i inteligentnym spojrzeniu człowieka pochylonego nad zemdloną Dolly.

Kustosz muzeum poinformował ich, że wystawa egipska znajduje się na podwórzu.

— Wrócimy kiedy indziej — powtórzyli. — Panie za bardzo zmokną. — Zerknęli niepewnie na pannę Proud. Jednak ona nie zwróciła na nich uwagi, a Rose nawet nie usłyszała, co mówili. Kobiety pewnym krokiem wyszły na deszcz, nie pozwoliły się zniechęcić. Mała grupka ruszyła w stronę drewnianego zadaszzenia.

Stanęli przed ogromną zaciśniętą pięścią z szarego kamienia. Była większa od człowieka i sprawiała dziwnie kpiące wrażenie. Obok znajdował się mały obelisk, podobny do tych w Paryżu, z wyrytymi hieroglifami. Panna Proud przyglądała się urnie i sarkofagowi przypominającemu dużą wannę, część sarkofagu wystawała poza zadaszzenie.

Rose od razu rozpoznała kamień z Rosetty: czarny, poplamiony tuszem. Ułamany u góry, strzegący ścieżki do poznania starożytnych sekretów. Nic sobie nie robiła z londyńskiej ulewy. Patrzyła urzeczona na zachowany w całości tekst, różniący się znacznie od hieroglifów — z pewnością pismo demotyczne, a poniżej tekst grecki, uszkodzony u dołu.

— Och — westchnęła ze Izami w oczach. — Klucz.

Przesunęła palcami po tajemniczych żłobieniach. Pochyliła się, szukając specjalnych znaków otaczających imię króla, o których wspominał Pierre. Zobaczyła je na własne oczy. Obeszła kamień i znalazła napis wspomniany kiedyś przez Williama: ZNALEZIONE W EGIPCIE PRZEZ ARMIEJ

BRYTYJSKĄ W 1801 ROKU. A po drugiej stronie: OFIAROWANE PRZEZ KRÓLA JERZEGO III. Cieszyła się, że Pierre tego nie widzi, a jednocześnie żałowała, że go nie ma. Oto stała na deszczu przed kamieniem z Rosetty.

Dotknęła z czcią starożytnych symboli. Nagle, nie zdejmując dłoni z kamienia, zwróciła się spokojnym tonem do dżentelmenów:

— Wybieram się do Egiptu.

Uśmiechnęli się pobłaźliwie. Powiedzieli, żeby schowała się przed deszczem.

— Naprawdę.

— Jutro — dodała panna Proud.

Niedowierzanie po chwili ustąpiło miejsca przerażeniu. Cała czwórka stała nieruchomo naprzeciw kamienia.

— Nie możesz.

— Kobiety podróżują do Egiptu — upierała się Rose.

— Z wojskiem. Z mężami. Nigdy same! — Deszcz bębnił o kapelusz.
— Byliśmy tam, jesteśmy świadomi zagrożeń! Nigdy same kobiety bez eskorty, to absolutnie wykluczone!

— Nie będę sama. Zabieram ze sobą Mattie. Czuję się przy niej bezpieczniej niż przy jakimkolwiek mężczyźnie. — Zawahała się przed ujawnieniem kolejnej informacji, której nie знаła nawet panna Proud. — Poza tym moja kuzynka Fanny wraz z dwojgiem dzieci wybiera się w odwiedzin do swojego ojca, mojego stryja, przebywającego w Indiach. Ja również zostałam zaproszona, więc będę miała więcej towarzyszy podróży.

Panna Proud popatrzyła przenikliwie na Rose. Przeważenie dżentelmenów sięgnęło zenitu.

— Wybierają się do Indii przez Egipt? Chcą dotrzeć przez pustynię z Kairu nad Morze Czerwone? Dzieci? Zabieracie ze sobą dzieci? Twoja kuzynka nie może być aż tak nieodpowiedzialna.

Panowie naradzili się między sobą po cichu.

— Prędko. — Poprowadzili obie kobiety z powrotem do powozu. Ruszyli.

— Rose, musisz się o czymś dowiedzieć. Rząd nie chce na razie straszyć opinii publicznej, lecz pokój z Francją wisi na włosku. Wszystko wskazuje na to, że wybuchnie kolejna wojna z Napoleonem. Jego wojska są już w Italii i w Holandii. Póki żyje ten szaleniec, świat nie jest bezpieczny.

— Kiedy? Kiedy będzie wojna?

— Nie wiadomo.

— Będziemy czekać miesiącami, a równie dobrze może jej nie być w ogóle!

Niemożliwe, by tak szybko miała wybuchnąć kolejna wojna! Tak niedawno wszak, pomyślała, Napoleon przechadzał się po salonie Józefiny, wypytując uprzejmie wysoko urodzone Brytyjki o ich wrażenia z pobytu w Paryżu!

Panna Proud zdjęła mokry kapelusz. Z czepka skapywała woda. Westchnęła z rozdrażnieniem i zerwała go, uwalniając burzę białych włosów. Potrząsnęła głową. Panowie nadal rozprawiali z przejęciem, lecz Rose wpatrywała się w pannę Proud. Włosy opadły na twarz starej damy. Dziewczyna ujrzała w niej w tym momencie nie staruszkę, ale kobietę o imieniu Konstancja. Niegdyś musiała być bardzo piękna. Młoda kobieta, która utraciła ukochanego. Po chwili włosy zostały ujarzmione i panna Proud znów była panną Proud.

— Moim zdaniem Rose powinna postąpić, jak uważa — powiedziała spokojnie. — Ja bym na jej miejscu nie zrezygnowała z podróży. Jeśli

obawy panów się potwierdzą, im szybciej wyruszy, tym lepiej. — Popatrzyli na nią, jakby ujrzeli ducha. Panna Proud mówiła dalej niezrażona: — Nie jest lekkomyślna. Od miesiący przygotowuje się do tej wyprawy, przeczytała wszystko na temat Egiptu. Będzie z nią Mattie, której bez wahania powierzyłabym własne życie. W drodze spotka innych podróżnych, podobnie jak ja zawsze spotykałam.

— Była pani w Egipcie? — spytała zdumiona Rose.

— Nie, kochanie. Najdalej w Grecji. Jestem przekonana, iż w następnych pokoleniach kobiety będą podróżować same w najdalsze zakątki świata. — Zwróciła się do panów: — Czemu Rose nie miałyby wyprzedzić swoich czasów i nie wybrać się choćby do Egiptu? Mogłaby napisać książkę, by dodać odwagi innym! Po cóż, na Boga, miałyby poddawać się strachowi? Nie wierzę, że większość ludzi jest pozbawiona uczuć. Nieważne, gdzie mieszkają: na antypodach czy na księżycu, oraz jakiego są wyznania, pomagają sobie nawzajem.

Panowie wymienili nerwowe spojrzenia: kobiety niczego nie rozumieją, nie mają pojęcia o świecie.

Rose i panna Proud spojrzały na siebie ze spokojem: potrafimy robić rzeczy, o jakie nie podejrzewają nas mężczyźni, mamy o wiele więcej zdrowego rozsądku niż oni.

— W jednym muszę się z panami zgodzić — przyznała panna Proud. — Fanny i dzieci nie powinny podróżować przez Egipt. Nie mamy prawa narażać dzieci, nawet jeśli sami jesteśmy gotowi odważnie stawić czoło niebezpieczeństwu. Powinnaś przekonać swoją kuzynkę, aby zaniechała tego pomysłu, Rose.

— Oni już wyruszyli — powiedziała cicho Rose.

Wysiedli przy South Molton Street. Mattie udawała, że nie

widzi zdenerwowania gości. Zaparzyła im indyjskiej herbaty na uspokojenie.

Wkrótce po wyjściu wzburzonych panów zjawił się Horacy. Przybył prosto z Wentwater, zionąc wściekłością. Miotał się po salonie Rose, potrząsał listem Fanny i groził sądem.

Rose spokojnie poprosiła go, aby usiadł. Nie przerwała haftowania. Horacy z krzykiem biegał po pokojach, szukając swojej rodziny. Rose i Mattie wymieniły zaniepokojone spojrzenia. Miały nadzieję, że nie znajdzie spakowanych kufrów podróżnych. Panna Proud zaalarmowana krzykiem weszła na górę, by stanąć u boku Rose, na wypadek gdyby jej lokatorka potrzebowała wsparcia.

— Jesteś za to odpowiedzialna! Wszystko ukartowałaś — grzmiał Horacy. — Fanny nigdy by mnie nie opuściła, gdyby nie twój zły wpływ! Przyjeżdżasz, a potem ona znika!

— Nie opuściła cię ani nie zniknęła, jak twierdzisz, Horacy — odparła ze spokojem Rose. — Zabrała dzieci do Indii, by odwiedziły dziadków, doskonale o tym wiesz. Sam również zostałeś zaproszony.

— To był niedorzeczny pomysł. Nie mogę zostawić parafii. Mam obowiązki, podobnie jak Fanny wobec mnie. — Rose przypomniała sobie słowa Fanny: „obowiązek według Horacego polega na spełnianiu jego zachcianek”. — Nie wolno jej podróżować bez mojego pozwolenia — wołał. — A ja go nie udzieliłem. To przez twój wpływ, zepsuta kuzynko!

Panna Proud potrząsnęła głową w świeżo wykrochmalonym czepku, jak przystało szacownej starszej pani.

— Obawiam się, że nie mogę pozwolić panu obrażać mej lokatorki. Będę zmuszona poprosić pana o opuszczenie tego domu, jeżeli pan nie przestanie! — powiedziała surowo, niemal po królewsku.

Horacy nie wiedział, jak się zachować. Od dawna nikt nie mówił do niego w ten sposób. Przecież był szanowanym pastorem.

— Proszę wybaczyć — odparł lekko zmieszany. Skłonił się nawet. — Nie rozumie pani mego strasznego położenia. Żona zniknęła, zabierając dzieci. Podejrzewam tę oto młodą damę o udział w spisku.

— Mylisz się, Horacy. — Rose starannie wyszywała różowe peonie. — Było dokładnie odwrotnie. Fanny wpłynęła na mnie, za co jestem jej do zgonnie wdzięczna. Pomogła mi pogodzić się ze śmiercią męża.

— Tak, tak, to obowiązek żony pastora. Z łatwością mogłem zrobić dla ciebie to samo. — Był zniecierpliwiony. — Pójdę do adwokata. Nie wolno jej tego zrobić, dopilnuję, żeby wróciła.

— Jestem pewna, że adwokat zna fakty. Nie możesz mówić, że ona zniknęła, Horacy. Czytałeś list od jej ojca i trzymasz w ręku list, w którym Fanny informuje cię o swoich zamierzeniach.

— Nie wyraziłem zgody — wrzasnął.

Mattie przyniosła więcej herbaty na uspokojenie. Pastor Harbottom wyszedł. Udał się do swojego wuja, biskupa.

Rose umierała z niecierpliwości i bezsilności. Nie mogła opuścić Londynu, póki Horacy nie podejmie decyzji o dalszych krokach. Przyszedł ponownie następnego ranka.

— Jest już w drodze do Indii! — zawołał dramatycznie.

— Wiedziałaś o tym. Zostawiła list.

— Prawnik powiedział, że to prawda. Zostałem bez żony i dzieci, wbrew swej woli. Zabiorę jej dzieci. Mam wielkie plany wobec Horacego. Zostanie nowym mesjaszem Kościoła Anglii! Życzę sobie, by od przyszłego roku uczęszczał do specjalnej szkoły kościelnej. Mam wpływy.

— Być może powinieneś również wyruszyć do Indii — zasugerowała Rose. Zignorował jej słowa. Siedział tak długo, że trzeba go było zaprosić na kolację.

— Co ja powiem parafianom? Że gdzie jest moja żona, która powinna zajmować się domem i organizować moje sprawy? Co ja im powiem?

— Prawdę, rzecz jasna. Zabrała dzieci do dziadków.

— Parafianie będą się nade mną litować.

— Lubią Fanny. Pomyślą, że jesteś wspaniałomyślny.

— Żaden mężczyzna by tak nie postąpił!

Kiedy on sobie pójdzie?, zastanawiały się niecierpliwie panna Proud, Rose i Mattie, myśląc o czekającej na Pont Neuf Fanny. Niech wreszcie podejmie jakąkolwiek decyzję.

Trzeciego dnia znów przyszedł rano i został do wieczora. Wpadł na pomysł, być może pod wpływem wuja biskupa, że obowiązkiem Rose jest pojechać z nim do Wentwater. Powinna mu gotować i zajmować się nim. Przecież nie miała nic lepszego do roboty, siedząc sama w Londynie.

Dokładnie na tym etapie rozmowy, nim Rose miała szansę wrócić do równowagi psychicznej po usłyszeniu jego słów, Mattie wprowadziła do salonu Dolly, wicehrabinę Gawkroger. Wydekoltowana suknia, płaszcz obszyty futrem, kwiaty we włosach. Sprawiała niecodzienne wrażenie. Częściowo z powodu stroju, częściowo z powodu wzrostu, ale głównie osobliwego spojrzenia. Wyglądała na znacznie starszą, niż w istocie była. Rose z rozbawieniem obserwowała Horacego.

— Dolly, poznaj męża mojej kuzynki Fanny, wielbnego Horacego Harbottoma. Horacy, oto wicehrabina Gawkroger.

— Och! — zawołał Horacy. Tytuł szlachecki! Natychmiast rozpląnął się w uśmiechu. — Niezmiernie mi przyjemnie. — Skłonił się bardzo, bardzo nisko.

— Ojej, kleryk o imieniu bohatera, jak uroczo — powiedziała Dolly, uśmiechając się odruchowo do przystojnego Horacego Harbottoma, który był od niej wyższy.

— Nie jestem klerykiem, droga pani. Mam własną parafię.

Dolly zignorowała go.

— Muszę z tobą pilnie porozmawiać, Rose. Na osobności.

— A może rada duchownego okaże się przydatna? — spytał z nadzieją Horacy.

— Z pewnością nie! — Po chwili Dolly zreflektowała się i przypomniała sobie o manierach. — Wybacz pan, prawda? Obiecuję, że nie zajmę wiele czasu. Mój powóz zatarasował całą ulicę, spodziewam się jakiejś awantury!

— Zaczekam w pokoju obok. Nie spieszy mi się, a nie skończyłem jeszcze rozmowy z kuzynką żony. Proszę mnie wezwać, gdybym mógł służyć pomocą.

Zaproponowano herbatę, lecz zarówno Horacy jak i Dolly woleli czerwone wino.

Dolly rozparta się na miękkiej sofie, Rose wybrała krzesło.

— Jak się miewasz, Dolly? — odezwała się grzecznie.

— Jestem chora — wyznała Dolly natychmiast. — Spodziewam się dziecka. Dla mnie to choroba. Nie mogę sobie teraz pozwolić na dziecko. W przyszłym tygodniu wybieram się do Egiptu z Williamem i George'em.

— Do Egiptu? Kiedy?

— W przyszłym tygodniu.

— W przyszłym tygodniu? — Rose wciągnęła ze świstem powietrze.

— Przecież mówię!

— Dlaczego?

— Przecież wiesz. Oni chcą szukać skarbów. Nie mogę być w ciąży. Nie pozwolę, żeby wyruszyli beze mnie. Niech sobie Ann rodzi dziedzica, nie ja!

— Boże! — Rose z trudem usiłowała dojść do siebie. — Ann jest w ciąży?

— Chwali się tym na prawo i lewo. Księżę Hawksfield nie wydaje się aż tak szczęśliwy, jak się spodziewała. Ubzdurzyła sobie, że księżę wolałby, żeby William ją zostawił z powodu bezdzietności i poślubił ciebie.

— Słucham?

— Wydaje się tobą zainteresowany.

— Kto?

— Księżę Hawksfield. — Dolly straciła zainteresowanie tematem. — Za pierwszym razem z łatwością udało mi się poronić. George nawet się nie domyślił. Tym razem się nie udaje. Musisz mi pomóc.

— Co masz na myśli?

— Pomóż mi pozbyć się ciąży. Byłaś mężatką przez pięć lat i nie masz dzieci. Z pewnością znasz sposoby.

Rose poczuła przeszywający ból w sercu. Musiała pamiętać, żeby w tej chwili skupić się wyłącznie na Dolly, nie myśleć o sobie.

— Droga mała Dolly — powiedziała z czułością i rozpaczą. — Wróć. Wiem, że gdzieś tam jesteś.

— Nie rozumiem cię. — Dolly chodziła po pokoju, przyglądając się różnym przedmiotom. — Przeszłaś długą drogę z Wimpole Street — uważała krytycznie. — Widziałaś się z Pierre'em Montandem? — szepnęła ledwie słyszalnie.

— Nie... od czasu jego powrotu do Paryża po... załatwieniu sprawy.

— Z pierścieniem mojej teściowej?

— Z pierścieniem z Egiptu, tak.

Dolly usiadła i parsknęła śmiechem. Przez chwilę wyglądała jak dawna Dolly. Dziewczynka przebrana w cudzą suknię.

— Szkoda, że nie widziałaś miny wicehrabiny! Miałabym tyle do opisanja, gdybym wciąż prowadziła dziennik! Książę jest nadal bardzo na nią zły, a często u nas bywa. Spotyka się z George'em i bankierami. Nie są w stanie uniknąć wchodzenia sobie w drogę. Wariują z napięcia! Wydaje mi się, że gdyby wuj wiedział wcześniej o kradzieży, nie dopuściłby do małżeństwa bez względu na pieniądze Fallonów. Nigdy nie widziałam go równie wściekłego.

— Powinnaś prowadzić dziennik, Dolly. Opisywać wszystkie interesujące rzeczy, które robisz.

— Nie potrafiłabym pisać o swoich doświadczeniach — wyznała po prostu głosem małej dziewczynki. — Kartki stanęłyby w płomieniach. — Przez moment siedziały w milczeniu. — Pomożesz mi?

Rose spuściła wzrok.

— Straciłam swoje dzieci, Dolly. Nie pozbyłam się ich. Bardzo pragnęłam zostać matką. A potem mój mąż został zabity.

— Aha. — Dolly poczuła się nieswojo. — Nie wiedziałam.

— George z pewnością zna sposoby.

— Nie mam zamiaru omawiać tego z George'em!

Zapadła cisza, którą pierwsza przerwała Dolly.

— Tak czy inaczej nie chcę dziecka. Muszę się go pozbyć. Uważałam, znam się na tym. Nie mogę uwierzyć, że znów zaszłam. Chcę zobaczyć Egipt i skarby, pojeździć na wielbłądach. Znam wiele osób, które potrafiłyby mi pomóc, ale przyjaźnią się z George'em. Dowiedziałyby się.

— Słyszałam, że podobne praktyki mogą sprawić, że nie będziesz mogła mieć dzieci, nawet jeśli zechcesz.

— Nie dbam o to. Skoro nie możesz mi pomóc, wracaj do swego kleryka. Muszę pokładać nadzieję w alkoholu! Liczę, że George nie dowie się o naszym spotkaniu. Wyjdiesz za Pierre'a Montanda?

— Nie. — Nie wiedziała, czy kłamie. Patrzyła z bólem na przedwcześnie postarzałą twarz dziewczynki. Ogarnęło ją poczucie bezradności. — Uważaj na siebie, Dolly. Mam nadzieję, że nie zrobisz niczego, czego byś potem żałowała.

Dolly ruszyła gniewnie w stronę wyjścia. Nagle zatrzymała się, jakby zdała sobie sprawę z tego, że Rose naprawdę na niej zależy.

— Do widzenia, Rose — powiedziała bezbarwnie. Nie miała jeszcze szesnastu lat. — Dziękuję.

Ku rozczarowaniu Horacego, który wybiegł z pokoju obok, słysząc głosy, wyszła bez pożegnania z nim.

Pastor rozparł się wygodnie na miękkiej sofie. Wino pobudziło jego wyobraźnię. Widział Rose na plebanii w Wentwater i nie był to nieprzyjemny obraz.

— Jak mówiłem wcześniej, najlepiej będzie, jeśli pojedziesz ze mną do Wentwater. Nie daję sobie rady, a ty nic nie robisz.

Nie dostrzegł nagłej bladości Rose, która myślała z rozpaczą: George wybiera się do Egiptu. Zadzwoiła po Mattie.

— Wracaj do Wentwater albo pływaj do Indii, lecz mnie w to nie mieszaj. Mam własne życie.

Poderwał się na nogi, wpatrywał się w nią szczerze zdumiony.

— Co to znaczy: własne życie? Co masz na myśli? Jesteś kobietą.

Chwycił ją za ramię. Jeszcze bardziej zdumiał go widok Mattie, która przyniosła jego płaszcz. Nie miał zamiaru jeszcze wychodzić.

— Wracaj do domu, Horacy — poradziła Rose.

*

Rose ruszyła biegiem w stronę małej grupki. Pędziła, przytrzymując długą spódnicę, nie zważając na stragany, tłum ludzi i odór dochodzący z Sekwany. Podbiegła do kuzynki, jak za dawnych lat.

— Jestem! — zawołała. — Jestem! — Chciało jej się płakać. — George depta mi po piętach!

Kobiety padły sobie w ramiona i zapłakały. Rose ścisnęła małe rączki dzieci, wszyscy mówili jednocześnie. Poszli do małego ekscentrycznego hoteliku na rue Mazarine, w którym zatrzymała się Rose. Napili się gorącej czekolady ze śmietanką. Mattie rozпалиła ogień. Dzieci odzyskały wigor. Stały wpatrzone w okno i pokazywały Mattie człowieka z pochodnią, który zapalał lampy uliczne. Wdychały zapach oleju. Obserwowały śmiesznych Francuzów. Bonjour i bon soir powtarzały raz po raz jak małe papugi.

— Co się stało? — spytała Fanny. Śmiała się, lecz była bliska łez. Na jej twarzy malował się niepokój. — Niemal straciłam wiarę w powodzenie naszego planu! Co powiedział?

— Przepraszam! Przyjechałyśmy dopiero dziś po południu.

— Rose ściszyła głos. — Horacy spędził u nas kilka dni.

Nie mówiła wystarczająco cicho. Mały Horacy odwrócił się gwałtownie w ich stronę.

— Papa przyjeżdża? — spytał rezolutnie, z nadzieją w roziskrzonych oczach. Usiadł obok ciotki. Jane przysła za nim.

— Papa przyjeżdża? — powtórzył natarczywie. Janey popatrzyła pytająco.

Rose spojrzała na rozpromienioną buzię chłopca. Oczywiście, że kochał swojego ojca.

— Nie przyjeżdża — oznajmiła wszystkim. — Na razie nie.

— Na twarzy chłopca pojawiło się wielkie rozczarowanie. — Zdajecie sobie sprawę, jak ciężko musi pracować. Zależy mu bardzo, byś uczył się pilnie, żeby mógł być z ciebie dumny.

— A ja, a ja? — zawołała Jane.

— Ty też, naturalnie — odparła jej ciocia ze świadomością, że Horacy ani razu nie wspomniał o córce, a o synu wspominał tylko w odniesieniu do własnych względem niego ambicji.

— I ja — wtrąciła Fanny z uśmiechem. Wciąż była zdenerwowana. — Wrócił do Wentwater. — Na twarzy Fanny pojawiła się ulga, którą usiłowała skryć przed dziećmi.

— Powinien tu z nami być — powiedział mały Horacy. Kopnął nienawistnie siostrzyczkę i wybuchnął płaczem. Jane krzyczała.

— Wasz papa prosił mnie jeszcze, żeby ci przekazać, Horacy, że teraz tobie przypada rola mężczyzny. Będziemy potrzebowały twojej pomocy — mówiła Rose, przekrzykując hałas.

— Chcę do domu! — wołał Horacy.

— Kopnął mnie! — płakała Jane.

Pięć minut później dzieci usnęły na sofie przy kominku. Łzy zasychały na ich buziach, w pokoju panowała cisza, w palenisku skwierczał ogień. Jane ssała wstążki od sukienki, Horacy przytulił się do poduszki.

— Tak jest od naszego wyjazdu — powiedziała zmartwiona Fanny. — Byłam przekonana, że zmiana miejsca dobrze im zrobi, tymczasem są nie do opanowania. Zwłaszcza Horacy. Być może źle zrobiłam, zabierając go z Wentwater. Nigdy ich takich nie widziałam. Mój syn jest na mnie wściekły.

— Zaczęła się śmiać, lecz jej śmiech zabrzmiał niczym szloch. — A więc Horacy pozwolił nam wyjechać?

— Chy... chyba tak.

— Nie odbierze mi dzieci?

Rose nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Uspokoi się na pewno. Nie wiem, jak postąpi.

— Rozumiem. — Patrząc na przerażoną twarz kuzynki, Rose zaczęła się zastanawiać, czy obie nie oszalały. — Jesteśmy dopiero we Francji! — zawołała Fanny. — Sądysz, że uda nam się dotrzeć do Indii?

— Posłuchaj, Fanny! George, William i Dolly również są w drodze!

— Słucham?!

Rose opowiedziała o odwiedzinach Dolly.

— Wyruszyliśmy natychmiast, tego samego wieczoru. Ale oni nie mogą być daleko.

— Ale... On nic nie wie o dziecku Harry'ego?

— Oczywiście, że nie!

— W takim razie to nie ma znaczenia, Rose. Udawaj, że interesują cię hieroglify!

— Obecność George'a zawsze ma znaczenie! Nie mogę wprost uwierzyć, że właśnie teraz postanowili wyruszyć!

— Najlepiej, żebyśmy od razu opuściły Paryż!

— Musimy się zobaczyć z Pierre'em Montandem. Ja się z nim muszę zobaczyć.

Fanny wyczuła dziwny ton w głosie kuzynki.

— Wyjedziemy po spotkaniu z nim. Jestem przekonana, że nam pomoże.

— Wysłałam mu wiadomość natychmiast po przybyciu na miejsce. Napisałam, że odwiedzimy go jutro rano w pracy i że chcemy wyruszyć do Egiptu najszybciej jak to możliwe. A także że Horacy zdecydował się zostać w Wentwater. Nie wiem, co powie. Prawdopodobnie mnóstwo rzeczy na temat niebezpieczeństw, na jakie narażone są podróżujące samotnie kobiety.

— Przypuszczam, że dzieci zostaną z Mattie. Sprawilyby nam kłopot!

— Ojej, Fanny... Pozwól im pójść. Nawet małe dzieci będą pod wrażeniem tych skarbów!

— Zwiedziliśmy Luwr i wcale nie były pod wrażeniem. Miałam wielką ochotę obejrzeć dokładnie tę wspaniałą długą galerię, ale Horacy zaczął gonić Janey. Wpadali na eksponaty i wrzeszczeli. Istny koszmar! W końcu musieli nas wyprosić! — Roześmiały się obie. — Horacy po raz pierwszy rozstał się z ojcem. Hotel de l'Empire to zupełnie inny świat niż Wentwater!

— Rany boskie, tam się zatrzymaliście?

— Mówiłaś, że to bezpieczne miejsce. Nagle zaczęło mi zależeć na bezpieczeństwie. Jestem z dziećmi. Mamy ogromny pokój, a wszyscy śpimy w jednym łóżku. Nie przeszkadza mi nawet to, że hotel jest pełen najokropniejszych turystów z Anglii!

— Ale tam jest okropnie drogo!

— Mam dużo pieniędzy.

— George bez wątpienia się tam zatrzyma. Mieszkam na lewym brzegu Sekwany właśnie dlatego, żeby go nie spotkać. Musimy natychmiast stąd wyjechać. Zaraz po rozmowie z Pierre'em.

Mattie przyniosła czerwone wino i gorącą wodę.

— Chciałabym wyjść jutro, kiedy panie będą u monsieur Montanda, panno Rose. Popytam w dokach o Korneliusza Browna.

TLR

Odeszła, nucąc pod nosem.

Rose i Fanny piły czerwone wino z gorącą wodą na rue Mazarine w Paryżu. W kominku migotał ogień, policzki im się zaróżowiły i zapomniały o zmartwieniach. Snuły plany i przypuszczenia, co też może je spotkać podczas tej wielkiej przygody. Obie się odprężyły. Za oknem rozlegał się szmer rozmów, ktoś śpiewał pod oknem. Wyprawa wreszcie się zaczynała.

Tej nocy Rose śniła sen, jaki mógłby się przyśnić heroinie z romantycznej powieści. Śniła, że Pierre Montand nie przestał jej kochać, razem znajdą dziecko, a potem będą żyli długo i szczęśliwie.

Serce Rose biło bardzo szybko, jakby chcąc po raz kolejny zadać kłam jej lekkomyślnym słowom skierowanym do Fanny: moje serce nie bije szybciej dla niego. Drżała lekko na całym ciele. Powie mu.

Wysiedli przed Commission de l’Egypte. Słońce świeciło jasno, ludzie przechadzali się ulicą. Jane pierwsza dostrzegła Pierre'a i zaczęła biec w jego kierunku. Jej maleńkie nóżki w błyszczących bucikach zaplątały się w długą spódnicę, dziewczynka wpadła prosto w objęcia czekającego w progu mężczyzny.

Pierre był rozluźniony i przyjacielski. Ktoś zawołał go po imieniu, odpowiedział z uśmiechem. Rose spłoneła rumieńcem na zalanej wiosennym słońcem paryskiej ulicy. Nie wyglądał na stęsknionego, wcale nie sprawiał wrażenia, jakby na nią czekał. Nawet na nią nie spojrzął. Czyżbym się spóźniła? Straciłam go? Odwróciła się prędko, instynktownie do Fanny, jednak ona zajęta była obserwowaniem córki, która z pełnym zachwytem ożywieniem opowiadała Pierre'owi wrażenia z podróży. Po wysłuchaniu relacji dziewczynki Pierre grzecznie przywitał się z paniami. Rose wyczuła dystans. Straciłam go, pomyślała. Poczwała, jak serce ściska jej zimna obręcz.

Horacy nieśmiało trzymał się z tyłu.

— Witaj, młody człowieku — zawołał Pierre na jego widok. — Ty musisz być Horacy.

— Skąd pan wie? — spytał sztywno chłopiec.

— Ja powiedziałam — pochwaliła się Jane. W bardziej sprzyjających okolicznościach Horacy by ją uszczypnął.

— Słyszałem, że szczypiesz swoją siostrę — zagadnął Pierre Montand.

Chłopczyk zaczerwienił się jak burak, wyprostował na całą wysokość swej sześciolletniej sylwetki i stanął dumnie z rękoma założonymi do tyłu. Stanowił piękny widok: był zawstydzony i wyniosły. Fanny odwróciła się, powstrzymując śmiech. Miała ochotę przytulić synka.

Dzieci zachwyciły się posągami lwów o głowach ludzi. Przesuwały paluszkami po błyszczących łebkach miniaturowych kotów. Wpatrywały się ze zdumieniem w jaskrawe płótna wielkie na całą ścianę i kamienną stopę sto razy większą niż ich stopki. Zapomniały o całym świecie, przynajmniej na chwilę. Zaniemówiły z wrażenia. Szły korytarzami pełnymi skarbów, dziwnych obrazów i bibelotów, aż po chwili zapomniały, gdzie są. Wentwater wydało się snem. Całe ich dotychczasowe życie wydało się snem i dzieci zaczęły płakać. Pierre Montand dał im po cukierku. Pomogło. Fanny zabrakło słów. Opowieści Rose w żaden sposób nie przygotowały jej na to, co zobaczyła: niezwykle obrazy, intrygujące papirusy, pokruszone posągi i tysiące barw. Widok niebieskiego pierścienia, który pamiętała z Berkeley Square, gdzie zdobił pomarszczoną dłoń wicehrabiny, zrobił na niej piorunujące wrażenie. Przez okna wpadały jasne promienie słońca. Wszędzie paliły się świece. Jednak dla Fanny skarby wciąż spowijał mrok: minionych epok i ukrytych znaczeń. Patrzyła na egipskich bogów oniemiała z zachwytem. Nie miała wątpliwości, że te piękne, przepelnione spokojem postacie to bogowie.

— Są urzekający — powiedziała Rose, stając za kuzynką. — Piękni i atrakcyjni. Wyglądają niemal, jakby się uśmiechali.

Nikt nie wspomniał o ich własnym Bogu. Rose dostrzegła znajomy posążek kamiennego skryby. Podniosła go i popatrzyła na skupioną twarz pisarza. Głos minionych wieków. Pierre odwrócił wzrok.

Fanny rozglądała się z zachwytem wokół.

— Nie spodziewałam się czegoś takiego — zwróciła się do Pierre'a. — Nie muszę już oglądać nic więcej.

— Skoro wybieracie się do Egiptu, zobaczycie podobne rzeczy wśród ruin, zwłok i szczurów — powiedział zarówno do niej, jak i do dzieci. Maluchy wymieniły przestraszone spojrzenia. Fanny popatrzyła na nie, a potem na niego, ze zdumieniem. Sądziła, że przemawia przez niego gorycz. Rose odrzuciła jego oświadczenia.

Do Rose nic nie docierało, wpatrywała się w jakiś kamień z wyrytymi hieroglifami.

— Widzę takie same znaki jak na kamieniu z Rosetty! — zawołała, jakby doznała obajwienia. — Widziałam w Londynie kamień z Rosetty, Pierre!

Mężczyzna odwrócił wzrok od jej rozpromienionej twarzy.

Przeszli do biura. Tego samego, w którym Dolly płakała gorzko, błagając o cud. Jane usiadła mamie na kolanach i wpatrywała się w Pierre'a oczami szerokimi jak spodki. Horacy usiadł na podłodze, koło cioci, która pogładziła go po włosach.

Pierre przez chwilę wpatrywał się w intensywnie błękitny kamień lapis— lazuli, którego używał jako przycisku do papieru. Podniósł wzrok znad nieuporządkowanego biurka.

— Posłuchajcie. Byłem wstrząśnięty wiadomością, którą wczoraj otrzymałem. O waszym przybyciu do Francji i planowanej podróży do Egiptu bez wielebnego Harbottoma. Egipt nie jest miejscem dla kobiet, a już z całą pewnością nie dla dzieci. — Rose próbowała mu przerwać. — Nie mogę was powstrzymać przed tym szaleństwem, ale proszę, byście mnie przynajmniej wysłuchały. Mówiłem już w Londynie, że Egipcjanie nie są gościnni wobec cudzoziemców. W naj— koszmarniejszych snach nie jesteście w stanie sobie wyobrazić, co was czeka w Egipcie, jak okrutne panują tam warunki. Pozwólcie, że opowiem tyle, ile pamiętam. Zacznę od najmniej drastycznych rzeczy. Niewyobrażalny brud. Woda w Nilu jest

skazona. Ludzie ślepną. Słońce, piasek i muchy. Nie przywitają was przyjaźni tubylcy, lecz rozwścieczeni barbarzyńcy o chorych oczach albo bez oczu. Ja sam zaraziłem się tą chorobą. Nazywa się egipskie zapalenie oczu. Objawy są tak bolesne, że nie życzyłbym ich najgorszemu wrogowi. Całe miasta giną od zarazy. Latem w Kairze jest tyle much, które siadają na rękach, twarzach, każdej odkrytej części ciała, że ludzie wydają się czarni. Widziałem na ulicy mężczyznę, który próbował się napić. Nakrył czarne naczynie czarną dłonią i podniósł do czarnych ust. Trudno mi sobie wyobrazić, ile much musiał połknąć. Po ulicach Aleksandrii krąży tysiące szcurków i karaluchów dużych na sześć centymetrów, czerwonych, z długimi ruchomymi czułkami.

Jane zaczęła przeraźliwie krzyczeć, a Fanny poderwała się na nogi z oburzeniem.

— Jak pan śmie straszyć w ten sposób dzieci!

— Mają prawo wiedzieć, gdzie je pani zabiera.

Rose również wstała. Trzymała za rękę Horacego.

— Mam teraz spotkanie — oznajmił Pierre. — Za kilka godzin odwiedzę was w hotelu. Wtedy porozmawiamy. Tymczasem zastanówcie się nad tym, co powiedziałem.

Odprowadził ich do wyjścia. Jane płakała niemal równie rozpaczliwie jak niegdyś Dolly po spotkaniu z Pierre'em.

Zastaly Mattie bardzo ożywioną. Rozmawiała z marynarzem, który znał jej męża. Korneliusz Brown pracował na statkach handlowych i wybierał się do Egiptu.

— Widać jest mi pisane go spotkać.

— Bóg? — spytała z roztargnieniem Rose.

— Przeznaczenie — odparła złowieszczo Mattie. — Jego przeznaczeniem jest doświadczyć mojego niezadowolenia! Marynarze przebąkują o

wojnie, panno Rose. Musimy się spieszyć — dodała rzeczowo. — Czy zabrać dzieci na lody? Te dwie młode osoby są chyba w fatalnym stanie. Potem spróbuję je przekonać, aby się zdrzemnęły godzinę albo nawet dwie, choć jest dopiero piętnasta.

— Dziękuję, Mattie — zgodziła się z wdzięcznością Fanny.

Mattie udało się skusić Jane i Horacego obietnicą słodkości.

Wyprowadziła bardzo blade i przestraszone dzieci.

— Co robimy? — spytała Fanny, z której twarzy także odpłynął kolor. — Powinnam była się lepiej zastanowić, myślałam tylko o tym, aby jak najprędzej uciec z Wentwater.

— On nas próbował przestraszyć. Posłużył się dziećmi, żeby nami wstrząsnąć. Kobiety podróżują do Egiptu, sam przyznał w Londynie.

Zbyt długo czekałam. Straciłam go, pomyślała.

— Ale z mężami i bez dzieci.

— Wiem. Sam jest podróżnikiem. Powinien nas zrozumieć.

— Nie potrafię świadomie narazić dzieci na niebezpieczeństwo. Nie wolno mi tego zrobić, Rose.

— Wiem, kochana Fanny, wiem.

— Ojciec naturalnie założył, że przybędziemy dłuższą drogą.

— Wiem.

— Nie mam pojęcia, co robić.

Przyszedł Pierre. Podziękował za herbatę.

— Przepraszam, nie mogę długo zostać, jestem umówiony. — Rose wyobraziła sobie piękną młodą kobietę wpinającą kwiaty we włosy. — Spotkałem wicehrabiego Gawkrogera z żoną i szwagrem przed Commis-
sion.

— Już przyjechali? — Usłyszał nutkę paniki w głosie Rose.

— Zażyczyli sobie ponownego obejrzenia kolekcji egipskiej. Musiałem im powiedzieć, że niestety nie jest ona już dostępna dla publiczności. Chyba nic nie wiedzą o twoich planach, Rose. Nie wspominali o nich.

— Oczywiście, że nie. Powiedziałaś im?

Popatrzył na nią z nieodgadniętym wyrazem twarzy.

— Obwiniam się o to, że opowiedziałem ci o wspaniałościach Egiptu, pokazałem jego skarby. Ja podróżowałem pod ochroną wojska, u boku samego Bonapartego. Mieliśmy za sobą potęgę Francji, odpowiednie środki i narzędzia, by zbudować godziwe kwatery. Poza tym, proszę wybaczyć, nie było wśród nas kobiet. A jednak tysiące ludzi poległo. To nie jest romantyczne społeczeństwo, które zadziwi świat swą wiedzą, pięknem i sekretami. Egipcjanie stracili zainteresowanie własną kulturą wieki temu. Stanowią zbieraninę Turków, Mameluków, Arabów, Greków i Żydów. Przybyłe tacy jak my muszą mieszkać w specjalnie wyznaczonych rejonach dla Franków. Tak nazywają wszystkich Europejczyków. Bramy są zamykane o zmierzchu, a mieszkańcy żyją w strachu. Są to przeważnie kupcy, którzy po wyjeździe wojsk stracili wszelką ochronę. Mam nadzieję, że nie liczycie na znalezienie przyjemnego hotelu!

— Nie — zapewniła go Rose. — Wiem, że nie ma tam hoteli. Przeczytałam wszystkie książki, jakie udało mi się zdobyć.

Roześmiał się szyderczo.

— Wobec tego musisz sobie zdawać sprawę, że jedyne miejsce, w którym możesz się zatrzymać, jest tym samym, w którym spotkasz szwagra. Jak zabierzesz się do poszukiwań dziecka? Od czego zaczniesz? Będziesz zamknięta w getcie dla cudzoziemców, a wokół usłyszysz muezinów, wzywających na modlitwę do obcego Boga, którego wyznawcy cię nienawidzą. Proszę zabrać dzieci do Indii okreśną drogą, Fanny. Statkiem dookoła Afryki. Egipt to nie Indie! W Indiach Brytyjczycy, dzięki Kompanii

Wschodnioindyjskiej stworzyli swój własny świat. Egipt jest zbyt okrutny. To zaburzona, dzika cywilizacja, całkowicie nam obca, nieuznająca żadnych praw. Turecki pasza siedzi w swoim pałacu w Kairze, a Aleksandrią rządzą Mamelukowie. Szaleni ludzie. Sami są obcy w tym kraju, nienawidzą siebie nawzajem, Turków i Egipcjan. Przybyli przed wiekami z Kaukazu lub Gruzji jako niewolnicy, by stać się okrutnymi władcami. Atakują na oślepa. Panuje tam całkowity chaos! Powiem brutalnie i szczerze: prawdopodobnie zginiecie. Samotnie podróżujące kobiety z dziećmi w mieście, które nie ma duszy. Inni cudzoziemcy, kupcy, to również osoby niegodne zaufania. Dezerterzy i łajdacy.

— Jeden z nich przygarnął ciężarną — przypomniała Rose. — Można przypuszczać, że przynajmniej niektórzy mają serca.

— Nie wykluczam! Jednak prawie zawsze okazuje się, że tak naprawdę chodzi o pieniądze. Tam panuje teraz lato, dzieci nie zniosą upału. Powiniennem był was ostrzec już w Londynie, lecz nie znałem wielebnego Harbottoma, mogłem przypuszczać, iż ma wystarczającą świadomość zagrożeń. Nie chciałem się wtrącać, pomyślałem, że nie mam prawa. — Popatrzył przelotnie na Rose i odwrócił wzrok.

Kobiety milczały przez parę chwil. Pierwsza odezwała się Fanny.

— Wspominałeś, że język koptyjski jest używany w chrześcijańskich kościołach. Chrześcijanie z pewnością nam pomogą.

— Och — westchnął. — Egipt szczycił się tolerancją religijną. Przez długie lata Koptowie, żydzi i muzułmanie żyli zgodnie. Dziś Koptowie nie czują się dużo bardziej bezpieczni niż intruzi z Europy. Poza tym obrzędy koptyjskie w niczym nie przypominają naszych. Podobno Koptowie są rdzennymi Egipcjanami pochodzącymi od samych faraonów. Mnie bardziej przypominali muzułmanów niż chrześcijan. — Westchnął. — Urodziłem się katolikiem, ale nie jestem zatwardziały w swych

v poglądach. Nie można poświęcić życia studiowaniu starożytnych cywilizacji — ja nie potrafię — i wierzyć, że chrześcijaństwo to jedyna prawda.

— Niektórzy Egipcjanie są cywilizowani, wykształceni. Czytałam o nich. Wspominałeś, że zostałeś zaproszony do domu naukowca. Nie wszyscy muzułmanie są niebezpieczni. Ojciec mówił mi, że islam to stara, piękna religia. Podobnie jak nasza. Opowiadał o Egipcie z zachwytem. Dlaczego dla mnie i dla Fanny nie miałby on być równie fascynujący?

— Ponieważ jest to świat należący do mężczyzn. Ile razy mam mówić? Samotna kobieta nie jest bezpieczna. Za czasów twojego ojca prawdopodobnie było tam dużo spokojniej. Ponosimy odpowiedzialność za zmiany na niekorzyść. Wpływ cudzoziemców, również Napoleona, przyznaję, zakłócił porządek w tym prymitywnym starożytnym kraju. Brakuje stabilizacji, jakiegokolwiek porządku. Nil wylewa, chłopci zbierają bogate żniwa, a inni zbierają profity: Turcy, Anglicy, Francuzi, Niemcy, Portugalczycy, Grecy... Wszyscy poza samymi Egipcjanami. Od dawien dawna.

Zapadał zmierzch.

— Muszę już iść — powiedział, nie ruszając się. — Co do dziecka... — Wreszcie spojrzał uważnie na Rose. — Twój szwagier dowie się o nim natychmiast po przybyciu do portu w Aleksandrii. Wystarczy, że powie swoje nazwisko.

— Nie!

— Wszyscy Frankowie znają się nawzajem, została ich tylko garstka. Każdy słyszał o kapitanie Fallonie i zna okoliczności jego śmierci. Nie ma takiej możliwości, żeby George się nie dowiedział. — Przerwał przestraszony śmiertelną bladością Rose. — Wybacz. Wiem, że robiłaś sobie wielkie nadzieje. Żałuję swego udziału w całej sprawie. Twój plan jest nieprześlany. To romantyczne mrzonki, które skończą się tragedią. A jeśli ja-

kimś cudem znajdziesz dziewczynkę, jeśli nie została ukamienowana jak matka...

— Przestań!

— W Egipcie nie będzie miejsca na delikatność, Rose! Jeżeli znajdziesz dziewczynkę, według przepisów angielskiego prawa musisz ją oddać wiechrahiemu Gawkrogerowi.

Pierre był tak rozwścieczony, że zapomniał o manierach i powściągliwości.

— Popeliłem wielki błąd, mówiąc ci o dziecku. Nie rozpoznałem w tobie szaleństwa. — Jego słowa ukłuły ją boleśnie, ponieważ przypomniały rozmowę z George'em. — Nie potrafię ukrywać, co o was myślę. Jesteście nieodpowiedzialnymi żądnymi przygód wariatkami. Za nic macie bezpieczeństwo dzieci, nie rozumiecie, że kładziecie na szali ich życie. Zawiesz je w ruiny i chaos Aleksandrii? Chcesz, żeby przeprawiły się z karawaną przez pustynię, Fanny? Chcesz je narazić na ryzyko zarażenia jakąś chorobą?

— Wydawało mi się... Sądziłam, że wyprawa poszerzy ich horyzonty i otworzy umysły. Zmieni ich życie na zawsze. — Głos Fanny się załamał.

— To byłaby niewybaczalna lekkomyślność! Przepraszam — zreflektował się nagle Pierre. — Niepotrzebnie się wtrącam. Nie mam prawa na was krzyżeć.

Rose wpatrywała się w niego w milczeniu. Nie kocha mnie. Uważa mnie za obłąkaną, myślała.

— Pierre, uważam, że niesprawiedliwie nas osądzasz — odezwała się z wielkim wysiłkiem. — Spędziłam wiele czasu na przygotowaniach do tej podróży.

— Bardzo niewiele napisano na temat Egiptu! Nie można się przygotować na coś takiego, Rosette — powiedział łagodnie.

Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie na wieczorku u Józefiny. Przygryzła usta i spuściła głowę.

— Pierre — zaczęła, nie patrząc mu w oczy. — Wybacz mi. — W pokoju hotelowym na rue Mazarine zapadła dziwna cisza. Jej słowa miały wiele znaczeń, z których każdy z obecnych zdawał sobie sprawę. Pierre milczał, Fanny również. Wreszcie Rose westchnęła. — Muszę odszukać dziecko. Nie miej mi za złe wierności własnym marzeniom.

Pierre popatrzył na Rose z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Po chwili rzekł bardzo cicho:

— Nie będę się spierał. Ostrzegłem was. Więcej zrobić nie mogę. — Potarł twarz dłonią, jakby zastanawiając się nad czymś. — Chcę, żebyście wiedziały jeszcze jedno. Powinnyście natychmiast opuścić Paryż. Wyjechać z Francji najszybciej, jak to możliwe.

— Czyżby znów miała wybuchnąć wojna? Tak szybko?

Oczywiście nie mógł odpowiedzieć. Był Francuzem i podwładnym Napoleona. Zarumieniła się ze wstydu. Fanny również zrozumiała jego sytuację.

— Proszę, wybacz nam. Stawiamy cię w niewygodnym położeniu.

Jej drobna twarz przybrała stanowczy wyraz, który Rose dobrze знаła. Fanny podjęła decyzję.

— To wasz kraj, wasz król postawił mnie w niewygodnym położeniu! — odparł gniewnie. — Wydaje wam się, że pragniemy kolejnej wojny? Wasz rząd łamie warunki traktatu, odmawia wycofania wojsk z Malty. W gazetach publikowane są obrzydliwe kłamstwa na temat Francuzów i Napoleona, a rząd zasłania się „wolnością słowa”. Jeśli Anglia wypowie nam wojnę, będzie wojna.

Zapadła niezręczna cisza.

— Masz rację — odezwała się po chwili Fanny. — Jeżeli istnieje jakiekolwiek ryzyko wojny, nie mogę narażać dzieci na niebezpieczeństwo. — Popatrzyła na Rose. — Przepraszam, kochana, to moja wina. Wiesz, jak bardzo chciałam być z tobą, ale nie wolno mi narażać życia dzieci.

— Wiem. — Rose położyła rękę na dłoni Fanny.

Na twarzy Pierre'a odmalowała się nieopisana ulga.

— Zatem wróćcie do Anglii? — spytał, siadając obok nich. — Cieszę się. Powinnyście jak najszybciej opuścić Paryż. Pomogę wam, jak tylko będę potrafił. Nie zniósłbym myśli, że podjęłyście tak ryzykowną podróż w równie niebezpiecznych czasach.

Obie popatrzyły na niego ze zdumieniem.

— Nie — odparły razem.

— Co to znaczy: nie?

— Ja nie rezygnuję z podróży. Sądziłam, że to jasne.

— Oczywiście — poparła ją Fanny. — Plany Rose i Mattie pozostają niezmienione. Opuzczą Francję natychmiast, zgodnie z twoją radą. Dziękuję, Pierre. Jesteś prawdziwym przyjacielem. Ja wyruszam jutro rano do Anglii. Popłyniemy dłuższą drogą. Bezpieczniejszą dla dzieci. A potem naturalnie spotkamy się wszyscy w Indiach. — Spojrzała z miłością na Rose. W jej spojrzeniu malowały się smutek i zdecydowanie.

Kilka tygodni później w efektownym budynku na Leadenhall Street znanym jako East India House, siedzibie Kompanii Wschodnioindyjskiej, Hindusi w turbanach serwowali gościom herbatę w angielskiej porcelanie firmy Wedgwood. Poczęstunki były jednym z powodów, dla których biskup lubił odwiedzać to miejsce. Za zamkniętymi drzwiami toczyły się poważne męskie rozmowy. Wielebny Horacy Harbottom, jego wuj (biskup), adwokat oraz dyrektorzy Kompanii kręcili potępiająco głowami. Jeden z młodszych dyrektorów wpatrywał się w swoje paznokcie, myśląc, że gdyby musiał zbyt długo znosić towarzystwo biskupa i jego bratanka, sam zastanawiałby się nad ucieczką do Indii. Mimo fizycznej atrakcyjności pastora. Większość zebranych mówiła bardzo wiele na temat obowiązku. Jak zauważył młody dyrektor, rozmowa nie dotyczyła obowiązków Kompanii ani Kościoła, ani też obowiązków prawników, a już najmniej obowiązków wielbnego Horacego Harbottoma i jego wuja biskupa. Wszyscy zgodnie omawiali obowiązki Fanny Harbottom. Powoływali się na literę prawa. Wysłano listy. W imieniu angielskiego sądownictwa, Kościoła Anglii oraz Kompanii Wschodnioindyjskiej. Wszystkie adresowane do ojca Fanny, który również miał obowiązki. Młody dyrektor nic nie napisał. Gdyby miał to zrobić, z pewnością byłby to zabawny list.

Tymczasem pani Harbottom zdążyła odpłynąć daleko. Obudziła się, słuchając szumu fal i szmeru głosów. Na pokładzie „Skarbu” jak zwykle o świcie odbywało się spotkanie grupy kwa krów.

— Bóg jest miłością — mówili.

„Skarb” nie był dużym statkiem. Kiedy udało mu się wyjść cało ze sztormów w Zatoce Biskajskiej i pasażerowie mogli wreszcie opuścić koje, kwakrowie obecni na pokładzie rozpoczęli swoje spotkania modlitewne, co wywołało protesty misjonarzy podróżujących z ramienia Kościoła Anglii do Afryki oraz pastora wybierającego się do Indii. Złożyli oni formalną pi-semną skargę w sprawie zakłócania spokoju, choć kwakrowie często po prostu wspólnie milczeli na swych zebraniach.

Kapitanowi było wszystko jedno, a kwakrowie mieli poparcie pewnej bardzo wysoko urodzonej osobistości, co ułatwiło znacznie osiągnięcie kompromisu. Ustalono, iż modlitwy mają się odbywać przed śniadaniem.

Tak więc spotykali się o świcie. Fanny z ciekawością obserwowała spotkania. Przychodziła, kiedy dzieci jeszcze spały. Wszyscy traktowali ją bardzo przyjaźnie i stała się prawie częścią grupy. Kwakrowie wychwalali piękno i ogrom świata. Siedzieli w milczeniu lub mówili o Bogu i do Boga. Zarówno mężczyźni jak i kobiety byli traktowani jednakowo, mieli równe prawa. Bóg jest miłością, powtarzali często. Stanowili fascynujące zbiorowisko ludzkie. Nie wszyscy nosili szare ubrania. Wyjaśniono Fanny podział na „radosnych” i „skromnych” kwaków. „Radośni” częściej się śmiali i śpiewali. Pewnego wieczoru niski dżentelmen zwany panem Augustem zaśpiewał pasażerom „Skarbu” pięknym tenorem o kłopotach „Barbary Allen”, a następnego dnia o świcie rozmawiał już z współwyznawcami o łasce Pańskiej.

Pastor podróżujący do Indii, gdy dowiedział się, że Fanny jest żoną duchownego Kościoła Anglii, zaczepił ją pewnego popołudnia, by wygłosić wyczerpujący monolog na temat jej obowiązków wobec Boga oraz arogancji odszczepieńców. Fanny podziękowała mu z uśmiechem i wycofała się z niejaką trudnością.

Pewnego dnia, ku własnemu zaskoczeniu, przerwała ciszę spotkania. Najpierw mówiła niepewnie, ale stopniowo jej głos nabierał przekonania i siły.

— Nazywam się Fanny Hall Harbottom — zaczęła. Opowiedziała o bliskości z Bogiem, którą czuła w dzieciństwie. O rozmowach z Nim. Zebrani kiwali głowami ze zrozumieniem. Kilka dni później zebrała się na odwagę, by opowiedzieć o swym dorosłym życiu. O trudnościach w nawiązaniu z Nim kontaktu, o daremnych staraniach. Nie wspomniała, że najtrudniej jej było odnaleźć Boga, kiedy mieszkała z Jego sługą.

— Bądź cierpliwa — pocieszyli ją. — On przemówi.

Fanny poczuła się pokrzepiona na duchu,

Po spotkaniu zaczepiła ją zjawiskowo piękna księżna Bray— field, znana i wpływowa osoba zaprzyjaźniona z rodziną królewską. Ta sama, którą Rose poznała w pałacu księcia Walii kilka lat wcześniej i postawiła sobie za wzór. Fanny czytywała o niej w gazetach, a nawet widywała jej karykatury, które są przecież oznaką niebywałej popularności. Arystokratka pochwaliła przemówienie Fanny.

— Czy wasza wysokość należy do zgromadzenia?

— Jestem bardzo radosną kwakierką — odparta z wielkim wdziękiem. — Jednak to jedynie pretekst! Pragnę się przesiaść wkrótce na inny statek, by spotkać się z mężem. Mam nadzieję, że nasze trasy się przetną, choć niestety na morzu nie da się tego do końca przewidzieć. Pragnę pani powiedzieć, że ma pani prawdziwy dar. Zwraca się pani bardzo prosto i bezpośrednio do grupy. Przychodzi to pani naturalnie. Zastanawiałam się... Proszę się nie obrazić... Czy nie zechciałaby się pani do nas przyłączyć?

— Zostać kwakierką? — Nic nie mogłoby jej bardziej zaskoczyć.

— Odnaleźć Boga na nowo z naszą pomocą.

— To moja własna podróż, wasza wielmożność — odparła cicho Fanny.

— Oczywiście. — Księżna spojrzała na nią z uznaniem. — Oczywiście. Uważam, że byłaby pani wspaniała jako kaznodzieja.

— Kaznodzieja! — roześmiała się szczerze i z niedowierzaniem. Potrząsnęła rudymi włosami. — Mój mąż jest pastorem w Kościele Anglii!

Tym razem księżna wyglądała na zaskoczoną. Uśmiechnęła się.

— Wierzymy, że wiara w Jezusa Chrystusa jednoczy ludzi ponad podziałami. Kobiety i mężczyźni.

— Mój mąż jest innego zdania — odparła gorzko Fanny.

Przechylały się przez burzę, patrząc w morze pod nimi. Dzieci pilnowane przez marynarzy bawiły się na drugim końcu pokładu.

— Jak to się stało? — spytała cicho księżna. Fanny popatrzyła na nią ze zdumieniem. — Jest pani żoną pastora, a jednak trudniej jej odnaleźć Boga niż wcześniej.

— Och. — Fanny wpatrywała się w fale. Księżna nie naciskała. Była zapatrzona w horyzont. Obie widziały pustkę. I błękitno— szarą wodę jak okiem sięgnąć. Nagle Fanny, niespodziewanie dla siebie samej, zaczęła opowiadać obcej kobiecie, jak trafiła na pokład „Skarbu”. Księżna słuchała uważnie, od czasu do czasu zadając pytania. Nie wyrażała swoich sądów. Fanny pominęła pewne rzeczy, te najgorsze.

Nagle podbiegł oburzony Horacy.

— Jane mnie ugryzła! — poskarżył się z wściekłością. — Czekałem i czekałem, żeby ci powiedzieć, ale rozmawiasz, a nie wolno przerywać, kiedy ktoś rozmawia, i ślad zaczął znikać. Więc... Popatrz... Sam się jeszcze raz ugryzłem w tym samym miejscu, żebyś mogła zobaczyć!

Jego buzia była purpurowa z gniewu i potępienia dla siostry. Wyciągnął ramię, prezentując ślad po ugryzieniu. Naturalnie obie kobiety wiedziały, że nie wolno im się roześmiać. Fanny wzięła synka za rękę.

— Najpierw przywitaj się z księżną Brayfield, Horacy. A Jane musi przeprosić.

Horacy oswobodził rączkę z uchwytu mamy, wyprostował się i złożył obie dłonie na plecach.

— Dzień dobry, wasza wielmożność — powiedział, jak nauczył go ojciec. — Bardzo mi przyjemnie. — Uśmiechnął się. — Mój ojciec lubi księżne i księżęta. Żałuje, że w Wentwater ich nie ma, żeby mógł się z nimi spotykać. Tak mi powiedział.

— Ach, tak? — odparła zadumana księżna.

Następnego ranka na horyzoncie pojawił się inny statek. Wszyscy pasażerowie byli zachwyceni perspektywą ujżenia nowych twarzy. Statki zbliżyły się do siebie i ludzie stojący przy burcie krzyczeli „Boże chroń króla!”. Ich głosy ginęły na wietrze. Przygotowano małą łódkę dla księżnej. Włożyła kapelusz z wielkim rondem, mówiąc:

— Jeśli wpadnę do wody, chcę być dobrze widoczna!

Odciągnęła Fanny na bok od rozkrzyczanego zbiorowiska ludzi.

— Proszę posłuchać, nim się rozstaniemy, muszę coś pani powiedzieć. Wiele myślałam o trudnej sytuacji, w jakiej się pani znalazła. Ta szokująca rozmowa na środku oceanu pozostanie naszą tajemnicą! — Fanny sprawiała wrażenie zagubionej. — Polubiłam panią bardzo i uważam, że posiada pani ogromny talent.

Fanny nie potrafiła ukryć zaskoczenia. Nikt nigdy nie mówił jej, że ma jakikolwiek talent. Księżna uśmiechnęła się tajemniczo, przytrzymując kapelusz.

— Moja droga, z doświadczenia wiem, że mając niewielki wybór... A pani wielkiego wyboru nie ma, kochając mocno swoje dzieci... trzeba uciec się do podstępu. Wpadłam na przedziwny pomysł i mam nadzieję —

wniosła oczy do nieba — że Bóg w swej nieskończonej mądrości nie porazi mnie za niego swym gniewem, gdy zstąpię do oceanu.

TLR

Późnym popołudniem ich oczom ukazały się ruiny wieży na tle piaszczystego wybrzeża.

Potem wyłoniły się ruiny prastarego miasta. Rose kurczowo ścisnęła burtę.

Egipt.

Wpłynęli do „nowej” przystani dla cudzoziemców. Nie mogli zacumować w sąsiedniej, była przeznaczona wyłącznie dla muzułmanów.

— Nazywanie obrzydliwej przegniłej kupy drewna „nową przystanią” to kpina — narzekała pani Venetia Alabaster, z domu Dawkins, była artystka zespołu Śpiewających Akro— batek, a obecnie żona kupca. — Na tym brzegu stał niegdyś pałac Kleopatry. Przeżywamy obok jego ruin. Znajdowała się tu również wspaniała latarnia na Faros, jeden z siedmiu starożytnych cudów świata — mówiła pani Alabaster. — Zapadła się w morze. Pozostały okropne, bezużyteczne kamienie. — Zakryła twarz chustą, jakby nie mogła patrzeć na szare kamienie.

Rose i Mattie poznały panią Alabaster, gdy wsiadła na pokład w Leghorn, była wtedy ubrana podobnie jak one, w wydekoltowaną suknię z wysokim stanem. Żółte włosy miała ułożone w nieco staroświecki sposób. Wieczorami spotykały się na pokładzie. Żadna z nich nie wyjawiała do końca prawdziwego celu podróży. Pani Alabaster powiedziała, że podróżuje w interesach. Rose zrewanżowała się historią o spełnieniu dziecięcych marzeń. Pani Alabaster miała zwyczaj strzelania stawami podczas rozmowy, podobnie jak inni ludzie chrząkali lub bębnilo palcami. Dziś ubrała się jak Arabka. Jasne włosy schowała pod czarnym czadorem.

Szwedzki statek handlowy wpływał do przystani, lawirując między ogromnymi kamiennymi blokami i stosami gruzu. Rose rozglądała się z niedowierzaniem. A więc to jest kolebka magicznych hieroglifów?

Nagle zaparło jej dech w piersiach na widok wysokiego obelisku.

— Nazywają je Iglami Kleopatry — wyjaśniła pani Alabaster. — Jest jeszcze jedna, której stąd nie widać. Oczywiście nie mają żadnego związku z Kleopatą. Witamy w Egipcie.

Mattie przyglądała się wszystkiemu z wielkim zaciekawieniem.

— Mam przecucie, że znajdę swojego męża, panno Rose.

W oddali rysowała się samotna, lśniąca, różowa kolumna.

— Koryncka — mruknęła pani Alabaster, która wpatrywała się w brzeg, szukając wzrokiem pana Alabastra.

Podpłynęła mała łódka z dwoma urzędnikami, którzy chcieli rozmawiać z kapitanem. Kapitan przekazał później swym jedynym pasażerom złe wieści. W mieście panowała wroga atmosfera, odwołano brytyjskiego konsula. Albańczycy obalili tureckiego paszę w Kairze. Cudzoziemcy nie byli mile widziani. Wkraczali na teren Aleksandrii na własne ryzyko. Wszystkie kobiety musiały zakrywać włosy i twarze. Nadpłynęła kolejna łódka z mężczyznami w turbanach i długich szatach. Krzyczeli w dziwnym gardłowym języku i wrogo patrzyli na kobiety z odkrytymi głowami.

Kapitan zerknął na Rose.

— Skoro konsulat zamknięto, niebezpieczeństwo sięgnęło zenitu. Rozładujemy towar i natychmiast wracamy do Leghorn. Zawsze z ulgą opuszczam to obrzydliwe miejsce. — Z brzegu i wody unosił się przeraźliwy fetor. — Proszę ze mną wrócić, tak będzie lepiej.

— Wykluczone — odparła Rose. Cała się trzęsła ze strachu.

— Oczywiście — poparła ją Mattie.

— Na pewno?

— Tak.

Rose obejrzała się za siebie, na darmo szukając śladów cywilizowanego świata, który zostawili po drugiej stronie Morza Śródziemnego. Widziała jedynie wodę.

Pani Alabaster pomachała komuś na brzegu.

— Jest i Archie. Spodziewa się mnie od kilku dni. Możecie się przyłączyć do nas, jeśli nie wracacie. Pożyczę wam jakieś chusty. Oczywiście wybieramy się do bazy Franków. Wy też nie macie innego wyjścia.

Statek zarzuci! kotwicę i od razu rozpoczęto rozładunek.

Rose nadal nie mogła uwierzyć własnym oczom. Kilka zakurzonych palm daktylowych zdobiło zrujnowany brzeg miasta Aleksandra Wielkiego, wspaniałego miasta Kleopatry, ostatniego marzenia Antoniusza, ponurego cuchnącego gruzowiska, w którym mieszało się tysiące historii, łącznie z jej własną. Aleksandria.

Dopłynęły do brzegu małą łódką. Powitał je przykry zapach, piasek, gruzy, iglice meczetów i wrogie twarze. Poczwały ulgę na widok francuskiej flagi, która reprezentowała dla nich cywilizowany świat. Zapomniały na moment, że są w stanie wojny z Francją. Do bazy mieli się udać na małych osłach.

— Tylko Turkom i Mamelukom wolno jeździć konno — wyjaśniła z urazą w głosie pani Alabaster. — Chcą, żebyśmy wyglądali jak idioci.

Pan Alabaster sprawiał wrażenie nieco zmęczonego i zaniedbanego, aczkolwiek tryska! energią.

— Nie patrzcie nikomu w oczy — powiedział cicho do Rose i Mattie. — Znają mnie tu od lat, lecz niczego nie gwarantuję w tej atmosferze. Po-dróżujecie ze mną na własną odpowiedzialność.

Pan Alabaster i mężczyzna w turbanie z dziwacznym mieczem przypiętym do pasa pojechali przodem. Za nimi w rzędzie trzy kobiety. Rose i Mattie przytrzymujące przy twarzach chusty oraz pani Alabaster, której oczy były przepełnione niemal taką samą pogardą jak oczy Arabów. Mężczyźni trzymali bagaże na ramionach.

Wokół panował hałas. Kakofonia obcych dźwięków. Rose trzymała się mocno grzywy osła i rozglądała uważnie wokół, jak dalece pozwalała długa czarna chusta, upięta przez panią Alabaster tak, że skrywała brwi i nos. Pociła się obficie ze strachu i gorąca. Mężczyźni w turbanach i kobiety w czarnych czadorach wbijali wzrok w podróżnych. Wychudzone koty przebiegały pod kopytami osłów. Panowały nieznośny zaduch, smród, atmosfera zagrożenia. Czy to ma być kolebka wiedzy? Hieroglifów? Miejsce wynalezienia pierwszego zegara? Rose nie potrafiła tego pojąć. Podniesione, wwiercające się w uszy głosy Arabów. Rozmawiających, krzyczących, zachwalających towar, nawołujących. Wszędzie piasek. Miała go już nawet w ustach, czuła go na zębach i na języku. Gruzy. Tysiące much i innych owadów. Ślepcy. Niektórzy w ogóle nie mieli oczu. Pierre ją ostrzegał, lecz na darmo. W skrytości ducha liczyła przynajmniej na rozłożyste palmy i płatki róż.

Aleksandria sprawiała wrażenie jednego wielkiego gruzowiska. Po chwili Rose zdała sobie sprawę, że wśród gruzów mieszkają ludzie. W czymś w rodzaju chylących się ku sobie lepianek, jakie widziała na obrazach w Paryżu. Małe ciemne alejki. Wśród nich suszyły się rzędy prania. Powietrze przesycone było obrzydliwym, trudnym do opisanego fetorem. Przywykła do zapachów Londynu, uodporniła się na nie, tu jednak unosił się nieokreślony zgniły odór. Woń padliny i czegoś jeszcze, nie do zniesienia w upale. Wstrętne, jakby pochodziła sprzed wieków. Wokół bzycały miliony much. Harry zginął na jednej z tych uliczek? Wbrew ostrzeżeniu spojrzała w oczy jakiejś kobiecie, jej ciało było całkowicie zakryte, jeśli nie liczyć dwóch małych otworów, przez które spoglądały z ciekawością migdałowe oczy w ciemnej oprawie rzęs. Rose nie zdawała sobie sprawy, ile strachu i niedowierzania maluje się w jej własnych oczach. Wpatrywała się

w stragany i kupców oraz tabliczki z arabskimi znakami. Małą grupkę cudzoziemców zewsząd otaczały wrogie twarze. Kilku mężczyzn splunęło na ich widok. Gęsta żółta flegma wylądowała na piasku pod kopytami osła Rose. Nie mogę powiedzieć, że mnie nie ostrzegano. Wiedziałam o wszystkim, wypominała sobie w duchu. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, niebo przybrało fioletową barwę. W oddali rysowała się brama bazy Franków. Nagle rozległo się dziwne wołanie dochodzące z kilku stron naraz. *Allach akbar...* Bóg jest wielki.

Rose i Mattie odetchnęły, dopiero kiedy zamknęła się za nimi brama. Pan Alabaster spytał Rose, czy chce wynająć pokoje w tureckim *khan*.

— Co to takiego?

— Wielkie tureckie domy z pokojami do wynajęcia, głównie używane w czasach zarazy, ale korzystają z nich również Frankowie, nim znajdą co innego. Zostajecie, wicehrabino? — Rose była pewna, że nie wymieniła tytułu. — Może pani wynająć dom, w zależności od celów i środków. — Uśmiechnął się nieznacznie.

— Ja... My nie jesteśmy pewne. Pokoje na razie wystarczą. Dziękuję.

Pan Alabaster krzyknął coś po arabsku, podszedł do nich mężczyzna w turbanie i koszuli do ziemi. Wręczył panu Alabastrowi plik banknotów.

— Proszę mu zapłacić połowę tego, co zażąda! — zawołał mężczyzna i zniknął z żoną na końcu piaszczystej alejki. Pokazano im drogę. Rose i Mattie z ulgą zdjęły chusty i zeszły z osłów. Rose upadła, kiedy jej stopy dotknęły ziemi, ale natychmiast się podniosła i otrzepała.

Khan był długim trzyskrzydłowym budynkiem wychodzącym na puste piaszczyste podwórze. Pokoje do wynajęcia znajdowały się na piętrze. Weszły po schodach na balkon. Czekwały na nie obskurne pokoje niemal pozbawione mebli. Rose popatrzyła w dół, na piaszczyste podwórko. Jestem w Egipcie, powtarzała sobie z niedowierzaniem. Jestem w Egipcie. Przez podwórko z zawrotną prędkością przebiegły dwa strusie. Rose zerknęła na

przeciwny balkon i wyraźnie zobaczyła pannę Proud. W okularach, białym czepku, z książką w ręku. Machała jej z uśmiechem.

— I widziała się pani z Fanny?

— Owszem.

— Naprawdę wyruszyła do Indii?

— Jest w drodze. — Panna Proud się uśmiechała. — Nie spodziewałam się, że czeka mnie jeszcze taka podróż! Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko mojej obecności?

— Ależ skąd? — Rose przytuliła pannę Proud. Śmiała się i płakała jednocześnie.

W pokoju Rose nie było nic prócz posiana na podłodze zabezpieczonego moskitierą. Siedziały na balkonie. Mattie promieniała radością. Usiłowała przygotować posiłek z miejscowych produktów. Pomagała jej miejscowa służba. Mattie nie uznawała bariery językowej. Panna Proud poleciła świeże daktyle, chleb oraz ser. Powiedziała również Mattie, ile powinna za nie zapłacić.

— Obawiałam się, że wasza podróż nie dojdzie do skutku z powodu wojennych zamieszek — wyznała z wyraźną ulgą Konstancja Proud.

— Pan Montand dopomógł nam opuścić Francję. Kiedy wybuchła wojna, byliśmy już w Szwajcarii. Przeprawiliśmy się przez Alpy do Italii. Wszędzie jest niespokojnie, w całej Europie! Dotarcie do Leghorn zajęło nam całą wieczność. A kiedy wreszcie dostałyśmy się na pokład statku handlowego płynącego do Aleksandrii, zawracałyśmy dwa razy z powodu sztormów!

— Nic dziwnego, że tak długo musiałam na was czekać!

— Dostałam list polecający od pana Montanda adresowany do koptyjskiego kupca, który był świadkiem ukamienowania matki dziecka Harry'ego.

— Jak go znajdziesz?

— Pokażę list w kościele św. Marka. Jakim cudem pani dotarła tu przed nami?

— Przez Malte.

— Przez Malte?

— Wiem... Nie została jeszcze przekazana Francuzom mimo postanowień traktatu z Amiens. Wciąż należy do Brytyjczyków. Kiedy Fanny...

— Kochana Fanny! Jakże trudno mi było się z nią rozstać!

— Przyszła na South Molton Street. Powiedziała, że wyruszacie z Matie tylko we dwie. Opowiedziała o tym, co się wydarzyło w Paryżu. Dzieci wyglądały na przerażone, postanowiłam pojechać z nimi do Portsmouth. Znam dobrze to miejsce, moi bracia służą w marynarce. Szczęśliwie niemal od razu znaleźliśmy odpowiedni statek. To było zrządzenie losu. Fanny zastanawiała się już nad odesłaniem chłopca do ojca. Sądzę, że gdybyśmy musieli czekać choć tydzień dłużej, tak właśnie by postąpiła. Coś ją powstrzymało. Chyba myśl, że jeśli go ze sobą nie zabierze, mały Horacy będzie stracony na zawsze nie tylko dla niej, ale także dla siebie samego.

Rose zobaczyła oczyma wyobraźni bladą twarz kuzynki.

— Tak więc popłynęli do Indii! Na pokładzie było już wielu pasażerów z Anglii. Między innymi grupa kwaków. Fanny się ucieszyła. Widziałam również inne dzieci. Wyruszali w dobrych humorach. Młody Horacy zapomniał o złości. Jestem przekonana, że Fanny podjęła właściwą decyzję. Żal mi ścisnąć serce, że podróżujecie oddzielnie. Przypadkiem znalazłam statek płynący na Malte. Chyba podświadomie go szukałam. Pod wpływem impulsu weszłam na pokład. Oczywiście wszyscy wiedzieli o groźbie wojny. Po dotarciu na Malte dowiedziałam się, że wybuchła. Martwiłam się o was. Słyszałam, że Napoleon zatrzymał wszystkich Anglików przebywających we Francji w chwili ogłoszenia wojny.

Rose potrząsała z niedowierzaniem głową. Panna Konstancja Proud w Aleksandrii.

— Na Malcie od razu wsiadłam na statek płynący do Egiptu. — Panna Proud opowiadała, jakby nie było w tym nic szczególnego. — Jestem tu dopiero od dwóch dni. Ostrzegano nas przed zejściem na ląd. Niektórzy wrócili, ale ja nie po to przemierzyłam taki szmat świata, żeby zawracać! Z przykrością muszę cię zawiadomić, droga Rose, że dotarłam tego samego dnia, co twój szwagier z resztą towarzystwa. Oni również nie zawrócili.

— Och, nie! — zawołała z rozpaczą Rose. — Już tu jest?

— Trzy statki wpłynęły do portu tego samego dnia. Niewiele osób zdecydowało się zostać. Ja i jeszcze dwie osoby zatrzymaliśmy się tutaj. Słyszałam, że wicehrabia wynajął dom.

Rose przymknęła na chwilę oczy.

— Nie widziałyśmy się z nimi w Paryżu. Miałam nadzieję, że zostali jeńcami wojennymi. Modliłam się, aby ich podróż została udaremniona. George jest wszędzie! — Nie rozplączę się.

— Czy... Dolly wyglądała, jakby spodziewała się dziecka?

— Nie wydaje mi się — odparła zdumiona panna Proud. — Oczywiście ubrania miała bardzo obszerne, ale... Rose. — Panna Proud nagle wydała się onieśmielona. — Droga Rose, nie obrażę się wcale, jeśli mi powiesz, że wolisz przeżyć swoją przygodę samotnie. Ja już miałam i tak moc wspaniałych wrażeń! Cieszę się, że wszystko mnie nadal ciekawi, jak wtedy, kiedy byłam młoda. — Uśmiechnęła się do dziewczyny spod śnieżno-białego czepka. Rose, która wciąż z trudem powstrzymywała łzy — rozpaczy z powodu George'a i szczęścia z powodu panny Proud — wybuchnęła płaczem.

— Tak się cieszę — chlipnęła — że panią widzę! Byłam śmiertelnie przerażona. Starłam się to ukryć przed Mattie.

— Wiedziałam, oczywiście — powiedziała Mattie, wracając z kompletem naczyń. — Ja także jestem przerażona. Musimy kupić wodę. Kupiłam gulasz. Chyba z kozy.

Nazajutrz Rose obudziło dziwne zawodzenie. *Allach akbar...* Wołano z oddali... Bóg jest wielki. Panował przeraźliwy upał. Poczula zapach obcego kraju. Ostrożnie postawiła stopę na podłodze, upewniając się, że nie ma karaluchów. Odszukała w kufrze list polecający od Pierre'a do koptyjskiego kupca.

Pomyślała o Montandzie z ogromnym żalem i poczuciem winy. Z pewnością niełatwo było mu zorganizować ich wyjazd z Francji, gdy kraj szykował się do wojny. Rozczarowało go ich zachowanie, był wściekły, a jednak pozostał, jak obiecał, prawdziwym przyjacielem. Zapewnił im bezpieczeństwo. Nie spał przez kilka dni z niepokoju. Jego dezaprobata była niemal namacalna, Rose nie potrafiła przebić muru, który między nimi postawił. Zastanawiała się, czy poznał inną kobietę. Rozmawiali wyłącznie o planach podróźniczych. Nie ukrywał, że uważa Rose za kapryśną i niemądrą osobę. Starał się ją powstrzymać przed podróżą wszelkimi sposobami, z wyjątkiem siły fizycznej. Pragnęła mu powiedzieć: „myliłam się wtedy, nie rozumiałam samej siebie”, lecz on, niegdyś tak serdeczny i otwarty, stał się zimny i niedostępny. Gładziła arabskie znaki napisane jego ręką.

— Powinienem tam z tobą być — mówił cicho i gniewnie. — Nie możesz chodzić po ulicach Aleksandrii bez męskiego towarzystwa.

Patrzyła na jego napiętą twarz. Wiedziała, że jej nadzieje legły w gruzach.

Zabrała dziennik i wyszła na balkon. Podobno najgorsze upały minęły, nie wyobrażała sobie większego gorąca. Wszędzie muchy. Na podwórzu zobaczyła dziwnego, czarnego olbrzymiego ptaka. Wyglądał na chorego. Dziobał zapamiętałe piasek. Pomyślała, że może to odmiana jastrzębia. Przypomniała sobie słowa ze starej książki ojca: „jastrząb może oznaczać boga, wysokość, dół, doskonałość, krew, a także zwycięstwo”. Ptak jakby

poczuł na sobie jej wzrok — podfrunął bliżej w stronę balkonu z przerażającym gniewnym piskiem. Cofnęła się z lękiem i zamachała rękami. Ptaszysko przeleciało nad nią i odfrunęło. Serce podskoczyło jej z przerażenia, lecz poczuła również dziwną satysfakcję. Napisała w dzienniku, że właśnie zobaczyła swój pierwszy żywy hieroglif. W oddali usłyszała głos nawołujący do modlitwy: *Allach akbar*.

Panna Proud siedziała w swojej części balkonu pod parasolem. Oganiała się z roztargnieniem od much i czytała. Sprawiała wrażenie, jakby całe życie mieszkała w aleksandryjskim khan. Mattie w stroju Arabki przywiozła z targu naręcze warzyw. Zsiadła zwinnie z osła i krzyknęła podziękowanie w stronę mężczyzny, który zniknął już na końcu piaszczystej drogi.

Pomachała Rose.

— Korneliusz Brown jest w Egipcie! — zawołała.

Rose przechyliła się przez barierkę.

— Gdzieś ty była?

— Służba jeździ rano na targ. Przyłączyłam się. Jeden z kupców zawsze służy za przewodnika, wymieniają się. Spotkałam marynarza, który zna Korneliusza! Mówiłam, że jest w Egipcie! — Mattie roześmiała się. Weszła na górę. Nie zdjęła czadoru. Zajrzała do pokoju Rose.

— Poprosiłam pana Alabastra, żeby do nas przyszedł. On mówi po arabsku, wybierze się z panią do kościoła. Nie można się nigdzie ruszyć bez męskiej eskorty. Muzułmanie podobno nie piją alkoholu, ale... Ostrzegam panią, jest dopiero ósma rano, a on już jest pijany!

Mattie zniknęła w korytarzu i nawiązała rozmowę z Arabkami.

Allach akbar... Wołano w oddali.

— Mówiłam ci, Archie! — wypominała mężowi pani Venetia.

Alabastrowie przyszli dopiero pod wieczór. Rose czekała na nich cały dzień. Popijali miętową herbatę na balkonie. Pan Alabaster przyniósł własny trunek, który pił wprost z butelki.

— Czy to jakieś tropikalne lekarstwo? — spytała panna Proud. — Z tego, co wiem, muzułmanie nie zezwalają na picie alkoholu.

— Właśnie, panno Proud! Tropikalne lekarstwo! — roześmiał się pan Alabaster. Poczwały zapach rumu.

Zza bramy dobiegały odgłosy miasta, okrzyki wzywające na modlitwę. Zapadał zmrok, niebo przybrało barwę fioletu i świeciło milionem gwiazd. Wszędzie bzyczały muchy i komary. Oganiali się od nich, nie przerywając rozmowy.

— Pomyślałem, że może istnieć jakieś pokrewieństwo. Nazwisko Fallon jest tu dobrze znane. Wie pani, że ta kobieta nie żyje?

— Tak — odparła Rose cicho. — Wiem.

Mattie zapaliła kilka świec. Nie chciały się palić, ledwie migotały w dusznym wieczornym powietrzu.

— Jego brat potraktował mnie protekcyjnie. Pożałuje tego. W niczym mu nie pomogę! A z pewnością będzie potrzebował pomocy.

— Bardzo dobrze! — ucieszyła się Rose. — Ja również potrzebuję pańskiej pomocy. Przede wszystkim wicehrabia nie może się o niczym dowiedzieć. Muszę jak najszybciej wybrać się do kościoła św. Marka. Najlepiej jutro z samego rana.

— W Aleksandrii są tysiące dzieci w podobnej sytuacji — wtrąciła pani Alabaster. — To będzie jak szukanie igły w stogu siana!

— Mam list — przypomniała Rose.

— Cóż, oczywiście nie zaszkodzi spróbować. — Zapadła cisza. — Słuchajcie... — powiedziała po chwili pani Alabaster.

Zza bramy dobiegały dźwięki osobliwej muzyki. W niczym nie przypominała tej, którą znali. Kobięcy drżący śpiew wdzierał się natrętnie w uszy.

— Ty nam zaśpiewaj, Vennie — zaproponował nagle pan Alabaster. — Prawdziwą piosenkę. Cóż za przeraźliwe wycie!

Był niespokojny. Wstał, zapatrzył się w ciemność, znów usiadł na marmurowej ławce. Zasnął w jednej chwili, pusta butelka wypadła mu z ręki i potoczyła się po podłodze.

— Wkrótce ktoś go zanieś do domu — rzekła niefrasobliwie pani Alabaster. — Pójdzie z panią rano. Jako przewodnik i tłumacz. Za dwie gwinee. Może mi pani od razu dać pieniądze, będzie wygodniej.

Rose i Mattie zaskoczyła wysokość sumy, jednak nie protestowały.

— Z samego rana — podkreśliła Rose, podając pieniądze.

— Z samego rana. O świcie jest chłodniej.

Siedziały w ciszy wsłuchane w dźwięki miasta. Pan Alabaster cicho pochrapywał.

— Kiedyś z pewnością było tu pięknie — szepnęła panna Proud. — Mówią, że Aleksander wznosił najpiękniejsze miasto na świecie.

— Podobno osobiście zaprojektował latarnię, bibliotekę i system nawadniający — powiedziała pani Alabaster. — Zginął na polu walki daleko od Aleksandrii. To miasto było niegdyś stolicą nauki, szczyciło się największą i najlepiej zaopatrzoną biblioteką na świecie. Słyszałam, że nie wpuszczano żadnego statku, którego kapitan nie podarował bibliotece książki ze swego ojczyznoego kraju. Podoba mi się wizja starego wilka morskiego schodzącego na brzeg z książką pod pachą. Wiele lat później Kleopatra uwiodła Juliusza Cezara, potem Antoniusza. W pałacu tak pięknym, że oniemieli z wrażenia... Płatki róż, wino, owoce, pieśni miłosne i wspaniałe jedzenie serwowane przez najbardziej olśniewającą z kobiet. Myślę o

tym, kiedy mam dość Egiptu. — Westchnęła. — Ani śladu dawnej wspaniałości, prawda? Nie zachowały się żadne rzeźby ani obrazy przedstawiające Kleopatę. Możemy sobie ją wyobrazić, jak chcemy.

— Dowiedziała się pani na pewno wielu ciekawych rzeczy, mieszkając tu. — Pani Alabaster wzruszyła ramionami. Panna Proud odpędziła wachlarzem komara. — Polubiła pani Egipt?

Pani Venetia odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się.

— Czy polubiłam? Gdyby pani zarabiała na życie, śpiewając z głową do dołu w Ogrodach Ranelagh, gdzie dżentelmeni rzucają w artystów korkami od szampana, nauczyłyby się pani lubić każde miejsce! — Rose zarumieniła się pod osłoną mroku na myśl, że była żoną jednego z takich dżentelmenów. — Kiedy Archibald zaproponował mi inne życie, nie wahałam się! — Popatrzyła na pochrapującego mężczyznę. — Tak naprawdę dowiedziałam się jednego. To nieszczęsny kraj, plądrowany od stuleci. Grecy, Rzymianie, Arabowie, Turcy! Tak wiele bitew... Francuzi przybyli pod wodzą Napoleona, Anglicy z lordem Nelsonem, lord Abercrombie. Ten kraj przyciąga uwagę z powodu położenia geograficznego, w drodze na wschód. A także ze względu na żyzne brzegi Nilu. One dają nam chleb. Archie handluje zbożem i ryżem, plony zbiera się tu cztery razy w roku, inaczej niż w hrabstwie Kent! W pewnym sensie... Nie lubię Egiptu, ale jestem wdzięczna za to, co mi dał. Żałuję tylko, iż po wspaniałych faraonach i królowych nie pozostał ślad. Kultura arabska wszystko przesłoniła.

Pani Alabaster popatrzyła w gwiazdy.

— Ciekawa jestem, jaką muzykę grali faraonowie? Pozostały obrazy przedstawiające mężczyzn grających na fletach i lutniach, lecz nigdy się nie dowiemy, jakie dźwięki z nich wydobywali. Na myśl o tym ogarnia mnie czasem melancholia. — Zewsząd dobiegały niepokojące dźwięki dyszarmicznej muzyki. Ciemność zdawała skrywać dawno zapomniane marzenia. — Przez jakiś czas dominowało chrześcijaństwo. Dziś Koptowie zmagają się z prześladowaniami religijnymi. Żyją w zrujnowanych świąty-

niach. Większość Egipcjan przeszła na islam wieki temu i zapomniała o przodkach. Kamienują, wieszają i ucinają ręce. Nie wyobrażam sobie pięknych, pełnych godności faraonów zniżających się do podobnych praktyk.

Rose i panna Proud słuchały zafascynowane. Rose nie mogła się nadziwić, że oto rozmawia z bohaterką swego dzieciństwa.

— Pani Alabaster, oglądałam pani występy już jako mała dziewczynka, a później z mężem.

— Nie wątpię — odparła sucho. — Mawiano, że byliśmy słynniejsze niż sam król! Skład się zmieniał, oczywiście. Niektóre dziewczęta wychodziły za mąż lub gorzej. Próbowaly to ukryć tak długo, jak się dało, ponieważ choć żadna z nas tego nie lubiła, można było niezłe zarobić na zachwycie panów.

— Wasze występy były cudowne! Pamiętam, że pewnego wieczoru publiczność nie chciała was wypuścić. Kobiety śpiewały, huśtając się na linach, chusty powiewały w powietrzu jak flagi. Dla dzieci to było fascynujące widowisko! Ja i moja kuzynka Fanny najbardziej czekałyśmy na utwory Haendla, który kiedyś mieszkał na naszej ulicy i był naszym ulubionym kompozytorem między innymi z tego powodu!

Pani Alabaster oparła się o ścianę i zaczęła śpiewać. Jej głos był mocny, hipnotyzujący, pełen bólu. Kobiety pochylały się ku niej nieświadomie. Niepokojące dźwięki innej kultury ucichły. Pan Alabaster uśmiechał się przez sen.

Po chwili pani Venetzia wstała i zwróciła się po arabsku do służącego.

— Muszę panią ostrzec — powiedziała po chwili do Rose. — Zorientowała się już pani zapewne, jak dziwny to kraj. Rzeczy są tu inne, niż się zdają. W tym chaosie przyszło na świat wiele dzieci, wiele zaginęło. Jak pani rozpozna właściwe? Jeśli ma pani pieniądze, może pani dostać dziecko choćby jutro.

Jutro? Rose zaparło dech w piersiach.

— Chce pani powiedzieć, że dziecko może być w kościele, do którego jutro idziemy?

— Kto wie? Jeśli opiekują się nim Koptowie. Lecz skąd będzie pani miała pewność, że to właściwe dziecko?

— Mam nadzieję, że ją rozpoznam. Teraz powinna mieć ponad rok.

Pani Alabaster popatrzyła ze współczuciem i wzruszyła ramionami.

— Cóż... Będę pani jutro towarzyszyć. Przyniosę odpowiedni strój. Sama siebie pani nie rozpozna.

— Noszenie welonu zasłaniającego twarz nie jest egipskim zwyczajem — zauważyła z potępieniem panna Proud. — Faraoni ani królowe nie zasłaniaли twarzy.

— Rzeczywiście — przyznała pani Alabaster równie potępiająco i zawołała po arabsku na służbę. — To zwyczaj muzułmański. Wydaje się, że welon jest dla nich ważniejszy niż ubrania. Niewiarygodne. Kiedyś przepływaliśmy z Archiem łodzią przez jakiś wyludniony obszar za Kairem, chłopki podpływały do nas, prosząc o jałmużnę. Niektóre były nagie, ale wszystkie miały pozasłaniane twarze!

Pani Alabaster roześmiała się gromko i strzeliła stawami, jakby musiała nastawić wszystkie kości. Służba wyniosła jej męża.

Rose nie potrafiła się uspokoić po wyjściu gości. Chodziła nerwowo po balkonie.

— Przepraszam — zwróciła się do panny Proud, zapalając papierosa. — Nie zdawałam sobie sprawy, że tak prędko... Jutro! Wszyscy twierdzili, iż w ogóle się nie uda! — Wskazała uprzejmie pudełko z papierosami. — Oczywiście proszę się częstować, jeśli ma pani ochotę.

— Dziękuję.

Ku zdumieniu Rose panna Proud wprawnie zapaliła papierosa. Rose wciąż przemierzała balkon wzdłuż i wszerz. Błada, niespokojna, pełna emocji.

— Musimy czekać do rana, moja droga — powiedziała panna Proud.

— Wiem, wiem. Nie potrafię przestać o tym myśleć.

Z trudem zmusiła się, by usiąść na marmurowej ławce. Oparła się o ścianę *khan* i zaśpiewała. Po chwili umilkła.

— Ciekawe, jak się czuł pan Haendel, mając głowę wypełnioną muzyką. Popłakałam się kiedyś na koncercie jego muzyki. Byłam z rodzicami, miałam zaledwie dziesięć lat. Proszę ze mną porozmawiać, panno Proud. Nigdy nie usnę. Czuję się, jakbym miała eksplodować!

— Pani Alabaster jest niezwykłą kobietą — rzekła ze spokojem panna Proud. — Wie na temat Egiptu więcej niż większość ludzi, łącznie z moimi braćmi, którzy spędzili tu jakiś czas. Gdyby miała możliwość zdobycia wykształcenia, kto wie, jak potoczyłoby się jej życie.

— Być może nie byłoby takie interesujące! Nie widziała pani Śpiewających Akrobatek!

Panna Proud pokręciła z ubolewaniem głową.

— Inteligentna kobieta wisząca do góry nogami! Mogła...

— Co takiego? — spytała ze zniecierpliwieniem Rose.

— Pisać książki — odparła cierpko panna Konstancja. — To jedyna forma ekspresji dostępna wszystkim kobietom. Być inspiracją dla innych. Śpiewanie z głową do dołu albo zanoszenie pijanego męża do domu każdej nocy w obcym kraju! Cóż za wybór ona miała! Dowiedziałam się z prywatnych źródeł, że król nie popiera kształcenia dziewcząt. Tak jakby życie pani Alabaster miało zależeć od kaprysu jego wysokości Jerzego III! — Zabiła muchę wachlarzem, echo rozległo się w całym *khan*. — Chciałabym, żeby usunięto rodzinę królewską, naprawdę sędzę, iż tak byłoby

najlepiej. Oczywiście nie mam na myśli posłania ich na gilotynę. Kiedy byłam młoda, poznałam kapitana Jamesa Cooka. Odkrył odległe miejsca, gdzie z pewnością przyjęto by królewskich gości z otwartymi ramionami.

— Ależ panno Proud, kapitan Cook został podobno zjedzony przez ludożerców na antypodach!

— Właśnie — przyznała, jakby sprawa była oczywista. — Podobno nasz rząd jest niezależny od monarchy, lecz król wiecznie się wtrąca. — Rose zadrżała na myśl o księciu Hawksfield pochylającym się do ucha staro-pomarszczonego króla.

— W dodatku ten zepsuty do szpiku kości następca tronu. — Panna Proud potrzęsnęła z obrzydzeniem głową i zgasła ze złością papierosa. Zależało jej jednak na zakończeniu krótkiej polemiki pozytywnym akcentem. — Księżniczka Charlotte jest następną po swoim ojcu w kolejce do sukcesji, a ten okropny człowiek z pewnością wkrótce pęknie z przesytu. Kobieta na tronie wiele by zmieniła! — Pod ich stopami przebiegł ogromny szczur. Rose zdusiła krzyk, zawstydzona. Panna Proud nawet nie zwróciła uwagi. Patrzyła w gwiazdy. — Nic dziwnego, że starożytni Egipcjanie zajmowali się astronomią.

Poczuły powiew chłodnej bryzy znad morza na policzkach. Westchnęły bezwiednie. Panna Proud podniosła się.

— Pójdę już do swojego pokoju.

— Proszę zostać jeszcze.

Panna Proud uśmiechnęła się lekko i usiadła.

— O czym chciałabyś porozmawiać? Opowiedzieć może, co teraz czytam?

— Proszę mi opowiedzieć o swoim narzeczonym — poprosiła Rose, nim zdążyła ugryźć się w język.

Wiał coraz silniejszy wiatr.

Wreszcie panna Proud odezwała się na pozór nie na temat.

— Wiedziałaś, że dzwonki rosnące bardzo blisko jeden przy drugim wydają się fioletowe?

Rose zarumieniła się ze wstydu. Panna Proud chciała zmienić temat.

— Przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Nie miałam pojęcia, że wydają się jasnofioletowe.

Przez chwilę wsłuchiwały się w szum wiatru.

— Mijaliśmy dywan fioletowych kwiatów w drodze do naszego małego kościółka. Mój ojciec był pastorem. Sądzę, że kolor kwiatów zmienił się pod wpływem światła, tak naprawdę są niebieskie. Miałam na sobie białą suknię i welon. Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedykolwiek włożę welon. W Egipcie! Wtedy, ponad czterdzieści lat temu nosiłam loczki. Napoleon jeszcze się nie urodził. Po ślubie mieliśmy zamieszkać w Londynie, takie miałam marzenie.

— A więc była pani mężatką? — Rose wstrzymała oddech.

— Miałam być. Narzeczony służył w marynarce. Obiecał mi, że będziemy razem chodzić na wszystkie odczyty i wystawy. Mieliśmy razem zdobywać wiedzę. Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście, że go znalazłam.

Zapadła cisza, Rose bała się ją przerwać choćby głośniejszym oddechem.

— Przyjechaliśmy na wieś wieczorem poprzedniego dnia. Chociaż zgodnie z tradycją pan młody nie powinien oglądać panny młodej przed ślubem, on nazbierał dla mnie naręczę kwiatów. Ich zapach do dziś kojarzy mi się z tamtym wieczorem, kiedy wtulałam twarz w bukiet i płakałam ze szczęścia. — Zamilkła na długą chwilę. — Mój narzeczony zjawił się w kościele razem z moimi braćmi. Wszyscy byli w mundurach. Do ołtarza poprowadził mnie najstarszy z braci. Mój ukochany ojciec uśmiechał się,

miał udzielić ślubu jedynej córce. Narzeczony uśmiechnął się do mnie, a po chwili w jego oczach — pamiętam dokładnie do dziś — pojawił się wyraz zdziwienia. Zaraz potem upadł.

— Upadł? — powtórzyła niemądrze Rose.

— Prawie od razu stracił przytomność. Nie wiedzieliśmy, co się stało. Podejrzewaliśmy, że coś z sercem. Zaniesiono go do zakrystii. Został zbadany przez lekarza, a potem upuszczono mu krew.

Rose cisnęły się na usta tysiące pytań. Nie śmiała zadać żadnego. Panna Proud siedziała wyprostowana obok niej, w czarnych arabskich szatach, a Rose widziała młodą pannę w bieli, krew na podłodze, czerwoną plamę na białej sukni, ludzi pochylających się nad ciałem młodego mężczyzny w ciemnej, małej, dusznej zakrystii, zaniepokojonych marynarzy w niebieskich mundurach próbujących przekonać siostrę, aby się odsunęła.

— Tak bardzo mi przykro — wydukała Rose, zdając sobie sprawę z bezużyteczności słów.

— Umarł po godzinie. Za oknami świeciło słońce. Pamiętam tę straszną myśl... — Uśmiechnęła się gorzko. — Żałowałam, że nie zdążyliśmy przynajmniej złożyć przysięgi, nim upadł. Zostałam sama i nadał byłam panną Konstancją Proud.

— Co... Co pani zrobiła?

— Miałam szczęście. Rodzina mnie wspierała. Bracia kupili dla mnie dom na South Molton Street. Jeden z nich został konsulem w Hiszpanii i poprosił, bym mu towarzyszyła. Myślę, że chciał, żebym poczuła się potrzebna. Przez kilka lat podróżowałam po całej Europie. Potem zachorowała matka, więc wróciłam do Wiltshire. Na mnie spoczywał obowiązek opieki nad nią, byłam jedyną córką. Z determinacją dążyłam do spełnienia planów, jakie mieliśmy z... mężem. Postanowiłam zdobyć jak najlepsze wykształcenie. W Wiltshire, sama. Zaczęłam czytać wszystko, co mi wpa-

dło w ręce. Wszystko. Każdą książkę, o jakiej usłyszałam. Wiedziałam, że książki uratują mi życie.

Panna Proud wstała. Popatrzyła na podwórze.

— Daleko od świata, który znamy, słuchając modlitw do innego Boga, zaczynam rozumieć, czemu ja, córka pastora, nie mogłam się pojednać z naszym Bogiem przez wiele lat.

— W ogóle nie wierzy pani w Boga?

— Tyle wojen wybuchło na tle religijnym! Ludzie zabijają się o jedyną prawdę. To niedorzeczne. Wierzę, że każdy próbuje żyć najlepiej, jak potrafi. Być może rządzi nami przeznaczenie. A może istnieje jedynie chaos. Nie powinniśmy jednak liczyć na cokolwiek potężniejszego niż nasze człowieczeństwo. Żyjemy tu, na ziemi, nie w niebie. Ta chwila to wszystko, co mamy, i możemy jedynie próbować ją wykorzystać najlepiej, jak się da.

— Szkoda, że Fanny z nami nie ma. Ona bardzo wiele czasu poświęciła rozważaniom o religii. Być może... Świat bez Boga nie ma sensu.

— Być może świat z Bogiem nie ma sensu — powiedziała panna Proud.

— Bardzo mi przykro, kochana panno Proud.

Starsza pani uniosła dłoń na pożegnanie i poszła do swojego pokoju. Smutny zawodzący głos niesiony wiatrem śpiewał o miłości.

Były gotowe do drogi, nim rozległo się pierwsze wezwanie na modlitwę. Pani Alabaster przyniosła Rose luźne pantalone, długą koszulę i botki z delikatnej skóry, na które nakładało się jeszcze klapki. Za nakrycie głowy służył płaski turban z przymocowanym białym welonem zakrywającym całą twarz z wyjątkiem oczu. Na to wszystko pani Alabaster kazała jeszcze nałożyć Rose czarną luźną suknię zakrywającą ją od stóp do głów.

— Czuję się jak spocona zakonnica! — mruknęła Rose.

Panna Alabaster zapewniła, że się przyzwyczai. Sama była ubrana podobnie, nosiła swój strój z wielkim wdziękiem i swobodą. Wyjechały na osłach za bramę khan żegnane przez Mattie i pannę Proud, które usiłowały nie okazywać zdenerwowania. Małą karawanę prowadził pan Alabaster i uzbrojony w miecz Arab. Pan Alabaster wrócił do formy po pijaństwie poprzedniego wieczoru.

Za bramą siedziby Franków powitały ich wrogie spojrzenia. Przez chwilę Rose zdawało się, że słyszy szum morza z oddali. Serce bilo jej jak szalone. Nagle z kilku stron dobiegł przenikliwy dźwięk głosów wzywających na modlitwę *Allach akbar!* Wołano z meczetów, a krzyk rozchodził się echem po uliczkach. Mężczyźni o nieprzyjaznych twarzach rozeszli się. Lecz krzyk nie ustawał. *Allach akbar... la ilaha Ula Allah!* Nie ma innego boga poza Bogiem!

Wjechali w ciasną uliczkę. Stare chatki z pozamykanymi okiennicami były pochylone do przodu, niemal stykały się dachami, zasłaniając światło. Wzdłuż ciemnych alejek suszyły się na kijach kolorowe rzędy prania. Rose z trudem oddychała cuchnącym dusznym powietrzem. Jej ubranie przesiało potem. Trzymała się mocno osła, który również nie pachniał najlepiej. Stopy niemal dotykały brudnej ziemi. Oto gdzie mnie przywiodła potrzeba

odszukania dziecka Harry'ego, myślała obezwładniona poczuciem odrealnienia, strachem i podnieceniem. Sama nie wiedziała, czy śmiać się, płakać, krzyczeć czy też po prostu zemdleć. Jeśli zemdleję, upadnę na ziemię pełną karaluchów, gnijącego jedzenia, ekskrementów i szczurów, pomyślała. Ścisnęła mocniej swojego osiołka. Wjechali w szerszą alejkę. Wokół rozlegały się gardłowe okrzyki, w przedziwny sposób przypomniały Rose przyjęcie na Berkeley Square. Poranne niebo miało przepiękny jaskra— woblękitny odcień. Zapukali do kościelnej bramy, pokazali list. Wpuszczono ich na teren kościoła. Rose chciała zsiąść z osła, lecz nie mogła znaleźć skrawka suchego miejsca na tonącym w biocie podwórzu. Skąd woda? W Aleksandrii każda kropla wody była na wagę złota. Zadrzała na całym ciele pod wpływem własnych domysłów. Za murami kościelnymi panował taki sam smród jak na ulicach. Chłopcy stajenni odprowadzili zwierzęta na drugą stronę odrapanego budynku.

Przybysze weszli po schodach do wnętrza starego kościoła. Pani Alabaster i Rose z ulgą usiadły na jednej z drewnianych ławek. Pan Alabaster został odprowadzony na bok. Rose rozejrzała się po zdewastowanym pomieszczeniu. Muszę natychmiast zabrać stąd dziecko, pomyślała.

— To jest właśnie kościół św. Marka w Aleksandrii — szepnęła pani Alabaster. — Święty Marek pierwszy zaczął krzewić religię chrześcijańską w Egipcie. To właśnie on.

Rose spojrzała w górę. Stara popękana mozaika przedstawiała smutnokiego mężczyznę z aureolą wokół głowy. Święty miał uniesioną do góry dłoń. Otaczali go inni święci i święte w różnych stadiach rozpacz. Usłyszały dziwny dźwięk. Ktoś zamiatał kamienną podłogę. Rose oganiała się od wszechobecnych much. Zapalono świece. Na myśl, że za chwilę być może ujrzy dziecko Harry'ego, dostała zawrotów głowy. Z trudem powstrzymywała się, by nie pobiec za panem Alabastrem. Oddychała miarowo.

— Święty Marek zginął męczeńską śmiercią z rąk Rzymian — powiedziała cicho pani Alabaster. — Jego odciętą głowę wywieziono do Italii,

ale została odzyskana i spoczywa teraz w krypcie razem z resztą ciała. W Wenecji mówią co innego! — dodała.

Rose popatrzyła z podziwem na tajemniczą byłą akrobatkę, która zdawała się skarbnicą wiedzy.

Rose poczuła intensywny zapach niemytego ciała ludzkiego. Arab pochylił się i szepnął jej coś do ucha, wciskając do ręki sznur paciorków. Serce podskoczyło jej w piersi. Potrząsnęła przecząco głową. Spytał jeszcze raz. Chce kupić? Pochylał się zbyt blisko, czuła jego oddech na szyi. Chce kupić? Otworzyły się drzwi obok ołtarza. Wrócił pan Alabaster w towarzystwie mężczyzny w czarnym turbanie. Natrętny sprzedawca zniknął w cieniu. Odgłosy zamiatania ustały.

Mężczyźni podeszli, rozmawiając po arabsku. Rose poderwała się na nogi, zapominając o wszystkim. Zaplątała się w obszerny strój.

— Co mówi? — zawołała. Jej głos odbił się echem od ścian kościoła. Święty Marek spoglądał smutno.

Rose miała nadzieję, że poczuje natychmiastową więź z innymi chrześcijanami, nic bardziej złudnego. Kopt w ciemnym turbanie zdawał się nie różnić niczym od muzułmanów. Starzec pokłonił się przed kobietami. Rose natychmiast wyczuła, że nie są mile widziane.

Odezwał się po angielsku z silnym akcentem. Z trudem rozróżniała słowa.

— Odkąd żołnierze opuścili Egipt, grozi nam niebezpieczeństwo. Trwają zamieszki. Adresat listu nie żyje, podobnie jak wielu innych.

— Gdzie jest dziecko? — spytała niecierpliwie Rose, zerkając na pana Alabastra. — Czy ono żyje?

Bardzo bała się odpowiedzi.

— Byli Turcy. — Starzec zwrócił się do Rose i pani Alabaster, nie patrząc na nie. — I Arabowie. Dziecka nie ma. — Podniósł wzrok jedynie na chwilę.

— Zabrali je?

— Przykro mi. Niech was Bóg błogosławi. Dziecka nie ma.

— Oddał list panu Alabastrowi, mówiąc coś po arabsku.

Rose zrozumiała, że przybyła na próżno.

— Nie! Błagam! — krzyknęła do kapłana, który rozglądał się nerwowo na boki. Położyła rękę na jego ramieniu. — Proszę mi przynajmniej powiedzieć, czy dziecko żyje!

Ksiądz odezwał się do pana Alabastra po arabsku.

— Mówi, że relikwia świętego Marka jest dostępna dla zwiedzających.

— Relikwia? — Poczula zapach rumu.

— Nie można zejść do krypty, ale można zobaczyć palec przechowywany w jednym z pomieszczeń.

— Palec? — spytała niemądrze Rose.

— Relikwie.

— Dziękuję. — Rose zaczynała wpadać w panikę. — To bardzo miło. — Patrzyła na pana Alabastra, jakby był niespełna rozumu. — Czy nie dowiemy się niczego więcej na temat losu dziewczynki? — Strach i poczucie straty ścisnęły ją za gardło.

— Przynajmniej czy żyje — mówiła z rozpaczą. — Musimy się dowiedzieć czegokolwiek! Zapłacę!

Z miasta dochodziły dźwięki tamburynu i wołanie na modlitwę. Kopt zniknął.

— O nie! — krzyknęła Rose. — Proszę go natychmiast zawołać! Musi nam powiedzieć, gdzie jej szukać!

Pan Alabaster przytrzymał ją, gdy próbowała pobiec za kapłanem.

— Proszę posłuchać! — Znów usłyszeli odgłos zmiatania kamiennej posadzki. Pan Alabaster usiadł na ławce obok żony. Rose nie była w stanie. — Znajoma pani męża była Egipcjanką zaręczoną z Turkiem.

— Wiem!

— Turcy dzierżą władzę. Chrześcijanie nie chcą mieć z tą sprawą nic wspólnego. To dla nich zbyt niebezpieczne.

— Panie Alabaster, zapłacę każdą sumę! Oddam wszystko, co mam! Muszę wiedzieć cokolwiek. Gdzie jej szukać, czy żyje. Nie mogę stąd wyjść bez żadnej informacji! — Ku własnemu zaskoczeniu i upokorzeniu zaczęła szlochać. Nie potrafiła się powstrzymać. — Na pewno coś wiedzą. Od czego mam zacząć poszukiwania bez ich pomocy?!

Pan Alabaster podał jej piersiówkę.

— Proszę sobie łyknąć na uspokojenie!

Nim zdążyła pomyśleć, piła rum z butelki, siedząc w kościelnej ławce.

— Angielski kupiec, Cartwright, został wygnany z Egiptu za pomoc zhańbionej kobiecie. Wszystkie jego pieniądze przepadły. Koptyjski kupiec również zniknął. — Prychnął z oburzeniem. — Armie najeźdźców przychodzą i odchodzą, nie myśląc o uczciwych ludziach próbujących zarobić na życie. Zostawiają po sobie chaos i zniszczenie.

Rose zastanawiała się, czy ma na myśli Francuzów, Anglików, Harry'ego czy też jest po prostu pijany.

Sprzątaczką podeszła bliżej. Miała na głowie chustę, lecz jej twarz oliwkowej karnacji i ciemnych oczach pozostawała odkryta. Była mniej więcej w wieku Rose. Stała bardzo blisko, zbyt blisko. Nagle spojrzała

prosto w jej wypełnione łzami oczy. Rose odstąpiła krok do tyłu uderzona przykrym zapachem. Arabka z kolei poczuła bijący od białej kobiety zapach rumu. Przez sekundę mierzyły się wzrokiem. Rose wciąż bez powodzenia usiłowała powstrzymać szloch. Nagle kobieta, prawie nie przerywając zamyślenia, zdjęła coś z szyi i podała Rose.

— Nie, dziękuję — powiedziała dziewczyna, czując w dłoni ciepły, tłusty, brudny przedmiot. Próbowwała oddać go z powrotem. — Nie, dziękuję.

Kobieta nachyliła się ku niej i szepnęła:

— Rashid.

Popatrzyła w oczy Rose, upewniając się, czy rozumie.

— Rashid — powtórzyła, chwytając dłonie Rose i gładząc je lekko. Rose spojrzała w oczy Arabki i ujrzała w nich ciepło. Usłyszeli dźwięk otwieranych drzwi. Kobieta zniknęła w cieniu.

— Proszę pokazać — zainteresował się od razu pan Alabaster. Rose ostrożnie podała mu przedmiot. Zastanawiała ją jego podekscytowanie. — Taak. To stary koptyjski symbol, egipski krzyż. — Szybko schował go do kieszeni. — Chodźmy stąd.

— Kim jest Rashid? — zatrzymała go Rose. — O czym ona mówiła? Czyżby próbowała mi coś przekazać?

— Tak. — Pan Alabaster zerknął na zamknięte drzwi przy ołtarzu. — Sądzę, że ksiądz kłamał.

Zawołał coś po arabsku. Kobieta odpowiedziała cicho. Pan Alabaster podszedł do niej. Przez chwilę rozmawiali.

— Musimy już iść, inaczej dziewczyna będzie miała przez nas kłopoty.

— Zna pan tego Rashida? — nalegała Rose.

— Rashid to nazwa miejscowości — szepnęła pani Alabaster. Wyszli szybko z kościoła.

Pospiesznie ruszyli z powrotem ku siedzibie Franków, gdzie czekały już panna Proud i Mattie.

— Tyle, jeśli chodzi o religię! — skwitował pan Alabaster. — Ksiądz jest kłamcą lub tchórzem. Dziewczyna podsłuchiwała naszą rozmowę, chciała pomóc. Nie róbmy sobie zbyt wielkich nadziei. W Rashid mogą powiedzieć Kair, a w Kairze Aswan. Nigdy nie zapominał, że jestem w kraju najlepszych na świecie bajkopisarzy, i pani radzę to samo. W każdym razie mamy szczęście, że dziewczyna coś wiedziała. Jej brat zabrał dziecko od angielskiego kupca, kiedy zaczęły się problemy. Założono bowiem, że ojciec dziewczynki był chrześcijaninem. Słyszała, że zabrano je do Rashid.

— Skąd wiemy, że chodzi o dziecko Harry'ego?

— Powiedziała, że chodzi o dziecko Anglika, który zginął, i kobiety, która została ukamienowana przez własną rodzinę. Słyszała rozmowę z kapłanem.

— W takim razie jedźmy tam natychmiast. Jeszcze dziś!

— Mam jechać z panią?

— Błagam! Nie mogę podróżować sama.

— Sto gwinei.

Rose zaniemówiła.

— Sto? — To była jedna czwarta całej sumy, jaką dysponowała. Dwukrotność rocznych zarobków Mattie. — Nie mogę zapłacić aż tyle.

— Wicehrabia zapłaciliby więcej — odparł chytrze.

— Będę potrzebowała pieniędzy na wykupienie dziecka i powrót do Anglii.

— Nie tylko z panią pojedę, ale także pomogę się czegoś dowiedzieć. Krzyż, który dostaliśmy od dziewczyny, z pewnością się przyda.

— Jak to? — Sądziła, że chce go sprzedać.

— Nauczyłem się myśleć jak Egipcjanie. Nie spodziewają się cudzoziemców z koptyjskim krzyżem. To znak.

— Proponuję osiemdziesiąt gwinei i ani grosza więcej, jeśli nam się nie powiedzie — wtrąciła pani Alabaster. — Kolejne osiemdziesiąt, jeśli znajdziemy dziecko.

— Pięćdziesiąt! — odezwała się nagle panna Proud.

— Siedemdziesiąt! — odparowała pani Alabaster. Panna Proud energicznie kiwała głową, patrząc na Rose.

— Zgoda! — rzekła słabo Rose, przygryzając policzek. — Pojedziemy natychmiast?

Pan Alabaster roześmiał się, podając jej flaszkę z rumem.

— Nie można tak po prostu pojechać do Rashid! Musimy mieć karawanę. — Rose napiła się trunku, była jak w amoku.

— Jutro rano. Do Rashid jest tylko dzień drogi, ale po drodze czyhają Beduini, złodzieje, przestępcy. Poza tym trzeba mieć pozwolenie na podróż. Zobaczę, co się da zrobić.

— Czy Rashid przypomina Aleksandrię?

— Spodoba się pani. Więcej tam cudzoziemców. Kobiety nie noszą cały czas welonów. Muszą mieć tylko zakryte głowy i trzymać się bocznych uliczek. Miasteczko jest niebezpieczne i dzikie, lecz spodoba się pani bardziej niż Aleksandria, jest bogatsze i lepiej utrzymane.

— I zobaczy pani miejsce, gdzie znaleziono słynny kamień — wtrąciła pani Alabaster.

— Kamień?

— Rashid to arabska nazwa Rosetty. Francuzi lub Włosi nazwali miejscowość Rosettą z powodu pięknych róż, jakie tam rosną.

Rose nadepnęła na długą spódnicę. Upadłaby, gdyby nie panna Proud.

— Rosetta? — powtórzyła z niedowierzaniem. — Rosetta?

Pomyślała o swym ojcu, który marzył o powrocie do miasta

zwanego Rosetta, miejsca, któremu zawdzięcza swe imię. Przypomniała sobie, jak wyglądał przez okno gabinetu na Brook Street i wspominał dawne czasy. Poczula nagły przypływ radości, jakby otrzymała znak. Odnajdę dziecko. Odnajdę je w miejscu, w którym był mój ojciec, od którego nadał mi imię! W miejscu, gdzie znaleziono kamień. Odzyskam dziecko.

— Bardzo jestem rada! — zawołała do państwa Alabaster. — Muszę teraz zawrócić do kościoła.

— Dlaczego?

— Chcę zapłacić tej dobrej kobiecie. Nie zapłaciłam jej.

— Nie wolno pani wrócić — ostrzegł ją pan Alabaster. — Wyraźnie życzyła sobie, byśmy wyszli.

Rose spoglądała na nich niepewnie.

— Ona wie — pocieszyła ją pani Alabaster. — Nie chodziło jej o pieniądze. Do zobaczenia wieczorem — powiedziała i odeszła wraz z mężem.

— Wszyscy przybysze z Europy zostali zaproszeni na przyjęcie do niejakiego pana Barbera, brytyjskiego kupca. Najwyraźniej przejął obowiązki konsula w tych trudnych czasach — wyjaśniła panna Proud.

— Aha — odparła z roztargnieniem Rose.

— Fanny przysłała dwieście gwinei — rzekła panna Proud.

— Fanny?

— Poprosiła mnie, żebym je wzięła na wszelki wypadek. Powiedziała, że nie chciałaś przyjąć pieniędzy wuja. Wołałaś sobie poradzić sama. — Udawała, że nie widzi łez w oczach Rose. — Cieszę się, że je wzięłam, wyprawa okazała się kosztowna. Oczywiście, kiedy zgodziłam się przekazać pieniądze, żadna z nas jeszcze nie wiedziała, że nastąpi to właśnie w Egipcie!

— Wyjeżdżając, miałam przy sobie sześćset gwinei. Nie sądziłam, że będę potrzebować więcej. Zostało mi czterysta, z czego sto czterdzieści muszę zapłacić Alabastrom!

— Ja mam sto, poradzimy sobie — zapewniła panna Proud. — Z pomocą kochanej Fanny. Pomyślmy o dzisiejszej kolacji. Wszyscy na niej będą.

Rose wreszcie zrozumiała.

— George?

— Prawdopodobnie. Mattie słyszała na targu o George'u, Dolly i Williamie.

— Oraz Korneliuszu Brownie — dodała spokojnie Mattie.

— Co mówią o George'u? — Rose czuła, że głowa jej pęka od nadmiaru informacji.

— Przebywa w Aleksandrii. Organizuje wyprawę wzdłuż Nilu. W poszukiwaniu antyków.

— A Dolly?

— Widziałam ją. Nie wiem, czy jest w ciąży, miała luźny strój. Chodziła po bazarze jak rodowita Arabka! Wysoka i blada jak księżyc.

— Nie unikniesz spotkania ze szwagrem — powiedziała panna Proud. — Aż dziw bierze, że wasze ścieżki nie przecięły się do tej pory. Alabastrowie wiedzieli wszystko o dziecku. Mattie widziała Dolly na targu. Wi-

cehrabia z pewnością już wie, że tu jesteś, lub też wkrótce się dowie. Nie wyobrażam sobie, by na dzisiejszej kolacji nie rozmawiano o dziewczynce. Zwłaszcza kiedy padnie nazwisko Fallon. Ludzie będą zachwyceni, mogą powiedzieć wszystko George'owi. Musimy przetrwać wieczór ze spuszczo-
nymi głowami i modlić się, by dotrzeć do Rosetty przed nim.

Rose oganiała się od much, milczała przez chwilę.

— Egipt nie należy do George'a Fallona — odezwała się wreszcie z wielką pewnością siebie. — Nie będę się przez niego ukrywać. Chcę się zobaczyć z Dolly. Jutro wyruszam do Rosetty. George się nie dowie!

— A kiedy poruszony zostanie temat dziecka, będziemy udawać zasko-
czenie. Skąd miałybyś wiedzieć? Z łatwością wytłumaczysz swoją obec-
ność w Egipcie miłością do hieroglifów. Przybędziemy na miejsce spóź-
nione. Zmusimy wicehrabiego, aby wykonał pierwszy ruch.

— A ja posłucham w kuchni plotek — dodała Mattie. — Tam zawsze
najwięcej można się dowiedzieć.

Rose roześmiała się serdecznie.

— Pierre Montand ostrzegał nas przed Anglikami rezydującymi w
Egipcie. Twierdził, że są przebiegli, nieuczciwi. Dostosujmy się!

— Pierwszy krok za panią, czuć od pani rumem — powiedziała Mattie.

Dom pana Barbera stał na obrzeżach siedziby Franków. Na górze ele-
ganckiego budynku znajdowały się zdobione metalowe kraty.

— Tam mieszkają kobiety — wyjaśniła pani Alabaster ubrana w piękną
arabską suknię. — Mogą wszystko obserwować, same nie będąc widziane.
Pani Barber oczywiście nie mieszka razem z innymi kobietami, lecz więk-
szość egipskich rodzin żyje właśnie w ten sposób.

— Chciałabym poznać Egipcjanki. Jak znoszą takie życie? — mówiła
zbulwersowana panna Proud.

Zgodnie z planem przybyły spóźnione. Rose starała się zachować pozory spokoju, mimo że cała się trzęsła. Spotkania z George'em w ciągu ostatniego roku nauczyły ją, iż tylko spokój może ją uratować. Weszły po schodach do dużego białego pomieszczenia w centralnej części domu. Wszystkie inne były połączone z tą jedną ogromną, pozbawioną dachu salą. Rozmowy toczyły się po angielsku, francusku, grecku, szwedzku i włosku. Mówiono z przejęciem o sytuacji politycznej, bezpieczeństwie, pieniądzach. Nielegalny alkohol płynął obficie. Rose z przyjemnością patrzyła na ludzi w europejskich strojach, póki nie zobaczyła gospodarza, pana Barbera. Rozmawiał z George'em, Dolly i Williamem.

George dostrzegł Rose. Na jego twarzy odmalował się komiczny wyraz niedowierzania i oszołomienia. Pan Barber odwrócił się, podążając za jego wzrokiem. Rozpoznał pana Alabastra i przywitał się z nim. Dwie grupy stanęły razem.

— Witaj, George — odezwała się Rose. — Witaj, Williamie. Miło cię widzieć, Dolly.

Dolly ubrana była według mody arabskiej w wiele warstw materiału i chust. Chusta okrywająca jej głowę opadła na plecy. Wyglądała olśniewająco i młodo, wyższa niż wszyscy pozostali i blada jak śmierć. Dolly jest chora, pomyślała Rose ze ściśniętym sercem. Nie potrafiła stwierdzić, czy dziewczyna jest w ciąży. Strój ukrywał jej stan.

— Nic nie mówiłaś, że wybierasz się do Egiptu — powiedziała Dolly, jakby zza szyby. Miała bardzo zwężone źrenice. — Właśnie się dowiedzieliśmy o dziecku!

— Wiedziałaś! — krzyknął George zupełnie wytrącony z równowagi na widok bratowej. — Usłyszałem o tym przed chwilą, ale ty musiałaś wiedzieć wcześniej, inaczej by cię tu nie było!

Pan Barber był skonsternowany. Pan Alabaster przedstawił mu swoje towarzyszek. William wyglądał na tak samo zmieszanego jak zawsze przy

spotkaniu z Rose, odkąd wpadła bez pukania do pokoju w Hotel de l'Empire.

— Fallon? — zainteresował się pan Barber. — Cała rodzina szuka dziecka?

— Jakiego dziecka? — Zapadła nagła cisza. Pani Barber poprosiła gości do stołu.

— Rose Fallon jest wdową po kapitanie Harrym Fallonie, o którym nam pan opowiadał — powiedziała Dolly głośno, z promiennym uśmiechem.

Pan Barber, kupiec z Nottingham, wyraźnie się zawstydził i poprowadził towarzystwo do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie podano kolację.

George nie spuszczał wzroku z Rose.

— Wiedziałaś. Nie powiedziałaś mi.

W jego oczach kryła się groźba. Mówił na tyle głośno, że kilka osób popatrzyło w jego stronę.

Rose nie odpowiedziała. Odwróciła się, drżąc na całym ciele, i zwróciła się do pana Barbera, komplementując dom. Pan Barber nawiązał z nią rozmowę, z wyraźną ulgą zmieniając temat. Pokazał Rose kratę na górze, przez którą kobiety mogły wszystko obserwować, oraz tajemne schody w ścianie. Muzułmanki używały ich, żeby uciec, kiedy do domu przychodził obcy mężczyzna.

— W dawnych czasach? — spytała Rose.

— Nie — odparł ze zdziwieniem pan Barber. — Teraz. Oczywiście nie moja żona!

George chwycił Rose pod ramię.

— Pozwoli pan, że sam zaprowadzę bratową do stołu — zwrócił się do pana Barbera z drapieżnym uśmiechem.

Trzydzieści osób zebranych na przyjęciu jadło, piło alkohol i rozmawiało coraz głośniej. George wypchnął Rose do sąsiedniego pomieszczenia. Była to sypialnia.

— Wiedziałaś.

W małym pokoju, w którym sypiali obcy ludzie, uderzył ją w twarz. Chwyciła się za policzek, patrzyła na niego w niemym osłupieniu. George nigdy nie tracił panowania nad sobą. Przenigdy nie zrobiłby sceny w miejscu publicznym. Czy to wiadomość, że na świecie żyje jakaś część jego ukochanego brata, poruszyła zimne serce tego człowieka?

— Ty idiotko! — wrzeszczał. — Ty głupia, sentymentalna, niebezpieczna idiotko! Sądziłaś, że się nie dowiem? Zamierzałaś sprowadzić dziecko do Londynu, ośmieszyć rodzinę, może nawet domagać się dla niego tytułu szlacheckiego? — Wciąż wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, że wykrzykuje podobne niedorzeczności przy ludziach. — Wyobrażałaś sobie, że pozwolę ci zbezczęścić pamięć mego brata, przywieźć śmierdzącego, czarnego egipskiego bękarta? Zniszczyć wszystko, na co pracowałem całe życie?! Żaden bękart nie będzie plamił honoru naszego nazwiska! Obecni tutaj złodzieje i włóczędzy nie mają żadnego znaczenia, co się dzieje w tym kraju, nie ma znaczenia, ale honor mojego brata i całej rodziny w Anglii znaczy więcej niż życie!

— O czym ty mówisz? — wykrztusiła wreszcie. — Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

George prawdopodobnie uderzyłby ją jeszcze raz, tak wielkie było jego wzburzenie, gdyby nie przybiegli jej na pomoc pan Barber i pan Alabaster.

— Drogi wicehrabio — wybełkotał pijany już pan Alabaster. — Może jesteśmy włóczęgami, lecz mamy swoje zasady i nie uznajemy bicia kobiet.

George popatrzył na niego morderczym wzrokiem, a Rose została wleczone z sypialni. Pan Alabaster być może nie bił kobiet, natomiast dość brutalnie potrafił nimi szarpać. Mimo wszystko podziękowała mu, dała

znak pannie Proud, że nic jej nie jest, i usiadła obok Dolly. Po chwili pan Barber zdołał przemówić George'owi do rozsądku i obaj usiedli przy stole. Goście obserwowali Fallonów w nadziei na dalszy ciąg przedstawienia. Kolacja trwała. Obok bladej Dolly siedział prawie już nieprzytomny od nadmiaru trunków holenderski kupiec.

— Jak się miewasz, Dolly? — odezwała się Rose. — Wyglądasz oszłamiająco. Pasuje ci ten strój.

— Uderzył cię? Słyszeliśmy, jak cię uderzył! Zwykle jest bardzo opanowany. Wpadł w szal na twój widok zaraz po tym, jak dowiedział się o dziecku. Doznał szoku — zachichotała Dolly. — Proszę, napij się wina!

Rose wychyliła duszkiem alkohol, zakrztusiła się. Napiła się jeszcze. Po chwili odezwała się cicho:

— Jesteś chora, Dolly. Co się stało? Co ci jest?

Dolly spuściła wzrok.

— Nie mów o tym. George nie wie. Odesłałby mnie do domu. Codziennie staram się poronić. Dziś rano wzięłam coś... co kupiłam na bazarze. Czuję się... Wydaje mi się... — Przez chwilę sprawiała wrażenie zaskoczonej. — Coś mi się dzieje w środku.

Rose była wstrząśnięta. Popatrzyła na George'a i Williama. Jak mogli nie zauważyć, w jakim stanie jest Dolly? Jak bardzo jest chora?

— Ignorują mnie — powiedziała Dolly jakby w odpowiedzi na myśli Rose. — Nawet kochany William. Sypiam sama. Ale... — Jej dziecinny jeszcze głos był wyższy niż pozostałe. — Podoba mi się tu. — Zachowywała się bardzo dziwnie, jakby unosiła się nad ziemią. — Uwielbiam zapach perfum i przypraw na bazarach... Dziki hałas i dziwną muzykę... A te wołania po arabsku sprawiają, że czuję się... magicznie. — Dolly sprawiała wrażenie, jakby przebywała w innym świecie. — Chcę popłynąć przez Nil. — Popijała greckie wino jak wodę. — Kiedy pozbędę się tego. — Wskazała ze złością na brzuch, by po chwili przytrzymać się krawędzi stołu, jak-

by zakręciło jej się w głowie. Piła równie szybko jak siedzący obok niej kupiec. — Przebioreę się za arabskiego mężczyznę. To jedyny sposób, żeby móc się bezpiecznie przemieszczać bez towarzystwa angielskich dżentelmenów. — Spojrzała z pogardą na męża i brata.

— Zgodzili się przecież zabrać cię ze sobą ci angielscy dżentelmeni? Sądziłam, że nie będą chcieli.

Rose z trudem przychodziło skupienie się na rozmowie. Czuła na sobie wzrok George'a.

— Nie pozwoliłabym im wyruszyć beze mnie. Zagroziłam, że powiem wszystko księciu Hawksfield. Wiesz o czym? — Roześmiała się dziwnie, fałszywie. — Nie możemy sobie pozwolić na kolejny skandal po złodziejskim wybryku wicehrabiny matki!

Podano pieczone gołębie oraz wiele gatunków sera, oliwki i wino. Dolly zbladła jeszcze bardziej na widok pieczystego i odsunęła je ze wstrętem. Ktoś zaintonował pieśń miłosną po włosku, dołączyły się inne głosy. Dolly wstała raptownie. Rose chciała pójść za nią, lecz Dolly powstrzymała ją niecierpliwym gestem. Rose usiadła niepewnie. Wokół panował hałas i rozgardiasz. George wstał i ruszył w kierunku Rose, przepychając się między pijanym, roześmianym towarzystwem. Pani Alabaster przecięła mu drogę. W przedziwny sposób oplotła ramionami jednocześnie jego i wąską kolumnę, zza której się wychyliła. Zaplątał się w jej chustach. Ludzie zaczęli klaskać i wydawać okrzyki uznania. Rozrywka! Wszyscy znali panią Venetzię Alabaster, była śpiewającą akrobatką. Spodziewali się występu. George nie potrafił wyswobodzić się z jej ramion, nie ryzykując urzędnictwa publicznej sceny.

Zacząła śpiewać. Jej głos był hipnotyzujący. Dolly wróciła na miejsce obok Rose. Miała zarumienione policzki i roziskrzony oczy. Pieśń dobiegła końca, rozległ się głośny aplauz. George usiadł obok Williama, połuźnił fular. Przy stole panował gwar, rozlegały się głośne wybuchy śmiechu.

— George zabije to dziecko — powiedziała Dolly.

— Nie mów głupstw.

— Nie mówię głupstw — roześmiała się Dolly. — George nie cofnie się przed niczym, by uniknąć skandalu. Mam nadzieję, że nie robisz sobie nadziei, że będziesz mogła je zatrzymać dla siebie! — Zaczynała bełkotać. Wyciągnęła rękę, by ponownie napełniono jej kieliszek. Holenderski kupiec zrobił to automatycznie, napełnił także swój, rozlewając dużą część wina na obrus. — Poślubisz pana Montanda?

— Nie, Dolly. Nie zamierzam za niego wychodzić. Wszyscy mieliśmy szczęście, że nie trafiliśmy do więzienia w Paryżu, kiedy ogłoszono wojnę, prawda? Widzę, że bardzo źle się czujesz, Dolly — dodała dużo ciszej. — Zabiorę cię do domu. Błagam, Dolly, pozwól sobie pomóc.

— Mój mąż odkrył istnienie potomka swego brata! — powiedziała Dolly głośno do sąsiada, nie zwracając uwagi na Rose.

— Bawię się tu lepiej niż na Berkeley Square. — Holender chrząknął. Dolly odwróciła się nagle ze złością w stronę Rose. Miała szkliste oczy. — Wiedziałaś o Williamie i George'u?

Rose z rozpaczą wyciągnęła rękę do Dolly.

— Pisałam do ciebie, bardzo chciałam pomóc. Przepraszam, nie mogłam uwierzyć, że zmuszą cię do ślubu, nim skończysz szesnaście lat. Myślałam, że wprowadzisz się do mnie na South Molton Street.

— Mój mąż z moim... — Głos jej się załamał. — Bratem. — Po chwili doszła do siebie i zawołała: — Odpowiedz mi, Rose! — Siedzący po drugiej stronie długiego stołu George usłyszał, popatrzył w ich stronę. Dolly napotkała jego wzrok. Była chora i zdezorientowana, jednak stanęła na wysokości zadania. — Kto by chciał mieszkać na South Molton Street! — krzyknęła pogardliwie.

— Masz rację, kochana Dolly — odkrzyknął George. — South Molton Street to nie miejsce dla ludzi takich jak my!

Rose zauważyła, że odzyskała panowanie nad sobą. Popatrzyła na odurzoną Dolly, jej bladą twarz, nieprzytomne oczy. Nie miała wątpliwości, że stan dziewczyny jest poważny.

— Ależ, wicehrabio! — rozległ się rzeczowy głos panny Proud. — Nie wypada przecież mówić ze wzgardą o okolicy, gdzie rezydują admirałowie floty jego królewskiej mości. Nawet lord Nelson mieszkał tam przez jakiś czas. To miejsce o bogatej i chwalebnej historii. Wiedział pan, że pan Handel skomponował swe najpiękniejsze utwory na Brook Street, nieopodal South Molton Street? Proszę cofnąć swoje słowa!

Było coś dostojnego, imponującego i do głębi angielskiego w jej stroju starej panny i pełnej godności postawie, wicehrabia Gawkroger nie śmiał się przeciwstawić.

— Cofam swoje słowa, panno Proud — powiedział grzecznie.

Ciszę przerwała pewna młoda Francuzka, która pragnęła zwrócić na siebie uwagę. Miała nadzieję znaleźć męża wśród cudzoziemców przybyłych do Aleksandrii.

— Słyszałam o jakimś dziecku. Czy mogę dowiedzieć się czegoś więcej? Chodzi o angielskie dziecko?

Kilka osób wymieniło znaczące spojrzenia. Gdyby wzrok mógł zabijać, Rose zginęłaby rażona gniewem George'a. Nagle, pod wpływem głębokiej nienawiści do szwagra i obezwładniającego lęku o Dolly, powiedziała głośno, nie pozwalając George'owi dojść do słowa:

— Angielskie dziecko, w rzeczy samej! George, przyjmij moje najserdeczniejsze gratulacje. Będziesz miał dziedzica. Obawiam się, że nie dbasz o Dolly odpowiednio do jej stanu.

Dolly zachłysnęła się powietrzem. George poderwał się od stołu, zrzucając kielich na kamienną podłogę.

— Dolly? — wyjąkał.

Patrzyła oniemiała.

William również wstał i podszedł do siostry. Mężczyźni po raz pierwszy zauważyli jej chorobliwą bladość oraz dziwaczny sposób poruszania się.

— Ja... nie czuję się najlepiej, Williamie.

Młodziutka wicehrabina Gawkroger wyciągnęła drżącą dłoń w kierunku brata w geście pojednania.

W nocy przybiegł po nie służący. Ubrały się prędko. Mattie zabrała ze sobą ręczniki, pani Alabaster wydała dyspozycje po arab—sku, żądając gorącej wody. Dolly leżała nieprzytomna na pościeli, w kałuży krwi. Panna Proud i Mattie zajęły się dziewczyną, pani Alabaster donosiła gorącą wodę, Rose robiła zimne okłady i odgarniała mokre włosy z rozpalonego czoła Dolly. Dziewczyna nie poruszała się, lecz oddychała. Przyszedł pijany grecki lekarz. Popijał kawę i wydawał kobietom polecenia łamaną angielszczyzną. Rose ze złością rozdeptała olbrzymiego karalucha.

— To wszystko twoja wina! — krzyczał George.

— Nie, George, twoja! Chciała się pozbyć dziecka. Zażyła jakąś miksturę kupioną na targu. Z pewnością znajdziesz świadków niecodziennej transakcji. Na litość boską, trzeba wezwać arabskiego medyka.

— Żaden brudny Arab nie zbliży się do Angielki!

— Dlaczego miałyby potrzebować arabskiego medyka? — spytał William. Na jego twarzy malowało się napięcie i troska. Rose nie mogła uwierzyć, że wcześniej nie zwrócił uwagi na stan siostry.

— To nasza jedyna nadzieja! Zażyła arabską miksturę! Być może ją otruto. Przecież nas tu nienawidzą.

— Żaden brudny Arab... — zaczął George.

— Ja pójdę — powiedział William i wybiegł.

Rose gładziła bezradnie rozpalone czoło dziewczyny. Była zrozpaczona, wściekła i drżała, przeczuwając najgorsze. Pani Alabaster krzyczała, by podano jej więcej ręczników. Nie mieli więcej.

Dolly otworzyła oczy. Jej spojrzenie spoczęło na Rose. Zrozumiała.

— Boję się — szepnęła. Rose chwyciła ją za rękę. — Czy ja pójdę do piekła?

Rose pochyliła się ku umierającej. Przypomniała sobie słowa Fanny.

— Na pewno nie pójdziesz do piekła, Dolly. Piekło nie istnieje. Jestem przekonana, że trafisz w miejsce, w którym zaznasz spokoju. Piękne miejsce, gdzie będziesz szczęśliwa. Bóg nie jest okrutny. Bóg jest miłością.

— Zrobiłam coś strasznego — zawołała nagle z rozpaczą.

— Nie, Dolly. Jesteś bardzo dzielna.

— Tak? — Zamrugała. Gasła powoli, lecz w jej oczach tkwiła tęsknota.

— Dolly, kochana Dolly, zawsze byłaś dzielna, zawsze.

— Powiedz mi jeszcze raz.

Wyglądała na dziesięć lat. I na sto lat. Dziewczynka, która miała pawia za przyjaciela.

— Jesteś dzielna, Dolly. Byłaś dzielna, kiedy postanowiłaś się uczyć bez niczyjej pomocy, mając do dyspozycji tylko bibliotekę ojca. Byłaś dzielna, kiedy zachorowała twoja mama, a ty z nią rozmawiałaś. I byłaś dzielna w Paryżu.

— W Paryżu?

— Pamiętasz Napoleona?

Na ustach Dolly pojawił się cień uśmiechu.

— Zemdlałam.

— Byłam z ciebie dumna.

— Czy on... pan Bonaparte... wiedział, że udawałam?

— Oczywiście. Śmiał się!

Znów cień uśmiechu. Jej ręka stała się bezwładna, zamknęła oczy, nagle całym ciałem wstrząsnął dreszcz przeraźliwego bólu. Dolly krzyknęła rozdzierająco.

— Powiedz drogiemu Williamowi — odezwała się, powstrzymując kolejny krzyk. Była zdyszana i spocona. Ścisnęła dłoń Rose i krzyknęła z bólu po raz ostatni, po czym zamknęła wielkie smutne oczy, szepnęła w mrok egipskiej nocy, z trudnością wydobywając słowa: — Przepraszam, że byłam ciężarem... Kocham go najbardziej na świecie.

Grecki medyk beknął i pokręcił głową. Pani Alabaster próbowała mu wytłumaczyć po arabsku, co zażyła Dolly. Nie rozumiał.

George Fallon stał w progu, wyglądając jak zdolny do wszystkiego szaleniec. Jego wpływy w rodzinie Torrence'ów wisiły na włosku. Dolly zmarła o czwartej nad ranem.

William wrócił sam.

— Żaden z tych przeklętych tubylców nie mówi po angielsku. Nie rozumie mnie, nikt nie chciał ze mną przyjść.

Arabskie służące zaczęły zawodzić obco brzmiące pieśni żałobne. Anglicy poczuli się jak w środku koszmaru. Wycie podchwycono w sąsiednich domach. Kobiety przerwały na chwilę, kiedy George na nie wrzasnął. Po jego wyjściu ponownie rozpoczęły opłakiwanie zmarłej.

Zgodnie z miejscowym zwyczajem pogrzeb nastąpił niemal natychmiast. Krótka i chłodna ceremonia w upalny dzień. Odbyła się za zamkniętą

bramą siedziby obcokrajowców. Pan Barber przeczytał ustęp z Biblii. Rozeszła się pogłoska, że za śmierć Angielki obwinia się arabską kobietę. Za bramą zebrała się grupa miejscowych ludzi. Wydawali złowrogie pomruki. William wyglądał okropnie, lecz nie płakał. George pozostawał nieporuszony stratą żony i dziecka. Rose płakała. Wspominała wysoką, nieporadną piętnastolatkę na promie do Calais opowiadającą o matce, wypytującą z zapartym tchem o paryską modę, wymyślającą niestworzone historie, aby zabić ukochanego brata. Zdała sobie sprawę, że w Anglii nikt nie będzie płakał po Dolly. Jej matka nie żyła, ojciec nigdy się nią nie interesował. Dla księcia Hawksfield była towarem. Dolly zostanie szybko, bez żadnych ceremonii, przeniesiona na cmentarz chrześcijański w Aleksandrii, kiedy zrobi się tam bezpiecznie. Być może kilku służących z Berkeley Square się przejmie jej śmiercią. Być może zaopiekują się pawiem.

Odwróciła się sztywno. George stanął za nią. Odezwał się tak, by tylko ona go słyszała. Spojrzała w jego oczy i uwierzyła w to, co od niego usłyszała.

— Mam nadzieję, że to jasne. Nie będzie żadnego dziecka Harry'ego.

Rose wymiotowała do wiadra. Panna Proud i Mattie robiły to samo w swoich pokojach. George zabije to dziecko, powiedziała Dolly. Wstrząsana torsjami Rose Fallon myślała o umierającej Dolly oraz pozbawionym skrupułów George'u.

Wszystkie trzy były jednakowo chore. Na zmianę opróżniały wiadra, kiedy mogły wstać. Na tyłach budynku znajdowały się otwarte ścieki pełne much i szczurów wielkości kotów. Wydawało się, że trafiły do piekła. W pewnej chwili Rose krzyknęła i zwymiotowała jednocześnie. Otrzymały wiadomość, że wszyscy obecni na nieszczęsnej kolacji u pana Barbera ciężko zachorowali. Francuski lekarz stwierdził, że nie umrą. Nie był to atak zarazy, lecz zatrucie.

Pani Alabaster, bardziej odporna, wyzdrowiała szybciej niż pozostali. Przyszła odwiedzić Rose. George spotkał się z jej mężem jak gdyby nigdy nic, mimo choroby, bez śladu żalu po śmierci żony i dziecka, by go namówić na wspólne poszukiwania potomka Harry'ego Fallona. Pan Alabaster pod wpływem gorączki i alkoholu powiedział zbyt wiele.

— Archie jest bezbronny wobec osoby pokroju wicehrabiego, Rose. Zwłaszcza kiedy zaoferuje mu się dużą sumę pieniędzy. Przykro mi, taki już jest. Zajmuję się finansami, kiedy tylko mogę. Sprowadzam alkohol z Italii. Pilnuję go, ale czasem ponoszę porażkę. Przyniosłam miejscowe lekarstwo, powinno pomóc, musisz prędko stanąć na nogi. Nacieraj wewnątrz bukłaka migdałami, to oczyszcza wodę. Odzyskałam to dla ciebie. — Zdjęła z szyi koptyjski krzyż i podała go Rose. — Archie schował go wśród swoich papierów. Będzie ci potrzebny. Musimy natychmiast jechać do Rosetty. Jutro o świcie wyrusza karawana. Może będziesz w stanie dołą-

czyć. Ja nie spuszczę z oka Archiego. Przyszłam, korzystając z tego, że usnął. Wezmę teraz pieniądze. Zdołasz jutro wyruszyć?

— Tak — odparła stanowczo Rose i zwymiotowała do wiadra.

— Widziałam dziś rano brata zmarłej dziewczyny — rzekła pani Alabaster. — Błakał się sam po przystani, płacząc jak dziecko. Sądziłam, że Anglicy nie płaczą.

— Zbyt późno zaczął się przejmować — rzuciła gorzko Rose. — Dolly kochała go jak nikogo na świecie i on o tym wiedział. A jednak pozwolił wujowi ją sprzedać. 1

— Sądziłam, że to tutejszy zwyczaj.

Przed świtem koło przystani panował gwar. Kupcy targowali się głośno. Ludzie z całego świata formowali karawanę do Rosetty, Kairu, Aswan. Nieufnie spoglądano na przewodników. Dwa dni wcześniej na tej samej trasie zginęło dwóch Francuzów. Szeptano o Beduinach i morderstwie. W powietrzu unosił się zapach oleju sezamowego, migotały płomienie lamp, czasem z długiego wielbłądziejego gardła wydobywał się ryk. Lekarstwo zadziało. Błede Angielki w arabskich strojach wpatrywały się z wahaniem w wielbłądy leżące na piasku. Rose zastanawiała się, czy powinna pogłaskać zwierzę, nim na nie wsiądzie.

Mattie, ku zaskoczeniu pozostałych, oznajmiła, że dosiadała kiedyś wielbłąda, będąc w cyrku w Deptford razem z mężem.

— Proszę tego nie robić, panno Rose! — ostrzegła. — Proszę wybrać osła! Nawet Korneliusz Brown spadł z wielbłąda!

— Korneliusz Brown? — spytała pani Alabaster. — Znam Korneliusza Browna. Jest kupcem w Rosetcie.

— Tak też mi powiedziano na targu! — potwierdziła tryumfalnie Mattie. Jej oczy błyszczały.

— Trzymaj się mocno! — krzyknęła pani Alabaster.

Wielbłąd wstał, Rose jakimś cudem zdołała się utrzymać w siodle. Karawana ruszyła bez wicehrabiego Gawkrogera i markiza Allswater.

Ruszyli na wschód przez sterty gruzów i kamieni, potem skręcili ku morzu. Przed zapadnięciem zmroku powinni dotrzeć do miejsca, skąd mała łódź popłynęła do Rosetty.

Insha 'Allah! Powiedział jeden z przewodników, oglądając się za siebie niespokojnie. Z bożą pomocą.

Promienie słońca odbijały się od tafli wody. Pięćdziesiąt osób poruszało się zwartą grupą, zerkając podejrzliwie ku wydmom rysującym się w oddali. Rose dostała parasol dla osłony przed słońcem. Czowała się bardzo dziwnie, było jej nieznośnie duszno i niedobrze. Kołysała się w przód i w tył na wielbłądzie. Nie poproszę o osła, postanowiła dzielnie. Krajobraz rozmazał się przed jej oczami. Wstrząsnęły ją torsje, ale nie miała czym wymiotować. Wyprostowała się z godnością w siodle. Nie zamierzała się poddać. Nie wierzyła, że jeszcze kiedykolwiek będzie miała ochotę na jedzenie, natomiast pragnienie dokuczało jej dotkliwie. Napiała się wody z nadzieją, że migdały odegrały swą rolę. Popatrzyła zazdrośnie na panią Alabaster, pannę Proud i Mattie, które jechały na osłach. Żar lał się z nieba. Wielbłąd kołysał się na boki. Po jakimś czasie zdołała dostosować się do jego rytmu. Poczowała się bezpiecznie, przestały jej dokuczać mdłości. Uśmiechnęła się do siebie z gorzkim tryumfem. Czowała się dziwnie, jak część krajobrazu, przemierzając pustynię na grzbiecie wielbłąda w czarnej arabskiej szacie z drewnianym krzyżem koptyjskim na szyi. Od czasu do czasu mijali daktylowce pełne żółtych i czerwonych owoców.

Ktoś krzyknął. Wszyscy spojrzeli w kierunku, który wskazywał, i zobaczyli sylwetkę Beduina na koniu na tle fioletowego już nieba. Obserwował ich. Wyglądał niesamowicie malowniczo, coś ścisnęło Rose za gardło. Po chwili zniknął.

— Od bitwy pod Abu Kir minęło dopiero dwa lata — ostrzegł jeden z angielskich kupców. — Tam się zatrzymamy, pozostały jeszcze ślady po

walkach. — Rose poczuła dreszcz na dźwięk nazwy miejscowości. — Słynna bitwa o Nil odbyła się również na wodach u brzegu Abu Kir, wcale nie na Nilu.

Rose pokręciła głową z niedowierzaniem. Pomyślała o medalach zdobytych przez Harry'ego za walkę u boku lorda Nelsona. Jechała tą samą drogą, którą niegdyś przemierzał Harry. W Egipcie.

Dotarli na miejsce przed zapadnięciem całkowitych ciemności. Wielbłąd Rose postanowił się położyć, nie czekając na komendę. Gdyby nie ostrzeżenie pani Alabaster, poleciałaby głową do przodu na piasek. Zeszła chwiejnie. Rozpalono ogniska, rozbito namioty, przygotowano jedzenie. Pan Alabaster dyskretnie schował do kieszeni butelkę rumu i powiedział, że idzie poszukać łodzi płynącej do Rosetty. Panna Proud i Rose przechadzały się po piasku, spoglądając na morze. Cieszyły się, że są z dala od Aleksandrii.

— Cóż za niezwykle muszle — zauważyła Rose. Pochyliła się ku białym kształtom, nie słysząc ostrzeżenia panny Proud.

— O, Boże! — krzyknęła.

Wyprostowała się gwałtownie. Miała w dłoni małą wypaloną słońcem kość. Palec. Upuściła go prędko. Znajdowała się w miejscu, gdzie ginęli ludzie. Harry często opowiadał o krwawej bitwie, płonących okrętach, morzu czerwonym od krwi, krzykach umierających i rannych. Panna Proud przyklęła i wspólnie zagrzebały kość w piasku. Dostrzegły, że wokół leży dużo więcej szczątków żołnierzy angielskich i francuskich. Prawdopodobnie również Arabów i Turków. Rose zamknęła oczy i zmówiła modlitwę w tym opuszczonym przez Boga miejscu. Po chwili rozległ się głos wołający: *Allach akbar*.

W obozie Arabowie wyklócali się z Frankami o wielbłądy, osły, łodzie, wodę, a przede wszystkim o pieniądze. Wrócił pan Alabaster, roztaczając silny zapach rumu. Wypląną po wschodzie księżyc, poinformował.

— W Rosetcie wpływa woda z morza i wypływa woda z Nilu — wyjaśnił. — W miejscu, gdzie spotykają się dwa żywioły, powstają olbrzymie fale i wiry wodne. Ktoś nani musi pomóc się przedostać.

Rose patrzyła w gwiazdy świecące jasno nad miejscem, w którym jej mąż został bohaterem. Przypomniała sobie słowa panny Proud: w istocie nic dziwnego, że starożytni Egipcjanie interesowali się astronomią. Rozległy się dźwięki muzyki arabskiej, dochodziły spoza obozu. Rose stała nieopodal gniazda skorpionów, nic o tym nie wiedząc. Wydawało jej się, że przebywa w nawiedzonym miejscu, szum morza był jak westchnienie tysięcy żołnierzy, którzy umarli tak daleko od domu przy dźwiękach dziwnej muzyki.

Ducha Harry'ego nie było między nimi, unosił się wśród ruin i śmieci Aleksandrii. Podobnie jak Dolly. Biedna Dolly, która nie miała żadnych szans. Z oczu Rose popłynęły łzy.

W świetle księżyca czekali na świt tuż przy mieliźnie. Zerwał się wiatr. Stłumiony ryk kipieli dobiegał z miejsca, gdzie słodka i słona woda ścierały się ze sobą. Rose, kołysząc się w łódce, myślała o zaciętych twarzach George'a i Williama na ceremonii pogrzebowej. Ile wiedział George? Czy jechał za nimi, a może wyruszył wcześniej? Pilot zawołał ich, gdy nastał świt, potem rozległy się krzyki gestykulujących Arabów. Rozpoczęli przeprawę. Zaprawieni w bojach Arabowie atakowali wiosłami rozszalałe fale. Łódka kołysała się na boki. Kilka minut walczyli z żywiołem, aż nagle wpłynęli na spokojne, przyjazne wody Nilu. Po obu stronach rzeki leżały wraki łodzi, którym nie udało się przeprowić.

Przemoczona do suchej nitki Rose pomyślała, że nigdy w życiu nie była równie przerażona i zachwycona zarazem. Popatrzyła z niepokojem na Mattie, która leżała nieruchomo na dnie łodzi, z zamkniętymi oczami. Panna Proud, choć również cała mokra, siedziała wyprostowana i rozglądała

się z ciekawością. Rose zanurzyła dłoń w wodzie. Napiała się trochę. Nie wyczuła soli, choć nieznacznie tylko oddalili się od morza. Woda była słodka i świeża. Mijali małe siedliska ludzkie wzdłuż brzegu. Wreszcie pani Alabaster zawołała:

— Oto fort Rashid, w którym Francuzi znaleźli słynny kamień!

Rose wpatrywała się ze szczególnym zachwytem w opuszczone miejsce, w którym przez tysiące lat leżał kamień z Rosetty. Niedoceniony.

Ich oczom ukazało się miasteczko, usłyszeli wezwanie na modlitwę.

Rose była oczarowana eleganckimi białymi budynkami z ogrodami na dachach. Pięknymi domami wzdłuż brzegu, pnączami winorośli oplatającymi kratki. Patrzyła na pola porośnięte zbożem i minarety lśniące w słońcu. Po uliczkach biegały kury i chodziły osły. Przede wszystkim jednak rosły tu zielone drzewa i kolorowe kwiaty. Tysiące róż w całej gamie kolorów oraz inne piękne, egzotyczne, nieznane rośliny. A także owoce: pomarańcze, cytryny, granaty, limonki i banany.

— Wygląda inaczej niż Aleksandria, ponieważ miejscowość została założona stosunkowo niedawno — wyjaśniła pani Alabaster. — Nil płynął wtedy, kiedy Aleksander zakładał swoje miasto. Nie było ruin, więc musieli sprowadzać rzeką kamienie na budowę fortów i meczetów.

Rose ujrzała w wyobraźni długie barki wypełnione połamanymi obeliskami, posągami. Był wśród nich kamień z Rosetty, którego dotykała własnymi rękami. Zadrzała w upale. Myślała o swoim ojcu, który palił cygaro na Brook Street i marzył o tym miejscu. Szukała wzrokiem mężczyzn uciekających ziarna kawy. Starego Araba i małego chłopca.

Wzdłuż brzegów cumowały setki statków, maszty tworzyły las. Miasto tętniło życiem, kwitł handel. Angielki zdjęły welony. Kobiety na brzegu nie miały nawet zakrytych włosów. Czy były cudzoziemkami? Jedna z nich paliła. Czyżby w Rosetcie kobiety mogły robić, co chciały? Rose poczuła przyływ nadziei.

Po chwili jej złudzenia zostały bezlitośnie rozwiane. Rozległ się tętent kopyt. Kobieta wyrzuciła papierosa i wszystkie pospiesznie nakryty głowy. Angielki poszły za ich przykładem. Nadjechała grupa mężczyzn w turbanach.

— Mamelukowie — mruknął z niepokojem pan Alabaster. — To nic. Oni również potrzebują kupców.

Przygotował pismo od gubernatora Aleksandrii, opłukał twarz wodą z rzeki i zszedł na brzeg po innych łodziach. Pozdrowił mężczyzn po arabsku, pokazał list jednemu z nich, który zdawał się przewodzić grupie. Nastąpiła długa wymiana zdań. Angielki patrzyły z niepokojem na surowe twarze mężczyzn w kolorowych turbanach. Czy dostaną zezwolenie na zstąpienie na brzeg rajy? Wdychali zapach cytrusów.

Przed południem Rose wynajęła bez trudności dom z ogrodem, a pan Alabaster wyruszył na poszukiwanie kościoła. Nie wrócił. Pani Alabaster strzeliła stawami i poszła go poszukać. Wreszcie Rose, panna Proud i Mattie poczuły się na tyle pewnie, że postanowiły ruszyć jej śladem. Nakryły głowy, lecz nie zasłoniły twarzy. Przechadzały się wśród tłumu. Wydawało się, że kobiety, szczególnie innych narodowości, mogą się czuć bezpiecznie na ulicach, nawet bez towarzystwa mężczyzny. Spotykały ludzi z całego świata. Rosetta wydała im się niezwykle przyjaznym miejscem. Rose przyglądała się uważnie twarzom dzieci. Ani śladu pana Alabastra z wiadomościami. Ani śladu George'a, z pewnością nie przegapiłyby go w tym miejscu. Mijały tabliczki z dziwnymi, niezrozumiałymi dla nich arabskimi znakami. Rose przypomniała sobie swoje dziecięce zadziwienie sprzed wielu lat, gdy dowiedziała się o istnieniu tak wielu różnych języków. Trafiły nawet na budynek z angielskim szyldem: ŁAŻNIA.

I wtedy Mattie ujrzała swego męża.

— Oto i on — powiedziała ze spokojem. — Wiedziałam, że go znajdę.

Rose i panna Proud inaczej wyobrażały sobie Korneliusza Browna. Człowiek wskazany przez Mattie wydawał się Arabem. Nie zauważył Mat-

tie, pogrążony w rozmowie z mężczyzną mówiącym po angielsku z francuskim akcentem. Francuz wyglądał na chorego. Mattie przez chwilę wpatrywała się w nieświadomego jej obecności męża.

— Patrzcie tylko, co on ma na sobie! — odezwała się głośno. — Chyba został muzułmaninem!

— Mattie!

Rose i pani Proud były niezwykle zaniepokojone. Zdziwiająco przystojny opalony mężczyzna, którego Mattie z całym przekonaniem wskazywała jako swego męża, miał na sobie strój rodowitego Araba — turban, spodnie przypominające im te od pizamy, jedwabną kamizelkę nałożoną na bawełnianą — gałabiję. Uśmiechał się promiennie do swego rozmówcy.

— Co masz zamiar zrobić? — szepnęła Rose.

— To, co zawsze obiecywałam — odparła spokojnie Mattie, nie zniżając głosu.

Podeszła do męża, zostawiając swe oniemiałe towarzyszeki.

— Witaj, Kornie.

Gdyby mężczyźni mdleli, Korneliusz Brown upadłby na ziemię. Otworzył usta, lecz nic nie powiedział. Ostatni raz Korneliusz Brown widział swoją żonę, Mattie Brown wiele lat temu na Ludgate Hill. W innym świecie. Nie potrafił pojąć, iż oto stoi przed nim w czarnym arabskim stroju. W Rosetcie. Pomyślał, że widzi ducha. Ona nie miała podobnych rozterek. Uderzyła go w twarz. Dwukrotnie.

— To za odejście bez uprzedzenia. Za to, że nie powiedziałeś nikomu o swych zamiarach. Cieszyłam się z twojej decyzji, przecież wiesz, ale powinieneś być uprzedzić. Twoja mama była zrozpaczona, myślała, że nie żyjesz. Jesteś tchórzem, Kornie.

Wróciła do swoich oniemiałych towarzyszek. Poszły za nią jak we śnie. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Rose roześmiała się mimowolnie. Mattie

uśmiechała się lekko. Pannie Proud drżały kąciki ust. Na tle ciemnofioletowego nieba ogromna złota tarcza słońca chowała się za horyzontem.

— Cóż — rzekła Mattie. — Nieprawdopodobne! — Wpatrzyła się z zachwytem w zachód słońca. — Znalazłam Korneliusza Browna w takim miejscu po tylu latach! Dokładnie tak, jak mówiłam — dodała z wielką satysfakcją.

— Spotkasz się z nim jeszcze?

— Nie po to chciałam go znaleźć, żeby się z nim jeszcze spotykać — wyjaśniła rzeczowo. — Zawsze twierdziłam, że okropnie potraktował swoją matkę. Znalazłam go, żeby go uderzyć. Zawsze dotrzymuję słowa.

Rose i panna Proud wymieniły rozbawione spojrzenia. Słońce zniknęło. Szły dalej, w stronę centrum miasteczka.

Pani Alabaster ostrzegła je przed wchodzeniem na targ i w boczne uliczki. Z daleka czuły okropny fetor dochodzący z wąskich alejek. Tajemnicze drzwi prowadziły do pomieszczeń, w których sprzedawano perfumy, klejnoty, przyprawy i leki. Pomyślały o Dolly i targu w Aleksandrii. Zapadło ciężkie milczenie. W mrocznych alejkach nie było cudzoziemców. Nagle, przed wejściem do zakazanego miejsca, coś przykuło uwagę Rose. Nabrała głęboko powietrza i rozejrzała się nerwowo.

— Oczywiście!

Zakryła twarz chustą, dała znak pozostałym dwóm kobietom, by zrobiły to samo. Nikt nie zwracał na nie uwagi, nie czuły żadnego zagrożenia. Usłyszały szept, po chwili zza szeleszczącej zasłony z koralików wyłonił się uśmiechnięty Arab.

— Zapraszam — zawołał po angielsku. — Zaparzę herbaty. Chcecie kupić?

Rose podeszła szybko do egzotycznego ciemnego wejścia.

Z wnętrza pomieszczenia dochodził zapach cynamonu i pomarańczy.

— Spójrzcie! — Wskazała błękitny krzyż z lapis— lazuli, tego samego jasnego kamienia, który Pierre miał ma swoim biurku w Paryżu. Na środku znajdował się wysadzany klejnotami mniejszy krzyżyk. Przedmiot był przepiękny. Wszystkie wyciągnęły ręce, żeby go dotknąć. Sprzedawca zauważył błysk w oczach kobiet.

— Chcecie kupić? — powoli pytanie.

— Ile kosztuje?

Panna Proud i Mattie popatrzyły na Rose oszołomione.

— Jest piękny. Z grobowca faraona. Porozmawiamy. Napijemy się herbaty.

Zaprosił je gestem za zasłonę z koralików. Wewnątrz panował mrok.

— Ile? — powtórzyła Rose ostro.

Panna Proud nie mogła uwierzyć, że Rose zamierza się targować. Nie powinny w ogóle być w tym miejscu, a klejnot wyraźnie przekraczał ich możliwości finansowe.

— Czemu to robisz? — spytała.

Rose odparła ze zniecierpliwieniem:

— George zażąda krucyfiksu, skoro się o nim dowiedział. Kiedy zobaczy wartościowy przedmiot, żądza zysku zabije wszelkie podejrzenia. Nawet nie zauważy, że nie jest to symbol koptyjski.

Mattie nie trzeba było powtarzać dwa razy.

— Ile? — Przejęła sprawy w swoje ręce, odzywając się po arabsku.

— Pięćdziesiąt gwinei.

Rose wpatrywała się z osłupieniem w sprzedawcę. Mattie chwyciła ją za rękę i odciągnęła od straganu.

— Proszę nic nie mówić. Idziemy.

— Czterdzieści gwinei — zawołał za nimi sprzedawca. — Napijemy się herbaty.

— Pięć! — rzuciła przez ramię Mattie.

Usłyszały wiązaną arabskich przekleństw.

— Trzydzieści. — Zakończył swą przemowę po angielsku.

W alejce robiło się coraz ciemniej. Mężczyźni zaczęli zapalać lampy.

Mattie rozejrzała się wokół. Zdała sobie sprawę, że poszły w złą stronę.

— Stać nas na wydanie piętnastu gwinei? — szepnęła. — To dużo, o wiele za dużo, ale myślę, że nie mamy czasu, by się targować. Powinnyśmy jak najszybciej stąd odejść.

Rose odszukała sakiewkę w fałdach sukni. Ktoś się jej przyglądał. W tłumie rozległo się złowrogie pomrukiwanie.

— Szybko — powiedziała, rozglądając się nerwowo.

Mattie rozpoczęła pertraktacje. Rose dała pieniądze, pani

Proud wzięła połyskujący klejnotami krzyż. Pomrukiwanie tłumy przybierało na sile. Ludzie przepychali się między sobą. Jednak to nie cudzoziemki okazały się przyczyną zamieszania. Dwóch mężczyzn prowadziło młodą dziewczynę. Właściwie ciągnęli ją za sobą, jej stopy krwawiły, była cała brudna, szarpała się i krzyczała. Nikt nic nie robił, żeby jej pomóc. Arabka wołała z rozpaczą do zebranych. Jej odkryta twarz wyrażała zwierzęcy strach. Tłum przyglądał się w milczeniu. Przechodziła tak blisko Angielek, że niemal mogły jej dotknąć. Jeden z Arabów krzyknął coś w stronę zbiegowiska. Posypały się kamienie.

— Musimy coś zrobić! — krzyknęła panna Proud, zwracając na siebie uwagę rozgniewanego motłochu. Rose i Mattie odprowadziły ją prędko, nie na tyle jednak, by jeden z kamieni nie trafił jej w głowę. Nie czekały, nie kłóciły się, nie uratowały dziewczyny. Nad rajem zawisła atmosfera prze-

mocy i nienawiści. Chore z przerażenia Angielki zakryły twarze i zamknęły uszy na krzyk umierającej. Popędziły z powrotem w stronę domu, gdzie czekał na nie zapach róż. Bohaterowie nieznaney historii zniknęli w oddali, krzyki ucichły, ludzie wrócili do swoich spraw.

Twarz panny Proud, gdy znalazły się z powrotem w eleganckim domu z marmurowymi kolumnami, miała barwę papieru.

— Powinnam była interweniować — powtarzała.

Z jej głowy sączyła się krew. Były bezsilne. Rose poczuła przyływ paniki. Odwróciły się od potrzebującej pomocy kobiety w poczuciu niemocy, podobnie jak niegdyś Pierre Montand. Muszę zabrać dziecko z tego niebezpiecznego miejsca, postanowiła.

— Gdzie jest błękitny krzyż? — zawołała nagle.

Panna Proud otworzyła drżącą dłoń, na której spoczywał niezwykle klejnot.

Rose zawiesiła go sobie na szyi, pod suknią, razem z drewnianym koptyjskim symbolem.

W domu zastały jedynie służbę urzędującą w kuchni, niezbyt przyjaźnie nastawioną. Nie zapalono lamp. Panowała cisza i ciemność. Poczwały się nagle bardzo samotne w obcym kraju. Wreszcie jakoś otrząsnęły się z dziwnego otepiającego uczucia.

Mattie zapaliła lampy. Rose zużyła nieco drogocennej wody do obmycia rany na głowie panny Proud. Uświadomiła sobie, jak kruche i delikatne są jej stare kości. Poczwała kolejną falę strachu. Wszystko mogło się zdarzyć w tym zapomnianym przez Boga miejscu, jedynie Alabastrowie stali między nimi a chaosem. Muszę jak najszybciej znaleźć dziecko, powtórzyła w myślach. Jeden z ich aniołów stróżów otworzył z hukiem drzwi i wtoczył do środka.

— Gdzie moja Vennie?

— Nie wiemy. Wszystkie poszłyśmy pana szukać.

Pan Alabaster chwiejnie ruszył w stronę posłania. Nie patrzył na kobiety.

— Mają tu kościół świętego Marka. Za łaźnią turecką. Jest zamknięty, w środku ciemno. Waliłem do drzwi, ale nikt nie otwierał. Przechodzień powiedział mi, że jutro po południu będzie msza.

Wyglądał na bardziej odurzonego niż zwykle, o ile to możliwe. Rose przymknęła oczy, usiłując zapanować nad irytacją.

Drzwi otwały się ponownie. Wkroczyła pani Alabaster z naręczem kwiatów i owoców.

— O, jesteś, Archie — powiedziała z wyraźną ulgą. — Gdzie byłeś tyle czasu?

Pan Alabaster odpowiedział pochrapywaniem.

Venetzia Alabaster strzeliła gniewnie stawami na wieść o tym, co się wydarzyło na targu. Obejrzała skaleczenie na głowie panny Proud, stanowczo doradziła okład z ziół.

— Po co chodzić w miejsce, o którym wiadomo, że jest niebezpieczne?

Wszystkie bez słowa popatrzyły na pogrążonego w pijackiej drzemce pana Alabastra. Pani Alabaster zaczęła delikatnie gładzić głowę i ramiona panny Proud.

— Och! — Panna Proud była zaskoczona niespodziewanym dotykiem. — Dziękuję. — Kolory powoli wracały na jej twarz.

— Istnieje arabskie słowo: *mass* — wyjaśniła pani Venetzia. — Oznacza ono delikatny dotyk. Od niego właśnie wywodzi się wyraz: masaż.

Panna Proud zamknęła oczy. Rose również. Przypomniała sobie delikatny dotyk Pierre'a, kiedy prosił ją o rękę.

Opowiedziały pani Alabaster o spotkaniu z mężem Mattie.

— Więc to ten sam Korneliusz Brown. — Była zdumiona.

— Jest twoim mężem? — Otworzyła usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, lecz zmieniła zdanie. — Znamy go, oczywiście. Wszyscy się tu znamy! — Wpatrywała się w Mattie, jakby z niedowierzaniem. — Pojawiłaś się nagle niczym zjawa z przeszłości i dałaś mu w twarz? Musiał być wstrząśnięty.

Zadzwonił gong przy drzwiach.

— George! — szepnęła gorączkowo Rose.

Pan Alabaster ocknął się i poszedł otworzyć drzwi.

— Kornie Brown. Jak się miewasz? Dawno cię nie widziałem. Napij się! — powiedział. — Masz podbite oko! — dodał po chwili.

— Zgadza się — przyznał Korneliusz Brown. — Słyszałem, że jest u ciebie moja żona, Archie.

— Twoja żona? Nie przyszlaby tu bez ciebie, Archie. To wbrew zwyczajom, przecież wiesz. Napij się! Chciałem z tobą porozmawiać. Słyszałem o zmianach w Kairze. Napij się. — Podał mu butelkę rumu.

— Wiesz, że nie piję, Archie! W Rashid sprawy powoli się uspokajają, inshallah. Chciałbym najpierw porozmawiać z żoną.

Kobiety przysłuchiwały się wymianie zdań.

— Być może nie słyszałeś, Archie — wtrąciła się pani Alabaster. — Wygląda na to, że Mattie jest żoną Korneliusza, a raczej... — Zerknęła przepraszająco na panią Brown. — Jedną z żon!

— Mattie? — powtórzył pan Alabaster. — Nasza Mattie? Chcesz powiedzieć, że nasza Mattie jest żoną Korneliusza? A co z tą drugą?

— No, proszę! — Mattie postanowiła włączyć się do rozmowy. — Masz kolejną żonę, Kornie? — Wybuchnęła śmiechem.

— Zaprosisz ją na Ludgate Hill? Mama będzie zaskoczona! Och, twoje oko! — Mattie stała oparta o kolumnę i zanosila się od śmiechu. Rose i panna Proud popatrzyły na spalonego słońcem przystojnego Anglika z podbitym okiem ubranego, ich zdaniem, w piżamę i zawtórowały Mattie. Korneliusz Brown przyjął to z typowo angielskim spokojem.

— Rozumiem, rozumiem, ale chciałbym z tobą porozmawiać, Mattie — powiedział. — Wiem, że należy ci się wyjaśnienie. Nie mogłem przecież wrócić po tym, jak uciekłem ze statku. A tyś mi winna wyjaśnienie za to, że omal nie przyprawiłaś mnie o atak serca.

— Tak, jak ty swojego tatę.

— Mam nadzieję, że ten okropny starzec od dawna leży w grobie!

— Korneliuszu Brown, jak możesz mówić w ten sposób o własnym ojcu!

— Był pijakiem i brutalem, dobrze o tym wiesz, Mattie.

— Prawda. — Mattie skinęła głową w stronę oszołomionych świadków rozmowy.

— A więc nie żyje?

— Nie żyje. Płakał za tobą, umierając. — Korneliusz Brown pozostał niewzruszony.

— I słusznie. A matka?

— Silna, jak zawsze.

— Dobrze! — Uśmiechnął się. — Porozmawiasz ze mną, Mattie?

Rose skinęła Mattie zachęcająco.

— Po tylu latach! — Mattie przewróciła oczami. Odruchowo sięgnęła po czarną chustę. Zawahała się. — Czy muszę wkładać to przebranie, nawet wychodząc z własnym mężem?

— W Rashid zawsze panowały swobodniejsze obyczaje. Mieliliśmy jednak ostatnio trochę problemów. Sytuacja jeszcze nie jest stabilna.

Mattie w czarnej arabskiej szacie i Korneliusz w swojej piżamie wyszli na piaszczystą ścieżkę. Muzułmańska para z Ludgate Hill.

Pan Alabaster parsknął śmiechem.

— Zdezerterował z marynarki, został muzułmaninem i poślubił Arabkę, a jednak pozostał Anglikiem do szpiku kości. Nawet chodzi jak Anglik! Całkiem przystojny, jak się nad tym zastanowić. Nigdy nie pragnęła go odzyskać?

— Nie sądzę. Chciała go tylko ukarać za ucieczkę.

— Udało jej się — zauważyła pani Alabaster.

— Korneliusz z pewnością nie wróci nigdy do Anglii — mówiła Rose.
— Mattie oficjalnie odzyskała wolność.

— Kto wie? — zamyśliła się pani Venetia. — Serce czasem sprawia niespodzianki. — Poszła do kuchni, podśpiewując.

Mattie wróciła ze spaceru zaróżowiona.

— Zaprosił wszystkich do swojego domu. Chce nam przedstawić swoją żonę i pięcioro dzieci. — Mattie wyglądała na oszołomioną własną wiadomością.

Allach akbar... Rozległo się wezwanie do modlitwy.

— Co takiego? Kiedy?

— Teraz. Dziś wieczór. Mówi, że trzeba wyjaśnić sytuację. Powiedział wszystko drugiej żonie.

— Och, Mattie! — zawołała Rose. — Jak sobie radzisz?

— Chcesz iść, Mattie? — spytała rozsądnie panna Proud. — Jak ty oceniasz to wszystko?

Allach akbar...

— Nie mam żadnych pretensji! — odparła Mattie. — Odpłaciłam mu już za swoją krzywdę i jestem zadowolona. — Popatrzyły na nią z niedowierzaniem. — Naprawdę wyglądałam na cierpiącą przez te wszystkie lata? Nie chciałam gromadki dzieci! Tęskniłam za nim, naturalnie. Jest pełen życia i tak dobrze się znaliśmy... Dlatego nigdy nie miałam wątpliwości, że go znajdę. Prędzej czy później. Znam Korneliusza, wiedziałam, że sobie poradzi. Widziałam jego matkę i swoją, wiecznie w ciąży lub w połogu. Obiecałam sobie nigdy nie być taka jak one. Panna Rose wystarczyła mi za córkę, w pewnym sensie. — Posłała Rose pokorne spojrzenie i obie wybuchnęły śmiechem. — Poza tym jego okropny ojciec byłby wystarczającą przestrogą dla każdego! — Pani Alabaster postawiła przed Mattie filiżankę z herbatą. Mattie popatrzyła zdziwiona. — Cóż, wszystko stoi dziś na głowie — powiedziała i napiła się z wdzięcznością. — Zdaje się, że mój mąż się wzbogacił! Korneliusz Brown jest zamożnym człowiekiem! Skupuje ryż w Rosetcie. Rashid. Został muzułmaninem, ponieważ dzięki temu może mieć dwie żony! — Znów się roześmiała. — Dziwny jest ten świat.

— To byłby prawdziwy zaszczyt poznać Egipcjanek w jej własnym domu — odezwała się tęsknie panna Proud.

— Wobec tego pójdziemy — zdecydowała Mattie. — Nie możemy zacząć dziś poszukiwań dziecka, panno Rose.

Rose skinęła głową, dotknęła krzyży na piersi i wyjrzała niespokojnie przez okno.

— Chyba że... — Mattie popatrzyła na pannę Proud. — Za nami długa podróż, a pani była ranna... Jest pani zmęczona?

— Zmęczona? — Panna Proud poczuła się dotknięta. — Zmęczona! Mam resztę życia na odpoczywanie, Mattie! Włożę swą najlepszą suknię, o ile już wyszła po przygodach na Nilu.

Pan Alabaster poprowadził kobiety do domu Korneliusza Browna, na szczęście nie musieli przechodzić w pobliżu bazaru. Rosetta wieczorem tętniła życiem. Mijali rzędy małych oświetlonych płomieniami świec sklepików. Owoce, warzywa, artykuły żeglarskie, krawiec, piekarnia, kantor. Ludzie z całego świata przechadzali się alejkami, śmiejąc się i krzycząc. *Bonjour*, mówili Arabowie, *ciao*, *hello*, *hello*, chcecie kupić? Rose rozglądała się za George'em. Po uliczkach biegały owce i kozy. Ślizgały się na gnijących resztkach. Kobiety wypytywały pana Alabastra o drugą żonę Korneliusza Browna. Ku ich rozczarowaniu nigdy jej nie spotkał. Wyobrażały sobie nową panią Brown jako piękną młodą kobietę o ciemnych oczach pełnych tajemnic. Szczelniej owinęły się chustami, by ukryć własne niedoskonałości. Korneliusz Brown mieszkał z dala od rzeki, w domu podobnym do domu pana Barbera z Aleksandrii. Spojrzały w górę, ku ozdobnym kratom, zza których spoglądały na nie tajemnicze oczy. Weszły po schodach do środka. Nie spotkały żadnych kobiet.

— Gdzie twoja żona, Kornie? — spytała od razu Mattie. — — Umieramy z ciekawości. Przedstaw nas jak najszybciej!

Zza krat u góry rozległ się jakby trzepot ptasich skrzydeł.

— Przepraszam, Archie. Zaraz ktoś przygotuje dla ciebie fajkę. — Korneliusz poprowadził kobiety na piętro. — Takie tu panują zwyczaje! — upomniał ostro Mattie. — Nie życzę sobie żadnego wyśmiewania.

Zaanonsował po arabsku przybycie gości i uchylił zasłonę, by przepuścić Angielki. Cztery Arabki zerknęły na nie nieśmiało. Siedziały na poduszkach w pokoju pełnym dywanów, gobelinów i srebra, oświetlonym lampami olejowymi. Powietrze wypełniał zapach pomarańczy i cynamonu. Kobiety były poubierane w przepiękne powiewne szaty, nie miały welonów. Nie były też młode i piękne. Niemłode i raczej pulchne, podobnie jak Mattie.

— Czy te wszystkie panie są twoimi żonami, Korneliuszu?

— Mattie nie kryła zaskoczenia.

Dwie dziewczynki, pięciolatka i dziesięciolatka, bawiły się na podłodze klockami. Młodsza na widok obcych kobiet skryła się za mamą i zasłoniła buzię jej chustą. Starsza nie ruszyła się z miejsca, patrzyła z ciekawością.

— Zostawiłbym was same. — Korneliusz odchrząknął nerwowo. — Zgodnie z tutejszym zwyczajem. Mogłybyście wtedy rozmawiać o mnie do woli, ale muszę zostać jako tłumacz.

— Przedstawił swoją pierwszą żonę, Mattie, drugiej żonie, Layli. W religii, którą przyjął za swoją wiele lat wcześniej, posiadanie więcej niż jednej małżonki było jak najzupełniej normalne. Nie czuł się bigamistą. Nie miał się czego wstydzić, choć policzki go paliły. Rose poczuła nagłą przemożną chęć zapisania tego, co widzi. — A to siostry Layli. — Pozostałe kobiety skinęły głowami z uśmiechem.

— *Salam aleikum* — powiedziała pani Alabaster.

— *Aleikum as—salam* — odrzekły.

Mattie i Layla zmierzyły się wzrokiem. Każda z nich poczuła ulgę, widząc podobieństwo. Layla ubrana była w intensywnie błękitną suknię, pod nią włożyła luźne niebieskie spodnie. Wszystkie przybyłe kobiety zwróciły uwagę na jej przepiękną chustę koloru egipskiego nieba. W uszach miała srebrne kolczyki, na rękach i nogach srebrne bransoletki, które pobrzękiwały wdzięcznie przy każdym ruchu. Mattie zdjęła czarną arabską szatę, pod którą włożyła dziś swą najlepszą suknię z Londynu. Dziwnym zbiegiem okoliczności również niebieską. We włosy miała wplecione wstążki, na szyi srebrny łańcuszek. Gospodynie były oczarowane. Oblicze Korneliusza pozostawało nieodgadnione. Arabki wymieniły między sobą pełne zachwyty uwagi, zaczęły dotykać sukni Mattie, gładzić ją nieśmiało po ramieniu.

— Zostawię was na jakiś czas — zaproponował Korneliusz. — Flo, pozwól na chwilę.

— Flo? — Mattie popatrzyła pytająco na męża. Starsza dziewczynka podeszła do ojca. — Ach, dałeś córce imię po siostrze — powiedziała z aprobatą. — Ucieszy się. Miło mi cię poznać, Flo.

— Flo mówi po angielsku, podobnie jak jej starsi bracia. Uparła się, aż musiałem się zgodzić, chociaż angielski do niczego jej się nie przyda. Chłopcy będą go potrzebowali w pracy. Ona nie. Nie przyjmowała odmowy do wiadomości. I co się okazało?! Mówi lepiej niż oni! Flo, zajmiesz się paniami? Będziesz tłumaczyć?

— *Aywa*, papa — zgodziła się Flo. — Postaram się.

Usiadła na podłodze, dziwnie podwijając jedną nogę. Patrzyła na gości nieśmiało, lecz z godnością. Czekwała. Mówiła po angielsku powoli i wyraźnie, z wyczuwalnym akcentem z Ludgate Hill. Korneliusz Brown zszedł na dół. Pot spływał mu z czoła.

Gospodynie uprzejmie odstąpiły najwygodniejsze miejsce najstarszej z kobiet, pannie Proud. Podziwiała szykowne stroje Angielek. Angielki z kolei nie mogły oderwać oczu od przepięknych jedwabi i bawełny. Służąca podała herbatę miętową. Pani Alabaster zagadywała uprzejmie po arabsku, lampy olejowe pachniały pomarańczami i rzucały długie cienie. Laylę najwyraźniej coś gnębiło. Szeptala gorączkowo do córki, która kręciła jedynie głową, wbijając wzrok w podłogę. Po wyjściu— Korneliusza jego druga żona przestała się uśmiechać.

— Znam twoją ciocię — powiedziała Mattie do Flo. — Będzie szczęśliwa, że twój papa o niej pamiętał.

— Czy jest piękna?

— Cóż... Na swój sposób — odparta dyplomatycznie Mattie. — Ma poczucie humoru. Nieźle śpiewa. Ma mnóstwo tupetu — mruknęła do swoich towarzyszek.

— Co to jest tupet? — zaciekawiała się rezolutnie dziewczynka, wprawiając Mattie w nie lada zakłopotanie.

— Jest... energiczna. Jak twój ojciec — wyjaśniła raczej niepewnie.

— Gdzie twoi bracia, Flo? — spytała Rose.

Flo wstała i dała znak Rose i Mattie, by poszły za nią. Wyszły z pomieszczenia dla kobiet. Usłyszały męskie głosy. Flo przyłożyła palec do ust. Przystawiły twarze do ozdobnej drewnianej kraty w ścianie i popatrzyły w dół. Pan Alabaster palił dziwną fajkę wodną. Obok niego Korneliusz oddawał się tej samej czynności. Zobaczyły również czterech młodych arabskich chłopców, jeszcze nie mężczyzn.

— Mówią, że Mohammed Ali przejmuje władzę w Kairze. Nie wiemy, co się stanie.

Rose poczuła się niezręcznie, niczym szpieg. Odstąpiły od kraty. Flo położyła nieśmiało dłoń na ramieniu Rose.

— Niski chłopiec jest synem cioci. Będzie moim mężem.

— Za młoda jesteś, żeby myśleć o małżeństwie.

— Zaplanowanie małżeństwa jest bardzo ważne. Przynosi radość — oświadczyła Flo, wcale nie wyglądając na zadowoloną.

Rose popatrzyła na młodziutką dziewczynkę i pomyślała o Dolly. Poczła niespodziewane ukłucie bólu, zamknęła oczy. Flo poklepała delikatnie, lecz stanowczo ramię Mattie.

— Proszę — powiedziała cicho. — Moja mama się boi. Proszę być dla niej miłą.

Pani Alabaster prowadziła rozmowę swoim łamanym arabskim. Panna Proud ze śmiechem usiłowała się wyplątać spod kolorowych chust.

— Nie, nie! *Shokran*, dziękuję.

Jednak Layla nalegała, aby przyjęła od niej w prezencie błękitną chustę. Mattie powiedziała coś cicho pani Alabaster, która przetłumaczyła jej wy-

powieź na arabski. Kobiety umilkły, wszystkie spojrzenia utkwione były w Laylę, która wylewała z siebie potok słów.

— Pomożesz mi, moja droga? — pani Alabaster zwróciła się do Flo. — Za słabo znam język.

Flo z ociąganiem powiedziała coś do matki. Layla kiwała energicznie głową, podobnie jak jej siostry.

— Wydaje mi się, że obawia się, iż będziesz go chciała odzyskać, Mattie — szepnęła pani Alabaster.

— Zabrać Korneliusza Browna z powrotem do Londynu w jego piżamie? Czy ona oszalała?

Flo wzięła głęboki oddech i odwróciła się do Mattie. Drżała.

— Moja mama błaga panią, żeby nie zabierała nam taty, bo on jest całym naszym życiem. — Było coś wzruszającego w tej ciemnoskórej dziewczynce mówiącej z londyńskim akcentem.

— Uważa pani przyjazd za okropne nieszczęście. Wie, że jest pani zła. Widziała twarz taty po spotkaniu z panią.

Flo zabrakło słów, wyciągnęła drżące dłonie w stronę matki. Zrozumiały, że też jest wystraszona.

— Wielkie nieba! — zawołała Mattie. — Cóż za absurd! Biedna mała. I twoja biedna matka. Nie wiem, co Korneliusz wam naopowiadał, ale nie mam najmniejszego zamiaru zabierać go ze sobą do Londynu! Najmniejszego! Flo! — Dziewczynka podniosła wzrok. Mattie mówiła wolno i bardzo wyraźnie.

— Powiedz mamie, że nie roszczę sobie żadnych praw do jej męża. Co więcej, cieszę się, że dała mu dużo dzieci. Ja nigdy bym tego nie zrobiła!

Flo przetłumaczyła. Layla popatrzyła z niedowierzaniem. Po kilku chwilach wszystkie kobiety rozpromieniły się w uśmiechach.

Rose przewracała się bezsennie z boku na bok. Wokół" łóżka bzyczały muchy i komary. W głowie kłębiły jej się tysiące myśli. Tyle się wydarzyło: śmierć Dolly, choroba, groźby George'a, przyjazd do Rosetty, sposób, w jaki weszła w posiadanie dwóch krucyfiksów, poznanie rodziny Korneliusza Browna. A przecież przybyła tu po własną rodzinę. Po małą dziewczynkę. Napisała w swoim dzienniku: „Spędzi życie w zamknięciu jak Flo, Layla i jej siostry. Gdyby tylko udało mi się ją odszukać i zabrać do Anglii... Nim dorośnie, wszystkie kobiety w Anglii będą miały równy dostęp do edukacji, będą mogły pracować i swobodnie podróżować po świecie. Dopilnuję, żeby zdobyła wszelką wiedzę, jaka jest dostępna. Będę o nią dbać". Poczowała się nagle dotkliwie samotna. Będę ją kochać nad życie. Pokocham ją całym sercem.

Zamknęła dziennik i zapaliła papierosa.

Pomyślała o Korneliuszu Brownie. Czy tęsknił za Mattie przez te wszystkie lata? Czy tęskni czasem za Anglią? Dziewczynka, którą zabierze teraz z rodzinnego Egiptu, nie wywiezie z niego żadnych wspomnień. Naturalnie, w Anglii będzie szczęśliwsza. Wychowam ją na Angielkę. Wróciła na posianie. Muszę spróbować zasnąć, pomyślała. Udało jej się na chwilę zdrzemnąć, lecz obudził ją nagły lęk. Gdzie jest George? Kręciła się, było jej duszno. Nie będzie żadnego dziecka, powiedział. Gdzie on jest? Potrząsała głową, próbując pozbyć się natrętnych myśli. Zrozumiała, że nie może czekać ani chwili dłużej. Ubrała się prędko i wyszła z domu. Wyglądała na miejscową kobietę, zakryta od stóp do głów.

Ulice wciąż tętniły życiem, choć handlarze pozamykali stoiska. Rozbrzmiewał śmiech i muzyka. Gwiazdy świeciły jasno nad Rosettą. Wysokie dźwięki fletu i nosowe głosy łączyły się w dziwną melodię. Pan Alabaster wspomniał, że kościół mieści się za łaźnią turecką. Nikt nie zwracał uwagi na Rose, która przemykała ulicami niczym cień, nie patrząc na nikogo. Zobaczyła biały krzyż na dachu starego, podupadłego budynku. Brama była zamknięta. Wdrapała się na nią i zeskoczyła po drugiej stronie.

Kościół tonął w ciemnościach, natomiast na końcu ścieżki po drugiej stronie zobaczyła światło, ku któremu się skierowała. Powtarzała sobie w myślach, że nic złego jej spotkać nie może na terenie kościoła, wśród chrześcijan. Przed oczyma miała obraz wleczonej na śmierć dziewczyny o zakrwawionych stopach. Jakiś mężczyzna, prawdopodobnie ksiądz, postanowił ulżyć pęcherzowi pod jedną ze ścian ogrodzenia. Rose zaczęła, aż skończy.

— *Salam aleikum* — powiedziała głośno.

Mężczyzna omal nie wyskoczył ze skóry. Przyjrzał jej się uważnie. Rozpoznał cudzoziemski akcent. Westchnął.

— *Francaisl Italiano?*

— Angielka. Mówi pan po angielsku?

— Trochę.

— Cieszę się, ponieważ potrzebuję pańskiej pomocy.

— Służę. Chodzi o dziecko?

Rose zaniemówiła. Skąd wiedział? Słyszał o jej poszukiwaniach? Czyżby wszyscy w Egipcie znali Harry'ego? Gdzie jest George? Pokiwała tylko głową.

— Proszę przyjść jutro — powiedział opryskliwie. Odwrócił się, by odejść.

— Nie, nie! Proszę poczekać! — Jej głośne wołanie odbiło się echem. Poirytowany ksiądz odwrócił się gwałtownie. Próbowła wydobyć spod stroju drewniany krucyfiks, który zaplątał się w biały welon. Wreszcie zdjęła welon razem z koptyjskim krzyżem, który podała księdzu. Przyjrzał jej się uważniej, zaskoczony.

— Dziewczyna portowa?

— Co to znaczy?

— Czego pani tu szuka, w kościele?

— Dziecka.

— Szuka pani dziecka? Szuka pani żywego dziecka?

— Tak. Dziecka pół krwi arabskiej, pół angielskiej. Potomka angielskiego kapitana.

— A to? — Ksiądz wyciągnął przed siebie krucyfiks. Wyjaśniła mu. Zastanawiał się przez chwilę. — Proszę za mną — zdecydował wreszcie.

Poprowadził ją ciemnym korytarzem. Nie boję się, nie boję się, powtarzała sobie. Weszli do niewielkiego pomieszczenia. Przy stole siedziało kilku mężczyzn. Dalej, na poduszkach, siedział po turecku starzec. Palił fajkę wodną. Mężczyźni przerwali rozmowę i ze zdziwieniem popatrzyli na Rose. Serce trzepotało jej w piersi. Przekonywała samą siebie, że to Kop—towie, nie muzułmanie. Nie ukamienują jej. Ksiądz, z którym przyszła, pokazał pozostałym krucyfiks.

— *Salam aleikum* — przywitała się cicho.

Mężczyźni zaczęli mówić bardzo szybko, po arabsku. Starzec wypuszczał dym spod wpół przymkniętych powiek. Popatrzył na Rose. To z nim miała najwyraźniej rozmawiać. Ksiądz służył za tłumacza.

— Co to za dziecko?

— Urodziła je Egipcjanka, po wycofaniu się wojsk brytyjskich. Ojciec służył jako kapitan w brytyjskiej marynarce, zginął w Aleksandrii. Został zabity. Kobietę ukamienowała własna rodzina. Powiedziano mi, że dziecko znajdę tutaj. — Rozejrzała się po pomieszczeniu, jakby spodziewała się je zobaczyć.

— Po co pani to dziecko?

Wciągnęła głęboko powietrze.

— Spłodził je mój mąż. Nie żyje, jak już mówiłam.

— Wie pani o wszystkim?

— Tak.

— I mimo to pragnie zobaczyć dziecko?

— Tak.

— Co pani z nim zrobi?

— To, co będzie dla niego najlepsze. Czy jest tutaj? — Usiłowała zachować spokój. — Jego życiu grozi niebezpieczeństwo! Czy ono tu jest?

Starzec nie odpowiedział.

— Jest pani chrześcijanką?

Pomyślała, że to rodzaj testu. Miała nadzieję, że Pan Bóg nie porazi jej gromem, jeśli go nie zda.

— Pochodzę z Anglii. Wyznajemy tam wiarę chrześcijańską. Mój kuzyn jest pastorem.

— Wydaje się pani, że jest taka sama?

— Słucham?

Nie rozumiała. Kręciło jej się w głowie z niewyspania, lecz determinacja pozostawała silniejsza od zmęczenia.

— Z tego miejsca na ziemi, z naszego kraju, wywodzi się chrześcijaństwo. I islam. A także judaizm. Wie pani, kim był Mojżesz?

— Naturalnie.

— Tu został znaleziony jako niemowlę w koszyku. Mamy żydowską synagogę, niedaleko niej kościół chrześcijański. A jeszcze trochę dalej meczet. Kiedyś nasze religie były splecione, dziś walczymy. Żyjemy na ziemi przodków wraz z naszymi religiami i historią. Czy pani uważa, że jesteśmy podobni?

Nadal nie była pewna, o co pytał. Nie miała pojęcia, jakiej odpowiedzi oczekiwał.

— Wydaje mi się, że w Anglii jesteśmy bardziej odsunięci od naszej religii. — Wykonała gest rękoma. — Tu, w Egipcie, wszyscy nią żyją. — Złączyła dłonie. Starzec pokiwał głową, wyraźnie usatysfakcjonowany. Pozostali mężczyźni z zainteresowaniem przysłuchiwali się wymianie poglądów.

Rose uklękła przed starcem.

— Błagam, proszę mi powiedzieć, czy dziecko tu jest! Nie jest bezpieczne! — Chwyciła mężczyznę za rękę, nie mogła się powstrzymać. — Muszę je stąd natychmiast zabrać!

Obserwował jej wzburzenie ze spokojnym zainteresowaniem. Odezwał się po arabsku. Odstąpiła, poczuwszy nieświeży oddech.

— Nie trzeba krzyczeć. Bóg odpowie, jeśli zechce! — Wszyscy zebrani roześmieli się, podając sobie fajkę wodną, a Rose spuściła głowę z udawaną pokorą. Czekala. — Dostała pani koptyjski krucyfiks od jednego z nas. Nieczęsto trafia on w ręce Franków. To znak, że mamy pani zaufać. Trafiliśmy na górę — mówił starzec. Rose zerknęła ze zdziwieniem na tłumacza, który wzruszył ramionami. — Jest tylko dziewczynką, w dodatku półkrwi Angielką. Nie żyłaby już. Trzymaliśmy ją u siebie, ponieważ płacił nam angielski kupiec z Aleksandrii. Próbowali go zabić. Turcy. Musiał uciekać, przestał płacić. Może ją pani z łatwością odkupić od mnichów. Jest w klasztorze.

Nie znam ich, pomyślała Rose. Skąd mam wiedzieć, czy mnie nie zwozują? A jednak tylko oni mogą mi pomóc. Nie mam wyboru, jak tylko im zaufać.

Nagle Rose uświadomiła sobie, że starzec nie siedzi po tu— reku. Nie miał nóg. Odwróciła wzrok.

— Gdzie znajdę ten klasztor?

Starzec popatrzył przebiegle i sam odpowiedział.

— Ja — odezwał się po angielsku, poklepując się dłonią po klatce piersiowej. — Ja!

Do domu wróciła nad ranem.

Wszyscy już wstali i rozprawiali o czymś żywo. Z wyjątkiem pana Alabstra, który pochrapywał z otwartymi ustami.

— No, jesteś wreszcie — powitała ją z ulgą panna Proud. — Gdzie byłaś? Na porannym spacerze? Przegapiłaś delegację.

Zamarła.

— George?

— Nie. Korneliusz, Layla i synowie.

— O co chodzi? O co chodzi, Mattie?

Mattie splonęła rumieńcem i pospiesznie wycofała się do kuchni.

— Niech pani powie — rzuciła przez ramię do pani Alabaster. — Muszę wszystkiego dopilnować. Inaczej na śniadanie dostaniemy gotowanego kota!

Pani Alabaster oparła się o kolumnę.

— Cóż, nie wiem, co ty na to, Rose. Dziś z samego rana Mattie złożono wizytę. Przyszedł Korneliusz, Layla, siostry Layli, synowie, Flo, narzeczony Flo... Wszyscy! — Pani Alabaster roześmiała się głośno. — Poprosili Mattie, żeby została w Rosetcie. I zamieszkała z nimi na stałe.

— Jak to? — Rose otworzyła usta ze zdumienia.

— Chcą, żeby została prawowitą pierwszą żoną.

— Mattie? Pierwszą żoną? Oszaleli? Cóż za tupet!

— Być może Mattie spodobał się ten pomysł — zauważyła panna Proud. — Chyba powinnaś jej pozwolić podjąć decyzję, Rose.

Rose zarumieniła się.

— Propozycję wysunęła Layla — wyjaśniła pani Alabaster. — Wydaje się, że to ona rządzi w domu, wbrew pozorom. Głównie ona mówiła. Doszła do wniosku, że Korneliusz powinien mieć kontakt z rodzinnym krajem. Layla ma swoje siostry. Wszyscy zgodnie twierdzą, że Korneliusz będzie szczęśliwy. Korneliusz nie protestuje. Mówiłam przecież, że ludzkie serce pełne jest niespodzianek.

Główne drzwi otworzyły się cicho. Do pokoju weszła Flo, dziesięcioletnia córka Korneliusza, z jednym ze swoich braci. Przyniosła ogromny bukiet żółtych róż z ogrodu ojca. Ich zapach unosił się w powietrzu.

— Maati? — odezwała się nieśmiało. Mattie stanęła w drzwiach kuchni. Flo podała jej róże. — Proszę, Maati. Zostań z nami, zamieszkać w naszym domu. Bardzo proszę. Zaopiekuję się tobą.

Jej brat ukłonił się nisko, onieśmielony w obecności kobiet. Dzieci wyszły równie szybko jak weszły. Mattie patrzyła za nimi z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Rose napływały do oczu łzy. Mattie nie należała do niej.

— Mattie — powiedziała bardzo szybko. — Musisz zamieszkać z Korneliuszem, jeżeli tego właśnie pragniesz. Najważniejsze, żebyś była szczęśliwa. Nie będę cię zatrzymywać. Ja z kolei wyruszam po dziecko, jak tylko się ściemni. Wiem już, gdzie jest.

W oddali rozlegał się dźwięk dzwonków z hinduskiej świątyni. Cichy i figlarny. Jakby dzieci bawiły się z przyjacielskimi bogami. Fanny siedziała na bujanym fotelu w cieniu drzew rosnących wokół werandy. Kosmyki rudych włosów wymykały się spod kapelusza z szerokim rondem. Zrezygnowała ze spaceru po ogrodzie z bratową. Panował zbyt wielki upał. Matka zamówiła dla niej najpiękniejsze szaty, jakie widziała w życiu. Uszyte ze wspaniałych indyjskich tkanin. Dziś wybrała przewiewną błękitną bawełnę. Drugi już strój tego dnia. Musiała się często przebierać z powodu gorąca. Zdjęła nawet buty. A była to najchłodniejsza pora roku w Indiach. Fanny wyobrażała sobie śnieg. Milcząca służba regularnie przynosiła zimne napoje. Fanny wyglądała, jakby spała. Miała zamknięte oczy.

Rozmyślała.

Na wprost niej rozciągał się przepięknie utrzymany ogród, urzekający feerią barw. Kilku ogrodników w długich dhoti niespiesznie przechadzało się między grządkami. Ich przełożony, starszy pan w turbanie, siedział w cieniu bananowca. Fanny wsłuchiwała się w śmiech dzieci. Bawiły się z kuzynami i służbą, która się nimi opiekowała.

Minęła godzina. Fanny otworzyła oczy. Jej ojciec, ubrany w biały garnitur, usiadł obok, przy stoliku. Przyniósł ze sobą jakieś papiery. Podano herbatę.

— Pięknie wyglądasz, córeczko! — odezwał się pogodnie. — Powinnaś częściej ubierać się na niebiesko. — Przez chwilę w ciszy popijał herbatę. — Przyszła poczta — powiedział.

— Od Rose? — Fanny podskoczyła z radości. Kapelusz spadł na ziemię. Usiadła przy stoliku naprzeciwko ojca, przyglądała włosy. — List od

Rose! Wybiera się do nas? Znalazła dziecko? — Wyciągnęła skwapliwie rękę po list.

— Nie od Rose, kochanie.

— Och. — Fanny posmutniała. — Bardzo mi jej brakuje. Byłam przekonana, że się tu spotkamy. Polubiłaby Indie. Może jeszcze nie znalazła dziecka. Gdybyśmy tylko cokolwiek wiedzieli!

Nie odpowiedział.

Fanny okręcała bransoletki na przegubie. Prezent od sióstr. Zrozumiała jego milczenie.

— Od Horacego?

— I pozostałych.

— Jakich pozostałych?

— To było nieuniknione. Wiedzieliśmy, że Horacy kiedyś się odezwie.

— Tak.

— Ma prawnika. Powiadomił Kompanię.

— Wschodnioindyjską?

— Tak.

— Och, papo! Nie spodziewałam się tego, przepraszam.

— Nie przepraszaj. Nie chodzi im o mnie, tylko o ciebie. Radziłem się wielu prawników. Nie masz wyboru. Jeśli chcesz zatrzymać dzieci, musisz wrócić. — Spojrzał na zrozpaczoną twarz córki, zateśnił za żoną, która krzątała się w środku domu. — Mogłoby być jeszcze gorzej, Fanny. Horacy mógłby zażądać powrotu dzieci bez ciebie. Musiałabyś je oddać. — Pan Hall wznosił oczy do indyjskiego nieba. — Postanowił okazać chrześcijańską wielkoduszność, pozwalając ci wrócić. Natychmiast.

Fanny nie poruszyła się ani nie odezwała. Siedzieli w milczeniu zasłuchani w śpiew ptaków i zapatrzeni w urzekający bogactwem barw ogród. Wieczne niebo przybrało wiele odcieni. Po werandzie pełzł mały wąż. Fanny nie mogła się powstrzymać przed podniesieniem do góry bosych stóp, choć wiedziała, że ten gatunek jest niegroźny. Ojciec odsunął węża kijem. Uśmiechnął się do Fanny. Żałował, że nie potrafi bardziej pomóc najstarszej córce, nie umie podtrzymać jej na duchu. Jego żona była w tym zdecydowanie lepsza. Oboje pokochali wnuki całym sercem, z dumą patrzyli, jak się rozwijają. Nie chcieli się z nimi jeszcze żegnać. Gdzieś zaszczekał pies.

— Wierzysz w Boga, papo?

Zaskoczył go ten nagły zwrot w rozmowie, roześmiał się serdecznie.

— Cóż, wiesz o Nim dużo więcej niż ja! Mnie nigdy specjalnie nie zajmowały sprawy duchowe. Nie wykluczam, że opiekuje się nami życzliwy pan, który mieszka w niebie. A jak ty sądzisz? — Uśmiechał się. Uśmiech zawsze dodawał mu odwagi. — Tak ci zawsze odpowiadałem, kiedy byłaś mała!

— Pamiętam. A ja z Nim beztrąsko gawędziłam. Horacy natomiast widzi Boga jako mściwą siłę. Karzącą postać. Zadaniem człowieka jest spełniać Jego wolę.

— Wolę Boga czy Horacego?

Fanny roześmiała się mimowolnie.

— Sprawdziłem połączenia z Bombaju — powiedział pan Hall. — Pod koniec tygodnia wypływa statek...

— Nie!

— ...będziemy mogli przekazać listy do Horacego i do Rose. Pod koniec miesiąca wypływają kolejne statki. Oczywiście nic nie jest pewne. Czasem okręty zawracają z powodu Napoleona i tak dalej...

Noc w Indiach zapada szybko, poprzedzana zjawiskowym zachodem słońca, jest chłodna o tej porze roku. Usłyszeli pełne rozczarowania głosy dzieci wołanych do domu. Służba przyniosła lampy, ale pan Hall dał im znak, żeby zabrano je z powrotem do środka. Przyciągały owady. Światło padające z okien w zupełności wystarczało. W domu rozlegały się głosy pani Hall i jej młodszych córek. Śpiew ptaków ustał, zamiast niego rozlegało się szczekanie szakali i krzyki małp. Dom Hallów, podobnie jak sąsiadujące z nim rezydencje, był oazą cywilizacji na tle dzikiej natury. Matka Fanny wyszła na werandę i usiadła obok męża. Przyniosła tacę z trzema szklaneczkami sherry. Pod dom podjechali mężczyźni na koniach. Pan Hall westchnął, na poły z rezygnacją, na poły z ulgą. Interesy. Opróżnił swoją szklaneczkę.

— Tak więc, Fanny, ubieraj się na niebiesko. Do twarzy ci w tym kolorze. Jakakolwiek podejmiesz decyzję, masz moje wsparcie. Również finansowe.

— Dziękuję, papo.

Pani Hall okryła ramiona córki chustą.

— Słyszałam o listach, Fanny.

— Wrócę do Anglii pod koniec miesiąca.

— Mieliśmy wielkie szczęście, że nas odwiedziliście. Szkoda tylko, iż tak krótko potrwa wasza wizyta — powiedziała smutno. — Bolesnie odczuję rozstanie z dziećmi i z tobą.

Pani Hall ani razu nie powiedziała córce, co myśli na temat jej męża. Zawsze nazywała go „drogim Horacym”. Popijając w ciemności sherry na werandzie indyjskiej rezydencji, rozmyślała o dniu, w którym Fanny wyszła za mąż. Pamiętała wyniosłe i sztywne zachowanie pana młodego nawet w tak radosnych chwilach. Poczula się wtedy nieswojo. Jej obawy wzmożły się, kiedy Horacy nie pozwolił Fanny przyjechać do Londynu, by mogła pożegnać się z wyruszającą w podróż do Indii najbliższą rodziną. Pani Hall

z bólem serca obserwowała zmiany w zachowaniu swojej ukochanej córki. Przypomniała sobie dzień, w którym zegnała ona rodzinę, stojąc w bramie plebanii, była wtedy w zaawansowanej ciąży. Machała im i uśmiechała się ze łzami w oczach, mówiąc, by się o nią nie martwili. Fanny zawsze miała w sobie jakąś... czystość. Dziwne słowo, ale pasowało do niej. Żywa inteligencja, pewność istnienia Boga, a przede wszystkim prostota i dobroć. Nie zatraciła tych cech, wciąż z niej promieniowały. Jednak coś się zmieniło. Emanowało z niej rozgoryczenie.

— Fanny...

— Mam plan, mam. — Zmarszczyła brwi, szybko dopiła sherry i odstawiła szklanę na stolik. — Jego realizacja będzie wymagała umiejętności i odwagi. — Jej głos brzmiał niemal żartobliwie. — Wierzysz w Boga?

Pani Hall spojrzała zaskoczona na córkę. Doświadczenie nauczyło ją, by w trudnych sytuacjach mówić dużo i z humorem. Rozwiązania przychodziły same.

— Powiem szczerze, kochanie, że bardzo polubiłam hinduizm. Jego wyznawcy czczą wielu bogów, obchodzą mnóstwo świąt, są kolorowi i radośni. A mimo to mają barbarzyński zwyczaj palenia wdów. Nie do przyjęcia. Och, bardzo też lubię Buddę. Taki pełen wewnętrznego spokoju, dobrze odżywiony bóg. Buddyści wierzą, że w poprzednich wcieleniach mogłaś być motylem albo słoniem... Wydaje mi się, że na świecie istnieje wiele wspaniałych religii. Powinniśmy wszyscy być szczęśliwi i żyć w zgodzie. Ale ja mam bardzo słabe wykształcenie, niewiele wiem o tych sprawach. Powinnaś porozmawiać z ojcem. Chodzimy oczywiście do angielskiego kościoła, ale ja zbytnio jestem zajęta tym światem, by się martwić o następny. Och, przepraszam, Fanny... Drogi Horacy jest przecież duchownym. Nie wspominasz już o Bogu tak często jak w dzieciństwie. Spodziewam się, że odnalazłaś swoją drogę do Niego. Byłoby co najmniej dziwne, gdyby żona pastora nie wierzyła w Boga! Gdybyś miała jakiegokolwiek wątpliwości, powinnaś porozmawiać z uroczymi kwakrami, których poznałaś w podróży. Są znacznie miłsi od nadętego misjonarza.

— Droga mammo — roześmiała się Fanny. — Jesteś z nas wszystkich najmądrzejsza! — Zabrała tacę z pustymi szklankami. — Jeśli mam pozostać panią Harbottom, muszę wprowadzić kilka zmian. Ci mili ludzie, o których wspomniałaś, mówią, że Bóg jest miłością. Jestem pewna, iż mi wybaczy.

Pani Hall знаła córkę na tyle dobrze, by jej nie wypytywać. Wiedziała, że Fanny podjęła jakąś decyzję.

— Jestem pewna, że Bóg zrozumie. O ile, oczywiście, nie planujesz morderstwa.

Wróciły do domu, do bawiących się dzieci i skłóconych młodszych siostr Fanny, które pozornie poróżniła gra w karty, a tak naprawdę zauroczenie tym samym młodzieńcem.

Fanny przyszła w nocy do pokoju matki, wyrywając ją ze snu.

— Coś się stało, kochanie? Usiądź przy mnie, jak za dawnych czasów.

— Chcę ci coś powiedzieć, mammo. Powiem to tylko jeden raz w życiu. Wszystkiego się wyprę, nawet przed papą i Rose. Tylko w ten sposób zdołam to zrobić, ale komuś muszę jednak powiedzieć.

Pani Hall czekała. Siedziała nieruchomo, bała się nawet oddychać.

— Postanowiłam zostać kwakierką, mammo. Będę też wygłaszać kazania, pozwalają na to kobietom. Twierdzą, że mam talent.

— Bez wątplenia masz talent, Fanny. Ponadto emanuje z ciebie dobro, trudno go nie dostrzec.

Fanny westchnęła.

— Tylko że... Ja już nie wierzę w Boga, mammo. Jeśli istnieje, to Jego słudzy działają na Jego szkodę. Wielu z nich. Być może kiedyś uwierzę, może nie. To ogromnie trudna sytuacja dla żony pastora. Postanowiłam

wykorzystać to, czego nauczyłam się od Horacego. A nauczyłam się, z przykrością muszę stwierdzić, że Kościół pełen jest hipokrytów. — Pani Hall nie okazała oburzenia ani zdziwienia. — Kwakrowie się mną zaopiekują. Oczywiście nie mam na myśli dosłownej opieki. Po prostu zaczną aktywnie działać na terenie Wentwater.

— Horacy nie będzie zadowolony.

— Drogi Horacy bardzo szanuje tytuły szlacheckie, a moja... mentorka jest księżną. W duszy Horacego stoczy się walka między religią a snobizmem! Zapewne będzie wściekły. Jednak ja uzyskam wsparcie, którego rozpaczliwie potrzebuję.

— Och, drogie dziecko...

— Nie, mamo, nie mogłaś mi pomóc. Nie tym razem. Do moich obowiązków jako żony pastora należało pomaganie kobietom w rozwiązywaniu ich problemów. Nigdy nie pomyślałabym o udzieleniu którejś z nich rady, jaką sama dostałam od księżnej Brayfield. — Pani Hall ponownie zachowała swoje emocje dla siebie. Była zaskoczona, słysząc, kto został sprzymierzeńcem jej córki. Wszyscy znali księżną Brayfield. — Nie przestałam wierzyć w dobro. Nie wierzę już tylko w chrześcijańskiego Boga, pana z białą brodą, z którym rozmawiałam w dzieciństwie. Księżna powiedziała: „W takim razie po prostu pomagaj ludziom. Nikt nie zauważy różnicy. Nikt się nie domyśli”.

— Ja na pewno nie. Osoba o twoim wielkim sercu zawsze przyniesie ludziom radość, niezależnie od tego, w co będzie ubrana. — Roześmiały się. W ich śmiechu pobrzmiwała melancholia. Zadumały się przez chwilę nad prawami świata, do których trzeba się było dostosować.

Pan Alabaster siedział na posłaniu. Od rana nie wychodził, ponieważ żona pilnowała go jak oka w głowie. Przez cały dzień nie pił. Schowała przed nim rum. Czuł się bardzo źle, drżał na całym ciele. Pod czujnym okiem i gradem podejrzliwych pytań przyznał wreszcie, że spotkał się z wicehrabią.

— Co mu powiedziałaś?

— Tylko tyle, że wybieramy się do kościoła. A co jeszcze miałem powiedzieć? — Pod wpływem spojrzenia żony zniżył głos do szeptu. — Zapłacił mi cztery razy więcej, Vennie! Cztery razy.

Żona nie chciała słuchać. Rose opowiedziała o swoich planach. Archie marzył o drinku. Jego twarz wykrzywił grymas bólu i niedowierzania.

— Nie może pojechać sama, Vennie. Cudzoziemcy są zabijani z zimną krwią. Koptowie nie zdołają jej ochronić.

— Niech pani zabierze ze sobą Flo — powiedziała Mattie. — Będzie tłumaczką. Kobieta z dzieckiem może czuć się bezpieczniej niż sama.

— Nie boję się. — Rose spała tylko trzy godziny, była upojona swoim sukcesem. — Wyszłam sama w nocy, nikt mnie nie zaczepiał. Sądzę, że wyolbrzymiamy zagrożenia.

Panna Proud zbladła jak ściana.

— Czyżbyś zapomniała o zabitej dziewczynie?

Dziecko mnie potrzebuje, George nie może dostać dziewczynki w swoje ręce. Nie pozwolę sobie na strach, pomyślała Rose.

— Na Nilu grasują piraci i szaleńcy — dodała spokojnie pani Alabaster. — Można łatwo stracić życie. Takie są fakty.

— Proszę zabrać Flo — powtórzyła Mattie. — Ona pomoże. Nikt nie skrzywdzi dziecka.

— Nie może narażać Flo! — zawołała z oburzeniem panna Proud.

— Egipcjanie kochają swoje dzieci — powiedziała pani Alabaster. — Nie sądzę, by jej coś groziło. Flo zna zwyczaje, wie, jak się uchronić przed niebezpieczeństwem.

— Podkreślili, że mam być sama. Będą na mnie czekać w łodzi.

— To prawda, że musi komuś zaufać — przyznała Venetzia Alabaster. — Teraz, natychmiast, zanim zjawi się przeklęty wicehrabia. — Popatrzyła z wyrzutem na męża.

— Ależ to szaleństwo! Straszliwe ryzyko! — zawołała panna Proud.

Wszyscy dostrzegali determinację w twarzy Rose. Ich słowa nie miały znaczenia, dziewczyna podjęła decyzję, od której nie było odwrotu.

— Wreszcie ją znalazłam, żyje, jestem tu wyłącznie z jej powodu. Wszystko, co robiłam w ciągu ostatniego roku, zmierzało do tej jednej chwili. Obawiałam się, że George będzie chciał mi ją odebrać i zatrzymać, ponieważ jest córką jego brata, ale on widzi w niej przeszkodę na drodze do awansu społecznego! Pomyślicie, że przesadzam... Znam George'a lepiej od was i wiem, że jest zdolny do morderstwa. Bez mrugnięcia okiem pozbawi dziewczynkę życia. Tylko dla mnie jest ważna. Nikt inny się o nią nie upomni. Muszę to zrobić. Sama. Inaczej mnie do niej nie zabiorą. Tylko po to przyplłynęłam do Egiptu!

— Idę po Flo — zdecydowała Matie. — Przypomnę Korneliuszowi, że jest pani wicehrabiną. Pod swoją piżamą nadal pozostał Anglikiem.

— W okolicy jest pewnie około trzydziestu klasztorów — mruknął pan Alabaster.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Rose przeliczyła pieniądze i napełniła bukłak wodą.

— Archie ma rację. — Pani Alabaster wzruszyła ramionami.

— Poza tym dzieci spłodzonych przez cudzoziemców są tu tysiące. Jak ją rozpoznasz? Jak ci się wydaje, dlaczego kapłanom zależy na tym, żebyś była sama?

— Powtarzam: uwierzyłam im! — krzyknęła Rose, do oczu napłynęły jej łzy. — Odniosłam wrażenie, że narażają się na niebezpieczeństwo, pomagając mi. Jestem im wdzięczna. Długo ustalali między sobą, jak postąpić. Popłyniemy małą łódką. • Tylko staruszek bez nóg i jego bratanek. Kobieta przebrana za Arabkę nie wzbudzi podejrzeń. Gdybyśmy popłynęli wszyscy, mówiono by o tym w całym miasteczku!

— W takim razie zabierz Flo — doradziła pani Alabaster.

— Nikt nie zwróci uwagi na małą dziewczynkę.

— Ja poniosę odpowiedzialność, jeżeli cokolwiek pójdzie źle — protestował pan Alabaster. — Za to, że pozwoliłem pani popłynąć.

— Na nic nie może mi pan pozwalać! — zawołała z oburzeniem Rose. — Podejmuję decyzję z własnej woli i na własną odpowiedzialność. Proszę wytrzeźwieć. I nie informować wicehrabiego o niczym, niezależnie od wynagrodzenia, jakie zaproponuje!

— Archie nigdzie się nie wybiera, bez obaw — zapewniła pani Alabaster.

Nim zdążyła skończyć zdanie, weszli George i William.

— Jesteś więc — powiedział spokojnie George. — Tak, jak nas poinformowano. — Rzucił sakiewką w pana Alabastra. — Oddaj mi krzyżyk, Rose.

Pani Alabaster wpatrywała się w męża i sakiewkę z pieniędzmi. Westchnęła. W tym westchnieniu wyraziła dramat swojego życia. Życia u boku pana Alabastra, które wybrała, by uniknąć zestarzenia się w zespole Śpiewających Akrobatek.

Rose myślała gorączkowo.

— Zawiodłam się na pana przyjaźni, panie Alabaster — odezwała się cicho, spuszczać głowę. Musiała się jak najszybciej pozbyć George'a.

— Nigdy nie zatrudniaj pijaka, Rose — poradził George. — Wszystko nam opowiedział. Przebyłaś szmat drogi tylko po to, żeby odnaleźć dziecko. — Roześmiał się. — Żalotne. Sama nie możesz mieć dzieci, więc chcesz przywłaszczyć sobie dziecko zmarłego męża. Mówiłem ci już, nie masz praw do dziecka Harry'ego. To mieszaniec, bękart, śmieć. Nie może być prawowitym dziedzicem. Nie da ci żadnych praw do majątku Fallonów. A ja dopilnuję, żeby nigdy nie dotarł do Anglii!

Rose poczuła gniew i strach. Cofnęła się przed George'em, popatrzyła na bladą twarz Williama, który stracił siostrę ledwie trzy dni wcześniej.

— Bardzo mi przykro z powodu twojej straty — powiedziała. — Kiedyś przekażę ci jej ostatnie słowa, tak jak mnie prosiła.

Odskoczył, jakby go uderzyła. Rose popatrzyła w niebo, na zachodzące słońce. Zdjęła z szyi wysadzany drogocennymi klejnotami krzyż. Oczy George'a rozszerzyły się i rozbłysły chciwością. Nie zwrócił uwagi na zaskoczenie pana Alabastra.

— Dawaj — powiedział prędko, wyciągając rękę. Popatrzył uważnie na zdobycz. — Nie mogłaś tego wiedzieć, ale nie jest to koptyjski symbol. Choć niewątpliwie piękna rzecz! Warta dużo pieniędzy. Miałaś szczęście, Rosetta mia. Niech wszyscy wyjdą, chcę zostać z Rose sam — dodał rozkazującym tonem. — Mam dla niej propozycję. Prywatną.

Nikt się nie ruszył.

— Wynocha! — wrzasnął George.

Rose dała znak, by posłuchali, co też z ociąganiem uczynili.

Odwróciła się do niego, stojąc w progu pustego domu. Poczowała zapach tabaki. Miała łzy w oczach. Łzy frustracji i złości.

— Czego chcesz, George? Czemu nie zostawisz mnie w spokoju? Masz już to, po co przyszedłeś.

— Chciałbym, żebyś rozważyła propozycję poślubienia mnie.

Zaniemówiła z zaskoczenia.

— Dziwisz się? Jeśli się nad tym zastanowisz, dostrzeżesz wiele korzyści płynących z takiego rozwiązania. — Rose opadła bez słowa na najbliższą ławkę, tuż za drzwiami domu. George usiadł obok. — Cóż w tym dziwnego? Znamy się bardzo dobrze. Wiemy o sobie wszystko. Ile par może to powiedzieć? Musimy tylko zachowywać pozory. Jestem bardzo zaможny. Dostatek zapewni ci niezależność. A oboje wiemy, Rosetta mia, jak bardzo cenisz sobie niezależność! Coś nas łączy: oboje kochaliśmy Harry'ego. Powiedziałem ci kiedyś, że był jedyną osobą, którą w życiu kochałem. To prawda. Wiem, co znaczy miłość, choć pewnie cię o tym nie przekonam.

Wstał i zaczął niespokojnie chodzić po ogrodzie. Jakie to dziwne, pomyślała Rose, że mówienie o zmarłym bracie przychodzi mu z wielkim trudem mimo upływu czasu, a nie może znieść myśli o jego dziecku.

— Nie wyobrażasz sobie przecież, że pozwolimy na istnienie śmierdzącego, tłustego od oleju arabskiego bękarta, który rzuci cię na pamięć Harry'ego.

Rose zrozumiała, że mit Harry'ego i jego bohaterskiej śmierci przetrwa w rodzinie Fallonów po wsze czasy.

— Nie pozwolimy, by jakiś bękart nosił nasze nazwisko. Już ja dopilnuję, żeby do tego nie doszło. Zbyt dużo wiesz, Rosetto. Nie życzę sobie,

abyś do końca moich dni głądziła o jakimś arabskim bachorze. Wyjdź za mnie i zapomnij o całej sprawie.

Ożenię się z tobą i nie będziesz mogła zeznawać przeciwko mnie w sądzie, przetłumaczyła sobie Rose. Czekala.

— Książę Hawksfield jest mi winien mnóstwo pieniędzy, nie będzie w stanie mnie odprawić mimo śmierci Dolly. Mówiąc na marginesie — Doiły była głupią histeryczką, lecz zostały mi po niej pewne interesujące wspomnienia. Książę Hawksfield ma do ciebie słabość, nasz ślub z pewnością złagodzi cios po stracie siostrzenicy. Dziś wieczorem rozprawię się z tą nieprzyjemną sprawą raz na zawsze i wyruszę do Kairu. Piramidy, sfinks, siedziby i grobowce faraonów... Im więcej o nich słyszę, tym bardziej mnie intrygują. Jestem przekonany, że przyniosą nam wielkie zyski. Znam się na antykach. Są „w modzie”. Beduini sprzedają je za bezcen na ulicach Kairu. Nie mogę się już doczekać, by tam pojechać. Zainteresowanie hieroglifami jest ogromne, a wiedza znikoma. Pasjonujesz się takimi rzeczami, spodoba ci się w Kairze. Być może znajdziesz więcej tablic lub papirusów z tekstami w kilku językach. Mogłabyś mieć swój wkład w rozwiązanie zagadki hieroglifów, a jako samotna kobieta niczego nie osiągniesz.

George wiedział, że jego propozycja to dla niej perspektywa nowego życia. Wiedział też o jej bezpłodności. Co z nią zrobi za kilka lat, kiedy sprawa dziecka poczętego w Egipcie pójdzie w zapomnienie? Z pewnością pozbędzie się jej w taki czy inny sposób.

— Wyjaśnij mi jedną rzecz. Co dokładnie miałas z tym zrobić? — Zapatrzył się z zachwytem na piękny krucyfiks. — Oczywiście, nie mam zamiaru nikomu go oddawać. Alabaster — cóż za irytujący człowieczek! Mamrotał coś o znaku rozpoznawczym dla kapłana, u którego znajduje się dzieciak.

— Powiedział ci wszystko, co wiem. George, czemu się denerwujesz? Dlaczego po prostu nie pojedziesz od razu do Kairu? Twój przyjaciel, książę

żę Walii, ma dziesiątki nieślubnych dzieci. Istnienie dziecka Harry'ego nie powinno mieć znaczenia.

— Kiedy już na dobre zadomowię się wśród elity towarzyskiej Londynu. Jednak aby tak się stało, Harry musi pozostać bohaterem. Zginął w walce, nie w ulicznej bójce! Twoja ignorancja co do zasad panujących w towarzystwie mnie zadziwia. Przecież należałaś do rodziny. Byłaś umówiona z tym księdzem?

Wzięła głęboki oddech.

— Na bazarze. Po zamknięciu.

— Alabaster nie wspomniał o niczym takim.

Rose wzruszyła ramionami.

— Proszę bardzo, idź wcześniej. Uznali, że w nocy będzie bezpieczniej, ale może uda ci się ich przekonać. Grozi im niebezpieczeństwo za ukrywanie dziecka.

— Alabaster nic nie mówił.

— Skąd mam wiedzieć, co planował! — krzyknęła. — Może chciał sam przechwycić dziecko i wystawić je na licytację! Myślałam, że jest po mojej stronie! Sam go zapytaj!

Znów miała łzy w oczach. Muszę już iść, pomyślała. Mam nadzieję, że pani Alabaster zamknęła gdzieś Archiego.

— Dobrze, dobrze. — Uśmiechnął się. Przypatrywał się Rose badawczo. Spuściła wzrok. — To mi odpowiada. Muszę się najpierw zająć inną sprawą. Przyjdę po ciebie, kiedy tylko będę wolny i razem wyruszymy do Kairu. Ponieważ nie mam przed tobą sekretów, powiem ci, że jestem umówiony z pięknym młodzieńcem Arabem. Nie musisz się martwić, że będę ci się kiedykolwiek narzucał. — Pograżony w żałobie wdowiec uśmiechał się lubieżnie. — Poczekam na zamknięcie bazaru. To nawet rozsądne. Wrócę, kiedy wszystko załatwię. Nigdy więcej nie wspomnimy o dziecku.

Zamknęła oczy, modląc się, by już poszedł.

— Nigdy ci nie ufałem. Wydaje mi się, że nie możesz nic zrobić, ale z tobą nie można być niczego pewnym. Będziesz interesującą żoną. Pozwól, że ci coś wyjaśnię. Nieważne, czy przyjmiesz moją ofertę czy też nie. Nawet jeśli zdołasz odszukać dziecko przede mną, ani nie będzie ono pełnoprawnym członkiem rodziny, ani nie dostaniesz nad nim opieki. Nie pozwolę mu istnieć, nawet jeśli to nie ja je znajdę.

Rose siedziała przez chwilę bez ruchu po jego odejściu. Naprawdę miał zamiar zabić dziecko. Jakby nie było człowiekiem. Wstała i szybko weszła do domu. Proponuje mi zwiedzanie Egiptu w zamian za ludzkie życie, pomyślała. Zamknęła oczy. George zawsze będzie w pobliżu. Dziecko nigdy nie będzie bezpieczne.

Wszyscy wrócili do domu. Nikt nie wspominał o dziewczynce. Pan Alabaster błagał o łyk rumu. Panna Proud przyniosła mały koszyk z prowiantem. Usiadła obok Rose i razem patrzyły w ciemniejące niebo.

W chwili gdy przygotowywała się do wyjścia, ktoś zapukał do drzwi. Wpatrywali się w nie bez słowa. Rozległ się głos Korneliusza Browna wołającego pana Alabastra.

— Prędko, Archie! Ktoś ma wielkie kłopoty.

— Gdzie? — Pan Alabaster poderwał się na nogi.

Korneliusz wsunął głowę przez drzwi.

— W łaźni. Anglik został napadnięty przez Mameluków. W łaźni, dasz wiarę? Trzeba mu pomóc.

— Zgoda. — Pan Alabaster sięgnął po nóż.

— Nie, Archie! — zawołała jego żona. — Nie idź! Pamiętaj, co się stało z tamtym Francuzem? W biały dzień! Nikt nie zdołał mu pomóc! Nie idź!

— Nie możemy opuścić rodaka w potrzebie! — krzyknął Korneliusz.
— Pospiesz się, Archie!

— Na boga, Korneliuszu, opuściłeś Anglię wiele lat temu. Teraz jesteś jednym z nich — powiedziała pani Alabaster.

— Obaj mówimy po arabsku. Może i jestem jednym z nich, ale nie pozwolę, by Anglik walczył sam.

Przyszła Mattie z Flo. Korneliusz z roztargnieniem pogłaskał córkę po głowie. Obaj mężczyźni wybiegli.

— Idę z wami — zawołała pani Alabaster. — Także mówię po arabsku.

Po jej wyjściu w pomieszczeniu zapadła cisza.

— Prędko — powiedziała Mattie po chwili. — Wykradłam Flo. Niech mi Bóg wybaczy. — Popatrzyła dziwnie na Rose. — Wiem, ile to dla pani znaczy. — Zwróciła się do Flo: — Pamiętaj, co ci mówiłam. Masz udawać Koptyjkę. Dbajcie o siebie nawzajem. Nie zapominaj o naszej umowie. — Oczy dziewczynki rozblęły.

— *Aywa, Maati.*

— Idźcie więc! — ponagliła panna Proud. — Idźcie! Szkoda, że nie wierzę w Boga. Modliłabym się za was!

I dwie ciemne sylwetki ruszyły w stronę rzeki, mijane przez ludzi biegnących w przeciwnym kierunku.

W tureckiej łaźni rozpętało się piekło. Nagie ciało młodego chłopca leżało u podnóża schodów. Wśród krzyków wyprowadzono na ulicę człowieka owiniętego w zakrwawione ręczniki.

— Odcięli mu rękę — zawołał ktoś.

Tłum zebrał się wokół cudzoziemca. Wszyscy byli ciekawi, kim jest i co się stało. Ktoś groził, że powiadomi brytyjską rodzinę królewską. Mamelu-

kowie nie zważali na nic, wyrok zapadł. Wrzeszczeli po arabsku o sodomitach, wymachując mieczami. Korneliusz i pan Alabaster przepchnęli się do przodu. Pani Alabaster obserwowała ich ze ściśniętym sercem. Ktoś odciągnął ciało martwego chłopca. Ktoś inny uderzył Anglika, który upadł na ziemię. Mogłaby przysiąc, że Korneliusz. Tłum krzyczał, ręczniki opadły, pani Alabaster zamknęła oczy, błysnęły miecze. Korneliusz raz po raz kopął leżące ciało. Mamelukowie dosiedli koni, zostawili Anglików, by załatwili sprawę między sobą. Leżący nie dawał oznak życia. Podnieśli go, okryli ręcznikami i zaciągnęli w głąb alejki.

— Dobry Boże! — zawołała pani Alabaster. — Toż to George Fallon! Przeklęty wicehrabia!

W innej części miasta, na końcu pogrążonej w ciemnościach przystani kobieta i dziewczynka przeszły po większych łodziach na małą łódkę, która natychmiast wypłynęła w mrok. Koptowie byli nieco zdziwieni obecnością Flo, lecz nie zgłaszali sprzeciwu. Flo była niezwykle rozemocjonowana, po raz pierwszy płynęła łódką.

— Wyglądamy jak dziewczyny portowe — zachichotała.

Rose zrozumiała wreszcie, co miał na myśli ksiądz, którego spotkała na dziedzińcu kościoła. Sądził, że chce się pozbyć ciąży, że jest jedną z dziewczyn sprzedających swoje ciało. Płynęli bardzo szybko. Wiatr im sprzyjał, a bratanek starszuka sprawnie kierował łodzią. Rosetta zniknęła w oddali. Rose oglądała się niespokojnie za siebie, jakby w obawie że zobaczy George'a.

Ochłodziło się. Od czasu do czasu starzec bez nóg zadawał Rose pytania, które Flo tłumaczyła. Chciał wiedzieć, czy spotkała kiedyś Napoleona. Nie uwierzył, kiedy powiedziała, że owszem. Zaśpiewał dziwną obcą melodię. Wreszcie zasnął. Rose i Flo tuliły się do siebie pod obszerną chustą. Wpatrywały się w rozgwieżdżone niebo i nasłuchiwały odgłosów dzikich zwierząt. Podniosła się mgła. Czasem mijali inne łodzie. Rose i Flo zapada-

ły w krótkie drzemki. Rose budziła się, uderzając o deski pokładu. Zerwał się wiatr, łódź zaczęła płynąć szybciej. W pewnej chwili szkwał omal jej nie wywrócił. Po chwili woda się uspokoiła. Czasem widzieli brzeg po obu stronach, czasem tylko ciemność. O świcie chłopci wyszli na pola. Rozległ się nowy dźwięk. To bawoły z klapkami na oczach wprawiły w ruch nienawliwione koła młynów wodnych. Po chwili dołączyło do niego wołanie na poranną modlitwę. To była dziwna, niezapomniana, egzotyczna wyprawa.

Starzec obudził się i mruknął coś do bratanka. Przybili do pustego brzegu. Miody mężczyzna wyniósł starszego na brzeg. Flo wyjaśniła Rose, że nadszedł czas porannej toalety. Opłukały twarze chłodną wodą z Nilu, napęłniły bukłaki. Wzeszło słońce. Koptowie wrócili, wypłynęli w dalszą drogę. Zjedli wspólny posiłek, jajka na twardo oraz chleb, prowiant Rose. Na Nilu panował coraz większy ruch, ludzie pozdrawiali się nawzajem. Jak na drodze, nie na rzece, pomyślała Rose. Zrobiło się upalnie. Rose i Flo schowały się przed słońcem pod płachtą ocieniającą część łodzi. Zjadły arbuza, którego dostały od Koptów. Słońce było wysoko na niebie, kiedy wpłynęli w jeden z wielu kanałów. Płynęli jakiś czas w ciszy. Dotarli do końca i osiedli na mieliźnie.

Chłopak obudził wuja. Ruszyli przed siebie przez palmowy gaj. Mrużyli oczy w słońcu.

— Musimy dotrzeć do klasztoru przed zmrokiem — przetłumaczyła Flo.

W miarę jak szli, mijali coraz mniej zieleni. Wkroczyli na pustynię. Rose była wycieńczona, lecz zdeterminowana. Jeśli umrę, to trudno, postanowiła. Porzuciła koszyk z prowiantem. Zatrzymała tylko wodę i pieniądze. Skoncentrowała się wyłącznie na stawianiu jednego kroku za drugim. Nie widziała niczego poza piaskiem. Przystawała co jakiś czas, by napić się wody. Namawiała do picia Flo, dziewczynka słaniała się na nogach. Tak mijała godzina za godziną. To wieczność, tak właśnie się ją odczuwa, pomyślała Rose.

Słońce zaczynało chylić się ku zachodowi. Rose podniosła wzrok, słysząc głos idącej przed nią Flo. Coś lśniło w oddali.

W miarę jak się zbliżali, rozpoznawała ruiny pradawnej świątyni. Czy to fatamorgana? A może dotarliśmy na miejsce, do klasztoru? Klasztor był całkowicie opuszczony. Ruiny wśród morza piasku. Przefrunął spłoszony sęp. Chłopak położył wuja na ziemi, sam zwałił się obok i od razu zasnął. Dosłownie znikąd pojawiło się kilku mężczyzn. Przykucnęli obok śpiącego chłopaka i jego wuja. Rose przywykła już do tego, że rozmowy po arabsku brzmiały jak kłótnie. Mężczyźni nie wyglądali na duchownych. Przycupnęła na piasku, marząc o tym, by się położyć, odwróciła twarz. Krzyknęła na widok skorpiona. Wszystkie twarze zwróciły się ku niej. Odeszła na bok. Flo poszła za nią.

— Pytają, kim jesteś. Niepotrzebnie krzyczałaś. Arabka by nie krzyknęła.

— Przepraszam — odparła z pokorą Rose. Jej uwagę przyciągnęły kawałki połamanej tablicy. Przykucnęła, by przyjrzeć się im bliżej. Zaparło jej dech w piersiach. — Hieroglify! Sowa! To hieroglify. Tutaj, na piasku, w ruinach klasztoru. Patrzę na leżące na piasku hieroglify!

Na Flo nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

— Znajdziesz dziecko? — spytała.

— Mam taką nadzieję — powiedziała Rose, obracając w dłoni kawałki kamienia.

— Dziewczynkę?

— Tak.

— Zabierzesz ją do swojego kraju?

— Nie wiem, Flo. A ty chciałabyś zobaczyć mój kraj? Kraj Mattie?

— Wolałabym, żeby Maati została w Rosetcie.

— Oczywiście.

— Maati powiedziała, że jeśli znajdziesz dziecko, ona będzie mogła zostać. Dlatego ci pomagam.

Rose patrzyła na nią, nie rozumiejąc. Usłyszały wołanie.

— Wracamy — powiedziała Flo.

— Ale... — Z trudem ukryła zaskoczenie. — Muszę zabrać ze sobą te kamienie.

Flo wzruszyła ramionami.

— Nie robiłabym tego.

Rose wstała pospiesznie. Wokół Koptów zebrała się grupa Arabów. Sami mężczyźni. Wpatrywali się w Rose i Flo. Rose zakryła twarz czarną chustą.

— Nie mogą się dowiedzieć, po co tu przyszliśmy. Jeśli spytają, powiedz, że jestem bardzo religijna.

— Co to znaczy?

— Powiedz im, że chciałam obejrzeć klasztor.

— Co to znaczy religijna? — Flo podskakiwała na piasku.

— Skupiona na Bogu.

— Na Allachu?

— Nie, na bogu Koptów.

Flo sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

Ruszyły za swoimi przewodnikami. Rose oczekiwała gradu kamieni, lecz mężczyźni tylko patrzyli w milczeniu. Kiedy się odwróciła, już ich nie

było. Nie znamy się, nigdy się nie zrozumiemy. Nawet za tysiąc lat, pomyślała.

Szli wzdłuż wysokiej, pochylonej ściany świątyni. Rose nie wierzyła własnym oczom. Widziała połamane kolumny, posągi o potłuczonych głowach i kończynach. Wokół leżały olbrzymie odłamane szczątki figur. Potknęła się o wielką kamienną stopę. Niebo przybrało odcień ciemnego fiolektu. Mężczyzna położył wuja na piasku i natychmiast zasnął. Starzec zaczął uderzać w dzwon, który przyniósł ze sobą z łodzi.

— Popatrz! — zawołała Flo.

Rozległ się cichy dźwięk innego dzwonu. Po chwili z podziemnego korytarza wyłonił się mnich w podeszłym wieku. Rozpoczęła się długa rozmowa, podczas której często wskazywano na Rose. Wejście do podziemi świątyni wyglądało jak grobowiec. Prowadziło w nieskończoną ciemność. Flo wpatrywała się w nią z otwartymi ustami.

— Musimy tam wejść? — spytała Rose z obawą. Strwożona Flo przetłumaczyła jej słowa, lecz nie doczekały się odpowiedzi. Mężczyźni rozmawiali z ożywieniem, chłopak spał. Rose rozejrzała się wokół siebie. Ciemność, piasek i ruiny. Wreszcie zwrócono się bezpośrednio do niej. Flo przetłumaczyła.

— Mamy przenocować dziś w świątyni.

— A dziecko? Chcę zobaczyć dziecko. — Rose podeszła do mnicha. Za jego plecami dostrzegła dziesiątki innych twarzy i sylwetek. — Błagam. Przybyłam z bardzo daleka, aby zobaczyć się z dzieckiem. Chyba nie mieszka pod ziemią? Powinno przebywać w świetle!

Mnich nie odpowiadał, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Odwrócił się i odszedł. Mężczyzna bez nóg zniknął. Jego bratanek nadal spał.

Flo wzięła Rose za rękę.

— Chodź — powiedziała.

Po zapadnięciu zmroku zrobiło się zimno. Ruszyły wzdłuż ściany w stronę wejścia do świątyni. Wspinały się w górę po kamieniach. Klasztor był częściowo pozbawiony dachu. Flo niepewnie kroczyła naprzód. Rose dostrzegła w ciemnościach małą brązową rękę. Machała do niej. Poszła za Flo. Za rogiem czekało na nie poślanie, jedzenie i woda. Rose rozejrzała się niespokojnie wokół w poszukiwaniu ludzi, lecz nie zobaczyła żywego ducha. Jedynie figury naturalnej wielkości wyryte na ścianach. Flo usiadła na posianiu. Była wyczerpana. Oznajmiła, że ktoś ma do nich przyjść rano.

— Kto tak powiedział?

— Nie wiem. Chyba mnich. ,

— Dokąd oni wszyscy poszli?

— Nie wiem. Ja widziałam tylko jednego.

— Jednego mnicha?

— Tak.

Czyżby przyśnili mi się wszyscy pozostali? W głębi jaskini? Jestem aż tak zmęczona, by widzieć duchy?

— Skąd się wzięli tamci mężczyźni, których spotkałyśmy na pierwszym postoju? Z klasztoru? — Rozejrzała się z obawą.

— Nie wiem.

— Kto przygotował jedzenie?

— Nie wiem.

Flo zjadła szybko i zasnęła. Rose usiłowała nie wpadać w panikę. Postanowiła zapomnieć, że znajduje się w opuszczonej zrujnowanej świątyni, na środku egipskiej pustyni, i właśnie zapadła noc. Patrzyła do góry. Przez dziury w dachu widziała gwiazdy. Figury wymalowane na ścianach zdawały się ją obserwować. Przytuliła się do Flo, wsłuchiwała w jej spokojny, równy oddech. Było bardzo zimno. Zadziwiała ją ta dziesięciolatka. Ani razu

się nie poskarżyła ani nie okazała strachu. Czy dziecko Harry'ego będzie podobne? Przybyła do Egiptu z Mattie u boku. Mattie towarzyszyła jej zawsze i wszędzie. Przybyła, by odnaleźć dziecko, a to Mattie je odnalazła. Flo powiedziała, że Mattie zostanie w Egipcie jedynie pod warunkiem, że Rose odnajdzie dziecko Harry'ego. Nie rozumiała.

Spokojny oddech dziewczynki działał kojąco na jej nerwy. Okryła je obie wszystkimi chustami, jakie miała. Zastanawiała się co dalej. Musiała wierzyć w dobre intencje Koptów. Wpatrywała się w mrok. Jak ludzie mogą tu mieszkać? Czy w pobliżu żyje ich wielu? Gdzie są? Kto ugotował strawę i przygotował posłanie? Nie widziała żadnych kobiet... W Egipcie nic nie było takie, na jakie wyglądało...

Obudziła się o świcie. Usiadła gwałtownie. Przyjrzała się w świetle dnia postaciom wyrytym na ścianach świątyni. Były wśród nich piękne kobiety z odsłoniętymi twarzami. Patrzyła na hieroglify wyryte obok i pod figurami ludzi. Widziała to, co widzieli uczeni. Pierre. Podeszła bliżej ściany, przyjrzała się dokładniej wyblakłym sylwetkom. Niektóre z nich niosły kosze z owocami, inne wodę w specjalnych pojemnikach, niektóre pochylały się nad wielkimi czarnymi psami. Wszędzie hieroglify. Przesuwała palcami po literach, czując ich kształt, próbując odgadnąć znaczenie. Wdychała zapach kurzu. Dostrzegła coraz więcej szczegółów. Wiele znaków i postaci było zniekształconych, jakby celowo. Gdzieś na oryginalnych malowidłach widniał koptyjski krzyż. Łzy napłynęły jej do oczu. Ktoś z wielkim trudem i mozółem opisał życie, śmierć, bitwy i radości, cały jego wysiłek poszedł na marne. Został zniszczony. Przypomniała sobie słowa ojca. Przemawiają do nas dawne wieki. Wpatrywała się w muskularnych mężczyzn i piękne kobiety. Kiedy umiera pismo, nie zostaje nic. Przepada pamięć.

Weszła Flo. Umyła się na zewnątrz. Zaczęła układać włosy.

— Nie ma nikogo — powiedziała niepewnie.

— Przyjdą — zapewniła dzielnie Rose. — Na pewno.

Flo popatrzyła pytająco, ale nic nie powiedziała. Rose zabrała pojemnik z wodą i ruszyła wolno w poszukiwaniu ustronnego, osłoniętego miejsca, w którym mogłaby się umyć. Nie zdjęła sukni. Kiedy skończyła poranną toaletę, powiedziała sobie: teraz zobaczę dziecko. Lecz widziała tylko piasek i pustkę. Czułem się jak w biblijnych czasach, mówił jej ojciec.

— Na pewno przyjdą — przekonywała Flo. — Z pewnością są tu jacyś ludzie.

Flo usiadła na piasku z jedną nogą podwiniętą pod siebie. Milczała. Głowę zakryła chustą. Wyglądała jak mały starożytny posązek. Stopiła się z krajobrazem.

Nagle ich oczom ukazała się samotna czarna sylwetka. Szła ku nim przez piasek. Nie wiedziały skąd. Być może wyłoniła się z wnętrza ruin, z jaskini albo grobowca. Kapłan niósł jakieś zawiniątko. Niczym scena ze Starego Testamentu, pomyślała Rose. Wiem, jak się czuł mój ojciec. Wschód słońca i samotna sylwetka w oddali na tle pustynnego krajobrazu, jak sprzed wieków. Nagle zrozumiała, że mężczyzna w czerni niesie dziecko. Chciała podbiec ku niemu, lecz nie mogła się ruszyć. Stała jak sparaliżowana z boleśnie pustymi ramionami, oślepią słońcem.

Podszedł do nich spocony i zdyszany. Nie był księdzem ani mnichem. Miał chore oczy.

Podał Rose dziecko owinięte w chustę koloru piasku. Nie widziała twarzy maleństwa.

— Chcesz kupić? — spytał.

Rose spacerowała z panną Proud wzdłuż brzegu morza w Abu Kir, wśród kości poległych żołnierzy. Silny wiatr wiał im piaskiem w oczy. Przytrzymały chusty przy twarzach i rozmawiały. Panna Proud właśnie przyjechała z Rosetty. W towarzystwie Korneliusza Browna ubranego w turban i ga— labiję. Korneliusz na prośbę Mattie pomaga! im w podróży. Narzązał życie. Wszyscy ryzykowali. Wokół panował zwykły gwar. Podróżnicy czekali na wielbłądy do Aleksandrii oraz statki do Rosetty i Kairu. Targowano się żarliwie. Księżyc skrył się za chmurami. Mrok rozświetlały ogniska wzdłuż brzegu i kilka lamp olejowych. Wielbłądy leżały na piasku, od czasu do czasu któryś wydawał przeciągły ryk. Z samego rana mieli dołączyć do małej karawany udającej się do Aleksandrii. Wieczorem wsiądną na statek płynący na Malte lub do Italii. Gdziekolwiek będzie bezpieczniej niż w Egipcie.

Rose nie miała odwagi zatrzymać się w Rosetcie. Pięknym, niebezpiecznym mieście, któremu zawdzięczała swoje imię. Turcy i Egipcjanie mogliby zainteresować się cudzoziemką z dzieckiem. Podobnie jak George Fallon. Pożegnała się z Flo i popłynęła dalej z Koptami. Podróżowała przebrana za Arabkę. Ukrywała dziecko w fałdach stroju, nie przestając się modlić.

Panna Proud opowiedziała o powrocie małej Flo do domu w środku nocy, gdzie czekał na nią umierający z niepokoju ojciec. O tym, jak Korneliusz Brown uratował George'owi życie. O tym, jak ranny George Fallon musiał uciekać z Rosetty.

— Czy George wie, że mara dziecko?

— Nie wierny.

— A pan Alabaster?

Panna Proud pokiwała ponuro głową. Był w domu, kiedy wróciła Flo.

— Czy może na mnie czekać w Aleksandrii?

— Niewierny

*

Kochana Fanny,

nie mam od Ciebie żadnych wiadomości. Bardzo tęsknię. Często myślę o Tobie i o dzieciach. Piszę ten list na środku oceanu. Mam zamiar wysłać go z Leghorn. Będzie to pierwsza okazja, by przekazać Ci wiadomość, odkąd opuściłam Europę. Nie płynę do Indii, jak planowałyśmy, kochana. Muszę zapewnić jak najlepszą opiekę medyczną dziecku Harry'ego. Teraz już mojemu. Pilnie potrzebuje lekarza. Bałam się, że w Indiach nie otrzyma właściwej pomocy. Dałam dziewczynce na imię Rosetta.

Odnalazłam ją w koptyjskim klasztorze. W ruinach starożytnej świątyni na południe od Rosetty. Na środku pustyni. Pozwolili mi ją wykupić pod warunkiem, że niezwłocznie opuścimy Egipt. Egipcscy chrześcijanie są prześladowani przez tureckie władze. A jak wiedzieliśmy od początku, zarówno Egipcjanom jak i Turkom zależało na pozbyciu się dziecka... Fanny, ona jest niemal ślepa. Cierpi na zaawansowane egipskie zapalenie oczu, które może być częściowo wyleczone. To choroba oczu, o której opowiadał Pierre. Lekarz z Grecji o wątpliwych kompetencjach poradził mi, żebym przemywała jej oczy czystą wodą. Niestety nie miałam łatwego dostępu do podobnego luksusu. Małe biedactwo często płacze z bólu. Jest taka drobna i krucha. Prócz optalmii cierpi na wiele innych chorób. Boję się, Fanny. Bardzo się boję, że nie przeżyje podróży. Jest tak wychudzona, że wyczuwam każdą kostkę. Jak u małego ptaszka.

Nie mam wątpliwości, że George nie da nam spokoju. Dla niego to dziecko jest dowodem nikczemnej śmierci Harry'ego.

Nie chce, by dotarło żywe do Anglii. Obawia się skandalu, kiedy cała prawda o jego bracie wyjdzie na jaw. Nie mam siły teraz o tym myśleć. Zależy mi na zapewnieniu Rosetcie jak najszybciej opieki lekarskiej. Z pewnością angielskie prawo ją ochroni? Na szczęście dla nas George został atakowany. Omal nie przyplacił śmiercią własnej głupoty. Powtórzyłby los brata. W tureckiej łaźni zaszło coś, co uraziło honor i poczucie przyzwoitości miejscowych. Musiał opuścić Rosettę, zniknął, jak mówią. Ale ja nie mam złudzeń. Wiem, że jeszcze go zobaczę. Fanny, Ty przecież nie możesz jeszcze wiedzieć, Dolly nie żyje. Oficjalna wersja brzmi, że umarła w poło-gu. Użyłam Twoich słów, Fanny, by ją wzmocnić w ostatnich chwilach. Powiedziałam jej, że nie ma piekła. Świat wydaje się taki dziwny i pełen za-grożeń. Chciałabym wiedzieć, że jesteś bezpieczna. Przekonałam się, że nic prawie nie jest tym, na co wygląda.

Panna Proud wraca ze mną do domu. Opiekuje się Rosettą, kiedy ja pi-szę do Ciebie. Wiedziałaś, że przyplłynęła za mną? Nigdy się tak nie cieszy-łam na widok znajomej twarzy jak tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy po-stawiłam stopę w kraju z moich snów. Rzeczywistość okazała się inna od marzeń. Mattie została w Egipcie. Nie wiem na jak długo. Odnalazła rodzi-nę i męża. Uderzyła Korneliusza Browna, spełniła swoją obietnicę. Ale hi-storia się na tym nie skończyła. Dawno temu obiecała mi, że mnie nie opu-ści, póki nie będę miała pierwszego dziecka. Mattie zawsze dotrzymuje sło-wa. Dzięki niej miałyśmy okazję poznać Egipcjanki w ich własnym domu. Bardzo bym chciała się z Tobą podzielić wszystkim, co widziałam! Jednak muszę się spieszyć, ponieważ zbliżamy się do portu. Sytuacja jest niepewna z powodu wojny, trudno robić jakiegokolwiek plany. Nie wiemy, czy w Italii będziemy bezpieczne ani czy uda nam się dotrzeć cało do Anglii. Podobno armia napoleońska jest wszędzie. Mówi się o blokadach portów. A dziecko jest bardzo chore.

Nie zwiedziłam całego Egiptu. Nie zobaczyłam piramid. A jednak zabra-łam ze sobą wiele wspomnień. W zrujnowanej Aleksandrii odczułam zna-czenie słowa spustoszenie. Widziałam Nil, taki, jakim opisywał go papa. Niosący życie. Widziałam ciągnącą się w nieskończoność pustynię. Przez

chwilę poczułam atmosferę minionych wieków. Widziałam nawet hieroglify, szczątki starych kamiennych tablic niszczące na pustyni. Byłam świadkiem wielkiej dobroci i wielkiego okrucieństwa. Ale to akurat widziałam również u nas.

Wzywają mnie. Postaram się wysłać list. Pozdrów ode mnie całą rodzinę. Całuję Cię mocno. Chciałabym jak najszybciej poznać wrażenia z Twojej podróży. Tęsknię za Wami, a najbardziej za tobą, droga Fanny.

Jeszcze jedno muszę napisać, nim zapieczętuję list. Pytano mnie, skąd będę wiedziała, że to dziecko Harry'ego. Nie miałam najmniejszych wątpliwości. Mimo choroby i wycieńczenia dziewczynka przypomina do złudzenia... Nie uwierzysz. Nie jest podobna do Harry'ego. Ma natomiast taki sam długi nos i przeszywające błękitne, choć uszkodzone oczy, jak...

Tak bardzo pragnęłam odnaleźć to dziecko, a Bóg, z Jego dziwnym poczuciem humoru, doprowadził mnie do małej, chorej, egipskiej wersji starej wicehrabiny Gawkroger.

Rose

Przez szpary w drewnianych okiennicach przedzierały się promienie słońca, jakby świat chciał przypomnieć o istnieniu życia i radości na zewnątrz. Na ulicy panował zwykły wesoły gwar. Mieszkanki domu na South Molton Street go nie słyszały. W koronach drzew na Hanover Square śpiewały słowiki. Nie słuchały ich szczebiotu.

— Pochodzi z Egiptu — wyjaśniły lekarzom, jakby nie było w tym nic szczególnego.

Lato w Londynie nie przyniosło wyczekiwanego bezpieczeństwa. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Lekarze przemierzali ciemne, smutne pokoje. Martwili się o Rose i pannę Proud, lecz kobiety nie chciały pomocy dla siebie, tylko dla dziecka. Obolałe oczka koloru przejrzystego błękitu otwierały się z wysiłkiem co jakiś czas i śledziły ruch w pokoju. Zamykały się po chwili. Po kilku dniach lekarze ogłosili swoją bezsilność. Dziecko nie przeżyje, orzekli.

— Dzieci umierają każdego dnia — mówili łagodnie. — Wie pani o tym doskonale. Umierają w najlepszych rodzinach, nawet w królewskiej. Dziw bierze, że przetrwała podróż. Nie potrafimy jej pomóc.

Panna Proud uparła się, że posiedzi na górze, aby Rose mogła odpocząć. Rose bała się zasypiać. Od czasu do czasu drzemała. Dręczyły ją niepokojące sny o hieroglifach.

Nie miała zamiaru porzucać nadziei. Pannie Proud czasem zdawało się, że dziewczyna oszalała. Dniem i nocą rozmawiała szeptem z dzieckiem. „Mówili, że umrzesz w Mediolanie.

Przeżyłaś. To samo mówili w Kolonii. Przemierzyłaś pół świata i żyjesz. Nie poddawaj się teraz. Napij się odrobinę mleka. Weź lekarstwo". Dziewczynka przetykała z wysiłkiem, patrzyła na Rose, by po chwili za-

mknąć z ulgą oczy. Sprawiała wrażenie, jakby mówiła: „Pozwól mi odejść”.

— Nie wolno ci umrzeć, Rosetto — szeptała Rose.

*

Ciemność zapada późno latem w Londynie. Podróżujący pod osłoną nocy mają mniej czasu. Panna Proud była nadal wycieńczona po długiej podróży. Otworzyła drzwi i popatrzyła ze zdumieniem na gościa. Zaprosiła go prędko do środka, zamykając drzwi na zasuwę. Co powiedzieliby przyjaciele świętej pamięci pana Halla, starzy żołnierze, gdyby zastali na South Molton Street Francuza!

— Bardzo się cieszę, że pana widzę, ale naraża się pan na wielkie niebezpieczeństwo!

Zaprowadziła go do swojego pełnego książek pokoju.

— Tak, madame — odparł po prostu. — W Dover już myślałem, że wybiła moja ostatnia godzina. Jeden z rodaków został zastrzelony. Nie mogę zostać długo. Muszę wyruszyć przed świtem. Dziękuję Bogu, że udało się paniom bezpiecznie wrócić! Bardzo pani zmizerniała.

— Wróciłyśmy dopiero dziesięć dni temu, panie Montand. Żyjemy w chaosie, całkowicie skupione na zdrowiu dziecka. Nie mamy służby. Same nosimy węgiel. Służy nam to! Najważniejsze, że udało nam się wrócić do domu. Ale skąd pan wiedział? Nie mógł pan wiedzieć.

— Dostałem list od Mattie.

— Od Mattie?

— Opisała mi wszystko. Również pani udział w wyprawie, madame. Jest pani niezwykłą kobietą. Przemierzyła pani pół świata samotnie! A teraz wreszcie jesteście bezpieczne, wszystkie trzy?

— Bezpieczne? Dziękujemy szczęśliwym gwiazdom za to, że jesteśmy w domu, lecz... — Panna Proud usiadła i potarła twarz dłonią. — Podróż powrotna była koszmarem. Obce porty, cudzoziemscy lekarze i wojna. Dziecko jest bardzo chore. Mattie z pewnością panu pisała, że choruje na egipskie zapalenie oczu. Jednak to nie jedyny problem. Cały czas bałyśmy się, że George Fallon nas znajdzie. Nie przeżyłabym podobnej przeprawy po raz kolejny. Rose jest niezwykła. Nie opuszcza dziecka na krok. Wierzę, że to ona utrzymuje je przy życiu siłą woli. Nie podejrzewałam jej o aż taką siłę charakteru. Wreszcie dotarliśmy do angielskich lekarzy, dzięki Bogu. Przychodzą codziennie, ale nie dają wielkiej nadziei. Życie dziewczynki wisi na włosku. Dla Rose to straszna świadomość. Oczywiście podskakuje ze strachu, słysząc każde pukanie do drzwi. George był zdecydowany zamordować dziecko, będące dowodem niechlubnej przeszłości jego brata. Rose udało się uciec. Nie wybaczy jej tego. — Panna Proud upuściła okulary. Pierre schylił się i podniósł je z podłogi.

— Cieszę się, że niektóre rzeczy się nie zmieniają. — Uśmiechnął się lekko. — Pamiętam ten pokój pełen książek z poprzedniej wizyty, kiedy dziewczęta próbowały puścić z dymem pani kuchnię! — Oboje próbowali się roześmiać, ale śmiech zabrzmiał nienaturalnie.

— Panie Montand.

— Słucham?

— Wydaje mi się, że Rose będzie szczęśliwa, kiedy pana zobaczy.

Wszedł na górę sam, niezapowiedziany. Rozejrzał się po pustej bawialni, wspominając letni wieczór, kiedy to oświadczył się Rose, a ona odmówiła.

— Rosette — odezwał się cicho.

Pojawiła się w drzwiach pokoiku naprzeciwko. Na jej twarzy malowało się niedowierzanie, wyglądała, jakby zobaczyła ducha. Była blada, wychudzona i spięta. Wydawała się dużo starsza niż w rzeczywistości.

— Pierre! — Oparła się o ścianę, by nie upaść. — Jak? Skąd... — Nie potrafiła znaleźć słów. — Wojna... ty...

— Rose. Rosette.

— Ale...

— Dostałem list od Mattie.

— Od Mattie?

— I jej męża.

— Gdzie jest George?

— Nie wiem, Rosette.

Stała nieruchomo, kiedy do niej podszedł. Pierre był ubrany na czarno, włosy związał z tyłu, jak angielski kapitan. Rose > miała dłuższe włosy i czerwone plamy na białej wysuszonej skórze. Objął ją ramionami. Przez chwilę nie reagowała, po czym odwzajemniła uścisk. Wtuliła się w jego ciepłe ciało, opadło z niej napięcie.

Zaprowadziła go do małego pokoiku, w którym leżało wychudzone dziecko o oliwkowej skórze. Wyglądało jak dziecko żebraczki. Pierre wciągnął głęboko powietrze. Dziewczynka nie spała. Być może wsłuchiwała się w odgłosy za oknem. Być może wsłuchiwała się w odgłosy świata, który istniał tylko w jej małej główce. Jedno oko zostało uszkodzone na zawsze. Drugie wpatrywało się uporczywie w Pierre'a.

— Ależ... Oczywiście.

— Tak — powiedziała Rose.

Podobieństwo do matki Harry'ego było uderzające.

— Dałam jej na imię Rosetta.

Pierre wpatrywał się w dziecko ze zdumieniem.

— Biedne maleństwo! Jest taka drobna, a przecież musi mieć teraz prawie dwa lata. — Głos mu się załamał na wspomnienie śmierci jej matki w jednej z uliczek Aleksandrii.

— Prawie nic nie je. Nie wiem, czy sypia. Być może po prostu leży z zamkniętymi oczyma. — Rose pokręciła ze zmęczeniem głową. — Nigdy się nie uśmiechnęła. Myślę, że to najsmutniejsze ze wszystkiego.

Pierre milczał, myśląc o Egipcie.

— Mieszkała na pustyni, w zupełnie innym świecie. Nagle znalazła się na South Molton Street z piękną i odważną kobietą, która pachnie limonką. — Rose zobaczyła w jego oczach miłość. Dziecko nie spuszczało wzroku z nich obojga.

— Pierre. — Z piersi Rose wydobyło się urywane westchnienie. — Pierre, cokolwiek się jeszcze wydarzy, chcę, żebyś wiedział... Jesteś najmądrzejszym, najlepszym człowiekiem... Wybacz, mam mętlik w głowie. Wiem, że to nie pora ani miejsce... Wszystko się zmieniło. Pierre, nie rozumiałam sama siebie, kiedy... Stchórzyłam, byłam niemądra. A teraz nasze życia się zmieniły. Bardzo żałowałam swojego błędu, chcę, żebyś o tym wiedział. Nie miałam zamiaru cię zranić. Myślałam o tobie wiele razy w Egipcie. Następnego ranka po twoich oświadczeniach pobiegłam do francuskiej ambasady, ale ciebie już nie było. — Nie miała pojęcia, czy to, co mówi, ma sens. Dziewczynka wodziła wzrokiem od kobiety do mężczyzny. Po chwili zamknęła oczy, być może zasnęła. Rose pocałowała małe czółko. — *Ma 'assalama* — szepnęła. — Jestem przy tobie. Zawsze będę.

Oboje patrzyli na dziecko.

— Powtarzam sobie, że póki ma w sobie tę ciekawość, póki obserwuje i słucha, nie umrze. To jest właśnie życie, ta ciekawość. — Oczy Rose wezbrały łzami, które nie popłynęły. Zaczęła się krzątać po pokoju.

Przeszli do bawialni, zostawiając otwarte drzwi. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. On na sofie, ona na fotelu. Wziął ją delikatnie za rękę, jak dawniej. Poczul jej drzenie. Przesiadła się obok niego na sofę.

— Teraz moja kolej na przeprosiny. — Delikatnie dotknął zmarszczki na czole Rose. — Miałaś rację. Jestem pod wielkim wrażeniem twojej odwagi i determinacji. Pełen podziwu dla ciebie, Mattie i panny Proud. Wiem dobrze, przez co musiałyście przejść. Przyznając się do własnej słabości, muszę wyznać, że płakałem, czytając list od Mattie.

Pierre wziął Rose w ramiona. Przytulił ukochaną i oboje bez słowa podjęli tę samą decyzję. Rose Fallon wreszcie pozwoliła popłynąć łzom, dać upust emocjom. Była wyczerpana, szczęśliwa, pełna ulgi, pożądania i rozpacz. Oddała się mu bez reszty, zostawiła za sobą lata nauki tłumienia uczuć. Poczula to samo, co kiedyś, lecz inaczej. Jej ciało płonęło.

Usłyszeli krzyk woźnicy za oknem. Stary zegar z Genui odmierzał szybko mijający czas.

— Kocham cię, Rose.

— Kocham cię, Pierre. Jak dobrze, że przyjechałeś! Ale nie jesteś przecież bezpieczny w Anglii! Trwa wojna!

— Teraz czuję się bezpiecznie. — Pogładził włosy Rose, jej zarumieniony policzek i nagie szczupłe ramię. Lecz Rose podskoczyła tknięta nagłym poczuciem winy. Na chwilę zapomniała o dziecku. A jeśli umarło podczas jej nieobecności? Na szczęście nie. Rose stała w drzwiach między dwoma pokojami, niepewna.

— Opowiedz mi o Fanny — poprosił cicho Pierre. — Jak udała jej się podróż?

— Przysłała list. — Rose wolno zapinała guziki sukni. — Wraca niedługo. Mąż wystąpił na drogę prawną, zagroził odebraniem jej dzieci, jeżeli nie wróci. Narobił też zamieszania w Kompanii Wschodnioindyjskiej. Fanny jest przerażona.

— Wróci do pana Harbottoma?

— Nie ma wyboru, jak sędzę. Nie wspominała o tym w liście.

— Żałujesz decyzji Mattie?

— Tęsknię za nią rozpaczliwie. Nie dlatego, że nie potrafię sama nosić węgla, nie myśl sobie. Poza tym przyjdą nowe pokojówki. Ale Mattie... Ona stanowiła część mojego życia, nigdy nie myślałam, że ją stracę. — Podeszła na chwilę do dziecka, po czym wróciła do Pierre'a. Chwyliła go za rękę. — Co będzie dalej? Jeżeli mała przeżyje, to George będzie miał do niej prawa, nie ja!

— Zawsze o tym wiedziałaś, Rosette.

— Wiedziałam, lecz nie mogłam postąpić inaczej. George zabiłby ją. Pierre, to byłoby takie proste, nic nie musiałby robić. Zostawiłby ją gdzieś na piasku i odszedł. Kiedy zamykam oczy, wyobrażam sobie tę scenę. Oskarżyłeś mnie o brak rozsądku i zbytnią uczuciowość, ale chodziło o jej życie!

Pierre skinął głową. Wstał i popatrzył na śpiące dziecko. Wsłuchał się w jego cichy oddech. Wyjrzał przez okno.

— Rose, mam dla ciebie wieści. Dlatego przyjechałem od razu po otrzymaniu listu od Mattie.

Podał jej list napisany dziecinnym charakterem pisma Mattie, pełen błędów i klęksów:

PROSZĘ OSTŻERZ PANNE ROSE. NIE WIEDZIELIŚMY, ALE WICEHRABIA ZAKRAD SIĘ Z POWROTEM DO ROSETTY. POSZEDŁ DO KOŚCIOŁA I POKAZAŁ NIEBIESKI KRÓCYFIKS. KSIĘRZA GO WYŚMIALI I WPADŁ W SZAŁ. PSZYSZEDŁ DO ALABASTRÓW W ŚRODKU NOCY I PAN ALABASTER NIE RZYJE.

MYŚLĘ, ŻE TO ON GO ZABIŁ. JEST SZALONY. POTEM POJECHAŁ DO KAIRU, ALE PANNA ROSE MUSI SIĘ MIEĆ NA BACZ-

NOŚCI. PEWNEGO DNIA WRUCI, A NAJWYRAŹNIEJ WIE, ŻE ZNALAZŁA DZIECKO. DLATEGO TO ZROBIŁ.

Pod spodem dodano innym charakterem pisma:

Nie ma dowodów. To tylko naszepuszyczenia. Muwi się, że Archie upadł, bo był pijany. Jednak pani Alabaster twierdzi, że wicehrabia był wściekły jak rozjuszony byk, kiedy wyszła na jaw sztuczka z krócyfiksem i ucieczka panny Rose.

Z powarzaniem, Korneliusz Brown i jego żona Mattie Brown

Rose czytała list raz po raz. Pierre usiadł obok niej.

— Jeśli zdecydujesz się przenieść do Francji, dostaniesz specjalną przepustkę. Mam jego słowo.

— Czyje słowo? George'a?

— Napoleona Bonaparte. Opowiedziałem mu o twojej sytuacji. Pamiętasz, kiedy Dolly... Biedaczka, tak mi przykro. Mattie mi pisała.

Spojrzenie Rose stwardniało.

— Zabił Dolly. Równie dobrze mógł jej przebić serce sztyletem. George. I William oraz obrzydliwy ksiązę Hawksfield, doradca królewski! Była dla nich tylko pionkiem w grze, nikiem!

Przemawiał do niej łagodnie, jak do dziecka.

— Posłuchaj, Rosette. Napoleon zapamiętał tamten dzień. Jeśli zgodzisz się pojechać ze mną, wyruszymy natychmiast. Pobierzemy się w Paryżu za zgodą Napoleona. George cię tam nie dosięgnie.

Wpatrywała się w niego z osłupieniem.

— Przecież jest Rosetta.

— Zabierzemy ją ze sobą, oczywiście.

— Ona nie może podróżować! — Nie odpowiedział. — A nasze kraje są w stanie wojny — dodała niemądrze, tak jakby sądziła, że on tego nie wie. Tak jakby nie przybył do niej, narażając życie. Samotny Francuz na koniu w kraju wroga. Patrzyła, jakby nie widząc go. W rękę wciąż trzymała list od Mattie i myślała o niej.

— Nasze kraje niewątpliwie znajdują się w stanie wojny — powtórzył sucho. — Której Francja starała się za wszelką cenę uniknąć. Raz po raz łamano warunki traktatu. Obawiam się, że tym razem będzie to walka na śmierć i życie.

— Czyją śmierć?

— Waszego podstępного króla. Pyszałkowatego lorda Nelsona. Thustego księcia Walii. Napoleon zostanie imperatorem Francji.

Wyglądała na wstrząśniętą. Parsknęła śmiechem. Po chwili umilkła, zaskoczona własną reakcją.

— Po co wobec tego była rewolucja?

Westchnął.

— Aby inni ludzie przejęli władzę. Trzeba podjąć jakąś decyzję, ponieważ ataki rojalistów nie ustają. Trzeba zabezpieczyć Republikę, a Republika to Napoleon. Mnie osobiście wystarczy odzyskanie kamienia z Rosetty — dodał, próbując rozładować napięcie.

— Poczyniliście jakieś postępy w pracy? — Dotknęła jego twarzy, zrozumiał, że znów jest przy nim.

— Nad hieroglifami? Niestety nie.

— Och, Pierre, widziałam je! Hieroglify! Widziałam... — Znów zagaubiła się we własnym świecie. — Ja... ostatnio źle sypiam, Pierre. Cały czas jestem przy Rosetcie, oczywiście. Ale kiedy zasypiam, nie śnię o Rosetcie. Ani o George'u. Śni mi się, że spadam. Noc w noc. A spadając, widzę hieroglify. Wszystkie dziwne kształty. Jastrzębia, sowę, stopę. Tańczą i tańczą

w mojej głowie, nie pozwalając o sobie zapomnieć. Kiedy widziałam je w opuszczonej świątyni, zniszczone i porysowane, chciało mi się płakać! W tych snach zawsze czekam, czekam na odnalezienie klucza, który wydaje się w zasięgu ręki. — Roześmiała się niepewnie. — Czemu dręczą mnie takie sny? Nie jestem uczonym!

Pogładził ją po włosach.

— Pojedź ze mną do Paryża. Codziennie będziemy razem oglądać hieroglify! Myślałem też, jadąc tutaj... Mogłabyś uczyć się arabskiego. W Paryżu jest wielu dobrych nauczycieli, a ty miałaś okazję osłuchać się z językiem. Pewnego dnia wrócimy do Egiptu, razem z Rosettą. Arabski nie jest językiem hieroglifów, lecz im więcej języków poznajesz, tym lepiej rozumiesz zasady ich powstawania. Kto wie, może pewnego dnia zrozumiesz języki starożytnego Egiptu!

Rose poczuła ogromną falę miłości.

— A książka? — spytała po chwili.

— Pracujemy nad nią dniem i nocą. Napoleon nalega, byśmy nie przerywali prac mimo toczącej się wojny. Musisz ze mną pojechać. Niezwłocznie weźmiemy ślub. Jeśli Napoleon zostanie królem Anglii, co oczywiście jest możliwe, nikt nie odbierze ci Rosetty.

— Napoleon królem Anglii? Mojego kraju? Wykluczone!

— To możliwe, moja droga.

— W Anglii uważamy inaczej.

— Cóż, we Francji mamy inne zdanie, Rosette. Pospieszmy się.

— Teraz? Chyba nie chcesz powiedzieć, że mamy wyruszyć od razu?

— Nie mogę cię odwiedzać co tydzień! — Uśmiechnął się.

— Napoleon zezwolił tylko na tę jedną podróż. Musimy wyruszyć przed świtem. — Wyrzwał przez okno. — Jest później, niż sądziłem. Natychmiast! Musimy wyruszyć natychmiast!

— Ależ... Pierre... Rosetta. Nie mogę. Chodzi o jej życie. Musisz to zrozumieć! — Położyła dłonie na jego ramionach.

— Kocham cię. Byłabym szczęśliwa, mogąc zostać twoją żoną. Marzyłam o twoim powrocie. Nigdy nie sądziłam, że moje marzenie się spełni! — Zaprowadziła go do dzieciennego pokoju. — Spójrz na nią — szepnęła.

Pierre wiedział, że ma rację. On również martwił się o dziecko. Odwrócił wzrok. Nie mieli wyboru, musieli zaryzykować.

— Wytrzymaj! Przetrwaj całą drogę z Egiptu! Rose, musimy zaryzykować. Ten ostatni raz. George może się tu zjawić lada chwila. We Francji będziecie bezpieczni. Zaopiekuję się wami. Będzie miała wspaniałą opiekę medyczną. Francuscy lekarze wiedzą wszystko o optalmii.

— Ależ... — Nie pojmowała, jak mógł nie zrozumieć.

— Zapalenie oczu to nie jedyny problem. Jej życie wisi na włosku! Gdyby chodziło tylko o mnie, nie wahałabym się ani chwili. Żadna podróż mnie już nie przeraża. Zrozum... Jestem jej jedyną szansą na przeżycie. Byłaby już martwa, gdybym nie zabrała jej z Egiptu. George zamordowałby ją lub straciłaby życie w inny sposób. Mam zamiar sprawić, by żyła!

— A George Fallon?

— Nie oddam mu jej!

— W takim razie musimy ją stąd zabrać. Nie ma innego sposobu.

Popatrzyła w jego oczy, serce ścisnęło się jej ze strachu.

— Pierre! Nie stawiaj mnie przed takim wyborem! Daj mi czas!

— Nie mamy czasu, Rose.

— Posłuchaj mnie! Nigdzie nie zabiorę dziecka, póki kryzys nie minie! Ale nie mogę też stracić ciebie po raz drugi. Nie teraz. Nigdy się ode mnie nie uwolnisz, za bardzo cię kocham. Pierre! — szepnęła, czując jego dłonie na swoim ciele.

— Musimy jechać, Rosette.

— Proszę. Błagam cię, kochany.

Nie wiedziała, o co prosi. O niego? Jego zrozumienie? Dotyk? Czas do namysłu? Dziecko zaczęło płakać. Pierre zrozumiał, że Rose z nim nie pojedzie. Prócz miłości kryła się w niej niezłomna wola. Sięgnął po płaszcz.

— Żegnaj, Rosette. Nie ma już czasu. Jest mi bardziej przykro, niż jestem w stanie wyrazić. Wydaje mi się, że nie rozumiesz sytuacji. Nie mogę tu wrócić.

— Nie rób tego, Pierre. Wiesz, jak bardzo cię kocham! Widziałeś, jak bezbronna jest mała Rosetta. Nie wolno ci stawiać mnie przed takim wyborem! To nie jest żaden wybór!

— Trzeciej szansy nie będzie, Rosette — powiedział z bólem Pierre Montand. — Czasem trzeba mieć odwagę dokonywać niemożliwych wyborów.

Wojna trwała, zabierała coraz więcej młodych ludzi. Nie zanosilo się na pokój między Anglią a Francją. Zablokowano porty. Rose nie miała wiadomości od mężczyzny, któremu oddała serce. Francuzi ginęli na angielskiej ziemi. Szpiedzy Napoleona, mówiono. Rozumiała, że Pierre położył na szali własne życie, by do niej dotrzeć. Jednak ona nie mogła położyć na szali życia Rosetty. Drzewa zaczynały tracić liście. Rose czuwała dniem i nocą przy swojej małej dziewczynce.

Pewnego dnia, tak po prostu, Rosetta podjęła decyzję, że będzie żyła. Wróciła do świata, zaczęła przyjmować posiłki i lekarstwa. Lekarze uznali to za cud. Jednak kiedy Rose nie słyszała, wymieniali między sobą pesymistyczne proroctwa. Nie sposób określić uszkodzeń mózgu, kręcili głowami. Dzień po dniu Rose opowiadała dziewczynce o życiu. Powoli dziecko zaczęło siadać i rozglądać się wokół, przekręcając główkę. Rose nosiła je do bawialni, żeby mogło popatrzeć na słońce i jesienne liście. Rosetta miała lalkę, w którą potrafiła się wpatrywać godzinami, i starą poduszkę o imieniu Angel. Pewnego wyjątkowego dnia zsunęła się z sofy, na której została posadzona, aby być bliżej słońca. Następnego dnia próbowała się podczołgać po podłodze w stronę okna. Obserwowała wszystko i wszystkich bardzo uważnie. Razem z Rosettą wróciła do życia jej opiekunka. George Fallon na razie zostawił ją w spokoju. Nie miała wiadomości z Francji. Ani słowa. Zrozumiała, że Pierre na zawsze zniknął z jej życia.

Wiedziała, że George Fallon w końcu stanie na jej progu. Musiał pojawić się w Londynie, by przekazać księciu Hawksfield wiadomość o śmierci Dolly. Nie powie nikomu o dziecku, po prostu przyjdzie pewnej nocy i wśliznie się do jej domu jak wąż. Zawsze zjawiał się w nocy. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nie może w nieskończoność trzymać Rosetty w zamknięciu na South Molton Street.

Powiedziała lekarzom, że planuje wyprowadzkę z Londynu.

— Za wcześnie — ostrzegali. — Jej drobne ciało stoczyło długą bitwę. Proszę zostać jeszcze pół roku.

— Chciałabym pojechać z nią za granicę.

Byli wstrząśnięci.

— To byłoby niezwykle nieodpowiedzialne posunięcie — powiedzieli surowo. — Jest pani w najbezpieczniejszym kraju na świecie. Wokół panuje wojenna zawierucha. Niełatwo o kompetentną pomoc medyczną.

Rosetta podejmowała nieśmiałe próby chodzenia. Nóżki nie chciały jej jeszcze utrzymać. Z przedziwną determinacją i skupieniem chwyciła się mebli, przytrzymała drzwi. Rose snuła plany na przyszłość.

— Wyjedziemy na wiosnę — oznajmiła pannie Proud. — Znajdę jakieś spokojne, bezpieczne miejsce. Jeśli George będzie nas szukał, proszę mu powiedzieć, że dziecko nie żyje.

— A jeśli przyjdzie tu, nim zdążycie wyjechać?

Co noc panna Proud niespokojnie nasłuchiwała.

— Wtedy sama mu powiem, że dziecko nie żyje.

Każdego wieczoru po położeniu dziewczynki do łóżeczka

(nigdy nie protestowała) Rose zabierała z bawialni wszystkie dziecięce akcesoria.

Tak mijał dzień za dniem na South Molton Street. Czekały, aż Rosetta nabierze sił, napięte jak struny.

— Powinnaś nosić żałobę, Rose — powiedziała pewnego dnia panna Proud. — Na wypadek gdyby się pojawił.

Emerytowani żołnierze przyszli z wizytą. Próbowali ukryć zaskoczenie na widok dwóch kobiet i dziecka. Dużo później powiedzieli im, że wyglądały niczym duchy, półprzejryste, nie z tego świata. Tego dnia jednak

rozmawiali wesoło, jak gdyby nigdy nic. Przypomnieli im o istnieniu kolorowego, pełnego barw świata na zewnątrz. Przynieśli słodycze. Słuchali opowieści o wielkiej podróży i kręcili głowami z podziwem oraz niedowierzaniem.

— Zanosi się na to, że wkrótce kobiety będą podróżować po całym świecie! Musimy się do tego przyzwyczaić — wołali, nie wierząc własnym uszom.

— Pewnego dnia Rose zacznie pisać książki o swoich przygodach! — powiedziała panna Proud.

Starsi panowie roześmieli się rozbrojeni, dumni ze swych przyjaciółek. Świat się zmieniał. Dziewczynka siedząca obok Rose na sofie przysłuchiwała się rozmowie i obserwowała wszystkich z ciekawością.

— A... Fallonowie?

— Nie wiem — odparła chłodno Rose. — Nie wychodzimy.

— Nie możesz trzymać dziecka w zamknięciu.

— Wiem.

Nie powiedziała nic więcej, a oni zbyt wiele mieli szacunku dla Rose, by drażnić temat. Siedzieli w milczeniu.

— Czy wiadomo, jak długo jeszcze potrwa wojna? — spytała cicho Rose, nie podnosząc wzroku.

— Kochana Rose — westchnęli. — Nie skończy się, póki Napoleon żyje. — Pierre mówił to samo o królu Anglii. — Wprowadza zamęt na całym świecie. Nie wolno na to pozwalać. — Odchrząknęli. — Jej oko. Czy...?

— Obawiam się, że nic się nie da zrobić. Spóźniłam się. Ale lekarze zapewniają mnie, że pod każdym innym względem wszystko wróci do normy. Wyzdrowieje.

Uśmiechnęli się łagodnie.

— Pokochamy ją. A... będzie mówić?

— Nie mówi i nie uśmiecha się. Nie wiem, co dzieje się w jej małej główce. Ja do niej mówię. Powiedziałam, że będzie nosiła czarną opaskę na oku, jak pirat. I że pewnego dnia dowie się, co to znaczy. Piraci pływają po morzach... — Rose westchnęła. — Jej kuzyni niebawem wrócą z Indii. Mam nadzieję, że towarzystwo innych dzieci...

Pokiwali mądrze głowami, choć Rose była jedyną małą dziewczynką, jaką kiedykolwiek znali.

— Ojej, popatrzcie! Deszcz! — zawołali z rozczarowaniem. — Mieliśmy nadzieję, że namówimy was na spacer...

Wszystkie trzy wyrzały przez okno. Rosetta usiłowała podczołgać się bliżej parapetu. Rose podniosła ją delikatnie i podeszła do szyby.

— Nie padało od naszego powrotu — powiedziała. — Poza tym mała była przykuta do łóżka. Na pustyni nie widziała deszczu.

Rosetta popatrzyła w skupieniu w niebo, jakby sprawdzając, skąd leci woda.

— To deszcz — powiedziała czule Rose, uśmiechając się do córeczki. — Jeszcze nieraz będziesz miała okazję go oglądać w tym kraju! Deszcz.

Starsi panowie i panna Proud rozmawiali. Rose stała przy oknie z dzieckiem na ręku. Popatrzyła na blade, wychudzone oblicze panny Proud, na siwe głowy panów. Patrzyła na ludzi, którzy ją kochali, i serce ścisnęło jej się z bólu na myśl, że umrą.

Rosetta ujęła jej twarz w obie rączki i zwróciła w stronę okna.

— Deszcz — powiedziała wyraźnie. Spojrzała na pannę Proud i emerytowanych żołnierzy, potem znowu na Rose. Nagle na jej buzi pojawił się uśmiech Harry'ego Fallona. Czarujący.

Następnego dnia ktoś zaczął dobijać się głośno do drzwi. Rose wyrzała ze strachem przez okno pokoju dziecinnego, obawiając się, że to cała rodzina Fallonów postanowiła złożyć jej wizytę. Na widok Fanny i dzieci ruszyła biegiem po schodach. Fanny nie dostała listu od Rose. Nie wiedziała, że panna Proud była w Egipcie. Nie wiedziała o Rosetcie. Zobaczyła bladą, wychudzoną kuzynkę w czerni z wymizerowanym dzieckiem na ręku. Jane i mały Horacy urosli, ich buzie promieniały. Fanny była ubrana w szarą suknię i mały kapelusz.

— Kto umarł? — spytała.

— Nikt nie umarł. Wszystko wyjaśnimy — powiedziała panna Proud.

— Co ty masz na sobie? — spytała Rose.

— Wszystko wyjaśnię — roześmiała się Fanny.

Uściskom, pytaniom i łzom wzruszenia nie było końca.

Dzieci zaintrygował oliwkowy odcień skóry Rosetty i jej dziwne oczy. Chciały się z nią pobawić, jak z kuzynkami w Indiach, lecz zrozumieli, że jest inna. Wyglądała jak krucha porcelanowa laleczka. Wzięli ją na ręce, jak niemowlę, niezwykle ostrożnie, i zaczęli opowiadać o Indiach. Buzie im się nie zamykały, uśmiechali się do kuzynki i dotykali jej z niezwykłym zainteresowaniem. Wreszcie Rosetta rozpromieniła się w uśmiechu. Fanny od razu dostrzegła podobieństwo do Harry'ego Fallona. Po jakimś czasie dzieci zasnęły na sofie. Rosetta w objęciach kuzynki Jane. Tuż przed zaśnięciem mały Horacy oświadczył z uśmiechem:

— Wstąpię do marynarki i będę walczył z Bonapartem.

„Bonapartem”, szeptała później przez sen mała Rosetta.

Kobiety popatrzyły na siebie.

— Opowiedzcie mi. Wszystko — zażądała Fanny. — Och — wzdychała, słuchając szczegółowej opowieści. — Och. — Patrzyła na bladą, napiętą twarz kuzynki, ujęła ją za ręce, usiłowała ukryć własny niepokój.

— Rysunki na ścianach, hieroglify, niezmierzone połacie pustyni... Czy było tak, jak sobie wymarzyłaś?

— Tak — odparła Rose dziwnym tonem. — Tak. Na pustyni było wreszcie tak, jak sobie wymarzyłam.

— Nie ma mowy o pomyłce! Dziewczynka wygląda dokładnie jak matka Harry'ego. Tylko uśmiech ma po ojcu.

Rose skinęła głową.

— Uśmiech ma Harry'ego.

Fanny zerknęła na uśpione dziecko. Nie mogła uwierzyć, że Rose dokonała tego wszystkiego. Podeszła do okna. Spojrzała na ciemne niebo nad miastem, w którym przyszła na świat.

— Uwielbiam jesienne wieczory. Ale nie wspomniałaś nic o George'u.

— Nic nie wiem. Jak miałby tu wrócić? Spojrzeć w twarz księciu Hawksfield? To morderca! Dasz wiarę, że poprosił mnie o rękę?! Nie może pogodzić się z istnieniem dziecka. Myślałam, że ją pokocha, jako część Harry'ego, lecz jemu zależy jedynie na ukryciu prawdy o śmierci brata. Pewnego dnia spróbuje odebrać mi Rosettę.

— Co wtedy zrobisz?

— Nie oddam jej. Uciekniemy do Francji. Albo do hrabstwa Norfolk. Albo do Wentwater.

— Zapraszam, jeśli to coś pomoże.

— Zamierzam skłamać, że dziecko nie przeżyło podróży. Dlatego noszę żałobę. Raczej go zabiję, niż oddam mu dziewczynkę.

— Rose! — roześmiała się Fanny. Jej kuzynka była poważna. Fanny popatrzyła na pannę Proud, po czym odwróciła wzrok. Biedna Rose. To jeszcze nie koniec.

Rose i panna Proud miały tysiące pytań do Fanny, lecz coś je powstrzymywało przed ich zadaniem. W pokoju słychać było jedynie oddech trójki dzieci. Rozmowa zamarła, zostało zbyt wiele do powiedzenia. Zapaliły świece i dolały gorącej wody do czerwonego wina, jak to robiła wcześniej Mattie. Rose zawahała się przed podaniem kieliszka z winem kuzynce. Czy kwakrowie piją wino? Fanny z uśmiechem przyjęła napój.

— W głębi serca nie jestem „zwykłą” kwakierką, Rose. Nikt mi nie odbierze radości życia! Zamierzam jedynie przekonać męża, że jestem świętsza niż on!

— Fanny... Naprawdę zostałam kwakierką? Czemu jesteś tak ubrana?

Z uśmiechem wygładziła fałdy szarej sukni.

— W Indiach mają najpiękniejsze tkaniny i najlepszych krawców na świecie. Przykro mi było, że zabieram jedynie szare stroje! Tak. Zostałam kwakierką.

Panna Proud ze zdumieniem wpatrywała się w zwykle rozsądną Fanny. Spodziewała się, że usłyszy od niej o hinduizmie, islamie i buddyzmie.

— Wróciłaś z Indii! Kraju o wielu religiach. Spodziewałam się zobaczyć cię w sari!

— Zafascynowały mnie inne religie, ale dla siebie wybrałam tę. Poznałam grupę kwaków na statku do Indii.

— Ach tak.

— Podczas długiej podróży rozmyślałam wiele o swoim życiu. O Horacym. Poślubiłam go z nadzieją, że będę mogła przy nim pogłębiać swoją wiedzę. Byłam spragniona nauki. Nie rozumiałam, jak bardzo sam jest ograniczony. Zrozumiałam za to, w miarę oddalania się od niego, że prawo nie stoi po mojej stronie. Straciłabym dzieci, gdybym nie wróciła do ich ojca.

Rose i panna Proud zastanawiały się, co to wszystko ma wspólnego z religią.

— Kwakrowie przyciągnęli mnie swoją wiarą w zmianę. Ich zdaniem pewnego dnia prawo uzna przynależność dzieci również do matek. Życzyłabym tego innym kobietom. Jednak dla mnie, Jane i małego Horacego byłoby za późno. Jeśli chcę być z dziećmi, muszę zostać przy mężu.

Rose przypomniała sobie, jak niespokojne i nieszczęśliwe były dzieci w Paryżu.

— Wydają się bardzo... Stały się...

— Szczęśliwsze. Są o wiele szczęśliwsze. Rozwinęły się niezwykle bez dominującego wpływu ojca, który mówił im, co mają myśleć. W Indiach spotkały kuzynów, dziadka oraz wuja, którzy prowadzą barwne życie, niemające nic wspólnego z grzechem ani pokutą. I którzy ich słuchali! Już się nawet nie biją. Jane dała do zrozumienia Horacemu, że będzie się bronić! Horacy chce teraz zostać marynarzem. Spędzał dużo czasu z załogą na statku. Pomagał wybierać liny, polerować mosiężne okucia, a nawet zszywać żagle! Indie. Nie wiem, jak wam opisać to miejsce. Jest pełne wspaniałych krajobrazów, barw i zapachów. Ciepłe i pełne piękna. W dniu przyjazdu zobaczyłam kwiat o tak głębokim odcieniu czerwieni, że czułam niemal, jak mój zmysł wzroku się rozwija. Moja kochana rodzina... — Oczy Fanny wezbrały łzami. Odwróciła twarz do okna.

— Zostaliśmy zmuszeni do powrotu — powiedziała z nietypową dla niej goryczą. — Zostałam zmuszona, by nauczyć się radzić sobie w sytuacji, w której znalazłam się przez własny brak wiedzy. — Rose i panna Proud milczały, nie rozumiejąc. — I oto jesteśmy! Miałam już wątpliwości, czy kiedykolwiek zobaczę Anglię. Podróż mieliśmy pełną niebezpieczeństw, obawiałam się, że opatrność postanowiła rozwiązać moje problemy! Przeżyliśmy i mam okazję oglądać angielską jesień, tak inną od indyjskich upałów. Angielskie twarze i znajome widoki. Mosty i kościoły.

Słyszałam dzwony z naszego kościoła! Mój ukochany kraj. Cieszę się z powrotu do domu, niezależnie od tego, co mnie jeszcze czeka.

— Czy kwakrowie przeniosą się do Wentwater? Będiesz chodzić na ich spotkania?

— Kwakrowie nie wierzą w przewagę mężczyzn nad kobietami.

— Słucham?

— Jest wiele do zrobienia. Upokarzające warunki w więzieniach, niewolnictwo, które popiera nasz kraj. Będę robiła to, co mi dobrze wychodzi.

— Przerwała na chwilę. — To, co Bóg uzna za odpowiednie. — Rosa uświadomiła sobie, że jej kuzynka po raz pierwszy wymówiła imię Boga.

— Zamierzasz wygłaszać kazania?

— Być może. Jeśli okaże się, że mam po temu zdolności.

— Fanny... — Rose była zdezorientowana. Odstawiła wolno kieliszek. Wstała i objęła kuzynkę. — Najdroższa Fanny, bardzo się cieszę, że jesteś! Masz wiarę w lepszą przyszłość, to dobrze. Jednak... Wydaje mi się, że o czymś zapomniałaś! Horacy nigdy się nie zgodzi. Jesteś kobietą, jego żoną. Chcesz zostać kwakierką, wygłaszać kazania, konkurować z nim? On nie zobaczy w tym palca bożego. Poczuje się zagrożony. Nigdy się nie zgodzi!

Fanny delikatnie oswobodziła się z uścisku i ponownie zwróciła w stronę okna. Kiedy znów popatrzyła na swoje rozmówczynie, jej twarz miała ironiczny wyraz.

— Siądź, proszę, na chwilę — poprosiła zdumioną Rose. — Przede wszystkim dostałam od papy pokaźną sumę pieniędzy. Zabezpieczoną prawnie. Horacy nie będzie mógł tknąć ani grosza bez mojego podpisu. On kocha pieniądze. Niemal równie mocno jak arystokrację... Wśród kwaków jest wielu jej przedstawicieli. Zgodzili się mi pomóc. To zrobi wrażenie na Horacym. Spędziliśmy z moim mężem wiele godzin na modlitwach, aby

Bóg skierował mnie na właściwą ścieżkę. Modlitwy zostały wysłuchane. Powinien być wdzięczny! Nawet jeśli rezultat przerósł jego oczekiwania.

W pokoju zapadła cisza. Robi to dla dzieci, nie dla Boga, zdała sobie sprawę Rose. Panna Proud wybuchnęła śmiechem. Popatrzyły na nią ze zdziwieniem.

— Nie mogę się powstrzymać — wyjąkała przez łyzy panna Proud, potrząsając białym czepkiem. — Nie śmieję się z ciebie, Fanny. Jestem pewna, że pomożesz wielu ludziom, taka już jesteś. Znalazłaś jedyny sposób na pokonanie Horacego! Bóg i arystokracja! Mam coś dla ciebie — dodała.

Sięgnęła do kieszeni obszernej czarnej sukni i podała Fanny prześliczną chustę w kolorze egipskiego nieba.

— Jest piękna! — szepnęła oczarowana Fanny.

— Noś ją, by podkreślić swą radość życia. Należała do kobiety wyznającej inną religię. Religię, której wyznawcy twierdzą, że nie ma innego boga niż Allach. W Indiach z pewnością spotkałaś wyznawców innych religii, którzy twierdzili, że nie ma innego boga poza ich bogiem. Noś tę chustę na znak, że być może jest wielu bogów i wszyscy dobrze nam życzą. Jestem dumna z was obu. — Pocałowała każdą ze swych młodych przyjaciółek w policzek. — Nie wiemy, co się wydarzy. Nie znamy planów George'a Fallona ani Horacego Harbottoma. Tymczasem jesteśmy tutaj, znów bezpieczne na South Molton Street. Popijamy wino w piękny jesienny wieczór, jak gdyby nic się nie zmieniło. Jesteście dwiema dzielnymi podróżniczkami, które dokonały rzeczy niezwykłych. Zdobyłyście wykształcenie, o jakim marzyłyście. Jestem z was szalenie dumna!

Panna Proud poszła cicho do swojego pokoju, a Rose poczuła nagle ukłucie bólu. Pomyślała o własnej samotnej przyszłości. O odrzuceniu szansy na szczęście, którą jej ofiarował Pierre.

— O co chodzi, Rose? Porozmawiaj ze mną szczerze — poprosiła łagodnie Fanny.

— Nie myśl, że żałuję swej decyzji... Nie zmieniałabym jej, ale... Pierre Montand ryzykował życie, by do mnie przyjechać i poprosić o rękę. Chciał zabrać mnie i Rosettę do Francji. My... Kiedy tu był... — Pokręciła głową, nie potrafiła o tym mówić. — Kocham go, Fanny. — Przerwała. — La belle France — mówiła dalej drżącym głosem. — Miała to być również szansa ucieczki przed George'em. Jakże marzyłam o tym, aby się zachować jak bohaterka romansu: chwycić dziecko i uciec z ukochanym! — Przygryzła usta. — W prawdziwym życiu jest trudniej. Nie miałam pewności, czy Rosetta przeżyje kolejną podróż! A teraz... — Fanny widziała, z jakim trudem Rose powstrzymuje łzy. — Ta wojna... Nie mogę do niego napisać ani pojechać. Nie mogę mu powiedzieć, że Rosetta czuje się znacznie lepiej. Och, Fanny! Musiałam dokonać wyboru. Musiałam dokonać takiego wyboru. Straciłam Pierre'a po raz drugi. — Fanny nie miała odwagi się poruszyć, by pocieszyć kuzynkę. Patrzyła na jej przedwcześnie postarzałą, straszliwie smutną twarz. — Siedzę i czekam. Na George'a Fallona.

Fanny westchnęła głęboko, ujęła delikatnie dłonie Rose. Obie wyczuwały instynktownie, że teraz, w tym momencie, są sobie niezwykle bliskie. Były znowu razem, jak dawniej.

— Obie cierpimy z powodu tego samego okrutnego prawa — powiedziała powoli Fanny, zerkając na śpiące dzieci. — Rose, musimy znaleźć sposób. Ze względu na nie. Ja już swój znalazłam. Nie wyobrażałam sobie nawet takiego obrotu spraw, kiedy miałam siedemnaście lat i świat zdawał się stać przede mną otworem. Pełen cudów. Pamiętasz Vow Hill?

— Tak.

Usłyszały jakiś szelest. Horacy i Jane wciąż twardo spali.

Rosetta obudziła się i utkwiała w nich przenikliwe spojrzenie błękitnych oczu.

Używając biblijnego języka, rzec by można, iż lędźwia wielebnego Horacego Harbottoma płonęły, kiedy zbliżał się na South Molton Street. Zamierzał zachować chłodną, pełną godności powściągliwość w chwili powitania, lecz gdy tylko znajdzie się sam na sam z żoną, wyegzekwuje swoje małżeńskie prawa.

Jakże cierpiał. Oczywiście parafianki starały się, jak tylko mogły, lecz także on cierpiał. Tylko on jeden wiedział, jak bardzo tęsknił za swą ukochaną Fanny. Cichy głos sumienia podpowiadał mu, że powinien być ją lepiej traktować. Postaram się, obiecywał sobie z bólem w sercu, postaram się. Tęsknił za widokiem ukochanej twarzy. Wyobrażał sobie Fanny gotującą, pochylającą się z rumieńcem na policzkach nad garnkami, odgarniającą niesforne rude kosmyki z czoła, wołającą do dzieci. Jego życie znów będzie zorganizowane jak należy, jego żona wszystkiego dopilnuje ze spokojem. Przygotuje posiłki na czas, wysłucha jego kazań. Jak dawniej. Wróci skruszona po tym, jak go okropnie potraktowała, i będzie bardziej uległa w jego ramionach.

Niektóre z jego fantazji zostały być może wywołane przez studiowanie pewnych francuskich dzieł, którymi starał się zagłuszyć ból i tęsknotę za żoną. Owe publikacje pobudziły jego wyobraźnię, podsuwając pomysły, jakie nie przyszłyby mu wcześniej do głowy. Książki dostał pewnego wieczoru od zaprzyjaźnionego duchownego podczas spotkania przy butelce whisky. Obaj zamierzali potępić owe bezceństwa z ambony. Były to te same publikacje, które Dolly przeglądała niegdyś z wypiekami na twarzy w bibliotece ojca.

Pachnący lawendą pastor Harbottom znajdował się na granicy obłądu. Zadudnił w drzwi domu na South Molton Street. Nie uznał za stosowne, by wuj towarzyszył mu przy pojednaniu z żoną.

Panna Proud wpuściła go do środka i zaprowadziła do wypełnionej książkami bawialni. Horacy spodziewał się tylko Fanny, a zastał dom pełen eleganckich gości.

— A, Harbottom — mówili, podając ręce na powitanie.

— Pastorze, zna pan lorda Stone, księżnę Brayfield, sir Reginalda Makepeace? — Panna Proud dokonała prezentacji. Horacy wytrzeszczy! oczy ze zdumienia. Lordowie kiwali z godnością głowami.

— Gratulacje, Harbottom — mówili.

Ktoś uścisnął mu rękę.

— Wszystkiego dobrego.

Księżna Brayfield uśmiechnęła się uprzejmie, niemal pozbawiając go tchu. Wszyscy ją znali. Była sławna. Wyprostował się dumnie. Musieli się dowiedzieć, że zmusił swoją żonę do powrotu i wybaczył jej, jak postąpiłby każdy kochający mąż. Poczuł, że wreszcie jest w towarzystwie ludzi równych sobie. Po raz pierwszy w życiu.

Do pokoju weszła pani Harbottom, prowadząc za ręce Jane i małego Horacego. Pastor nie zwrócił uwagi na to, że jego dzieci urosły. Nie zwrócił uwagi na Rose trzymającą w ramionach dziwnie wyglądające dziecko. Oto bowiem stała przed nim ukochana żona, Fanny. Ubrana w szary kwakerski strój.

— Dzień dobry, Horacy — powiedziała.

— Dzień dobry, ojczy — przywitały się dzieci.

— Gratulacje, Harbottom — powtórzyli goście.

— Co... Co to ma znaczyć?

Zauważył, że niektóre z kobiet są ubrane podobnie jak Fanny. Mężczyźni również mieli szare stroje. Wszyscy byli poubierani na szaro prócz księżnej Brayfield i loda Stone'a.

Przecież to niemożliwe, by odbywało się tu spotkanie odszczepieńców Kościoła.

— Módlmy się — odezwał się jeden z panów. Podziękowano Bogu za zesłanie jego ducha na Fanny Harbottom, by mogła czynić dobro w imieniu Pana.

— Przemawia z prawdziwym uczuciem i zrozumieniem, Harbottom — powiedział lord Stone. — Oczywiście, z pewnością znasz talent własnej żony. Jest prawdziwym skarbem dla parafii. Będziemy często składać wam wizyty.

Horacy miał mętlik w głowie. O czym oni mówią? To ja jestem skarbem parafii. Fanny to moja żona!

— Nie możesz być odszczepieńcem. Jestem pastorem Kościoła Anglii, mój wuj jest biskupem. Ty zaś moją żoną!

— Dziękuję Bogu, że zstąpił i przemówił do mnie — powiedziała powoli i wyraźnie, nie spuszczać wzroku z twarzy męża. — Czekaliśmy na tę chwilę, Horacy. Zrobię, co w mojej mocy, by czynić dobro w imieniu Pana.

Była spokojna, wcale nie skruszona. Wpadł we wściekłość.

— Jesteś moją żoną! — Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu wsparcia. — Jest moją żoną! Ma obowiązki wobec mnie, nikogo innego. Jam jest przedstawicielem Boga na ziemi, a żona ma mi służyć! Mnie! Jest kobietą! — Ku jego wielkiemu zmieszaniu obrazy pań z francuskich rycin pojawiły się w wyobraźni pastora w najmniej odpowiednim momencie.

— Wszyscy jesteśmy dziećmi bożymi — odparł łagodnie lord Stone. — Wszyscy jesteśmy równi w oczach Stwórcy.

— To bluźnierstwo! — wykrzyknął Horacy, uderzając pięścią w stół i zrzucając stertę czasopism.

Odpowiedziała mu kamienna cisza. Wszystkie oczy utkwione były w Horacym Harbottomie. Nagle zdał sobie sprawę ze swojego położenia. Ci wpływowi ludzie stali po stronie Fanny. Usiadł na miękkiej sofie. Nie ulękną się nawet jego wuja.

— Chcę Fanny — załkał żałośnie.

— Jestem tu, Horacy.

Podeszła do niego z dziećmi. Wszyscy usiedli razem na sofie, jak rodzina. Horacy wdychał świeży zapach skóry żony.

— Pragnę, żeby wszystko było jak dawniej. Cierpiałem.

— Bóg wezwał Fanny — wtrącił się łagodnie lord Stone. — Nawet Kościół Anglii nie może się sprzeciwić woli bożej.

— Bóg nie zsyła powołania na kobiety!

— Jesteśmy innego zdania.

Horacy zerwał się z sofy.

— Nigdy! Nie w moim domu! Nigdy! Duchowny Kościoła Anglii nie może wpuścić pod swój dach innowierców. Mój wuj jest biskupem. Nie dopuści do tego.

— Znam twojego wuja, Harbottom — powiedział lord Stone. — Niedawno prosił mnie o rekomendację w klubie.

— Horacy. — Fanny wyciągnęła rękę. Usiadł z powrotem obok żony. — Pragnąłeś, aby Bóg wstąpił do mego serca — mówiła czule. — Wiele razy modliliśmy się wspólnie o ten cud. Nie cieszysz się?

— Modliliśmy się, aby wstąpił do twojego serca z Kościoła Anglii!

— Niezbadane są ścieżki Pana — odezwała się cicho księżna Brayfield.

Wielebny Harbottom skrył głowę w dłoniach. Znow był otoczony przez rodzinę. Jego lędźwia już nie płonęły. Ciszę przerwał lord Stone.

— Pomódlmy się w ciszy, w naszych własnych sercach.

W bawialni panny Proud przez kilka chwil dał się słyszeć jedynie dźwięk oddechów.

— Poznaj sam siebie, człowieku — powiedział łagodnie lord Stone.

— Ojczy — odezwał się mały Horacy, pragnąc rozweselić pastora. — Jeździłem na słoniu i wstąpię do marynarki. Wrócę do Indii, aby pomóc utrzymać tam spokój dla dobra Anglii.

— Ojczy — dołączyła się Jane. — W Indiach gdzie rośnie herbata, nauczyłam się ją parzyć. Zaparzę ci herbaty.

Goście udali się do wyjścia.

— Będziemy często odwiedzać Wentwater — przypomniał sir Reginald Makepeace. — Sprawdzać, czy wszystko w porządku. Liczę na interesujące dyskusje na temat handlu niewolnikami.

— Mam nadzieję, że zawsze będziemy mile widziani w Wentwater — dodała księżna Brayfield. — Jesteśmy dumni z Fanny i pragniemy ją często odwiedzać. — Uśmiechnęła się do pastora. — Sprawdzać, czy wszystko w porządku.

— Gratulacje, Harbottom.

Przyszedł bez żadnego ostrzeżenia w pewną wietrzną listopadową noc. Rose grała w szachy z panną Proud w swoim pokoju, nasłuchując, czy dziecko się nie obudziło, kiedy rozległo się głośnie łomotanie w drzwi. Otworzyła pokojówka, z korytarza dobiegł głos George'a. Rose szybko zamknęła drzwi dziecięcej sypialni i wróciła do gry.

Przez chwilę przypatrywali się sobie nawzajem w milczeniu. Minęło kilka miesięcy od ostatniego spotkania i zmienili się wszyscy troje. Panna Proud zawsze była dla George'a starą kobietą, lecz zaskoczyła go zmiana w Rose. Postarzała się, pomyślał. Ma czerwone plamy na skórze. Jest wychudzona, wygląda okropnie. W dodatku ubrała się na czarno, jak staruszka.

George również wyglądał inaczej. Był spalony słońcem i postarzały. Miał długą bliznę na policzku. Jak zwykle wspierał się nonszalancko na ławce. Jedną rękę trzymał w dziwny sposób. Mamelukowie zrobili użytek ze swoich szabli, nim Korneliusz Brown zdążył połamać mu żebra, ratując życie.

— Cóż za niespodzianka, George. Kiedy wróciłeś?

Rozejrzał się po pokoju. W domu panowała cisza.

— Właśnie przyjechałem z Portsmouth. William pojechał od razu z naszymi rzeczami na Berkeley Square. Ja przyszedłem po jeszcze jedną swoją własność. Czy moglibyśmy zostać z Rose sami, panno Proud?

— Proszę wybaczyć, wicehrabio, ale tym razem muszę odmówić — powiedziała gospodyni, przesuwając pionek na szachownicy.

George zrezygnował z dobrych manier.

— Gdzie ono jest?

— Nie słyszałeś, George? — spytała Rose.

— Słyszałem, że to kosztowny rekwizyt. — Kobiety wstrzymały oddech na widok połyskującego krzyża, który wniósł na South Molton Street powiew pustynnego wiatru, zapach goździków i echo zawodzącego wołania na modlitwę. — Gratuluję gustu. Sprzedam go za fortunę. Słyszałem, że znalazłaś jakieś dziecko.— Słyszałem, że widziano cię z nim w Mediolanie.

— A więc nic nie słyszałeś, George.

— Mów.

— Dziecko zmarło podczas podróży. Było chore.

— Gdzie?

— W Szwajcarii. Tam je pochowaliśmy.

Przechylił głowę. Czyżby nosiła żałobę po bękarcie?

— Jacyś świadkowie?

— Ja jestem świadkiem — powiedziała smutno panna Proud. — Pańska bratowa to najdzielniejszy człowiek, jakiego znam.

— I najbardziej przebiegły! Nie zdziwiłbym się, gdyby ukrywała je pod podłogą, gotowa w każdej chwili okryć hańbą naszą rodzinę!

— Ochrzciałam go w kościele, nim umarł. Jest dowód.

— Na jego śmierć?

— Nazywał się Harry Fallon.

— Jak śmiałaś! Tobolek śmierzących arabskich szmat nazwać imieniem i nazwiskiem mojego brata!

Panna Proud wstała. Krzyki mogły obudzić Rosettę.

— Już po wszystkim. To koniec — powiedziała.

Popatrzył na Rose. Widać było, że przeżyła tragedię.

— Może tak — powiedział cicho. — Może nie.

— Śmiało, przeszukaj dom, jak pospolity komornik — zaproponowała zimno Rose.

Na jego twarzy odmalowały się sprzeczne emocje.

— Wrócę — powiedział wreszcie. — Będę cię obserwował. Możesz się mnie spodziewać w każdej chwili. Teraz muszę stawić czoło księciu Hawksfieldowi, który z pewnością już usłyszał od Williama o śmierci Dolly. Oczekuję, że obie potwierdzicie w razie potrzeby, że umarła w połogu. — Wszystko jasne, potrzebuje nas, dlatego nie przeszukał domu, pomyślała Rose. — Wrócę tu, Rose, ponieważ ci nie ufam. Wiesz co? Po namyśle — nie mógłbym się z tobą ożenić. Wyglądasz jak stara panna, którą zresztą jesteś. Twoje życie się skończyło.

George Fallon zszedł na dół i opuścił dom, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Rose pobiegła do pokoju dziecinnego. Dziewczynka leżała cichutko, miała otwarte oczy.

Następnego dnia po południu panna Proud ledwie miała czas krzyknąć ostrzegawczo do Rose, która czym prędzej położyła dziecko do łóżeczka.

— Leż tu cichutko — szepnęła. Rosetta nigdy nie robiła nic innego. Zawsze był cicha i spokojna.

Panna Konstancja Proud wprowadziła gości na górę.

Wicehrabina Gawkroger zasłaniała demonstracyjnie nos chusteczką. Roztaczała aurę pogardy i silną woń wody kołniskiej. Księżę Hawksfield był sztywny, surowy i milczący. William zmizerniał. Zyskał przychylną uwagę wuja, choć poświęcił za to życie siostry i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Ta świadomość go zmieniła. George podążał za wszystkimi z niechęcią, tłumiąc wściekłość. Rose zrozumiała, że składali

jej wizytę z woli księcia. Książę Hawksfield i George Fallon z trudem znosili swoje towarzystwo.

Wszyscy byli w żałobie.

Rose pozdrowiła gości uprzejmie. Poczula się dziwnie, patrząc na wicehrabinę, której rysy twarzy odziedziczyło dziecko leżące w sąsiednim pokoju. Skrzywiła się lekko, kiedy książę Hawksfield pochylił się nad jej dłonią. Miał jak zwykle nienaganne maniery, roztaczał woń bergamotki, migdałów i pomady. Rose poprosiła wszystkich, by usiedli. Wicehrabina wybrała najwyższy fotel. Wbrew modzie na skromność i prostotę stroju czarna suknia starszej pani Fallon nawiązywała do dawnych czasów, podobnie jak wielki kapelusz z piórami.

Panowie usiedli niezręcznie. George popełnił swój zwykły błąd, siadając na sofie, którą uważał za zbyt miękką. Goście dziwnie nie pasowali do nowego salonu Rose, kojarzyli się z przeszłością, wyglądali obco. Pokojówka podała herbatę. George odmówił poczęstunku. Biła od niego tłumiona agresja. Wstał niecierpliwie.

— William mówił, że była pani w Egipcie — odezwał się chropawym głosem książę Hawksfield.

— Niedawno wróciliśmy, razem z panną Proud.

— Zatem wiecie panie o śmierci mojej siostrzenicy?

— Tak — odparła Rose. — Bardzo mi przykro.

— Czy nosi pani żałobę po niej?

Rose spuściła głowę, nie patrzyła na George'a. Siedzieli w milczeniu. Za oknem rozlegały się krzyki rozwścieczonych woźniców. Ogromny powóz z herbem księcia zatarasował całą ulicę. Rose czekała.

— Pragnąłbym dowiedzieć się czegoś więcej na temat okoliczności śmierci Doiły.

Rose obdarzyła go chłodnym spojrzeniem. Wspomniała bladą, dziwną twarz Dolly na przyjęciu w domu pana Barbe— ra, kiedy mówiła o specyfiku kupionym na arabskim bazarze mającym zabić nienarodzone dziecko. Jej udreżone ciało w tureckim khan i słowa George'a: „Żaden brudny Arab...”. Przerazenie Williama, bzyczenie owadów, mrok, upał i śmierć. Zastanawiała się, o której z tych rzeczy chciałby usłyszeć najpierw.

— Wszyscy tam byliśmy, wasza wielmożność — odezwała się panna Proud. — Bezradni. Nic się nie dało zrobić.

Nikt nigdy nie podważał słów panny Proud. I tym razem mówiła prawdę.

— Proszę bardzo, pani potwierdza. — Wicehrabina wstała, dając znak, że przykra wizyta dobiegła końca. Książę spojrział na nią surowo. Zegar z Genui oddzwonił kwadrans po piętnastej.

— Co pani wie? — Książę zwrócił się do Rose. — Chciałbym poznać pani wersję wydarzeń.

George i William utkwili w dziewczynie ostrzegawcze spojrzenia. Rose usłyszała szmer za plecami. Rosetta stała w drzwiach swojej sypialni, przyglądając się gościom, zbyt wstrząśniętym, by cokolwiek powiedzieć.

Wicehrabina chwyciła się jedną ręką za gardło, drugą za serce. Zbladła jak ściana. Wpatrywała się w małą, wymizerowaną kopię samej siebie.

— Zabierzcie to! Zabierzcie to! — Chwytała powietrze jak ryba wyjęta z wody. — Zabierzcie to!

Rosetta nie ruszyła się z miejsca. Mężczyźni wstali.

— To... nie może być dziecko Dolly.

— Nie, wasza wielmożność. — Rose wzięła córkę na ręce. — Dziecko Dolly umarło wraz z nią. Patrzy pan na córeczkę mojego zmarłego męża. Odbylam podróż do Egiptu tylko po to, aby ją odszukać.

Rosetta wpatrywała się nieporuszona w podskakujące pióra na kapeluszu rozhisteryzowanej babci. Objęła małą rączką szyję Rose, szukając wsparcia. W pokoju panowała cisza.

George milczał, Rose unikała jego wzroku.

— Dziecko Harry'ego — odezwał się wreszcie książę.

— Tak. Począł dziecko z dziewczyną z Aleksandrii. Mała urodziła się po jego śmierci. Odnalazłam ją w pewnym klasztorze nad Nilem.

Rosetta chwyciła matkę za rękę, nie spuszczając wzroku z gości.

— Co jej się stało w oko?

— Cierpiała na częstą w Egipcie chorobę oczu.

Wicehrabina prychnęła z obrzydzeniem.

— Anglikom w Egipcie grozi tak wielkie niebezpieczeństwo, że zlikwidowano ambasadę, ponieważ dygnitarze musieli uciekać — wyjaśniła panna Proud. — Musiałyśmy niezwłocznie opuścić kraj po odnalezieniu dziecka. Konsekwencje czynów kapitana Fallona dosięgły wiele osób. Zapewniłyśmy dziecku najlepszą opiekę medyczną, na miarę naszych możliwości. Było tak słabe, że cudem przeżyło podróż. W Egipcie czekałaby je niechybna śmierć. Dopiero w Anglii dotarliśmy do lekarzy, którzy zdołali pomóc dziewczynce. Nadal przychodzą niemal codziennie. Rose uratowała jej życie.

George Fallon zdołał wreszcie wydobyć z siebie głos.

— Dziecko należy do mnie. Bratowa nie raczyła mnie poinformować o jego istnieniu. Powiedziano mi o nim w Egipcie i sam bym je odnalazł, gdybym nie padł ofiarą napadu. — Unikał spojrzenia Rose. — Moja rodzina zaopiekuje się dzieckiem Harry'ego. Moja bratowa nie ma do niego żadnych praw. Mam zamiar umieścić dziewczynkę w klasztorze, gdzie będzie miała najlepszą opiekę.

— Nie! — Rose nie potrafiła zapanować nad łzami. Rosetta podskoczyła ze strachu w jej ramionach. — Nie zrobisz tego! Nie zabierzesz mi jej. To dziecko od urodzenia jest targane z jednego miejsca w drugie. Jest chora i za mała, by zrozumieć, co się z nią dzieje. Proszę, pozwól jej poczuć się choć przez chwilę bezpiecznie, cokolwiek ma się stać potem. Błagam cię, jeżeli masz jakiegokolwiek ludzkie uczucia... Pozwól jej poczuć się bezpiecznie. Lekarze zabronili jej podróżować, cudem uniknęła śmierci!

Księżę Hawksfield odchrząknął.

— Prawo nie pozostawia wątpliwości, moja droga — zauważył, nie bez współczucia. — Nie przysługuje pani opieka nad dzieckiem Harry'ego. George jest jego prawnym opiekunem. Jestem pewien, że nie zabroni odwiedzania dziewczynki w klasztorze. Postąpiła pani bardzo odważnie, choć wielce nierozsądnie, sprowadzając tu dziecko, przedzierając się przez kraje nekane wojenną zawieruchą. Lecz... nie należy ono do pani.

— Zawsze miałaś skłonności do patosu, Rose. — George odzyskał panowanie nad sytuacją. — Zostanie przewieziona ' do klasztoru jeszcze w tym tygodniu. Należy do mnie, zabieram ją natychmiast. Będzie miała opiekę. W domu jest niańka, ponieważ William zosta! ojcem.

George położył uspokajająco dłoń na ramieniu matki, jakby chciał powiedzieć: „Niedługo będzie po wszystkim”. Za oknem trwała awantura. W pokoju panowała nieznośna cisza.

Pierwsza poruszyła się Rosetta. Wicehrabina zdawała się ją intrygować, jej strój i biżuteria przyciągały uwagę dziecka. Dziewczynka wysunęła się z objęć Rose i zaczęła się powoli przesuwac po podłodze. Dorośli wpatrywali się w nią jak zahipnotyzowani. Być może chodziło o zapach wody kolońskiej albo sposób, w jaki kołysały się pióra na kapeluszu starszej pani. Dziecko spoglądało w górę. Czy wiedziało, że patrzy na swoją babkę? Uśmiechnęło się do niej uśmiechem Harry'ego i było tak, jakby w pomieszczeniu pojawił się duch.

Wicehrabina padła zemdlona. Rosetta wpatrywała się z zaciekawieniem w jej opuchnięte nogi. Rose chwyciła dziecko w ramiona, George przykucnął przy matce, panna Proud poprosiła pokojówkę o sole trzeźwiące. Księżę Hawksfield postanowił przejąć dowodzenie.

— Zabierz matkę do powozu, George. Panna Proud i William ci pomogą. Dzieckiem zajmiemy się kiedy indziej, przy następnej okazji.

— Proszę wybaczyć, wasza wielmożność, lecz nie ma pan prawa rozkazywać mojej rodzinie. Nie zostawię dziecka!

— Zostawisz, ponieważ nie skończyliśmy jeszcze omawiać śmierci mojej siostrzenicy — wycedził zimno książe.

George zawahał się. Popatrzył ze złością na księcia, przeniósł wzrok na Rose i Rosettę. Po chwili odwrócił się do matki. Wicehrabina została sprowadzona do powozu.

— Proszę usiąść — powiedział książe do Rose, która sama była bliska omdlenia. W pokoju zostali tylko książe Hawksfield, Rose i Rosetta. Dziewczyna postanowiła powiedzieć prawdę o śmierci Dolly. Rosetta wyswobodziła się z objęć matki tylko po to, by po chwili się do niej przytulić. Wpatrywała się w księcia swymi przenikliwymi błękitnymi oczami. Mężczyzna wstał. Nadal przypominał Rose polującego jastrzębia. Odczuwała głęboką odrazę do tego wpływowego człowieka. Odwróciła wzrok.

— Obserwowałem panią, Rose — odezwał się cicho. — Odkąd losy naszych rodzin się splotły. Jest pani inteligentną kobietą. Wielu kobietom, które znam, brakuje inteligencji. Domyślam się, że ma mi pani za złe zgodę na ślub George'a Fallona z Dolly. Bez niego rodzina Dolly byłaby zrujnowana. Przepadłoby dziedzictwo Williama. Zbyt wiele pokoleń głupców i hulaków. Siostry Dolly powychodziły za mąż nieźle, lecz nie wystarczająco dobrze. Rodzina Ann ma pieniądze, ale również wielu męskich potomków. Nie oczekuję, że pani zrozumie. Postąpiłem zgodnie ze zwyczajem starych angielskich rodzin.

Ten człowiek przestawał z królami, roztaczał wokół siebie aureę władzy. A jednak Rose ogarnęło fizyczne obrzydzenie.

— Dolly umarła na moich rękach. Nieszczęśliwa i pełna bólu. Z winy swojego męża. Człowieka, do którego poślubienia została zmuszona przez pana i swojego ukochanego brata.

Pochylił głowę. Rose nie powiedziała nic więcej. Księżę pozostał niewzruszony. Po jakimś czasie wydał ciche westchnienie.

— Moja droga... Zostawmy przeszłość w spokoju, Dolly nie żyje. Co do pani... George pragnie odzyskać dziecko, choć to tylko dziewczynka i w dodatku trwale okaleczona. Jednak należy do Fallonów. Żaden sąd jej pani nie przyzna. Co do mnie... Zupełnie mnie to nie interesuje, ponieważ, dzięki Bogu, nie mam już nic wspólnego z rodziną Fallonów. William spłodził syna, mam nadzieję, że nie ostatniego. Linia męska Torrence'ów zostanie zachowana. Podobnie jak majątek, który udało mi się zabezpieczyć. Jest pani związana z dzieckiem. Uważam, że to, co panie zrobiły, było niezwykle lekkomyślne, a jednocześnie godne podziwu. Pragnę złożyć pewną propozycję.

— Wasza wysokość — przerwała mu z pasją Rose. — Fallonowie zmarnowali życie młodej dziewczynie, pańskiej siostrzenicy! Dziecko nie będzie z nimi bezpieczne, George nie życzy mu dobrze. Żywię głębokie przeświadczenie... — zagryzła wargi — ...że zabiłby Rosettę, gdybym nie znalazła jej pierwsza.

— To poważne oskarżenie. — Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

— Brat George'a, mój mąż, nie zginął bohaterską śmiercią. Dziecko jest tego dowodem. Wicehrabia pragnie wstąpić w szeregi arystokracji. Rosetta mu w tym nie pomoże.

Odwróciła wzrok. Kiedy zebrała się na odwagę, by spojrzeć na księcia, ten patrzył na nią z dobrotliwą wyższością.

— Nie sądziła pani chyba, że nie wiedzieliśmy o tym. — Mówiąc „my”, miał na myśli króla, rząd, władzę, Anglię. — Osoba pokroju George'a Fallona nigdy nie będzie miała wstępu do naszego świata. Dziecko się nie liczy.

— Dla mnie się liczy — powiedziała zimno. — Fallonowie zmarnują życie kolejnej młodej dziewczynie! Klasztor! Dlaczego miałaby spędzać dni w klasztorze, kiedy ja... — Spojrzała na wpatrzoną w nią dziewczynkę. — Kiedy ja ją kocham — dokończyła cicho.

— Obawiam się, że wicehrabia ma prawo umieścić ją w klasztorze. Aczkolwiek... — chrząknął znacząco. — Mam na niego pewien wpływ. Mógłbym zagrozić mu zamknięciem wszystkich drzwi awansu społecznego. Chciałbym prosić panią o rękę.

Sądziła, że się przesłyszała. Uśmiechnął się niemal szczerze.

— Na zawsze zmieniłoby to sytuację pani i dziewczynki. Nie muszę pani tłumaczyć znaczenia nazwiska Hawksfield. Wiele lat temu owdowiałem. Nie mieliśmy dzieci, lecz nie mogę przekazać tytułu i majątku Williamowi, synowi mojej siostry, ponieważ mam młodszego brata i bratanków. Dlatego zabezpieczenie ojcowizny Williama było dla mnie tak ważne. I dopiąłem swego.

A Dolly nie żyje, pomyślała Rose.

— Brakuje mi towarzystwa, a pani intryguje mnie od dawna. Wychoząc za mnie, zostałaby pani pełnoprawną matką Rosetty. Dopilnowałbym tego. Zostałaby wychowana w jednej z najwybitniejszych angielskich rodzin. Zostanie pani księżną Hawksfield, zaufaną króla i królowej. Stara królowa z pewnością panią polubi. Potrzebuje przyjaciółki. George nie będzie sprawiał problemów. Wie, że winię go za śmierć Dolly. Bez szemrania przekaże mi prawną opiekę nad dzieckiem.

Książę popatrzył na drżące dłonie Rose.

— Nie będziemy mieszkać z Fallonami. Jak już mówiłem, ojcowizna Williama została zabezpieczona. Nie mam czego szukać w Londynie, uważam, że to pospolite miasto. Ze spokojnym sumieniem mogę wrócić na wieś, do pałacu. Spełniłem swój obowiązek wobec rodziny. Uznam Rosettę za swoją córkę. Otrzyma najlepsze wykształcenie. Z pewnością pani na tym zależy. — Wzruszył ramionami. — Lekarze mogą pojechać z nami do zamku Hawksfield. W razie odrzucenia mojej propozycji niestety będzie się pani musiała pożegnać z dziewczynką.

— Wasza wysokość, to wielki zaszczyt — wydukała Rose, spoglądając w zimną, obcą twarz starego człowieka.

— Jestem w stanie rozwiązać pani problemy. Mimo podeszłego wieku — dodał z nikłym uśmiechem. — Rozumiem, że potrzebuje pani czasu do zastanowienia. Proszę nie zwlekać zbyt długo. Spodziewam się odpowiedzi jutro. Ceremonia odbędzie się bezzwłocznie.

Pocałował Rose w rękę i wyszedł. Rosetta siedziała obok matki, przyglądając jej się uważnie. Tak minął kwadrans. Nagle dziewczynka dostrzegła zmianę w twarzy Rose.

— Deszcz? — spytała niepewnie.

Panna Proud próbowała pocieszyć zrozpaczoną przyjaciółkę. Serce pękało jej z bólu, że nie potrafi pomóc. Rose musiała sama zdecydować. Położyła Rosettę spać i usiadła przy jej łóżeczku.

— *Ma 'as salaama*, Rosie — szepnęła jak co wieczór, całując małe czółko. Rosetta długo patrzyła na smutną kobietę siedzącą przy jej łóżeczku, aż wreszcie zasnęła wtulona w wytartą poduszkę o imieniu Angel.

Rose wolno wyszła z dziecięcej sypialni. Zapaliła papierosa. Przypomniała sobie słowa Fanny, która wróciła do Wentwater z wielebnym Horacym Harbottomem. Musimy znaleźć sposób. Dla dobra dzieci.

Zapadła w niespokojny sen na sofie, na której Pierre Montand wyznał jej miłość. Śniła o ruinach na pustyni, zniszczonych hieroglifach, koptyj-

skich krzyżach, cieniach i kluczach do tajemnic. Nie dostała żadnej wiadomości od Pierre'a. Nie będzie następnej okazji, powiedział. Nocny strażnik za oknem zawołał kłamliwie, że wszystko w porządku.

Następnego ranka, śledzona posępnym spojrzeniem malej Rosetty, umoczyła pióro w atramencie i zaczęła stawiać na papierze znaki, których nauczyła się tak dawno temu, zachwycona, że pomagają jej wyrazić to, co ma w głowie. Co kryło się w jej sercu, nikt nie wiedział. „Do księcia Hawksfield", napisała. Była blada jak zjawa.

Wasza Wysokość, dziękuję za wspaniałomyślną propozycję, którą przyjmuję z wdzięcznością. Rosetta i ja pragniemy stać się pańską rodziną. Czekamy na dalsze instrukcje.

Rose Fallon

Rose wyszła na samotny spacer, wdychała chłodne listopadowe powietrze, wędrując po żwirowych ścieżkach Hannover Square. Zamierzała przyjąć swój los z podniesioną głową. Pomyślała o wszystkich rzeczach, za które powinna być wdzięczna. George nie skrzywdzi już Rosetty. Dziewczynka dostanie najlepszą opiekę medyczną, wykształcenie na najwyższym poziomie. Ceremonia ślubna z pewnością będzie skromna, z dala od Londynu. Być może polubią życie na wsi. Niewykluczone, że będą szczęśliwe.

W promieniach jesiennego słońca pozwoliła sobie po raz ostatni pomyśleć o ukochanej twarzy. Pierre. Zamknęła oczy, oddając się tęsknocie. Po chwili zamiast młodego mężczyzny w jej myślach pojawił się pomarszczony książę Hawksfield.

Ceremonia odbyła się w kaplicy Hawksfield Castle. Na formalnej kolacji weselnej stawilo się około tysiąca gości. Król Anglii siedział tuż obok nowożeńców w towarzystwie licznej świty. Rose dostała od niego w prezencie naszyjnik z brylantów i szmaragdów.

Ściany ogromnej jadalni zdobiły bezcenne dzieła sztuki w złotych ramach. Żyrandole migotały tysiącem świec, wymienianych co jakiś czas przez służbę. Z ozdobionych freskami sufitów spoglądały twarze świętych, książąt i aniołów. Podłogi były wyłożone kosztownymi dywanami. Grała ogromna orkiestra. Później miał się odbyć pokaz sztucznych ogni.

Najznakomitsi goście jedli ze złotych talerzy. Służący w białych perukach podawali wyśmienite jedzenie i wspaniałe trunki. Fanny pomyślała, że książę musiał splądrować kilka wiosek, by dostarczyć na stół taką ilość jagnięciny, wołowiny i wieprzowiny. Ludzie siedzący w pobliżu króla nie rzucali się łapczywie na jedzenie, jak to bywało nieraz na Berkeley Square. Najwyraźniej nie wypadało tego robić w obecności króla, na zamku księcia Hawksfield.

Rodzina księcia, w tym William z Ann, markiz i markiza Allswater, również zasiadali niedaleko króla. Wciąż mieli trudności z przyzwyczajeniem się do myśli, iż Rose została ich ciotką. Ann znała prawa rządzące towarzystwem, w którym się obracała, i nie ośmieliłaby się krytykować wyboru księcia. Niefrasobliwie spożywała ogromne ilości trunków. Czowała się pewna siebie. Urodziła syna i była brzemienna z kolejnym.

Wyrwała sobie przednie zęby, zastępując je porcelanowymi koronkami. William napotkał wzrok George'a. George i jego matka siedzieli daleko od rodziny królewskiej. Ich pozycja jako byłych powinowatych księcia nie była zbyt wysoka. Twarz upokorzonego George'a okryła się purpurą.

— Ladacznic! — szepnął wcześniej do ucha byłej bratowej. — Sprzedałaś się. Wiesz o tym równie dobrze jak ja!

Teraz przesuwiał wzrokiem po twarzach osób siedzących najbliżej króla. Zamierzał wykorzystać wspaniałą uroczystość dla własnych korzyści. Kiedy zaczną się tańce i pokaz fajerwerków, podejdzie do córki pewnej księżnej, którą upatrzył sobie wcześniej. Dziewczyna miała urodę nieco krowią: wyłupiaste oczy, puciołowate policzki i mięsiste wargi, za to jej ojciec był spokrewniony z rodziną królewską. Być może tym razem, z tą rodziną, dopisze mu szczęście.

Pastor Horacy Harbottom był głodny. Nie mógł jeść. Próbował, lecz bliskość króla działała na niego paraliżująco. Jego żona stała ze swobodą obok Jerzego III w kościele, jako świadek. Horacy pocił się obficie. Siedziała teraz przy nim w swej szarej sukni. Onieśmiałą go, czuł się przy niej gorzsy. Fanny obracała się wśród rodziny królewskiej. Organizowała jego życie, gotowała posiłki, jak dawniej. Wiedział, jak wielkie ma szczęście, że poślubił tak niezwykłą osobę, dzięki której jego skromną plebanię odwiedzają księżne i lordowie. Czasem czuł się nieco zagubiony. Nie rozumiał, co się stało. Dzieci były wobec niego... pobłażliwe. Kiedy wpadał w złość i grzmiał, że podróż miała na nie zły wpływ, wszyscy patrzyli na niego łagodnie, jakby był chory. Horacy Harbottom westchnął cicho. Wiele czasu spędzał w ogrodzie, tam był najszczęśliwszy. Pewnego dnia nazrywał kwiatów dla Fanny, a ona przez chwilę popatrzyła na niego jak dawniej. Westchnął jeszcze raz. Nadal wygłaszał kazania pełne żaru każdej niedzieli. Fanny wróciła do niego, lecz zmieniona. Nie pozwalał sobie zbyt często na myślenie o dziełach francuskich pisarzy.

Popatrzył ukradkiem na żonę. Fanny obserwowwała kuzynkę ubraną w prostą żółtą suknię i wspaniałą naszyjnik od króla.

Słuchała w skupieniu słów monarchy. Była blada, spokojna i bardzo wychudzona. Uśmiechała się grzecznie i siedziała bardzo prosto. Opanowana. Zdradzały ją jedynie zaciśnięte pod stołem dłonie. Król uśmiechał się

łaskawie. Książę Hawksfield przyglądał się młodej żonie. Orkiestra zagrała skoczną melodię, lecz nikt nie tańczył. Nie w obecności władcy.

Panna Proud zgodziła się przyjść wyłącznie ze względu na Rose i tylko dla niej skłoniła głowę przed królem Anglii. Salwowała się ucieczką, najszybciej jak mogła. Kilka razy zgubiła się wśród przepastnych marmurowych korytarzy, pomieszczeń pełnych dzieł sztuki oświetlonych płomieniami setek świec. Służba z sympatią pomagała uroczej starszej pani odnaleźć drogę do pokoju dziecinnego. Z pewnością nikt nie uznałby jej za uroczą, gdyby znał jej myśli. A myślała o wysłaniu króla na antypody. Niania poszła na herbatę, a panna Proud usiadła przy dziecku. Wytarła spocone czoło chustką. Rosetta leżała w ogromnym ozdobnym łóżeczku dziecięcym należącym do rodziny Hawksfieldów.

— Mała Rosetto, twoje życie się zmieniło. — Panna Proud rozejrzała się po komnacie pełnej portretów przodków. — Z konieczności powściągnę swe uprzedzenia, rozumiesz? — Dziewczynka zdawała się zastanawiać przez chwilę, patrzyła poważnie na pannę Proud. Wreszcie obdarzyła ją uśmiechem. — Przed tobą wielkie możliwości. Twoja mama znalazła sposób, podobnie jak twoja ciocia Fanny. Bądź z nich dumna, kochana Rosetto. Ja z kolei, głupia stara kobieta, postaram się zadbać o to, byś nie straciła kontaktu z prawdziwym światem. Będę za wami okropnie tęsknić. Mam nadzieję, że zdołacie być szczęśliwe.

Rozpoczął się pokaz fajerwerków. Wróciła niania. Podniosła dziewczynkę i podeszła z nią do okna. Mała wpatrywała się ze zdumieniem w tęcze kolory rozświetlające niebo.

Królewska karetka odjechała. Goście ruszyli do tańca. Książę Hawksfield postanowił wygłosić przemówienie. Muzyka i rozmowy ucichły. Książę podziękował gościom za przybycie. Życzył wszystkim dobrej nocy i udał się do wyjścia, dając znak żonie, by poszła za nim.

Rose obejrzała się i posłała zebrany sztuczny uśmiech. Fanny zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nikogo z nich nie dostrzegała, nawet swojej kuzynki.

— Chodź, Rose — powiedział książę Hawksfield.

TLR

Rosetta żyła bezpiecznie w pałacowym luksusie. Nie na egipskiej pustyni, nie w klasztorze. Została lady Rosettą Hawksfield. Wuj, który kiedyś chciał ją zabić, i babka, która pewnego dnia krzyknęła na jej widok „Zabierzcie to!”, teraz bili przed nią pokłony. Rosetta uśmiechała się do nich uśmiechem swego ojca. Pewnego dnia zaprosili ją do domu na Berkeley Square, by pokazać ogromny portret Harry'ego oraz medale. Twarz Rosetty nie zdradzała żadnych uczuć, kiedy patrzyła na podobiznę ojca. Wbrew wszelkim swoim zasadom i ku własnemu zażenowaniu wicehrabina i jej syn zapragnęli częściej widywać ciemnoskóre okaleczone dziecko z dalekiego kraju. Przerazała ich własna tęsknota za dzieckiem, które patrzyło na nich z taką uwagą, jakby ich znało na wskroś.

Wielkim ciosem i upokorzeniem dla George'a był fakt, że w obecności księcia Hawksfield musiał zwracać się do swojego śmiertelnego wroga, Rose Fallon: wasza wielmożność. Za każdym razem robił to przez zaciśnięte zęby, rzucając mordercze spojrzenia.

Rose, księżna Hawksfield, nie przestawała się uśmiechać. Zrozumiała, że noce jej życia to cena, jaką płaci za Rosette, swoją największą miłość, sens swoich dni. Nauczyła dziewczynkę czytać i pisać, nim mała trafiła w ręce najlepszych nauczycieli w kraju. Pokazała jej radość płynącą ze słów i uświadomiła cud, jakim jest możliwość przelewania własnych myśli na papier.

Rose z uśmiechem płaciła swoją cenę. Była wspaniałą żoną oraz gospodynią. Jej przyjęcia zyskały sławę. Z wdziękiem zносиła swój los.

Jednak jej umysł nawiedzały czasem nieproszone myśli. Przypominała sobie opis jastrzębia ze starej książki ojca. Spada pionowo na swą bezbronną ofiarę. Chwile, kiedy jej mąż spoglądał w nocy swymi zimnymi oczami, mówiąc: „Chodź, Rose”, zamieniły z czasem jej duszę w kamień.

1817

*Czas teraźniejszy i czas, który minął,
Razem obecne są chyba w przyszłości,
A przyszłość jest zawarta w czasie, który minął.*

T. S. ELIOT („Burnt Norton”, 1935) przeł. Cz. Miłosz

TLR

Zacząło się od plotki powtarzanej z ust do ust przez mężczyzn w tłocznych, zadymionych kawiarniach. Po powrocie do domów mówili żonom. Gdyby chodziło o innego przedstawiciela królewskiej dynastii — zwłaszcza księcia regenta lub szalonego króla Jerzego — zbywano by pogłoskę śmiechem i pogardą. Jednak o młodej księżniczce mawiano, że jest inna.

Pewnego dnia w gazetach ukazało się oficjalne potwierdzenie:

Księżniczka Charlotte nie żyje. Młoda, piękna i intrygująca przedstawicielka rodziny królewskiej zmarła o drugiej nad ranem w czwartek szóstego listopada 1817 roku, wydając na świat martwe dziecko.

Panna Proud pochylała się nad gazetą w swym domu na South Molton Street. Jej twarz wydawała się drobniejsza, okulary większe. Silnie powiększały jej oczy, tak że wyglądała jak sędziwa mądra sowa.

— Zatem nie będziemy mieli królowej — zwróciła się do pustego pokoju. — Gdyby kobieta zasiadła na tronie, Angielki zyskałyby wolność. Stracona szansa.

Pograżona w lekturze, niechcący przystawiła stopę zbyt blisko kominka. Nic nie poczuła, póki nie dotarł do niej swąd spalenizny. Z roztargnieniem ugasiła płonący pantofel i wróciła do czytania.

...Jej Królewska Wysokość jawiła nam się jako nadzieja na początek długiej znamienitej linii brytyjskich monarchów, jednakże niewiele uwagi poświęcono problemowi sukcesji na wypadek jej przedwczesnej śmierci. Teraz jesteśmy zmuszeni dokładnie rozważyć sytuację, a wnioski bynajmniej nie są krzepiące. Potomkowie obecnego króla nie posiadają oficjalnych praw...

Pokojówka, która wylewała w kuchni łzy z powodu śmierci młodej księżniczki, również poczuła zapach spalenizny. Przybiegła do bawialni, gdzie zastała pannę Proud szykującą się do wyjścia.

— Proszę zostać, panno Proud. Chłód nie służy pani reumatyzmowi. Poza tym na ulicach jest niebezpiecznie. Wszędzie pełno pijanych, rozgoryczonych, kalekich żołnierzy!

Panna Proud skwitowała jej obawy spokojnym uśmiechem. Pokojówka westchnęła i pomogła chlebodawczyni się ubrać. Ruszyły w kierunku Whitehall.

Na ulicach panowała żałoba narodowa, ludzie płakali. Prawdziwy anioł... Skrzywdzona przez swego zdeprawowanego ojca, szlochali, jakby im miały pęknąć serca. Usiłowały nie zwracać uwagi na bezrobotnych żołnierzy i żeglarzy zebranych o pieniądze lub pracę, wymiotujących z przepicia i głodu w sąsiedztwie pomników upamiętniających bitwę pod Waterloo i zwycięstwo nad Napoleonem. Wartownicy na koniach czujnie obserwowali wzburzony tłum. Narzekano głośno na niedorzecznie duży koszt budowy orientalnego pałacu w Brighton, na budowę pomników upamiętniających zwycięstwo, podczas gdy ludzie, którym je zawdzięczano, nie mieli pieniędzy najedzenie, złorzeczono rządowi. Najgłośniejszych podżegaczy czekało więzienie i stryczek. Wielu już stracono. Napoleona schwytano, przebywał na Wyspie Świętej Heleny. W Anglii rewolucja wisiała w powietrzu. Żołnierze na koniach przeszukiwali tłum, wypatrując buntowników. Panna Proud nie budziła ich najmniejszych podejrzeń, jednak kiedy przepędzono młodego człowieka przemawiającego zapalczywie do rodaków, starsza pani wsunęła mu w dłoń pieniądze. Napotkała zdziwione i wdzięczne spojrzenie chłopaka. Panna Proud również była wdzięczna. Księżnej Hawksfield, która z uporem wspierała ją finansowo. Otrzymane pieniądze staruszka rozdawała.

Dziś większość ludzi w Whitehall odwracała głowy od bezrobotnych żołnierzy. Pograżeni byli w żalu po stracie ukochanej księżniczki. Po jakimś czasie panna Proud i jej pokojówka wolno wróciły do domu.

W całym królestwie powstawały tysiące elegii i innych utworów o różnej wartości artystycznej na cześć zmarłej.

Dygnitarze kościołni drżeli ze strachu. Przygotowywano uroczystości pogrzebowe. Ludzie pogrążeni byli w smutku, owszem, lecz również w gniewie. Niektórzy uważali nawet pokonanego wroga, Napoleona, za bohatera! Cóż to by było, gdyby te ogromne tłumy płaczące na ulicach zwróciły się przeciw monarchii i Kościołowi? Tak jak to się stało we Francji. Nie należało do tego dopuścić! Drukowano słowa ostrzeżenia w postaci setek religijnych pamfletów nawołujących do bo— gobojności. Rozdano dwieście czterdzieści dziewięć tysięcy dziewięćset trzydzieści dwa egzemplarze Pisma Świętego.

George Fallon był pełen niesmaku. Kaznodzieje w całym kraju wygłaszali niekończące się kazania na temat szkodliwego wpływu grzesznych uciech, braku moralności i folgowania ekscentrycznym upodobaniom. Nawoływali do abstynencji i kultywowania życia rodzinnego. Niestety owe frazesy wdarły się do jego własnego zacisza domowego. Jego żona, wicehrabina, która z wyglądu nieco przypominała krowę, poinformowała go ze słodyczą w głosie, że słyszała, iż teraz, kiedy zabrakło następcy tronu, wszyscy synowie króla, zdeprawowani, zepsuci książęta, zaczęli poświęcać więcej uwagi swym prawowitym małżonkom. Życie rodzinne kwitło nawet w królewskich kręgach, dlaczego nie miałoby zakwitnąć u nich, mówiła z zalotnym uśmiechem wicehrabina. Mieli przecież tylko jednego syna.

— Niech to wszyscy diabli! — George rzucił gazetą o ścianę.

W dniu uroczystości pogrzebowych panna Proud postanowiła wysłuchać stanowiska Kościoła. Msze pogrzebowe miały się odbywać w całym kraju, podejrzewała, że ludzie Kościoła nawet tej smutnej okazji nie omieszkają wykorzystać dla własnych interesów. W towarzystwie swojej pokojówki zasiadła w pierwszej ławce kościoła na Piccadilly. Od dawna nie uczestniczyła w żadnej mszy. Zamknęła oczy, wsłuchując się w dźwięki organów, wróciła myślami do dzieciństwa na plebanii w Wiltshire i pewnego wiosennego popołudnia, kiedy szła wzdłuż nawy w białej ślubnej sukni.

Pastor zaczął przemawiać zwodniczo cichym głosem:

— Drodzy parafianie, zebraliśmy się tu, by wyrazić żal z powodu długiej agonii i przedwczesnego końca wybitnej, pełnej życzliwości, wspaniałej księżniczki, która zmarła w dwudziestym drugim roku życia. — Od tego momentu zaczął mówić coraz głośniejszą, z rosnącą pasją. — Czyż w mocy naszej jest zatrzymać karzący miecz Anioła Zagłady zesłany z woli Wszechmogącego?! Żałujcie za grzechy! Gdzież są dziś Egipcjanie, Persowie, wielkie monarchie sprzed wieków?! — krzyczał kapłan. — Zostały zmiecione z powierzchni ziemi, obrócone w proch! Z powodu umiłowania luksusu oraz rozwiązłości. — Zniżył głos do szeptu.

Panna Proud wstała i wolno ruszyła do wyjścia. Uroczą starszą panią, która wzruszyła się zbyt mocno, jak sądzili roniący łzy parafianie. Panna Proud nie mogła znieść wróżącego zagładę, pełnego gniewu głosu kapłana.

— Floty i wojska najbardziej zapiekłych wrogów naszych nie zdołały przyczynić się do upadku Korony Brytyjskiej! Nie pozwólmy, by źle pojęta dumą narodową, własny brak pokory dokonały zniszczenia! Żałujcie za grzechy!

— Żałujcie za grzechy! — zawołała panna Proud.

Po powrocie do domu zabrała się do czytania gazety. W jednym z artykułów pewna uznana pisarka nawoływała kobiety Anglii, aby „wskazywały drogę w tych niespokojnych czasach”. Powinny zrezygnować z egoistycznych potrzeb własnych, poświęcić wszystko rodzinom, oddać im się całym sercem, wspierać mężów, służyć dzieciom przykładem, pielęgnować zapomniane wartości, podtrzymywać ducha religijności. Złożyć swe życie na ołtarzu ogniska domowego.

— Niech to wszyscy diabli! — Panna Proud rzuciła gazetą o ścianę. — Złożyć życie na ołtarzu ogniska domowego! Świat się uwstecznia!

W całej niemal Europie panowała zapoczątkowana przez Napoleona moda na wszystko, co egipskie. W muzeach otwierano wystawy ze staro-

żytnymi eksponatami, kobiety nosiły turbany. Do portów wpływały statki pełne zabytków z odległego kraju: części posągów i obelisków. W Egipcie panowała rywalizacja między Anglikami a Francuzami. Wszyscy usiłowali zagarnąć jak najwięcej skarbów dla siebie. Niszczyli własność konkurencji, dzielili między siebie tereny poszukiwawcze, zabiegali o względy nowego paszy, Mohammeda Ali, którego kiedyś nazywali Szalonym Albańczykiem. Szalony Albańczyk zdołał pokonać Mameluków siłą i podstępem. George Fallon miałby szansę zarobić fortunę, gdyby nie zrobił sobie wroga z pani Venetzi Alabaster, jednej z najpotężniejszych kobiet w kręgach handlowych, poślubionej groźnemu arabskiemu szejkowi. Mimo wycofania się Mameluków, którzy dybali na jego życie od czasu zajścia w łaźni tureckiej, George nadal nie był bezpieczny w portach Aleksandrii i Rosetty, nie mógł więc osobiście doglądać transportu antyków do Europy. Nie powstrzymało go to jednakże przed plądrowaniem grobowców. Zdobywał w ten sposób złote naczynia i piękną biżuterię, którą nosiła potem jego stara, szalona matka. Szeptano, że wicehrabia Gawkroger został hieną cmentarną. Otwierał sarkofagi, rozbijał je w ciemnościach, by wydobyć pochowane ze zwłokami zwoje papirusów. George patrzył na swe zdobycze szalonym, nieobecny wzrokiem.

Tymczasem na plaży w Worthing Thomas Young, angielski językoznawca, oddawał się lekturze kopii starożytnych papirusów i kopii tekstu wyrytego na kamieniu z Rosetty.

— Egipcjanie prowadzili skrzętne kroniki dotyczące swoich władców, a mieli wielu cudzoziemskich królów — zwrócił się do swojej żony, która siedziała w cieniu starego dębu. — Obce nazwiska musieli zapisywać za pomocą alfabetu lub fonetycznie. Powinniśmy odnaleźć i porównać obce imiona z imionami takimi jak: Ptolemeusz, Aleksander, Kleopatra, z więcej niż jedną podobną literą.

Thomas Young znalazł imię Ptolemeusza w pięciu miejscach, zapisane za pomocą hieroglifów i alfabetu oraz na kamieniu z Rosetty.

Władze Anglii, którym szalenie zależało na rozszyfrowaniu hieroglifów, nim zrobią to Francuzi, zleciły konsulowi generalnemu w Egipcie odnalezienie i przysłanie jak najwięcej tekstów źródłowych.

— Tylko proszę nie przysyłać całych obelisków — zastrzeżono.

Poeta Percy Shelley i jego księgowy Horace Smith wybrali się razem na wystawę wspaniałych starożytnych znalezisk. Postanowili urządzić między sobą konkurs na najlepszy wiersz opisujący to, co zobaczyli. Panna Proud została poproszona o jego rozstrzygnięcie, lecz odmówiła.

— Jeden jest poetą — wyjaśniła cierpko Rosetcie. — A drugi makle-rem.

Pan Smith (z wykształcenia ekonom) stworzył wiersz pod tytułem „O ogromnej nodze z granitu odnalezionej na pustyni w Egipcie, stojącej samotnie, z wyrytą poniżej inskrypcją”.

W kamiennej ciszy, na pustynnej egipskiej ziemi,

Monumentalna noga rzuca samotny długi cień.

„Jam jest Wielki Ozymandias — rzecze kamień — ;

Król królów; wspaniałość mego grodu was oniemi”.

Tymczasem niegdyś słynny gród dziś zburzony.

Prócz samotnego fragmentu posągu nie zaświadczy

Nic o dawnej potędze Babilonu.

Wiersz pana Shelleya nosił tytuł „Ozymandias”.

Podróżnik, wracający z starożytnej ziemi,

Rzekł do mnie: „Nóg olbrzymich z głazu dwoje sterczy

Wśród puszczy bez tułowia:

W pobliżu za niemi Tonie w piasku strzaskana twarz.

Jej wzrok szyderczy,

Zacięte usta, wyraz zimnego rozkazu

Świadczą, iż rzeźbiarz dobrze na tej bryle głazu

Odtworzył skryte żądze, co, choć w poniewierce,

Przetrwały rękę mistrza i mocarza serce.

A na podstawie napis dochował się cało:

„Ja jestem Ozymandias, król królów.

Mocarze! Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą

Gińcie z rozpaczyl". Więcej nic już nie zostało.

Gdzie stąpić, gruz bezkształtny oczom się ukaże

*Ipiaski bielejące w pustyni obszarze". *²*

Piętnastoletnia lady Rosetta Hawksfield uważnie przestudiowała oba dzieła, po czym udała się do Muzeum Brytyjskiego, aby zobaczyć skarby na własne oczy.

— Takich ogromnych nóg jest mnóstwo! Pan Shelley chyba nie widział pięknej granitowej głowy młodego faraona.

— Czemu tak sądzisz?

² *przeł. A. Asnyk

— Och, panno Proud, powinna pani sama zobaczyć! Jest olbrzymia, ma tysiące lat i przemierzyła oceany, a wciąż się uśmiecha! Została znaleziona przez pewnego szalonego Włocha, który pracował kiedyś w cyrku jako siłacz. Dziś zatrudnia go brytyjski konsul w Kairze. Rzeźba otrzymała tytuł „Głowa młodego Menona”. Siłacz załadował ją na łódź i dopłynął z nią rzeką do portu w Aleksandrii. Tam trafiła na statek do Europy. Po drodze omal nie zatonała kilka razy. Cóż za pomysł pisać wiersze o nodze, kiedy można napisać o takiej głowie!

Panna Proud z wielkim zainteresowaniem obserwowała niecodzienny wybuch entuzjazmu zwykle bardzo opanowanej młodej damy.

— Dlatego nie wierzę, by pan Shelley widział tę głowę — dokończyła Rosetta.

— Nie jestem pewna, czy rozumiem.

— Ta twarz przemierzyła oceany, a nie ma na niej śladu zimna ani zgorzknienia! Jest piękna i dobra.

Panna Proud, ku swemu wielkiemu zniecierpliwieniu, nie mogła zweryfikować słów młodej przyjaciółki. Lekarze zabronili jej opuszczać dom od dnia pogrzebu księżniczki.

— Sądzę, że wiersz pana Shelleya porusza całkiem inny temat.

— Jaki?

— To zarzut wobec rządu. I Kościoła.

— Chodzi o tych biednych byłych wojskowych i marynarzy?

O pomniki?

— I niesprawiedliwe prawo. Pieniądze wydawane na księcia regenta i jego pałac w Brighton. Pan Shelley nie może również zrozumieć postawy pana Wordswortha, byłego rewolucjonisty, który przyjął posadę w rządzie. Podczas gdy innych wieszają. Tymczasem rząd popiera monarchię i nicze-

go nie potępia. Historia osądzi naszych przywódców. Uważam, że o tym właśnie pisze pan Shelley.

Rosetta uśmiechnęła się z czułością do panny Proud. Jak zapowiedziała kiedyś Rose, dziewczyna nosiła czarną opaskę na jednym oku.

— Zawsze pokazuje mi pani ukryte znaczenia różnych rzeczy.

— Pragnę, byś poznawała świat, moje dziecko.

Fanny, która zawsze zatrzymywała się u panny Proud, kiedy przyjeżdżała do Londynu, zbiegła na dół.

— Przepraszam, że czekałaś. — Pocałowała Rosettę na powitanie.

— Mama spotka się z nami na miejscu.

— Zdamy relację po powrocie — obiecały pannie Proud i pobiegły do powozu, który jak zwykle blokował całą ulicę.

Mimo brzydkiej pogody pomieszczenie pełne było ludzi. Być może zbliżająca się rocznica urodzin Jezusa sprawiała, że stawali się bardziej skłonni do refleksji. Wśród tłumu znajdowali się przepełnieni goryczą okaleczeni żołnierze, zamyśleni panowie w płaszczach, przedstawiciele klasy średniej, wielkie damy w powiewnych szalach i kapeluszach, dzieci tulące się do kolan rodziców w poszukiwaniu ciepła.

Kiedy Fanny rozpoczęła przemówienie, zapadła cisza. Jej słowa były równie proste i skromne jak szary strój. Ludzie żywili do niej sympatię, ponieważ czuli, że nie różni się od nich. Jej rude włosy rzadko bywały ułożone porządnie pod szarym kapeluszem, sprawiała wrażenie kogoś, kto przyszedł w pośpiechu, nie zważając na śnieżyce, ponieważ czuł, że tak trzeba. Było jeszcze coś, co zjednywało ludzi. Fanny nosiła przewiązaną w pasie wspaniałą połyskującą chustę koloru nieba nad Egiptem. Na tle szarości skromnego stroju jaskrawa barwa błękitu sprawiała wrażenie symbolu. Afirmacji radości i nadziei. Ludzie uśmiechali się bezwiednie.

— Zebraliśmy się tu, w pełnym życia i zdarzeń mieście, aby zastanowić się w ciszy nad naszymi wyborami. Umilknijmy na chwilę. Wyciszmy serca i posłuchajmy. W ciszy usłyszemy głos, który sprawi, że pogmatwane ścieżki wydadzą się proste.

Niektórzy zamknęli oczy, inni rozglądali się wokół, jakby zaniepokojeni własnymi myślami. Nagle w ciszy, a być może z powodu ciszy, rozległ się gniewny głos:

— Powinnaś siedzieć w domu z mężem i dziećmi! Biblia mówi: „Nauczać zaś kobiecie nie pozwalam ani też przewodzić nad mężem, lecz chcę, by trwała w cichości!”.

Ludzie rozejrzeli się wokół siebie. Głos należał do żołnierza w podartym, brudnym mundurze. Mężczyzna nie miał obu rąk. Zebrani zaczęli wymieniać skonsternowane uwagi, niepewni, czy zareagować gniewem, czy też spuścić wzrok ze wstydu. Fanny wyciągnęła ręce w stronę żołnierza w pojednawczym geście.

— Przyjacielu — powiedziała łagodnie. — Taki gniew, jaki nosisz w sercu, prowadzi jedynie do głębokiego smutku.

Po spotkaniu podejdzie do ciebie jeden z moich asystentów. Spróbujemy pomóc. Walczyłeś za nasz kraj, za co jesteśmy wdzięczni i bardzo z ciebie dumni.

Żołnierz nie odezwał się więcej ani słowem, utkwiał zdumiony wzrok w dziwnej kobiecie. Reszta zebranych również milczała wsłuchana w słowa, które przynosiły chwilowe ukojenie.

Fanny mówiła o nadziei, miłości i dobroci. Wszyscy zakładali, że również o Bogu. Jedynie Rose zwróciła uwagę, iż Jego imię nie padło ani razu.

Później tego samego wieczoru rudowłosą kwakierkę widziano na progu sali koncertowej przy Hanover Square. Nie przybyła na koncert muzyki pana Haydna, który był obecnie najpopularniejszym kompozytorem, lecz na specjalne spotkanie zorganizowane przez udziałowców Muzeum Biutyj-

skiego. Przed budynkiem ustawiły się dziesiątki powozów, impreza budziła wielkie zainteresowanie. Rudowłosa kobieta weszła na salę w towarzystwie brunetki w płaszczu obszytym futrem i dziwnej dziewczyny o oliwkowej skórze z czarną opaską na oku nadającej jej wygląd córki pirata. Zająły swoje miejsca wśród podekscytowanej publiczności.

Rose rozejrzała się wokół siebie. Dyrektor zespołu udziałowców Muzeum Brytyjskiego pozdrowił ją uniesieniem dłoni. Uśmiechnęła się. Była gospodynią przyjęcia, które wydawał później w jej domu na Grosvenor Square dla filozofów, językoznawców i członków parlamentu. Uśmiechała się do wielu osób. Dostrzegła George'a Fallona, ekscentrycznego łowcę antyków, w towarzystwie żony. Skinęli sobie chłodno głowami. George nie mógł już zaszkodzić Rose, która weszła w szeregi arystokracji. Tymczasem on zajmował tę samą pozycję co zawsze: bogacza o zbyt wysokich aspiracjach towarzyskich.

Przybyli również książę i księżna Torrence, William i Ann. Ann dawno temu usunęła wszystkie przednie zęby, zapewniwszy sobie bezpieczeństwo jako matka trzech synów. Zaslaniała się wachlarzem, ponieważ porcelanowa proteza nie pasowała zbyt dobrze. Wciąż królowała w towarzystwie, lecz sprawiała nieco niepokojące wrażenie z zębami klekoczącymi głośno kiedy mówiła. William pozdrowił Rose. Ann nie wykazała zainteresowania. Cokolwiek zaszło między nimi dwojgiem, była gotowa z radością odstąpić względy swego oziębłego męża

Ann wyciągnęła pochopne wnioski.

Pewnego wieczoru przed laty Rose i William znaleźli się sami w pełnym przepychu ogrodzie. Męża Rose wezwano pilnie na dwór w Windsorze. William jak zwykle czuł się zażenowany w towarzystwie byłej bratowej swego kochanka. Pragnął umknąć przed wzrokiem kobiety, która wiedziała o nim zbyt wiele, lecz Rose zatrzymała Williama, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— Niepotrzebnie mnie unikasz, Williamie. Nie interesują mnie twoje sprawy — powiedziała chłodno. — Obiecałam ci kiedyś, że usłyszysz ostatnie słowa Dolly.

Dostrzegła strach i zdumienie malujące się na jego twarzy. Ciałem oboje znajdowali się wśród światła i cieni ogrodu pełnego greckich posągów i płonących pochodni, jednak myślami każde z nich wróciło do Aleksandrii — pewnej dusznej, pełnej komarów, pogrążonej w mroku izby, i zawodzących kobiet... Do Dolly. William nie patrzył na Rose. Utkwił spojrzenie w posągu Ateny, bogini mądrości.

— Poprosiła mnie o przekazanie wiadomości.

— Rose, nie myśl, że nie zdaję sobie sprawy ze swojej winy. Wiem, że zawiodłem siostrę. Wiem, jak bardzo mnie kochała. Od dziecka kochała mnie za bardzo, a ja ją niewystarczająco mocno. George miał się nią opiekować, ale... Znudziła go. A ja widziałem to, co chciałem zobaczyć. Znam cenę swojej ojcowizny, Rose. Nie musisz mi o niej przypominać. Będę o tym myślał do końca życia.

— Na łożu śmierci poprosiła mnie o przekazanie ci ostatnich słów od niej. — Wreszcie popatrzył na nią. Rose z trudem przełknęła ślinę na wspomnienie umierającej samotnej twarzy Dolly. — Przepraszała, że była dla ciebie ciężarem. Kochała cię najbardziej na świecie.

Na chwilę padli sobie w ramiona i zapłakali. Ktoś wspomniał Dolly z miłością w ciemnym ogrodzie jej wuja, gdzie nie było już śladu kadzidłowca. Zasadzone niegdyś na próbę drzewko zmarło w obcym kraju, podobnie jak Dolly.

Rose uniosła dłoń w pozdrowieniu dla brata Dolly w sali koncertowej na Hanover Square.

George'owi towarzyszył jego nowy przyjaciel, Charles Cooper, wojskowy z misją: potrzebował żony z majątkiem. Inaczej czekało go kapłań-

stwo. Zimne oczy w przystojnej twarzy przeczesywały salę. Charles Cooper nie zamierzał poświęcić majątku dla tytułu, jak zrobił to wcześniej George.

Rose stanowczo uświadomiła George'owi, iż Rosetta nie jest na sprzedaż.

— Gdyby była moja, wyszłaby za niego! — odparł ze złością.

Lady Rosetta Hawksfield na szczęście do niego nie należała.

Nagle księżna Hawksfield dostrzegła w tłumie Pierre'a Montanda. Zapinał sprzączkę przy buciku małego chłopca. Sala zawirowała jej przed oczyma, wydała zduszony okrzyk i chwyciła się oparcia stojącego przed nią krzesła. Po chwili odzyskała panowanie nad sobą, nie zwróciła uwagi na badawcze spojrzenie Rosetty. Pierre Montand wskazał małemu chłopcu miejsce obok jakiejś kobiety i starszego nieco dziecka. Uśmiechnął się do całej trójki.

To jedyne, czego nie jestem w stanie znieść, pomyślała Rose.

Pierre Montand opuścił swoją rodzinę i ruszył w stronę mównicy. Pod sceną leżały ogromne paczki, które zaczął otwierać z pomocą młodego człowieka. Fanny również dostrzegła Pierre'a, bez słowa ujęła kuzynkę za rękę i ścisnęła pocieszająco.

— Co się stało, mamó? — spytała Rosetta.

— Nic, kochanie. To tylko duch.

Scena rozbłysła światłem. Rose i Fanny wstrzymały oddech na widok tego samego obrazu, który widziały dawno temu w Commission de l'Égypte. Pięknego pejzażu przedstawiającego rzekę Nil o brzegach porośniętych obfitą roślinnością. Bawoły z klapkami na oczach wprawiały w ruch młyńskie koła. Promienie słoneczne odbijały się w żaglach statków. Rose pomyślała o przeszłości, o podróży łodzią z Flo, skrzypieniu młynów wodnych i odnalezieniu Rosetty. Popatrzyła na córkę. Dziewczyna wpatrywała się w obraz ze skupionym wyrazem twarzy. Nie mogła pamiętać

kraju urodzenia, a jednak widok zdawał się poruszać bardzo osobiste struny w jej duszy.

Kolejne płótno przedstawiało hieroglify: jastrzębia, lwa, słońce i skarabeusza. Rose spuściła wzrok na swoje dłonie, ktoś patrzący z boku mógłby pomyśleć, że nie interesują jej starożytne symbole.

Rozległa się burza oklasków. Doktor Young przemówił do znamienitej publiczności. Uczni z wolna zbliżali się do rozwikłania zagadki, odnosili niewielkie sukcesy, udało się rozszyfrować niektóre słowa. Mogli stwierdzić z całkowitą pewnością, że dwa egipskie języki z zabytkowego kamienia znalezione w Rosetcie są ze sobą powiązane, a także ustalili, iż pismo hieroglificzne jest w części oparte na alfabecie. Na widowni rozległ się szmer zachwytu. Wiedząc, że wśród zebranych znajdują się Francuzi, naukowiec nie zdradził kolejnej tajemnicy. Mianowicie, że część znaków hieroglificznych stanowiła zapis fonetyczny.

— Konsul brytyjski cały czas dostarcza nowych materiałów do pracy. Jednak nadal jesteśmy zaledwie na początku drogi, jeżeli chodzi o odkrycie znaczenia pism starożytnego Egiptu. Choć minęło już dwadzieścia lat, odkąd zaczęliśmy prace.

Pierre Montand siedział na scenie obok bezcennych malowideł przywiezionych z wyprawy, podczas której straciło życie wielu jego towarzyszy. Słuchał słów wybitnego angielskiego specjalisty bez zamiaru wyjawienia, iż we Francji pewien uzdolniony i ambitny student lingwistyki, Jean— François Champollion, odnalazł w Paryżu koptyjskiego mnicha, u którego pobierał lekcje języka. Pan Champollion wierzył, iż język koptyjski jest najbliższej spokrewniony z hieroglifami i doprowadzi go do rozwiązania zagadki. Siedział więc całymi nocami w swym pokoju, pracując niezłomnie. Pierre spuścił głowę. Nadeszła jego kolej. Opowiedział o dziele zatytułowanym „Description de l’Egypte”, o latach pracy nad wydanymi tomami i kolejnych mających się ukazać częściach. Wiele z zebranych osób czytało bądź posiadało na własność owe dzieła. Wszyscy słuchali oczarowani. Pierre mówił o pracach w Egipcie pod okiem Napoleona, o fascynacji Napoleona

Egiptem. Mówił, jakby Bonaparte wciąż władał Francją, a nie przebywał na wygnaniu pod angielską strażą. Zakończył przemówienie, dzieląc się swym największym marzeniem: aby zagadkę hieroglifów rozwiązano jeszcze za jego życia, dzięki czemu wszyscy poznają historię bezcennych skarbów przywiezionych z fascynującego kraju nad Nilem.

Na zakończenie wieczoru goście udali się do rezydencji na Grosvenor Square należącej do Rose. Rozbawione towarzystwo weszło do olbrzymiego jasnego holu. Filozofowie, lekarze, językoznawcy, pisarze i politycy. Pierre Montand przedstawił swoją żonę. Rose, księżna Hawksfield, która miała za sobą lata praktyki w skrywaniu uczuć, uśmiechnęła się serdecznym uśmiechem dobrej gospodyni.

— Dobry wieczór, pani Montand. Witamy w Londynie.

Po chwili odeszli w towarzystwie dyrektora udziałowców.

Przybywali kolejni goście. Lokaje roznosili jedzenie oraz trunki, a Rose z uśmiechem krążyła wśród tłumu.

Wieczór okazał się wielkim sukcesem. Zainteresowanie Egiptem było ogromne. Wielu ludzi wyrażało pragnienie zobaczenia na własne oczy wspaniałych budowli, przepłynięcia Nilu, pokonania pustyni.

— Chciałabym zobaczyć piramidy w świetle księżyca — zawołała z afektacją pewna dama.

— A ja pragnę zobaczyć miejsce nad brzegiem Nilu, w którym żona faraona znalazła koszyk z małym Mojżeszem — dołączyła się równie dramatycznym tonem jej koleżanka. Z włosów wypadło jej kilka kwiatów. — A może to była jego córka?

Pierre Montand uprzejmie skinął głową w stronę ubranej w kwakerski strój Fanny. Nie podszedł, by z nią porozmawiać.

Za to doktor Young, który również był kwakrem, miał Fanny bardzo wiele do powiedzenia. Rosetta gawędziła z George'em. Nie lubiła wuja,

lecz odkryła sposób, jak okręcić go sobie wokół palca. Wystarczyło, żeby się uśmiechała. Swoją starą babkę, teraz przykutą do łóżka i bez przerwy narzekającą na Ludwika XVIII, traktowała dokładnie tak samo. Z rozdrażnieniem i pobłażliwą uwagą Rose ją za to podziwiała. Zdawało się, że Rosetta ich rozumie, ponieważ w jej żyłach płynie ta sama krew. Oni ze swej strony żyli w ciągłym przerażeniu jej istnieniem, uwielbiali ją wbrew sobie i w ogóle nie rozumieli.

— Powinnaś zobaczyć swoją ojczyznę, Rosetta mia — zwrócił się George Fallon do bratanicy. — Zorganizuję dla ciebie podróż.

Mówił to po raz dwudziesty i po raz dwudziesty Rosetta odparła z przekonaniem:

— Anglia jest moją ojczyzną.

— Oczywiście, że Anglia jest jej ojczyzną, George — poparła ją gorąco pani Fallon, choć w skrytości ducha uważała, że Anglik musiałby bardzo potrzebować pieniędzy, aby ożenić się z jednooką ciemnoskórą dziewczyną z nieprawego łoża. Nawet zdesperowany Charles Cooper najwyraźniej nie był aż tak zdesperowany.

Pierre Montand podszedł do Rose, by przed wyjściem podziękować jej za gościnę.

— Moja córka, Rosetta — powiedziała Rose.

Skłonił się przed uśmiechniętą dziewczyną i na krótką chwilę stracił maskę obojętności. Popatrzył na Rose. Oboje wrócili pamięcią do tamtej nocy, kiedy w pokoju obok spało dziecko, a w powietrzu unosiła się atmosfera miłości i niebezpieczeństwa. Rosetta obserwowała ich z uwagą, podobnie jak przed laty.

Rosetta szła z Grosvenor Square na South Molton Street. Nierówny chodnik tonął w błocie i brudzie: zwierzęcych odchodach, skórkach pomarańczowych, gazetach, kościach, martwych szczurach, potłuczonych butelkach i rybich głowach. Ani Rose, ani panna Proud nie lubiły, kiedy Rosetta sama przemierzała niebezpieczne ulice, nawet pokonując tak krótki dystans. Po drodze spotykała żebraków i żołnierzy. Jednak Rosetta twierdziła, że to oni jej się boją, nie na odwrót. Miała na sobie gruby płaszcz i solidne botki. Padał śnieg, lecz pogrążona we własnych myślach dziewczyna nawet tego nie zauważyła. Pokojówka zabrała płaszcz Rosetty. W kominku płonął ogień. Panna Proud, zgarbiona staruszka, siedziała przy swym stole wśród książek i czasopism. Marszczyła czoło pogrążona w lekturze wierszy młodego poety, które polecała wszystkim. Młody człowiek nazywał się John Keats, właśnie wydał swój pierwszy zbiór. Nikt poza kręgiem przyjaciół nie był nim zainteresowany.

— Ludzie nie dostrzegają prawdziwego talentu, choć mają go przed oczami — narzekała panna Proud. — Tylko dlatego, że jest aptekarzem. — Uśmiechnęła się do Rosetty. — Witaj, kochanie. Oderwałam się na chwilę od rzeczywistości.

Rosetta roześmiała się i ucałowała staruszkę.

— Ciocia Fanny już wyjechała?

Panna Proud spojrzała znad swoich nowych, bardzo powiększających szkielek.

— Wróciła do Wentwater. Spieszyło jej się, w końcu Jane niedługo wychodzi za mąż!

— Oczywiście. Powinnam była wcześniej przyjść. Miałam lekcję arabskiego z tym starym obłąkanym profesorem, którego mama znalazła w muzeum.

— Jest obłąkany?

Rosetta zastanowiła się przez chwilę.

— Tak — potwierdziła. — To Anglik, który udaje Araba. Naprawdę wierzy, że jest Arabem. Nosi arabskie ubrania, turban, ale nadal wygląda jak Anglik! Podobno pali fajkę wodną. Wszyscy zastanawiają się, co do niej wkłada. Niemniej jego znajomość języka może zadziwić. Szkoda, że minęłam się z ciocią Fanny. Słuchałam jej wczoraj z wielką przyjemnością. Ludzie ją bardzo lubią za prostotę i szczerść.

— Wspominała, że pastora znowu złożyła choroba.

— Zawsze choruje, kiedy ciocia wyjeżdża! Jane i Horacy mówią, że kiedy tylko ona wraca, pastor od razu nabiera sił i apetytu. — Roześmiały się.

Panna Proud widziała, że Rosettę coś dręczy. Znała ją na tyle dobrze, by wiedzieć, iż wyjawi jej to we właściwym czasie.

— Biedny pastor — rozczuliła się panna Proud. — Dawno temu stracił władzę we własnym domu. Nigdy nie wie, kiedy na progu zjawi się księżna Brayfield. Podobno ona i lord Stone są częstymi gośćmi na plebanii. Co oczywiście znacznie podwyższa status społecznego Horacego Harbottoma, lecz również wymusza na nim przyzwoite zachowanie! — Rosetta zachichotała, przypominając pannie Proud, że mimo bystrej inteligencji, bogatego słownictwa i znakomitego wykształcenia była jeszcze dziewczynką. — Masz płatki śniegu we włosach, moja panno.

— A pani ma zaczerwienione od ognia policzki! — Rosetta usiadła wśród książek.

— Widzę, że panna Jane Austen odeszła — powiedziała panna Proud, otwierając gazetę. — A tak chciałam z nią porozmawiać.

— O czym?

— O wielu sprawach. Jestem wielbicielką jej twórczości. Przede wszystkim poruszyłabym temat bohaterów literackich. Ciekawi mnie, jak spod tego samego pióra mogły wyjść dwie tak różne postaci jak Elizabeth Bennet i Fanny Price. Czyżby ta mdła, usuwająca się w cień osobowość z „Mansfield Park” miała reprezentować kobietę naszych czasów, nową kobietę?

— Panna Proud uderzyła obiema rękami w stół z nagłą złością.

— Odnoszę nieprzyjemne wrażenie, że kobiety się uwsteczniają, miast z odwagą przeć ku przyszłości! Nie potrafię znieść tej myśli, ja, wychowana w epoce oświecenia, nowej myśli i nadziei. — Ukryła twarz w dłoniach. — Jeśli kobiety mają zostać zmuszone poprzez nacisk pewnych grup społecznych do uczynienia „ogniska domowego” celem oraz sensem swego życia, to nasza przyszłość jawi się w czarnych barwach.

— Ja będę kobietą nowych czasów — zapewniła Rosetta.

— Wiem, że tak, kochanie. Nie martwię się o ciebie. Zawsze znajdą się odważne jednostki. Nie o jednostki mi chodzi. Popatrz na przygody swojej mamy i cioci, kiedy były młodsze! Spójrz na panią Venetzię Alabaster. Czasy zdawały się zmieniać, lecz wyczuwam w powietrzu, że zapowiedź wolności dla kobiet była złudzeniem. Nasze prawa zostały odebrane, nim je nam oficjalnie przyznano.

Rosetta popatrzyła przenikliwie na staruszkę.

— Panno Proud, zeszłego wieczoru poznałam pewnego francuskiego dżentelmena o nazwisku Montand. Pierre Montand.

Jej słowa zawisły w ciszy.

— Naprawdę? — wykrztusiła panna Proud po chwili.

— Zna go pani, panno Proud?

— Spotkałam go.

— Był na wykładzie z żoną i z dziećmi.

Panna Proud spojrzała w bok.

— Rozumiem.

— Czy moja matka kiedyś go знаła?

— Cóż za dziwne pytanie.

— Doprawdy?

Rosetta czasem, jak teraz, wśród książek w salonie panny Proud, siadywała w niezwykły sposób, zupełnie niestosowny dla damy, z jedną nogą podkurczoną pod siebie. Flo miała ten sam zwyczaj. Kiedy odwiedzała Anglię w towarzystwie Mattie, dziewczęta potrafiły tak siedzieć godzinami, nieruchome jak kamienne posągi.

— Mama nie mówi mi wszystkiego — oświadczyła Rosetta. — Opowiedziała mi, w jaki sposób mnie znalazła, i o tym, jak księżę poprosił ją o rękę, a ona się zgodziła, by móc zostać moją prawną opiekunką, ale zastanawiam się, skąd wiedziała o moim istnieniu.

Panna Proud się zmieszala. Przenikliwość Rosetty zawszewprawiała ją w zakłopotanie.

— Moja droga... Wiadomo było, że twój ojciec miał...

— Tak, tak, wiem. Lecz mój ojciec zginął, nigdy się o mnie nie ! dowiedziałwszy. Skąd wobec tego mama mogła wiedzieć, będąc |, w Londynie? Wiedziała nawet, że urodziła się dziewczynka, • zanim przybyła po mnie do Egiptu. Kto jej powiedział?

Panna Proud milczała. Rosetta nie nalegała na odpowiedź.

— Czy musiała za to zapłacić? — spytała spokojnie. Zdjęła

opaskę z oka, co rzadko czyniła przy kimkolwiek, nawet przy pannie Proud.

— Pytasz o pieniądze?

— Nie, nie. Flo mi powiedziała, że musiała mnie kupić. Pytam o innego rodzaju cenę.

Panna Proud uśmiechnęła się.

— Czytasz zbyt wiele powieści!

— O miłości.

Pannie Proud przemknęło przez myśl, jak bardzo Rosetta podobna jest do swojej babki: ta sama bezpośredniość, dziwna ostrość, błękitne oczy. Nie odpowiedziała, a Rosetta mówiła dalej, na pozór zmieniając temat.

— Wczoraj, kiedy patrzyłam na płótno przedstawiające krajobraz nad Nilem, poczułam tęsknotę za domem. Zdaję sobie sprawę, jak to brzmi.

— Och, kochanie. To naturalne. Często opowiadałyśmy ci o Egipcie. To piękny kraj, choć panują w nim trudne dla kobiet warunki.

— Oczywiście. Wszyscy tak twierdzą. Aczkolwiek ja nie miałabym nic przeciwko zasłanianiu twarzy. — Nałożyła z powrotem opaskę. — Tam nie jest tak, jak się zdaje.

— Co masz na myśli?

— W Egipcie Flo nauczyła się perfekcyjnie mówić po angielsku i pracuje. Razem z Korneliuszem, Mattie i panią Alabaster prowadzą firmę. Tymczasem tu, w wolnym świecie, wuj George przenigdy nie dopuściłby mnie do rodzinnych interesów. Mimo że wie, jak dobrze bym sobie poradziła.

Panna Proud pokiwała ponuro głową.

— Masz całkowitą słuszność.

— Mogę rozmawiać z Flo o wszystkim, choć jest starsza ode mnie, zamężna i na pozór odizolowana od świata. Mogłam przy niej zdjąć opaskę, egipskie zapalenie oczu nie robi na niej wrażenia, codziennie widuje dotkniętych nim ludzi. Nigdy nie zdejmuję opaski w obecności Jane ani Horacego. Czuję się podobna do Flo. — Rosetta zmarszczyła brwi. — Czuję z nią pokrewieństwo, mimo że odebrałyśmy tak różne wychowanie i wykształcenie. Nie chcę być angielską dziedziczką. Wszystkie moje koleżanki pragną tylko jednego. Założenia rodziny. Nie wyjść za mąż to ujma na honorze.

Zapomniała, że rozmawia z panną Proud, która nigdy nie wyszła za mąż.

— To naturalne, że młode dziewczęta pragną mieć mężów i dzieci.

— Ja nie różnię się od nich tak bardzo. Jednak mam oczy, a raczej jedno oko. Znam świat, w którym żyję. Kto zechce poślubić jednooką Arabkę? Jedyne osoba pokroju wuja George'a, która stawia pieniądze ponad wszystko. Wuj George przedstawił mamie niejakiego Charlesa Coopera, który pilnie pragnie ożenić się z dziedziczką. Na szczęście obie zgodziłyśmy się, że to nieodpowiedni dla mnie kandydat na męża! — Nie patrzyła na pannę Proud, lecz przerzucała kartki książki leżącej na stole. — Sądzę, że kuzyn Horacy poślubiłby mnie z litości, gdybym zgodziła się zamieszkać w Indiach!

— To kochany chłopiec.

— Tak. Jednak nie chcę, by został moim mężem. Pragnę popłynąć do Egiptu! Czuję, że znam to miejsce.

— Mama wiele ci o nim opowiadała. Fascynował ją od dzieciństwa. To naturalne, że przekazała ci tę fascynację.

— Chodzi o coś więcej. Jestem wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiła. Ale nigdy nie będę Angielką. Nie w pełni.

— Moja droga. — Panna Proud zdjęła okulary i potarła powieki. — Ludzkie serce skrywa wiele tajemnic, nie zawsze do końca rozumiemy drugiego człowieka. Jestem jednak przekonana, że Rose nigdy nie sprzeciwiłaby się twojej decyzji. Mattie i Flo tam są. Wspaniała pani Venetzia Alabaster, Śpiewająca Akrobatka, i jej mąż, beduiński szejk, są najbardziej wpływowymi kupcami w Egipcie! Twoja mama wie, jak Egipt urzeka ludzi. Masz tam wielu przyjaciół, którzy się tobą zaopiekują podczas wizyty.

— Och, nie. Nie rozumiała pani! Nie martwię się o siebie, lecz o mamę. Jak mogę ją opuścić po wszystkim, co dla mnie zrobiła? A jeśli postanowię tam zamieszkać? Dlatego muszę znać cenę. Czy poświęciła coś dla mnie? Wczoraj po raz pierwszy zrozumiałam, że tak.

Po raz kolejny panna Proud poczuła się zaskoczona przenikliwością Rosetty.

— Tylko... co to ma wspólnego z twoją podróżą do Egiptu?

— Pragnę poznać ten kraj bardziej, niż pragnę czegokolwiek. Zdaję sobie jednak sprawę, że być może nadeszła moja kolej, by coś poświęcić. Zostanę angielską dziedziczką, jeśli będzie trzeba.

Serce panny Proud ścisnęło się z żalu nad Rosettą, która gotowa była zrezygnować z własnego dążenia do szczęścia, i nad Rose, która przecież chciała jak najlepiej.

— Kochanie, te sprawy... Trudno je oceniać.

Rosetta potrząsnęła ze zniecierpliwieniem ciemnymi lokami.

— Panno Proud, mam już prawie szesnaście lat. Dużo rozumiem. Władam biegle francuskim i niemieckimi, podobnie jak wiele dziewcząt, lecz odebrałam również gruntowne wykształcenie w dziedzinie greki, matematyki i filozofii. Takie samo jak chłopcy. Miałam najlepszych nauczycieli w Anglii. Potrafię myśleć.

— Niemniej istnieje wiele prawd, które trudno poznać rozumowo. Wydaje mi się, że powinnaś porozmawiać z mamą, nie ze mną.

— Wiem. Wiem, że w życiu trzeba zrozumieć również inne rzeczy — powiedziała z zapalem dziewczyna. — Tego również się nauczyłam. Nawet jeśli sama ich nie doświadczę. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo moja matka pragnęła mnie przygarnąć, ile zrobiła, by mnie odnaleźć. — Rosetta wpatrywała się w płatki śniegu za oknem. — Niewiele pamiętam z wczesnego dzieciństwa, lecz wiem, że była kiedyś inna. Dziś jest uprzejma, gościnna, miła dla ludzi, nieskończenie spokojna i zawsze uśmiechnięta. Trudno stwierdzić, czy pod spodem nadal żyje ta druga osoba. Wczoraj ujrzałam w jej twarzy więcej niż przez lata. Pamiętam, że uwielbiała nasze wspólne lekcje czytania. Zaczęłam się uczyć, nim skończyłam trzy latka! Wiem — pani i ciocia Fanny też to mówiłyście — jak bardzo moja matka kochała słowa. Od dzieciństwa ją fascynowały, stąd jej zainteresowanie hieroglifami. Pan Montand również się nimi interesuje, czyż nie? Przez wiele lat prowadziła dziennik — dodała.

— To prawda, miałam nadzieję, że do tego wróci. Tyle przeżyła. Zawsze obserwowała, pisała i uczyła się. Nie przestawała się rozwijać. Jest niezwykle mądrą kobietą. Mogłaby wiele zrobić dla innych.

— Ale przestała pisać.

Panna Proud oddała się z wielką uwagą porządkowaniu stołu.

— Panno Proud, bezcenne dzienniki zbierają kurz na dnie kufra. Nic już nie pisze. Siada za biurkiem swojej matki tylko po to, by zaadresować zaproszenia na podwieczorek! Być może nic już nie zostało pod spodem! Wie pani, że nigdy nie widziałam jej łez od czasów wczesnego dzieciństwa? Kiedyś płakała, to jedno z moich najwcześniejszych wspomnień. W tym domu. Stała przy oknie na górze, a ja myślałam, że deszcz pada z jej oczu. — Panna Proud poczuła ucisk w gardle. — Więc... czy była cena? Czy oprócz dzienników schowała coś jeszcze, kiedy poślubiła księcia?

Staruszka zbyt dobrze znała swą piętnastoletnią przyjaciółkę. Serce Rosetty było niczym płynne złoto pod pozorami szorstkości. Kochała Rose gorąco, ponieważ Rose dotrzymała swej obietnicy sprzed lat i zawsze była przy niej. Zawsze. Jednak Rosetta, podobnie jak jej matka, bywała nieugięta.

— Tak, Rosetto. Nie mylisz się, musiała się czegoś wyrzec.

— Pana Montanda? — spytała dziewczyna, a panna Proud spuściła wzrok. — Widziałam ich. Mama nigdy się tak nie zachowywała. To było takie... — Panna Proud sądziła, że powie „romantyczne”, lecz Rosetta dodała powoli: — ...straszne.

Panna Proud westchnęła.

— Zgoda, choć wolałabym, byś usłyszała wszystko od mamy. Ja byłam jedynie obserwatorką. To było straszne, tak. Bardzo się kochali.

— Czy płakała tamtego dnia, podejmując decyzję? Czy to ten dzień pamiętam?

— Tak.

— Pan Montand kontaktował się z nią potem?

— Nigdy.

— Wybrała mnie?

— Wybrała ciebie, ponieważ kocha cię całym sercem.

Pierre Montand był zdumiony wizytą lady Rosetty Hawksfield w londyńskim domu ambasadora Francji, gdzie się zatrzymał. Zastała go za biurkiem przy pracy. Weszła do małego elegancko urządzonego pomieszczenia, otrzepując śnieg z ramion. Ciemnoskóra dziewczyna z opaską na oku i jej opanowana, uśmiechnięta matka nie dawały mu zasnąć tej nocy.

— Witam, panno Rosetto.

— Dzień dobry.

Spojrzała w jego przyjazne oczy. Postanowiła nie tracić czasu.

— Widział mnie pan już wcześniej, panie Montand?

— Proszę usiąść. — Przysunął fotel do kominka. — Tak. Wiele lat temu, niedługo po tym, jak przyjechała pani do Anglii.

— Dowiedziałam się dziś, że moja matka wybrała mnie zamiast pana.

— Tak, to prawda.

Coś w tej dziewczynie przypomniało mu piętnastoletnią Dolly, którą spotkał tak dawno temu. Nie chodziło o brawurę, lecz o pewną intensywność bycia. Jakby chodziło o życie lub śmierć. Przypomniawszy sobie, że w wypadku Dolly tak właśnie było. Z uwagą spojrzał na siedzącą przed nim dziewczynę.

— Jest pan żonaty?

— Poznała pani wczoraj moją żonę i synów.

— Wobec tego nie może pan już poślubić mojej matki?

— Nie. Żałuję, ale nie — powiedział łagodnie.

Rosetta poczuła ucisk w gardle, odwróciła wzrok, wygładziła fałdy spódnicy.

— Czy mama wie, że pani tu przyszła? — spytał ze zdziwieniem.

— Mam prawie szesnaście lat i własny powóz, proszę pana. Służba czeka na mnie na dole. Oczywiście, że mama nie wie. Czy mogę prosić pana o wielką przysługę? — spytała ostrożnie, starannie dobierając słowa. — Zechciałby pan odwiedzić ją choć raz? Proszę pojechać ze mną, to zajmie nie więcej niż godzinę.

— Nie mam ochoty spotykać się z pani mamą, Rosetto — odparł łagodnie.

— Dlaczego?

— Ponieważ nasze drogi się rozeszły.

— Tylko godzina.

— Nie, kochana panno Rosetto. Zbyt wiele czasu minęło. Te sprawy należą do przeszłości. Zapomnianej przeszłości. Nasze spotkanie nie miałyby sensu. Pewnego dnia zrozumie to pani.

— Proszę. Błagam pana. Ona nie wie. Nie jest przygotowana. Tak bardzo mi na tym zależy.

— Nie rozumiem.

— Coś w niej umarło. Odeszło. Musi wrócić. Monsieur Montand, pan jest przecież Francuzem. — Wzięła głęboki oddech. — Skoro nie może pan jej poślubić, zostańcie kochankami. — Nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. — W powieściach miłość zawsze zwycięża.

— W prawdziwym życiu istnieje wiele rodzajów miłości. — Spojrzał przez okno na padający śnieg, dachy domów i wieżę kościoła. — Nie potrafię pomóc pani mamie, Rosetto. Mam teraz własne dzieci, które kocham. Tak jak Rose panią.

— Monsieur Montand, błagam pana. Jedna godzina. — Spojrzała w jego nieprzeniknione oczy. — Proszę posłuchać... Moja matka wydaje w swym domu na Grosvenor Square najszynniejsze przyjęcia w mieście. Jest czarująca i zawsze uśmiechnięta, potrafi słuchać i pomagać ludziom. Królowa uwielbia jej towarzystwo. Ja jednak wiem, że mama nie jest sobą. Podobno pasjonowały ją kiedyś hieroglify. Szalała za nimi.

Uśmiechnął się lekko rozbawiony doborem słów. W głowie usłyszał głos Rose: „Opisali swoje życie. Chcą nam o nim opowiedzieć”. Przypominał sobie, jak przesuwiała zachłannymi palcami po żłobionych znakach, próbując zrozumieć. I jeszcze jej twarz wpatrzona w twarz starożytnej rzeźby.

— Tak, *mademoiselle*, to prawda. Tak właśnie było. Niezwykle zainteresowania, jak na młodą kobietę w tamtych czasach.

— Uwielbiała pisać. Pasjonowała ją historia piśmiennictwa, wartość i znaczenie pisma. Wiem, ponieważ nauczyła mnie tego wszystkiego, kiedy byłam bardzo mała. Zanim zajęli się mną prawdziwi nauczyciele.

— Tak.

— A teraz co pisze? Zaproszenia na herbatki! Uśmiecha się do gości, którzy opowiadają o Egipcie. Dla nich to tylko nowa moda, przelotna fascynacja. Byliby wstrząśnięci, nie uwierzyliby, że ona naprawdę tam była, sama na pustyni. Gdzie się podziała jej miłość do hieroglifów? Gdzie jej pasja?

— Ludzie się zmieniają, Rosetto.

— Nie w takich kwestiach.

— Mówi pani z wielką pewnością, jak na tak młodą osobę.

— Wiem, że ona pogrzebała jakąś część siebie. To okrutne. Pan może jej pomóc.

Pokręcił głową i wrócił za biurko. Rozmowa dobiegła końca.

Wpatrywała się w niego uporczywie, póki na nią nie spojrział.

— Panna Proud powiedziała mi dziś rano, że to pan przekazał wieści o moim istnieniu. By wszystko to... — rozłożyła ramiona, aby objąć siebie, jego i świat — ...się wydarzyło.

Sprawiał wrażenie bardzo poruszonego jej słowami. Popatrzył na biurko, ułożył kartki.

— Tak — przyznał wreszcie. — To ja powiedziałem Rose o pani.

— Można by założyć, że z pana powodu, z powodu pana decyzji, jestem tu dziś. I błagam o pomoc. O godzinę pana czasu.

Nie potrafił nic powiedzieć.

— Kochał ją pan?

— Tak, bardzo — powiedział po długim milczeniu.

W powozie zauważył, że Rosetta drży.

— Pani również bardzo ją kocha.

— Tak. A ona mnie wybrała. Chciałabym być warta jej miłości.

Zapadał grudniowy wieczór. W domu na Grosvenor Square zapalono świece. Służba wyszła po nich z parasolami. Otworzono drzwi, zabrano płaszcze.

— Na pewno siedzi przy swoim ukochanym biurku. Nic nie pisząc. — Rosetta zaprowadziła go do matki.

Rose zbladła jak ściana, by w następnej chwili spłonąć rumieńcem. Poderwała się niezgrabnie zza biurka. Zegar z Genui odmierzał minuty. W powietrzu unosił się dym papierosowy.

Pierre zrobił krok do przodu, ona zrobiła krok w jego stronę. Wolno podszła. Wtuliła się w niego, a on schował twarz w jej włosach. Stali tak nieruchomo, nic nie mówiąc. Rosetta usłyszała ciche westchnienie.

Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Odesłała służbę i usiadła na zabytkowym fotelu w wielkim holu. Z jedną nogą podwiniętą. Ciemnoskóra dziewczyna w błękitnej sukni, z opaską na oku. Nad Londynem zapadła noc.

Rosetta trwała nieruchomo w mroku, przy migocącej świeczce. Nieruchomo jak postaci ze starożytnych malowideł na ścianach ruin pustyni, gdzie została znaleziona.

Rose rozsunęła zasłony w swoim pokoju. Wpuściła ciepłe promienie słońca letniego poranka. Spojrzała na piękny plac, zielone drzewa i kwiaty. Za oknem śpiewały ptaki, Londyn jeszcze się na dobre nie obudził. Rose zeszła cicho po schodach wielkiego domu, minęła portrety przodków, rzymskie wazy i greckie rzeźby. Weszła do pokoju, w którym stało jej biurko. Założyła okulary. Pierwszy list od Rosetty, wysłany z Calais, był i będzie czytany wiele razy. Rose przytrzymała kartki w dłoniach, jakby chciała poczuć obecność córki. Potem wyjęła z szuflady czystą kartkę papieru, jak to czyniła wiele razy, kiedy była młoda. Panna Proud czekała długo, już dawno zaniechała pytań.

Rose zanurzyła pióro w atramencie i zaczęła pisać. Wkrótce przestała słyszeć tykanie starego zegara z Genui, głosy służących, gwar ulicy.

Tamtego lata, jak co roku, starsi panowie wdrapywali się na Vow Hill uzbrojeni w lornetki. Czekali na powrót floty Jego Królewskiej Mości, która odbyła bohaterskie potyczki z Francuzami dowodzonymi przez słynnego już nowego generała Napoleona Bonaparte. Na horyzoncie nie pojawiał się nawet cień statku, ale staruszkowie uparcie trwali ze swymi lornetkami na wzgórzu. Przychodzili wcześniej w pogodne poranki, by zająć najlepszy punkt widokowy. Tuż nad kabinami kąpielowymi.

POSŁOWIE

Niedawno wyszło na jaw, że arabscy uczeni znaleźli sposób na odczytanie hieroglifów setki lat przed odnalezieniem kamienia z Rosetty przez francuskie oddziały. Informacje zostały utracone bądź ukryte podczas inwazji muzułmańskich wojsk.

Czternastego września 1822 roku w Paryżu Jean-François Champollion pracował w swym pokoju na strychu. Porównywał wnioski wyciągnięte z analizy pierwszego źródła z ostatnio odkrytymi tekstami. Nagle, po dwudziestu trzech latach od odnalezienia kamienia z Rosetty, wreszcie zrozumiał. Pobiegł do Instytutu Francuskiego, w którym pracował jego brat. Zemdlał na progu jego gabinetu, krzyknąwszy „Mam!”. Francuz, podpierając się wcześniejszymi wnioskami Thomasa Younga, znalazł wreszcie klucz do tajemniczych wrót. Odkrył zasady staroegipskiego pisma, nauczył się czytać hieroglify. Wiele jeszcze zostało do zrobienia, lecz klucz został przekreślony.

Hieroglify okazały się literami alfabetu, zapisami fonetycznymi dźwięków oraz zarówno symbolicznymi jak dosłownymi obrazami rzeczy. Od 1822 roku opowiadały coraz więcej: o wojnach, władcach, bogach, miłości, śmierci, poezji i listach zakupów. Nie są magicznymi symbolami tłumaczącymi tajemnicę świata, lecz głosem dawnych wieków.